LUDY TURAJSKIE I ICH POJĘCIA RELIGIJNE.

6. Pojęcia religijne ludów Turajskich.

Jedność szczepową ludów Turajskich całego północnego pasa kuli ziemskiej wykazuje również wspólne tło ich pojęć religijnych.

Charakterystyczne znamiona religijne tych ludów mają, z jednej strony, tak blizkie z sobą pokrewieństwo, a z drugiej, tak wybitnie różnią się od religii innych szczepów i ras, że uczeni badacze, zajmujący się tą specyalną gałęzią wiedzy ludzkiej, dają jej jedną nazwę, mianowicie a n i m i z m u, albo religiii animistycznej.

Czy sama nazwa „animizmu" jest stosowną, o to nie wszczynalibyśmy sprzeczki, ale musimy się zastrzedz, iż żadną miarą nie godzimy się na znaczenie, jakie racyonaliści do tej nazwy przywiązują. A najprzód, według tych panów, animizm obchodzi się właściwie bez pojęcia Bóstwa, a dalej, animizm był pierwotną religią ludzkości. Otóż, jak to zobaczymy dowodnie w niniejszej pracy, zapatrywania te są zupełnie sprzeczne z wynikami gruntownych badań, chociaż godzimy się całkowicie na zdanie Tiela, który pisze: „Religia animistyczna jest wszędzie, albo prawie wszędzie, identyczna, tak co do swej istoty, jak co do swych pojęć i praktyk" [1].

Religia ludów Turajskich w głównych swych zarysach po-

[1] *Manuel de l'histoire des religions;* tłum. franc. Vernes'a, p. 26.

dobną jest do religii ludów rasy żółtej i czarnej. Pamięć o jednym, prawdziwym Bogu przechowała się u wszystkich i tak licznych plemion, na jakie podzieliły się te ludy, lecz ślady tej pamięci pozostały jedynie w nazwie tylko; atrybuty Boga zostały uosobione, jedność rozpadła się w mnogość, jednobożność przeobraziła się w wielobożność. Ludy Syberyi, Finowie europejscy, amerykańscy Indyanie wierzą w istnienie wielkiej ilości istót nadprzyrodzonych, duchowych, które kierują tym światem i jego losem, przedewszystkiem zas wywierają swój wpływ na ludzi, sprowadzają klęski i choroby. Duchy te są dobre i złe, ale ponieważ pierwszych obawiać się niema potrzeby, stąd też mało się o nie troszczą, a dokładają głównie wszelkich starań, ażeby się zabezpieczyć od nieszczęśliwych przygód, ugłaskać gniew złych duchów i w tym celu zanoszą do nich modlitwy, składają ofiary, przedewszystkiem zaś używają z a ż e g n y w a ń, tj. środków, które mają moc ubezwładniać szkodliwą ich działalność. Te środki okryte są tajemnicą; niektórzy tylko uprzywiliowani posiadają ich wiadomość, a tymi uprzywiliowanymi są S z a m a n i w Syberyi i L e k a r n i k i w Ameryce. Zajmiemy się najprzód szczegółowo pojęciami i praktykami religijnemi północnych ludów Europy i Azyi,

Uczony rosyjski, Michajłowskij, w ten sposób streszcza swoje etnologiczne dochodzenia o pojęciach religijnych ludów Turajskich, zamieszkujących północną Europę i Azyę[1]: „Na wielkich obszarach państwa rosyjskiego, od cieśniny Berynga po półwysep Skandynawski, wśród nader licznych obcych plemion, które zachowały resztki swych dawnych, pogańskich pojęć religijnych, spotykają się wszędzie, w większym lub mniejszym stopniu, objawy Szamanizmu. Pomimo różnorodności plemion, pomimo wielkich odległości, jakie rozdzielają ich siedliska, objawy religijne, zwane Szamanizmem, u wszystkich tych plemion, nie-

[1] »Шаманство«, Москва 1892, стр. 115. — O pracy p. Michajłowskiego pochlebnie wyrażają się antropolodzy angielscy, sama książka została przetłumaczona na angielskie.

tylko w ogólnych zarysach, lecz nawet i w drobnych szczegółach, przedstawiają się identycznie".

Jedność religijna ludów północnych Europy i Azyi, którą na podstawie bogatych materyałów, obcych i swojskich, stwierdza etnolog rosyjski, jest dla nas bardzo ważnem świadectwem a i dowodm również, przemawiającym za jednością plemienną tych ludów. Szczegóły, odnoszące się do ich pojęć i praktyk religijnych, jakie zamierzamy tu podać, wyświecą bliżej istotę ich religii.

Wszystkie ludy północe Europy i Azyi uznają istnienie Bóstwa, dają mu osobną nazwę w swych językach. Finowie i sąsiadujący z nimi Lapończycy, Estonowie i Czeremisy zowią je: *Iumala, Iumbel, Iuma.* Samojedzi dają mu nazwę *Num.* Nazwa *Turm* albo *Turum*, jaką dają Ostjacy, przypomina Tora skandynawskiego. Tunguska nazwa *Buga* albo *Boa* zbliża się do brzmienia słowiańskiego; wreszcie jakuckie bostwo *Tungara*, mongolskie i tureckie *Tengri*, Tangri mają ten sam źródłosłów [1].

Jakie pojęcie miały i mają te ludy o swem bóstwie, nie jest rzeczą łatwą do stwierdzenia. Ludy te nie posiadają piśmiennictwa, a ludy kulturne, które się z niemi stykały, nie pozostawiły o nich żadnych wspomnień; w naszych dopiero zaledwie czasach gorliwi etnolodzy, z poświęceniem własnego życia, starali się bliżej je poznać, a z ich opisów możemy wysnuć niejaki szkic o pojęciach religijnych tych ludów.

Przedewszystkiem zaznaczyć należy, jako rzecz nieulegającą wątpliwości, że ludy te pojmują swe bóstwo jako osobistość,

---

[1] Taki sumienny i bezstronny badacz jak de Quatrefages stwierdza w swem dziele, że ludy sybirskie, jakkolwiek oddają cześć rozlicznym duchom, uznają jednak Najwyższą Istotę. Oto co mówi: „Mais partout aussi on croyait à un Dieu suprême, ayant créé ces esprits eux-mêmes et conservant tout ce qui existe. Les Lapons et les Samoyèdes avaient ou ont encore sur ce point les mêmes idées que les anciens Chinois. Leur *Jubmel*, leur *Num* répond exactement au *Chang-ti* de Khoung-tseu lui-même, et des locutions populaires montrent qu'ils le regardent comme le premier dispensateur de tout bien. *Num-tad* (que Num m'accorde). *Num arka* (que Dieu soit remercié) reviennent, parait-il, souvent dans le langage des Samoyèdes". *L'éspèce humaine*, p. 352.

istotę, której nie identyfikują całkiem panteistycznie ze światem. Bóstwo ich jest duchem, a stąd nie może być przedstawione przez żadne obrazy lub posągi [1]. Dalej, niektóre z tych ludów w podaniach swoich przyznają, że ich Bóstwo stworzyło świat, jest wszechpotężne i wszechwiedzące; te atrybuty przechowały się mianowicie w podaniach Finów, które zostały zebrane i wydane przez E. Lönnrot'a, pod tytułem *Kalewala*. W pieśniach fińskich *Iumala* jest panem nieba, słońca, powietrza, ziemi, miłościwym i opatrznym; O. Pesch twierdzi, że odpowiada zupełnie pojęciu indo-europojskiemu Dyu i semickiemu El [2]. Wreszcie, ostatnie podanie, jakie zachowało się wśród tych ludów, jest, że Bóstwo opuściło ich od dawna, nie zajmuje się obecnie ludźmi ani światem, lecz powierzyło tę czynność innym istotom [3].

[1] „Samojeden... deshalb wird auch von Num kein Bild verfertigt. Den höchsten Gott nennen sie (Ostjaken) auch Tuurum; sie bilden denselben nicht ab. Ihr (Tungusen) höchster Gott heisst Buga; sie bilden denselben nicht ab, weil er ein unsichtbares Wesen sei, das man nicht verehren könne". *Der Gottesbegriff*, P. C. Pesch S. J. S. 9, 10, 12. Ob. również: Castren, *Vorlesungen über finnische Mythologie*, S. 235.

[2] „So wird er in der Kalewala angerufen als Herr des Himmels, der Sonne, der Luft, der Erde, der alles Uebel verscheuchen. alles Gute verleihen kann... Fragen wir nun vor allem, welches die ursprünglichste Gottesbezeichnung der finnischen Mythologie ist, das Analogon zu dem indogermanischen Dyn und dem semitischen El, so lautet die Antwort: dieser altehrwürdige Name ist Jumala; denn so wird Gott nicht nur bei den Finnen, sondern auch bei den Lappen, Esthen, Syrjänen, Tscheremissen und Samojeden genannt, während die übrigen Gottheiten einzelnen Völkerschaften eigenthümlich sind". *Op. cit.*, S. 3.

[3] „Indessen erscheint Jumala in der Kalewala ähnlich wie Dyaus in den Weden, nur mehr in unbestimmten, nebelhaften Umrissen. Er ist in den dunkeln Hintergrund zurückgetreten und hat die Leitung der Welt anderen überlassen... Ueberhaupt beklagen die Samojeden eine entschwundene goldene Zeit, in welcher Gottesfurcht und Sittenreinheit den Menschen die Gunst des Himmels erwarb. Jetzt aber habe Gott sich vor der Bosheit der Menschen zurückgezogen und den Geistern die Regierung der Welt überlassen... Im übrigen leben auch die Kamtschadalen der Ueberzeugung, dass nicht mehr Gott, sondern die Geister die Welt regieren". P. Pesch, *Op. cit.* SS. 4, 9, 11.

O Ostjakach pisze Reclus (*Nouv. Géogr.*, vol. VI, p. 683): „Au dessus de tous ces dieux de famille et de race, dans le ‚septième monde', trône le grand dieu, revêtu de la lumière de l'aurore et parlant avec la voix du tonnerre et des tempêtes: c'est Tourm ou Touroum... Nul ne doit l'invoquer;

Następstwem tego przeświadczenia było, że ludy Turajskie pominęły zupełnie w życiu praktycznem swą Najwyższą Istotę, nie oddają jej czci, nie proszą o żadne łaski, a zwróciły się do istot, które, według ich mniemania, mają wpływ na sprawy tego świata.

Jakkolwiek podania o Bóstwie, jakie przechowały się wśród ludów północnych Europy i Azyi, są nikłe, dla nas jednakże mają doniosłe znaczenie, mianowicie, są one dowodem rzeczywistości pierwszego objawienia.

I w istocie. Skoro te ludy uznawały od niepamiętnych czasów, że jest jedna Istota Najwyższa, duchowa, która nie może być przedstawioną przez żaden obraz i nie identyfikuje się ze światem, tem samem wykluczona jest tak wielobożność, jak i wszechbożność, a stąd takie pojęcie należy uważać za jednobożne.

Jeżeli pojęcia religijne rozwijały się i doskonaliły z czasem, jak chcą ewolucyoniści, pojęcia jednobożne nie mogły poprzedzać pojęć wszechbożnych i wielobożnych, na co nietylko godzą się ci panowie, ale na tem właśnie opierają swe wywody. Otóż ponieważ pojęcia jednobożne ludów Turajskich, były pierwotne, a obecnie te ludy, jak to zobaczymy niebawem, uznają i czczą wielkie mnóstwo bożków, i tych bożków identyfikują bądź z przedmiotami ziemskiemi, bądź z objawami potęg przyrody, stąd też te pojęcia nie powstały i nie wyrobiły się wskutek ewolucyi.

Nie można też przypuścić, żeby pojęcia jednobożne przedostały się do Turów od ludu, który wyznawał jednobożność, albowiem, jeśli nie jest wykluczonem, że jedno jakie lub drugie plemię Turajskie, stykało się kiedykolwiek z takim ludem, to reszta tych plemion, rozrzucona na wielkich przestrzeniach północnego pasa, nie mogła przemieszkiwać w blizkiem z nim sąsiedztwie.

---

il n'entend pas même la prière du chamane et ne se laisse diriger que par les lois immuables de la justice ou par une destinée fatale. Ostiak sait qu'il ne doit point lui porter d'offrandes".

„Szamani u Samojedów są pośrednikami duchów Tadibcejów, którym Num powierzył ludzi i sprawy ziemskie". Иславинъ, Самоѣды, стр. 109. »Шаманство«, стр. 98.

Jedno tylko pozostaje przypuszczenie, a stąd takowe uznać należy za pewnik, że pojęcia jednobożne ludów Turajskich są pozostałą okruszyną z pierwszego Objawienia.

Pojęcia jednobożne przechowały się wśród ludów Turajskich jako wspomnienie dawniejszego stanu ich pojęć religijnych; podania ich zaznaczają to wyraźnie i utrzymują jednozgodnie, że Najwyższa Istota porzuciła ich i z tego powodu do niej się dziś nie uciekają w swych troskach i potrzebach. Odstępstwo było, lecz po czyjej stronie?

Odstępstwo od Boga zaznaczone jest w Piśmie św. w pierwszych zaraz latach ludzkości. Kain był pierwszym odstępcą, w jego ślady wstąpili jego potomkowie [1], a prawdopodobnie i następcy innych synów Adama, z wyjątkiem Seta, którego potomków nazywa Biblia „dziećmi bożemi". Nie Bóg odstąpił od od tych ludów, lecz oni przez swą złość i swe zbrodnie oddalili się od Boga. Rzecz tę wyjaśnia św. Paweł: Poznawszy Boga, nie jako Boga chwalili, ani dziękowali, ale znikczemnieli w myślach swoich i zaćmione jest bezrozumne serce ich [2]. Do czego doprowadziło to odstępstwo, wykazuje wielki Apostoł w dalszym ciągu swego listu: I odmienili chwałę nieskazitelnego Boga w podobieństwo obrazu człowieka śmiertelnego i ptaków i czworonożnych i płazu. Taka była rzeczywista przyczyna odstępstwa pierwszych ludów i takie następstwa, do jakich one doszły wskutek „zaślepienia serca". Turowie byli jednym z tych ludów,

Ludy Turajskie odstąpiły od Boga, zatraciły, z wyjątkiem mglistego podania o Najwyższej Istocie , prawdy religijne, przekazane pierwszem Objawieniem, nie zatraciły jednak całkowicie pojęć religijnych, nie były bezwyznaniowe. Czuły, instynktem niejako, często widziały dostrzegalnie, swą zależność od potęg pozaziemskich; uznawały, że od woli tych potęg zależy pomyśl-

---

[1] „Cainitarum genus insolens, lascivum, impium". P. de Hummelauer S. J., *Com. in Genesim*, p. 184.

[2] *List do Rzymian*, 1, 21.

ność ich na tej ziemi. Wierzyły, że te potęgi można skłonić modlitwami i ofiarami do udzielenia pomocy, do zabezpieczenia się od złych przygód. Nie zdawali sobie sprawy z zależności tych potęg od Istoty Najwyższej, ani też z ich wzajemnego, względem siebie stosunku, przyznawali im moc i czcili jako bożków. Dalej, ludy Turajskie uznawały, że życie nie kończy się ze śmiercia; wierzyły w życie pozagrobowe, w nieśmiertelność duszy.

Te pojęcia były i są wspólne z pojęciami ludów, należących do rasy czarnej i żółtej, lecz Turowie wyrobili sobie nadto pojęcie i kult, które stanowią dla nich cechę charakterystyczną.

Ludy Turajskie uznają, że dusze ich przodków nietylko żyją, lecz nadto obdarzone są wielką potęgą, której używają na dobrą lub złą dolę swych potomków; stąd, trzeba się bronić od wpływów szkodliwych duchów złych, a zaskarbiać względy duchów dobrych i na tem polega właśnie kult przodków. Potęgi oderwane, mniej uchwytne istot nadziemskich zostały zastąpione potęgami dusz zmarłych, dusze zmarłych zostały bożkami i cały kult ograniczył się do kultu przodków.

Kult przodków, jak to widzieliśmy poprzednio, znany był wśród innych ras, lecz nie był objawem charakterystycznym i sporadycznie tylko wśród nich występuje. I tak, wśród rasy czarnej, niektóre tylko pokolenia i to nieliczne, oddają cześć zmarłym przodkom; wśród rasy żółtej, mianowicie zaś wśród Chińczyków, kult ten zaprowadzony był przez dynastyą Czeu, nieznany był zatem pierwotnie, a i dzisiaj sekta tylko „piśmiennych“ pilnie go przestrzega, a w Taoizmie zostały jego ślady. Ślady kultu przodków spostrzegać się jeszcze dają wśród rasy białej, przeważnie wśród ludów chamickich, a w części i aryjskich, mianowicie w Chaldei, Egipcie i Indyach, lecz, jak to zobaczymy, ślady te dowodzą, że ludy Turajskie, jeżeli nie były pramieszkańcami tych krajów, to przynajmniej zamieszkiwały je przed wtargnięciem tamże szczepów rasy białej.

Na czem polegał kult przodków?

Każda rodzina starała się przedewszystkiem o stosowne pogrzebanie swego zmarłego członka. W tym celu przystrajano

zmarłego w najpiękniejsze szaty, składano wraz z nim do grobu jego broń, różne sprzęty i ozdoby, których używał za życia, nadto umieszczano tam potrawy, napitki i pieniądze. Na grobie wznoszono mogiłę, często wielkich rozmiarów, stawiano na niej słupy kamienne, nierzadko rzeźbione, zasadzano na niej drzewa. Kurhany te, charakteryzują kraje, jak to widzieliśmy, w których przebywały lub przebywają ludy Turajskie.

Około mogiły, kilka razy do roku, zbierała się rodzina, zanoszono modły do zmarłego, składano często ofiary krwawe z bydląt, zresztą obchód kończył się zwyczajnie stypą. Obchody te ściśle przestrzegane były wśród ludów fińskich [1], ałtajskich i mongolskich, i zachowują się wiernie po dziś dzień. Mamy na to liczne świadectwa.

P. Michajłowskij przytacza w swem dziele wiele szczegółów odnoszących się do kultu przodków u ludów sybirskich.

Ludy Mordwy, jakkolwiek oddawna przyjęły prawosławie, jednakże nie pozbyły się swych dawniejszych pojęć religijnych i od czasu do czasu praktykują obrzędy pogańskie. Cześć oddawana przodkom pozostała w całej pełni [2].

W pierwszych dniach października odbywa się u tych ludów

---

[1] „Ein ausgeprägter Zug der finnischen Religion ist der Glaube an die Unsterblichkeit und die damit zusammenhängende Todtenverehrung. Die Finnen hegen die feste Ueberzeugung, dass der Tod das Dasein des persönlichen Lebens nicht vernichtet, sondern dass jedes Individuum als solches auch noch jenseits des Grabes fortbesteht. Ja, man ist sogar überzeugt, dass der Mensch nach dem Tode mit einem neuen, und wenn auch feinern, doch wirklichen Leibe versehen werde. Daher legt man in und auf das Grab Nahrung, Kleidung, Aexte, Messer, Feuerzeuge, Kessel, Schlitten, Speere und überhaupt Gegenstände, deren der Verstorbene sich im Leben bedient hatte. Im Geheul des Windes, im Rascheln des Laubes, im Knistern des Feuers wittert man die Nähe und das Wirken der Abgeschiedenen". P. C. Pesch, *Op. cit.*, p. 7.

„La religion des Finlandais, analogue a celle des Lapons et des Samoyèdes, semble avoir été une sorte de fétichisme, mêlé de pratiques pareilles à celle des chamanes de la Mongolie. Toutes les annales russes nous présentent les pays des Tchoud ou Finnois comme la patrie des mages (volkhvi)". Reclus, *Géogr. univ.*, vol. v, p. 338.

[2] »Въ вѣрованіяхъ Мордвы выдающееся мѣсто занимаетъ культъ покойниковъ«. »Шаманство», стр. 114.

obrzęd zwany *moljan*. Mieszkańcy wsi zbierają się około „świętego dębu", rozścielają w okrąg białe obrusy i na nich umieszczają naczynia mieszczące różne jadła i napitki, które z sobą przynieśli. Kilku starców, w białych opończach, obchodzi po kilkakroć święte drzewo, przyczem gromkim głosem wołają: „Białe nogi, Keremed', po lesie chodźcie, Keremed', po polu chodźcie, Keremed', my ciebie czcimy, a ty nas broń". Podczas tego obchodu przytomni biją pokłony przed drzewem. Następnie zakopują pod drzewem nieco z przyniesionych potraw, lub je rzucają do dziupła, a wreszcie zasiadają i ucztują.

Kałmucy ałtajscy, nawet ci, którzy pozornie wyznają chrześcijanizm i Wogułowie zbierają się w swych górach i borach i tam odbywają swe obrzędy, które przez kolonistów rosyjskich zwane są *Szejtanka*.

Kirgizi są po większej części mahometanami, przechowali jednakże swoje dawne obrzędy. Starannie grzebią swych zmarłych, wznoszą na ich grobach mogiły i piramidy, zbierają się często u stóp kurhanów, modlą się do swych zmarłych, składają im ofiary, zostawiają na ich grobach ubranie, potrawy i pieniądze [1].

Samojedzi, jakkolwiek przyjęli chrześcijaństwo, zachowali dawny zwyczaj grzebania swych zmarłych. T. G. Jackson, który długi czas przebywał wśród Samojedów, podaje w swem dziele [2] bardzo liczne szczegóły odnoszące się do obyczajów i zwyczajów tego ludu. Wraz ze zmarłym składają do trumny narzędzia i sprzęty, których używał za życia, a wreszcie zabijają na ofiarę renifera [3].

W końcu roku zeszłego (1895) rozpatrywana była przez Senat petersburgski skarga zaniesiona na Wotiaków z gubernii

---

[1] Nöschel, *Beiträge zur Kenntniss des Russischen Reiches*, vol. XVIII.

[2] *The Great Frozen Land*. London 1895.

[3] „With the body a lasso, cup, spoon, axe, knife, and even a gun, or at any rate a bow and arrows are deposited; but if the corpse is that of a woman these weapons are not deposited — needles, deer sinews for thread, and a scraper for preparing hides being substituted... Finally, the deer which draw the sledge on which the corpse was placed are themselves slain, but the Samoyeds will not eat of the flesh". A. Montefiore, *The Journ. of the Anthrop. Inst.*, vol. XXIV, p. 406.

wiatckiej, iż składali ofiary ludzkie na cześć swych bożków. Obwinionych tą razą uwolniono z powodu nadużyć, które się zdarzyły podczas przeprowadzania śledztwa, a między innemi z tego powodu, że kazano składać przysięgę świadkom na „Niedźwiedzia". Tak tedy sprawozdania urzędowe, podane przez dzienniki rosyjskie, potwierdzają w zupełności badania podróżników i etnologów.

Duch zmarłego był dla żyjących członków rodziny nietylko świętem wspomnieniem, ale czemś więcej: przypisywano mu moc nadprzyrodzoną, której mógł używać w celu niesienia pomocy swym potomkom, duch zmarłego stał się bożkiem. Niedość na tem. Mogiła, nagrobek i drzewa tam rosnące nietylko przypominały zmarłego, lecz według mniemań tego ludu, opartych na urojonem p r z e c h o d z e n i u d u s z [1], z nim się identyfikowały, duch zmarłego wcielał się w te przedmioty [2], a stąd też sama mogiła, kamienie na niej stojące i rosnące na niej drzewa były bożkami, i jako takim cześć im oddawano. Oto mamy genezę bałwochwalstwa.

Pod wpływem kultu przodków ludy Turajskie doszły również do z o o l a t r y i.

Każda rodzina miała swych zmarłych, a więc swych własnych bożków, lecz jako należąca do klanu, miała jeszcze innych, wspólnych dla całego plemienia.

Grób założyciela klanu, a również groby mężów, którzy byli wodzami lub wielkimi wojownikami były otoczone czcią przez wszystkich; duchy tych przodków były bożkami dla całego plemienia. Dusza patryarchy klanu wcielała się w mogiłę, w kamienie nagrobkowe i drzewa, lecz nadto wcielała się w swój totem. I tak dusza patryarchy, który miał przydomek „Nie-

---

[1] P r z e c h o d z e n i e d u s z, które, jak wiadomo, w starych historycznych czasach, wywarło wielki wpływ na przeobrażenie religij w Indyach, Egipcie i Grecyi, według wielkiego prawdopodobieństwa, było wytworem pojęć ludów Turajskich — pomówimy o tem niżej.

[2] »Что касается переселенія душъ, то у многихъ дикарей встрѣчаются преданія о пребываніи ихъ въ тѣлахъ животныхъ, людей и даже въ различныхъ предметахъ». Міхайловскій, *Op. cit.*, p. 19,

dźwiedź", wcielała się w samo zwierzę tegoż nazwiska, i stąd niedźwiedź był czczony, uważany za bożka przez wszystkich członków klanu, którzy go mieli w swym totemie. Klan, który w swym totemie miał inne jakie zwierzę, temuż zwierzęciu cześć oddawał.

Mówiąc o totemizmie zaznaczyliśmy, że ludy sybirskie okazują niektórym zwierzętom niezwykłe uszanowanie. Kamczadały nazwy wilka i niedźwiedzia uważają za tak święte, że nigdy ich nie śmią wymienić. Ostjacy utrzymują, że niedźwiedź nie jest zwierzęciem, lecz istotą nadprzyrodzoną, posiadającą nadzwyczajną mądrość i siłę. Wogułowie nie zabijają nigdy węża, dlatego, jak mówią, że „czasami w niego wchodzi bóg" [1]. Etnolodzy podają mnóstwo w tym przedmiocie szczegółów, które wskazują, że jakkolwiek kult zwierząt nie uwydatnia się w obecnej dobie wśród ludów sybirskich, wyjątek stanowią Chiljacy, którzy i dziś jeszcze odbywają nabożeństwa na cześć niedźwiedzia, wybitne jednak jego ślady tak w podaniach, jak i zwyczajach wskazują, iż niegdyś istniał w całej pełni. P. Michajłowskij, który starannie badał tę rzecz i w swem dziele zamieścił odnośne spostrzeżenie etnologów tak rosyjskich i obcych, pisze [2]: „Zoolatrya zajmuje jedno z najwybitniejszych miejsc w pojęciach religijnych szamanistów, tak, iż trudno jest orzec, które z dwóch głównych ich pojęć stoi na pierwszem miejscu, kult-li przodków, czy też kult zwierząt". Otóż wnioski wysnute z naszych badań rozwiązują tę wątpliwość: kult zwierząt powstał wskutek kultu przodków; ta geneza daje nam jedynie klucz rozwiązujący nierozwiązalną dotąd zagadkę powstania tak fetyszyzmu jak i zoolatryi.

I w istocie. Nie zgadza się z rozumem, że mogły były kiedykolwiek istnieć ludy, któreby każdy przedmiot żywotny lub nieżywotny uważały za istoty wyższe, duchowe, potężne, mające wpływ na dolę lub niedolę ludzką. Już tem samem, że tym ludom przypisuje się pojęcia wyższe, oderwane, duchowe, nie można im odmówić nader prostego sądu o naturze przedmiotów

---

[1] Гондатти, »Слѣды языческихъ вѣрованій у Маньзовъ».

[2] *Op. cit.*, str. 46.

pod zmysły podpadających. Zresztą, choćby nawet takie pojęcia nie wydawały się niemożebnemi dla ludów Turajskich, z powodu nizkiego stopnia ich oświaty, jak wytłumaczyć, że ludy Chaldei, Indyi, a pezedewszystkiem Egiptu, gdzie kult zwierząt najwybitniej występuje, a których cywilizacya stała tak wysoko, że te ludy oddawały cześć zwierzętom! Pozytywiści, którzy utrzymują zwierzęce pochodzenie człowieka, chętnie obniżają pojęcia „swoich“ pierwszych ludzi i nie okazują żadnego zdziwienia, że pierwotna ludzkość oddawała cześć zwierzętom; tego wymaga ewolucya. Jednakże ci panowie napotykają pewne trudności w wytłumaczeniu, dlaczego to a nie inne zwierze było przedmiotem czci danego ludu. Maspero pisze[1]: „Nie zawsze się rozumie, co mogło skłonić mieszkańców każdego kantonu do upodobania sobie tego a nie innego zwierzęcia“. Mówi „nie zawsze“, otóż gdyby chciał być szczerym, nie krępował swego sądu poglądami powziętemi *à priori*, powinien był powiedzieć „nigdy“. I rzeczywiście, rzekome przyczyny wyboru, jakie podaje w dalszym ciągu, dowodzą tylko, że można być biegłym znawcą starego języka egipskiego, a przytem być bardzo powierzchownym myślicielem i krytykiem. Powrócimy jeszcze, w swojem miejscu, do tego przedmiotu.

Duchy przodków, mocą nadprzyrodzoną, sprowadzają pomyślność na ziemię, a również wszystkie klęski i choroby; te, które sprowadzają pomyślność nazywane są „dobrymi“, inne zaś „złymi duchami“. Tak dobre jak i złe duchy można sobie zjednać stosownymi środkami, środki te jednak nie wszystkim są znane. Istnieją osobistości, udarowane z góry tajemniczą wiedzą i siłą, za ich tylko pomocą można osiągnąć skutek pożądany: tym osobistościom ludy Syberyi dają różne nazwy. Tunguzi, Burjaci i Jakutowie zowią ich „Szamanami“, Ałtajczycy „Kamami“, Samojedzi „Tadibejami“[2], u innych ludów noszą na-

[1] *Histoire ancienne des peuples de l'Orient classique*, p. 102.

[2] Nordenskjöld w *Expédition polaire suédoise* 1878, mówi, że Samojedzi wierzą w duchy *Tadepcio*, mianowicie w dobrego ducha *Num* i złego *Wesako*; jednym i drugim składają ofiary z reniferów. Kapłanów swych nazywają *Tadibejami*.

zwiska „Bo“, „Ojun“, „Utygan“; pisarze europejscy dają im ogólnie nazwę Szamanów, a praktyki ich, które są u wszystkich ludów sybirskich prawie jednakowymi, nazywają Szamanizmem.

Szaman jest lekarzem, wróżem i kapłanem. Jako lekarz uzdrawia chorych, jako wróż przepowiada rzeczy przyszłe lub odkrywa tajemnicze, wreszcie jako kapłan składa ofiary i zanosi modły do duchów dla zesłania błogosławieństw lub odwrócenia klęsk.

Praktyki Szamanów noszą na sobie cechę nadprzyrodzoną, magiczną. Szaman z bębnem w ręku skacze, śpiewa, wpada w szał; wówczas, jak utrzymuje, owładnięty jest duchem i dokonywa czynności, które przechodzą prawa natury. Dawniejsi podróżnicy Gmelin, Pallas, Castren i dzisiejsi etnologowie rosyjscy opowiadają, iż widzieli jak Szamani przebijali sobie brzuch nożem, połykali żarzące węgle lub kawały lodu, chodzili bosemi nogami po zarzewiu, pozwalali wykrawać brzytwą kawały ze swego ciała, nie okazując żadnej boleści, szorowali bosą nogą lemiesz rozpalony do białości i tym podobne inne sztuki. Burjaci opowiadali podróżnikom, że niektórzy Szamani obcinają sobie głowy, następnie tułowy ich tańczą trzymając głowę w ręku.

Skoro Szaman owładnięty zostanie duchem, wówczas opowiada o duchach, z którymi znajduje się obecnie w styczności, odpowiada na pytanie dotyczące zgubionych rzeczy, przepowiada rzeczy przyszłe.

Szaman nietylko jako kapłan i wróż występuje w charakterze nadnaturalnym, lecz również jako lekarz; nie używa lekarstw, ani żadnych środków naturalnych dla przywrócenia zdrowia choremu, posługuje się jedynie „zażegnywaniem“ i „zamawianiem“, które mają zmusić „ducha choroby“ do opuszczenia ciała pacyenta.

Niektóre ludy sybirskie rozróżniają „Szamanów białych“ od „Szamanów czarnych“; pierwsi mają mieć styczność z duchami dobrymi, drudzy ze złymi.

U ludów sybirskich urząd Szamana sprawują tak mężczyźni

jak i niewiasty; pisarze rosyjscy nazywają te ostatnie Szamankami; jednakże nie każdy może zostać Szamanem.

Urząd szamański w niektórych pokoleniach przechodzi dziedzicznie z ojca na syna, częściej jednak Szamanami zostają osobistości, które już w młodocianym wieku prowadzą tryb życia, wskazujący, iż są powołani do tego stanu. I tak, jeżeli jaki chłopiec okazuje znaki szaleństwa, ucieka do lasu, przebywa w gąszczach krzewów, rzuca się w ogień lub do wody, zadaje sobie rany ostrem narzędziem, traci często przytomność, pada na ziemię, bełkocze niewyraźne słowa, wówczas tuziemcy uznają, iż jest przeznaczony na Szamana. Chłopiec powierzony bywa pieczy starego Szamana, u którego zostaje lat kilka; po dostatecznej praktyce zostaje uroczyście ogłoszony Szamanem.

Obrzędy takiego mianowania są różne u różnych pokoleń; rosyjscy uczeni dają bardzo dokładne opisy tych obrzędów, wyjmujemy z nich niektóre szczegóły.

Wśród Jakutów stary Szaman przybiera kandydata w szaty szamańskie, daje mu w rękę bęben i pałkę. Następnie poucza głośno kandydata i zgromadzonych o różnych duchach, wymienia ich przybytki, wylicza klęski jakie sprowadzają i wskazuje środki, za pomocą których można przebłagać te duchy i odwrócić nieszczęście. W końcu zwraca się do kandydata i żąda od niego żeby zaparł się Boga i porzucił wszystko to, co dotąd uważał za drogie i święte, żeby całe życie poświęcił szatanowi, który w zamian zadośćuczyni wszystkim jego prośbom. Po złożeniu przyrzeczenia kandydat staje się Szamanem, i już jako taki zabija zwierzę, przeznaczone na ofiarę duchom, krwią jego kropi swe szaty a mięsem obdziela zebranych [1].

Ludy Sybirskie wierzą w moc nadnaturalną Szamanów, z tego powodu mają ich w wielkiem poważaniu za życia, a jeszcze więcej po śmierci. Ahapitow, Chanhałow [2] i Batarow [3] podają szczegółowe opisy pogrzebu zmarłych Szamanów, i czci jaką Buryaci otaczają groby przedniejszych Szamanów. Grób Szamana

[1] »Сибирскій Сборникъ», 1890 г. »Какъ и во что вѣруютъ Якуты». В. С-сій.

[2] »Шаманство у Бурятъ Иркутской губ.«

[3] »Вурятскія повѣрія о бохолдояхъ и Анахаяхъ».

jest miejscem świętem, złamanie gałązki na drzewach, które rosną na tych grobach, uważane jest za świętokradztwo; wokoło grobu spotkać można zawsze tłumy pobożnych, które z dalekich nawet stron przychodzą dla złożenia hołdu. Ten zwyczaj, uświęcony wiekami, wykazuje łączność szamanizmu z Buddhaizmem; Buddha był niezawodnie jednym z Szamanów. Ta łączność sprawdza się jeszcze tem, że „wiara żółta“, tj. Lamaizm, który jest dosyć powszechny u ludów sybirskich, istnieje swobodnie i rozwija się obok „wiary czarnej“, tj. Szamaizmu. Lamowie są po prostu „żółtymi“ Szamanami.

Nie tak dawno odkryto w Danii ciekawy grobowiec, który według zdania archeologów należał do Szamana, albo, jak mówią, do Lekarnika z okresu bronzowego [1]. Pod tym względem można ufać całkiem takiemu znakomitemu znawcy starożytności zwłaszcza skandynawskich, jakim jest Oskar Montelius. Ponieważ dolmeny szwedzkie mają zasadnicze podobieństwo do Moundów amerykańskich, jeżeliby dalsze odkrycia wykazały istnienie na półwyspie Skandynawskim podobnych grobów, wówczas mielibyśmy niezbity dowód łączności a nawet tożsamości obrzędów pogrzebowych, a co za tem idzie, i religijnych ludów sybirskich i amerykańskich.

Czy praktyki szamańskie są tylko szarlataneryą, stanowczo orzec nie można, wielu z poważnych pisarzy temu przeczy, sam nawet p. Michajłowskij nie godzi się na to skoro pisze: „Przy-

[1] „In einem Grabe nahe bei Kopenhagen fand man in einer Steinkiste von voller Manneslänge einen kleinen Haufen verbrannter menschlicher Knochen auf eine Tierhaut gelegt und mit einem Mantel von Wollenstoff bedeckt, daneben ein Bronzeschwert in seiner Scheide und eine kleine Bronzefibel. Unser grösstes Interesse erregt aber ein dabeiliegendes Lederbesteck, welches folgende Gegenstände enthielt: ein Stück einer Bernsteinperle, eine kleine Mittelmeerschnecke, einen Würfel aus Tannenholz, das hintere Ende einer Schlange, eine Vogelklaue, den Unterkiefer eines jungen Eichhorns, ein paar Steinchen, eine kleine Zange und zwei Messer aus Bronze sowie eine Lanzenspitze aus Feuerstein, alles ganz eingenäht in ein Stück Darm; auch die zwei Bronzemesser waren mit Leder umwickelt. Wir stimmen Montelius bei, wenn er in dem Bestatteten einen Arzt oder Zauberer, einen Medizinmann des Bronzealters erkennen zu dürfen glaubt“. Dr. J. Ranke, *Der Mensch.* II B., S. 602.

toczone przykłady pokazują, że nie można tylko jedynie oszukaństwu przypisywać ogromnego wpływu szamanizmu na ludy sybirskie [1].

Nie da się zaprzeczyć, że praktyki szamańskie są nader podobne do praktyk dzisiejszych spirytystów a również do magii starożytnej: przytoczymy tu jedno z uderzających podobieństw.

U Jakutów Szaman podczas swych obrzędów nuci pieśń, której niektóre strofy pochwycił pisarz rosyjski [2], oto dosłowny przekład. „Potężny byku ziemi! stepowy koniu! Ja byk potężny... ryczę. Zarżałem... koń stepowy. Ja, ponad wszystko, postanowiony człowiek. Ja, ponad wszystko, udarowany człowiek. Ja, człowiek, uczyniony panem najpotężniejszym wśród potężnych. Stepowy koniu zjaw się... Naucz mnie. Czarodziejski byku ziemi zjaw się. Przemów. Potężny panie... nakaż"... i t. d. Otóż, jeżeli sobie przypomniemy, że wśród piśmiennictwa akkadyjskiego znajduje się bajka „o koniu i byku" [3], dalej, że jedna z akkadyjskich tabliczek magicznych zawiera ustęp, który się zaczyna od słów: „O wielki byku, byku bardzo wielki..." [4], a wreszcie, że Kraosza z Awesty [5] jest przedstawicielem takiego symbolicznego byka, wówczas narzuca się myśl, że pomiędzy ludami akkadyjskiemi i Jakutami musiały istnieć niegdyś ściślejsze związki, jeżeli nie bliższe pokrewieństwo.

Przechodzimy obecnie do Ameryki.

Trudności, jakie natrafiliśmy w dochodzeniu religii ludów sybirskich spotykamy również u ludów amerykańskich, choć nieco odmiennej natury. Ludy amerykańskie nie były piśmienne, stąd też dla braku piśmiennych pomników nie posiadamy wierzytelnych źródeł, z których możnaby było wysnuć rzeczywiste poglądy religijne tych ludów. Na szczęście Europejczycy po od-

---

[1] *Op. cit.*, p. 97.

[2] Б. С-кій, «Сибирскій Сборникъ», 1890 r.

[3] *Źródła historyczne Wschodu*, str. 156. — Sayce, *The Chaldean account of Genesis*, p. 150 i nast.

[4] *The Cun. Inscript. of West. Asia*, vol. IV, p. 23.

[5] *Religie Aryów Wschodnich*, str. 97.

kryciu i przy zdobywaniu Ameryki mieli sposobność zetknięcia się z tubylcami, i jakkolwiek skąpe, lecz nader cenne, przekazali nam wspomnienia o religii tych ludów. Te wspomnienia są tem cenniejsze, że od owej epoki największa część ówczesnych ludów amerykańskich przestała istnieć, wyginęła lub przeobraziła się zupełnie, a stąd i stare ich pojęcia religijne zatracone zostały. W niektórych jednak miejscowościach przechowały się pierwotne pokolenia Indyan; dzisiejsi gorliwi badacze amerykańscy postarali się do nich dotrzeć i skrzętnie spisali ich pojęcia religijne, obrzędy i podania. Wreszcie, jednem ze źródeł historycznych, jakie nam pozostały po dawnych ludach amerykańskich, są ich pomniki budowlane, gęsto rozsiane grobowce i ślady dawnych świątyń; staranne badania archeologów amerykańskich uzupełniają nasze wiadomości o religii tych ludów i wyświeciły ciemniejsze jej strony. Wynika stąd, że źródła do religii Indyan w porównaniu do odpowiednich źródeł ludów sybirskich są bogatsze i dlatego obraz ich religijnych pojęć, jaki się da z nich odtworzyć, więcej zbliża się do rzeczywistości.

Wszystkie pokolenia amerykańskie uznawały Najwyższą Istotę, której, każde w swym języku, dawały odpowiednią nazwę: Oki, Otko, Wahkong... a najczęściej, w Północnej Ameryce, Manit albo Manitu [1]. Ten ostatni wyraz pochodzi od źródłosłowu, który znaczy „niepojęty", „zadziwiający", „wielki"; pisarze europejscy dali mu nazwę „Wielkiego Ducha".

Misyonarze hiszpańscy i portugalscy jakkolwiek nie starali się o gruntowne zbadanie religii plemion amerykańskich, przekazali nam jednak niektóre zdarzenia i szczegóły, które charakteryzują religię ówczesnych pokoleń. W r. 1622 misyonarz Wimsław wykładał zasady religii chrześcijańskiej jednemu z pokoleń w Nowej-Anglii, nauczał mianowicie, że jest jeden Bóg, Stwórca wszechrzeczy, Pan, który nagradza lub karze; że dusza jest nieśmiertelna i na drugim świecie będzie szczęśliwą lub nieszczęśliwą, według tego, jak sobie zasłuży tu na ziemi. Kacyk Massasoit, który był obecny i słuchał uważnie wykładu, po-

[1] Brinton, *The Myths of the new World*, p. 45.

wiedział do misyonarza: „My to wszystko wiemy, tak wierzymy i prosimy Wielkiego Ducha, abyśmy po śmierci byli szczęśliwi".

Świadectwa dawniejszych misyonarzy i kronikarzy zbierali skrzętnie nowocześni historycy i na mocy tych świadectw Prescott utrzymuje, że starzy Meksykanie i Peruwianie wyznawali jednobożność. „Meksykański historyk, pisze on [1], Ixtlilxohitl na podstawie starych świadectw utrzymuje, że wielki król Tezkuków, Netzahuelcoyotzin, wyznawał jednego Boga — P r z y c z y n ę - p r z y c z y n". W temże samem dziele przytacza zdanie Sahagun'a, który utrzymuje, że starzy Meksykanie mieli wzniosłe pojęcie o Najwyższej Istocie, a jako dowód przywodzi, że niewiasta z rodu Azteków, upominając swą córkę, ażeby cnotliwie postępowała, rzekła: „Bóg widzi wszelkie przestępstwo, nawet w skrytości popełnione" [2]. Tenże sam historyk o dawnych ludach podległych berłu Inkasów pisze: „Peruwianie, podobnie jak wiele innych ludów amerykańskich, uznawali Najwyższą Istotę, Stwórcę i Rządcę wszechświata; oddawali mu cześć i dawali mu nazwę P a c z a k a m a k i W i r a k o c z a" [3].

O plemionach amerykańskich, które stały na nizkim stopniu oświaty mało mamy wiadomości dawniejszych pisarzy, dzisiejsi dopiero badacze przynieśli nam spory ich zasób.

Catlin, pisarz wiarogodny i znający doskonale Indyan, większą bowiem część życia wśród nich przepędził, pisze [4]: „Wszystkie pokolenia Indyan mają religię, a nawet we czci Wielkiego Ducha wznoszą się do uniewierzenia tak wysoko, że umartwiają się i upokarzają się przed nim dla tych samych powodów i w tej samej nadziei co i my... Wszystkie szczepy, te przynajmniej które poznałem, wierzą w istnienie dobrego i złego ducha; wierzą w życie przyszłe a zarazem, że na tamtym świecie będą musieli zdać rachunek z tego życia, tak z dobrych jak i ze złych uczynków".

---

[1] Prescott, *Conqu. of Mexico,* vol. I, p. 195.

[2] Prescott, *Conquest of Mexico,* vol. III, p. 424.

[3] Prescott, *The hist. of the Conqu. of Peru,* vol. I. p. 60.

[4] *Illustrations of the Manners and Customs and Conditions of the North American Indians,* vol. I, p. 156.

Uczony antropolog francuski Quatrefager pisze [1]:

„Wielki Duch Czerwonoskórych, *Miszabu* Algonkinów, *Agreskue* Irokezów, jest ojcem wszystkiego, co istnieje. Jemu tylko oddają rzeczywisty kult, puszczając kłęby dymu ze świętego kalumetu ku czterem stronom świata i ku zenitowi. Jest on stwórcą wszystkiego, co istnieje. Albo sam, albo przez swych posłańców czuwa nad swemi dziećmi i kieruje sprawami tego świata. Z tego powodu Czerwono-skóry do niego przedewszystkiem ucieka się z prośbami lub zanosi dziękczynienia. Na dowód mógłbym przytoczyć wiele świadectw, ograniczę się jednak na wyjątku z hymnu narodowego Lenapów, który podaje Ksakatre Heckewelder:

Jakże ja jestem nędzny — idę walczyć z nieprzyjacielem — a nie wiem czy wrócę — czy będę mógł cieszyć się uściskiem mych dzieci i mojej żony,

Nędzną jestem istotą — która nie może rozporządzać swojem życiem — która niema władzy nad swem ciałem — a która stara się jednak spełniać swój obowiązek — dla szczęścia swego ludu.

Ty o Wielki-Duchu z wysoka — ulituj się nad memi dziećmi — i nad moją żoną — nie dozwól im strapień z mojego powodu — spraw żeby się spełniły moje zamiary — ażebym mógł zabić mego nieprzyjaciela — żebym wrócił ze zdobyczami.

Udziel mi siły i odwagi w walce z nieprzyjacielem — dozwól żebym wrócił i oglądał moje dzieci — oglądał moją żonę i mych krewnych — zlituj się nademną i zachowaj mi życie — obiecuję ci złożenie ofiary".

Według de Mofras'a mieszkańcy Kalifornii wierzą w jednego Boga. Ten Bóg, pisze on [2], nie miał ani ojca, ani matki. Początek jego był całkiem nieznany; wierzą, że jest wszechobecny, że widzi wszystko, nawet wśród najciemniejszej nocy że jest niewidzialny dla oka ludzkiego, że jest przyjacielem dobrych, a złych karze".

Antropolodzy Waiz-Gerland [3], Perty [4] i inni zaznaczają po-

---

[1] *L'espèce humaine,* p. 362.

[2] Świadectwo tego pisarza przytacza de Quatrefages w swem dziele, p. 354. Wreszcie w dalszym ciągu pisze: „Tout autant que n'importe quel peuple, et bien plus que les Arabes untérieurs à Mahomet, les Algonquins et les Mingwés méritent d'être regardés comme monothéistes". *Op. cit.,* p. 363.

[3] *Anthropologie der Naturvölker,* vol. III, p. 188.

[4] *Anthropologie,* vol. II, p. 133.

dobne monoteistyczne pojęcia i u innych plemion amerykańskich, a nadto stwierdzają, że te pojęcia nie przedostały się do Indyan od Europejczyków[1]. Sam nawet Tylor[2] przyznaje, że północni Amerykanie uznają Najwyższą Istotę, wierzą, że stworzyła ten świat i nim rządzi.

Jeżeli do wniosku antropologów o monoteizmie Indyan dodamy, że pierwsi misyonarze, dla oznaczenia Boga chrześcijańskiego, przyjęli wyraz Manitu, wówczas przypuszczenie, że dawni Indyanie uznawali jednę Najwyższą Istotę, nabiera zupełnej pewności.

Wiara w jedną Istotę Najwyższą pozostała tylko w podaniach u Indyan; od czasów niepamiętnych zaprzestali oddawania Jej czci i uciekania się do Niej w swych potrzebach; nie zostali jednak bezwyznaniowymi.

Indyanie odstąpili od Boga, nie przeczą jednak Jego istnienia, utrzymują tylko, że Najwyższa Istota nie zajmuje się światem, powierzyła tę czynność innym potęgom, i do tych potęg plemiona indyjskie uciekają się w swych potrzebach, do nich zanoszą modły i im ofiary składają.

Dixon o religii Indyan pisze[3]: „Las, w którym mieszka, równina, gdzie poluje, rzeka, po której pływa, wszystko to dla niego pełne jest miriadów duchów. Na każdym kroku styka się

---

[1] „Denselben Glauben an einen höchsten Gott im Himmel, den Schöpfer aller Dinge, fand man in Virginien. Von den Sioux erzählt Charlevoix, dass sie zur Zeit ihrer ersten Bekanntschaft mit den Europäern im Besitze einer deutlichen Erkenntniss von einem höchsten Gotte gewesen seien. Dieser Gottesbegriff kann also nicht aus der Berührung mit den Christen hergeleitet werden. Er war auch älter als die mythischen Entstellungen, weil er das einzige, allen Stämmen gemeinsame religiöse Element ist. Er muss daher aus einer Zeit stammen, in welcher die Väter der jetzigen Geschlechter noch ein Volk waren und sich zu einem Glauben bekannten". P. C. Pesch S. J., *Der Gottesbegriff,* II H., S. 105.

[2] „Among the native tribes of North America, a Great Spirit, who is, as it were, the soul of the universe, which he created and still controls, supreme over even such mighty nature-gods as the sun and moon". *Anthrop.,* p. 364.

[3] W tłum. niem. przez Oberländer'a: *Neu-Amerika,* S. 49, 52.

on niejako z samą duszą rzeczy, do jego ucha przemawia natura z każdego listka, z każdego głazu... Są tam duchy skał, drzew, chmur, rzek i mrozu, duchy wiatru, słońca i gwiazd. Żaden grecki poeta nie zaludniał nigdy Hymetu, Arkadyi, Oriona i Niedźwiedzicy taką nieskończoną ilością postaci i nie otaczał ich takim blaskiem jak Cheyenczyk, Pawneeczyk i Wężowiec swoje doliny i góry, swoje potoki i lasy, swe jeziora i niebiosa". Takie przedstawienie religii Indyan wystarczyć może dla poetów, etnolodzy wymagają jednak ściślejszych wiadomości.

Indyanie oddają cześć i wzywają pomocy wielkiej ilości duchów, które, według ich mniemania, przebywają w różnych przedmiotach widzialnych. Słońce i ciała niebieskie, zwierzęta i wszystkie istoty żyjące, góry, doliny, rzeki, lasy, kamienie są przybytkiem duchów, którym powierzony jest los ludzki. Jednakże należy tu zauważyć, że nie każdy przedmiot dla każdego Indyanina jest duchem: każda rodzina ma swoich duchów; każdy klan ma też swych własnych. Duchy jednego klanu nie mają nic wspólnego z duchami innego klanu; symbole, przedstawiające duchów klanu, są czczone przez wszystkich członków tego klanu, dla członków innego klanu nie mają one żadnego znaczenia nadnaturalnego. Inkasi czcili słońce, lecz inne ludy, należące do ich państwa, miały swoich bożków, które się przechowywały osobno w świątyni, jak stwierdza Prescott. Rzecz się ma tak samo ze starymi Meksykanami i innemi pokoleniami amerykańskiemi. Indyanie oddają cześć zwierzętom, lecz każde plemię ma swoje własne zwierzę, w którem ma przebywać bóstwo. Cushing pisze [1], że plemię Cynja przechowało w pamięci następujące zwierzęta, którym oddawano niegdyś cześć: na północy, w okolicach góry Żółtej była „puma", na zachodzie, w górach Sinych „niedźwiedź", „borsuk" był czczony na Pięknej górze, na Białej górze „biały wilk" był czczony, a wreszcie „orzeł" na Czarnej górze. Według Powell'a plemiona z nad Kolorado oddawały cześć: królikowi, wilkowi, niedźwiedziowi, żurawowi, wę-

[1] *Zuni Fetiches.*

żowi, sroce, kolibrowi i kaczce, lecz każde plemię jednemu z nich. Rzecz się ma podobnie i z innemi symbolami. W Ameryce Północnej, Far West, Indyanie oddają cześć drzewom [1]. Peschel pisze: „Drzewa i gaje były uznawane za bóstwa lub przynajmniej ich siedzibę... według Tylor'a, święty cyprys w Meksyku odbiera cześć; nad zachodnim Kolorado, według Möllhausen'a, dąb, a przy ujściu górnego jeziora jesion, przed którym czerwonoskórzy Indyanie swe ofiary składają, tak, jak to czynią w Pampas niedaleko Patagones (Carmen) przed samotnem drzewem *wallitszu*" [2]. Każde pokolenie ma swoje własne drzewo, któremu cześć oddaje.

Otóż ta cześć zwierząt, drzew i innych przedmiotów byłaby dla nas niezrozumiałą, nie byłoby zrozumiałem, a jak przyznają sami racyonaliści, nie jest zrozumiałem, dlaczego jakieś pokolenie oddawało cześć temu mianowicie zwierzęciu lub drzewu a nie innemu, gdyby sami Indyanie nie wyprowadzili nas z kłopotu, zapewniając, że zwierzę, któremu cześć oddają, jest ich P a t r y a r c h ą. Antropolodzy stwierdzili tę rzecz u wielu plemion.

Powell w dziele swojem [3] pisze o kulcie zwierząt wśród plemion amerykańskich i zaznacza, że Indyanie dlatego oddają cześć zwierzętom, ponieważ według podań, przodkowie ich wywodzili ród swój od tych zwierząt. Meksykanie utrzymywali, że ludzie są potomkami „Węża" i niewiasty, którą nazwali *Cihua-Cohualt*, tj. „niewiasta wężowa" [4]. Squier stwierdza, że niektóre pokolenia Indyan amerykańskich, mianowicie Natczezowie, Linni-Linapi, Huroni, Menominowie uznają węża za swego patryarchę, jego rzeźbione wyobrażenia umieszczają na

---

[1] Tylor, *Primitive culture*, vol. II, p. 223.

[2] Wisłocki, *Nauka o ludach*, str. 246.

[3] *Philosophy of the North American Indians.*

[4] „The goddes-mother of primitive man is called Cihua-Cohualt, which signifies woman of the serpent. According to this legend, which agrees with that of other American tribes, a serpent must have been the father of the human race". C. Staniland Wake, *Serpent Worship*, p. 26.

swych ołtarzach i odają im cześć [1]. Wielu innych pisarzy mówi to samo [2].

Wobec tego twierdzenia Indyan cały tak zwany animizm i zoolatria redukuje się do kultu przodków.

Wszyscy niemal pisarze, którzy się zajmowali badaniem ludów amerykańskich, przyznają, że ludy te wierzyły w nieśmiertelność duszy, a nadto przyznawały wielki wpływ duchom swych przodków na sprawy tego świata. Reclus pisze: „Pamięć przodków w ścisłym stoi związku z pojęciami religijnemi Indyan... dusze zmarłych stawały się dobrymi lub złymi duchami, pośrednikami lub szatanami, często stawały się totemami klanów“ [3]. Starzy Peruwianie wierzyli w nieśmiertelność duszy i zmartwychwstanie ciał, jak świadczy Prescott [4]. Brazylijskie plemiona utrzymują, że Tamoi, ich Przodek, pierwszy człowiek, przebywał z niemi, nauczył ich uprawy roli, potem wstąpił do nieba, gdzie przyjmuje ich dusze po śmierci [5]. Mandanowie wierzą w nie-

---

[1] „*Charlevoix* states that the Natchez had the figure of a rattlesnake, carved from wood, placed among other objects upon the altar of their temple, to which they paid great honour. *Heckwelder* relates that the Linni Linape called the rattlesnake ‚grandfather', and would on no account allow it to be destroyed. *Hemy* states that the Indians around Lake Huron had a similar superstition, and also designated the rattelsnake as their ‚grandfather'. He also mentions instances in which offerings of tobacco were made to it, and its parental care solicited for the party performing the sacrifice. *Carver* also mentions an instance of similar regard on the part of a Menominee Indian, who carried a rattlsnake constantly with him, ‚treating is as a deity, and colling it his great father'. E. G. Squier, *The Serpent Symbol in America.*

[2] „Für rohe Naturmenschen lag es nahe, von derartigen Vorstellungen zur Verehrung der Thiere überzugehen, wobei man sich mehr oder weniger bewusst blieb, dass man nicht eigentlich das Thier als solches verehre, sondern nur insofern es von dem Geiste bewohnt war, oder wenigstens zu demselben in näherer Beziehung stand. Auch die Geister der Verstorbenen konnten in Thiergestalten erscheinen“. P. Pesch, *Op. cit.,* II H., S. 109.

[3] *Nouv. Géogr. Univ.,* vol. XVI, p. 53.

[4] „They admitted the existence of the soul hereafter, and connected with this a belief in the resurrection of the body“. *Conqu. of Peru,* vol. I, p. 59.

[5] Tylor, *Anthrop.,* p. 358.

śmiertelność duszy. Jeden z Czoktanów odpowiadając na zadane sobie pytanie rzekł: „Cały nasz lud wierzy, że duch żyje w życiu przyszłem“ [1]. Tylor pisze: „Mieszkaniec z nad Ni-Karaguy pytany przez Hiszpanów o religii, odpowiedział, iż wszyscy jego ziomkowie wierzą, że kiedy człowiek lub niewiasta umiera, wówczas z ust ich wychodzi duch, który nie umiera“ [2].

Staranne grzebanie umarłych było znamieniem wiary w nieśmiertelność duszy i zmartwychwstanie ciał, a zarazem wymowną oznaką czci przodków.

Mówiliśmy poprzednio o słynnych kurhanach amerykańskich, te budowle przekonywują, że Indyanie chcieli okazać niezwykłą cześć swym zmarłym przodkom.

Archeolodzy, którzy badali starożytności amerykańskie, podziwiają olbrzymie rozmiary tych pomników. We wspaniale wydanem dziele, jakie się niedawno ukazało [3], niemieccy uczeni Stübel i Uhle podali podobizny i opisy pomników *Tiahuanaco,* które się znajdują w Boliwii, na południowych brzegach jeziora Titikaka. Bryły skał, które wchodzą w skład tych pomników, ważą 100 i 150 ton [4]. Wiele to lat i wielu to ludzi musiało pracować około wzniesienia tych pomników, zwłaszcza, jeśli weźmiemy pod rozwagę, jak ograniczone były wówczas środki mechaniczne, któremi ci ludzie mogli rozporządzać, a nadto, że skały te potrzeba było sprowadzać po bezdrożach z odległości kilkunastu i kilkudziesięciu kilometrów!

Te pomniki dowodzą nam czegoś więcej. Jeden z menhirów Tiahuanaco, na wzgórzach Ak-Kapana, uważany przez znawców za arcydzieło przedhistorycznej sztuki amerykańskiej [5], jest monolitem, waży 12 ton, pokryty jest rzeźbami przedstawiającemi

---

[1] Catlin, *Manners, customs and condition of the North American Indians,* vol. I, p. 152, vol. II, p. 127.

[2] *Op. cit.,* p. 344.

[3] *Die Ruinenstätte von Tiahuanaco im Hochlande des alten Peru.* Breslau, 1893.

[4] Jeden ton waży tysiąc kilo.

[5] „Seine Bedeutung überragt... alles was bis jetzt in Peru aufgefunden worden ist. Es zählt zu den merkwürdigsten und interessantesten Resten des vorcolumbischen Amerika“. *Op. cit.,* S. 20.

symbole bożka Wirakocza, czczonego przez Ajmarów, a zarazem jest wejściem do grobu. Indyanie zatem jednoczyli cześć bożków ze czcią swych zmarłych [1]. Wszystkie inne pomniki amerykańskie, którym archeolodzy dają różne nazwy: *Kairn, tumulus, galgal, mound, barrow, kromlech* miały to samo przeznaczenie.

Zawartości, jakie znajdowano w tych grobach, wskazują również tę samą myśl przewodnią. Wraz ze zmarłym chowano do grobu różne narzędzia, sprzęty, broń, kosztowności, często wielkie skarby i potrawy. Archeolodzy stwierdzają, że ten zwyczaj był powszechny w Ameryce [2]. Przy pogrzebie składano ofiary zwykle ze zwierząt, czasami nawet z ludzi. Ten zwyczaj istniał w Meksyku i Peru [3]; żony Atahuallpa, ostatniego Inkasa, pragnęły być pogrzebionemi wraz ze straconym księciem, swym małżonkiem. Dorsey, Martius, Levis i Clarke, oprócz innych, stwierdzają ten zwyczaj u różnych pokoleń amerykańskich.

Otóż, te praktyki pogrzebowe, jak sam Tylor mówi [4]: „nie pochodzą tylko z poczucia przywiązania rodzinnego do zmarłej

---

[1] Levis w *Journ. Anthrop. Inst.* (1891), utrzymuje, że pomniki amerykańskie były właściwie świątyniami, grób zaś miał znaczenie drugorzędne. Keane odpowiada mu w swej *Ethnology,* p. 137: „But a survey of the whole field of neolithic architecture would seem to show that this is reversing the actual sequence, and that burial connected with the first glimmerings of the religious sentiment, veneration (fear) of the dead, was the true starting point".

[2] Aleuci w Alasce grzebali niegdyś staranuie swych zmarłych. Pinart znalazł w grotach obok kościotrupa resztki różnych narzędzi, naczyń glinianych i kamieni rzeźbionych. *La Caverne d'Aknank.* To samo mówi Martius w *Beitr. zur Ethnogr.,* vol. I, p. 590, o Manaosach z półn. Ameryki: Dorsey, w *Teton Folk-Lore,* vol. II, p. 144, o Tetonach; Levis and Clarke w *Hist. of an Exped. to the sources of the Missisipi* o innych plemionach amerykańskich. Tylor w *Anthrop.,* p. 346 pisze: „The ghostly funeral gifts with which the Ojibwas imagine the souls of the dead laden on their journey to the spirit-land, the men carrying their shadowy guns and pipes, the women their baskets and paddles, the little boys their toy bows and arrows".

[3] „They buried with the deceased noble some of his apparel, his ustensils. and, frequently, his treasures; and completed the gloomy ceremony by sacrificing his wives and favourite domestics, to bear him company and do him service in the happy regions beyond the clouds". Prescott, *Conqu. of Peru,* vol. I, p. 59.

[4] *Op. cit.,* p. 351

osoby, lecz duch zmarłego uważany jest jako istota boska, wszechwładnie rozporządzająca złem i dobrem... dlatego północni Indyanie modlą się do swych przodków o pogodę i pomyślność w polowaniu". I oto mamy kult przodków.

Indyanie wierzyli, że dusza po wyjściu z ciała staje się potężnym duchem, który wywiera wpływ swój na sprawy tego świata, może przynieść pomyślność lub spowodować klęski; wierzyli również, że tego ducha można sobie zjednać modlitwami i ofiarami.

Duch zmarłego, według mniemania Indyan, może się wcielić w różne przedmioty [1].

Najpierwszym przybytkiem takiego ducha był jego grób; z tego powodu grób zmarłego bywa zwiedzany często przez rodzinę, modlą się tam i składają dary. Nietylko sama mogiła jest miejscem świętem, ale również wszystko co się na niej znajduje, kamienie grobowe i drzewa; tym przedmiotom oddają cześć, w te bowiem przedmioty wcielił się duch zmarłego. „Jakkolwiek, pisze Tylor [2], nowoczesny Anglik dziwi się, że może się znaleść istota ludzka, najniżej nawet stojąca pod względem wykształcenia, która upada na kolana i czci kupę kamieni, co więcej, przemawia do nich i przynosi im potrawy, jeżeli weźmiemy na uwagę, że w te kamienie wcielony jest duch zmarłego, wówczas ten kult wydaje się racyonalnym".

Etnologowie stwierdzają [3], że Indyanie oddawali cześć zwierzętom, mianowicie każde plemię czciło zwierzę, które miało w swym totemie. Rzecz ta nie ulega wątpliwości, stwierdzona jest przez takie powagi jak Lubbock, Spencer, Tylor, Mac Lennan, wreszcie, oto co pisze uczony Amerykanin, Col. Garrick

---

[1] „The bodiless souls or ghosts of the dead may enter into new bodies and live again on earth". Tylor, *Anthr.*, p. 350.

[2] *Op. cit.*, p. 361.

[3] „Iroquois, Hurons et Algonquins ont encore leurs fêtes nationales, leurs chants et leurs jeux; chacun garde précieusement son totem, — ou mieux son otem, — la représentation symbolique de l'objet symbolique, animal ou plante, par lequel il se trouve rattaché à ses frères de race ou de clan". E. Reclus, *Nouv. Géogr. Univ.*, vol. XV, p. 482.

Mallery[1]: „Zwierzę, albo roślina, albo czasami jakie ciało niebieskie było, z początku mitologicznie, a w końcu socyologicznie związane z wszystkimi członkami, należącymi do jednego szczepu, którzy wierzą, a przynajmniej niegdyś wierzyli, że ten przedmiot jest ich tytularnym bożkiem, ponieważ nosi ich nazwę. Każdy klan przyjął za znamię czyli objektywny totem przedstawiciela swego tytułowego ducha, którego nosił nazwę. Ponieważ największa część plemion indyjskich wyznawała zoolatryą, przedmiotem ich nabożeństwa było ogólnie zwierzę, jak np. orzeł, pantera, bawół, wąż albo ryba, czasami wiatry, ciała niebieskie i inne wrażliwsze przedmioty lub objawy". Otóż cały ten ustęp stwierdza tylko zoolatryą i jej związek z totemizmem, lecz nie wyjaśnia jej genezy, a nawet zaciemnia całą sprawę.

Nie jest rzeczą możebną, żeby, ni stąd ni z owąd, bez żadnych powodów, jakieś zwierzę zostało uznane przez cały klan za bożka, a w następstwie dopiero zostało jego totemem. Rzecz się ma całkiem inaczej.

Według mniemania Indyan duch zmarłego wciela się w różne przedmioty, wciela się w zwierzęta[2]. W jakie mianowicie zwierzę wciela się duch zmarłego? Otóż, jeżeli weźmiemy na uwagę, że, według zapatrywań Indyan, każdy klan pochodzi od przodka, którego ma w swym totemie[3], wówczas duch tego przodka wciela się w to zwierzę, które jest przedstawicielem totemu. A ponieważ należy oddawać cześć przodkom, stąd Indyanie oddawali cześć zwierzęciu swego totemu, nie jako zwierzęciu *ut sic*, lecz jako temu, w które wcielona jest dusza przodka. Taka jest jedynie możebna geneza zoolatryi.

Zoolatrya, jakkolwiek stwierdzona u Indyan, nie objawiała się u nich w takim stopniu jak gdzieindziej, mianowicie jak

---

[1] *Picture-writing of the American Indians,* w *Tenth Annual Report of the Bureau of Ethnology,* Washington 1893, p. 388.

[2] „It may enter into a bear or jackal, or fly away in a bird, or it may pass into one of those harmless snakes"... Tylor, *Anthrop.*, p. 350.

[3] „Chaque tribu avait un respect special pour l'animal qui lui servait d'otem et dont elle se disait la fille". Reclus, *Nouv. Géogr. Univ.,* vol. XIII, p. 53.

w Egipcie. O. Charlevoix wspomina, że Hiszpanie zabili byli ogromnych rozmiarów węża, którego znaleźli w świątyni a któremu tuziemcy cześć oddawali, lecz o podobnych zdarzeniach inni kronikarze zachowują milczenie, choć co prawda, nie dają nam również dostatecznych wiadomości o całym kulcie Indyan ówczesnych. Wyjątek pod tym względem stanowi kult starych Peruwian i Meksykanów; jednakże ponieważ ten kult wraz z pojęciami religijnemi przedostał się tamże prawdopodobnie z Fenicyi, stąd nie może nam dać wyobrażenia o właściwym kulcie amerykańskich ludów Turajskich. Po zetknięciu z cywilizacyą europejską największa część pokoleń indyjskich zaprzestała swych dawnych praktyk religijnych; obecnie nader nieliczne tylko plemiona zachowały swoje prastare zwyczaje. Nowocześni podróżnicy a zwłaszcza misyonarze zapoznali nas z tymi obrzędami.

Wogóle Indyanin jest bardzo religijnym. „Czerwono-skóry, pisze O. Pesch [1], jest w swoim rodzaju bardzo gorliwym i punktualnym w wykonywaniu swych obowiązków religijnych. Wszystkie jego czynności są uświęcone przez modlitwy; różne obrzędy, posty, czuwania i cielesne umartwienie przestrzegane są z wielką sumiennością".

Kult Indyan jest bardzo prosty. Członkowie rodziny lub klanu zbierają się razem zwyczajnie na mogile przodka, modlą się, składają ofiary i w niektórych miejscowościach wykonywają rytualne tańce. Starszy rodziny lub klanu przewodniczy na zebraniu, czasami główna rola powierzona jest tak zwanemu Lekarnikowi, *Medicine-man*. Lekarnik nie jest kapłanem, w właściwem znaczeniu, lecz czarnoksiężnikiem, wróżem, a szczególniej, jak sama nazwa wskazuje, lekarzem.

Lekarnik ma styczność z duchami, które się mu objawiają i często w niego wstępują: podczas swych praktyk obrzędowych wpada w stan nadzwyczajny, rzuca się na ziemię, wije się konwulsyjnie, wówczas odpowiada na pytania sobie zadawane, wróży, przepisuje lekarstwa. Szczegóły, jakie podają podróżnicy a przede-

[1] *Op. cit.*, p. 112.

wszystkiem misyonarze O. Petitot i bisk. Faraud [1] o praktykach lekarników są, z małemi zmianami, takie same, jakie wykonywają Szamani w Syberyi. To podobieństwo jest takie, że Peschel pisze [2]: „Co powiedziano o Szamanach sybirskich stosuje się tak dokładnie do t. zw. lekarników *(Mediciman)* czerwonoskórych Indyan w północnej Ameryce, że ta zgodność poczytaną jest nawet za jeden z dowodów, przemawiających za zaludnieniem nowego świata przez ludy z północnej Azyi pochodzące".

Podobieństwo znamion psychologicznych ludów pasa północnego Azyi i Ameryki podniesioną była na posiedzeniu Londyńskiego Towarzystwa Antropologicznego z d. 5 stycznia 1895 r. przez A. Montefiore, który w swym odczycie daje nie dwuznacznie do zrozumienia, że te ludy są blizko pokrewne [3].

Znamiona religijne i w ogóle psychologiczne ludów, które nazywamy Turejskimi, przemawiają za jednością szczepową, a jeżeli sobie przypomnimy, że ich znamiona cielesne wskazują również na tę jedność, wówczas wolno zawnioskować jednolitość szczepową tych ludów.

Pozostaje pytanie, do jakiej właściwie rasy zaliczyć ten szczep. Odpowiedź na to pytanie jest dosyć trudna, ze względu mianowicie na tę okoliczność, że niema żadnej naukowej pewności, na jakie rasy dzieli się nasza ludzkość. Każdy niemal antropolog, wychodząc z zasad, które stawia *à priori,* dzieli ludzkość na inne rasy. Jeżeli, idąc za najbardziej utartem mnie-

---

[1] Ob. Waitz-Gerland, *Anthrop. der Naturvölker,* vol. III, p. 310; P. Pesch, *Op. cit.,* II H., S. 102 i inne; Listy misyonarzy w *Rocznikach rozkrz. wiary* i w *Miss. Kat.*

[2] *Nauka o ludach,* tłum. Wisłockiego, str. 259.

[3] „Particularly would I emphasise the close connection existing between the habits and practices of the Samoyedes and those of the Eskimo of Northern America... The general similarity which obtains among all the races living within the Arctic areas of both the Old World and the New must forcibly impress every student; and a field of inquiry of great fertility would be opened up by endeavouring to present a comparative study of all these races, and determining if possible what may be due to racial connection, what to geographical environment, and what, perhaps, to coincidence". *The Journ. of the Anthrop. Ins.,* vol. XXIV, p. 407.

maniem, przyjmiemy trzy rasy: białą, żółtą i czarną, wówczas ludy Turajskie zaliczyć należy do rasy mieszanej biało-żółtej; wszyscy niemal antropolodzy utrzymują, że ludy pasa północnego do tejże rasy mieszanej należą.

Dr. Hamy w ostatniej swej pracy[1] mówi, że Samojedzi tworzą przejście między Mongołami i Lapończykami; inne ludy sybirskie zapełniają przedział miedzy Lapończykami i Finami, a również między Finami i Słowianami. Etnolog angielski Keane stwierdza, że zmieszanie się rasy białej z żółtą nastąpiło w czasach n a d e r o d l e g ł y c h[2]; świadectwa, które przytacza, choćby nie było innych, są przekonywającymi dowodami istnienia szczepu, któremu dajemy nazwę Turajskiego; świadectwa te tem są pewniejsze, że nie były na rękę etnologowi angielskiemu, osłabiają one, a nawet obracają w niwecz jego klasyfikacyę ras.

Rzeczą jest prawdopodobną, że pierwszy zawiązek tego szczepu powstał w krajach Uralo-Altajskich, tam właśnie, gdzie kronikarze erańscy wskazują posiadłości potomków Tura. W miarę rozrostu ludności oddzielały się poszczególne plemiona od wspólnego pnia, szły na Wschód i na Zachód; pierwsze stykały się z rasą żółtą i przez wzajemne połączenia przyswajały sobie wybitniejsze znamiona tejże rasy; drugie przez zetknięcie się z rasą białą, zbliżały się do niej w cielesnych znamionach — dowodem tego są Mongołowie i Finowie. Co się tyczy Ameryki, jeśli wezmiemy na uwagę, że, z jednej strony, ogół antropologów, z wy-

---

[1] *Les Races Jaunes* w *Anthropologie,* Mai-Jain, 1895, p. 249.

[2] „It may be confidently said that the explanation of these ethnical puzzles will be found in the frank recognition of Mongolic and Caucasic elements interpenetrating each other at various points of their respective territories from the earlest times... The Turki type, originally Mongolic, had at an early period been profoundly modified in many places, and especially in the north by contact with peoples of Caucasic race, whence the frequent mention of ‚red hair', ‚green eyes', and ‚white complexion' in the early Chinese records... The Mongolo-Tatar populations are everywhere found from remote prehistoric times interpenetrated by primitive Caucasic peoples, and it is to the interminglings of these two elements that must be attribued the Caucasic charakters noticed in all ages among the Finno-Tatars"... *Ethnology,* Cambridge, 1896, pp. 299, 305, 308.

jątkiem nielicznych już poligenistów, uznaje, że Nowy Świat osiedlony został przez ludy, pochodzące z Europy i Azyi; z drugiej zaś strony, że znamiona cielesne, a szczególniej psychologiczne Indyan podobne są do odnośnych znamion ludów północnego pasa Europy i Azyi, wówczas zawnioskować należy, że jedność szczepowa tych ludów ma za sobę wszelkie oznaki prawdopodobieństwa.

Ks. W. Zaborski.

DWIE PRZEDSTAWICIELKI DAWNYCH DYNASTYJ.

Zarys historyczny.

(Ciąg dalszy).

W chwili rozpoczęcia piątego miesiąca goszczenia króla za granicą, Barbara powiła d. 1 lipca (1515 r.) córeczkę. Goniec wnet o tem zdarzeniu powiózł wiadomość do Zygmunta, który ją we dwie doby odebrał w Preszburgu, gdzie ciągle jeszcze wyczekiwał na zjazd z cesarzem, odebrał z próżno tajonym smutkiem. Drugie już w ciągu trzech lat pożycia z Barbarą przychodziło na świat dziecię; lecz i tym razem nie był to syn: pragnienie gorące następcy nie ziściło się.

Nie podobna wstrzymać się od przytoczenia kilku myśli Zygmunta, posłanych chorej żonie, po odebraniu wiadomości, iż szczęśliwie córkę powiła, której później dano imię Anna. Dawszy wyraz swej radości, z powodu owych urodzin, nie wahał się on tak wyrażać: ...„wcale nie mniejszą Nam to radość sprawia, niż gdyby się był syn narodził, któryby miał państwem naszem i posiadłościami szeroko władać... Usilnie prosimy W. Kr. M. na wzajemną miłość naszą, aby najmniejszej podejrzliwości nie przypuszczała względem tego, aby nie miała pozostać zawsze najmilszą dla nas, pomimo tego, że wydała na świat córeczkę... Tak dalece żadnego to nam nie sprawiło zmartwienia, że już złożyliśmy Opatrzności za ten dar najpowinniejsze dzięki". Nie mamy śladu jak wielką łez obfitość wylała Barbara, czytając powyższe słowa uspokojenia rzekomego, gdzie jednak wychyla się cień

wyraźnego żalu, ale łatwo domyśleć się możemy, iż list tu wskazany był kroplą przepełniającą jej obawy.

Łzy zapewne obfite polały się. Gorycz źle ukrytej wymówki męża wstrząsnęła słabą i schorowaną istotą. Sześć tygodni, które jeszcze upłynąć miały do chwili powrotu męża, upłynęły Barbarze wśród choroby, której nie mogły stawić czoła siły wątłe, organizm zachwiany niedawnem cierpieniem i ciągłą zgryzotą. Król, w drugiej połowie sierpnia wróciwszy z długiej swej podróży, zastał ją schorowaną, znękaną, bardziej może moralnie niż fizycznie, zastał w łóżku.

Przypisywano stan zły zdrowia Barbary „mokrościom lata", które namnożyło w istocie chorób podówczas w stolicy; sądzono, że usuną się wkrótce większe niedomagania: katastrofy nikt nie przewidywał. Powrót króla działał w sposób ożywczy; znękana moralnie kobieta zwracała się ku swym ukochaniom, ku mężowi, ku kolebkom dzieci, jak kwiat ku słońcu — i z ich oblicza czerpała siły bytu dalszego. Sił w istocie nieco wracało; Barbara wstała z łóżka, nadzieja zupełnego wyzdrowienia zdawała się najzupełniej usprawiedliwioną; stroskane czoło Zygmunta pogodą świecić zaczęło... Próżne wszakże były złudzenia... Dwudziestoletnie to życie, niby kwiat ścięty podmuchem groźnego wiatru, zniknęło nagle...

Dnia 1 października cieszono się jeszcze pewnem polepszeniem, lecz atak jakiś niespodziany — zapewne z choroby serca pochodzący, lubo owocześni nazywają go „nowym atakiem apopleksyi" — uderzył niby grom w mury Wawelu i serca mieszkańców stolicy... Wyczerpanie działalności serca, które tak wiele i tak po chrześcijańsku bliższych i dalszych kochało, a maluczkim, zapomnianym niosło pociechę, otuchę w dniach prób — wywołało nazajutrz ciężkie konanie. W dniu poniedziałkowym, 2 października 1515 r., Barbara — ostatnia królowa ze szczepu Piastowskiego — zgasła...

Zgon niespodziany młodej kobiety, powołanej, jak się zdawało, do życia długiego i szczęścia, pani wysoce poważanej, ze względu na jej domowe cnoty i szczerze ukochanej w stolicy, gdzie przypatrzeć się zdołano jej chrześcijańskiemu miłosierdziu

i cichym praktykom religijnym — wywołał żal powszechny. Po raz ostatni troska króla i narodu zlewały się w jedno nieszczęście ogólne, zroszone wspólnemi łzami.

Wspólności żalu i łez króla i narodu później u nas już się nie spotyka; węzły dynastyczne, mogące się przyczynić do ściślejszego zespolenia węzłów państwowych, rozluźniają się z czasem coraz więcej — wreszcie znikają.

Mnóstwo pozostało śladów, jak trudno było rozstać się ówczesnemu społeczeństwu z tą młodą panią zamku wawelskiego, zaledwie półczwarta roku świecącą z wyżyn tronu krajowi swą cnotą podniosłą... Wielcy i mali, bliżsi i dalsi, współcześni i mało co późniejsi składali się po jednej nucie, składali się akordami pojedyńczemi na hymn żałoby, pieśń głębokiego, bo szczerego żalu — pieśń ta całunem się stała sarkofagu Barbary.

Niemało świadectw współczesnych, nieurzędowych, nie dla kogoś lub dla czegoś pisanych, ale niejako prywatnych, bez myśli uwiecznienia w świat rzuconych, poufnych zwierzeń, w chwili wrażenia pierwszego skreślonych, w żalu tym wielkim, o wartości zmarłej poważne dowody składają.

Krzycki był świadkiem zgonu, nie z przypadku, ale znać z pewną myślą przesiadywał w komnacie, gdzie się mocowało to życie młodociane ze śmiercią: nie chciał widocznie stracić ani jednej chwili z minut gaśnięcia. Posyła po Tomickiego, podkanclerzego, gdy się wysnuwały pasma ostatnie ze starganej nici życia... radząc mu, by nie opuszczał zamku z powodu „niepewności godziny". Tomicki nie nadszedł. Krzycki nie naglił, bo mu pierś żalem wezbrała, nie był zdolny o niczem myśleć, kreśli kartkę do Tomickiego, już po wybiciu dla królowej ostatniej godziny prosząc, by ktoś w zajęciu zastąpił, boleść go bowiem obezwładnia: „ja zaprawdę nie jestem dziś przy zmysłach, niepewny jestem sam siebie"... — dodaje znękany pani swej zgonem sekretarz i poeta dworski, kto wie jakiego rodzaju uczucia piastujący dla zmarłej; zdaje się coś więcej niż cześć... Myśl o tym zgonie zajmuje go wciąż, daje jego szczegóły wnet po katastrofie. „Królowa J. M. inaczej skonała niż bywało podczas zwykłych paroksyzmów, które ją wczoraj jeszcze często napadały, tak iż

nie spostrzegliśmy się o Jej skonaniu, aż wyzionęła ducha; co bardzo prędko się stało, gdym ją sam pogrążony w boleści, na ręku trzymał... Nie wiem jak z listami mam zrobić, gdyż głowa boli mnie srodze"...

Poważny, milczący król, tak mocny fizycznie jak niewielu wówczas, bolu, moralnej katuszy, łacno znieść nie zdołał... Łzami oblewał śmiertelne łoże Barbary, i takiemiż łzami odpowiadał później jeszcze długo na każde o niej wspomnienie... Z trumną Barbary szczęście domowe Zygmunta znika na zawsze... We dwa lata po jej zgonie ukazuje się na zamkowych pokojach Wawelu nowa małżonka, Bona, Włoszka, niemałej piękności, młoda i dość wykształcona kobieta, którą wpływy Rakuzkie narzucają Zygmuntowi na małżonkę, a on od dziewosłębów niemieckich nie odpędza się energicznie, gdyż wciąż pragnie syna, następcy, któremu berło ziem obszernych mógłby oddać u schyłku swych dni... Myśl ta w Zygmuncie stała się górującą: ból w połączeniu ze wspomnieniem Barbary tłumi w swej piersi, daje ucho Rakuzkim dziewosłębom i nowe zakłada gniazdo rodzinne. Kwestye stanu nie uczucie je uwiło... Dziwna tragiczność losów, tragiczność powtarzająca się dosłownie niemal w życiu syna. Tragiczność pierwsza burzy domowe szczęście króla — druga głębiej sięga... podkopuje przyszłość państwa.

Zygmunt pomimo swych drugich ślubów pamięć pierwszej żony do ostatnich życia chwil zachował. Złożył on jej zwłoki w podziemiach kaplicy Wniebowzięcia N. P. Maryi, w katedrze krakowskiej (wzniesionej przez Kazimierza W. w r. 1340), i to miejsce stało się odtąd dla niego aż do zgonu najulubieńszym przybytkiem modlitwy i rozmyślań. Kaplica przylegała do wejścia głównego na pokoje zamkowe, była budową niekształtną[1]; król, pogrzebawszy w niej ukochaną żonę, postanowił ten grobowy przybytek przebudować, aby odpowiadał godnie wymaganiom sztuki ówczesnej i dotykalnie świadczył o jego nigdy niegasnącej pamięci o Barbarze. Przybycie Bony i gody ślubne nie wstrzymały go od urzeczywistnienia tej myśli. Zburzono przeto do

[1] Kronika Wapowskiego (wyd. Akad. Um. w Krak.), str. 138.

gruntu dawną kaplicę Wniebowzięcia, zwłoki Barbary Zapolyi chwilowo zostały usunięte, i, na miejscu Piastowskiej świątyńki mniej kształtnej, stanęła nowa kaplica w stylu odrodzenia, znacznym kosztem króla a artystyczną dłonią włoskiego budowniczego, Bartolo Berecci, wzniesiona. Tam, po jej ukończeniu, znowu do podziemi złożono zwłoki Barbary i Zygmunt sam zapragnął mieć w owej kaplicy swą pośmiertną siedzibę [1]. W ten więc sposób powstała najcelniejsza z kaplic katedry na Wawelu — owo arcydzieło doby odrodzenia — kaplicą „Zygmuntowską“ pospolicie zwana. Szczodrobliwość Zygmunta, później jego córki Anny — przedłużającej tradycye Jagiellońskie, wiele łożyła na artystyczne wykończenie, ozdobienie wewnętrzne i zewnętrzne „Zygmuntowskiej“ kaplicy... Duch cnót wielkich, ulatując w nadziemskie przestworza, natchnął bolejącego małżonka, iż wzniół nad mogiłą owego anioła świetne dzieło sztuki do dziś podziw znawców budzące.

Milczący Zygmunt w umyśle swym tylko łączył owo monumentalne dzieło sztuki ze wspomnieniem o Barbarze Zapolyi. Imię Barbary ani nawet wizerunek jej patronki nie przypomina w tym wspaniałym przybytku, że zgaśnięcie jej przedwczesne wywołało pomnik najwytworniejszego smaku doby odrodzenia... Najmniejszy napis, wyłącznie jej pamięci poświęcony, nie pomnożył kamiennych kart dziejowych Wawelu... Dlaczego wszakże tak się stało, rzecz trudna do określenia.. Jedna to bezwątpienia z zagadek charakteru Zygmunta, który w swem usposobieniu i czynach posiada dość sprzeczności; może, wreszcie, ów „ojciec pokoju“, jak go nazywali ci, co jedynie na sprawy jego publiczne patrzyli, pragnął pokoju przedewszystkiem u ogniska domowego, gdzie długie lata, bo aż do zgonu sędziwego króla, o zbyt drażliwym charakterze, Bona królowała. Prawdopodobnie niechęć manifestowania przed zbyt drażliwą Boną dawnego a trwałego uczucia spowodowały Zygmunta, iż, wzniosłszy nad grobem ukochanej Barbary monumentalny przybytek modlitwy, w myśli swej

[1] Wapowski owo złożenie zwłok Barbary opisuje jako obrzęd wielkiego przepychu.

tylko połączył ów pomnik ze wspomnieniem o swem chwilowem, tak nagle znikłem szczęściu, ale nie wyrył tam imienia tej, która mu na zawsze w pamięci pozostała...

Zygmunt nie był jedynym, upamiętniającym krótki pobyt na ziemi Barbary. Czynili to inni, bardziej obojętni życia jej świadkowie, świadcząc swem słowem, iż duch to jeden z przedniejszych.

Jedni, jak Wapowski, nazywają ją istotą „wierną Chrystusowi, miłującą kraj", na którego tronie zasiadała; Bielski, poświęcając przedłuższy ustęp jej charakterystyce, dodaje, iż „umarła z wielkim żalem królewskim i wszech ludzi"... Decyusz mieni świętą, a Krzycki poświęca jej pamięci niejeden utwór swej muzy... i tak do cieniów zmarłej przemawia:

Gdy lecisz w lepsze światy od naszej półkuli,
Gorzko naszemu światu wspomnieć twe zasługi
Płacze ciebie ubóstwo, któż mu płacz utuli?

Czas, lecząc wiele, a zatracając jeszcze więcej, utulił „płacz ubóstwa", zatracił w swych falach wierny wizerunek tej postaci, która cicha, smutna, pokorna, miłująca, przemknęła szybko, niby cień, przez stopnie tronu swych praojców i zniknęła w otchłani zapomnienia.

Nie zapominał o niej tylko ten, który ongi, wśród jej smutnych przeczuć, mówił: „nie tak słabą jest podstawa wzajemnej naszej miłości, aby ją jakabądź odległość osłabić mogła". Modli się on dziesiątki lat u jej grobowca, tam szuka spokoju, od którego łódź jego życia ciągle odbiega, tam czerpie pociechę, moc na dni długiego bojowania, i gdy wreszcie starość głęboka nadchodzi, a więc „odległość" ich dzieląca znika, śmierć go nawiedza w 82 roku życia, na grobowcu Barbary[1]... Oto są szczegóły tego zgonu: „Pierwszego dnia Wielkiejnocy (1548 r.),

[1] Zygmunt I., przebudowując z gruntu na grobie Barbary dawną Piastowską kaplicę na przybytek okazały, w stylu odrodzenia, pragnął mieć grób pod jej sklepieniem. Wyraźnie o tem pisze w liście do Jana Bonara (*Acta Tomiciana*, t. IV, str. 198). Czytamy tam: „...nie radzibyśmy powstrzymywać się od wydatków na to mieszkanie, w którem wiecznie przebywać mamy"...

Zygmunt podług zwyczaju swego był przytomny nabożeństwu — pisze cudzoziemiec, opierający się na naszych źródłach — potem przed grobowcem, który sobie w kościele, blizko grobu św. Stanisława, w Krakowie, wystawić kazał, klęcząc modlił się dłużej nad godzinę, ażeby umysł starością zmordowany, nadzieją pewnego zmartwychwstania pokrzepił. I gdy słowa Joba: „Wiem, że Zbawiciel mój żyje"...[1] z wielkim umysłu natężeniem wymówił, apopleksyą ruszony upadł, i wkrótce w pokoju swoim skonał" [2]...

Od owej chwili, pamiętnej w dziejach, od owego kwietniowego dnia, 1548 r., już nikt u nas o Barbarze Zapolya wspomnienia w swej myśli nie pielęgnował; nie przechowywała go i historya. Losy innej Barbary — Radziwiłłówny — żony Zygmunta Augusta, postaci o obliczu duchowem mniej sympatycznem, zajmowały historyków i poetów... o Barbarze Zapolya, o ostatniej przedstawicielce prastarego Piastów rodu na naszym tronie głuche milczenie... Legendy nie otoczyły jej mogiły, nie uczyniły z niej postaci popularnej; cnoty jej ciche, niewieście, domowe, nie potrzebują szaty legend poetycznych by świecić blaskiem prawdziwym wśród przestworzy wieków i zdarzeń dziejowych...

II.

Anna Wazówna, królewna szwedzka.

Losy naszych królewien, prawie wszystkich, snuły szarą nić złej doli... Względy wyższej polityki, kombinacye statystów, rozrządzały ich przyszłością, wpływały na ustalenie losów, co wszakże ustaleniem pomyślnem pospolicie nie było.

Wśród doli najczęściej bardzo smutnej dni ich upływały. Wychodziły za mąż za maluczkich władców niemieckich, którzy ani obyczajem, ani ukształceniem, ani mieniem i sposobem życia, nie przypominali naszym królewnom ich ziemi rodzinnej, obyczaju, wśród którego wzrosły, część życia strawiły... Pojęcia różnowiercze, wcześnie w Niemczech kiełkujące, nieraz im życie

---

[1] Księga Joba XIX, 25, 26.

[2] Samuel Lauterbach, *Polnische Chronicke,* drukow. 1727, str. 285.

zatruwały... Zresztą, drobne książątka niemieckie żądne były grosza, liczyły na posagi swych żon, a gdy takowych posagów odebranie połączone było z trudnościami, wytwarzały się dla naszych królewien stosunki domowe nader przykre. Tem przykrzejsze, iż obyczaj książątek niemieckich szorstki był a moralność wątpliwa...

Księżniczka nie opatrzona należycie stosownem wianem, nie posiadając przytem zapisu, oprawy od małżonka, jeśli za życia męża nie doczekała się zupełnego wypłacenia wiana, a dzieci miała nieletnie, wówczas, w razie zgonu męża, los jej stawał się pożałowania godnym, powrót do ojczyzny mógłby się mienić koniecznością. A tego rodzaju powrót uważano za rzecz dziwnie upokarzającą, sromotną nawet. I zaiste, pozycya królewnej, a owdowiałej księżnej, opuścić zniewolonej dom, rodzinę, stosunki urosłe z latami w przybranej ojczyźnie, zmuszonej wracać do rodzinnej ziemi w sposób przymusowy, miało w sobie dużo przykrego i upokarzającego.

W pozycyi rzeczonej omal nie stanęła w XV. stuleciu, córka jednego z potężniejszych Jagiellonów, Kazimierza Jagiellończyka, królewna Zofia, zaślubiona Brandenburczykowi, który, należąc do linii młodszej w rodzinie swej, posiadał dwa niewielkiej doniosłości margrabstwa: Anspach i Bayreit. Wypłacenie posagu Zofii długie wlekło się lata. Stroskana, zbiedzona, a może i od męża słuchająca wymówek w tej kwestyi, nader poważnej dla maluczkiego pana na Anspachu, Zofia, po zgonie ojca, udaje się do brata, Aleksandra Jagiellończyka, panującego wówczas, i prosi go o przyspieszenie wypłaty posagu. List w interesie pisany, odbija całą pozycyę tej królewnej, smutnej, troską znać przygniecionej, acz jeszcze dość młodej, lecz już matki licznego potomstwa, o losie dziatwy i własnym ze drżeniem myślącej. Dziatwy Bóg Zofii nie poskąpił: miała w ciągu życia siedemnaścioro potomstwa... a opatrzenie nieobfite w zasoby...

Pozycya Zofii, chociaż materyalnie nie nader świetna — wiele pań ówczesnych polskich, znacznie ją w zamożności prześcigało — pod moralnym względem ostatecznie złą nie była... O ileż gorszym los jej siostry starszej, Jadwigi, księżnej Ba-

warskiej... Lecz i Zofia nieskończenie smutna, gdy z rzewną tęsknicą, z troską wielką o przyszłość dzieci przemawia do brata Aleksandra... W szesnastym roku zamężcia swego jeszcze nie piastowała ona całej gromadki — siedmnaściorga — swych dzieci, ale już ich dziewięcioro powiła, i zaledwie przekroczywszy trzydziesty rok życia, składa dowody rozumienia dobrego interesów i praktycznego wpatrywania się w przyszłość swą. Jakże rzewne wrażenie wywrzeć musi na każdego dar ubożuchny, dołączony do owego listu. Zofia ofiarowuje bratu, władcy potężnego państwa, „koszulę", uszytą własną pracą w chwilach wolnych od piastowania dziewięciorga dzieci, jeszcze wówczas niedorosłych.

„Waszej braterskiej M. — pisze ona — uprzejmie wdzięczną jestem za przysłany podarek, który chcę mieć i zatrzymać na pamiątkę W. M.... Ja też przysyłam W. M. koszulę, którą własną ręką uszyłam, a którą W. M. chciej nosić przez wzgląd na mnie"... [1]

Pewna trzeźwość poglądów cechuje wszystkie nasze Jagiellonki, a przytem wielka miłość rodzinna górowała u każdej z nich w dziedzinie ducha. Trzeźwość poglądów, kto wie czy nie w spuściźnie krwi germańskiej otrzymały po Elżbiecie, żonie Kazimierza Jagiellończyka, która była matką siedmiu i babką siedmiu Jagiellonek, licząc tylko wnuczki po synach... bo wnuczki po córkach już na niemieckiej glebie zrodzone, odpadły od pnia Jagiellońskiego. Z wnuczętami po synach inaczej się stało, te wiernemi prastarej tradycyi rodzinnej pozostały, i one jedynie naszemi Jagiellonkami mienić się mogą. Doszedłszy do lat, a trzy zaledwie w niemowlęctwie zmarły, każda z nich odznaczała się wielką ducha mocą, jasnem zrozumieniem obowiązków, pewnego rodzaju realizmem w życiu, co nie tłumiło wszakże w ich piersi uczuć miłości rodzinnej wysoko rozwiniętej, niekiedy nawet wybujałej. Posiadały to z tchnienia ziemi ojczystej...

Wrodzona niejako trzeźwość poglądów na życie i jego sprawy, co dzieliły z większością kobiet średniowiecznych, tarczą dla nich się stała od zbytniego pochylania się pod brze-

[1] List rzeczony umieszczony w „Jagiellonkach", t. I, str. 275.

mieniem smutnego istnienia. Umiejąc patrzeć na otaczające okoliczności trzeźwo, rozważnie, wśród ich labiryntu kierowały się roztropnie, trwały mężnie przy zasadach, broniły swych duchowych ideałów, nic nie uroniły z tego, co z pod rodzicowej wyniosły pieczy.

Wytrwałość, stateczne bronienie godnego obrony, mężny odpór pokusom — przymioty to tej ziemi co kolebką Jagiełłową była; stały się one przymiotami wnuczek i prawnuczek rozrodzonego rodu Jagiełłowego. Smutną, wielekroć zaś ciężką była dola królewien, jak to wyżej zaznaczyliśmy. Moc ducha, każdej z nich nieobca, sprawiała, iż żadna nie wyrzeka, a wszystkie w spełnianiu obowiązków rodzinnych znajdują pociechę, siłę do przedłużania twardego nieraz istnienia.

Pomimo tęsknicy, żadna z tych co na obczyznę przeniosła się wskutek zamążpójścia, nie wraca pod niebo własne. Groby ich wśród Niemiec i wogóle po obczyźnie rozsiane, na szerokich przestrzeniach, groby samotne, zupomniane przez te rody, których prababkami one były. Wędrowiec jeno lub badacz przeszłości zabłądzi przypadkiem do ustronnych dziś miast niemieckich, do świątyń obecnie drugorzędnych, gdzie smętnie dumają Jagiellońskie ptaki na ich sierocych mogiłach. Ptak o skrzydłach podniesionych, jakby się ku odlotowi miał, jedyne to przewodniki dla badaczy i turystów; po symbolicznych znakach rodu odnajdują dziś mogiły córek i wnuczek panów na Wawelu.

Mogiły owych niewiast spotykamy w mieście Meissen (w Misnii), w Heilsbronn (blizko Anspach), w Burghausen (obok Passawy) — generacya to dawniejsza, córki to Kazimierza Jagiellończyka [2]. W Wolfenbüttel (w Brunswickiem) i w skandynawskiej Upsali leżą popioły córek Zygmunta Starego — Zofii i Katarzyny,

Oprócz grobowców, oprócz kilku portretów, spotykanych w rożnych zbiorach niemieckich, nic na obczyźnie pamięć o tych niewiastach nie przechowała. W kraju jeszcze mniej śladów ich

[1] Meissen (po polsku Miśnia) niegdyś słowiańska to ziemia. Passawa (po niemiecku Passau) leży w Bawaryi.

istnienia znajdujemy. Na obczyźnie, pomimo całego oddania się obowiązkom rodzinnym, jedną stroną swego duchownego istnienia zwracają się wciąż ku ziemi rodzinnej. Pokrewieństwa węzły łączą ich ściśle ze starem gniazdem, mowa rodzinna nie gaśnie w ich pamięci; wprawdzie córki Kazimierzowe używają w korespondencyi z braćmi języka niemieckiego, domowej mowy ich matki, lecz pokolenie późniejsze, wnuczki Jagiellończyka a córki Zygmunta, lubo zrodzone z matki Włoszki, stale w zakresie stosunków rodzinnych, posługują się nie inną tylko polską mową. Książki polskie wędrują z Krakowa na dalekie zameczki niemieckie naszych Jagiellonek, gdzie budzą wspomnienia i języka i obyczaju ojczystego, przynoszą świadectwo promieniejącego coraz większem światłem życia umysłowego ziemi ojczystej.

Tentna swojskich uczuć biją tak silnie w ich piersi, iż po latach wielu, ku końcowi XVI. wieku, gdy już wszystkie nasze Jagiellonki legły w grobach, córka jednej z nich, chociaż obyczajem, wiarą odbiegła od tego co świętem w macierzystem gnieździe mieniono, chociaż w rodzicowej dziedzinie stała u stopni tronu — wraca do Polski.

Jedyny to powrotu przykład. Córka Katarzyny Jagiellonki, Anna, szwedzka królewna, w kilkanaście lat po zgonie matki swej, w chwili gdy brat starszy, Zygmunt, pospolicie „Trzecim“ zwany, wstępował na tron polski, powraca z ojczystej Szwecyi do macierzystego gniazda, marząc zapewne o dniach pogody pod niebem, które patrzało na lata młodości jej matki.

Życie Katarzyny Jagiellonki upływało na modlitwie i cierpieniu, wedle orzeczenia poety dzisiejszego stulecia... „Modlić się i cierpieć... to naszej polskiej białogłowy życie“...[1]. Cierpienie, któremu łzy ocierała modlitwa wraz ze spełnianiem obowiązku, to treść życia Katarzyny Jagiellonki, odzianej w szwedzką, królewską purpurę...[2]

W późniejszej lat dobie, gdy klęski przesiliły się niejako

[1] Domin. Magnuszewski.

[2] Szkic o życiu Katarzyny Jagiel., królowej szwedzkiej, podał *Bluszcz* w r. 1889, nr. 26 i kilka nast.

w życiu Katarzyny, ale zarazem i sił do bojowania i dalszego pilnego czuwania u ogniska domowego zaczęło brakować, przyszła na świat i wzrastała Anna — młodsza z dwojga dzieci. Późniejszy ten obraz życia Katarzyny, przypadający na lata młodociane Anny, przepełniony był cierpieniami fizycznemi jej matki. Boleści lat dawnych, wstrząśnienia moralne, zawody, klęski, pełne grozy obawy o najbliższych, trwogi i prywacye, którym miary i końca nie było — podkopywały organizm mocny Katarzyny. Jednocześnie prawie z objęciem tronu, w parę lat po swej koronacyi, właśnie wówczas gdy malutka Anna zaledwie trzeci rok liczyła, matka jej coraz bardziej na zdrowiu, na siłach podupada, gaśnie powoli, stopniowo, lata całe przebywa niemocą znaczone... Okoliczność ta tłumaczy wiele z życia jej córki, wskazuje dlaczego zasady, przekonania religijne córki odbiegły tak stanowczo a daleko od matki przekonań.

W chwili przesileń niedoli rodziców, wciąż drżących w niewoli szalonego króla Eryka, drżących o życie swe i malutkiego Zygmunta, przyszła na świat Anna. Było to w r. 1568. Podobnie jak Zygmunt imieniem swem przypominać miał ojca i brata nieszczęsnej Katarzyny, córkę nazwano imieniem ukochanej siostry — Anny.

Imiona tak drogie dla Katarzyny w kole jej rodzinnem, obijać się odtąd miały o jej ucho nieustannie. Przypominały one nietylko najdroższych, ale kraj rodzinny, dźwięki mowy własnej. Annę nazywano tem zdrobniałem imieniem, jakie w użyciu było w Polsce. Była ona dla matki zawsze „Janusią“, którą troskliwa matka przy każdej sposobności polecała względom, łasce, również jednej jak i drugiej „ciotuchny“ [1] i prosiła, by jej one „z miłości swej nie raczyły opuszczać“.

W ten sposób, za pomocą korespondencyi, pilnie prowadzonej przez matkę, wytwarzał się bardzo wcześnie dla „Janusi“ węzeł ściślejszych, serdecznych, rodzinnych stosunków z rodziną matki. Polska, jej mowa i obyczaj również nie mogły się dla „Janusi“ mienić obcemi. Tą mową wybornie władał młodziutki

[1] „Jagiellonki Pol.“, t. IV.

„Zyś“ — brat o niewiele starszy od Janusi — był to język codziennego porozumiewania się z matką, język w użyciu pospolitem wśród matczynego, niewieściego dworu, gdzie jeszcze było kilka panien wywiezionych z Polski, szczególnie „Dosieczka“, ulubiona a szczebiotliwa karlica królowej Katarzyny, i z małemi przerwami wciąż bawiący na dworze szwedzkim, Wawrzyniec Rylski, dworzanin matki, później do posług, poselstw ważnych, poufnych używany. Dość więc było dla „Janusi“ sposobności od kolebki niejako zaznajamiać się z obyczajem rodzinnego kraju matki, z mową, która w późniejszych latach jej życia miała ją otaczać, a i dziś brzmi u jej mogiły.

Pięcioletniem zaledwie dziecięciem Annę widzimy w owe dni ciężkie dla jej matki, gdy kwestya religijna powrotu Szwecyi do wierzeń dawnych stawała się troską obojga rodziców i dużo chwil przykrych przyniosła przeważnie matce. Król szwedzki, Jan III., za wpływem żony prawdopodobnie, pragnął tego powrotu.

Król Jan, obyczajem ówczesnych książąt, starał się rozwiązywać różne wątpliwości; rozwiązywał je, wczytując się w biblię, a przynajmniej zdawało mu się, że rozwiązuje. Obyczaj to książąt owej epoki. Wyróżniał się ojciec Anny od innych, współczesnie panujących, przynajmniej w tym punkcie, że gdy inni cofali się do pochyłości błędu, on zwracał się ku prawdzie.

Wpływ tu żony widoczny, lecz król Jan sądził, iż własne studya biblijne zbliżają go do dawnych wierzeń. Nowinki różnowiercze tak już bujnie rozkrzewiły się w Szwecyi, — snać grunt miały tam dla siebie właściwy — iż budziły na całym Skandynawskim półwyspie współczucie; usiłowania króla, tajemne aspiracye królowej rozbijały się o opór klas wpływowych. Protestantyzm niedość iż nie upadał, ale wzmagał się i rozwielmożniał. Stał się wprędce żywiołem górującym. Na dworze liczyć się z nim należało — i liczono się pilnie, skrupulatnie, może nawet zbyt pilnie. Kwestya górowania racyi stanu — rzecz dziś tak w użyciu na całym Zachodzie, a w Niemczech przeważnie — już wówczas była znaną i praktykowaną w Szwecyi. Ta więc „racya stanu“ nakazywała królowi szwedzkiemu, gdy chciał się

utrzymać na tronie, potrosze zachwianym, niezbyt drażnić poddanych, gorliwych w protestantyzmie. Nasuwają im bodaj napomknienia dalekie, iż dni nowych wierzeń są policzone, mógłby oburzyć lud i możnych. Król przeto mienił się protestantem, lecz bywał na katolickiem nabożeństwie, odprawianem na pokojach żony i unikał publicznych napomknień o przyszłości rozwoju luteranizmu w Szwecyi. Oszczędzano drażliwość protestanckich tłumów i wybitnych jednostek, również hołdujących protestantyzmowi. Skoro jednak król zajął, chwilowo tylko, — jak mu się zdawało — stanowisko pośrednie wśród ścierających się obozów religijnych, na tej pozycyi pośredniej trudno mu było utrzymać się; — ku przepaści zwątpień staczał się odtąd; powoli, lecz ciągle. Już moc ducha żony utrzymać go na spadzistościach stromych nie zdołała...

Wówczas i dla stałości królowej nadchodziły dni prób niemałych. Pozostała ona wierną przekonaniom swym, ale sądziła, iż niektóremi od rzeczy obrzędu ustępstwami zażegna kwestyę zupełnego oderwania się Szwedów od Kościoła.

Mniemanie to niewieście, prawdopodobnie zrodzone w dziedzinie mężowskich rozumowań, wcale właściwem nie było. Bezwiednie posuwała się Katarzyna w tej rzeczy za daleko. Rozstrzygała i rozwiązywała w swem przekonaniu sprawy, przekraczające kompetencyę pojedyńczych jednostek.

Wszystko to osłabiało szeregi nielicznych w ówczesnej Szwecyi katolików, wzmacniało tryumfujący luteranizm i tem samem ścieśniało niejako coraz bardziej tron węzłami nowych wierzeń. Fala protestancka otaczała dokoła ów tron, który nie mógł się nawet mienić oazą katolicką. Ci, którym chodziło o utrwalenie nowego kultu, widzieli w królu swego prozelitę, a na pośrednie jego stanowisko zapatrywali się jako na fazę przejściową. Zachwiane zdrowie królowej wyraźnie wskazywało, iż faza przejściowa długą nawet nie będzie, bo krótkiemi są dni królowej. Ich blizki zmierzch wróżył upadek oporu resztek szwedzkiego katolicyzmu. Katarzyna była jedynym filarem, a gdy ten runie, wszystko, co jeszcze katolickiem mieniło się w Szwecyi, na zagładę zostanie rzuconem. Przewidywania ziściły się...

Młodociane lata Anny padły własnie na czas wahania się pewnego w łonie własnej rodziny, a wzmożenia się luterskich pojęć u dworu... Po zgonie matki Anna staje się jawną i gorliwą wyznawczynią protestantyzmu...

Podobnie jak matka, odznaczała się Anna mocą ducha, energią w czynach, pewną zaciętością, którą nieraz spotyka się u dzieci północy, w życiu zaś codziennem dużo miała śmiałości skandynawskiej. Nie napróżno później mieniła ją ciotka, Anna Jagiellonka, „drabem"; coś w niej było z odwagi mocujących się z twardą przyrodą normandzkich dziewic.

Niespodziany Batorego zgon rozwarł młodziutkiemu Zygmuntowi Wazie wrota nadziei otrzymania korony Jagiellonów. Był jeszcze chłopięciem prawie, zaledwie na młodziana urósł, gdy dwudziestodwuletniemu nasunęła się możność objęcia tronu stokroć potężniejszego, niż ówczesne władztwo szwedzkie. Miłość dla wygasłej dynastyi Jagiellońskiej potężniejszym czynnikiem stała się dla utorowania Zygmuntowi drogi do tronu, niż zabiegi ciotki Anny, wdowy po Batorym. Zabiegi ciotki nie przeważyłyby szali wpływu na korzyść Zygmunta, wobec wielkich zabiegów rakuzkiej kandydatury, gdyby nie ów cień wspomnień epoki Jagiellońskiej, zaledwie zamkniętej. Za dni Batorego, Anna Jagiellonka przypominała czasy Jagiellońskie, ale dla tłumów, żywiących w głębi swych serc wiele sympatyi ku owym dynastycznym wspomnieniom, to nie wystarczało; królowa Anna posuwała się w lata, gasła samotna, bezdzietna; chciano więc przedłużyć widomy wspomnień ślad, i myśl się zwróciła za morze, za fale Baltyku — powołano na tron siostrzana Anny, wnuka po kądzieli Zygmunta I.

Anna wprawdzie z własnego natchnienia, z głębi swego uczucia wysnuła myśl powołania na tron młodego siostrzana, niemniej jednak udział tu niemały przypada na sympatyę, której używał Zygmunt Waza w Polsce, chociaż nieznany, nigdy przedtem niewidziany, ale już dlatego miły dla serca narodu, iż był wnukiem siostrzanem dwóch ostatnich królów z dynastyi Jagiellonów.

Pierwsze elekcye, jakie po Zygmunta Augusta śmierci od-

bywały się, miały w sobie dużo patryarchalnej prostoty, dużo dla sprawy publicznej zapału. Jeszcze zepsucia rdza nie sięgała do serc, nie splamiła czystej szaty szczerego gwoli rzeczy publicznej poświęcenia. Taki obraz elekcyi pierwotnej, w niczem nie przypominającej późniejszych elekcyjnych obrad, przekupstwem skażonych, kupczących i własnem sumieniem i szczęściem publicznem, daje nam Bielski w swej kronice. Nieco w tym obrazie optymizmu, bo i ta po Batorego zgonie elekcya miała już swe cienie, i niemałe...

Obrady te miały powołać Wazów na tron. Obrady od Boga nie dla czczej formy rozpoczynały się; brało w nich udział nietylko rycerstwo, jak wymagało prawo, ale i gmin orężny, jeśli nie dawaniem swych wotów, to zapałem i duchowym udziałem, wreszcie modlitwą o pomyślny wynik tak ważnych narad. Ale i w tej elekcyi coś się znalazło ze źdźbła zepsucia, z zawiści, z zaciętości, która aż do krwi bratniej przelania prowadziła i na brzęk złota nie była obojętną.

„...Dnia 14 sierpnia 1587. — pisze kronikarz — wedle namów pierwszych do elekcyi przystąpili i, P. Boga na pomoc wziąwszy, a na kolana swe przyklęknąwszy, *Veni Creator* z nabożeństwem wielkiem, a płaczem serdecznym śpiewali. Co widząc i słudzy na koniach, którzy około koła stali, spieszywszy się z koni, społu z nimi klęczeli; gdzie żaden nie był, któryby się nie miał łzami oblać“...

Taką była wstępna chwila elekcyi pierwszego u nas Wazy, chwila, która stanowiła i o losach szwedzkiej królewny Anny. Ona bowiem za bratem do Polski pospieszyła i tem samem wytworzył się zwrot stanowczy w jej życiu.

Że jednak każda, bodaj najjaśniejsza chwila posiada swe cienie, miała takowe i elekcya pierwszego Wazy. Padły mroki fakcyj na pogodne niebo szczerego zapału; stanęły, zbroiły się stronnictwa, które wiodły na tron dom‘ rakuzki, gotowały się nawet krew bratnią przelać w domowej waśni, byle na swojem postawić. Dawał się czuć upór, zaciętość stronnicza, co się później tak często w dziejach naszych spotyka, a boleśnie w przyszłych losach narodu odbija. Ta chęć występowania z pewną

oryginalnością w większych i mniejszych sprawach, chęć ciągłego na swojem stawiania już nas i później nie opuszcza...

W murach maryackiej świątyni, w Krakowie, do dziś przedmiotem podziwu na jednym grobowcu jest piękna postać rycerza. Piękna ta postać, to Marcin Leśniowolski, kasztelan podlaski, który o ile uderzał szlachetnością rysów, o tyle uważanym był za zdolnego dyplomatę. Królowa Anna, wprędce po zgonie Batorego, śle Leśniowolskiego do Szwecyi, w celu skłonienia króla Jana, by popierał kandydaturę syna do tronu polskiego. Posłowie szwedzcy przyjeżdżają wprawdzie, lecz nie wiozą skrzyń ze złotem, na którego brzęk już ucho niejednego z elektorów wrażliwem było. Król szwedzki wcale słabo syna popiera, a złotem nie sypie, bo go nie posiada. Wdowa przeto po Batorym sięga do swych zapasów i ostatni grosz ze skarbca prywatnego wydaje, by ujrzeć ukochanego siostrzana na tronie. Milion dzisiejszych złotych miała wydać królowa Anna na popieranie kandydatury Zygmunta Wazy. Gdy złota zabrakło w miechach starej królowej, słowem perswazyi obsyła litewskie województwa, wzywając opornych, by szli za głosem wotujących za szwedzkim królewiczem.

„...I pod ten czas — pisze królowa wdowa — nie litowaliśmy mieszka naszego, choć w nim niewielkie skarby bacząc, że ku gwałtowi chyliło się takiemu, aby nie ten był tej Korony i W. Ks. Lit. panem, którego potrzebuje Korona i W. Ks. Lit.. wedle praw i swobód swych, ale którego sobie kilka ich upatrzyło ku swej własnej prywacie, na skazę Korony i W. Ks. Lit.“... Królowa przeto radzi zwrócić Litwy oczy ku Zygmuntowi Wazie, którego mieni „jutrzenką północnych krajów“, „plemieniem zacnej krwi Jagiełłów“... „Krew mnie nie uwodzi“ — pisze Anna w owej odezwie — dając do zrozumienia, że daleką jest od rządzenia się osobistemi sympatyami [1]. Owszem, sojusz ze Szwecyą — następstwo obioru Zygmunta — usprawiedliwia racyą stanu, dodając, iż władanie morzem podnosi państwo. „Pań-

[1] Instrukcya ta posłom na sejmiki królow. Anny Jagiel. umieszczona u Niemcewicza w „Zbiorze pamiętników“ t. v i w „Jagiellonkach“ Al. Przeździeckiego, t. iv, str. 309.

stwo — pisze ona — morską wolnością i państwem portów ku górze się wynosi“... Obiecuje wreszcie Anna dla Rzeczypospolitej odzyskanie Estonii, obiecuje w imieniu siostrzeńca więcej, niż on uczynić mocen, obiecuje wszystko i dąży do urzeczywistnienia swych obietnic, byle Zygmunt Waza zasiadł na tronie.

Zabiegi królowej Anny nie upadły. Miała z nich owoc przez siebie pożądany. Zygmunt, pomimo przeciwnej fakcyi, prowadzącej arcyksięcia z domu rakuzkiego, utrzymał się jako elekt, i, naglony przez ciotkę, przybył na polską ziemię. Skoro o przybyciu dowiedziała się, spieszy dość już stara ciotka, bo siódmy dziesiątek lat licząca, na spotkanie siostrzanów. Ukochane dzieci zmarłej, nieszczęśliwej Katarzyny przybywają razem oboje, przybywają nie jako goście, ale na stały pobyt. Stara ciotka snuje nić marzeń, iż ku zachodowi dni przyświecać jej zaczną młodociane twarze sierot po siostrze, iż samotna, znękana losu przeciwnościami, przyciśnie do piersi zbolałej owego „Zysia“ i „Janusię“, co dotąd jedynie z częstych listów zmarłej siostry znanemi jej były, że promieniejące życiem ich postacie oświecą ścieżki starości, ogrzeją ciepłem młodocianego uczucia.

Zamek piotrkowski, świadek tylu chwil podniosłych w życiu dziejowem narodu, patrzał na pierwsze poznanie się Anny, szwedzkiej królewny, ze starą ciotką. Anna Jagiellonka tak gorąco pragnęła uścisnąć co prędzej swych siostrzanów, że, nie zważając na niebezpieczeństwa, bo kraj był zalany drobnemi oddziały zbrojących się i odgrażających się wzajemnie stronnictw, dąży w kierunku gościńca, którym oni mają przybywać, spotyka i wita ich w Piotrkowie.

Nie wynaleziono dotąd świadectw historycznych, któreby mówiły, iż poznanie się sprowadziło dla starej a przezacnej Jagiellonki rozczarowanie, lecz łatwo to można przypuszczać; to tylko jest pewnem, iż nic nie ujawniło, w żadnym z listów Anny Jagiellonki, śladu nie widzimy, że ją raził cudzoziemski obyczaj siostrzana a protestantyzm siostrzenicy niewypowiedzianie smucił. Było tak jednak. Liczyła stara ciotka na czas, otoczenie, które zdołają wpłynąć na przekonania religijne ukochanej „Janusi“ i zmienić je, lub chociaż grunt przygotować do zmiany stano-

wczej. Że na wpływ czasu Jagiellonka niemało liczyła, spotykamy to w jednym z dokumentów z jej podpisem. „Wiele czasy mogą, wiele potrzeba na ludziach wyciska“... wyrzekła ona kiedyś, i to orzeczenie legło prawdopodobnie podwaliną jej nadziei, że siostrzenica z protestantyzmem weźmie rozbrat stanowczy. „Czasy“, co „wiele mogą“, miały wpłynąć na przekonanie religijne „Janusi“, owego o męzkim animuszu dziewczęcia, które, wedle słów ciotki, „jako drab nie boi się nic“... Lata wszakże wskazały, iż to męskiego usposobienia dziewczę z uporem pozostanie przy swych wierzeniach. Smutek, serdeczny ból stara ciotka chowała w głębi swych uczuć, z niemi nigdy nie ujawnia się, lecz dla siostrzana i siostrzenicy ma wciąż serce prawdziwie macierzyńskie. Nie napróżno w listach swych do siostrzanów Jagiellonka podpisuje się „matka i ciotka“: uczucie matki żywi ona aż do końca dni swych dla obojga siostrzanów; nic ją nie zraża, ani chłód w stosunkach życia codziennego, chociaż gorliwego w wierze jej ojców Zygmunta, ani protestantyzm Anny. Zdaje się, iż przed okiem Jagiellonki zawsze stały wyrazy ukochanej siostry płynące ongi do niej z zamorza: „by jej dziatki nie raczyła z miłości swej opuszczać“.. Słowo zbolałej siostry nie poszło na marne, wzięto je do serca i sercem podniesiono brzemię opieki.

Nie opuszczając „z miłości swej“, zacna „ciotuchna“ tak dalece pobłażliwą okazała się dla siostrzenicy, iż gdy nie chciała nawet mieć protestanta dzierżawcą w swym folwarku, w Swoszowicach pod Krakowem — patrzyła cierpliwie na protestantyzm ukochanej „Janusi“ [1]. Cierpliwość starej Jagiellonki liczyła na moc boską i „na czasy, co wiele mogą“...

(Dok. nast.).

Maryan Dubiecki.

---

[1] Patrz listy królowej Anny, z dawniejszych i późniejszych jej lat, w dziele Al. Przeździeckiego, „Jagiellonki Polskie“, t. IV.

WIELKI POETA CHRZEŚCIJAŃSKI

z IV. wieku.

IV.

Z rękopisów, jakie się ostały po tylowiekowych zawieruchach dziejowych i tylu niefortunnych wypadkach, pozbierano siedm dzieł Prudencyusza, a mianowicie: *Kathemerinon, Peri Stephanon, Apotheosis, Hamartigeneia, Psychomachia, Contra Symmachum i Dittochaeon.* Zastanawiać to musi, że prawie wszystkie napisy są greckie: kto jednak zna bliżej Cicerona, ten sobie przypomni, ile on razy w klasycznie pięknych swych rozprawach posługuje się greckimi wyrazami, gdzie trudno a może i niepodobna było oddać zwięźle albo wiernie myśl w języku łacińskim. Jeżeli tak jest, to bezwątpienia sprawiedliwość sama nie będzie się domagała od Prudencysza większej czystości w łacinie, aniżeli od wybrednego w tej mierze Tulliusza.

Księga *Kathemerinon* jest zbiorem 12 hymnów religijnych na różne chwile dnia lub święta kościelne. Księga *Peri Stephanon* opiewa w 12 hymnach bohaterskie czyny męczenników i święte po nich pamiątki. *Apotheosis* i *Hamartigeneia* są poetyczną apologią wiary. *Psychomachia* przedstawia w sposób alegoryczny walkę religii i cnót przeciw uosobionym występkom. Księgi *Contra Symmachum* są już to satyrą wymierzoną na pogaństwo, już to epicznym opisem walk jego z chrześcijaństwem, biorącem berło świata w swe dłonie: w całości zaś obroną wiary przeciw

uroszczeniom pogan z Symmachem na czele. Nakoniec tak nazwane przez autora *Dittochaeon* mieści w sobie 49 czterowierszów, z których 24 odnosi się do Starego, a 25 do Nowego Testamentu. Taka jest duchowa spuścizna po Prudencyuszu, którą już on sam w następnych słowach streścił na końcu swej przedmowy [1]:

Hymnis continuet dies,
Nec nox ulla vacet, quin Dominum canat.
Pugnet contra haereses, Catholicam discutiat fidem,
Conculcet sacra gentium,
Labem, Roma, tuis inferat idolis:
Carmen Martyribus devoveat, laudet Apostolos [2].

Przypomina to mimowoli ów napis na grobowcu Marona w Neapolu, streszczający w kilku słowach wszystkie jego dzieła:

... Cecini pascua, rura, duces.

Zastanowi może niejednego, że w tej treściwej zapowiedzi nie znajduje wymienionego *Dittochaeon,* choć je Gennadyusz, najbliższy czasów Prudencyusza wymienia w spisie jego utworów [3]; jest na to atoli odpowiedź. Prudencyusz albo napisał *Dittochaeon* później, albo też nie uważał za stosowne liczyć taki drobiazg między poważne i artystyczne swe dzieła. Za to z drugiej strony wspomniany przez Gennadyusza między dziełami Prudencyusza *Hexaëmeron* nie jest czem innem, jak tylko *Hamartigenią,* która omawiając kwestyę pierwotnej sprawiedliwosci i grzechowego upadku człowieka, tem samem wspomina i dzieło „stworzenia". Zresztą i z samych słów Gennadyusza to widać [4].

---

[1] *M. Aur. Cl. Prudentii carmina* w *Patrologia lat.* Migne'a, tom 59, kol. 767—776. — Paul Allard w art. *Prudence historien* w *Revue des questions historiques* 1884. — Gaston Boissier w *Revue des deux mondes* (1889), art. *Le poëte Prudence.*

[2] Niechże hymnami cały dzień rozbrzmiewa,
Niech w nocy nawet Bogu chwałę śpiewa,
Niech gromi wrogów katolickiej wiary,
I zetrze pogan przebrzydłe ofiary.
Niech twoje, Rzymie, bałwany wywróci,
A męczennikom wdzięczny hymn zanuci.

[3] *De viris illustribus* 13.

[4] Tamże tak mówi: „Commentatus est in morem Graecorum Hexaëmeron de mundi fabrica usque ad conditionem primi hominis et praevaricationem ejus".

Inna natomiast nasuwa się kwestya, a mianowicie, jak sklasyfikować utwory Prudencyusza wedle obecnych zapatrywań na rozmaite rodzaje czyli działy poezyi. Między uczonymi niema wiele w tej mierze zgody. I tak np. Puech [1] dzieli poezye Prudencyusza na liryczne i dydaktyczne, a *Psychomachii* osobny dział zostawia, alegorycznej epopei. Boissier [2] dwa tylko widzi tutaj rodzaje poezyi: liryczną w księdze *Kathemerinon* i *Peri Stephanon* a dydaktyczną i dogmatyczną w innych. Ebert w znakomitem swem dziele: „O łacińskiej literaturze średnich wieków“ [3] odmienny nieco ustanawia podział, mianowicie: na poezyę liryczną, epiczno-liryczną, dydaktyczną i polemiczną. Bayle [4] po prostu na liryczną i dydaktyczną. Kayser [5] na polemiczno-dydaktyczną, epiczną i liryczną. Mickiewicz w owej instalacyjnej swej mowie w Losannie [6], która taki szczery obudziła zapał, cały się wylał na odmalowanie ślicznych obrazów z księgi *Peri Stephanon* i widocznie zalicza ją do epicznej poezyi; w księdze *Kathemerinon* wysławia lirykę; w księgach przeciw Symmachowi polemiczny talent i ciętą satyrę; wszystkie zaś inne dzieła pomieszcza w dziale alegorycznej poezyi. Najoryginalniej — i trzeba przyznać, że nie bez słuszności — postąpił sobie w tej mierze Rösler. Według jego zapatrywań wszystkie dzieła Prudencyusza przedstawiają nam go już to w modlitwie i rozmyślaniu, już to w walce za wiarę i Kościół katolicki.

Nie myślimy spierać się o to, ale przyznajemy, że najbardziej nam do smaku przypada podział Eberta i Kaysera; zresztą wyznać trzeba, że szkoda „czasu i atłasu“ na takie prawie

---

[1] Prudence, *Étude sur la poësie latine chrétienne au IV. siecle* (str. 75 159 i 239),

[2] *Le poëte Prudenee. Revue des deux mondes* z r. 1889 (str. 359).

[3] *Allgemeine Geschichte der Literatur des Mittelalters im Abendlande* (str. 253, 259 i 269) w wydaniu z r. 1889.

[4] *Étude sur Prudence,* str. 64.

[5] *Beiträge zur Geschichte und Erklärung der ältesten Kirchenhymnen* (str. 157).

[6] „Odczyty w Lozannie“. Pamiątki po A. Mickiewiczu. Opracował dr. Piotr Chmielowski (str. 95, 98, 99 i nast.).

bezcelowe spory. Nam spieszno za to wglądnąć bliżej w Prudencyuszowe poezye.

* * *

Kathemerinon.

Zazwyczaj na czele wszystkich dzieł innych znajdujem tę księgę: od niej też i my zaczynamy; jednak nie dla samego przyjętego zwyczaju, ale i dlatego, że w genetycznym szeregu tworzenia, zdaje się ona być najpierwszą[1]. Kto chce, niech czyta o tem Allard'a[2] i Röslera[3].

Mickiewiez, mówiąc o księdze *Kathemerinon*, załatwił się z nią zbyt prędko. Po wstępnych pochwałach Prudencyusza, tak powiada: „Są to r o z m y ś l a n i a i h a r m o n i e p o e t y c z n e... Początek każdej pieśni nie przedstawia nic bardzo znamiennego i podobnym jest do ód starożytnych. Atoli poeta chrześcijański nie poprzestając na skreśleniu obrazu, na opisaniu poranku lub wieczoru, stara się głębiej wniknąć w przyrodę i u s i ł u j e p o c h w y c i ć z n a c z e n i e m o r a l n e każdego z jej zjawisk. Według jego systemu świat umysłowy jest odbiciem świata materyalnego, który znowu przedstawicielem jest świata nadprzyrodzonego. Z tych rozpamiętywań wypływają naturalnie n a p o m n i e n i a d u c h o w n e, rozwijające myśl poety; zazwyczaj kończą one pieśń każdą i uzupełniają tym sposobem jej organizm“[4]. Oto wszystko; treściwie, ale aż nazbyt pobieżnie.

Tymczasem i treść i cel i forma tych hymnów są tego rodzaju, że niepodobna nie pomówić o nich szczegółowo.

Na pierwszem miejscu narzuca się pytanie: skąd się wzięło Prudencyuszowi pisanie takich hymnów? Że nie był pierwszym, że już przed nim próbowali inni mniej lub więcej szczęśliwie

---

[1] Pod tym względem musimy odstąpić od zapatrywań Mickiewicza, który w wyżej wspomnianej mowie utrzymuje, że „dopiero po ogłoszeniu ksiąg przeciw Symmachowi, Prudencyusz, styl sobie urobiwszy i stawszy się panem formy, spróbował sił swych w nowym rodzaju. Ułożył wtenczas *Kathemerinon*“ (str. 98).

[2] W *Revue des questions historiques* z r. 1884.

[3] *Der katholische Dichter, Aurelius Prudens Clemens* (str. 13).

[4] W dziele wzmiankowanem str. 98.

tego rodzaju poezyi, a zwłaszcza św. Grzegórz z Nazyanzu i Synezyusz w greckim, a św. Hilary i św. Ambroży w łacińskim języku; to o tem wspomnieliśmy wyżej.

Już sama nazwa Καθημερινῶν (tj. βίβλος) wskazuje treść i przeznaczenie tych hymnów na poszczególne doby dnia lub pewne i stale powtarzające się okoliczności. Ale to nie dość. I te „doby dnia“ i te „okoliczności“ zastosowane są do liturgii chrześcijańskiego Kościoła.

Nie tutaj czas ani miejsce wdawać się w historyczne badania nad powstaniem tych „liturgicznych czasów“ i „liturgicznych modlitw“, do których nasz poeta nawiązał swe pienia. O tem istnieje cała osobna literatura[1] od najdawniejszych aż do naszych czasów; w danym atoli razie przy objaśnianiu poszczególnych hymnów, przyjdzie nam potrącić o ten nader ciekawy przedmiot.

Tutaj tyle jedynie napomknąć wypada, że początek tych „czasów i modlitw kościelnych“ widoczny już jest w najwcześniejszej dobie chrześcijaństwa; rozwój tylko i układ swój zawdzięcza czasom późniejszym. W Antyochii mianowicie około r. 358 rozpoczęła się — iż tak się wyrażę — krystalizacya tej liturgicznej formy „wielbienia Boga dniem i nocą“, a przyjęta zaraz przez św. Bazylego w jego Cezarei i przez św. Ambrożego w Medyolanie, szybko ogarnęła całe chrześcijaństwo. Odtąd już nietylko sami *asceci* czyli *monozantes* i dziewice poświęcone Bogu czyli *parthenae*, ale całe duchowieństwo przestrzegało tej liturgii.

Gorliwość świeckich, niegdyś tak wielka za czasów prześladowań, kiedy zamiast tajemnych *cenakulów* i ciemnych podziemi otworem im stanęły bazyliki przepyszne, a pod złocistemi

[1] *Geschichte des Brevieres,* von P. Suitbert Bäumer, Benediktiner der Beuroner Congregation. Freiburg i. B. 1895. — *L'histoire du breviaire romain* par Pierre Batiffol. Paris 1894. — *Brevier und Breviergebet,* von F. Probst. Tübingen 1854. — *Handbuch der katholischen Liturgik* von Dr. Valentin Thalhofer. Freiburg i. Breisgau 1894. — *De officii seu cursus romani origine,* S. Bäumer. Brunae 1889. — I. Card-Bome, *De divina psalmodia ejusque causis, mysteriis et disciplinis etc.* Parisiis 1663. — P. Guéranger, *Institutions liturgiques.* Parisiis 1886, i t. d. i t. d.

ich pułapami rozbrzmiały uroczyste nabożeństwa: ostygła już nieco na schyłku czwartego stulecia. Jeżeli trzeba było dla nich skracać nawet liturgię przy Najśw. Ofierze, to cóż mówić o dobrowolnym udziale w „pacierzach kapłańskich“ i mniszych!... Wyjątki tedy z tego należały niemal już do osobliwości; takim właśnie był nasz poeta, a dowodem tego wszystkie jego dzieła.

Stąd ks. A. Bayle [1] nazywa go poetą chrześcijańskim w całem tego słowa znaczeniu, tak jak chrześcijańskim mówcą jest Chryzostom św., a chrześcijańskim filozofem św. Augustyn. Ks. dr. Kantecki [2] powiada o nim, że był to „mąż głębokiej pobożności i gorąco wiarą przejęty, który razem z Kościołem o każdej niemal porze dnia i nocy i przy każdej sposobności podnosi myśl swą ku Bogu i wylewa w słowach rzewnej modlitwy“.

Niech za próbę posłuży drobny urywek z Apoteozy:

Quidquid in aere cavo reboans tuba curva remugit,
Quidquid ab arcano vomit ingens spiritus haustu,
Quidquid casta chelys, quidquid testudo resultat,
Organa disparibus calamis quod consona miscent,
Aemula pastorum quod reddunt vocibus antra:
Christum concelebrat, Christum sonat, omnia Christum
Muta etiam fidibus sanctis animata loquuntur.
O nomen praedulce mihi, lux et decus et spes,
Praesidiumque meum, requies o certa laborum,
Blandus in ore sapor, fragrans odor, irriguus fons,
Castus amor, pulchrae species, sincera voluptas! [3].

---

[1] W dziele wyżej wspomnianem str. 64.

[2] „Poezye Aureliusza Prudencyusza Klemensa“. Poznań 1888. Str. 58.

[3] O ile to możebne, podajemy przekład w białym wierszu:

Co z tajni serc wybucha gorejącą duszą,
Co lutnia czysta i harf wydzwaniają struny,
Co organ z różnych tonów w jeden chór połącza:
To wszystko wraz z wdzięcznemi pieśniami pasterzy,
Którym w zawody echem wtórują i skały,
Chrystusa opowiada, Chrystusa wciąż wielbi
I wszystko — nawet same bezmyślne ptaszęta
Rozdźwięcznym głosem nucą pienia Chrystusowi.
O imię przenajsłodsze i światło mej duszy,
Chwało moja, nadziejo, obrono, spocznienie,
Tyś słodkim ust mych smakiem, tyś wonią i źródłem,
Tyś czystych serc i piękna i rozkoszy czarem!...
Apoth. 386 i nast.

Doprawdy, żeby wiernie oddać ten zachwyt bożej miłości trzebaby tego samego pióra co spisało „Glossę św. Teresy“... Prudencyuszowi atoli nie dość było kochać tak Boga samemu; on tego jeszcze zapragnął, by wszystkich tą miłością zapalić. Wdzięczne hymny św. Ambrożego wystarczały aż nazbyt ludowi; Prudencysz, by pociągnąć i zająć wykwintnych nawet patrycyuszów i wybrednych retorów, odział natchnione swe pienia we wzorzystą szatę Horacyuszowego metru.

Niech się atoli nikt znów nie spodziewa, by w nich i duch wiał Horacyuszowy i niech nie szuka tego, co łechtało zmysłowość zepsutych Rzymian, a co za dni naszych tak poszukiwane bywa, jako okrasa nowoczesnych poezyj. A przecież tak zwana „piękność form“, choćby nie wiem jak ubóstwiana, nie jest ostatnim wyrazem „piękna“, bo jeśli prawdą jest, co powiedział Plato, że „piękność jest blaskiem prawdy“, to jasny stąd wniosek: nasamprzód, że, jak prócz materyi istnieje jesscze cały świat duchowy, tak też prócz piękna form zmysłowych istnieje jeszcze „duchowe“ także piękno; a powtóre, że właśnie to piękno musi być przecie nieskończenie doskonalsze, niż piękno zmysłowe, nietylko o tyle, o ile doskonalszym jest duch od materyi, ale nawet o ile Bóg sam, duch najdoskonalszy, wyższy jest i doskonalszy ponad wszelkie stworzenie.

Stąd i Prudencyusz, choć brak w jego poezyi zachwytów nad „białemi ramiony“, nad „oczami z bławatków“ i zębami „z kości słoniowej“: to ma przecie inną, a nieskończenie wyższą piękność, co pieści ducha a czyste serca zachwyca i ma na swe rozkazy nierównie bogatszą skalę uczuć. Chrześcijaństwo nie narzuciło bynajmniej sztuce okrzyczanych „pęt“ owych, o których tak często, a tak niefortunnie i prawi się i pisze, ale rozszerzyło jej pole. Gardząc i każąc gardzić zmysłowością, nie wyrządza sztuce i poezyi krzywdy, ale właśnie przez to największe świadczy jej dobrodziejstwo: bo ją oczyszcza i uszlachtnia, wyciskając na niej właściwe jej piętno boże, i z hetery, w jaką zmysłowi ludzie koniecznie przekształcić ją pragną, robi anioła piękna, miłości i pociechy. Naprzód tedy można już wiedzieć i powiedzieć

kogo nie zajmą te duchowe pieśni: to ci, o których i sam Prudencyusz musiałby powiedzieć:

Odi profanum volgus et arceo...

i naprzód można wiedzieć, kogo zachwycą: czystych.

Wielce żałuję, że nie mogę przytoczyć wszystkich tych hymnów w całości, ale może jeszcze więcej żal mi tego, że się nie czuję na siłach, by tak je odlać we formie polskiego wiersza, by nic i z ich treści i z głębokich myśli i mistrzowskiego cieniowania nie uronić. By tych delikatnych kwiatów nie pomiąć, na to trzeba nader wprawnej ręki, a doświadczenie nas uczy, że i największe arcydzieła w niewiernym lub naciągniętym przekładzie tracą i wartość i urok. Dobrze to mówią Włosi: *Traduttore traditore.* Przytaczać je tedy będę — gdzie tego zajdzie potrzeba, białym wierszem, jako swobodniejszym, w przekładzie ks. d-ra Kanteckiego, dołączając tu i owdzie próby przekładu różnych pisarzy. Biegły znawca znajdzie w tem osobną przyjemność, kiedy będzie mógł robić krytyczne porównania z tekstem pierwowzoru.

Kto zna bliżej hymny św. Ambrożego, ten odrazu wpadnie na domysł i to słuszny, że niektóre z hymnów Prudencyuszowych noszą na sobie cechę oczywistą pokrewieństwa [1]. Takimi są I., II. i VI. hymn z *Kathemerinon*, tak jak hymn VII. przypomina traktat św. Ambrożego *De Elia et jejunio.* Nawet metr dwóch pierwszych hymnów jest ten sam, tj. *dimeter jambicus;* za to rozmiary są różne. Kiedy Ambrożego hymn żaden 32 wierszy nie przekracza, to u Prudencyusza najkrótszy hymn liczy 80 wierszy.

Jak Horacy w odach na cześć Druzusa lub Augusta zdobi swój przedmiot w mitologiczne legendy: tak Prudencyusz wplata w swe ody to biblijne lub ewangeliczne opowieści, to symbole tak wielką odgrywające rolę w pierwotnym kościele, to znów rozmaite napisy. Są one niekiedy — jak np. przejście przez morze Czerwone w hymnie V., a w hymnie VII. historya Jonasza —

---

[1] Porównaj hymny św. Ambrożego: *Aeterne rerum Conditor, Deus Creator omnium, Jam surgit hora tertia* i *Veni Redemptor gentium.*

takich rozmiarów, że same przez się istnieć mogą; dlatego to nadają się do czytania, do śpiewu i do kontemplacyi raczej, niż do celów liturgicznych.

Aby czytelnik miał jasny przegląd całej księgi *Kathemerinon*, podaję nasamprzód cały spis jej hymnów: 1) *Hymnus ad gallicinium* (o pianiu koguta); 2) *H. matutinus* (o wschodzie słońca); 3) *H. ante cibum* (przed posiłkiem); 4) *H. post cibum* (po posiłku); 5) *H. ad incensum lucernae* (przy zapalaniu światła wieczornego); 6) *H. ante somnum* (przed spaniem); 7) *H. ieiunantium* (hymn poszczących); 8) *H. post ieiunium* (po skończeniu postu); 9) *H. omnis horae* (na każdą godzinę); 10) *Ad exequias defuncti* (hymn pogrzebowy); 11) *H. VIII. Calendas Januarias* (na uroczystość Narodzenia Pańskiego) i 12) *H. de Epiphania* (na uroczystość św. Trzech Króli). Jeżeli ostatnie dwa hymny oderwiemy i przyłączymy do osobnego cyklu, jaki według przypuszczeń Dressel'a[1] i Rösler'a[2] — rozpoczął był Prudencyusz: to przekonamy się, że w poprzednich dziesięciu, jak w punktach wytycznych, widocznie chciał zamknąć poeta całe życie chrześcijanina, od świtu aż do zaśnięcia w śmierci. Zgadza się to zupełnie z tem, co św. Ambroży w liście do siostry Marceliny nakreślił, jako obraz codziennego życia chrześcijańskiego: „Niech nas Bogu częsta zaleca modlitwa. Uroczyste modły razem z dziękczynieniem zanosić potrzeba, skoro tylko ze snu powstajemy, gdy wychodzimy, gdy przyjmujemy posiłek, skorośmy go przyjęli i o wieczornej godzinie, kiedy wreszcie spać idziem“[3]. Przypatrzmy się im szczegółowo.

Co znaczy ten osobliwszy napis I. hymnu *ad gallicinium*, czyli „o kuropianiu“? Tłumaczy nam go starodawny zwyczaj już to powszechny, kierowania się pianiem koguta jak dzisiejszym zegarem — już to kościelny, odprawiania pewnych modlitw o tym czasie. Oczywiście — w danym razie idzie nam tylko o ten ostatni.

Nie ulega wątpliwości, że tak jak Dawid w Starym Za-

---

[1] W dziele wyżej wspomnianem, str. 65.

[2] W dziele wyżej wspomnianem, str. 42.

[3] Förster'a, *Ambrosius, Bischof von Mailand.* Halle 1884, str. 87.

konie „siedemkroć na dzień“ zwykł był chwalić Boga, tak od najdawniejszych czasów istniał w kościele katolickim zwyczaj kilkakrotnych dziennie modlitw. Już tedy w „Konstytucyach Apostolskich“ wyraźny czytamy rozkaz przestrzegania kilkakrotnych modlitw na pianie koguta[1]. Potwierdza to już najwyraźniej Tertullian[2] i św. Cypryan[3], wspominając godzinę trzecią *(sertia)*, szóstą *(sexta)* i dziewiątą *(nona)*[4], jako uroczystsze chwile modlitw w kościele, a Probst, bardzo poważny pisarz, tak o tem powiada: „W Kościele chrześcijańskim już od apostolskich czasów uświęcano modlitwą trzecią, szóstą i dziewiątą dnia godzinę: dlatego też Tertullian zwie je apostolskiemi godzinami modlitw. Co do greckiego Kościoła, świadków mamy na to Klemensa Aleksandryjskiego (Strom. VII. 7) i „Apostolskie Konstytucye“. Do tych godzin przybywa jeszcze modlitwa poranna i wieczorna, jako niezbędna“.

Wypada tutaj i to dodać, że „kur“ był zawsze u Chrześcijan symbolem czujności: dlatego znajdujemy go w tym znaczeniu w starożytnych malowidłach katakomb[5] i w naszych czasach na kościołach, krzyżach przydrożnych i t. p.

Spierają się krytycy, które pianie koguta miał Prudencyusz na myśli. Jakkolwiek słusznie powiedziećby można, iż chciał tylko wogóle zachęcić do czuwania i do połączonej z niem modlitwy, przecież z samych słów[6] jego zdaje się oczywiście wynikać, że miał tu na myśli północne wstanie na modlitwę.

---

[1] Ks. VIII, r. 34. — J. Bickell'a *Über Entstehung und Entwicklung der canonischen Tagzeiten.* W miesięczniku *Katholik* 1873. — Batiffol, *L'histoire du breviaire romain,* str. 3 i nast.

[2] *De oratione* c. 25.

[3] *De oratione* c. 34.

[4] Była to nasza dziewiąta, dwunasta i trzecia popołudniu — na pamiątkę męki i skazania na śmierć, przybicia do krzyża i śmierci Boskiego Zbawiciela.

[5] Obacz rycinę „Dobrego Pasterza“ z cmentarza Pryscylli przy drodze Salaryjskiej, u Arevala w 59 tomie *Patrologiae latinae,* kol. 785 i 786, wyjątek z dzieła Aringhi *Roma subterranea* (ks. VI, r. 37). — Podobnie i w dziele Krausa, *Roma sotterranea,* Freiburg im Breisgau, ks. IV, str. 263, znajdujemy o tem wzmiankę.

[6] Wiersz 85 i nast.

Stwierdzają to słowa św. Izydora: U Rzymian zaczyna się dzień od północy, tj. od piania koguta[1]. Także i w *Liber diurnalis Pontificum Romanorum* w formule konsekracyi przypomina się to samo: *Spondeo ac promitto me omni tempore per singulos dies a primo gallo,* (tj. — jak mówi Rösler — od północy) *usque mane cum omni ordine clericorum meorum vigilias in ecclesia celebrare*[2]. Jak zaś starannie przestrzegano w tej mierze owego „kuropiania" i jak się starano uprzedzać je nawet, poucza nas o tem niezmiernie ciekawy „Dzienniczek podróżny" św. Sylwii[3], gallo-rzymskiej matrony z IV. wieku, a więc współczesnej naszemu poecie.

Prudencyusz tedy wzywa w tym hymnie do chętnego wstawania ze snu na modlitwę i w tym celu używa różnych pobudek. Według niego ten głos czujnego ptaka pośród ciszy nocnej jest głosem Boskiego Zbawiciela, który swych wiernych wzywa, by porzucili ciemności grzechowe.

Ales diei nuntius	Kiedy zwiastun dnia skrzydlaty
Lucem propinquam praecinit:	Blizki ranek pianiem głosi:
Nos excitator mentium	Chrystus budzi nasze dusze
Iam Christus ad vitam vocat.	I do życia nas przyzywa[4].

[1] *Orig.,* l. v, c. 30.

[2] Titulus VII, str. 67. Editio Garnerii.

[3] J. F. Gamurrini, *S. Silviae Aquitanae peregrinatio ad loca Sancta.* Romae 1887.

[4] Tu (jak i nieraz później uczynić będę musiał) odstępuję nieco od przekładu ks. d-ra Kanteckiego, żeby wierniej się zbliżyć do łacińskiego tekstu. — Pięknie Racine przełożył te dwie pierwsze zwrotki:

L'oiseau vigilant nous réveille,
Et ses chants redoublés semblent chasser la nuit:
Jésus se fait entendre à l'ame, qui sommeille
Et l'appelle à la vie, où son jour nous conduit.
Quittez-dit-il, la couche oisive,
Où vous ensevelit la molle langueur.
Sobres, chasts et purs, l'oeil et l'ame attentive,
Veillez, je suis tout proche et frappe à vos coeurs.

Podaję teraz rymowany przekład ks. arcyb. Hołowińskiego, ks. Stan. Grochowskiego i ks. Cieślińskiego:

(Ks. arcyb. Hołowiński)	**(Ks. Stan. Grochowski)**
Kur zwiastun swej pieśni mową	Ptak, który dzień opowieda,
Głosi bliskie dnia przybycie,	Już pieniem swem spać nam nie da:

Owszem — wprowadza samego Zbawiciela, mówiącego i przypominającego, że razem z dniem nadchodzącym i On z łaską swoją do każdej czujnej duszy się zbliża:

„Auferte — clamat lectulos,
Aegro sopore desides,
Castique, recti ac sobrii
Vigilate: iam sum proximus!“ [1]

„Wstajcie — woła — już z posłania,
Chorobliwą rzućcie senność
I czuwajcie trzeźwi, czyści,
Bo już blizkie przyjście moje!“

Jeżeli komentatorowie św. Ambrożego we wspominanym przezeń z taką predylekcyą kogucie [2], upatrują symbol Chrystusa Pana [3], to Prudencyusz otwarcie to wyznaje:

Vox ista, qua strepunt aves,
Stantes sub ipso culmine
Paulo antequam lux emicet,
Nostri figura est Judicis [4].

Głos koguta, co na grzędzie
Na wysokiej skrzydła wznosi,
Pieając krótko przed świtaniem,
Głos Chrystusa przypomina.

I tu jak u św. Ambrożego [5] spotykamy tę symboliczną potęgę kuropiania, co później i aż do naszych czasów taką rolę odgrywa w przeróżnych legendach, jak np. i w owej o olbrzymiej skale w Podkamieniu:

Ferunt vagantes daemones
Fretos tenebris noctium

Pono duchów złych gromady
Co w pomroce czarnej krążą,

Budziciel myśli, Bóg-Słowo,
Ze snu wyzywa na życie.
„Niech każdy łoże zostawi,
Rzućmy ciężkie snu uściski;
Czyści, przytomni i prawi,
Czuwajmy: już Chrystus blizki“.

Chrystus, który serca budzi,
Do żywota wzywa ludzi.
„Nieście się — prawi — z łóżkami,
Obciążeni gnuśnościami;
Pokażcie mi cnotę swoję,
Wstańcie: ja już we drzwiach stoję!“

(Ks. T. Cieśliński)

Ptak wierny dnia oznajmiciel
Już światowi obwołuje,
Chrystus, serc naszych budziciel,
Do życia nas powołuje.
„Porzućcie — woła — swe łoże,
Zgnuśnieni długiemi snami,
Czyści i trzeźwi w tej porze,
Czuwajcie, bom już przed wami!“

[1] Wiersz 5—8.
[2] W hymnie *Aeterne rerum Conditor.*
[3] Ebert, loc. cit. str. 255.
[4] Wiersz 13—16.
[5] We wspomnianym hymnie *Aeterne rerum Conditor,* wiersz 11 i nast.

Gallo canente exterritos
Sparsim timere et cedere.
Invisa nam vicinitas
Lucis, salutis, numinis
Rupto tenebrarum situ
Noctis fugat satellites.
Hoc esse signum praescii
Norunt repromissae spei,
Qua nos soporis liberi
Speramus adventum Dei [1].

Gdy koguta pianie słyszą,
Potrwożone w dal uchodzą.
Kiedy nocnych mroków całun
Z brzaskiem znika, gdy już blizki
Dzień świetlany, jasny, Boży,
W lot uchodzą nocne draby.
Wiedzą co ten ptak nam głosi,
Że zapowiedź to nadziei:
„Wyzwoleni ze snu więzów,
Oczekujcie przyjścia Pana!“

Wplata tutaj poeta — i to bardzo trafnie — ewangeliczą historyę o zaparciu się św. Piotra, związaną ściśle z pianiem „kura“, przyczem w kilku wyrazach a przecież nader wyraziście maluje charakter upadłego Apostoła:

Quae vis sit huius alitis,
Salvator ostendit Petro,
Ter, antequam gallus canat,
Sese negandum praedicans.
Fit namque peccatum prius,
Quam praeco lucis proximae
Illustret humanum genus
Finemque peccandi ferat.
Flevit negator denique
Ex ore prolapsum nefas:
Cum mens maneret innocens
Animusque servaret fidem [2].

Jaka moc jest tego ptaka,
Już Piotrowi wskazał Chrystus:
„Zanim trzykroć kur zapieje.
Trzykroć mnie się zaprzesz, Piotrze!“
O, niestety! grzech się sroży
Zanim zwiastun dnia blizkiego
Słońca światłem dzień rozjaśni,
Grzechom ludzkim kres położy.
Gorzko płakał Piotr zaprzaństwa
Co się było z ust wyrwało,
Choć go dusza nie dzieliła
Zachowując w głębi wiarę.

To nocne wreszcie pianie ma dla nas Chrześcijan i owo doniosłe znaczenie, że przypomina nam wielką tajemnicę zmartwychwstania Pańskiego, która właśnie o tym czasie miała miejsce:

Inde est, quod omnes credimus,
Illo quietis tempore,
Quo gallus exultans canit,
Christum redisse ex inferis.
Tunc mortis oppressus vigor,
Tunc lex subacta est tartari,
Tunc vis diei fortior
Noctem coëgit cedere [3].

I w to wszyscy wraz wierzymy,
Że o onej nocnej porze,
Kiedy kogut głos podnosi,
Jezus, Pan nasz, zmartwychpowstał.
Wtedy śmierci oścień złaman,
Wtedy piekieł pękły bramy,
Wtedy prawda wzięła górę
I noc fałszu rozproszyła.

Z tego wszystkiego wyciąga poeta ten wniosek, do jakiego

[1] Wiersz 37—48. [2] Wiersz 49—60.
[3] Wiersz 65—72.

już od początku dążył, tj., że nam usilnie z Chrystusem Panem czuwać trzeba i stać na straży czystego serca z modlitwą gorącą w duszy i na ustach:

Iam iam quiescant improba,
Iam culpa fulva obdormiat,
Iam nox lethalis, suum
Perpessa somnum, marceat.
Vigil vicissim spiritus,
Quodcunque restat temporis,
Dum meta noctis clauditur,
Stans ac laborans excubet.
Iesum ciamus vocibus,
Flentes, precantes sobrii;
Intenta supplicatio
Dormire cor mundum vetat [1].

Niechże teraz śpi nieprawość,
Niech spoczywa podstęp zdradny,
Grzech śmiertelny niechaj gnuśnie
W snu objęciach sobie gnije.
Lecz natomiast czujne duchy,
Gdy się nocy zamkną wrota,
Niech przez resztę dnia w modlitwie
W pracy, w trudzie straż trzymają.
Do Chrystusa w głos wołajmy
A gorące serc wzdychanie
I modlitwa szczera, święta
Sercom czystym zasnąć nie da.

Rzuciwszy pobieżnie, ale z właściwą sobie energią, głębokie myśli o znikomości złota, rozkoszy i uciech, szczęścia i honorów, które nas nadymają a ze świtaniem sądu „marnie prysną“, jak bańka mydlana, przyzywa światłość świata, Chrystusa:

Tu, Christe, somnum disiice,
Tu rumpe noctis vincula,
Tu solve peccatum vetus
Novumque lumen ingere! [2]

Ty, o Chryste, zbudź nas ze snu,
Ty potargaj nocy pęta!
Ty nas z dawnych rozwiąż grzechów,
Nowem światłem świeć nam w życiu!

(C. d. n.).

Ks. Władysław Czencz.

[1] Wiersz 73—84.
[2] Wiersz 96—100.

KSIĄDZ KAROL ANTONIEWICZ.

XII.

Apostolstwo słowem.

Dawno, zdaje się jeszcze za życia Antoniewicza zauważono, że malarz, któryby chciał nietylko wiernie odtworzyć jego twarz, postać, ale zarazem wskazać, streścić niejako w swym obrazie rolę jaką zajął, wpływ jaki wywarł, musiałby go przedstawić na ambonie wśród gęstych tłumów polskiego ludu, słuchających z natężeniem natchnionego słowa, bijących się ze skruchą w piersi. Istotnie Antoniewicz był poetą, był wybornym pisarzem ludowym, był nieocenionym kierownikiem dusz w konfesyonale, w prywatnych listach, w poufnych rozmowach; ale na pierwszem miejscu był kaznodzieją-misyonarzem: z ambony zarzucał sieci na najszersze i najgłębsze tonie, ambona napędzała apostolskiemu rybakowi najobfitszy połów.

Współczesne listy, zapiski; dzisiejsze mgłą czasu niestety osłonięte wspomnienia, pokazują jaki urok gorące to, z głębi serca płynące słowo wokoło roztaczało; jak kształciło rozum, przekształcało serce. Każdy niemal list Antoniewicza ze Lwowa, z Krakowa, ze Szląska, z Poznańskiego, z tarnowskich, sandeckich miasteczek i wiosek, kończy się jak zwrotką w pieśni: „Bóg miłosierny, cuda się dzieją!“; każdy ze zbyt rzadkich przechowanych dotąd listów zakonnych towarzyszów pracy, z listów wzruszonych słuchaczów, kończy się podobną, choć nieco zmienioną zwrotką: „Bóg miłosierny, cuda działa przez nauki O. Karola“.

Skąd ten urok, skąd ten wpływ tak powszechny na tak różne usposobienia, różne serca? Sam kaznodzieja zeszedszy dopieroco z ambony i zasiadszy swym zwyczajem do odpisywania na liczne w ciągu ostatnich dni nadeszłe listy, najlepszą, bodaj ze wszystkich najdokładniejszą, choć bardzo jeszcze niedokładną w tym względzie, daje nam odpowiedź[1]:

„Każde kazanie tak wysnuwam z serca, jak jedwabnik nitkę swoją. Za każdem kazaniem cząstkę życia wygadam i nie fizycznie, ale moralnie czuję się opadłym na siłach. Nie wiem czemu, ale zawsze jestem smutny, kiedy na ambonę wstępuję. Gdy na niej jestem, czuję się w ogromnej sile, bo nie tych kilku słuchaczy, cały świat widzę przed sobą, a Boga nad sobą. Jako posłannik boski czuję całą wielkość i godność posłannictwa tego; jako narzędzie, wiem żem proch w ręku Pańskiem. W sercu ogień się pali, a pierś go utrzymać nie może, a biedne płuca wystarczyć nie mogą!“

O znakomitym mowcu, O. Kajsiewiczu, który w tym samym mniej więcej czasie grzmiał z krakowskich ambon, prostaczkowie wyrażali się: „Jego panowie mogą zrozumieć“; Antoniewicza rozumieli wszyscy bez wyjątku i po słowach jego w pierś się bili. Głęboka pokora, ufność bez granic w miłosierdziu bożem, płomienna miłość Boga i płynąca z niej miłość dusz nieśmiertelnych — to właściwe źródło wpływu, uroku, jaki Antoniewicz kazaniami swemi wywierał. Do tych istotnych, wewnętrznych przyczyn dołączały się inne, bardziej zewnętrzne, bardziej przypadkowe, ludzkie, aby tak się wyrazić, ale które kaznodziei torowały drogę do serc, bez których najgruntowniejszemu nawet mowcy, czy występuje w parlamencie, w izbie sądowej, czy w kościele, zawsze czegoś, jakby jednej struny na instrumencie, brakować będzie. Antoniewicz — wedle zgodnych opisów słuchaczów — ledwie na ambonie stanął, ledwie powiódł okiem po zgromadzonym tłumie, a samo to spojrzenie, w którem przebijały przez długie lata nagromadzone smutki, z ktorego szły ognie gorliwości, ciągnęło wzruszało. Dźwięczny, z początku trochę

[1] Do ks. Sapieżyny. Lwów 9 maja 1850.

przytłumiony głos wciskał się do najbardziej ukrytych kościelnych zakątków; sięgał za cmentarne sztachety, za któremi daleko jeszcze, daleko falowało morze głów ludzkich. Zazwyczaj proste, łatwo przez wszystkich zrozumiałe, rzewną poezyą owiane słowa płynęły spokojnie, jak głęboka rzeka w pogodny, letni dzień; rzadko kiedy słowom towarzyszyły gesta; rzadziej jeszcze głos przechodził w wyższe tony. W wyjątkowych tylko okolicznościach — jak w czasie misyi po rzezi, lub w niektórych przemowach po pożarze krakowskim — przepełniające pierś, siłą woli zbyt długo tłumione uczucia, zrywały się niby gwałtowna burza, co hukiem grzmotów w najnieustraszeńszem sercu lęk budzi, blaskiem błyskawic najgłębsze ciemności rozdziera, czyści powietrze, drzewom i kwiatom bujny wzrost zapewnia. Spokojnie, jak do modlitwy złożone ręce, chwytały wtedy to za złożony na ambonie krucyfiks, to za krzyżyk przyczepiony do wiszącego u pasa różańca, wznosiły go w górę, i okazywały tłumiącemu dech, cicho płaczącemu ludowi obraz Zbawiciela, którego grzechami swymi przybił do krzyża. Kto raz był na takiem kazaniu, temu ono później przez całe życie w uszach i sercu dzwoniło. Bez poetycznej też przesady pytał i dziwił się głośny poeta, który, gdy tylko mógł, żadnego kazania Antoniewicza nie opuszczał [1]:

Ileż dziwów spełniła serdeczna wymowa?!...
Rzadkiej cnoty zakonnik i kapłan bez skazy!
Gdzie się bezład rozszalał, gdzie mord i pożoga,
Tam on biegł z krzyżem w ręku — a jego wyrazy
Najzuchwalszych przestępców zwracały do Boga.

Nie odrazu stanął Antoniewicz na tym stopniu wymowy, co prosto ze serca do serca płynie, przełamuje wszystkie zapory, i słuchacza porywa za sobą niepowstrzymaną siłą. W pierwszych, jak powyżej już wspomnieliśmy [2] — w Sączu wygłoszonych naukach i kazaniach znać pewne skrępowanie, czuć, że kaznodzieja sobie nie dowierza, że dopiero z pewnym mozołem, aż ze zbyt usprawiedliwionem wahaniem się szuka dróg, drożyn, na które

[1] List do Kajetana Koźmiana, po odczytaniu poematu pod napisem: „Stefan Czarniecki", przez Franc. Morawskiego. *Czas* z 9 grudnia 1852.

[2] Por. Rozdział V.: „W tarnopolskim i sądeckim klasztorze".

ma wstąpić; pyta i rozważa, jak doprowadzić do harmnii rozpierające serce uczucia, pchające się gwałtem do wyobraźni obrazy, ze świeżo poznanemi retorycznemi przepisami, formułami, przykładami. Tę cechę noszą na sobie sądeckie pasyjne i majowe nauki, przynajmniej w tej formie, w której kaznodzieja na papier je przelał; sądząc po wywołanem i przez nie wrażeniu, domyślać się wolno, że mowca poruszony widokiem słuchających tłumów mówił inaczej, serdeczniej, rzewniej, niż napisał w swym pokoiku, ze słowami się rachując, radząc się roztwartych wokoło retorycznych i teologicznych podręczników. Straszna powódź, co zmieniła Sądecczyznę jakby w jedno nieprzejrzane jezioro, a tysiącom zawsze biednych rodzin ostatni kawałek czarnego chleba odebrała, zniosła i sztuczne te tamy, hamujące naturalny rozwój wielkiego, ale zupełnie oryginalnego talentu. W tym samym kierunku poszły, pójść musiały płomienne kazania na misyach po rzezi; wyżłobiły one stanowczo i głęboko odrębne koryto, którem popłynęła odtąd misyonarska wymowa Antoniewicza.

Misyonarska wymowa, bo Antoniewicz we wszystktch swych przemówieniach, czy ściśle misyjnych, czy przygodnych lub świątecznych, czy nawet w żałobnych, jest zawsze i na pierwszem miejscu misyonarzem; gdyby jednem zdaniem określić należało nietylko cel i treść jego przemówień, ale i zewnętrzną ich formę, powtórzylibyśmy — co raz już trafnie powiedziano — że wyszły ze serca misyonarza-poety [1]. O subtelnie zapowiedziane i przeprowadzone podziały, o zręcznie dopasowane do nich argumenty się nie troszczy; nie ma wprost czasu o tem myśleć; o to jedynie mu chodzi, aby duszę słuchacza wzruszyć, wstrząsnąć, doprowadzić do zastanowienia się nad sobą, do błagalnej prośby z głębi serca płynącej: „Boże, zmiłuj się nademną grzesznym!“; do silnego postanowienia: „Użyję wszystkich środków, aby duszę swą zbawić!“ Na początku, często odrazu w drugiem, w pierwszem zdaniu, powiada poprostu: Rozmyślać będziemy o śmierci, sądzie, miłosierdziu bożem i następnie przedstawia szereg myśli, rzuca

[1] Por. *Przegląd (lwowski)* z 1 października 1893, fejleton p. t.: „Misyonarz-poeta“.

szereg obrazów o wskazanym przedmiocie, naturalnie ze sobą wspólną przewodnią ideą się łączących, ale nie wciśniętych zbyt skrupulatnie w ramy retorycznych przepisów. Podobnie mówili dawniej ojcowie Kościoła: Augustyn, Ambroży, w pewnej mierze i Chryzostom; podobnie przemawiają w nowszych czasach najznakomitsi misyonarze, ogniem bożym gorejący, na kartach dziejów Kościoła złotemi literami zapisani, aby wśród wielu nazwisk na pamięć cisnących się, wspomnieć tylko dwa najwybitniejsze: amerykańskiego misyonarza, Ojca Weningera; angielskiego misyonarza, kardynała Manninga.

Tylko, że ci dwaj i z narodowego i z osobistego temperamentu spokojniejsi i mniejszą siłą porywającej wyobraźni obdarzeni. Antoniewicz był nietylko kaznodzieją, ale i prawdziwym poetą. W wierszach stoi niżej od pierwszorzędnych poetów, bo zawsze jedynie dorywczo nimi się zajmował i nigdy nie opanował zupełnie rymowanej formy. Natomiast w kazaniach swych występuje niejednokrotnie jako natchniony wieszcz, czarem słowa porywa, potęgą coraz to innych, coraz to silniejszych obrazów, rzuconych na tle z Pisma św. dostarczonem, przykuwa uwagę, całego człowieka wstrząsa. Oczywiście inaczej przemawia nasz misyonarz w wiejskim galicyjskim, poznańskim lub szląskim kościółku; inaczej, innych dobiera porównań, zastosowań we Lwowie, Krakowie lub Poznaniu. Do chłopka umie się dziwnie zniżyć znajomością jego życia, potrzeb, pragnień za serce go chwyta; — w niewiele dni lub tygodni później, gdy przemawiać ma przed dobranem gronem ludzi wykształconych, znowu umie w odpowiednią stronę uderzyć, sięga wzrokiem w dawno minione dzieje, przywołuje na poparcie swych twierdzeń długie szeregi bohaterów, bohaterek z zamierzchłej przeszłości, dotyka najzawilszych zagadek, dręczących serce ludzkie, stawie je w świetle wiary, a tem samem rozwięzuje je zwycięsko. Inna forma, choć zawsze poprawna, piękna, najczystszą poezyą promieniejąca i treść ta sama: boże prawdy, cel ten sam: zbawienie dusz okupionych krwią Jezusową.

Z pozostałych i drukiem ogłoszonych kazań misyjnych powziąść zaledwie można słabe wyobrażenie, jaki to był misyonarz;

ci, co Antoniewicza słyszeli, co nasłuchali się entuzyastycznych opowiadań ojców swych i matek o „cudownym“ kaznodziei, nie mogą się wprost w tych naukach zoryentować, przerzucają kartkę za kartką i ostatecznie odkładają książkę z uczuciem doznanego zawodu: „Piękne tu myśli, piękne uczucia, — ale to nie nasz Antoniewicz!“ Wspólny to los wszystkich prawie wielkich mowców, tych zwłaszcza, których słowa tak ściśle, jak u Antoniewicza, z życiem się łączyły. Nasz misyonarz tem bardziej i pewniej był na los ten narażony, że ledwie parę z misyjnych nauk miał czas dokładnie i w szczegółach obrobić. Nauki, głoszone na misyach po rzezi galicyjskiej, były prawdopodobniej obszerniej spisane; nieszczęściem! wyjąwszy może jednej lub drugiej, zginęły bez śladu. Na następnych misyach zmęczony żniwiarz na łonie bożym zwykle późnym dopiero wieczorem, po dniu spędzonym na ambonie i w konfesyonale, myśli zbierał i szybko rzucał na papier krótszy lub dłuższy szkic, ale ostatecznie szkic tylko następnego kazania. Prawda, że i w tych szkicach czuć rękę mistrza, że nieraz i z takiego szkicu bez porównania więcej nauczyć się i skorzystać można dla siebie i dla innych, niż z wielu, wielu innych mozolnie podmalowywanych, malowanych i przemalowywanych, wedle wszelkich prawideł wykończonych obrazów.

Jakże zbawienną bojaźnią uderzyć, zadrżeć nie miały serca słuchaczów, gdy misyonarz jakby otwierał przed ich oczami ogniste, wieczne przepaści, do których grzech niechybnie prowadzi?!

„Któż opisze tajemnice piekła?...[1] Któż zrozumie potęgę tego ognia, który mści krzywdy Stwórcy swego? Przyłóżmy tylko rękę, tylko palec jeden, na chwilkę, na jedną małą chwilkę, do świecy żarzącej. O boleści okropna, przerazisz całą istotę naszą; lecz to tylko słaby płomyczek lichej świecy, co tylko miękki wosk stopić wydoła, to tylko ręka ludzka ten płomyk zapaliła, to tylko jedna chwilka bolu, to tylko ból na jednej tak

[1] „Kazania ks. Karola Antoniewicza“. Kraków 1893. „O piekle“, t. 1, str. 163.

małej cząsteczce ciała! Stańmy, stańmy przed temi hutami, gdzie bucha z czeluści pożerającej płomień, gdzie twarde bryły żelaza, od którego ciężkie odskakiwały młoty, jako wosk topnieją i strumieniami płyną, gdzie kamienie, które tylko siła prochu, ni stopić, nie zetrzeć, ale tylko rozsadzić wydoła, w przeźroczyste szkła spływają. Czy to jest ten ogień piekielny? Ach bracia, to tylko cień, to tylko ręka ludzka te płomienie wywołała; gdy im żywiołu zabraknie, ugasną, wystygną! Oto miasto całe w płomienistem staje przed nami morzu. Nikną dachy, domy, topią się kruszce, walą się mury, schną drzewa, wysychają od upału wody gdzie tylko oko spojrzy, płomieniste ścielą się fale, czarne toczą się dymu bałwany. Jęk, wrzawa, zgiełk. Czy to jest piekło? Ach bracia, to tylko pożar, to tylko iskierki potrzeba, to tylko jednego siarniczka, aby go wzniecić, to tylko kilka wiader wody, aby go ugasić, To tylko cień piekła, to tylko mniej jak cień. Stańmy na wierzchołku tych ogniem ziejących Wezuwiuszów — we wnętrznościach zgroza i spustoszenie, głuchy huk ciągle przeraża pobliskie okolice, w noc ciemną płomienie się migocą, dymy się wznoszą, jęknęła góra, morze opada, wszystko żyjące ucieka, uchodzi — wylał się zdrój lawy, płynie niszcząc i paląc wszystko, w ogień wszystko przemienia. Miasta nikną, wioski przepadają — jedna chwila całą okolicę kirem popiołów pokrywa. Ach bracia, czy to piekło, czy to ogień piekielny? Ach to tylko cień, to jeszcze mniej jak cień, to tylko prawo, dane od Boga naturze — to tok, jako woda, gdy wystąpi, wszystko zalewa, to tak te płomienie, gdy się z łona gór wydobędą, wszystko palą i niszczą — to tylko kilka takich gór na całem przestworzu ziemi. Przypomnijmy sobie te stosy zapalone, te żywe pochodnie Nerona, te kraty i blachy rozognione, na których męczennicy głosili moc Boga swego. To ta ich męka moment tylko trwała, to ta ich boleść tylko kilka godzin się przeciągnęła, to to Imię Jezus ochłodę przynosiło, to oni w pośród tych płomieni niebo widzieli otwarte. To tylko miłość Boga te ognie zapaliła. Ale ten ogień, bracia, który zemsta sprawiedliwości Boga zapali. Ach, w takim ogniu któż się ostoi? Ale ten ogień pali całą mocą wszechmoc-

ności boskiej, ale ten ogień, jako stworzenie mści krzywdy, Stwórcy swemu uczynione?“

Do potępienia wiedzie grzech, przekroczenie bożych przykazań. W szeregu praktycznych nauk rozbiera Antoniewicz każde po kolei z tych przykazań; wskazuje ścieżki, któremi się do grzechu dochodzi, odsłania zasadzki na drodze życia rozstawione. Przedtem grzmiał, groził, jak nowy Jeremiasz; teraz jako rozumny doktor, dobry nauczyciel, wybornie świat i duszę ludzką znający, analizuje, rzekłbyś, w poufnej pogadance choroby duszy, choroby naszych wsi i miasteczek, choroby całego społeczeństwa i lekarstwa na nie podaje.

„Kogo — pyta w pierwszej zaraz takiej pogadance o pierwszem bożem przykazaniu [1] — kogo ty masz za Boga? Cygana, wróżkę. Jak to? A tak, bo ty mówisz: Cygan więcej wie niż Bóg“.

„Pan Bóg nie chce, abym wiedział, ale ja z kart się dowiem. I grzeszycie i pieniądze tracicie i dyabeł bierze duszę, a wróżka pieniądze. Ty do niej idziesz i pytasz o numer na loteryę, ale, żeby wiedziała, toby sama wzięła. Ty idzież o męża! Winszuję ci takiego mężą, co ci cyganka wywróżyła z kart. A gusła, a zabobony, a zażegnania! O chcesz wiedzieć twoją przyszłość, bądź uczciwą, a będzie ci dobrze; co Bóg w mądrości swojej ukrył przed tobą, tego wiedzieć nie chciej. Ale znowu dyabeł przemienia się w anioła światłości. Wynajduje jakieś pobożne zabawy; nawet przy mszy św. modlitewki, ale nie święte rozdaje. Grzechy ci dyabeł odpuszcza, jak tę modlitewkę odmawiać będziesz! Rzuć to w ogień, co z piekielnego wyszło ognia; a pójdź do spowiedzi, bo żebyś sobie całą suknię z takich modlitewek ulepił, to nic ci nie pomoże. Dyabeł ci list z nieba posyła, lub raczej z piekła. Ty idź drogą prostą, przykazania chowaj, a dojdziesz do nieba, a za przewodnika miej Pana Jezusa, nie cygana; Matkę Boską, a nie wróżkę; za nadzieję — krzyż, a nie karty!“

W następnej nauce wypowiada wojnę przekleństwom i plotkom [2].

[1] „Kazania“, t. I, str. 265 np.
[2] „Kazania“, t. I, str. 268 np.

„Dziwują się ludzie, że źle na świecie, a jakże być może być dobrze, kiedy my wśród samych przekleństw żyjemy; powietrze i ziemia klątw pełne. Gdzie wieś, gdzie dom, gdzie głowa, na którejby przekleństwa nie było; ty je wymawiasz, a ono wraca do ciebie. Co uszło twego języka? Przeklinasz słońce, że piecze, deszcz, wiatr, pogodę, słotę. Co jest w domu twoim, coby nie było przeklęte? I piec, i ławka, i deska, i kamień. Patrz na ten kawałek chleba, co jesz; nim go do ust weźmiesz, ile razy ten chleb przeklęty? Przeklinasz, siejąc i żnąc, przeklinałeś, zwożąc i młócąc — przeklinałeś mielnik, przeklinałeś piekarnię; i tak chcesz, aby ten chleb od Boga tobie dany wyszedł ci na zdrowie twoje?!..,

„Ale co więcej, przeklinasz ludzi, nieprzyjaciół — ty, który kochać i błogosławić ich powinieneś. Wziął tobie kto grosz, a ty mu życzysz, aby go wszyscy dyabli wzięli. Ale co dziwnego? *Kochaj bliźniego, jak siebie samego,* a ty tak jemu, jak i sobie życzysz, aby cię czart porwał. Wiele to razy rzekliśmy: niech mnie wszyscy dyabli wezmą — nie dość jednego! A jak przyjdzie godzina śmierci i ujrzysz czarta przy sobie, cóż powiedzieć możesz? Sameś go chciał, sameś sobie życzył, aby cię wziął, on się nie da o to prosić; wprowadzasz go w dom twój, cóż dziwnego, że on w nim gospodaruje na wszelkie sposoby; ty jemu pod opiekę oddałeś żonę, dzieci, sługi, bydełko, gospodarstwo twoje; a tę opiekę to jak ręką namacać można!

„Nieprzyjaciół przeklinasz. Cóż dziwnego, kiedy przyjaciół nie szczędzisz? Przeklinasz żonę, a wiesz, co ona jest? Towarzyszka twoja; czyś zapomniał, coś przyrzekł przy ołtarzu? — Że ją kochać będziesz, a miłość czy przekleństwem się wydaje? Ale ona to i to zrobiła! Słuchaj, czy anioła, czy kobietę wziąłeś, czyś myślał, że ona już żadnych nie ma błędów? Popatrz się lepiej na siebie!... Źle zrobiła, to ją naucz, ukarz, ale czy to przekleństwem ją poprawisz — czy kiedy ją dyabłom oddasz, ona do P. Boga się nawróci? Zła jest, ale zapytaj sumienia twego, kto temu winien? Alboś ją złą zrobił, a wtedy przypisz złości twojej; albo już taka była — przypisz głupocie twojej. Wziąłeś ladaco dziewczynę i chcesz, aby była dobrą żoną! Sa-

meś ją taką uczynił, teraz coś zasiał — zbieraj. Gdzieś sobie szukał żony, czy w domu, czy w karczmie, czy na pracy, czy przy tańcu, czy w kościele, czy w karczmie? Tyś się nie z nią ożenił, ale z krową, z wołem, z koniem co miała, ale z urodą ciała jej. To ciało się żeniło, dusza o tem nic nie wiedziała — i dlatego pokąd ciało ładne, to idzie jako tako, ale jak zbrzydnie i postarzeje, to twoja miłość w nienawiść się obróci. Trwonisz czas, pieniądz, sumienie, a w dodatku jeszcze żonę przeklinasz; grad zboże, ty żonę przeklinasz; oszukał cię kto, ty żonę przeklinasz; ty nawarzysz piwa, a ona wypić musi — jakby ona na to była!...

„Żona męża przeklina. Mąż powie słówko, a cóż dziwnego? Zmęczony, znękany; a ty dziesięć może godzin musiałaś milczeć, to cię język świerzbi, szukasz okazyi wygadać się, wykłócić się. Mąż w domu nie siedzi, boś mu pełne uszy nagadała, natrąbiła, a dzieci widzą i słyszą, jak ojciec z matką w niezgodzie — a potem mają ciebie ojcze szanować, kiedy ty żony nie szanujesz; ma ciebie matko słuchać, kiedy ty męża nie słuchasz? Ma was kochać, kiedy wzajemnie siebie nienawidzicie! Przeklinasz dzieci twoje! Ledwieś na świat dziecko wydała, a już je przeklinasz; zaledwieś je z rąk bożych dostała, a już spieszysz, aby je dyabłu oddać. A czyje to dziecko? Moje! Nieprawda — boskie — a ty nie masz prawa boskiej własności przeklinać! Ukarać możesz, ale przeklinać — nie! Dziecko co złego zrobi — ukradnie — ty milczysz, bo u ciebie guziczek za grosz więcej wart, jak dusza dziecka, krwią bożą okupiona! Ty nazywasz je: K r w i ą p s i ą, k o ś ć p s i a — a czyja to kość i krew, jeżeli nie twoja? Wstydziłabyś się! Kiedy to tak prędko się wymówi — powiadasz — człowiek od młodości przywykł, od ojca i matki nauczył się! Więc chcesz teraz tego twoje dzieci nauczyć! Odzwyczaj się! Pomyśl, za każde słowo zdam rachunek! Jesteś panem języka twego — chciej! — Nie mogę, nie chcę. — Możesz, bo człowiek wszystko może, co chce. Żeby ci za każde przekleństwo kazano płacić — prędkobyś się odzwyczaiła.

„P l o t k i! plotki, oto zguba duszy, rodziny, wioski, kraju!

„W każdej wsi są tacy, nietylko baby, ale i gospodarze,

którzy zdaje się na to stworzeni, aby plotki siali. Ty zboże siej, ale nie plotki; zboża dwa razy do roku, a plotki cały rok. Co posiejesz, to zbierzesz; z plotek zbierzesz piekło. Co tobie do tego, czy taka, czy owaka; czy ty za nią będziesz zdawać rachunek? Czy ty za wszystkie kumy i kumoszki będziesz zdawać rachunek? Oto już idziesz na targ... Po co, masz co kupić, sprzedać? O! masz plotki do rozdawania, plotki do zbierania. Cały wór niesiesz i ciężko ci; trzeba wypróżnić coprędzej. Oj! sąsiedzi, żebyście wiedzieli, co to słychać! Oto wasz Stach, oto Janowa... i dalej od domu, po całej wsi, jak woźny, trąbisz twoje nowiny, brednie i drugim głowy zawracasz. Oj, radzę ci, wypędź, zamknij wrota przed taką plotkarką, ona ci cały dom do góry nogami przewróci. Próżniaczka, drugim pracować nie daje, pracuje językiem, rozdmuchuje ogień piekielnej niezgody. Młode małżeństwo: kochają się, zgadzają; zwietrzy taka baba i to ją gniewa; rok cały, a ja żadnego pożytku nie mam — nie kłócą się, oto ja to zrobię! I chce się z tobą zaprzyjaźnić. — No, a jak tam twój mąż? Kocham go i on mnie kocha. A ty się uśmiechasz szyderczo — a żona się przelęknie. ‚Może co wiecie?' Półgębkiem odpowiadasz: ‚Nie wiem'. Ale to nie tak łatwo uwierzyć. — Powiedzcie! — ‚Oto ludzie mówią, rozumiecie, że to on przed ślubem... Ale to może nieprawda... to wszystkiemu nie można wierzyć...'

„Pierwszy cień nieufności rzucony; pierwsza kłótnia, niezgoda. Żona zimna, podejrzliwa — mąż niespokojny. Przychodzi przyjaciółka. A cóż wam to jest? Cóż dziwnego, młoda, urodna żona... by męża ukarać, udaje, że drugiego kocha, a z udawania przyjdzie do prawdy... Oj! żebyto można na kłódkę zamknąć takie gęby, toby i kłódek nie stało na kupienie".

Kiedy indziej szkicuje sylwetkę nałogowego pijaka, chwiejącego się na nogach, bełkoczącego niezrozumiałe słowa, co z karczmy „zrobił sobie dom i niebo"; wchodzi do karczmy, opisuje jej ponęty; zagląda do nizkich chałupek i pyta: Co się tam dzieje, jaki tam stosunek męża do żony, rodziców do dzieci, gospodarzy do czeladzi?

„Nie wiesz [1], co to jest dziecko i dlatego nie umiesz być matką... Mówisz: Ja kocham moje dziecko. Jak dla zabawy, jak kota; dla pożytku, jak wołu; ale dla duszy, nie wiem. Matki przynosiły dzieci do Chrystusa, by je błogosławił; czy tobie o to błogosławieństwo Chrystusowe chodzi? Czego się dziecko od ciebie nauczyło? Pacierza, czy przekleństwa?! Jak co złego uczyni, to milczysz, ale jak garnek stłucze, to wrzeszczysz, bo garnek więcej wart, jak dusza dziecka twego. Kiedy trzeba mówić, to milczysz; a przeciwnie dziecko ukradnie, to ty pochwalisz, pogłaszczesz, że sprytne; córka się trzepiocze, stroi: a ty się dziwisz i cieszysz, że parobcy za nią w zaloty latają!

„Jakie dajesz nauki, jaki przykład? Kłócisz się w domu z mężem, a słyszą cię bluźniącą, a widzą cię pijaną — nie szanujesz ócz i ust dzieci twoich, mówisz i czynisz w obecności ich rzeczy, co się im ani widzieć, ani wiedzieć nie godzi. Jaki przykład mają? Mówisz: córko nie chodź do karczmy, a ona ci powie: A czemu pani matka idzie? Nie kradnij synu! A kto mnie nauczył spasać końmi łąki? W domu ładu i porządku nie ma, dzieci obdarte, obtargane, a ty o to nie pytasz. Nie mam za co sprawić. Wierzę, boś strwoniła, to coś na dzieci miała. Uczysz dzieci obmawiać — słuchasz z radością, jak ci plotki przynoszą. Masz dzieci na pastwiskach same, bez dozoru, czy nie wiesz, co się tam dzieje? Podrośnie córka, chodzi na muzykę, a czy ty bronisz? Ona się gniewa? A od czego ty matka? Jak ja jej pociechy wzbronić mogę? Czy dziecku, co chce palec w ogień włożyć, trucizny się napić, pozwolisz — bo chce? A to gorsze, jak ogień, jak jad; czy nie wiesz, co tam się dzieje? Pokaż dziewczynę, co się z tańców poprawiła, a ja ci pokażę tysiąc co się popsuły. Na ostatnim sądzie to córka skarżyć będzie: Tyś matko! pozwoliła, prowadziła.

„Córka podrośnie i chodzi do karczmy, później oczy i uszy jej muszą nawyknąć do złego; nasłucha się brudów, aż się w nich zamiłuje, niewinność za każdemi odwiedzinami znika. Wiesz, że ją parobek odprowadza, a ty jak malowana na to nic! Ta co

[1] „Kazania", t. I, str. 283 np.

jej się stanie! Wiesz, co jej się stanie? — co się stanie owcy, kiedy ją wilk do domu odprowadza? Czy twoja córka taka święta? Trzymasz ladaco parobka w domu, sama córka ci się skarżyła, a ty go nie wypędzisz? Ale drugiego nie znajdę, ale i drugiej duszy dla dziecka nie znajdziesz. To parobek więcej jak dziecko? On dobrze pracuje. A więc dla paru talarów zysku przedajesz duszę dziecka?

„Wyrośnie córka, za mąż ją wydajesz, ty jej szukasz męża wedle twego upodobania.

„Wdowiec stary, pełno dzieci, ale obiecał ci parę zagonów lnu, parę beczek kapusty i ty przedajesz szczęście dziecka; groźbą i biciem przymuszasz, aby powiedziała, że kocha, a ona do niego wstręt ma. Przyniósł ci wódki i przysmaków, że tobie słodko — córce będzie gorzko! Dziecko, jeśli dobre, to się zagryzie; jeśli złe, to się do reszty popsuje.

„A jaki stosunek między gospodarzem a parobkiem? Skarży się jeden i drugi, bo to dziś wszyscy się skarżą jedni na drugich, a nikt na siebie. Każdy dba o to, co jemu należy, ale nie o to, co od niego się należy — o prawo, ale nie o obowiązek. Każdy dla siebie święty, a drudzy ladaco. — A czy takich świętych pełne niebo? Nie, tylko piekło. Nie tych kanonizują, co innych potępiają, tylko tych, co siebie i ci idą do nieba. Gospodarz mówi: ja dogadzam moim ludziom, a nie mam pociechy. Jak dogadzasz? Dobrze im płacę. Czy to dość? Dobrze karmię. Czy to dość? Żeby twój parobek był wołem, krową — dośćby było. Nie dajesz iść na naukę, ale wieczorem do karczmy nie bronisz; na kazanie bronisz, ale nie na tańce. Za lada rzecz przeklinasz, za lada uchybienie odciągasz. Masz dziewki i parobków, jak czuwasz nad nimi? A przez twoje niedbalstwo gdy upadnie, z domu wypędzasz; gdy siły straci, służbę wymawiasz“...

Tak żarliwy misyonarz ostrzegał, napominał, gromił na wiejskich misyach, po wiejskich kościółkach. Przemawiając do grona ludzi wykształceńszych, w dworskich kaplicach, w miejskich kościołach, uczy niemniej jasno, napomina niemniej surowo, ale dla innych widzów inne tło obrazu, inny pendzel, farby. Nie znał strachu, gdy chłopskim bandom, rozlaną krwią

jeszcze pijanym, okazywał w całej ohydnej nagości dopiero co popełnione zbrodnie; nie zawahał się, gdy skarcić należało innego rodzaju, ale równie nieraz zgubne występki gnieżdżące się w pałacach, dworach, kamienicach. Bez miłosierdzia, głęboko w ranę sięgając, aby ją uleczyć, odsłaniał i potępiał fałszywe wymówki szulerów, rozpustników, złych ojców, złych mężów, upijających się szampanem, jak upijających się wódką pijaków; uczył czem nocne pohulanki po karczmach, uczył czem bale po pałacach, czem i jakie spustoszenie szerzą niecne piśmidła francuskie, po tytule i imieniu autora nazwane romanse.

Jaka np. znajomość życia i świata, jaka siła żadnemi względami nie hamowana, w kazaniu skierowanem przeciw „namiętności przebrzydłej, wynalazkowi godnemu piekła“: szulerskiej, dnie, noce, majątki pochłaniającej grze w karty [1]:

„Zważmy dzisiaj, czem się stała ta w sobie niewinna zabawa? Przenieśmy się myślą w te modne miejskie salony, w kosztownie umeblowane, malowidłami i rzeźbami przystrojone sale: od złota i haftów błyszcząca liberya zapala jarzące, w srebrnych kandelabrach światła, rozkłada zielone stoliki, do których licznie zgromadzonych gości grzecznie zasiąść zaprasza gospodarz! I cóż tu myślą czynić? Czyli te kupy złota i srebra i banknotów na ślepy los szczęścia kłaść zamyślają? Och! więcej, więcej! Oto łzy i rozpacz małżonek, oto przyszłość swych synów, oto cnotę swych córek, oto chłopków losy po ojcach sobie powierzone, oto sumienie, oto wieczność swoją kładą w karty na ślepy trafunek! I czyż to czynią ludzie szaleni, czyż to czynią ludzie z rozumu wyzuci, czyż to czynią ludzie w zbrodniach zastarzali? O bynajmniej, jest to kwiat towarzystwa modnego, są to ludzie dobrego tonu, dla których wszystkie drzwi stoją otworem, przed którymi podła podchlebców zgraja płaszczy się i poniża.

„Przypatrzmy się bliżej temu towarzystwu: Któż jest ten mąż siwizną przypruszony, poważny z wejrzenia? Oto jest dziedzic wielu włości, zostawił w domu młodą, cnotliwą małżonkę, zostawił synów i córki, którzy jego rady, nauki tak potrzebują

[1] „Kazania“, t. IV, str. 211. „O grze w karty“.

i spędza tu przy tym nieszczęsnym stoliku dnie i noce swoje! A żona w smutku i rozpaczy dnie swoje samotnie spędza w tejże godzinie, gdy on, przy rozpustnych częstokroć mowach, w wesołości serca zepsutego sypie złoto, ona klęcząc z dziatkami, łzami zalana, błaga o miłosierdzie Zbawiciela ukrzyżowanego nad nim i nad biedną dziatwą swoją. Niedawno była wesołą, hożą w domu rodzicielskim dziewicą; dziś żoną zaniedbaną, matką opuszczoną; złorzeczyłaby, gdyby jej religia złorzeczyć dozwoliła tym, którzy jej męża a dzieciom ojca wydarli.

„Któż jest ten młody człowiek? Widać, że jeszcze nieznajom świata, skądże się on tu zjawił? Ach! jest to syn bogatych rodziców, jest to jedyna nadzieja ich starości; wysłali go do miasta dla ukończenia nauk, dla wydoskonalenia się w pięknych od Boga użyczonych mu zdolnościach. Nie uszedł on, lub raczej pełna szkatułka jego, oczu tych zbójców duszy i szczęścia ludzkiego; wciągnęli go w swoje piekielne sidła, bez doświadczenia, bez stałości charakteru, padnie wkrótce i on ofiarą podstępu szatańskiego.

„Któż ten inny, młody człowiek, blady, ze zgasłem okiem. Nudota maluje się na pięknych, ale rozpustą i gwałtownemi namiętnościami napiętnowanych rysach? Och! niedawno, zaniósł do grobu szczątki ojca swego, odziedziczył po nim znaczny majątek, od dziadów, pradziadów krwawą, uczciwą zebrany pracą, lecz ten majątek, jak wosk przy ogniu niknie przy tym nieszczęsnym stoliku, przy łzach, przekleństwach biednych poddanych, niknie wraz z cnotą, uczciwością i zdrowiem.

„Lecz któż wydoła te różne, rozmaite określić charaktery osób, które się tu zgromadzają! I jakiż więc cel tej niewinnej zabawy? Oto nie inny, jak siebie lub tak zwanego przyjaciela uczynić nieszczęśliwym, wydrzeć mu majątek, zatruć sumienie i częstokroć nabić pistolet, aby sobie doczesną i wieczną nim śmierć zadał. Oto niewinna zabawa, oto sposób spędzenia czasu. Pójść na Mszę świętą, na kazanie — nie ma czasu! Zachować od Kościoła przepisane posty — nie ma zdrowia; dać jałmużnę — nie ma pieniędzy; pójść do spowiedzi — nie ma grzechów! Tak jest, nie ma czasu, ale jest czas dostateczny od rana do wie-

czora, od wieczora do świtu, a z dnia na dzień, z roku na rok siedzieć przykutym przy kartach. Oto nie masz zdrowia, ale jest zdrowie bezsennie spędzać noce przy kieliszkach mocnych trunków, których ta namiętność podsycania potrzebuje, a wstawszy od stolika, bezwstydnych szukać towarzystw. Oto niema pieniędzy biedną wspomódz rodzinę, ale jednej nocy przegrać tysiące, na los karty stawić sumę, któraby nie jednę, ale dziesięć, nie na dzień, ale na całe życie podźwignęła familię, nie ma grzechu. A czemże jest takie życie, jeżeli nie ciągłym grzechem, w którym jeszcze inne przebrzydłe uczynki, jak słowa zwrotki w pieśni się powtarzają...

„Jakiż skutek gry? Oto wygrać lub przegrać! — Oto ten człowiek, któremu Pan Bóg tak poszczęścił już w tem życiu, którego obdarzył majątkiem, pobłogosławił familią, został graczem! Sprzedaje się wioska po wiosce, nieszczęśliwa żona przewidując los przyszły dzieci: wiano, co wniosła, z tej otchłani wyratować usiłuje; ale napróżno. Groźbą, tyranią tego, coby jej opiekunem i obrońcą być miał, przerażona, podpisuje weksle, skrypta! Darmo pracą i oszczędnością stara się wyrwać co z tej ruiny upadającego szczęścia i spokoju domowego. Porzucić musi ostatnią wioskę, w której się może rodziła, w której dziecinne przepędziła lata, w której matką została, w której grób swój obrała. Zebrawszy ostatnie szczątki majątku, jedzie — straszną przed sobą mając przyszłość — jedzie do miasta, lecz i tu spokojnego nie masz dla niej pożycia. Widzi co ranka nielitościwych wierzycieli, którzy ostatnie sprzęty z domu wynoszą; te klejnoty, które jej matka na pamiątkę dała; te perły, które od dziadów, prababki swojej odziedziczyła, błyszczą na nieszczęsnym stoliku. Puste wkrótce pokoje; och! nieraz wesoły płomień na kuchni gaśnie, a ona tylko łzami może zgłodniałe nakarmić dzieci, tylko sercem ogrzać te drogie klejnoty miłości macierzyńskiej. Widok męża trwogą i żalem ją przeraża; drżą nieszczęśliwi, gdy słyszą powracającego kroki. Złorzeczenia, skargi, przekleństwo: oto im przynosi; łzy żony i dzieci, ten niemy wyrzut sumieniu jego uczyniony, do wściekłości go pobudza. — Gniew, piekielny ogień pożera serce jego!... Wkrótce znikło

w księdze towarzystwa ludzkiego to imię, niegdyś ze czcią i miłością wspominane. W ciężkiej służbie matka dni zakończy i pod cudzą opieką w domu sierót dzieci gorzko płaczą, a sam, sam sprawca tylu nieszczęść, oto zgryzotą pożarty, wspomnieniem dręczony, zwątlony na siłach i umyśle, straszne przechodzi koleje!...

Cztery kazania poświęcone pytaniu, jakim być ma, jakim zbyt często jest, polski, katolicki dom; jaka w nim rola przypada chrześcijańskiej dziewicy, żonie, matce [1]. Długim, wspaniałym pochodem przesuwają się mężne, świątobliwe niewiasty starego zakonu, idą za niemi ewangeliczne niewiasty, za niemi polskie święte, co doszły do świętości w królewskich zamkach, w magnackich pałacach, w klasztornych celach; idą — a każda z tych pięknych, wielkich postaci, palącym wyrzutem dla wszystkich, co tak daleko od wskazanych przez nie dróg odbiegli.

„Kiedy się uczysz jakiego języka, śpiewu, muzyki, to się starasz o najlepszego mistrza i nauczyciela; ale aby znaleść kogo, coby cię nauczył jak masz być dobrą żoną, matką i panią, ani pomyślisz! Prawda! to do matki należy — i ta nauka nie miesiącem, rokiem przed ślubem, ale od pierwszego poczęcia córki i syna począć się powinna — do tego całe wychowanie zmierzać powinno; ale niestety! któraż matka o tem pamięta? Aby wydać córkę za mąż — o tem to może za wiele myśli — ale aby w tem małżeństwie prawdziwe jej szczęście zapewnić, to rzecz poboczna; niechaj i duszę potępi, mniejsza z tem — byle męża dostała! — Przyjdzie wiek, gdzie młoda dziecina dzieckiem być przestaje i w dziewicę się zamienia! Jest to istota, którą niebo i ziemia szanuje, bo w niej nadzieje tak piękne, jak w pączku się kryją! Ona wkrótce może matką zostanie — ona wkrótce wstąpi jako duch opiekuńczy, wstąpi w progi domu mężowskiego i błogosławieństwo z sobą wniesie — ona może wkrótce w małym zakresie działań swoich nieprzeliczone owoce nieść będzie! Ale czas — aby pojęła i teraźniejszą godność swoją —

[1] „Kazania“, t. IV: O powołaniu kobiety (dwa kazania), o przygotowaniu się do stanu małżeńskiego, o wychowaniu chrześcijańskiem.

aby zrozumiała przyszłość swoją! Ale, gdzie ją pozna? — gdzież ją zrozumie? Dawniej młodą osobę, pokąd za mąż nie wyszła: strzeżono, pilnowano w domu jako najdroższego klejnotu, mało kto miał to szczęście zbliżyć się do niej — bo zaiste to było tylko zasługą waleczności i cnoty obywatelskiej! Pyłem bitwy zakurzony i krwią zbroczony pogańską — stawał młodzieniec przed dziewicą polską i nie sądził się godnym jej ręki, pokąd własną ręką nie bronił cnoty niewiast od strasznych napadów tatarskich!... Ale dzisiaj to nie idzie o to aby bronić sławy i honoru niewinności! Dziś Tatarów nie potrzeba, bo mamy w kraju naszym takich, co dziewiczej niewinności i cnoty stali się najeźdźcami, którzy z bezwstydnych nocnych wypraw, ważą się ze skalanem sercem stawać przed niewinną osobą, która ani podejrzenia mieć nie może i z całą niewinnością otwiera serce swoje i słucha z wewnętrznem zadowoleniem oświadczeń udanych, wymawianych temi usty, które może przed chwilą najohydniejsze bluzgały sprosności. I w takich to stosunkaah, w takiem otoczeniu, bez doświadczenia, bez nauki, wzrasta ten kwiat, rozwija dziewictwo na to, aby na niem brudna osiadła gąsienica i śmierć mu zadała.

„Gotuje się młoda osoba, aby wejść w stan małżeński, chodzi do szkoły, na teatra, które czem dzisiaj się stały, to widzimy. Wszystkie brudy i sprosności serca ludzkiego, przybrane urokiem słowa, przesuwają się przed serce niewinne. Cudzołóstwa, kazirodztwa, otrucia, sztylety — błyszczą się przed okiem, uderzają o jej uszy: słucha młoda osoba i nie zapłoni się twarz jej; patrzy i nie spuści oka swego — a czego jeszcze nie zrozumie, to wrodzona jej przenikliwość odgadnie. I tak dwie, trzy godziny wysiedzi i zaiste nie bez pożytku powróci do domu; i to matka własna prowadzi na takie przedstawienia dziecko swoje! Co teatr rozpoczął, to romanse dokończą, bo to już w system ułożony jest cały kurs zepsucia niewinnego serca! tak wyraźnie i tak pojętnie i tak zrozumiale, że ani ująć, ani dołożyć nic nie potrzeba. I matka twoja uczyła się całe życie, a przecież nie wiedziała, co dziś młoda osoba, gdy dopiero w świat wstępuje. A co teatr i romans w teoryi nauczył, tego

po balach i zabawach nocnych praktycznie próbować można. Bo te poufałości, które na balu najmniej nie rażą niczyjego oka, te tańce gwałtowne, które tak odznaczają charakter wieku naszego, te mowy tak dwuznaczne, a chętnie słuchane — te pewnie serca nie poprawią! I naco byś gdzieindziej przy zimnej krwi, uzbrojona powagą godności twojej dziewiczej nigdy nie dozwoliła, to na tych nocnych zabawach nic cię nie zraża! I kto, jakby gwałtem nieraz, młode osoby na te bale wyciąga? — Matki! i one pierwsze ten gust do zabaw zaszczepiły — że młoda osoba, nie mając już żadnej w domu pociechy, raczejby się nieba, jak jednego wyrzekła balu. — Trzeba tańczyć, choćby i na grobach braci! trzeba śmiać się, choćby wpośród łez potoków, trzeba jeść i pić, choćby pod progiem matka, siostra z głodu umierała! trzeba grzeszyć, choćby pioruny zemsty Boskiej grzmiały nad głową! To wszystko się nagrodzi, kiedy się w niedzielę Mszy św. wysłucha — kiedy wpośród zbytkami wystawy napełnionego stołu powie się parę frazesów o dobroczynności i miłości bliźniego!...

„I tak spędziwszy cały wiek dziewiczy na samych próżnościach — przychodzi chwila, gdzie zmienia się jej położenie: następują zaręczyny, a wkrótce i ślub! Ale, aby przynajmniej od tej chwili zaręczyn do ślubu i zaręczony i zaręczona nad tem, co czynią, zastanowić się chcieli, aby teraz przynajmniej jedno drugie poznało! Ale gdzie tam, to tylko ten czas na tem schodzi, że jedno drugie stara się oszukać, popisując się zaletami, których nie mają, kryjąc błędy, których aż nadto mają — i dlatego to po ślubie raptownie — jakby zasłona z oczu spadła! — ale już zapóźno!... To ten czas na tem mija, że pan młody myśli, jakby najmodniejszym ekwipażem i liberyą wystąpić, choćby za to w kilka lat przyszło piechotą chodzić; że pani młoda myśli, jakby wyprawą swoją, choćby z krzywdą rodzeństwa, cały elegancki świat w zadziwienie, zazdrość wprawić! Będę panią, otwarty dom będę prowadzić, męża potrafię zmusić, aby był posłuszny woli mojej, a jeśli nie, to będzie tego żałował!... Będę miał żonę, najpiękniejszą osobę w mieście; twarz i majątek jej posłużą mi do wywyższenia, a jeśli mi się ta niewola małżeńska

sprzykszy, potrafię sobie to wynagrodzić!... Ale czyś o tem myślała, jakie szczęście cię czeka; że będziesz matką, że powinnaś, nie spuszczając się na dozór sług najemnych, sama, jeśli ci zdrowie lub inne ważne przyczyny nie zakazują, piersią twoją wykarmić, ręką twoją wypielęgnować to dziecię, że twoje balowe, bezsenne noce — to są noce przy kolebce dziecięcia spędzone; że twój teatr — to jest śpiew, usypiający dziecię twoje; że taniec twój — to to dziecię na ręku twojem!...“

Szczególne, często bolesne, rzadko radosne okoliczności, szybkim krokiem za sobą spieszące klęski powodzi, głodu, rzeź w Galicyi, pożar Krakowa, zaraza w Księstwie, wywoływały potoki wymowy, jak lawa wrzącej, podobnej do tej wymowy izraelskich proroków, którym raz po raz za siebie przemawiać kazał. Z głębi zbolałego serca błaga Boga, aby nam grobów Świętych naszych niszczyć nie dozwolił; błaga z Jeremiaszem o miłosierdzie dla naszej nowej Solimy, jęczącej i pokutującej w prochu, w popiele; prosi w pokorze: „Za mury spalone, daj nam serca odnowione!...“

W przemowach tych — znowu jak w proroczych pieśniach — obok głębokiej, palącej miłości Boga i dusz ludzkich, dźwięczy rozumna, a tak gorąca miłość ojczyzny, że porównaćby ją chyba można z miłością Skargi, ostrzegającego przed zgubą: „Nie grzeszcie, bo Pan karać nas będzie!“ Z całą siłą, nie zważając na żadne poboczne względy, wytyka i gromi błędy narodowe; odpycha z oburzeniem fałszywy patryotyzm; uczy, na czem prawdziwy się zasadza. A jaką znów radością serce mu wzbiera, gdy chwilowo zdaje się, że błyska jutrzenka lepszej przyszłości; jak drży, aby chmury grzechów nie zakryły, nie rozpędziły pokazujących się nieśmiało na widnokręgu świetlanych promyków[1]:

„Naród wielki i potężny leżał w grobie złożony, przywalony ciężarem długu, zaciągniętego u sprawiedliwości boskiej, i Bóg spojrzał na ten naród, bo Bóg kochał Polskę,‘ bo Polska Boga kochała i szanowała, i uczynił ją był wielką i chwały pełną wobec świata całego, ale odkąd sprzeniewierzać się Bogu po-

[1] „O zmartwychwstaniu Pańskiem“, t. III, str. 172—175.

częła, tak widocznie błogosławieństwo Jego od niej się oddalało. Ale kochać jej nie poprzestał; wiara ojców była puklerzem, zasłaniającym synów przed gniewem i zapalczywością Jego; i łzy i modlitwy dusz wybranych wybłagały miłosierdzie Boga; i głos zlitowania odezwał się do nas wszystkich i do każdego z osobna, abyśmy rozwiązali te związki grzechu, które krępują serca nasze, czucia nasze, myśli nasze, bo zmartwychwstanie matki od zmartwychwstania dzieci rozpocząć się powinno, i potąd ciało narodowe nie ożyje, pokąd każdy z osobna nie ożyje członek! Sprawa narodowa jest sprawą wielką i świętą, a jeśli kto temu duchowi przeciwnie działa, ten siebie spodli i shańbi, ale nie tę sprawę. Dlatego, aby pojedynczych osób przekroczenia nie były powodem odwrócenia i zniechęcenia dla dobrze myślących, ale przeciwnie zachętą do wytężenia wszystkich sił, aby ta narodowość której ziarnko rzucone pod błogosławieństwem boskiem, coraz piękniej i swobodniej rozwijać się mogła w obfity owoc na przyszłość; pocznijmy wszyscy, którzy kochamy ziemię naszą rodzinną, od zmartwychwstania naszego.

„Ależ, powie może kto: I z czegóż ja mam zmartwychwstać? Ale nie łudźmy się! bo niemasz między nami nikogo, któryby tego zmartwychwstania mniej więcej nie potrzebował! Bo jako w pojedynczych rodzinach, które są narodami w miniaturze, tak też i w całym narodzie niemasz jednego człowieka, któryby nie mógł zgubnego, albo błogosławionego wpływu na ogół wywierać. Weźmy naprzykład pierwszą lepszą polską rodzinę; w niej matka niedbała o wychowanie dzieci, o zarząd, porządek domowy; matka, która dziecka nie kocha i obcej niedoświadczonej osobie porucza jego wychowanie, najświętszy, najważniejszy obowiązek z siebie zwalając na innych, albo która tak dziwaczną kocha dziecko miłością, żeby lepiej mu było — co aż wstyd i żal wymówić — gdyby żadnej matki nie miało! Żona rozrzutnica, która drogi pieniądz wysyła za granicę dla sprowadzenia modnych łachmanów, aby stroić to ciało, które może jutro w grobie gnić będzie; a co gorsza, traci pieniądz na kupowanie i sprowadzanie najplugawszych francuskich romansów i książek bezbożnych, klątwą Kościoła nacechowanych i traci

czas nad niemi i wytępia w sercu swojem piękną polską narodowość, która zawsze była katolicką! Córka płocha, lekkomyślna, w sobie zakochana, sobą tylko zajęta! A w takiej rodzinie, gdzie taka matka, żona i córka, cóż widzimy? Nieład, rozprzężenie, kłótnie a może i co gorszego! — O matki, matki polskie! pamiętajcie, że nie jesteście tylko matkami dzieci waszych, ale matkami całego narodu i całej przyszłości; nie od zepsucia dzieci, ale od zepsucia matek począł się upadek narodu, kiedy mu niedołężnych na duszy i ciele wychowywały synów; od was więc niechaj się dziś i zmartwychwstanie rozpocznie kraju tego; tu nie idzie o słowa, ale o czyny! W waszem sercu jest los narodu, przyszłość jego; wy, wy jesteście kamieniem węgielnym szczęścia jego. Z ust waszych dziecko wasze pierwsze słowo prawdy posłyszy, z serca waszego w serce jego pierwszy niechaj się wszczepi zaród cnoty! Wy będziecie miały współudział w błogosławieństwie lub przekleństwie, które ściągnie na kraj cały dziecko wasze; pamiętajcie, że przed sądem Boga i narodu za dzieci wasze odpowiadać będziecie. Nic nie pomogą wszystkie umiejętne zakłady wychowania, podróże, jeśli z rąk waszych nie wyjdzie dziecko wychowane po polsku, po katolicku.

„A ty żono polska, pamiętaj na tę przysięgę, którąś przy ołtarzu uczyniła, abyś nietylko uczynkiem nie złamała wiary małżeńskiej, ale ani żądzą, ani myślą dobrowolną! Zdradzając męża, zdradzasz kraj cały, bo Boskie przeklenstwo na kraj ściągasz; serce twoje brudne i podłe kłamie tylko uczucie i sentymentalność, ale polska żona w takim grzechu nie szukała uczucia i zbrodni nie przezywała sentymentalnością, bo ona kształciła życie swoje wedle wzorów Pisma świętego i świętych niewiast na jakich w Polsce nigdy nie zbywało i dziś, dzięki Bogu, nie zbywa.

„A ty, polska dziewico! porachuj się tylko szczerze z sumieniem twojem. Czy ty ojczyznę, czy tylko siebie w ojczyźnie kochasz? Rozpoznaj dobrze, jakiego rodzaju jest egzaltacya twoja? Czy jest ta egzaltacya na wierze, bojaźni i miłości Boskiej opartą, która prowadzi do wielkich czynów, ofiar i poświęceń, jako mamy przykład w Judycie, Deborze, matce Ma-

chabejczyków i innych; czyli ta egzaltacya nie jest tylko tą rakietą, która strzeli w powietrze, wiele szumu narobi, iskrami się rozsypie i... zgaśnie, ale ani światła, ani ciepła nie da? Ty chcesz ocierać łzy matki-ojczyzny, a własnej matce łzy wyciskasz; ty udawanemi częstokroć łzami płaczesz nad ojczyzną, a biedna matka prawdziwemi płacze nad tobą łzami! Mów mało, a módl się więcej, a sobie i krajowi więcej szczęścia i swobody wyjednasz — bądź dobrą, uprzejmą, pobożną, skromną i miłosierną — jednem słowem, bądź prawdziwą, polską, katolicką dziewicą, a Bóg i ludzie kochać cię będą — a niebo i ziemia błogosławić ci będzie!"

Kochasz Boga i ojczyznę, kochasz jej przeszłość, nadziei o przyszłości stracić nie możesz; to znać musisz i kochać, co w ojczystych dziejach było wielkie i święte. Najwybitniej i najpiękniej odbiły się zdrowe, ojczyste tradycye, heroiczne narodowe cnoty w świętych polskich patronach; kolejno splata im też kaznodzieja przecudne wieńce i na grobowcach po całej Polsce rozsypanych je składa; kolejno maluje, podnosi charakterystyczne ich cnoty. W natchnionych tych pochwałach żaden z polskich kaznodziejów — śmiało powiedzieć to można — Antoniewiczowi nie sprostał. Tu znowu kościelnemu mowcy podał rękę poeta; znowu z zakłopotaniem zapytaćby można: Czy to kazanie, panegiryk, czy raczej w najpiękniejsze barwy poezyi przybrany hymn pochwalny?

Takim hymnem jest np. kazanie o świętych polskich patronach, wypowiedziane na uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego[1]. Niebo się roztwarło, widać hufce Aniołów otaczające Zbawiciela; ciągną długie szeregi sług Bożych, a w pośród nich gromadka polskich świętych. Każdemu z nich poświęcona niby jedna zwrotka w pieśni; każda zwrotka stale powtarzającą prośbą się kończy.

„Salomea uboga wpośród skarbów, pokorna — w blasku chwały. Pani dwóch narodów została służebnicą wszystkich ubogich i chorych, dziewica i żona stała się matką wszystkich wdów

[1] „Na Wniebowstąpienie Pańskie", t. III, str. 207 np.

i sierót. Dwa narody radowały się u podnóżka tronu jej, dwa narody płakały na mogile jej. Pokora wyciskała jej łzy, gdy po złotych stopniach na tron wstępowała; boleść zalała jej serce goryczą, gdy purpurę oblokła, ale radość rozpromieniła jej oko, radością odżyło jej serce, gdy złożywszy koronę i purpurę u stóp krzyża, włożyła wianek cierniowy na skronie swoje, pokryła ciało grubym zakonnym habitem... Kochała św. Salomea Polskę na tronie będąc, kochała w klasztorze i dziś ją kocha w niebie! Św. Salomeo módl się za nami!...

Jozafat przed tronem Boga żywego, w którego ręku są losy tak pojedynczych osób, jak i całych narodów i błaga i błagać będzie, pokąd Rzym pieśni zwycięstwa nie zaśpiewa po całym świecie. O nie daj, aby duch niezgody wkradł się pomiędzy nas, broń dzieci jednej Matki-Ojczyzny, od wszelkiego rozdwojenia i odszczepieństwa! Ś. Jozafacie módl się za nami!

A wy wonne lilie dziewictwa, dwie drogie perły w koronie polskiej, Weroniko i Bronisławo, córki zakonu św. Norberta w ubogim zwierzynieckim klasztorze w Krakowie, komuż dziś imię wasze nie jest znane? Tyś Weroniko uprosiła u Boga i przepowiedziała Kazimierzowi świetne zwycięstwo nad Szwedami; uproś nam u Boga zwycięstwo nad wszelkiemi namiętnościami naszemi! — bo próżne wszelkie usiłowania do pokonania nieprzyjaciela zewnętrznego, pokąd wewnętrzny nieprzyjaciel: pycha, niezgoda, rozwiozłość, sobkostwo i t. d. pokonanem nie będzie! Bronisławo święta, której ciało rój miodnych pszczółek odkrył w rozburzonych sklepieniach, broń sławy naszej przed Bogiem i ludźmi, broń nas od grzechu, abyśmy nie odtrącali tej ręki miłosierdzia, wyciągniętej na podźwignienie nasze! ŚŚ. Weroniko i Bronisławo módlcie się za nami!

Prześwietna Wszechnico krakowska! Chwała tobie i cześć! Tyś wykształcała mężów, cnotą i mądrością po całym wsławionych świecie! Tobie winna Polska Jana Kantego, który mądrość świecką z mądrością Boską tak ściśle i zbawiennie połączyć umiał! Oczy twoje, to były dwa źródła nigdy nieustających łez, któremiś opłakiwał i własne najmniejsze niedoskonałości i grzechy całego narodu. Uszy twoje na głos nędzy bliźniego zawsze otwarte

były; nogi twoje wydeptały ścieżki do szpitalów i przybytków boleści i rozpaczy; usta twoje, które tak często powtarzały te najsłodsze imiona: Jezus i Marya, nigdy kłamstem, potwarzą się nie splamiły! O naucz nas dobrze języka używać, aby nie został podłem narzędziem, podłych namiętności serca; naucz nas, kiedy i jak mówić, kiedy i jak milczeć mamy! Błogosławiony Janie Kanty, módl się za nami!

Osobne kazania poświęcone św. Janowi Kantemu [1], św. Stanisławowi Kostce w inną uderzają strunę. Liryczny hymn zmienia się jakby w uroczą sielankę; na tle włoskich gór, uroczych gajów ukazuje się pielgrzym dążący z Krakowa do wiecznego miasta; dążymy za nim później pod mury Jerozolimy nieszczęśliwej; witamy z nim razem wierzchołki gór ojczystych, Tatr i Beskidów; słuchamy, jak woła stanąwszy na śnieżnych ich szczytach: „O bracia moi! o! gdybyście Boga tak kochali, jak zasługuje na to, o! ileżby błogosławieństwa zlał na ziemię waszą!“

I z młodziutkim, anielskim Stanisławem [2] pielgrzymujemy przez Polskę, Niemcy, Włochy. „W dalekiej północy — opowiada nam — tam się wznoszą wieże zamku Rostkowskiego, tam mieszka ojciej mój, kasztelan zakroczymski. Lecz oczy moje już nie ujrzą ojczystego progu, moje serce nie spocznie już na sercu matki mojej, bo serce moje już nie moje“... „I stanął nakoniec młody pielgrzym przed murami Rzymu, pod murami tej stolicy dwóch światów: pogańskiego i katolickiego Rzymu. Rzym pod Rzymem, żyjące ciało na trupie. Rzym żyjący, Rzym katolicki: duchowa głowa świata całego; Rzym pogański, Rzym umarły, to trupia główka świata całego. Te ułamki, szczątki łuków, amfiteatrów, wodociągów, to połamane szczątki tej roztrzaskanej czaszki. Idzie Stanisław przez te ulice i rynki, gdzie płynęła krew męczeńska; gdzie nogę postawi, świętą depce ziemię; wszędzie, gdzie okiem rzuci, zwycięskie wiary pomniki. Rzuca się do nóg wicekróla, księcia Gandyi, a teraz ubogiego zakonnika, Franciszka Borgjona. Spojrzał Franciszek na Stanisława, podniósł go: święty świętego

[1] „Kazanie“, t. III, str. 385 np.
[2] T. III, str. 390 np.

poznał. Młode serce Stanisława, a serce dojrzałe Franciszka w jedną miłość spłynęły. Książę Gandyi i kasztelanic zakroczymski — ubogi zakonnik i pobożny pielgrzym w Bogu się poznali".

„Kościół — uczył Antoniewicz w jednem z swych kazań wygłoszonych na krakowskich gruzach [1] — oddaje nas pod opiekę świętych swoich, naznacza w niebie opiekunów dla ziemi; Kościół, aby uczynić ściślejszym związek miłości świata z zaświatem, czasu z wiecznością, nakazuje i prosi, abyśmy przyjęli opiekę nad duszami zmarłych". Boje, zwycięstwa, wawrzyny niebieskich opiekunów malował kaznodzieja w porywających obrazach: pokazywał na Pawle, jak do Boga całym sobą trzeba się nawrócić; w Walentym, Dorocie, w Zofii i trzech jej córkach rozwijał dzieje ciągłej, zapamiętałej walki poganizmu z chrześcijanizmem, siły ludzkiej i szatańskiej z siłą boską; w powołaniu, w cnotach Teresy, Franciszka Serafickiego, Franciszki de Chantal, Ignacego, Benedyktyna, różne stopnie, różne rodzaje i odcienia świętości szkicował, odsłaniał nieznane światu, a tak na losy świata wpływające, tajemnice umartwienia, pokory, modlitwy; tajemnice, walki, tryumfy ukrytego w Bogu zakonnego życia. Niemniej gorąco razem z Kościołem wzywa, napomina: Nie zapominajcie o duszach pokutujących w czyścu! Stojąc nad świeżymi grobami nie sypie tylko na nie szybko więdniejących kwiatów, ale wzywa do złożenia trwałych i istotnie pożytecznych wieńców, uwitych z modlitwy i pokuty; nie bawi się nigdy w sentymentalne frazesy, ale zwraca się z serdeczną z wiary zaczerpniętą pociechą do najbliższych, z poważną nauką do wszystkich. Jak na misyjnych cmentarzach, jak w wspaniałych, wielkomiejskich kościołach, jak w ubogich klasztornych kapliczkach, tak wobec otwartych trumien, ze srebra czy z kilku sosnowych desek, mieszczących w sobie zwłoki wielkorządcy całego kraju, czy biednego Hucuła, zawsze i przedewszystkiem jest kapłanem, apostołem. W tem główna tajemnica jego wymowy, w tem jej czar, w tem źródło jej potęgi.

---

[1] Nauka przy rozpoczęciu odbudowania spalonego kościoła Franciszkanów krakowskich", t. IV, str. 319.

Czem był Antoniewicz, jako kaznodzieja, co działał i zdziałał? Niech odpowie jeden ze słuchaczów poznańskich [1], który pod świeżem wrażeniem natchnionego słowa, wygłoszonego w uroczystość Trzech Króli, sam poeta, wpływ, rolę i powołanie poety-misyonarza szkicuje:

Myśmy tym ludem, myśmy tym narodem,
Co się na krzyżu rodził i umiera.
Lecz my nie silni — pod ciężarem krzyża
Odwaga słabnie, czucie się poniża,
Niepokój śmierci serce nam rozdziera,
Życie drętwieje, pierś ścina się lodem!
Tyś to zobaczył i w straszliwej chwili,
Gdy ciało w mękach konania się sili,
A duszę dręczą okropne zwątpienia;
Niebiański głos twój do znękanych woła
Słowem proroka i czuciem anioła:
„Odwagi bracia, niebo za cierpienia!“
A potem jeszcze mówiłeś z kolei
O gwiazdce wiary, miłości, nadziei,
I boskiem słowem błysnąłeś jak ona
I czucieś zbudził z zdrętwiałego łona
I pierś zapalił — wzruszył tak głęboko,
Że łzą zabłysło obumarłe oko,
A my grzesznicy, a my skamieniali,
Łzami pokuty płakali!
Niebo przyrzekasz — lecz drogę do nieba,
Kryją manowce, ostry cierń zasłania,
A nam brakuje siły i wytrwania;
Wiary brakuje — wiary nam potrzeba!
Uczże nas wiary i jak gwiazda owa,
Co do stóp Zbawcy wiodła mędrców Wschodu,
Nam do trudnego przewodnicz zawodu,
Światła promieniem, mocą twego słowa!
Niebo przyrzekasz, lecz Chrystus powiedział:
„Nie może być w niebie,
Kto nie ukocha bliźniego, jak siebie“.
A w naszych sercach taki wielki przedział,
Wróg rodu związek świętych uczuć zrywa,
Targa braterskiej miłości ogniwa!
O! Ty nam wskazuj, jak przebaczać winy,
Tulić do serca obłąkanych braci,

[1] Stan. Koźmian. Z początkiem stycznia 1852, przebywał Antoniewicz w Poznaniu.

O! Ty nas naucz, jak cierpień przyczyny,
Błogosławieństwem się płaci....
Niebo przyrzekasz — ale nasze dzieje
Łzami pisane, a w niedawnej chwili
Tyleśmy zwodnych omamień przeżyli,
Że już i nieba tracimy nadzieję.
Broń nas od zwątpień, broń nas od rozpaczy,
Lepszą nadzieją pocieszaj tułaczy!
Daj nam wiarę w zmartwychwstanie!
Daj nadzieję w nieśmiertelność!

Ks. Jan Badeni.

GUYAU A ETYKA PRZYSZŁOŚCI[1].

Pewnego dnia na wybrzeżu morskiem w Guetary w pobliżu Saint-Jean de Luz siedział młody człowiek i zadumany patrzył na gromadkę dzieci, igrających z falami oceanu. Na brzegu było rojno i gwarno; dzieci, podkasawszy odzież, czekały na nadpływającą falę morza, a potem nagłym pędem, wśród krzyków radości i strachu przed nią uciekały. Młody obserwator był poetą. Widok dziatwy, igrającej z potężnym oceanem, nasunął twórczej wyobraźni obraz myśli ludzkiej, silącej się na pogłębienie zagadek i tajemnic świata, a w rzeczywistości igrającej tylko dokoła niezgłębionej przyrody. Czyż i my — myślał — nie ślizgamy się tylko po zewnętrzu jej powierzchni, a nam się wydaje, żeśmy jej wnętrze poznali? Czyż sztuka i nauka nawet nie zatrzymują się tylko na brzegu tej zionącej otchłani, a my sądzimy, że one jej głębie przenikają?

Istoty wątłe, oto morska fala
Ściga was i Ocean, gromiąc, pędzi zdala.
Jakżeście nam podobne, nierozumne dzieci.
Tak, jak was w niepochwytne swoich splotów kręgi,

[1] A. Fouillée, *La morale, l'Art, la Religion d'après Guyau.* Z polskiego przekładu J. K. Potockiego wyjęliśmy przytoczone poetyczne ustępy. Przytoczone dzieło, prócz pewnego punktu oparcia, ma dla nas i tę wartość, że dwaj przyjaciele, obaj pozytywiści i ewolucyoniści, Guyau i Fouillée dopełniają się w niem poniekąd w wytworzeniu nowego w pozytywizmie kierunku, o którego zaznaczenie głównie nam w tej rozprawie się rozchodzi.

Nas przyroda zagarnia, mgliste widnokręgi
Roztaczając, gdy oko zmienionych barw wstęgi
U powierzchni jej liczy. Kiedy wśród zabawy
Sztuk i nauk jesteśmy pewni zwycięstw sławy,
Pewni, że już przyrody opór pokonany,
W dłoniach naszych zostaje trochę mętnej piany —
Z wiekuistej otchłani, co wśród nocy wyje,
Głąb wszechświata, jak dawniej, w tajnych mgłach się kryje.

Treści świata przeniknąć wzrok nie może wcale,
Wszystko uchodzi przed nim, jako owe fale,
Które w otchłań ruchomą dążą, coraz inna,
Myśl nasza na tym świecie, jak bańka dziecinna.
Rodzi się wśród ślepych potęg — ze zdziwienia,
Jaśnieje i po chwili ginie wśród zniszczenia
Fal życiowych. . . . . .

Tak marzył przy zabawie dzieci i tak rozumował, zmarły przed ośmiu laty, Guyau. Człowiek młody i śmiały, głęboki myśliciel i utalentowany poeta w krótkiem swem 33-letniem życiu poruszył cały szereg najaktualniejszych i najdonioślejszych kwestyj, a wszystkie traktował z taką przenikliwością i tyle nowych idei wrzucił w teoretyczną dziedzinę etyki i estetyki, że pod ciosami potężnego jego pióra w gmachu panujących pojęć niemały utworzył się wyłom. Nie wiemy, czy może coś bardziej scharakteryzować wybitny i oryginalny ten umysł, jak powyżej przytoczony ustęp, z jego poezyj wyjęty. Rzecz każda, drobnostkowa nawet, jakiś widok przyrody, scena jakaś z życia ludzkiego, wypadek powszedni, na który może nikt nawet nie zwracał uwagi, wszystko to nasuwało mu myśli poważne, głębokie, nieraz nawet wielkie. Co najciekawsze i najsympatyczniejsze w tym człowieku, to niepohamowany pęd do prawdy. Umysł ten od pierwszej chwili swego dojrzalszego rozwinięcia aż do śmiertelnej pościeli rozbijał się wszędy za prawdą, a szukał jej z takim zapałem i tak bez żadnych zastrzeżeń — choćby rozwiać się miały ideały wszystkie i wszystkie złote marzenia, — że aż podziw wzbudza. Sam mówi w swoim „Wierszu filozofa“:

Prawda, wiem o tem, rodzi cierpienie,
Widzieć tu nieraz śmierć i zniszczenie;
Cóż stąd! Wy oczy patrzcie do końca.

Dla ludzi takich, choćby nawet nie doszli do wytkniętego celu ma się zawsze cześć i szacunek.

Jakie były etapy w pochodzie za tą prawdą, którą on ładnie świtem boskiej jasności nazywał, jak kształtował i ubogacał się ten umysł, jak jedno pojmowanie świata ustępywało miejsca drugiemu, a to z czasem i z nabywanem doświadczeniem przekształcało się i przemieniało w stałe przekonania: — cała ta ewolucya umysłowa młodego myśliciela i marzyciela przedstawia bardzo ciekawy widok. Początkowo wyobrażał on sobie cały świat, jako jedną powszechną pracę nad wcieleniem w życie dobra i szlachetności; jedni dążą do tego celu świadomie, inni nieświadomie i po ciemku, ale ostatecznie wszyscy wskutek niezłomnych praw natury do tej wspólnej harmonii się przyczyniają. Miłość ożywia wszystko, nawet atom materyi tej sile ulega.

I oto drga już wszystko: do atomu
Nawet niebiańskich dźwięków odgłos już dolata,
Nikt już bowiem samotnym nie jest wśród ogromu,
Jedno „kocham“ stanowi jedną duszę świata.

Ten słoneczny pogląd na świat zaciągnął się wkrótce chmurami. Młodzieniec patrzył na śmierć osób najbliższych, widział wiele cierpień i bolów, przekonał się, że w życiu dzieje się źle i na wspak dotychczasowym jego ideałom, począł się więc męczyć nad pogodzeniem tych sprzeczności. Początkowo wystarczała mu neo-platońska doktryna postępu, dość nawet oryginalnie przezeń pojęta. Świat ten wydawał mu się wtedy jako jeden mniej doskonały szczebel, wchodzący we wielką drabinę światów, w których postępowo wcielone są wszystkie możliwe stopnie doskonałości, od doskonałości bezwzględnej począwszy, aż do niedoskonałej materyi. Z czasem i te idealne fantazye ustąpiły przed nasuwającemi się nowemi wątpliwościami; trzy główne, metafizyczne pojmowania świata, optymizm, pesymizm i obojętność przyrody przedstawiły się wówczas Guyau'wi jako równie niepewne. „Jak tu wybierać i rozstrzygać — pisze w *Esquisse d'une morale* — między trzema hypotezami, przyrody dobrej, przyrody złej i przyrody obojętnej? To też urojeniem jest, kiedy za prawo człowieka uważamy zasadę: zgadzaj się z przyrodą! Czem jest

przyroda owa, nie wiemy". A jednakowoż potrzeba się silić na jej odcyfrowanie, bo cała ta przyroda, bo to, co nas otacza, jest tem, co my kochamy, a przedmiot naszych chęci i kochań w swojej zasadzie, czyli istota dobra i piękna powinna nam być znaną.

Od tej chwili, w której kwestya w ten sposób sformułowana stanęła przed umysłem Guyau'a, odtąd datuje się jego działalność pisarska. Teorya sztuki, religii i moralności, to było całe zadanie dalszego jego życia.

Ale studya nad tymi ideałami duszy ludzkiej były nawet dla tak bystrego umysłu, jakim był Guyau, rzeczą niełatwą. W innej każdej epoce, w której główne a przynajmniej pierwsze zasady filozofii są ustalone i powszechnie przyjęte, umysł tego rodzaju byłby dokonał rzeczy pomnikowych, — Guyau widział dokoła siebie tylko rozrzucone ruiny po prawdziwej filozofii. Był to czas, kiedy słońce pozytywizmu i skrajnego ewolucyonizmu stało jeszcze w zenicie. We wszystkich dziedzinach umysłowości panował wir i zamęt, wszystkie pola podciągano gwałtem pod ryzę eksperymentu; bożek tej epoki, Spencer, przygotowywał dopiero do druku główne swoje dzieło etyczne. W sam środek tego wiru wpadł Guyau i dał mu się niestety porwać. Platon i Kant opierali się w nim jeszcze zrazu szturmom ewolucyonizmu i pozytywizmu; biedził się jeszcze długo nad pogodzeniem platońskiej i chrześcijańskiej idei dobra, kantowskiej idei kategorycznego nakazu z wynikami analizy psychologii doświadczalnej i z prawami ewolucyi — ale w końcu duch czasu wziął górę i nad nim.

Powiadają zazwyczaj, że ludzie stwarzają epokę — równie prawdziwem jest zdanie, że i epoka tworzy ludzi. Guyau wnosił w przedsionek comteowsko-spencerowskiej doktryny umysł dyametralnie przeciwny temu, jakiego ta doktryna wymagała. Zdawałoby się, że intuicyonista, poeta, metafizyk i syntetyk nie potrafi się żadną miarą przetopić w epigona pozytywizmu, wykreślającego z góry ze swego programu pomienione właściwości umysłu. Ale w naturze dzieją się rzeczy dziwne, przy czystym granicie piętrzy się często okruchowa skała, zlepiona z różnorodnych składników. Takich okruchowców wydają epoki przejściowe. Ludzie tacy są ogniwem, łączącem jedno pokolenie

z drugiem; należąc całym charakterem i dążnościami do nowej epoki a nie mogąc się jeszcze otrząsnąć z naleciałości i nałogów minionej, stanowią oni pomost między dwoma następującymi po sobie a sobie przeciwnymi światami. Jako osobniki tracą wiele na wartości przedmiotowej, bo wskutek nieszczęsnego zbiegu zewnętrznych wpływów wyciśniętem jest na każdem ich dziele piętno przejściowej połowiczności. Ale jeżeli ludzi takich ocenia się z ogólniejszego stanowiska całokształtu myśli ludzkiej, to mają oni dla chwili bieżącej wartość niezmiernie doniosłą, bo po długoletnim zastoju pierwsi łamią lody i rozumiejąc prędzej od innych, lub przynajmniej przeczuwając, że dotychczasowe stanowisko było chybione i fałszywe, pierwsi sygnalizują na — odwrót. Guyau należy do nich; między ewolucyonistyczną etyką a metafizyczną nawiązuje on bardzo silny węzeł. I to jest moment, dla którego cała postać Guyau'a tak sympatyczną nam się wydaje — ta jedna zasługa zapewnia mu w panteonie dzisiejszych myślicieli miejsce poczytne. Nie zapoznajemy innych wybitnych jego właściwości pisarskich i literackich zasług. Guyau jest wszędzie, w każdem dziele swojem i oryginalnym pisarzem i artystą zarazem; z poza zagłębin spekulacyi filozoficznej piętrzą się u niego co chwila pomysły śmiałe i wielkie a wszystko owiane jest śrężogą artystycznego kolorytu i idealnego polotu. Jako poeta jest Guyau wybitnym przedstawicielem nowszej szkoły, która przedewszystkiem w refleksyi filozoficznej się lubuje. Jako filozof buduje oryginalny swój całokształt, wspierający się na pojęciu życia, a obejmujący jednolitą harmonią, tak etykę, jak sztukę i religię.

W poglądach swoich na estetykę zajmuje Guyau stanowisko odrębne, przeciwne temu, jakie zajmowali patronowie sztuki czystej, wykluczający z jej pojęcia wszelki pierwiastek pożyteczności, jak Kant, Schiller, ewolucyoniści tacy jak Spencer i Grant-Allen. Guyau odrzuca sztukę mającą całkowity cel w samej sobie, odtrąca od sztuki pierwiastek illuzoryczny. Pierwiastkiem wzruszenia estetycznego jest wedle niego uczucie solidarności, tak organicznej, powstającej między pojedyńczemi komórkami osobnika i jako takie utożsamiające się z przyjemnem, jak też w naj-

szlachetniejszej swojej formie, uczucie solidarności powszechnej i społecznej, powstającej z harmonii, jaka pomiędzy pojedyńczymi osobnikami a całem społeczeństwem istnieje. Stąd sądzi, że sztuka jak z jednej strony powinna uszlachetniać wszystkie czynności indywidualne, tak duchowe jak też i czysto życiowe, tak z drugiej strony powinna żyć życiem istot wszystkich, przenikać wszystkie objawy życia społecznego. — Naturalnie, że całą część teoryi naturalistyczną, wyznaczającą w sztuce miejsce funkcyom wegetacyjnym, należy zostawić na boku. Co się tyczy sztuki czystej, to pomijając stronę teoretyczną, w praktyce trudno zaprzeczyć Guyau'wi, że prawdziwe dzieło sztuki wielkiej poza rozkoszą kontemplacyi ma doniosłe swoje socyologiczne znaczenie i zespala się z całem duchowem i materyalnem istnieniem ludzkości. Ma więc Guyau i na tem polu wybitną zasługę, że w czasach naszych, w których sztuka w rękach realistów zeszła na prosty aparat fotograficzny, a w rękach dekadentów i symbolistów na sztuczkę drażniącą nerwy, przypomina godność moralną i społeczną sztuki.

Najmniejszej jeszcze wagi są dyskusye Guyau'a o religii, bo na polu tem nie przekracza on przeciętnego poziomu swojej bezreligijnej epoki. W dziele: „Bezreligijność przyszłości“ rozróżniwszy w religii dwa pierwiastki, jeden społeczny a drugi metafizyczny i spekulacyjny, prorokuje, że w przyszłości religia zaniknie w pierwiastku pierwszym, o ile jest tylko zbiorem dogmatów, podań i obrzędów. Pozostanie z niej tylko pierwiastek drugi, o ile ten identyfikuje się z metafizyką i etyką i ten ustawicznie rozwijać się będzie. Trudno w tem miejscu wstrzymać się od uwagi, że właśnie metafizyka i etyka dobrze pojęte są rzeczniczkami religijnego kultu. Ale pomijając tę ciemną stronę i inne usterki, jakieby można zarzucić: w estetyce za zbyt szerokie i naturalistyczne pojmowanie sztuki, w poezyi za nadmiar refleksyi i rozumowania, w tworzeniu systemu za zbyt forsowne i nieco za szablonowe podciąganie rozmaitych dziedzin pod jedno ogólne pojęcie życia, trudno nie uznać w całej tej działalności i wielkiego talentu i pewnej doniosłości dodatniej. Cała ta jednak działalność jest jakby naddatkiem tylko i jakby uzu-

pełnieniem właściwego terenu Guyau'a, etyki. Etyka jest najbardziej rodzimą jego sferą, tam obraca on się najswobodniej i chociaż do ostatecznych rezultatów nie dochodzi, to jednak z połowy drogi wskazuje innym drżącą ręką pierwsze przebłyski lepszego świtu. Pod tym kątem widzenia zasługuje on rzeczywiście na bardzo pilną uwagę.

I.

Guyau ewolucyonista zaczyna budowę swego systemu od krytyki ewolucyjnej etyki. Zaczynała ona wtedy właśnie w Anglii wychylać głowę z dzieł Darwina i Spencera, a oparszy się cichaczem na tej zasadniczej idei utylitaryzmu, że jedynym bodźcem czynów ludzkich jest przyjemność i że dobro utożsamia się z korzystnem, zwichnęła nogę na samym progu swojej karyery. Wywiązała się kolizya ta sama, która już od dawna jak zmora trapiła utylitarystów, a namotany ten od kilku wieków węzeł gordyjski, przeciąć można było tylko odrzuceniem tego, co się, jako pewne przyjmowało. Jak długo korzyść jednostki idzie ręka w rękę z korzyścią ogółu, dopóty zgoda i spokój! ale cóż będzie wtedy, kiedy dwie te korzyści staną wrogo przeciwko sobie — zwłaszcza, jeżeli korzyść ogółu, uważa się καθ' ἐξοχήν za normę moralności? Jeżeli bodźcem jedynym czynów ludzkich jest przyjemność, jak wytłumaczyć w jednostce czyn altruistyczny, wymagający poświęcenia i ofiary? Był to też kamień probierczy, na którym kruszyły się wszystkie wysiłki angielskich etyków; etyka stała się magazynem sztuczek rozmaitych i kombinacyj psychologicznych, któreby to przeciwieństwo usunęły. Smutne to dziedzictwo przejął ewolucyonizm. I nie przesadzimy, jeżeli powiemy, że etyka ewolucyjna niczem innem nie jest, jak tylko godzeniem altruizmu i egoizmu za pomocą rozmaitych faz przejściowych i rozwojowych, zachodzących wewnątrz egoistycznej natury.

Po Benthamie, który łudząc się, że samolubna przyjemność jednostki pozostaje w harmonii z dobrem ogółu, twierdził, że kto czyni dobrze drugiemu, ten w tem własnej korzyści szuka; po Millu, który godził altruizm z egoizmem za pomocą nawy-

knienia, które stąd wytworzyło się w osobniku, że własną korzyść znajdował zawsze w związku z dobrem powszechnem, przyszedł Darwin. Darwin w książce o pochodzeniu człowieka, rzuca tylko kilka myśli, tłumaczących genezę pojęć moralnych. Wedle Darwina instynkty altruistyczne powstały z egoistycznych, wskutek potrzeby wspólnej obrony lub wspólnego zdobywania żywności. Ustawiczna ta potrzebna wspólnej pomocy utrwaliła tak w ciągu pokoleń i wieków w pojedyńczych osobnikach tę wzajemną łączność, że popędy czysto egoistyczne stały się dziedzicznie altruistycznemi. Wedle Darwina, kto czyni dobrze drugiemu ten nie bezpośrednio czyni to ze względów osobistych, ale czyni to ze skłonności odziedziczonej.

Pomysł Darwina podchwycił Spencer, zawezwał do pomocy całą dziedzinę nauk przyrodniczych i stworzył szeroko zatoczoną teoryę etyczną. Ale w chwili, o której mówimy, dzieło Spencera „Zasady etyki“ jeszcze nie istniało; całokształt tej etyki naszkicował dla siebie Guyau, oparty tylko na poprzednio wydanych dziełach Spencera. Przeciw tak naszkicowanej etyce, jakoteż wogólności przeciw całej współczesnej angielskiej teoryi, wystąpił on teraz z bardzo gruntowną krytyką. Naturalnie jako przesadny zwolennik ewolucyi, nie wychodzi w tem dziele Guyau poza ciasne kółko angielskiej szkoły; nie atakuje on ewolucyi w etyce, ale atakuje tylko ewolucyę taką, jaką ją stworzyli Anglicy.

Zdaniem Guyau'a stanowisko angielskiej szkoły jest zbyt wyłącznie społeczne, a powtóre, zbyt zewnętrzne i mechaniczne. I jeden i drugi zarzut całkowicie słuszny. Ustawiczne utożsamianie moralności z instynktem społecznym i wyprowadzanie tegoż społecznego instynktu drogą sztuczną ze zewnętrznych tylko wpływów otoczenia, utrwalających się w osobnikach na mocy dziedziczności, — dwie te tezy nie wytrzymują silniejszej krytyki. Instynkty altruistyczne Spencera, nabywane mechanicznie drogą rozwoju, pozostaną zawsze czemś tylko przydanem do natury ludzkiej, a cnoty Darwina, miłość bliźniego, sprawiedliwość i t. d., są tylko cnotami wskutek przypadkowego zbiegu okoliczności; w innych warunkach, w innem środowisku mogły

być one występkami. Tak więc moralność Spencera jest tylko zewnętrznym naddatkiem natury a moralność Darwina jest przypadkiem tylko.

Naturalnie, że system ewolucyjny, oparty na tak zewnętrznym tylko mechanizmie, natrafić musi na jakieś szkopuły, wśród których cała jego pozorna harmonia co najmniej podejrzaną wydać się musi. Szkopuły takie nasuwa samo codzienne nasze psychologiczne doświadczenie. Prócz tej sprzeczności, którą już poprzednio zaznaczyliśmy, jaka ustawicznie istnieje pomiędzy przyjemnością egoistyczną jednostki a wymaganiami społecznymi, nasuwa się inna sprzeczność, którą bardzo trafnie podchwytuje Guyau, — sprzeczność między rozwagą a instynktem. Podług ewolucyonistów angielskich idea moralna pochodzi z instynktu i doprowadzi w przyszłości do instynktu nieomylnego. Pomijamy tu kwestyę czysto osobistą, czy Spencer sam instynkt ten tak pojmował, że wykluczał z niego wszelką rozwagę i świadomość. W każdym razie pojęcie takie leżało w duchu i w przesłankach ewolucyonizmu, a niektórzy z uczniów Spencera wprost utrzymywali, że najwyższym stopniem doskonałości ludzkiej będzie stan zupełnego automatyzmu, w którym czyny moralne będą czystemi odruchami.

Jest pewna sfera ewolucyi, której istnienie wszyscy bez zaprzeczenia przyznają — jest nią ewolucya cywilizacyjna. Po każdym wieku i po każdem pokoleniu pozostaje skarbnica cała jaśniej poznanych prawd i pewników, praw fizycznych i psychologicznych. Nie zdążamy zatem do wieku instynktu i automatyzmu, ale do wieku świadomości jaśniejszej i większej rozwagi. Czyż więc nie wytworzy się z konieczności dziejowej kolizya między ową rozwagą a ewolucyonistycznym instynktem? Same teorye Spencera i Darwina, przypuściwszy że będą przyjęte i rozpowszechnione, pouczać będą o początkach i o istnieniu takiego instynktu moralnego, a tem samem przyczyniać się będą do świadomości o nim i rozważań nad jego istotą. Cóż wtedy stanie się z tym instynktem? Bagehot robi bardzo słuszną uwagę, że rozumując zbyt wiele i zbyt subtelnie o wstydzie, można go osłabić i stopniowo zatracić. Gdy muzyk zechce wyrozumowy-

wać wszystkie ruchy palców, nie może grać. Z faktów tego rodzaju, których bardzo wiele możnaby przytoczyć, wysnuwa Guyau bardzo słuszne prawo, że rozwaga działa rozprzęgająco na instynkt i wszelki instynkt dąży do zagłady, gdy stanie się raz świadomym. A wobec tego prawa etyka Darwina i Spencera niema przed sobą przyszłości.

Wziął więc Guyau stanowczy rozbrat z ewolucyonizmem angielskim, ale z terenu teoryj ewolucyjnych nie zeszedł. Zarzuciwszy swoim przeciwnikom zewnętrzność i mechaniczność systemu, zasiadł do stworzenia teoryi, któraby na samej wewnętrznej istocie osobnika się oparła. Przed oczyma jego stała ta idea, którą już w polemice z Anglikami wyłuszczył, że wewnątrz samej jednostki odbywać się musi pewien rozwój, któryby odpowiadał rozwojowi społecznego życia i je umożliwiał, a któryby był jego przyczyną, nie zaś wynikiem.

Cóż zaś jest takiego, coby stanowiło całą wewnętrzną jaźń osobnika, jak nie samo życie? — w samem przeto pojęciu życia trzeba szukać pogodzenia tej sprzeczności między altruizmem i egoizmem, której ewolucyonizm angielski rozwiązać nie umiał. Jakżeż tylko do tego życia się zabrać?

Faktem jest naocznym, że każda jednostka ma tysiączne życiowe stosunnki do całego otaczającego świata, do całego społeczeństwa ludzkiego — wyrażali to starzy przysłowiem: *homo est animal sociale*. Jest więc w tej jednostce jakieś parcie wewnętrzne a samej jej istoty dotykające, jest w tym organizmie jakaś silna a ukryta sprężyna, która natęża jednostkę dopóty, dopóki ona drugim, czy to fizycznie, czy duchowo się nie udzieli. Sprężyną tą wedle Guyau'a jest samo życie, a parcie to i udzielanie się jest natężeniem życia i jego rozlewnością. Życie jednostki nie jest zamknięte poza kratami organizmu; ono przez te kraty przeziera, poza te kraty się wydziera; ono rozlewa się i miesza się z życiem drugich osobników. I tak samo trudno jest zamknąć w osobniku pod kluczem uczucia moralne, religijne, estetyczne, jak utrzymać w ciele ciepło, lub elektryczność; zjawiska fizyczne i umysłowe jednakowo są rozlewne. A nietylko ta skłonność towarzyska jednego człowieka ku drugim, nietylko

stosunki rodzinne i społeczne, nietylko ustawiczna a wzajemna wymiana myśli i uczuć. świadczą o tej rozlewności życia — o niej świadczą także niedość nam jeszcze wytłumaczone a jednak w rzeczywistości istniejące, półświadome i mgliste odruchy sympatyi bądź nerwowej, bądź też duchowej, fakty suggestyi i hypnotycznego wpływu. Każda jednostka czy to świadomie, czy nieświadomie jak wpływa na drugie jednostki, tak też wpływom drugich ulega — tak, że w tym oceanie czynności życiowych, choćby najbardziej nawet samolubnych, panuje ustawiczna wymiana i wzajemne przenikanie się i każda czynność życiowa z natury samego życia jest altruistyczą i społeczną.

Takie są podwaliny systemu Guyau'a — ta idea, że życie każdej jednostki jest nierozdzielnie osobniczem i zbiorowem i każda czynność życiowa jest nierozłącznie indywidualną i altruistyczną jest podstawą jego etyki[1]. Jakżeż teraz na podstawniczej tej idei życia ustawić dadzą się filary systemu etycznego —

[1] Jest to idea podstawnicza całego systemu Guyau'a, którą on tak do etyki, jak sztuki i religii stosuje. Moralność, sztuka i religia są czynnikami, które to z natury już swojej społeczne życie jednostki podnoszą do godności zbiorowego życia i między osobnikiem a społeczeństwem wytwarzają solidarność i zespolenie. A nie jest to łącznik tylko zewnętrzny naturze indywidualnej, stanowią one całą treść wyższego i duchowego jej życia W początkach ewolucyi życie jest płodnością mniej lub więcej ślepą, nieświadomą, albo raczej na wpół świadomą, działającą bez wszelkiej idei celu. Płodność ta, uświadamiając się, poczyna stosować się do przedmiotów mniej więcej racyonalnych, zaczyna dążyć do celów społecznych, staje się celowością i moralnością, a zarazem w szerszym tym zakresie odczuwając całe swe rozlewne natężenie, wytwarza to, co nazywamy pięknem. Życie to wyższe wreszcie uspołecznione już i towarzyskie, a dążące do wyższego towarzystwa niewidomych potęg i rozszerzające się do nieskończoności, staje się religią. Tak więc w systemie Guyau'a piękno jest życiem wyższem, bezpośrednio odczuwanem w swojem natężeniu rozlewnem, w swojej działalności osobniczej; moralność jest życiem wyższem, chcianem i poszukiwanem; religia takiemże życiem marzonem i wyobrażanem. Sztuka zatem daje nam w postaci natężonej bezpośrednie poczucie życia już urzeczywistnionego, etyka każe nam chcieć urzeczywistnienia życia, metafizyka wreszcie, będąca tłem religii, każe nam budować świat życia wyższego. — Dla ludzi trzeźwo filozofujących cała ta historya życiowa wyda się słusznie krainą mgły i młaki; u Guyau'a wytworzyła się ona wskutek przesadnie syntetycznego umysłu.

cóż będzie normą ostateczną naszej działalności? Guyau, zanalizowawszy wszystkie cele, do których ludzkość dąży, stawia twierdzenie, że wszystkie te cele, choć różnorodne się wydają, w zasadzie jednak swojej pojęte sprowadzić się dadzą do jedności. Jednością tą jest pomnożenie życia, manifestowanie go we wszystkich władzach i sposobach i udzielanie go drugim, innemi słowy — natężenie i rozlewność życia. „Poczynając od pierwszych drgnień w łonie matki, aż do oddechu starca przyczyną ruchu istoty żywej jest życie — oraz jego rozwój, ta powszechna przyczyna naszych działań z innego stanowiska jest znowu ustawicznym ich skutkiem i celem". Wszystko, czegokolwiek się pożąda, jest tylko jakąś formą życia i najwyższą żądzą jest żądza życia najbardzej natężonego i rozlewnego pod wszelkiemi względami, tak fizycznym, jak duchowym. A jeżeli tak, to cóż innego może być normą i zasadą działania naszego, jak nie dążenie do jak największego natężenia życiowego i do jak największej rozlewności. Czegóż może żądać etyka od osobniczego życia — pyta Guyau — jak nie tego, aby rozlewało się ono dla drugich, w drugich, a w razie potrzeby i oddawało się drugim. Ideałem więc moralnym jest ta rozlewność altruistyczna a warunkiem niezbędnym tej rozlewności zewnętrznej jest poprzedzające je w porządku psychologicznym wewnętrzne natężenie.

Oczywista, że norma ta etyczna wzięta w dosłownem brzmieniu, nie różni się niczem od utylitaryzmu, czy społecznego eudemonizmu Milla — rozlewność życia całego dla drugich i dążenie do szczęścia i dobra ogółu w rzeczy niczem się od siebie nie różnią. To samo więc, co o Millu, to i o Guyau powiedziećby trzeba, że normą swoją objęli oni pewną dziedzinę czynności moralnych, o ile zaznaczają obowiązek człowieka względem drugich ludzi, ale nie podbili wcale całego terytoryum moralności; poza altruizmem istnieją jeszcze obowiązki i względem samego siebie i względem Boga. Norma więc utylitaryzmu może być jakąś normą cząstkową, ale nie całkowitą, a tem mniej ostateczną i bezwzględną [1].

[1] Obszerniej omówiliśmy przyczyny, dla których norma Milla jest nieuzasadnioną, w rozprawie: „Etyka w warsz. Ateneum". *P. P.* 1895, IV.

Poza tym zarzutem, podniesionym przeciw utylitarystycznej stronie systemu, nie zaznaczyć niepodobna dwu usterek samej teoryi Guyau'a właściwych. Rozchodzi się nam najpierw o samo oparcie etyki na idei życia. Żeby uniknąć tego, co się nazywa *lis de verbo*, przyznajemy z góry, że moralność zasadniczo opiera się na życiu i czynności życiowe obejmuje a zadaniem etyki nic nie jest innego jak postawienie na rozdrożach życia drogowskazu, do którego ono dążyć powinno. Ale z prawdy tej nie wynika wcale, że moralność nie jest niczem innem, jak tylko mechanizmem życiowym i że utożsamia się z życiem. Jest pewna sfera czynności życiowych, jak czynności zmysłowe, wegetacyjne, która w sobie wzięta stoi za granicą moralności — a nawet co do czynności życia duchowego trzeba dość wyrazistą pociągnąć ryzę, żeby nie zabrnąć w niejasność i w nieprawdziwe dedukcye. Otóż w tym punkcie niedomaga system Guyau'a; jego natężenie życiowe i rozlewność tak są szeroko zatoczone, granice, po które one rozciągać się mają tak zatopione są w mgłę niejasnych ogólników, że bliższa oryentacya jest całkowicie uniemożliwioną. Uzasadniwszy, że przyrodzonem dążeniem istoty żywej, jej normalną pobudką jest poszukiwanie możliwie największego natężenia życia, stawia Guyau twierdzenie, które za zasadnicze w etyce uważa, że *maximum* natężenia jednostkowego odpowiada *maximum* altruistycznej rozlewności. Twierdzenie samo w sobie jasne, oczywiste i niepotrzebujące dowodów — im bardziej jednostka natężoną jest altruistycznie, tem bardziej rozlewać dla drugich się będzie. Pocóż więc sięga Guyau garściami całemi do psychiki i fizyki po dowody na to twierdzenie? Dlatego oczywiście, że natężenie to pojmuje ogólnie, jako cały wewnętrzny popęd naszej natury, jako zwiększoną energię życiową, która w rzeczywistości tak wegetacyę, jak zmysłowość i umysłowość obejmuje. Naturalnie, że takiemu natężeniu nie zawsze altruistyczna rozlewność odpowiada.

I choćbyśmy nawet z pojęcia tego wykluczyli z góry znaczenie życia wegetacyjnego i zmysłowego i utożsamili to natężenie z jakąś wyższą energią duchowego życia, to jakąż miarą — zauważa słusznie Fouillée — możemy to natężenie mierzyć?

Altruizm może być bardziej lub mniej rozlewnym, przypuszcza rozmaite stopnie i fazy natężenia, etyka zatem powinna oznaczyć jakiś kres, do którego to natężenie dojść powinno. Jakąż będzie ta miara. Musi Guyau wykluczyć miarę jakościową, (np. życie szlachetne, życie zastosowane do porządku przyrodzonego), bo temsamem zrezygnowaćby musiał ze swego systemu — miara etyczna przykładanąby wtedy była nie do samego życia, ale do jakiejś właściwości życia. Przyjmuje więc miarę ilościową. Pomijając tę trudność, jaką nasuwa mierzenie istoty duchowej ilościami, projekt mierzenia takiego wtedy tylko miałby racyę, gdyby życie najbardziej natężone zbiegało się zawsze z altruizmem. Natężenie jednak z altruizmem nie idzie zawsze w parze. Życie despotów, gniotących całe państwa, narzucających swoją wolę milionom, druzgocących wszystko, co im tylko w drodze stanie oporem, jest niewątpliwie w wysokim stopniu natężonem, ale uczynnem ono nie jest. Życie namiętne, chciwe, lubieżne, szukające własnej przyjemności może mieć rozmaite stopnie i to wysokiego naprężenia, nikt mu jednak altruizmu nie przyzna. Probierz więc ilościowy nie wystarcza ani w takiej etyce. Sam Guyau, gdy mu przyszło odpowiadać na zarzuty przeciwników, wikłał się w tym względzie w niejasnościach. Kiedy mu zarzucano, że działalność życiowa tam tylko może rozlewać się dla drugich, gdzie życie jest w nadmiarze, a w braku życia dostatecznego rozlewność musi być oszczędną, gdyż wydatek byłby niepowetowaną stratą, odpowiada Guyau, że innem jest życie fizyczne, które oddając się ponosi wydatek, innem zaś moralne życie, które może róść tylko przez oddawanie się. Ale w odpowiedzi takiej naraża się na zarzut, któryśmy poprzednio podnieśli; wtedy już w systemie jego nie jest mowa o życiu, jako takiem, ale o życiu jakościowem. I gdybyśmy wyrażenie to wciągnęli w definicyę Guyau'a, to mielibyśmy dość grubą tautologię tego rodzaju: moralność jest rozlewnością życia moralnego.

Całe to powikłanie powstało stąd, że Guyau to życie, które w etyce można brać tylko w znaczeniu praktycznem, o ile jest działaniem, mającem pod wpływem rozumu i woli odnośnię do

prawa naturalnego, bierze w znaczeniu czysto psychologicznem, o ile jest ślepym mechanizmem, mającym za jedyny, wrodzony kierunek altruizm.

I tu nasuwa nam się druga trudność: czy altruizm jest rzeczywiście jedynym ruchem życia naszego — czy życie nasze jest nierozdzielnie osobniczem i społecznem? O ile wiemy, wszyscy, którzy nowy ten system roztrząsali, sam nawet Fouillée, zespoleniu temu osobniczości i zbiorowości w pojęciu życia nie poświęcają uwagi. A jednak jest to idea podstawnicza całego systemu; jeżeli ona jest prawdziwą, to wiele z wysnuwanych z niej wniosków trzeba przyjąć z poddaniem się i w milczeniu. Czyż więc przytoczone przez nas uzasadnienie tej idei, a innych poważniejszych Guyau nie podaje, wywalczą jej pewność i widoczność? Że źródłem wszystkich naszych czynności jest życie, a życie to, mówiąc językiem Guyau'a, jest natężone i rozlewne, że między żyjącymi osobnikami panują ustawiczne wpływy i wzajemne przenikania się, czy to podlegające naszej świadomości, czy nawet z pod wszelkiej obserwacyi wymykające się, to wszystko nie ulega najmniejszej wątpliwości. Wszystko to dowodzi, że człowiek nietylko jest osobnikiem odrębnym, ale ma także w samej naturze swojej wrodzoną odnośnię do życia towarzyskiego i społecznego i, że w tej odnośni mogą być wyższe lub niższe stopnie wzajemnego zbliżenia się czuciowości i woli, mniejsze lub większe wpływy działań sympatycznych i nerwowych. Ale z przesłanek tych nie wynika wcale, że całe życie osobnika i każda jego czynność są nierozerwalnie zespolone z celami społecznymi, że w tym osobniczym organizmie wszystkie struny nastrojone są na altruistyczną nutę, — obok pewników, które Guyau na poparcie swego twierdzenia przywodzi, stoi niezachwiany inny pewnik, że indywiduum i społeczeństwo to są dwa oddzielne światy, które chociaż w zasadzie łączą się wzajemnie i siebie wzajem przenikają, często jednak interesami swymi jedno staje w poprzek drogi drugiemu. Wewnętrzne nasze przeświadczenie i doświadczenie historyi aż nadto namacalnie nas o tem przekonują. Wystarczy zapytać się nas samych, ile to razy dla uczynienia zadość celom społecznym, musieliśmy zrobić ofiarę

i poświęcenie z naszych pragnień i dążeń osobistych — wystarczy rzucić okiem na przeciągające w poprzek ludzkich dziejów milionowe zastępy przestępców i skazańców wszelkiego rodzaju, wykraczających przeciw społecznemu dobru, żeby rozczarować się do tego idealnie fantastycznego zespolenia indywidualności i społeczności w istocie życia.

Trudność tę widział Guyau i podał nawet bardzo oryginalne jej rozwiązanie. Egoizm trapi nas wszystkich — odpowiada — ale egoizm nie jest właściwym i wrodzonym przymiotem naszej natury; jest on tylko wynikiem zewnętrznych konieczności, w jakie stawia społeczeństwo jednostkę. Uwolnijcie życie od tych konieczności, krępujących przyrodzony jego rozpęd, sprowadźcie je do istoty jego najprawdziwszej, jaką jest działalność rozlewna a egoizm zaniknie. Sprowadza więc Guyau egoizm cały do zewnętrznego naddatku natury naszej. Czy egoizm wadliwy i brudny — a takim go tylko widocznie pojmuje Guyau — powstaje i kształtuje się tylko wskutek zewnętrznego musu, jest to kwestya, która nie rozstrzygnęłaby jeszcze naszej trudności. Ale jasnem jest przecież, że poza tym egoizmem istnieje jeszcze miłość samego siebie, rozsądna i mądra, która całem życiem rozrządza i czynności wszystkie do odpowiedniego urządza celu, a która w korzeniu swoim jest podstawniczą właściwością naszego życia. Jest to fakt, którego bez pogwałcenia wewnętrznego naszego przekonania i bez wywrotu pierwszych pojęć filozoficznych zaprzeczyć trudno. Samo życie, w którem tak lubuje się Guyau, jest najlepszym dowodem na istnienie i wrodzoność tego uczucia bo i skądżeż brałby się instynkt samozachowawczy jednostki, skądże powstawałaby w osobniku ta trwoga i ten wstręt i rozpaczliwe bronienie się do ostatka w chwili, kiedy życie narażone jest na niebezpieczeństwo. A nawet wtedy, kiedy to życie poświęcamy dla drugich dobrowolnie, wtedy nawet powstaje w nas uczucie cichej i męczeńskiej rezygnacyi, która zupełnie nie miałaby psychologicznego wytłumaczenia, gdyby życie osobnika było z natury swojej altruistycznem i społecznem.

Tyle co do krytyki. Na razie nie możemy powstrzymać się od uwagi, która nam ciśnie się pod pióro. Czy idealista

ten nie dotknął się po ciemku tego wyższego porządku Opatrzności, który unosi się odwiecznie nad losami świata i tak indywidua, jak i społeczeństwa całe obejmuje społem? W tej sferze rzeczywiście każdy bezpośredni cel osobnika, jakikolwiekby on był, zespolony jest nieodzownie z celem ostatecznym przez Opatrzność zakreślonym. Ale Opatrzność, która całe to państwo życia wywołała z nicości i urządziła je celowo i rozrządza niem mądrze, uchodziła w tych umysłach za jakąś metafizyczną mgławicę, o której można dla własnej zabawy snuć złote marzenia, ale o której istnieniu nic pewnego wiedzieć nie można. Miejsce absolutu zajęła ludzkość. Ludzkość dla ludzi tej epoki była i jest jeszcze po dziś dzień ostateczną normą etyczną i najwyższym ideałem; postawiona na ołtarz przez filozofów a przez poetów owiana obłokami kadzideł, tak głęboko potrafiła wtargnąć w umysły i serca, że nawet najbystrzejsi i najprzenikliwsi nie mogli z pod gniotącej jej dłoni wydobyć swoich myśli i uczuć. Cóż dziwnego, że i Guyau wtedy nawet, kiedy wybijał się ponad poziom przyjętych powszechnie, konwencyonalnych formuł ewolucyonizmu, wtedy nawet nie śmiał i nie mógł uchylić tej mamiącej złotym szychem opony ludzkości i na jej tle tylko swoje pomysły rozsnuwał.

Na wytworzenie takiej teoryi wpłynęła także naturalnie na wskroś altruistyczna i marzycielska natura Guyau'a. Guyau jak w poezyi był filozofem, tak też i do filozofii dość silną miarę poetycznych swych marzeń dorzucał. Altruistycznym takim popędom dawał nieraz Guyau wyraz w swoich utworach:

Zdaje mi się, że róża w sercu mem rozkwita,
Wraz z motylem ustami, zda się, kwiat ten pieszczę.
Kto wie, może rozkoszy samolubnych niema,
Niema cierpień samotnych. Wszystko się tak wiąże —
Cierpienie, rozkosz biegną od serca do serca —
Twoje staje się mojem i tak samo w tobie;
A chciałbym, aby serce wszystkich mojem było,
Aby szczęście ze szczęściem świata zespolone
Być mogło, abym wkońcu w sercu mem wezbranem
Nosił — bodajby miało pęknąć — ludzkość całą.

Jako utwór wyobraźni i wyraz marzeń i pragnień, jest to

ładne i pociągające, ale przeniesione do filozofii, grzeszy brakiem rzeczywistości.

Po przeprowadzeniu tych momentów systemu, ewolucyonista może już spokojnie odłożyć pióro na bok. Moralność jest altruizmem a altruizm jest jedyną i całkowitą formą indywidualnego życia; cała więc łamigłówka etyczna najkorzystniej rozwiązana. Usunięta jest sprzeczność między instynktem i rozwagą, bo życie zdobywając świadomość swego natężenia i rozlewności, nie dąży do zaniku, ale do wzmocnienia i powiększenia się, a przeciwstawność między przyjemnością egoistyczną jednostki a altruistycznym czynem rozwiała się już przy samem zakładaniu węgielnego kamienia systemu, bo życie nie jest społecznem z jakiegoś przypadku, ale jest niem ze samej swojej istoty, przyjemność zatem i dążność osobnicza utożsamia się z dążnością społeczną.

Tak więc Guyau ukształtował swój system, przewracając kozłem ewolucyonizm angielski. Anglicy utrzymują, że osobnik jest z natury swojej czystym egoistą, a altruistyczne instynkty zaczynają w nim kiełkować i rozwijać się pod wpływem zewnętrznego otoczenia; Guyau przemienił tylko te wartości. Osobnik u niego jest z natury swojej altruistą, w którym życie z konieczności psychologicznej natężone jest do rozlewności i udzielania się drugim, a egoistyczne popędy powstają dopiero w indywiduum wskutek ograniczeń, narzucanych życiu przez otoczenie, przez wpływy i okoliczności zewnętrzne i nieprzyjazne. Trzeba więc i w tej teoryi przyjąć ewolucyę, ale ewolucya ta będzie polegała na tem, że jednostka będzie nabierała coraz większej świadomości swojej naturalnej rozlewności życiowej, swego społecznego charakteru i żyć będzie życiem coraz bardziej natężonem, a wskutek tej wewnętrznej ewolucyi, zachodzącej w łonie każdej poszczególnej jednostki, zacierać się będą coraz bardziej i zanikać nieprzychylne osobnikowi zewnętrzne okoliczności i wywołujące egoizm wpływy zewnętrznego otoczenia. Na końcu tego pochodu ewolucyjnego stoi raj, epoka doskonałości końcowej, w której zaniknie egoizm, a panować będzie powszechna

harmonia moralna i wzajemna wymiana altruistycznych uczuć, myśli i czynów. Na taki sam raj natrafił Spencer, tylko szedł do niego inną drogą.

Czuł jednak Guyau, że ani raj Spencera, ani raj przez niego stworzony nie zaspokaja ni serca, ni rozumu. Nad całą tą dziedziną unosiło się mściwe widmo, pokrzywdzonego przez etykę utylitaryzmu i ewolucyonizmu, obowiązku.

(Dok. nast.).

Ks. J. Pawelski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

A) Pedagogika do użytku seminaryów nauczycielskich i nauczycieli szkół ludowych. *Mieczysław Baranowski.* Wydanie trzecie, znacznie rozszerzone i uzupełnione „Zarysem psychologii wychowawczej". Lwów. Nakładem Gubrynowicza i Schmidta. 1895.

B) Dydaktyka do użytku seminaryów nauczycielskich i nauczycieli szkół ludowych. *Tenże.* Wydanie trzecie, znacznie powiększone i uzupełnione „Zasadami logiki". Lwów. 1895.

Ktokolwiek w ostatnich kilkunastu latach zajmował się rozwojem szkolnictwa ludowego w Galicyi, ten na każdym niemal kroku musiał się spotkać z nazwiskiem autora powyższych dwóch podręczników pedagogicznych. Czy to bowiem jako inspektor okręgowy, czy to jako pisarz i publicysta, wszędzie rozwinął p. M. Baranowski pożyteczną swą działalność na polu szkolnictwa ludowego w szczególe, a na polu wychowania i szkolnictwa w ogóle, tak, że z nazwiskiem jego historya tego szkolnictwa w Galicyi z lat ostatnich tak się już zrosła, iż nie uwzględniając jego dzieł i naukowej działalności, nie moglibyśmy jej do pewnego stopnia zrozumieć. Jak bowiem do niedawna wszystko, co się u nas o wychowaniu i szkolnictwie w Galicyi ważniejszego mówiło, pisało i robiło, wychodziło jużto z inicyatywy, jużto z pod pióra, jużto nareszcie w porozumieniu, rzadko bez wiedzy nieodżałowanego śp. Zygmunta Sawczyńskiego, tak znów w ostatnich czasach na polu szkolnictwa ludowego w Galicyi p. M. Baranowski jest tą osią, około której się obraca i na którą się ogląda całe nasze szkolnictwo ludowe. A jeśli na polu wychowania szczególniej rozumne rady i wskazówki ustne dy-

rektora i inspektora niespożytą mają wartość, nietyle dla uczniów, co dla młodszych zwłaszcza nauczycieli, jeśli ta żywa, że tak się wyrażę, podagogika i dydaktyka w historyi pedagogii bardzo ważną odgrywa rolę, a nie ten tylko na uznanie zasługuje, kto uczone wydaje dzieła, ale ten, kto wychowywać, uczyć i nauczyć potrafi, najlepszym jest nauczycielem-wychowawcą, tem więcej uznania godzień ten, kto obok żywego słowa jeszcze czas znajdzie na publikowanie swoich doświadczeń z życia i takowe potomnym przystępnemi czyni. Dlatego też podwójną ma zasługę p. M. Baranowski, gdyż on i uczy i pisze, jak uczyć należy, a jak się na wychowanie i nauczanie zapatruje, tego dowodzą między innemi i dwie powyższe książki.

Obie wyszły w wydaniu trzeciem, a stąd znów dowód, jak one były i potrzebnemi i pożytecznemi, jednakże dla recenzenta szczegółowsze omówienie treści zbytecznem czynią. Wprawdzie autor do tego trzeciego wydania, znacznie zresztą, jak pisze, rozszerzonego i uzupełnionego, dołączył w „Pedagogice“ „Zarys psychologii wychowawczej“, w „Dydaktyce“ „Zasady logiki“, więc o jednym i drugich wypada nam coś powiedzieć.

Rozpoczynam od „Pedagogiki“. W tej p. B., dawszy treściwy pogląd na wychowanie w ogóle i omówiwszy potrzebę, pojęcie i cel wychowania, jako też pojęcie i źródła pedagogiki. zajął się najprzód wychowaniem fizycznem (str. 8—24), następnie obszerniej (str. 26—86) wychowaniem duchowem, przy którym to właśnie rozdziale owe najważniejsze wiadomości z psychologii wychowawczej podał. Jest więc tam mowa o zmysłach i spostrzeżeniach zmysłowych, o uwadze i pamięci, o wyobraźni, rozsądku i uczuciach, o pożądaniach, żądzach, popędach, skłonnościach i namiętnościach, o woli i charakterze i o kształceniu wszystkich tych rzeczy. Jak widzimy, najogólniejszy zarys psychologii, jaki się w tylu podręcznikach niemieckich znajduje. To też trudno dojść, co autor skądinąd zapożyczył lub przetłumaczył, a co oryginalnego wymyślił. Zarzutu mu jednak z tego tytułu robić nie możemy gdyż ten podział psychologii utarł się i przyjął oddawna. Z uznaniem natomiast podnieść należy, że autor tak w tym rodziale [1], jak w ogóle w całej swej księdze, gdziekolwiek to się dało, starał się zawsze ogólne prawidła i zasady wychowania zastosować do naszych potrzeb narodowych, a częste cytaty z dzieł ks. Piramowicza sympatyczne robią wrażenie na polskim czytelniku. Z drugiej strony uwzględ-

[1] Por. mianowicie str. 55.

dnił p. B. braki i wady wychowania z ostatnich czasów, z których kształcenie rozsądku stawianem bywa na pierwszym planie, a kształcenie uczuć zaniedbywanem prawie zupełnie. Z tego też tytułu ten „Zarys psychologii“ przyczynił się niemało do podniesienia wartości książki, nie mówiąc już o tem, jak ważnym czynnikiem w wychowaniu jest psychologia w ogóle i jasna jej znajomość przez nauczyciela. Jasnym bo jest i zrozumiałym ten zarys psychologii, a mimo to na naukowych podstawach oparty, terminologia polska poprawna, język czysty, jak w ogóle każda książka tego autora.

W dalszym ciągu „Pedagogiki“ mowa jest o środkach, zasadach, metodach i formach wychowania, o czynnikach wychowawczych i błędach najczęściej w wychowaniu popełnianych (str. 88—127). Tutaj naszą uwagę zwrócił szczególniej rozdział ostatni (XII.), w którym autor dosadnie i sprawiedliwie błędy, dziś ogólnie w wychowaniu napotykane, charakteryzuje i przestrzega przed niemi.

Tak rodzice, powiada, jak nauczyciele dużo jeszcze popełniają błędów w zasadach wychowania. Nie liczą się z indywidualnością młodzieży, podniecają w niej nieraz rozliczne mrzonki społeczne i polityczne, zamącające młode umysły i wykolejające je z drogi rozsądku, nareszcie „w nowszych czasach napotykamy i takich rodziców, którzy starają się wychować swe dzieci na kosmopolitów i bezwyznaniowców“, tymczasem — ostatecznym celem a zarazem koroną wychowania powinno być wyrobienie moralnego charakteru, dlatego też wychowanie musi się opierać na zasadach religii, życia rodzinnego i miłości ojczyzny. Wychowanie przysposabia wprawdzie do życia powszedniego, ale to nie wyklucza, że przyświecać mu powinny ideały, tak jak słońce przyświeca nam codziennie [1].

Pod koniec „Pedagogiki“ zamieszczona jest obszerna literatura pedagogiczna z lat ostatnich, jako też przegląd rozpraw o wychowaniu, zamieszczonych od r. 1876 w najbardziej u nas rozpowszechnionem czasopiśmie pedagogicznem *Szkoła*. Nareszcie mamy tytuły wielu dzieł pedagogicznych najnowszej daty, nietylko w języku polskim, ale i niemieckim drukowanych.

Jak w pedagogice psychologia, tak w dydaktyce potrzebną jest znajomość głównych prawideł logiki, aby nauka logicznie uporządkowana mogła dodatni wpływ wywierać na rozwój umysłowy ucznia. Że

[1] Str. 134.

zatem taki ogólny „Zarys głównych prawideł logiki jako przysposobienie dydaktyczne“ może i musi być pożyteczne dla nauczyciela, a w podręczniku dydaktyki jest rozdziałem cennym, trudnoby tego nie uznać. Pominąwszy już tę okoliczność, że nauczyciel (bądź przysposabiający się do swego przyszłego zawodu, bądź już w służbie czynnej pozostający) nie potrzebuje sprawiać sobie lub wertować osobnego podręcznika logiki, jakich nawiasem mówiąc, w języku polskim mało dobrych i jasno rzecz omawiających posiadamy, a z niemieckim niełatwo dałby sobie radę, trudno nie czuć wdzięczności dla autora, który w ten sposób nauczycielowi jego pracę i zadanie ułatwił. Na niewielu bowiem stosunkowo stronicach swej „Dydaktyki“ (str. 8—44), dał jasne określenie pojęć, sądów, wniosków i definicyj, a mimo to materyał dostatecznie wyczerpał i należycie ugrupował. To, co potem następuje, jakoto rozdziały traktujące o zadaniu i potrzebie zakładów naukowych, specyalnie o zadaniu szkoły ludowej, planie i toku nauki w niej, o zasadach nauczania i obowiązkach nauczyciela i t. d., to wszystko są rzeczy i rozdziały rozumne i w podręczniku „Dydaktyki“ potrzebne, ale one znachodzą się już w tem samem prawie brzmieniu w pierwszych wydaniach tej książki. Wprawdzie autor, jak to się samo przez się rozumie, uwzględnił i przytoczył bądźto najświeższe instrukcye i rozporządzenia c. k. Rady szkolnej krajowej, bądźto ostatnie publikacye na polu literatury dydaktycznej, te więc to trzecie wydanie tem więcej czynią potrzebnem i pożytecznem.

K. O. B,

Humoreski. Z życia prawniczego. *Klemens Bąkowski.* W Krakowie 1895. (W 8-ce, str. 77).

Drobne napozór a mimo to dosadnie charakteryzujące powolną procedurę cywilną, jako też i całe austryackie prawo, tak dziwny kontrast stanowiące w wieku nerwów i elektryczności, nie pozbawione są te humoreski nieraz i głębszej myśli, a zabarwione sporą dozą naturalnego humoru i dowcipu, którym lekka domieszka ironii nietylko nie szkodzi, ale przeciwnie okrasy i wartości dodaje. Odczytując je przypomina nam się Lam, Wilkoński lub też stają nam przed oczyma niezrównane szkice Fr. Kostrzewskiego i innych. Jakżebo nie śmiać się serdecznie z onego sędziego, którego prezydent na „wizytacyę sądu“ zjeżdżający nieprzygotowanego zdybuje i niemałego kłopotu swemi odwiedzinami nabawia? Jakże nie ubolewać i nie litować się nad bezradnością naszego poczciwego chłopka, którego „w labiryncie sądo-

wym“ odsyłają od Annasza do Kajfasza, aż nareszcie dowiaduje się, że przyszedł ze skargą „spóźnioną“ i sprawę z przeciwnikiem w szyneczku zapija. Wyśmienitą jest humoreska IX. „Na egzekucyi“, której to egzekucyi mimo uzyskanego wyroku p. Jan na Pawle przeprowadzić nie może, gdyż tenże ze swemi galarami wciąż z jednego brzegu Wisły do drugiego odpływa, a tamten już znów innemu sądowi podległy. Aż nareszcie fortelem woźny jeden galar zajmuje, ale galar mimo to odpływa do Gdańska i p. Paweł wcale go „do licytacyi z Gdańska dostawić nie myśli“!

Mniej może udatnemi nazwałbym zestawienia pewnych definicyj i paragrafów prawnych, do rodzinnego życia zastosowanych, jako to: „Małżeństwo i prawo“ albo „Żywot porządnego obywatela w świetle ustawodawstwa“, lub historyczno-prawnicze traktaty np. „O Mizerre“, gdyż rzeczy te przystępne i zrozumiałe głównie prawnikom z zawodu, mniej budzą interesu w przeciętnym czytelniku, który ukryty w nich subtelnych aluzyj częstokroć nie poznaje, a wskutek tego i dowcipu w nich zawartego nie widzi. Pod koniec zamieścił autor sześć wierszowanych humoresek, z których XX. „Prowizoryum“ najlepiej pod względem formy i treści wypadła, również i „bajka“ o awansie kury na prezydenta, z życia pochwycona i prawdziwa i wierszem gładkim oddana. Drugie mniej dowcipu zawierają. Tak więc, lubo nie wszystkie humoreski równą wartością literacką się odznaczają, jednakże przez wydanie ich autor nietylko odsłonił niepośledni swój talent w dziedzinie nowelistyki, ale i z drugiej strony dowcipnie wykazał, jak przestarzałym na dziś jest już cały gmach i aparat ustawodawstwa austryackiego i jak gwałtownej i radykalnej domaga się naprawy i rekonstrukcyi...

K. O. B.

W kraju tysiąca jezior. Z podróży i przechadzek po Finlandyi. Przez *Stanisława Bełzę*. Warszawa. Petersburg. 1896.

Niejednokrotnie już mieliśmy sposobność wspominać na tem miejscu o podróżach, któremi p. Bełza uprzyjemnia sobie niemal rok rocznie zawodową pracę, aby następnie otrzymanemi wrażeniami i spostrzeżeniami podzielić się z licznem gronem czytelników. Po holenderskich galeryach, wodach i łąkach, po weneckich lagunach, szkockich pamiątkach i pomnikach, po włoskich miastach, olbrzymich górach, po najsympatyczniejszych może dla nas wspomnieniach z polskiego Szląska, przyszła kolej na zaczarowany kraj tysiąca jezior, tak w ogóle mało,

powiedziećby można zupełnie u nas nieznany. Ciekawe finlandzkie legendy, bardziej dla niejednego interesujące statystyczne cyfry i daty, opowiadające ekonomiczne warunki, wśród których Finlandczyk żyje i walczy, wspaniałe góry, oryginalni ludzie, imponujące wodospady, zajmująca młoda a już potężnie rozrastająca się sztuka. Piękniejsze, lub z jakiegobądź punktu widzenia, ważniejsze obrazy nakreślone przez naturę lub sztukę podaje nam autor, swym zwyczajem w licznych, dość stosunkowo udatnych illustracyach.

Ostatnia praca p. Bełzy stoi na równi z poprzedniemi; te same zalety: sumienność, nie zajmowanie czytelnika własną osobą, styl poprawny. Te same też wady: brak czasem prostoty w stylu i opisach, zbyt długa, jednym ciągiem sunąca się, a stąd ostatecznie, zwłaszcza dla profana, nużąca pogadanka o sztuce, a raczej o pewnych błędach i przymiotach kilkudziesięciu finlandzkich rzeźb i obrazów; zbyt w ogóle monotonne, prostym, jak oko sięgnie, gościńcem toczące się opowiadanie.

Historya biskupów trzech połączonych dyecezyj: przemyskiej, samborskiej i sanockiej od najdawniejszych czasów do 1794 r. Podług źródeł opracowana przez *Antoniego Dobrzańskiego*, proboszcza w Walawie. Lwów 1893. (Исторія епископовъ трехъ соединенныхъ епархій, перемыской, самборской и саноцкой, отъ найдавнѣйшихъ временъ до 1794 г. По источникомъ сочиненная Антоніемъ Добрянскимъ, парохомъ въ Валявѣ. Львовъ 1893).

De mortuis nisi bene. Milczelibyśmy o broszurze śp. greck. kat. ks. Ant. Dobrzańskiego i to tem bardziej, że ją wydał syn nieboszczyka jeszcze przed dwoma laty, a w lat szesnaście po śmierci ojca, gdyby nas nie nagliło do zabrania głosu drugie przysłowie: *scripta manent.* Jak długo zostaje z jakiejś książki ostatnia kartka, tak długo może ona wywierać wpływ na czytającego. A wspomniana broszura leży cała za oknem stauropigialnej księgarni i wabi przechodnia. Nie dosyć na tem. Stauropigia wydała kalendarz na r. 1896 i polecając dziełko Ant. Dobrzańskiego, nazywa je „nadzwyczaj ważną i bardzo zajmującą i pouczającą książką“ (str. 61). Niechże też wartość jej poznają i czytelnicy *Przeglądu Powszechnego.*

Broszura ta, bez naukowej wartości, jest napisana językiem nieboszczki Czerwonej Rusi i jej dziecka Haliczanina, jeszcze gorliwszego od matki. Autor o tyle przysłużył się, że zebrał w pewną całość to, o czem już wiemy z dzieł polskich, rosyjskich i niewielu ruskich. Podane wypiski z archiwów konsystorskich tyczą się tylko podrzędnych wypadków. Cała praca podzielona jest na trzy części, z osobną pagi-

nacyą: peryod pierwszy od początku XIII. wieku do synodu brzeskiego 1596 r. (str. XI.+63); peryod drugi od synodu brzeskiego do zaprowadzenia Unii w przemyskiej dyecezyi 1691 (str. XVIII.+104); peryod trzeci od r. 1691 do końca XVIII. wieku (str. XIV.+83). Każdą część, jak widać z podwójnej paginacyi, poprzedza wstęp, który dla nas będzie najciekawszy.

Autor zaczyna swą pracę od dochodzenia, kiedy założono ruskie biskupstwo w Przemyślu, i utrzymuje, że prawdopodobnie już w pierwszej połowie XI. wieku. Następnie stara się autor udowodnić, że przy biskupstwie przemyskiem istniało odrębne biskupstwo w Samborze. O istnieniu sanockiej dyecezyi, chociaż zaznaczył ją w napisie książki, autor nie wspomina w ciągu opracowania ani słowa. W przypisku mówi tylko to, że niektórzy władycy podpisywali się biskupami sanockimi; lecz zaraz dodaje, że niektórzy mianowali się i jarosławskimi biskupami, a jednak w tem mieście nie było nigdy biskupiej stolicy.

Ciekawy epizod opowiada nam autor z r. 1412, a jeszcze ciekawszą robi przytem uwagę. W tym czasie odebrał w Przemyślu Władysław Jagiełło kościół schyzmatykom, a oddał go katolikom Polakom. Ci ostatni rozebrali gmach, a z materyałn wybudowali łaciński kościół. Trzymając się przepisanej ceremonii, mieli oni każdy kamień z tego schyzmatyckiego kościoła omywać w Sanie. To omywanie autor uważa za fakt, który go najboleśniej dotknął. Ach, woła on z rozpaczy, to nie *odorem ruthenicum* ale prawosławie omywali łacinnicy z kamieni ruskiego kościoła; wszak taka ceremonia była rzeczywiście dla katolików przypisana, jak czytamy w ich katechizmie. *Institutiones catholicae. Auctore fr. A. Pougiel Venetius 1712.* T. II., pag. 566. Zdaje się, że to nic. Gdyby jednak ktoś chciał wątpić czy tu „prawosławie“ znaczy schyzmę, w odróżnieniu od katolickiej wiary, oto sam autor zapobiega tej wątpliwości: najwyraźniej zaznacza on różnicę między katolicką wiarą a prawosławiem. Tej różnicy, jak dalej czytamy, świadomy był cały naród, począwszy od kniaziów a skończywszy na prostym, ciemnym chłopku. Kiedy metropolita kijowski Izydor, pisze śp. Dobrzański, podpisał Unię florencką 5 czerwca 1439 r., „uczynił to wbrew woli wiernych swej owczarni, którzy o zamiarze biskupa nie wiedzieli, a o połączeniu z rzymskim Kościołem nawet i nie myśleli. Kiedy zaś we Lwowie jeszcze na dowód tej Unii odprawił mszę w łacińskim Kościele, Rusini nietylko nie byli na niej obecni, ale nawet na metropolitę patrzyli niechętnie, podejrzliwie i stronili od niego“ (str. 27). O Apostolskiej Stolicy wyraża się autor bardzo obojętnie, podczas gdy

petersburski synod zaszczyca wielką literą i dodaje mu epitet: *świątijszij* (str. 62). Jak słonecznik za słońcem, tak on ciągle zwraca się z tęsknotą w strony apostazyi Focyusza: „W sprawach duchownych, pisze on (część II., str. II., III.), byli Rusini, jako prawosławni, poddani władzy patryarchy carogrodzkiego. Ale związek ten, z początku silny, szczery, święty, z biegiem czasu zaczął słabnąć. Już w XIII. w. Tatarzy napadem swoim na Ruś dużo utrudniali stosunki duchowieństwa ruskiego z Carogrodem [1]. Przeniesienie metropolii z Kijowa do Moskwy w XIV. wieku przyczyniło się także niemało do osłabienia wspomnianej łączności. Podział stolicy metropolitalnej na moskiewską i kijowską, który nastąpił z początkiem XV. wieku, znacznie skrócił odległość między Kijowem a Rzymem. Izydor, metropolita moskiewski, w pierwszej połowie XV. wieku zaniósł już na Ruś imię unii i myśl połączenia ruskiego Kościoła z Rzymem. Zawojowanie w końcu Konstantynopola przez Turków, jeśli nie zniweczyło, to przynajmniej zmniejszyło wpływ patryarchy na Ruś i jej duchowieństwo, a władza jego zaczęła odtąd na Rusi coraz bardziej upadać. Takie stosunki co do władzy duchownej, były na Rusi pod panowaniem Polski, kiedy zamierzyli Jezuici oderwać ją od Carogrodu, a połączyć z Rzymem". Prócz tego Zygmunt III. patrząc oczyma Jezuitów, a mianowicie oczyma swego duchownego Bernarda Golińskiego, kaznodziei Piotra Skargi i Andrzeja Boboli, na różne herezye w Polsce, jako na największe nieszczęście, a i na wyznających prawosławną wiarę, jako na głównych wrogów swoich, wystąpił jako gorliwy obrońca katolickiej wiary i rzymskiej Stolicy (str. II.). „On tylko o to się starał, aby według możności i to jakimkolwiek sposobem wykorzeniwszy prawosławie, wszystkich mieszkańców narodowości ruskiej w swem państwie nawrócić na unię a następnie spolszczyć" (str. 64).

Takiej natarczywości trudno się było oprzeć. Ruś padła ofiarą Rzymu. Katastrofa ta musiała nastąpić tem pewniej i prędzej, że wrogowie „prawosławia" użyli podstępu. Był tylko autor trochę zakłopotany, kogo zrobić sprawcą tych podejść. Rząd polski wydawał mu się dla schyzmatyków tolerantny, szlachta polska sama heretyczała, Bazylianie przed Unią byli w upadku, zresztą potrzebował ich autor na później. Prawdziwa rozpacz! Lecz od czegóż Jezuici? Więc Jezuici chwycili się do przeprowadzenia Unii przedewszystkiem dwóch niego-

[1] O wypadkach IX. i XI. wieku w Carogrodzie autor nic nie wspomina.

dziwych środków: „Wiedząc, iż wprost i stanowczo od razu wystąpić nie można *(nelzia)*, zaczęli Jezuici umysły Rusinów do tego pomału przygotowywać: jedni nadskakując *(uchażywaja)* koło wyższych pasterzy Kościoła, a drudzy starając się swemi dziełami poniżyć prawosławny kościół i przed oczyma wszystkich odkryć jego wewnętrzne słabe strony“ (część II., str. III.). Po drugie — *risum teneatis!* — Jezuici promowują na stolice biskupie, rozumie się, schyzmatyckie, takich ludzi, którzyby mogli tylko przyprowadzić russki kościół do zguby. „Za wpływem i z łaski Jezuitów, na biskupich stolicach pojawiali się ludzie, którzy w niczem nie byli zdatni na jakichkolwiek pasterzy Kościoła“ (str. IV.). „Byli to ludzie wychowani w współczesnych pojęciach polskich i gwałtem, można powiedzieć, postawieni na biskupie katedry, jako narzędzia znanych celów jezuickich i polskiej polityki“ (str. VII.). Więc ci biskupi „nęceni zapewnieniem łacinników i Jezuitów, że między obrządkami obydwoma, jako katolickiemi nie będzie żadnej różnicy, zwrócili oczy na Zachód i — powstała unia. Rzymska kurya tryumfowała, papież Klemens VIII. kazał wybić medal z napisem: *Ruthenis receptis;* ale Ruś przedstawiała inny widok. Kiedy dowiedziano się o warunkach *(usłowija)*, podpisanych przez Pocieja i Terleckiego w Rzymie, natenczas ruska ludność wzburzyła się“ (str. VI). Tymczasem „łacinnicy po kościołach zaprowadzają nabożeństwa, ażeby schyzmatycy [1] nawrócili się na unię“ (str. VIII.). Biskupi zaś ruscy schyzmatycy pokazali w tym czasie iście arcypasterską gorliwość o swe owieczki. Np. Kopystyński, biskup przemyski, w tych tak trudnych i przykrych okolicznościach objawił niezwykłą stałość i spokój ducha i głębię pasterskiej miłości, gdyż mimo to nie przestawał z gorliwością prawdziwego arcypasterza pełnić obowiązków powołania swego... A ponieważ pod rządem polskim, prócz niego i Bałabana, prawosławnego biskupa nie było, a prawosławni brzydzili się księżmi unickimi i woleli bez świętych Sakramentów żyć i umierać, jak udawać się do unitów: przeto Kopystyński, ażeby odwrócić złe, poświęcał księży i dla drugich dyecezyj. Doniesiono o tem królowi... (str. 5). Pierwsi, którzy za „prawosławie“ nie wytrzymali placu boju, byli księża, przymuszeni groźbami, prześladowaniem, a nawet biciem, dalej zaś prosty lud. „Najdłużej dotrzymała placu w dyecezyi przemyskiej przeciw unii szlachta ruska. Ona, chociaż w jednych z Polakami szeregach ściera się z Turkami i Tatarami, chociaż zawsze gotowa i życie

[1] Autor bierze to słowo w cudzysłów.

poświęcić dla dobra Polski, jednak pomimo tego nie zapomina o swej narodowości i o swej wierze“ (str. IX.)

Wkońcu długoletnią wojną znękana Polska, według pokoju w Hadziaczu dnia 6 września 1658, zgodziła się na Rusi przywrócić prawosławie, postawiła je co do praw na równi z łacińskiemi *(sic!)* a unię postanowiła zniweczyć w całem swem państwie, ażeby w Polsce tak, jak oddawna istniały dwie tylko wiary, łacińska i prawosławna“ [1]. I zdawało się, że przy tych warunkach nastąpi dla Rusi i jej wiary spokój na zawsze. Ale los chciał inaczej“ (str. X.) R. 1601 Innoc. Winnicki, bisk. przem., przystępuje do Unii. Szlachta broni się, chce przejść pod juryzdykcyę jeszcze w schyzmie zostającego bisk. lwowskiego Szumlańskiego, lecz na nieszczęście do tego wmięszał się król, a kiedy „pokonał tę ostatnią warownię (tj. szlachtę), upadło wreszcie w przemyskiej dyecezyi prawosławie, a na jego miejsce powstała i usadowiła się unia, która sprowadziła nowe stosunki i okoliczności“ (str. XII.). Jednak unia miała być tylko mostem do przeciągnięcia Rusinów na obrządek łaciński. „Do zrealizowania tego zamiaru pomagają polskim Jezuitom ruscy Bazylianie... samowładnie psując albo zmieniając wszystko to, co im wydało się niezgodne z duchem i praktyką łacińskiego Kościoła“ (część III., str. II., III.). Więc w *Credo* dodano *Filioque,* we mszy kommemoracyę papieża, zaprowadzono święto Bożego Ciała i św. Jozafata, zaczęto stawiać po cerkwiach więcej ołtarzy i prawić więcej mszy na dzień w jednym kościele, śpiewać suplikacye i używać monstrancyj; księża wzięli się do golenia brody i zaciągania obojczyków i t. d. i t. d. (str. III). „A jednak i tem wszystkiem jeszcze nie mogli unici zmiękczyć serc łacinników, ani zatrzeć pamięci, że kiedyś byli schyzmatykami. Imię samo, sam ich widok budzi podejrzenie, jak gdyby unici zawsze jeszcze byli skłonni do schyzmy, chociaż sami święci papieże rzymscy samo wspominanie ich imienia we Mszy św. uważają za dostateczny dowód unii i katolicyzmu“. Nawiasem pytam, jak się ta pochwała godzi z poprzedniem narzekaniem na naruszenie czystości obrządku przez dodanie kommemoracyi papieża?

Taki posiew sieje na niwie ruskiej kapłańska ręka!... Jakżeż z tego niema wyróść plon niewiary? Naszym obowiązkiem było wytknąć ten przewrotny kierunek i napiętnować go.

Ks. N. W. r. gr.

---

[1] Ś. p. Dobrzański miał piękne pojęcie o „łacińskiej“ wierze.

Jan Wiszeński i jego pisma. Napisał *dr. Jan Franko.* Lwów 1895. Иван Вишеньский і его твори. Написав др. Иван Франко. Львив 1895.

W niektórych głowach wylęgło się przekonanie, że naród ruski (małoruski) nie jest narodem odrębnym. Jedni utrzymują, że to jest lud stanowiący z Polakami jeden naród o dwóch narzeczach [1], drudzy zaś wołają w niebogłosy, że na przestrzeni od Sanu i Karpat aż po Kamczatkę mieszka tylko jeden naród russki, który jak jeden mąż staje do pieśni: *W niz po matiuszkie po Wołgie.* Jednolitość tę, mówią ci ostatni, rozbiła dopiero galicyjska klika młodych fantastów, składająca się z Szaszkiewicza, Hołowackiego, Wagilewicza i t. d. i ów r. 1848, a wkońcu Polacy, ażeby wywołać rozdwojenie między jednym narodem russkim. Chcąc rozwiać te przekonania, Rusini wzięli się do studyowania dawnej swej literatury, aby tym sposobem wyświecić swoim przeciwnikom, że przy narodzie polskim i moskiewskim istniał zawsze odrębny naród ruski, bo odrębną miał swą literaturę, odrębny język, odrębne zwyczaje i obyczaje. Między szermierzami tej idei niepoślednie miejsce zajmuje dr. Iwan Franko, autor zaznaczonej w nagłówku broszury. Jak p. Franko wywiązał się ze swego zadania pod względem naukowym, o tem już wiemy z recenzyi d-ra Cyr. Studyńskiego, umieszczonej w „Zapiskach" Naukowego Towarzystwa im Szewczenki, t. V, r. 1895. I my bylibyśmy nie mieli nic więcej do powiedzenia, gdyby szanowny recenzent antyreligijnych i antykatolickich zasad autora, z jakiemi się spotkał w jego dziełku, nie był pominął prawie zupełnem milczeniem, zapominając o zasadzie: *prímo christianus et deinde philosophus.* A nie można było też pietyzmu p. Franka „przeoczyć", gdyż autor opracowując życie i pisma schyzmatyckiego polemisty, z konieczności rzeczy zaczepiał i religię prawie na każdej stronicy swego dziełka. Dla nas zaś wypada poznać się z religijnemi przekonaniami p. Franka, gdyż on, choć nie ma szerszego wpływu na społeczeństwo ruskie, jednak głośny jest jako literat, przywódca ruskich radykałów, kandydat na posła do sejmu i na katedrę uniwersytecką [2], a nawet znany w zachodniej Galicyi jako przyjaciel partyi chłopskiej. Pomimo niepowodzeń i rozczarowań, jakich już nieraz doznał p. Franko, silnie wierzy w nieskazitelność swych zasad, idealizuje je w swych pismach

[1] *Przegląd Lwowski* r. 1893, nr. 263, Kronika.

[2] Senat uniwersytecki we Lwowie, o ile wiemy z gazet, chciał pana Franka przyjąć do grona profesorów, lecz ministerstwo odrzuciło tę propozycyę.

jak: *Na dní* (Na dnie)[1], *Boa constrictor*, *Nawernemyj hrisznyk*, *Zechar Berkut*, w poezyach *Z wyżyn i nyzyn* i t. d., i pewny jest, że w imię tych zasad zwycięży. Czasem p. Franko umie być wyższym ponad siebie, i gdy tego potrzeba, poświęcić raz wypowiedziane przekonania, by wywrócić piórem wszystko co na swej drodze napotka. Ażeby wydrzeć maluczkim wiarę, że tylko powszechny Kościół jest święty i nieomylny, broni on schyzmy i pisze w wymienionej broszurce, że u protestantów różnych sekt nie brak zapału religijnego, nabożeństwa, uczciwości i innych cnót (str. 169), nie uznaje istnienia czyśca (str. 139) i t. d. Aby zaś zwalczyć i schyzmę i protestantyzm, zbija im autentyczność Pisma św. (str. 89, 171 i t. d.), a schyzmatykom podsuwa wątpliwość o świętych obcowaniu (str. 231). Do tego wszystkiego za wyborne tło posłużyło p. Frankowi życie Jana Wiszeńskiego. Schyzmatycki ten polemik urodził się, według autora, około r. 1550 w Sądowej Wiszni. Elementarne nauki pobierał w parafialnej szkółce, a resztę wykształcenia dopełnił na dworze Konst. Ostrogskiego. Około r. 1580 udaje się na górę Atos i tam zostaje mnichem, lecz ani na moment nie spuszcza z oka ojczyzny. R. 1605 wraca na Ruś, zwiedza klasztor w Uniowie i Maniawie; jednak już w jesieni r. 1606 powraca znowu na Atos. Pod wpływem wypadków w kraju, na jakie patrzał, napisał 19 większych i mniejszych utworów, a większą część ich poświęcił polemice z kościelną unią. „Jak zakończył życie — pisze p. Franko — my nie możemy powiedzieć. Czy w przystępie religijnego obłąkania, uganiając się „za duchami podniebieskimi", ze swej pieczary wypadł w morze i rozbił się o skały, czy zamorzywszy się postem i wysuszywszy ciało jak szkielet, następnie popadł w liczbę relikwij i jest jeszcze do dzisiaj gdzieś przedmiotem czci i kultu — to wszystko są ewentualności o tyle możliwe same sobą, o ile i trudne do skonstatowania" (str. 465). Tu już niepotrzebnie p. Franko podsuwa religii ekscesy, których ona nie jest bynajmniej winną. Lecz on posuwa się w tym kierunku jeszcze dalej. U p. Franka post Chrystusa Pana na pustyni i kuszenie Jego przez szatana, to tylko „głębokomyślna i bardzo poetyczna ewangeliczna legenda" (str. 89). Jedno z najpiękniejszych miejsc Pisma św. Star. Zak., w którym prorok opisuje upadek narodu izraelskiego, u p. Franka to nie są słowa Ducha św., ale „wicher Izajaszowego patosu", którym jego schyzmatycki bohater „nie

[1] Psychologiczne „studyum" napisane pod wrażeniami, jakie wyniósł autor z więzienia.

daje się unieść, gdyż chce być współczesnym pisarzem-publicystą, a nie biblijnym prorokiem“ (str. 171). Wprawdzie Wiszeński pożyczał czasem motywów i ozdóbek *(krasok)* „u starego proroka Izajasza“, ale to niech posłuży tylko za przykład, „jak daleko od rzeczywistej prawdy może zanieść pisarza taka retoryka“ (str. 170).

Lecz p. Franko widać głównie się na to uwziął, aby opracowując „przedmiotowo“ życie i pisma Wiszeńskiego, zza pleców schyzmatyka wymierzyć policzek Apostolskiej Stolicy. Mimochodem mówiąc, pisze autor (str. 126), to akcentowanie nieprzerwanego następstwa (papieży po św. Piotrze) przy dowiedzionym fakcie fundamentalnej zmiany tego następstwa zupełnie nie rataje łacinników[1]. Ciekawi tylko jesteśmy, gdzie p. Franko wyczytał ten „dowiedziony fakt“; a jeszcze bardziej nas dziwi, że tym bijącym promieniom prawdy mogą się oprzeć oczy katolickich historyków kościelnych, jak Baroniusz-Pagi, Mansi, Hardnin, Aleksander Natalis, Hefele, Hergenroether, Pastor; apologetów, jak Hellinger, Schanz[2], Weiss, wkońcu teologów, jak Franzelin, Belarmin, z którym to ostatnim sam autor nakazuje się liczyć (str. 25). W istocie potrzeba niemałej naiwności czy zaślepienia ze strony p. Fr., iżby przeciw tak licznemu zastępowi obrońców papieskiej władzy, on mógł powiedzieć, że u jednego schyzmatyka, np. Suraźskiego, pytanie o prymacie papieży „tak pięknie i tak gruntownie“ było opracowane, rozumie się na niekorzyść Apostolskiej Stolicy (str. 127). Nadto według p. Fr. sam Wiszeński stawia przeciw prymatowi argument — *stupete gentes!* — który „możnaby nazwać zasadniczo rozstrzygającym całą tę kwestyę“. Wiszeński, pisze on, przeciw schyzmatyckim[3] polemikom przyznaje, iż Chrystus dał Piotrowi władzę najwyższą nad apostołami, iż uczynił go pasterzem i kamieniem węgielnym swego Kościoła. Tutaj p. Frankowi wydało się, że Wiszeński za dużo zrobił ustępstwa dla katolików, dlatego zaraz robi czytelnika uważnym: „Inni schyzmatyccy polemicy odpowiednie miejsca ewangielii inaczej tłumaczyli, a Kopysteński w swej Palinologii dużo miejsca poświęcił na to, iżby dowieść, że Chrystus co najwięcej obiecał[4] Piotrowi zwierz-

[1] P. Fr. chciał powiedzieć: katolików; on widać nie rozumie wielkiej i doniosłej różnicy między słowem: łacinnik a katolik (str. 128, 182, 455 i t. d.).

[2] Jeden z tych apologetów, którzy najpiękniej opracowali prymat papieża.

[3] P. Franko wschodnich odszczepieńców mianuje zaszczytnie prawosławnymi.

[4] Autor umieścił to słowo rozstrzelonemi literami.

chnictwo“ (str. 127, 128). Szkoda, że p. Fr. nie podał, które to dowody Kopysteńskiego przypadły mu najbardziej do serca. Jednakowoż, mówi dalej p. Fr., Wiszeński nie przyznaje konkluzyi, jaką z tego wyprowadzają katolicy. „Gdzież jest napisane w listach Piotrowych, pyta się obrońca schyzmy, że św. Piotr przekazał swą najwyższą władzę rzymskim papieżom? Rzymskim kościołem zajmował się Paweł a nie Piotr, który chyba tyle ma z tym kościołem łączności, że w Rzymie umarł. I jeśli na tej podstawie papieże przywłaszczają sobie zwierzchnictwo w Kościele, że Piotr umarł w Rzymie, to w takim razie oni są raczej następcami tych, którzy Piotra zamęczyli, niż Piotrowym“ (str. 128). Oto cały argument Wiszeńskiego, który według p. Fr. rozstrzyga pytanie o prymacie. Odpowiemy p. Frankowi, iż jeśli, jak sam Wiszeński przyznaje i jak nie można inaczej tłumaczyć słów Chrystusa Pana, po zmartwychwstaniu do Piotra trzykrotnie powiedzianych: „paś owce moje“ (Jan 21), jeśli ten apostoł otrzymał naczelną władzę nad Kościołem, natenczas jasna rzecz jest, że póki żył i z miasta do miasta wędrował, to władza jego z nim się przenosiła, a kiedy umarł w Rzymie, w charakterze biskupa rzymskiego, to władza jego przelała się na tego, który po nim na biskupstwie rzymskim nastąpił. Dlatego też biskup antyocheński, chociaż zasiada na tej samej stolicy, na której był z początku Piotr św., nigdy ani nie ważył się rościć sobie podobnej władzy nad Kościołem, będąc przekonany, że z przejściem św. Piotra do Rzymu, przeszła tam i jego władza. Że zaś św. Piotr był biskupem rzymskim, a nie Paweł, o tem powinien był Wiszeński dać się przekonać już nie z dzieł katolickich, ale z nieprzerwanej tradycyi w samym kościele wschodnim, ze swych ksiąg kościelnych, które miał obowiązek poważać, jeżeli chciał się z nich modlić. Lecz niestety, po wszystkie czasy muszą się sprawdzać słowa św. Cyryla Jerozolimskiego: Ἀλλ' ἀπιστεῖς τοῖς γεγραμένοις... Ἕλλην τυγχάνων (Κατηχ. φωτιζ. ἡ, ζ) — lecz ty nie wierzysz pismom, ponieważ jesteś Grekiem. Zresztą zarzut, jakoby Piotr św. nigdy nie był biskupem rzymskim, nie jest pomysłem Wiszeńskiego, ale niektórych protestantów. Aby zaś wojować tym argumentem Wiszeńskiego, że wschodni biskupi na pierwszych soborach tylko z grzeczności ustępowali pierwszeństwa papieżom (str. 129), potrzeba nie mieć najmniejszego pojęcia o tej „grzeczności“, z jaką się odbywały sobory na Wschodzie; potrzeba nie znać starej ich zawiści do Łacinników, która rosła od pierwszej chwili założenia nowej Romy, aż wybuchła jak wulkan w schyzmie Focyusza; potrzeba nie posiadać pierwszych wiadomości z historyi kościelnej, jak np. tego, że już na

pierwszym powszechnym soborze w Nicei i drugim w Carogrodzie nie można się było w tym względzie spuszczać na „grzeczność“, ale wśród najcięższej walki, jaką kiedykolwiek Kościół przebył, bo walkę o obronę bóstwa Chrystusa Pana, musieli ojcowie soborów pamiętać także o prymacie papieża i zaznaczyć go wyraźnie w kanonach [1]. Zresztą mamy także powód wątpić o szczerości słów i „dziecinnym poetyzmie“ (str. 410) Wiszeńskiego. Jak długo da się wojować gołosłownymi frazesami, on tryumfuje, lecz przypartty argumentami, jakie wyczytał u Skargi, nie umie odpowiedzieć nic innego jak tylko to, że „człowiek nie śmie stanowczo wyrokować o rzeczach tylko Bogu dostępnych“ (str. 185). Podobno odzywa się w liście do Stauropigii lwowskiej (str. 404). Pytamy się p. Fr. czy też sam jego bohater wierzył tym słowom? Z początku „stanowczo rozstrzygać pytanie“ a później odpowiadać: nie nam prawa do tego, nie będę tego rozbierał — czy to nie znaczy, że się nie wierzyło w siłę swych własnych argumentów? Dlatego też sam autor przyznaje na innem miejscu, że Wiszeński nie mógł pokazać swym współwyznawcom innego punktu oparcia jak gołosłowne zapewnienia, że „my prawosławni jesteśmy na kamieniu a nie na piasku samochwalstwa zbudowani, nasza jest prawda, nasza prawdziwn wiara, nasz także i wedle wiary żywot wieczny będzie (str. 405).

Z tem wszystkiem p. Fr. słyszy Wiszeńskiego jak „z prorockim patosem“ odwołuje się do Boga, żeby powiedział, kto Jemu milszy, katolik czy schyzmatyk, i zarazem słyszy, jak Wiszeński sam sobie odpowiada, że Bóg spogląda na pokornych (tj. patryarchów schyzmatyckich, będących pod jarzmem tureckim), a gardzi dumnymi (tj. papieżem). I jak gdyby te słowa były już spełnione, pisze dalej p. Fr., jak gdyby dumny przeciwnik już leżał rozbity tak, jak niegdyś wojsko asyryjskie niewidzialnie było porażone mieczem anielskim, autor nasz (Wiszeński) w wspaniałej poetycznej formie śpiewa pogrzeb głosowi dumy i niedowiarstwa papieża rzymskiego i t. d. (str. 182, 183). Ruskich biskupów, którzy porzucili schyzmę, p. Franko nazywa wprost apostatami (str. 188, 193, 206, 355 i t. d.), a znane obelgi, rzucane na nich, uważa za fakta tak pewne, jak gdyby się był na nie patrzał własnemi oczami (str. 203, 204, 219, 236, 240 i t. d.). Tylko, na miły Bóg, niech p. Franko nie cytuje na dowód swych pewników historycznych „takiego sumiennego i gruntownego historyka, jak Łukasze-

[1] Sobór nic., kan. VI., sob. konst., kan. II. Znakomicie tę rzecz omówił Hefele: *Conciliengeschichte,* tom I. i II.

wicz (str. 267), takiego Krowickiego, który w „Wizerunku antychrystów“ „bardzo gruntownie obrabia tezy“ (str. 130) i t. d., bo tem sam siebie zbija. Unia brzeska to u p. Franka gromadna apostazya szlachty (354), i ona nie zrobiła nic dobrego dla Rusi, przeciwnie, złego dużo; ona „zamiast uzdrawiającej wody, dosypała tylko soli do rany“ (str. 289). Dlatego p. Fr. cieszy się, jak jego bohater obrzuca Unię i Głowę Kościoła kałem, obdarzając ich takiemi epitetami, jakie się nie znajdują w żadnym słowniku (str. 182, 473, 474, 478). A wszystkie te oszczerstwa nazywa p. Fr. „znakomite wołanie autora“, „retoryczne ekskamacye“, „wysoko artystyczna architektura“ (str. 477). Nie zazdrościmy takiego talentu bohaterowi p. Franka.

Mielibyśmy jeszcze wiele szczegółów do wytknięcia p. Fr., jak np., że błędnie przypuszcza, iż Stolica św. uznała małżeństwo Orzechowskiego (str. 431), że nie rozumie sposobu mówienia Areopagity, któremu zarzuca sprzeczność (str. 108), że nie rozumie znaczenia „natury“ u ascetów, kiedy ją bierze za jedno z naturą, o której mówią ludzie Odrodzenia i t. d. Ale niepodobna i nie warto wszystkich błędów tej książki wytykać.

Ks. N. W. r. gr.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

La France chrétienne dans l'histoire. Paris. Firmin Didot. 1896.

Jubileusze są na porządku dziennym. Zgnębiona poniekąd szarą powszedniością teraźniejszości ludzkość dźwiga się i upaja wspomnieniami bohaterstwa, poświęcenia, dawnej chwały. We Francyi co dopiero obchodzono pierwsze stulecie Instytutu, obejmującego w swem łonie pięć różnych Akademij; z wiosną odnowiono pamięć krucyat i ogłoszenia w Clermont pierwszej wojny krzyżowej; teraz już się zapowiada nowe narodowe święto, obchód pamiątkowy o doniosłem, rzewnem znaczeniu. W dniu Bożego Narodzenia o. r. 1896, przypada czternasto-wiekowa rocznica chrztu Klodwiga. Postanowiono nie pominąć tego obojętnie; owszem, wobec nacisku bezbożnych, aby odchrześcijanić starszą córę Kościoła, Francya chce złożyć jawny dowód, iż nie dała sobie z czoła zetrzeć piętna chrztu świętego, że wierną chce pozostać ślubom ongi składanym przez króla i wodza dzielnych Franków. Kardynał Langénieux stanął na czele zamierzonych uroczystości, które

zgromadzić mają w Reims przedstawicieli wiernej i wierzącej Francyi. Stolica św. Remigiusza w ciągu przyszłych miesięcy przyciągnie i gromadzić będzie nieprzeliczone tłumy, żądne stwierdzenia uczuć swych, przekonań i miłości. Promotor zapowiedzianych uroczystości dobrze przeczuł, iż należałoby przygotować i rozgrzać naród historycznem przed stawieniem chrześcijańskiego Francyi posłannictwa. Zaprosił tedy najprzedniejsze umysły i talenta do świadczenia za ojców wiarą i do opowiedzenia cudu Bożej myśli, przewijającej się przez czternaście wieków historyi. Stąd powstała myśl księgi zbiorowej, w której najprzedniejsi pisarze Francyi wykazaliby działalność Kościoła, wpływ pojęć chrześcijańskich w ciągu czternasto-wiekowego okresu. Ogólny kierunek zamierzonego wydawnictwa powierzony został uczonemu Oratoryaninowi, ks. Baudrillart, dotychczasowemu badaczowi hiszpańskich archiwów. Księga, której tytuł wypisujemy powyżej, ukazała się już na półkach księgarskich, zdumiewając wspaniałością treści i formy, oraz przystępnością bajecznie nizkiej ceny, gdy się zważy na ilość materyału nagromadzonego w obszernym tomie, oraz na mnóstwo illustracyj i staranność pięknego wydawnictwa. A jednocześnie książka ta pozwala szeregom jawnych wyznawców Ojców siły swe policzyć, zmierzyć i ocenić. Nazwiska takich współpracowników, jak ks. Duchesne, mgr. Perraud, prof. Kurth, mgr. de Vogüé, książe de Broglie, Olté Laprúne i wielu, wielu innych, same przez się o wartości książki rozstrzygają. Szersza publiczność pozna nareszcie, ile młodych talentów i świetnych zdolności służy najświętszej sprawie i wyznaje jawnie prawdę. To zespolenie sił i pracy przynieść może tylko krzepiące wrażenia co do przyszłości chrześcijańskiego we Francyi nauczania. To też kardynał Langénieux raduje się w słowie wstępnem, iż znalazł sposobność złożenia Kościołowi jawnego i doniosłego hołdu, na jaki świat, marnościami zaprzątniony, nie łatwo byłby się zdobył, skupiając w jednem zadaniu tak poważny zastęp wyższych umysłów.

Dyrektor szkoły francuskiej w Rzymie, uczeń nieodżałowanego Rossi'ego, rozpoczyna tu szereg zbiorowego wydawnictwa ciekawą i wyczerpującą rozprawą o początkach chrześcijaństwa w podbitej przez Rzymian Galii i pierwszym posiewie krwi męczeńskiej, która miała bujnem zejść żniwem. Profesor z Liége, G. Kurth, opowiada dzieje nawrócenia Francyi. Gdy znaczna część germańskich przywódców aryańskie przyjmowała błędy, Klodewig opatrznościowo uchylił czoła przed pełnością prawdy. Za czem kiedy gdzieindziej różnice wyznania pogłębiały szczepowe niechęci pomiędzy zwycięzcami i zwyciężonymi

jedność wiary ułatwić miała zlanie się Franków i Gallo-rzymian, co przyspieszyło ukształtowanie się silnej, krzepkiej, trwałej narodowości.

Kierownik Bollandystów, znakomity O. de Smedt z Towarzystwa Jezusowego opisał instytucye klasztorne, osady zakonne i opactwa z epoki Merowingów. Inny pisarz podjął się dziejów ocalenia Francyi przed bisurmańską nawałą, wstrzymaną zwycięstwem Karola Młota pod Poitiers. Karol Wielki osobnego doczekał się wizerunku podczas stopniowego rozpadania się jego potęgi i biskupi są tu rusztowaniem Francyi, której się rozprządz nie dają. Znawca rycerskiej epoki, Leon Gantier, kreśli naczelne jej rysy, wierzy w jej niezłomną trwałość i przyszłość. „Rycerzem jest każdy, co duszę i życie oddaje braciom, co maluczkich kocha i stawia honor nad wszelakie ziemskie dobra". To samo powtarza o krucyatach p. de Vogüé. Duch Krzyżowców nie zginął, misye dziś zastąpiły dawne krucyaty, a armia Sióstr Miłosierdzia i apostolskich misyonarzy wznawia dawne zwycięstwa krzyża i Francyi. Niepodobna wyliczać tu wszystkich rozpraw, rzucających fachowe światło na ten lub ów punkt dziejów ducha czy oręża Francyi. Wymieńmy ciekawą pracę p. Jordana o początkach paryskiej Wszechnicy, która ośmsetną niebawem święcić będzie rocznicę. Współpracownik pamiątkowego o Watykanie wydawnictwa, p. Pirate, rozwodzi się nad sztuką średniowieczną. Dziewica Orleańska i postać św. Ludwika doczekały się tu osobnych wizerunków i panegiryku. Sam kierownik wydawnictwa, ks. Baudrillart, wyczerpnął dzieje religijnego i politycznego przełomu XVI. wieku. Gdy zewsząd jad herezyi usiłował zatruć Francyę i jedność jej rozerwać, maluczcy, lud wiejski, rzemieślnicy, bracia żebrzący ocalili przyszłość kraju, religijną i polityczną jedność. I znów wiek XVII. uderza bujnością duchową i duchowną, której oryginalność właściwa tkwi w związkach świeckich kapłanów, łączących się dla wspólnego działania w je dnakich celach. Otrzymujemy tu odgłos rozkwitu kaznodziejskiej wymowy, dalej echo prac benedyktyńskich i znojów twórców „dyplomatyki". Im dalej w lata, tem gęstsze i głębsze studya usiłują myśl bożą wskazać i ujawnić w przeznaczeniach Francyi. Po kilku rozprawach, opisujących przełom rewolucyjny i napoleoński konkordat, p. Olté Laprúne znakomicie wyczerpuje „rozwój duchowy katolicyzmu francuskiego w bieżącem stuleciu". Wizerunek kardynała Lavigerie, pióra przychylnego Polsce biskupa z Autun, kardynała Perraud, wznawia *gesta Dei per Francos* na spalonych Afryki wybrzeżach. Znany pisarz i mowca polityczny, p. Lamy, w mistrzowski sposób streszcza następujące po sobie pontyfikaty Piusa IX. i Leona XIII., a pochwała jednego

nic nie ujmuje zasługi drugiemu. Zapewne, jeśli hasłem Piusa było stale *non possumus*, to *possumus* jest raczej hasłem jego następcy. Atoli niesłuszna byłoby upatrywać sprzeczności w ich działaniu. „Owszem, chwałą ich, iż każdy obrał drogę najbardziej własnej naturze przeciwną. Obowiązek zmusił serdeczną duszę Piusa do twardych anatemów, obowiązek też ułagodził aż do długiej cierpliwości gwałtowne i doktrynalne serce Leona. Ten ostatni nie mógłby wstępować na nowe drogi, zapuszczać się na przeciwne szlaki, dla dopełnienia pasterskich powinności i odnoszenia zbłąkanych owieczek, gdyby jego poprzednik nie był zapalił na górnem miejscu jarzącego światła, wskazującego, gdzie się rozbita trzoda skupiać i gromadzić powinna“. Kończąc, powtarza, iż dziś już niepodobna zaprzeczyć rewolucyi, chodzi tylko, aby ochrzcić ją i w formie demokracyi chrześcijańskiej ciągnąć dalej wątek posłannictwa dawnej monarchicznej Francyi, w myśl rad Namiestnika Chrystusowego.

Suche to sprawozdanie pozwoli czytelnikom ocenić wartość jubileuszowego wydawnictwa, które wybornej dostarczyć gotowe oryentacyi w badaniu i poznawaniu dziejów Francyi. Protestanccy i bezwyznaniowi historycy zbyt często omylają i bałamucą sąd nasz i zdanie. Takie publikacye prostują ogólne pojmowanie dziejów, a zarazem wiodą do bliższego wsłuchiwania się w moralne tętna, które, bądź co bądź, zagłuszyć się nie dają, mimo usiłowań bezbożnych, aby je wypłenić z duszy i ziemi francuskiej. Wspaniale się w tych kartach przedstawia czternasto-wiekowe posłannictwo Francyi, jednając wśród czytelników pięknego i poważnego wydawnictwa chętnych i gotowych uczestników dla zapowiedzianych w Reims uroczystości.

M.

La crise religieuse en Angleterre. Par le p. *Ragey*, Mariste. Paris. Lecoffre.

Mimo pozorów zmateryalizowania doszczętnego, wiek nasz nad innne zajmuje się odwiecznemi zagadnieniami, a duszne sprawy biorą górę nad sporami polityki, występując przy każdej okazyi na widownię. Wielki papież bystrym wzrokiem mierzy budzącą się powszechnie tęsknotę za prawdą, żądzę światła, pewności, uspokojenia i wyswobodzenia. Od Watykanu padają raz po raz wezwania i hasła, nawołujące do jedności. List apostolski do angielskiego narodu był poniekąd zatwierdzeniem ruchu religijnego, przejawiającego się coraz wyraźniej na gruncie pobożnych serc angielskich. Papież słusznie opiera swe nadzieje

powrotu olbrzymiego państwa na łono Kościoła katolickiego, na uszanowaniu Słowa bożego, święceniu dni świętych i uczciwości rodzinnego życia, tych przewodnich cechach Anglików. Najświętsza Panna, której to królestwo „wianem“ się nazywało, osobną opieką otoczy obecne przetrawianie się pojęć i sumień. Nie brak zadatków nawrócenia w odpadłej z winy swego monarchy krainy. Między innemi, podniesiono rzadkie nabożeństwo do księcia Apostołów, które tu trwałe pozostawiło ślady mnóstwem kościołów na cześć św. Piotra ongi stawianych, częstem nadawaniem tego imienia na chrzcie św. i tym podobnymi dowodami węzła z Opoką, na której stanął Kościół. *Reunion is in the air*, powtarzają Anglicy. Zjednoczenie drga w powietrzu, rozkład ustanowionego, państwowego Kościoła zatwierdza się powstawaniem coraz to nowych, odrębnych sekt, naradami biskupów anglikańskich, niezaspokojeniem dusz zwracających się ku krynicom prawdy. Lord Halifax, prezes związku *English Church Union*, powtarzać nie przestaje, iż wszystkie kwestye maleją wobec tej największej i najpoważniejszej, spodziewanego, upragnionego połączenia Kościołów. Jakiżby tryumf święciła prawda w dniu, w którym państwo rozsiadłe na dziewięciu milionach mil kwadratowych a doliczające się przeszło 312 milionów mieszkańców, wróciło na łono katolicyzmu! Jakie są owego powrotu zadatki i zapowiedzi, co dodać może otuchy, co ostudzić zbyt bujne nadzieje, opowiada nam autor ciekawej książki, której tytuł wypisujemy powyżej. O. Ragey zna wybornie stosunki angielskie, sprawdził je sumiennie, pracę swą poddał ocenie najprzedniejszych katolików Anglii. Jak się z zadania swego wywiązał, najlepiej świadczy list kardynała Vaughana, umieszczony na wstępie. Świątobliwy arcybiskup Westminsteru wyraża przekonanie, iż nad wszystkie inne środki, modlitwa za Anglię przyspieszy jej nawrócenie: to też poleca on usilnie narodowi katolickiemu wyproszenie tej łaski; a jednocześnie przypomina wpływ zbawienny wywarty niegdyś przez rozbitków przewróconych burzą wielkiej rewolucyi na angielskie wybrzeża. „Nie tajmy, iż ruch religijny, znaczący się dziś w Anglii w znacznej części odnieść wypada do wspaniałych przykładów cnoty, wiary i pobożności, dostarczanych z końcem minionego stulecia przez emigrantów francuskich“. Wartoby i u nas zmierzyć, ile dobrego posiali owi wygnańcy, zabiegający niemniej licznie aż w gościnne progi pałaców, dworów i klasztorów polskich. Książka O. Ragey w właściwem stawia oświetleniu sprawę zjednoczenia Kościołów i nawrócenia Anglii, a kwestya ta, budząca tak poważne, powszechne zainteresowanie nigdzie lepiej zbadaną ani poznaną być nie

może, jak w wyczerpującej pracy uczonego zakonnika, który u źródła zaczerpnął informacyi, i osobiście dłuższym w Anglii pobytem zmierzył tętna idącego przełomu dusznego, który gotów zapewnić Kościołowi Chrystusowemu niedorównane zwycięstwo, wschodząc dniem pociechy i chwały.

M.

Das Buch der Frauen. Von *Laura Marholm.* Paris & Leipzig. Verlag von Alb. Langen. 2-te Auflage. 1895.

„Książka o kobietach", napisana przez kobietę, doczekała się w przeciągu roku drugiej edycyi w języku niemieckim, wychodząc jednocześnie po norwegsku i duńsku w Chrystyanii, dla Ameryki i Anglii w Londynie, dla Francyi w Paryżu. Przełożona na język polski znalazła już miejsce w ramach polskiego pisma i ukaże się zapewne niebawem w naszych księgarniach.

Rozpowszechnienie to niezwykłe nastręcza nam myśl wypowiedzenia kilku słów o niej. Autorka książki jest jedną z reprezentantek duńskiej literatury, kobiety zaś, których biografie stanowią spory tom, należą nietylko do rozmaitych narodowości, ale do całkiem odmiennych szczepów. Widzimy bowiem w tym zbiorze dwie Rosyanki, Angielkę, Włoszkę i dwie Skandynawki.

Gdyby te kobiety były tylko wyjątkowemi istotami, sięgającemi nauką lub talentem po wawrzyny nieśmiertelnych. to opowieść o nich, zaczerpnięta po większej części z zeznań własnych lub dobrze świadomych świadków życia, byłaby zawsze ciekawym przyczynkiem dla literatury. Autorka jednak, zważając na prądy nurtujące dzisiejsze społeczeństwo, widzi w nich wyraz myśli i przekonań współczesnego świata.

Po kolei poznajemy Maryę Baszkircew, malarkę, której płótna zdobią ściany Muzeum Luxemburskiego w Paryżu; Annę Karlottę Edgren-Leffler, autorkę równie rozpowszechnionych na północy dramatów, jak Biörnsena lub Ibsena, choć w tendencyach zawsze gotowe do walki z tymi nieprzyjaciołmi niewieściego rodu, broniąc w każdym swoim utworze tak zwanych „zapoznanych praw kobiety".

Przewracając dalsze kartki spotykamy znaną z talentu na obu półkulach artystkę dramatyczną, Eleonorę Duse; angielską nowelistkę, piszącą pod pseudonimem „Georges Egerton"; skandynawską nowelistkę Amalię Skram i Zofię Kowalewską, doktoryzowan*ego* w Getyndze, a zasiadając*ego* na katedrze matematyki „profesora" *(sic)* uni-

wersytetu sztokholmskiego, nagrodzonego za głośną w świecie naukowym rozprawę w paryzkim *Prix Bordin.*

Ułożywszy swoje współczesne biografie, autorka „Książki o kobietach“ nie troszczy się wcale o kobiety, które, poprzedzając zebraną przez nią galeryę, wsławiły swoje imiona. Georges Sand i Georges Eliot należą dla niej do tej starej plejady kobiet, które wznosząc się umysłowo, chciały dorównać mężczyźnie, zatracając swoją odrębną cechę kobiecości, stając się niejako umysłem męskim.

Kobiety p. Marholm nie zapierają się swej kobiecości, chociaż są równe (?) mężczyźnie w działalności swej intelektualnej, Działalność tę autorka notuje sumiennie, ale mniej się nią zajmuje, „jako działalnością“, starając się za to odkryć najtajniejsze kryjówki ducha tych biedaczek, którym żądza dorównania w wiedzy i nauce mężczyznom zatruła czy zabrała wszelkie uciechy serca, skrzywiła przeznaczenia drogę, odepchnęła od czary życia, przeznaczonej każdej istocie żyjącej.

Kobieta równa nauką mężczyźnie staje do boju z nim, jako zapaśnik. Pokrzywdzona zawiść w nienawiść się przeradza, siły targa bezużytecznie, traci walką nadwątlone zdrowie, która zabiera też jej życie.

Opowiadanie p. Marholm, zasługujące na miano „psychologicznego studyum“, robi głębsze wrażenie od wielu innych książek w tym rodzaju, przesuwa bowiem autorka przed naszemi oczyma nie urojone sylwetki, ale prawdziwe portrety, ukazując nam tęskniące za naturalnem przeznaczeniem kobiety, zmarnowane duchowo i więdnące w zaraniu życia, jak Marya Baszkircew lub Zofia Kowalewska, lub szukające zaprzeczenia teoryom swoim przez spóźniony związek małżeński, jak np. pani Edgren-Löffler.

Zadaniem książki p. Marholm jest wykazanie nam naturalnych powodów, dla których nauka, odrywając kobietę od zwyczajnego biegu życia, wykoleja ją i robi nieszczęśliwą. Autorka popiera wywody swe czerpiąc z wcale pewnych źródeł: daje nam więc wyjątki z dziennika młodziutkiej Maryi Baszkircew, umie odnaleźć szczere nuty w beletrystycznych utworach nowelistek lub posługuje się piórem p. Edgren, aby opowiedzieć nam życie najbliższej swej przyjaciółki, Zofii Kowalewskiej, życie zimne i szare, bo w młodocianych latach nie muśnięte skrzydłem miłości. Śmierć przecina je w porę, bo w życiu tej kobiety z umysłem mężczyzny przechodził przesyt nauki, tęsknota za życiem i nuda.

Moglibyśmy zakończyć nasze sprawozdanie słowem głośnej myśli-

cielki: *que le gloire pour une femme n'est que le dueil de sou bonheur.* Czujemy się jednak w obowiązku powrócić jeszcze do „Książki o kobietach", aby powiedzieć, że się ją czyta łatwo i z interesem, mogącym nawet mocno zająć młodszą wyobraźnię nie domyślającą się może, że pod pozorem prawdy książka ta zaprawiona jest naturalizmem, który wprawdzie nie razi tyle, jak u Zoli, przypomina go jednak, powlekając jakby lekkiem pokostem wszelkie rozumowania autorki i nadając im ułudę prawdy.

Bieglejszy wzrok dostrzega jednak prędko tę umyślnie wszystko oplątującą przędzę, która jak fałszywa nuta psuje książkę, dzwoniąc za każdą przewróconą kartką.

M. S.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Antykatolickie rozprawy w Berlinie. — Filipiki Kronawettera. — Mowa ks. Chotkowskiego o szkole ludowej. — Toasty i programy paryskich wolnomularzów.

ANTYKATOLICKIE ROZPRAWY W BERLINIE.

Toczące się od kilku tygodni obrady parlamentu niemieckiego, a w wybitniejszym jeszcze stopniu obrady sejmu pruskiego, odsłoniły bardzo ciekawy a zarazem bardzo niewesoły obraz dzisiejszego położenia Kościoła katolickiego w Niemczech. Urzędowy *Kulturkampf* należy do przeszłości, ale pozostały liczne jego niezatarte ślady, a co gorsza duch, który nieszczęsną tę walkę wywołał, wciąż pokutuje i w ustawodawstwie i przedewszystkiem w praktycznem jego zastosowaniu. Niezmordowani, niczem nie dający się ani ugłaskać, ani odstraszyć katoliccy posłowie, podnosili z kolei jedna po drugiej, wszystkie krzywdy, które Kościół katolicki po dziś dzień ponosi, i nie dając się zbić z tropu ani obelgami, ani przeróżnemi fortelami swych przeciwników siedzących i na poselskich ławach i na ministeryalnych fotelach, domagali się natarczywie stanowczego ich usunięcia.

Najcięższą krzywdą, która inne jak w jądrze sobie mieści, jest nierówne traktowanie przez państwo i jego organa, katoli-

ków a protestantów. Równość obu wyznań wobec prawa i rządu zagwarantowana jest uroczystemi uchwałami; cóż z uchwał, cóż z prawnych kodeksów, gdy praktyka życia codziennie jaskrawo im zaprzecza? W ostatnich siedmiu latach — jak wykazał dr. Bachem — wydał rząd na różne nadzwyczajne potrzeby Kościoła protestanckiego 2,140.000 mr., a na potrzeby Kościoła katolickiego 108.000 mr.; zatem wydał dla protestantów blizko dwadzieścia razy więcej niż dla katolików. Cóż powiedzieć, że 200.000 berlińskich katolików nie może się dotąd doczekać katolickiego gimnazyum? W Schoeneburgu — aby ograniczyć się na jednym przykładzie — znajduje się 380 katolickich dzieci, a pomimo tego katolicy napróżno upominają się o założenie katolickiej szkoły ludowej. Ciekawa rzecz, czy też w całem pruskiem państwie znajduje się jakaś miejscowość, w której rząd nie pomyślałby o szkole ewangelickiej dla 380 ewangelickich dzieci; wszak myśli o niej regularnie wszędzie, gdzie doliczyć się może 20 lub 30 dzieci ewangelickich. Tłumaczy się to znowu poprostu tem, że wszyscy rządowi radcy, których rozstrzygnięciu podpadają sprawy szkolne, są protestantami. Katolickich szkolnych inspektorów można również na palcach wyliczyć, i to wcale nie wyłącznie — jak pan minister w obronie swej zapewniał — w okolicach o ludności mieszanej, ale i w okręgach czysto niemieckich. W okręgu poczdamskim przypada na 71 powiatowych inspektorów, 67 pastorów protestanckich; w okręgu frankfurckim na 54 inspektorów, 48 pastorów; czyż katolicy nie mają najsłuszniejszego prawa żądać, aby rząd żywił równe zaufanie do ich księży, jak do pastorów? A istniejące jeszcze niestety! po dziś dzień prawo o zakonach, prawo o starokatolikach czyż nie są może ciągłą i żywą obrazą Kościoła katolickiego?

Jak są żywą i ciągłą obrazą, to wskazało wybitniej i obszerniej kilku mówców z Centrum i z Koła polskiego. Poseł Roeren odmalował niesłychane trudności, z któremi walczyć musi katolicka wieś lub miasteczko pragnące założyć szpital i oddać go pod opiekę Sióstr Miłosierdzia. Chcecie mieć w szpitalu świeckie dozorczynie — to i owszem; nikt wam na przeszkodzie nie stanie, nikt o nic pytać was nie będzie. Chcecie katolickich

Sióstr Miłosierdzia — o! to zupełnie coś innego! Trzeba przejść wszystkie rządowe instancye; przeczekać zanim jedna drugiej złożyć zechce pomyślny raport; aż wreszcie — stosownie do litery prawa — minister wyznań wejdzie w porozumienie z ministrem spraw wewnętrznych i obydwaj gruntownie nad tem się zastanowią, czy można, czy wypada pozwolić dwom katolickim zakonnicom pielęgnować chorych. Pozwolenie, dajmy na to, nadeszło; lecz później w każdej chwili może być cofnięte, nawet bez podania przyczyn, poprostu dlatego, że tak się podobało władzy rządowej. Wszystkie te przepisy i ostrożności byłyby zapewne na miejscu, gdyby chodziło o stowarzyszenia zawiązane w celu popełnienia zbrodni; ale czyż nie są one w najwyższym stopniu obrażające, gdy chodzi o osoby, które wyrzekły się świata dla miłości Boga i bliźniego i poświęcają swe życie na usługi biednych i chorych, nie pytając, czy nie nadwerężają zdrowia, czy zbyt często nie przyspieszają sobie śmierci? A z jakiemi trudnościami walczyć muszą zakonne siostry, które zbierają małe dzieci do ochronki, starają się dla nich o pożywienie, uczą je szyć, cerować, prasować. Każdej innej kobiecie wolno tak się poświęcać; zakonnicom nie wolno. Rodzice, całe wsie nie mają dość słów podzięki i błogosławieństwa; rząd przychodzi i powiada: To występek! — zamyka ochronkę, nie pozwala biednym dzieciom ani się pożywić, ani się czegoś pożytecznego nauczyć.

Katolicy z prowincyj czysto niemieckich gorzko się skarżyli na rządową nietolerancyę w postępowaniu z Kościołem katolickim; skargi te wystąpiły z podwójną siłą z ust posłów przedstawiających powiaty zamieszkałe przez ludność czysto polską lub mieszaną. Ks. Jażdżewski przedstawił w kilku przemówieniach bolesny obraz religijnych stosunków w Poznańskiem. Szląscy posłowie Stephan i Szmula zażądali zaprowadzenia nauki religii w języku polskim w ludowych szkołach na Szląsku i powrotu zakonów, bez pomocy których nieliczne świeckie duchowieństwo nie może w należytej mierze zadośćuczynić wszystkim ciążącym na sobie obowiązkom. Nie chcecie socyalizmu, lękacie się przewrotowych dążności, a czemuż — pytali katoliccy mówcy

z bijącą w oczy słusznością — czemuż drżycie, jak djabeł przed święconą wodą, przed wszystkiemi środkami, które jedynie mogłyby na prawdę i skutecznie zagrodzić drogę socyalistycznej agitacyi? Dobrej odpowiedzi nie można było dać na to pytanie. Główny antykatolicki mowca, walczący pod narodowo-liberalnemi znakami, von Eynern, kolega jego dr. Sattler i sam wreszcie minister wyznań dr. Bosse, uciekać się musieli do niczem nieudowodnionych, nie wiedzieć wiele razy zbitych frazesów o agressywnych zapędach katolickiej prasy, nietolerancyi, którą odznaczają się wogóle katolickie zakony, a w szczególności „fanatyczne polskie zakonnice". Ostatni frazes wyszły z ust ministra Bossego, wywołał takie oburzenie, że on sam uznał za niezbędne wytłumaczyć się: „Nie chciałem wcale polskich zakonnic obrażać!" A czyż — jak słusznie katoliccy posłowie z naciskiem zauważyli, — nie jest to najdotkliwszą obrazą, wyrządzoną już nie jedynie polskim ale wszystkim zakonom a tem samem i katolickiemu Kościołowi, nie pozwalać im wypełniać w niemieckiem państwie, świętego, szczytnego swego powołania, przed którem nie kryją się z należną czcią nawet Turcy i poganie?

FILIPIKI KRONAWETTERA.

W wiedeńskim parlamencie niepoprawny demagog Kronawetter, próbował z niewiększem szczęściem niż lat poprzednich, czy nie uda mu się zainaugurować antyklerykalnej, a przynajmniej antybiskupiej hecy. Obeznani bliżej z wiedeńskimi stosunkami parlamentarnymi utrzymują, że Kronawetter mniej jest w gruncie zły, niżby to z jego mów sądzić można; potrzebuje się wygadać, wykrzyczeć, a głównem jego nieszczęściem, że nigdy sam dobrze nie wie, dokąd go niepowściągliwy język zaprowadzi. Sądząc z wygłoszonych przezeń mów, być to bardzo może, bo inaczej trudnoby zrozumieć, jak wogóle człowiek, będący bądź co bądź przedstawicielem pewnego grona obywateli, może się kompromitować tego rodzaju bredniami. Zjadliwe brednie, ale nie niebezpieczne, bo nikt ich na seryo nie bierze. Podobnież nie wzięto na seryo ostatnich piorunów, ciskanych przez czerwonego posła na bogatych austryackich biskupów; uśmiechano się z projektu odłączenia państwa od Kościoła.

Teorye te, głównie z Francyi zapożyczone zbijali kolejno: opat Treuinfels, dr. Scheicher, minister oświaty br. Gautsch, referent dr. von Fuchs. Najdotkliwsze cięgi zadał Kronawetterowi ten ostatni, wykazując z niezachwianym na chwilę spokojem, że cyfry podane przez demagogicznego mówcę były błędne, historyczne daty mylne, wywody z nich czerpane wręcz nielogiczne. Kronawetter na razie na odpowiedź się nie zdobył; naturalnie nie można z tego powodu się spodziewać, aby przy najbliższej sposobności nie miał powtórzyć swych wywodów z tym samym co zawsze dotychczas patosem.

MOWA KS. CHOTKOWSKIEGO.

Ważną i ciekawą, tem ważniejszą, że tym razem wygłoszoną została w imieniu Koła Polskiego była mowa ks. prałata Chotkowskiego o wychowaniu religijnem i wpływie Kościoła w austryackiej szkole ludowej.

„Sąd o zasadach — mówił ks. Chotkowski — na których opiera się u nas szkoła ludowa, wydała już Stolica Apostolska, episkopat austryacki, wszystkie katolickie wiece“... Istniejące w teoryi, a w znacznej części i w praktyce „oderwanie nauki świeckiej od wychowania religijnego, bardzo było nieszczęśliwie pomyślane, bo prowadzi do jednostronnego wyrobienia charakteru. Wpływy urabiające charakter powinny obejmować całą istotę człowieka, powinnny całe przeznaczenie jego mieć na oku. Koncentracya nauki, do której zmierza postępujące udoskonalenie metod naukowych, oznacza zasadę rzeczywiście ważną, ale właśnie przy zastosowaniu tej zasady powinno się naukę religii uczynić środkowym punktem innych przedmiotów nauki. Nie jest to twierdzenie klerykalne, ultramontańskie lub reakcyjne; wypowiada to wielu uczonych nie należących do obozu katolickiego, że nauka religii powinna być najważniejszą, jeśli nie jedyną podstawą wychowania ludu. (Huczne brawa). Co się tyczy mnie i wogóle Koła polskiego, nie potrzebujemy powoływać się na obce powagi np. na francuskiego myśliciela Cousina; my wiemy z bardzo smutnych doświadczeń, jak niebezpieczne dla bytu narodowego jest wychowanie szkolne zbaczające od podstawy historycznie ustalonej, ufundowanej na opoce Kościoła katolickiego

i religii. To też nasza krajowa Rada szkolna w planie dla szkół elementarnych z r. 1893 wielki położyła nacisk na ten pierwiastek religijny, mówiąc: „Nauka, która dawałaby dzieciom pożyteczne wiadomości, ale nie wpajałaby zarazem zasad religijnych w ich umysł, byłaby szkodliwa i niebezpieczna dla społeczeństwa ludzkiego... W całej działalności nauczyciela co do wychowania dzieci powinny przyświecać mu idee religijno-moralne.

„Potrzeba naprawy na tem polu jest też wszędzie żywo odczuwana. Najlepiej wyraził to nasz wiec katechetów, który w sierpniu roku zeszłego odbył się w Krakowie, a któremu podobnego nie było jeszcze w żadnym innym kraju. Uczestniczyło w nim przeszło 120 katechetów. Na wiecu tym żalono się na niedostatki nauki w szkołach austryackich od najwyższej klasy gimnazyalnej aż do szkoły ludowej. Przedewszystkiem pożałowania godna to rzecz, że są szkoły, w których wcale niema nauki religii, mianowicie wszystkie szkoły przemysłowe, rzemieślnicze i kupieckie. Właśnie ludzie tej klasy, zwłaszcza wobec rozkwitającego coraz bujniej przemysłu, są narażeni na pokusę tańczenia naokoło złotego cielca, gdy się ich pozbawia tej podpory i siły moralnej w życiu, jaką nastręcza religia. Może więcej jeszcze opłakana jest okoliczność, że wszystkie rzemieślnicze szkoły dopełniające w Austryi mają naukę w niedzielę od godziny 9 do 12. Nauka ta przeszkadza młodzieży w spełnieniu obowiązku religijnego; młodzież ta przyzwyczaja się obywać bez Kościoła i bez Boga. Pomijam smutne zdarzenie z miesięcy ostatnich, że projekt rządowy, przynoszący zaszczyt teraźniejszemu p. ministrowi wyznań i oświaty, wedle którego w wyższych klasach szkół realnych trzech krajów, w których niema nauki religii, nauka ta miała być zaprowadzoną, odrzucony został w Sejmach. Pewne stronnictwo odniosło w tej sprawie zwycięstwo iście Pyrrhusowe. Mimowoli przypomina się tu Homerowe ἔσσεται ἦμαρ. Nastanie dzień, że lud przekona się, iż ci, którzy twierdzą, że chcą tylko odłączyć naukę świecką od religii, rzeczywiście przeciwko religii występują.

„Inna skarga zgromadzonych na wiecu katechetów tyczy się niedostatecznego uczestnictwa młodzieży w praktykach reli-

gijnych. Przeglądając stare plany szkolne, np. plan szkół jezuickich, zatwierdzony przez generała ks. Aquavivę około r. 1610 przekonacie się panowie, że nie było tam systematycznej nauki religii, ale młodzież uczestniczyła we wszystkich nabożeństwach, a wszyscy nauczyciele należeli do stanu duchownego. A więc była to praktyczna nauka religii, przy której można było obyć się bez teoretycznej. Dziś jest tylko teoretyczna, natomiast praktyczna całkiem zaniedbana. Jak co do wszystkich przedmiotów nauki ćwiczenia praktyczne są nieodzowne, tak i co do religii praktyka jest najważniejsza. Otóż praktyki religijne w szkołach są zredukowane do ostatnich granic, a nadzór nad tem, czy młodzież w nich uczestniczy, pozostawiony samemu katechecie, jak gdyby interes religii i Kościoła był inny niż interes szkoły. A dalej: jest to specyficzna właściwość Kościoła katolickiego, którą różni się zasadniczo od innych społeczności wyznaniowych, że jak żywe drzewo wydaje coraz to nowe owoce i kwiaty nabożeństwa i pobożności. Takiemi są bractwa kościelne, krzewiące pobożność, ukrzepiające młodzież w cnocie, odwodzące ją od pokus. Dawniej zawsze starano się przyciągać młodzież do kongregacyi maryańskich; w szkolnictwie austryackiem są te sodalicye całkiem zakazane, jak gdyby wielka pobożność zaszkodzić mogła młodzieży szkolnej. Natomiast doświadczyliśmy, że wcale inne towarzystwa przyciągają młodzież do siebie, a kierownicy szkół przeszkodzić temu nie mogą...

„Rzeczą główną atoli w wywodach moich jest liczba godzin dla nauki religii. Od szkoły elementarnej aż do gimnazyum przepisane są po dwie godziny na tydzień. W szkole elementarnej jest to bezwarunkowo za mało. Nauka religii traci też bardzo na powadze przez to, że w gimnazyach wcale nie jest przedmiotem egzaminu dojrzałości; wiedząc o tem, uczniowie widzą, jak mało przywiązuje się wagi do religijnego pierwiastku wychowania. Stanowisko nauczyciela i nauki religii w gimnazyum pruskiem jest bez porównania znaczniejsze, niż w gimnazyum austryackiem: kogo tam nauczyciel uzna za niedojrzałego moralnie, ten świadectwa dojrzałości nie otrzyma. Ale wracam do liczby godzin. Dwie godziny na tydzień, znaczy to spychać naukę

religii na ostatnie miejsce w planie nauk. Oprócz tego każdy inny przedmiot jest otoczony największą troską co do przyborów naukowych, dla nauki religii zaś widać w szkole co najwięcej mapę Palestyny. (Wybornie! wybornie!). Często niema ani obrazka religijnego, a krucyfiks maleńki ukazuje się dopiero wraz z nauczycielem religii, aby natychmiast na nowo zniknąć, gdy ten klasę opuści. W dwu godzinach na tydzień katecheta nie ma sposobności wpływać rzeczywiście na umysły dzieci i zaszczepiać religijność w ich serca; a po wsiach często nauka religii całkiem wypada, bo niejeden pleban ma w parafii cztery lub pięć szkół lub klas (jeszcze więcej! jeszcze więcej!), a obowiązki duszpasterskie odwołują go od szkoły. Z dnia na dzień pilniejszą staje się sprawa zastępstwa w nauce religii przez nauczyciela świeckiego; ale dla nauczycieli, mających zastąpić katechetę, należy w seminaryum przeznaczyć dla nauki religii więcej niż dwie godziny, bo w dwu godzinach nie nauczą się tyle, żeby zastępować katechetę. (Bardzo słusznie!).

„Ale i w tych szkołach, w których ustanowieni są osobni katecheci, nauka religii jest nietylko zbyt skąpo udzielana, lecz nawet nieraz uważana tylko za przedmiot stosowny do ćwiczeń w języku ojczystym. Czasem inspektor szkolny na to tylko zjawia się w godzinie religii, aby przekonać się o postępach uczniów w wysłowieniu się swoim językiem. Nieraz jeszcze bardziej po macoszemu traktowaną bywa nauka religii; może mi nikt nie uwierzy, że nawet nauczycielowi-żydowi powierzono w zastępstwie naukę religii dla dzieci chrześcijańskich; jakoż uczył dzieci chrześcijańskie razem z żydowskiemi. (Słuchajcie! rzecz niesłychana! — Pos. ks. Scheicher: Gdzież to się stało?) Stało się to w Krakowie. Mówić o wychowaniu religijno-moralnem, a stwarzać stan rzeczy taki, że żyd może uczyć religii dzieci chrześcijańskie, jest to tak piramidalna potworność pedagogiczna, że bez rzeczywistego faktu nie możnaby jej sobie wcale pomyśleć. Macosze traktowanie nauki religii znajduje wyraz w tem także, że nauka religii bywa spychana na ostatnie godziny w rozkładzie nauk, albo na sobotę, któregoto dnia dzieci żydowskie nie przychodzą do szkoły. Są nawet szkoły, w których dzieci chrze-

ścijańskie muszą w niedzielę przed południem przychodzić na naukę religii, bo dla sabatu wogóle niema nauki w szkole.

„Jeden z katechetów w wiecu krakowskim zakończył swój referat temi słowy: ‚Sam jestem nauczycielem religii; pracuję sumiennie i gorliwie; wyzyskuję w szkole każdą minutę; nie uraniam ani jednej godziny; chętnie przyjmuję zastępstwo, gdyby inna lekcya miała wypaść; mimo to przy naznaczonej na naukę religii piędzi czasu, nie mogę wpoić w dzieci zasad wiary i moralności; nie mogę nabrać przekonania, że moi uczniowie będą religijno-moralni. Wyznaję to ze sromem i bolem; ale chciałbym ulżyć sercu, bo spodziewam się, że to wyznanie moje dotrze do uszu tego, który może złemu zaradzić‘... Te słowa księdza, który był uczniem moim na uniwersytecie, głęboko wnikły mi w serce; przekazuję je panu ministrowi oświaty. Zdaje mi się że czas największy zaradzić złemu na tem polu. Słusznie bowiem powiedział hr. Badeni, że pewne objawy życia politycznego i społecznego muszą zaniepokoić każdy rząd. Pokolenie, które wyszło ze szkół, jakie istnieją w Austryi od lat 28, wznieca obawy co do przyszłości, co do porządku i pokoju społecznego“.

TOASTY I PROGRAMY PARYSKICH WOLNOMULARZÓW.

Dla tych, którzy uśmiechają się jeszcze z pewnem niedowierzaniem, gdy słyszą i czytają i nie mogą się obronić od myśli: „To przesada“; nie będzie bez interesu ogłoszone w dziennikach publiczne sprawozdanie z wielkiej uczty, która odbyła się w ostatnich tygodniach w paryskiej loży „Sprawiedliwość“. Do uczty zasiadło 250 uczestników, między innymi najwyżsi dygnitarze państwa. Pomocnik szefa sekcyjnego w ministeryum finansów, p. Nicolas, wygłosił pierwszą mowę w imieniu i z polecenia ministra Doumera:

„Pan Doumer zajętym jest obecnie „świeckiemi“ pracami w ministeryum spraw wewnętrzych. Powiedziałem: pracami „świeckiemi“, ale w gruncie rzeczy nie jest to wyraz dokładny, bo są to, powiedzieć słusznie możemy, „mularskie“ prace. Wiecie, że p. Bourgeois towarzyszy prezydentowi rzeczypospolitej w przedsięwziętej przezeń podróży i że poruczył p. Doumerowi, aby go zastępował w ministeryum spraw wewnętrznych. Oto jedyna przy-

czyna, dla której nie widzicie dziś ministra finansów w waszem gronie...; zlecił mi wszakże oświadczyć wam, że pragnąłby z całego serca tu się znajdować, i że interesa wasze najżywiej go obchodzą. P. Gadaud wyraził się razu jednego, że rzeczpospolita jest odsłoniętą masoneryą, a masonerya zasłoniętą rzeczpospolitą. Zdaje mi się, że nigdy to zdanie nie odpowiadało tak dalece rzeczywistości, jak obecnie. Chcąc się o tem przekonać, dość odczytać listę ministrów i przypomnieć sobie, że w całej Francyi rozwieszono po murach ministeryalne oświadczenie, które zawierało najważniejsze artykuły naszego, wolnomularskiego programu".

Dyrektor wolnomularskiej ochronki dla sierot, p. Tinière, poszedł krok dalej.

„Gdyby naczelna Rada wolnomularskiego naszego zakonu znikła nagle z powierzchni ziemi, możnaby ją zastąpić radą ministrów. Loże znajdują się dziś w wyjątkowem położeniu. W Elizeum możnaby śmiało założyć lożę; liczba „mistrzów" byłaby najzupełniej wystarczającą, a o wybór „czcigodnego" nie trzebaby się długo kłopotać".

Przewodniczący p. Séver zaproponował, jako godne, praktyczne uwieńczenie tych wynurzeń, złożenie osobnego wolnomularskiege parlamentu, którego zadaniem byłoby, zwracać baczną uwagę na obrady zwyczajnego parlamentu, prowadzić obok niego swe prace i zapobiegać uchwałom niebezpiecznym dla idei masońskiej".

Czy to nie charakterystyczne; czy nie wyjaśniające, co, jak i dlaczego dziś we Francyi się dzieje?

Ks. Jan Badeni.

Zamach stanu przeciw niewoli kobiet w Gabonie.

Kwestya zniesienia niewoli w Afryce żywo w ostatnich zwłaszcza latach zajmuje umysły. Zajmują się nią rządy i ludzie prywatni, zbierają się konferencye, wychodzą książki i pisma osobno jej poświęcone. Ale jeżeli w ogóle niewola jest rzeczą straszną, to straszniejszą jeszcze jest w szczególności niewola kobiet, taka jaka w niektórych afrykańskich

prowincyach praktykowała się i praktykuje; niewola, która w haniebnych swych szponach trzyma wszystko, co posiada nieszczęsna ofiara, to jest siłę jej i życie, ciało i duszę. Misyonarze katoliccy, walczący od lat z takiem poświęceniem przeciw niewoli, wytężają w tym zwłaszcza kierunku wszystkie siły i żadnych starań nie szczędzą, aby kobiecie afrykańskiej zapewnić wolność i godność, którą chrześcijaństwo w świat wprowadziło. W ostatnich właśnie czasach wikaryusz apostolski Gabonu, ks. biskup Le Roy, wpadł na oryginalny a bardzo szczęśliwy pomysł w celu położenia tamy tak opłakanemu stanowi rzeczy. Oto jak czcigodny ten biskup-misyonarz opisuje powyższy rodzaj niewolnictwa i środki przedsięwzięte przez siebie w celu jego zniesienia.

„W całem ogromnem plemieniu Pahuinów, zaludniających Gabon, niema prawie wcale niewolników mężczyzn, a to z powodu trudności, jakie przedstawia złapanie ich i utrzymanie. Niekiedy tylko służą oni Pahuinom jako ofiary dla bóstw, lub też podczas najwspanialszych uczt stają się pastwą ich ludożerstwa. Ponieważ więc mężczyzna nie bywa prawie nigdy używanym do usługi, jakże więc dojść do ogólnie upragnionego wyniku, to jest szczęśliwego i łatwego życia bez żadnej zgoła pracy? To bowiem właśnie stanowi kwintesencyę całej kwestyi socyalnej nietylko w Europie, ale i tutaj. Odpowiedź na to pytanie jest prosta: Oto należy posługiwać się kobietą, dość słabą, aby nie mogła stawiać oporu, a dość silną, aby była w stanie pracować. W rodzinie, na takich opartej podstawach, jedna tylko kobieta jest żoną i panią domu, wszystkie zaś inne, używane niekiedy do występnych celów, są poprostu niewolnicami.

„Tutaj pomimo wstrętu, połączonego z tą kwestyą, muszę naszkicować przynajmniej kilkoma rysami całą okropność takiego stanowiska. W ogóle ciężka przymusowa praca, chociaż niesprawiedliwa, jest niczem jeszcze wobec innych rzeczy, wymaganych od tych nieszczęśliwych.

„Oto ponieważ ilość kobiet zdaje się nie przewyższać wcale cyfry mężczyzn, wynika więc stąd, że starcy i bogaci mają po kilka żon, ubodzy zaś i młodzi nie posiadają ani jednej, tem bardziej, że ojciec dba zwykle tylko o samego siebie, pozostawiając synowi troskę o utworzenie własnej rodziny, tak jak on sam niegdyś ją utworzył.

„Lecz oto co się dzieje: właściciel kilku takich niewolnic poświęca pewną ich część na wyzyskiwanie młodzieńców i cudzoziemców, którzy muszą mu składać pewną opłatę i materyalne ich środki zamiast zostać użyte do zdobycia legalnej małżonki, służą na pokrycie dziwnych tych długów. Niektóre nawet niewolnice na mocy urzędowego kontraktu

bywają wynajmowane w niemoralnych celach na czas dłuższy lub krótszy, później odbierane od jednych i odnajmowane innym za wyższą stosunkowo cenę i t. p. Słowem, jest to cały szereg manipulacyj, cały system społeczny, że się tak wyrażę.

„Ze względu na to, gdy w innych krajach rodzice nie cieszą się wcale z urodzin córki, tu przeciwnie wielką posiada ona wartość. Od najmłodszych niemal lat zostaje sprzedaną temu, kto da więcej, nabywca zaś po uiszczeniu całej umówionej kwoty, lub pewnej jej części, zabiera swą niewolnicę i zaczyna wyzyskiwać jej siły i wdzięki w najrozmaitszy sposób. Niekiedy nawet już po otrzymaniu zaliczki dziewczyna bywa oddana nabywcy, potem odebrana w razie niewypłacalności tego ostatniego i sprzedana innemu, następnie przechodzi w ręce jakiegoś dłużnika jako opłata długu, a wreszcie po zgonie swego właściciela dostaje się prawnym jego spadkobiercom wraz z kurami, sprzętami i odzieżą. Zbytecznem byłoby mówić, że cena jej, stosunkowo dość wysoka, zależy od wieku, sił, zręczności, fizycznych powabów, wszystko to zaś bywa badane, sądzone i omawiane bez najmniejszej ceremonii lub zakłopotania wobec samego przedmiotu niecnego tego handlu. Tak upływa życie kobiety, tem więcej cenionej, im uleglejszą jest i pracowitszą, lecz opuszczonej zupełnie wówczas, gdy zostanie kaleką, starą, lub niezdolną do pracy“ [1].

Dodajmy nadto, że wiele dzieci nabytych od lat najmłodszych jako niewolnicy, otrzymuje do picia tajemniczy jakiś napój, posiadający własność zupełnego osłabiania woli u człowieka, ażeby w ten sposób łatwiej było go trzymać w bezwarunkowej uległości. Na niektóre z tych dzieci, jak twierdzi w innem miejscu tenże sam biskup, działali okrutni ich panowie za pomocą suggestyi, która widocznie i w Afryce jest już trochę znaną.

Okropne położenie murzyńskiej kobiety w rodzinie i społeczeństwie zwróciło już oddawna na siebie uwagę misyonarzy, którzy w rozmaity sposób usiłowali mu zaradzić. Głównym w tej mierze środkiem było wykupywanie małych pahuińskich dziewcząt od rodziców, kształcenie ich w misyi i wydawanie za mąż za chrześcijańskich młodzieńców. Pewien nawet misyonarz w Gabonie, ks. Bichet, poświęcił na ten cel cały osobisty swój majątek, wydzierając w ten sposób sporą ilość dziewcząt z pęt najhaniebniejszej niewoli. Wszystko to jednak były

[1] *Le Correspondant.* Paris 1895 Nr. 796, str. 730.

tylko półśrodki niezmiernie kosztowne i wiodące ostatecznie do bardzo ograniczonych rezultatów.

Dopiero ks. biskup Le Roy, teraźniejszy wikaryusz apostolski Gabonu, wpadł na myśl zużytkowania wpływu, zdobytego już przez misye, w celu wywołania nagłego przewrotu w pojęciach i przekonaniach krajowców, prawdziwej moralnej rewolucyi, która dla przyszłości Afryki olbrzymie może mieć znaczenie. W jaki sposób zdołał tego dokonać, o tem dowiemy się z własnego jego sprawozdania, w którem mówi między innemi:

„Zabraliśmy się do tego dzieła bardzo systematycznie, nauczając lud, otwierając oczy młodzieży i kobietom, grupując wydziedziczonych dokoła siebie, oraz dając im poznać własną ich siłę. Z drugiej strony zorganizowaliśmy chrześcijańskie stronnictwo i postaraliśmy się przechylić wodzów na swoją stronę za pomocą rozmaitych obietnic lub groźby, że jeżeli nie zechcą spełnić naszego żądania, to opuścimy ich kraj i przesiedlimy się gdzieindziej wraz ze wszystkimi Pahuinami, którzy zechcą nam towarzyszyć. Nie omieszkaliśmy także użyć środka, zaniedbywanego w zwykłych rewolucyach, to jest gorących modlitw do Najświętszej Panny, aby ta Niewiasta, wybrana przez Boga, wyjednała oswobodzenie wszystkich innych kobiet"...

Wreszcie w dniu oznaczonym przed rezydencyą misyjną w Eszyrze zebrała się cała ludność miejscowa. Z jednej strony stanęli wodzowie i starcy z plemienia Pahuinów i Bengów, naprzeciw nich ustawiła się młodzież męska, dalej zaś nieco w cieniu drzew pomarańczowych zajęły miejsce kobiety. Stanąwszy na stopniach misyjnego domu, ks. biskup Le Roy wyłuszczył obecnym całe położenie w krótkiej lecz energicznej przemowie, przełożonej i objaśnionej przez starannie w tym celu przygotowanego tłumacza, gdy tymczasem trzej misyonarze czuwali nad utrzymaniem porządku i kierowali nieznacznie całą tą ceremonią. Stopniowo, w miarę malowania przez mówcę anormalnej sytuacyi młodzieńców, „wyzyskiwanych niegodziwie", oraz nieszczęśliwych kobiet, „kupowanych i sprzedawanych jak kury, lub zamienianych na kozy" jedni i drugie zaczynają potakiwać najprzód nieśmiało, potem coraz głośniej, a wreszcie grożą prawdziwym buntem i ogólną emigracyą.

Niektórzy wodzowie, przechyliwszy się już poprzednio na stronę młodzieży, stojącej w obronie kobiet, poparli teraz słowa biskupa, starając się trafić do przekonania innych swych towarzyszy, aż wreszcie zapadła uchwała, skreślona natychmiast jako urzędowy dokument, podpisany przez wszystkich starców. Jestto nowy kodeks gaboński, brzmiący

jak następuje: „1) Nie wolno odtąd wydać żadnego chrześcijańskiego dziewczęcia w ręce człowieka, mającego więcej, niż jedną żonę. 2) Przed dojściem dziewczyny do pełnoletności nie wolno jej sprzedawać pod pozorem małżeństwa, ani pod żadnym innym pretekstem, po dojściu zaś do pełnoletności nikt nie ma prawa zmuszać dziewczyny do wyjścia za mąż wbrew własnej jej woli. 3) W razie choroby lub śmierci nie wolno wykonywać żadnych czarów ani względem ludzi wolnych, ani też względem niewolników. 4) Aby na przyszłość zastąpić pracę niewolnic, zobowiązują się wszyscy dopomagać sobie nawzajem podczas zbierania płodów rolnych, zakończonego wspólną ucztą. Dla wykonania zaś zwykłych domowych zatrudnień Bengowie i Pahuini postanawiają wynajmować w razie potrzeby służących albo służące, które będą mniej kosztowały, niżeli niewolnice i z pewnością nie uciekną. 5) Niniejsza uchwała posiada moc, obowiązującą wszystkich i cofniętą być nie może. 6) W razie przekroczenia powyższych przepisów zgromadzenie złożone ze starców i młodzieży, zmusi winowajcę do naprawienia winy niewolnica, wydana w jego ręce, zostanie wyzwoloną, kwota wydana na jej kupno będzie stracona, a w dodatku oskarżony powinien wypłacić pewną kwotę pieniężną, oznaczoną przez wodzów, którzy ją rozdzielą pomiędzy sobą“ [1].

Oto główna osnowa dobroczynnej reformy, wprowadzonej obecnie w jednym z zakątków Afryki, w którym niewolnictwo kobiet najbardziej było dotąd na porządku dziennym. Na pierwszy rzut oka zdawać by się mogło, że kodeks, przytoczony powyżej, nie wyda żadnych namacalnych rezultatów i pozostanie martwą literą na papierze, rzeczy zaś dawnym będą szły trybem. Sam nawet inicyator wątpił z początku o powodzeniu tego środka, lecz rzeczywistość przewyższyła wszelkie jego oczekiwania. Nietylko bowiem prawo, uchwalone pod wpływem rewolucyi moralnej, jaka się odbyła w pojęciach krajowców, coraz bardziej w praktyce się zastosowuje, ale sami nawet wodzowie, znęceni obietnicą odszkodowania, wypłacanego im przez winowajców, czuwają pilnie nad jego wykonywaniem. To właśnie stanowi istotne jądro kwestyi w przekonaniu ciemnych i chciwych tych ludzi, ks. biskup Le Roy zaś złożył dowód wielkiej zręczności i znajomości ludzkiego charakteru, umiejąc wyzyskać tę ich słabość dla osiągnięcia chwalebnego swego celu. Tak więc ci właśnie, którzy dawniej miewali najwięcej niewolnic i najokropniej obchodzili się z niemi, dziś wiedzeni własnym interesem, stali się najgorliwszymi obrońcami ich wolności.

---

[1] *Le correspondant.* Paris, 1895. Nr. 796, str. 731.

W Fernan-Vaz opierając się na powyższym kodeksie ks. Bichet zdołał już zapobiedz rozprzężeniu się kilku murzyńskich rodzin. Toż samo dzieje się w Eszyrze, Lambarenie, Libreville i na przylądku Esterios, słowem w całym niemal Gabonie, gdzie nowe prawo, zainaugurowane przez ks. biskupa Le Roy, coraz bardziej wchodzi w życie i coraz piękniejsze wydaje owoce. Zaczyna się zatem dla czarnego kontynentu epoka lepsza i jaśniejsza, niosąca w swojem łonie światło wiary i cywilizacyi. *T. Sopodźko.*

Oryginalny miesięcznik.

Gdzieś w pierwszych dniach Listopada przeszłego roku rozeszła się po dziennikach zagranicznych, a w kilka dni później i po naszych senzacyjna wiadomość, że z nowym rokiem rozpocznie wychodzić w Lipsku dziwny jakiś miesięcznik, który za jedyne zadanie swego życia kładzie sobie reformę dzisiejszej krytyki. Pomysł, o ile nam wiadomo, zupełnie nowy, pierwszy w tym rodzaju, a tem bardziej na pierwsze wejrzenie zaciekawiający, iż ze wstępnych tych reklam nie można sobie było urobić jeszcze dostatecznego sądu, jak szerokie zatoczył kręgi w głowach swoich lipskich inicyatorów. Przeczuwać można tylko było, iż nowe czasopismo niesie w swojem łonie ulewne burze na nieszczęsne głowy wszystkich tych recenzentów i krytyków, którzy poświęcili się swemu zawodowi bez odpowiedniego powołania i potrzebnych warunków.

Że stan dzisiejszej krytyki jest opłakanym, to nie ulega najmniejszej wątpliwości; można miesiącami przerzucać całe stosy czasopism, zdających sprawozdanie z ruchu literackiego i artystycznego, zanim w tej powodzi trafi się na jaką uczciwą i fachową recenzyę. A jednak krytyka jak jest z jednej strony nieodzowną towarzyszką umysłu ludzkiego; tak z drugiej strony jest niezbędną mistrzynią wykształcenia, zwyrodnienie jej zatem pociąga za sobą obniżenie całego cywilizacyjnego poziomu.

Czemuż to przypisać, jak nie brakowi mądrej krytyki, że dzisiaj publiczność cała zrezygnowana jest najpotulniej na wszystkie eksperymenty artystów. U nas artyści są jeszcze grzeczni, rachują się jeszcze z pewnemi prawidłami dobrego tonu, ale w takiej Francyi nadużywają już oni wszelkiej możliwej uprzejmości profanów. Impresyonista zarzuci płótno w kilkunastu minutach całą powodzią kolorowych plam, niektóre z nich wedle grymasu rozetrze, inne pozostawi nietknięte

i wystawia obraz na widok publiczny. Muzycy łączą kilkanaście świszczących jak wicher akordów i rozszalałych jak burza, a następnie patrzą się z dumą, jak przy wykonywaniu utworu razem z pękaniem klawiszów naprężają się ku pęknięciu biednym słuchaczom nerwy. A dekadenci, symboliści, mistycy i inne tego rodzaju geniusze pióra ileż to nie puścili już w świat z najzimniejszą krwią utworów, gdzie dzięki tylko wytrwałości zecera, słowo ze słowem się łączy. Cóż na to wszystko publiczność? Publiczność patrzy na te akrobatyczne produkcye zarumieniona jak panna i nie wie, co ma z sobą począć; pochwalić się boi, żeby się nie ośmieszyć, boi się ganić, żeby nie ściągnąć na siebie pogardy i nazwy wstecznika, a tymczasem nad jej niezdecydowaną głową przeciągają ustawicznie coraz to nowe chmury literackich dziwolągów i artystycznych potworów.

Czas więc zatem ostatni na przywrócenie krytyce jej praw przynależnych i właściwego stanowiska. Tylko jak się do tej pracy zabrać? Z ciekawością otworzyliśmy pierwszy zeszyt lipskiego czasopisma: *Die Antikritik* i zaczęliśmy się po niem za odpowiedzią na to pytanie rozglądać.

Programem *Antykrytyki* jest walka ze wszelką zwyrodnioną, a głównie jednostronną krytyką — na całym terenie sztuki, literatury, wiedzy, nauki i polityki. Będą więc tam piętnowane wszystkie nieudolne dzieci Zoila, recenzye, które stworzyło nieuctwo lub duch partyjny, a którym przy narodzinach towarzyszył mniej lub więcej gorączkowy pośpiech i królująca dzisiejszemu światu powierzchowność. Prócz tych sideł, które sama redakcya zastawiać będzie na nieostrożnych recenzentów, arsenał wojenny *Antykrytyki* zaopatrywanym będzie także w pociski innego rodzaju. Każdy autor sponiewierany przez krytykę, któremu zdaje się, że nie został należycie zrozumianym, ma także na tę arenę wstęp otwarty; tam może odmachnąć się i odpowiedzieć na niesłuszne zarzuty. Czasem przydarzy się, że jakaś miernota literacka przez usłużną reklamę wydmuchaną zostanie na wielkość, *Antykrytyka* wtedy otworzy gościnne wrota każdemu, kto będzie miał chęć i odwagę po temu, aby na świeżo postawiony posąg zarzucać sznury i ściągać go na ziemię.

W całym tym pierwszym zeszycie nowego czasopisma sam tylko program jest ciekawy — poza nim pierwszy występ redakcyi nie imponuje ani doborem treści, ani dostosowaniem do celu. Artykuły są ulotne, jedno, dwukartkowe, pisane dorywczo, prawdopodobnie godzinę przed oddaniem do druku, a co najprzykrzejsza, prawie wszystkie błą-

kają się poza zakreślonym programem. Znajdujemy tam rozprawkę czysto relacyjną o założonych w Danii przez biskupa Grundtviga wyższych szkołach ludowych, która, zupełnie nie pojmujemy, jaką nicią dałaby się do programu nawiązać. Są dwa artykuły tyczące się tylko księgarzy: jeden proponuje pewne ulepszenia międzynarodowej artystyczno-literackiej spółce wydawniczej, a drugi występuje przeciw pewnej redakcyi, żądającej od nakładców za darmo egzemplarza recenzyjnego. Odłożywszy na bok kilka innych drobnostek, ma się przed sobą dwie chryjki, które jako tako nadają się do wytkniętego celu. Jedna z nich zwraca się przeciw wizytom składanym w redakcyach przez aktorów, w celu pozyskania reklamy. Bywa to zazwyczaj po większych miastach, że ze zjawieniem się nowej teatralnej grupy, zaczyna się nerwowe alarmowanie biur dziennikarskich. Dzwonek redakcyjny sygnalizuje spazmatycznie co chwila, a jeden aktor wpada po drugim i z niesłychaną uniżonością zasypuje powodzią komplementów i czułości, teatralnych recenzentów. Biedny dziennikarz o łysem skroniu i pożółkłej skórze, przeciera oczy i zdumiony staje wobec wzburzonego morza gestów i frazesów. Początkowo go to bawi, ale jak kilka razy dziennie taki atak się powtórzy, zaczyna cała historya nudzić a potem i niecierpliwić, bo i czasu szkoda i usta zakneblowane. Otóż w imieniu tych nieszczęśliwych recenzentów występuje autor z odezwą do aktorów i na wszystkie świętości błaga synów sztuki, aby pozostawili w pokoju biuro redakcyjne i krytykę.

Najbardziej jeszcze odpowiada programowi i najwięcej miejsca zajmuje artykuł poświęcony sprawie znanego i u nas, niemieckiego dramaturga, Karola Bleibtreua. Napisał Bleibtreu dramat p. t. „Prawdziwy król"; przeciwko temu dramatowi pomieścił stuttgarski *Nowy dziennik* w swojej skrzynce pocztarskiej dłuższą korespondencyę, w której dramatowi wszelkiej oryginalności w dość ostrych słowach odmawia. Dramat Bleibtreua niema być niczem innem, jak nędzną przeróbką Dumasowskiego romansu; scena tylko z Francyi przeniesiona do Hiszpanii i francuskie nazwiska hiszpańskiemi zastąpione. Przeciwko takiemu przepisywaniu cudzych pomysłów — konkluduje *Nowy dziennik* — nie można nigdy dość stanowczo wystąpić.

Nieszczęście chciało, że numer ten czasopisma wpadł w ręce Bleibtreua. Rażony takim piorunem dramaturg stracił na chwilę równowagę i wyszedłszy na arenę *Antykrytyki*, woła tragicznie: „Czyż wypadek taki nie charakteryzuje dosyć, jak smutnym jest los niemieckiego poety, który bezbronny stoi wobec wszelkiego gwałtu i zawiści". W dalszym

ciągu obrony pokazuje się rzeczywiście, że Bleibtreu przytulił się do Dumasa, ale cała ta powódź lamentów, trenów i uniewinnień, zajmująca aż 16 kolumn druku, jako rzecz czysto prywatna, jest kwestyą tak nieinteresującą najciekawszego nawet czytelnika, że aż żal się robi tego papieru i tych czcionek, które padły ofiarą takiej obrony.

Przyznamy się, że odkładaliśmy pierwszy ten zeszyt *Antykrytyki* z wielkiem rozczarowaniem. Szukaliśmy jakiegoś środka i sposobu, któryby dał się i u nas przeszczepić dla zreformowania krytyki, a spotkaliśmy się z prostą farsą i to jeszcze nieudatną. Pomijamy już to, że pierwszy ten zeszyt niedostosowany jest do programu, mogło to bowiem pochodzić z pewnego nieobrachowania, które często początkującym redakcyom się przydarza. Ale nawet w najlepszym razie, gdyby redakcyi udało się najcałkowiciej program urzeczywistnić, to jakżeż będzie się przedstawiał jej miesięcznik. Będą tam ciągłe krzyki i ustawiczna wojna, przewracania i borykania się literatów, jeremiady pokrzywdzonych i zapoznanych; na szafot będą prowadzeni karyerowicze i dorobkiewicze literaccy, a zapomniane kopciuszki u ożywczych tych źródeł omywać będą twarz ze sadzy oczernień i obelg. Może to być ponętne, jako poobiednia lektura, ale praktycznej doniosłości nie ma wielkiej. Jednostronność rzadko bywa usuwaną przez autorów, broniących swego dzieła, bo gdzie walka, tam muszą być strony.

Jedynem jeszcze dodatniem następstwem takiego czasopisma może być przeczyszczenie powietrza z literackich miazmatów, z tych recenzentów i krytyków, którzy do wyrokowania o wszystkich działach wiedzy nauki i sztuki są zdolni, począwszy od indyjskiej gramatyki a na filozofii skończywszy.

Ale jeżeli idzie o całkowite podniesienie krytyki z dotychczasowego upadku, to potrzeba przedewszystkiem pracy pozytywnej. Służyłoby do tego celu zakładania fachowych czasopism krytycznych, poświęconych specyalnym działom a przedewszystkiem głębsze kształcenie filozoficzne w społeczeństwie, którego dzisiaj powszechny brak się czuje.

Ks. J. Pawelski.

Druk ukończony 28 marca 1896 r.

SIÓDMY WIECZÓR NAD LEMANEM.

Siódmego wieczora na tarasie hotelu *Beau Rivage* panował przy obiedzie jakiś uroczysty nastrój. Wiedzieliśmy że ostatni raz ze sobą rozmawiamy, bo nazajutrz kilku z nas miało z Ouchy wyjechać. Miss Wilson była po wczorajszej rozmowie nerwowa i niespokojna, pan Deville zasępiony. Ale wieczór był prześliczny — i to kojąco działało na umysły. Jezioro, zawsze cudownie niebieskie i świetlane, było tego dnia jeszcze cudniejsze. Jakaś mgła niedostrzegalna musiała zalegać atmosferę, bo cały widnokrąg przed nami i jezioro i brzegi i miasta w dali, choć bardzo wyraźne, jednak wydawały się jakby nierealne, nawpół przeźroczyste i łagodnym światłem perłowem nawskróś prześwietlone. Szyba Lemanu połyskiwała jak opalowa mora; wszystkie tony niebieskiego igrały po kapryśnych cyplach i zatokach wybrzeży. Tylko od strony zachodu trochę złota zostawało na niebie i trochę karminu. A od południa, wprost przed nami, białe wierzchołki olbrzymów Mont-Blanc, Bielle, Dent du Midi, dla których słońce jeszcze nie było zaszło, świeciły jakimś blado różowym blaskiem.

Ten czar natury nastroił powoli i podniecił umysły biesiadników. Dużo się o pięknościach Szwajcaryi przy obiedzie mówiło. W końcu od piękności natury rozmowa przeniosła się na piękność liturgii rzymskiej, w której umiejętnem wychwalaniem miss Wilson i Don Pardoval nawzajem się prześcigali. Pokazało się przytem, że miss Wilson żywy bierze udział w ruchu

rytualistycznym, który obecnie w pewnych sferach anglikańskich panuje; gdy zaś wczoraj występowała przeciwko formom katolickiego Kościoła, to o to jej tylko szło, żeby te formy nie identyfikowały się z religią. Wtedy zabrał głos

SIEMIONOW.

Jesteście państwo prawdziwymi ludźmi zachodnimi — co jest niewątpliwie chlubą — ale z drugiej strony jest to też przyczyną, żeście mogli wczoraj, rozprawiając o Kościele Chrystusowym, zapomnieć o istnieniu całego Kościoła Wschodniego, i że możecie dzisiaj unosić się nad liturgią katolicką, nie myśląc o tem, że ona ani w porównanie iść nie może ze wschodnią. Ja nie jestem wcale bezwzględnym tego Kościoła wielbicielem; jego formalizm w wielu rzeczach mię razi, a moim ideałem byłby raczej, jak już nadmieniłem, chrystyanizm zupełnie z form wyzuty i do jednego przykazania miłości sprowadzony. Jednak rozmowy nasze doprowadziły mię do uznania, że taki chrystyanizm niebyłby religią dla ogółu ludzi, ani też dziełem Chrystusa historycznem. Ale jeżeli już przypuścimy, że chrystyanizm musi mieć całokształt kościelny, z kapłaństwem, liturgią, sakramentami i t. d., to już wolę daleko kształt Kościoła wschodniego aniżeli kształt rzymski. Kościół wschodni zachował to wszystko, czego brak zarzucał Ksiądz protestantom, a zachował to daleko wierniej niż katolicyzm, bo ma więcej ducha zachowawczego niż Rzym, nie ma tej żyłki ciągłego przerabiania obrzędów i formuł wiary, tworzenia coraz nowych świąt, nowych nabożeństw, nowych orzeczeń dogmatycznych. Starą wiarę podaje on ludowi, usymbolizowaną w wspaniałych obrzędach, modłach, szatach kapłańskich, ikonostasach, w melodyi liturgicznej, w której lud miesza swój głos z kapłańskim. A ta drogocenna skrzynia liturgii jest prawie równie starożytna jak zawarta w niej wiara.

LEROY.

Ma pan wiele racyi. Byłem niedawno temu w Moskwie. Otóż przyznam państwu, że kiedy się wsłuchałem w te uroczyste a rzewne melodye, męskimi głosami bez organu śpiewane — gdy się

zapatrzyłem w te okazałe obrzędy, te powłoczyste ornaty, korony biskupów, kadzenia, pochody, roztaczające się wśród przepychu świątyni, lśniącej od złota i ognia — kiedy spostrzegłem, że patrzą na mnie starzy święci z ikonów swemi wielkiemi, surowemi oczyma, ci sami od kilkunastu wieków, w takim samym hieratycznym układzie i takich samych strojach jak ci co przedemną pontyfikują — wtedy jakoś żywo uczułem i zrozumiałem, że jest ogromna siła w tym konserwatyzmie religijnym, i że ten ryt wschodni może przejąć głęboko duszę czcią majestatu boskiego.

MISS WILSON.

Ja muszę skruszyć kopię w obronie rytu zachodniego. Najprzód i on jest prastary; główne jego części są podług dzisiejszych badaczy angielskich pewnie starsze od rytu greckiego, jaki obecnie znamy; późniejsze zaś doróbki są, wogóle mówiąc, dość jednolite z dawnemi i organicznie z owych wyrosły. Symbolizują te obrzędy wiarę i ducha chrystyanizmu niemniej wymownie jak wschodnie, tylko chcąc je w całej pełni rozumieć, trzeba znać ich genezę i oglądać czyste ich typy. Jeżeli wy np. panowie Francuzi rozstrajacie sobie harmonię liturgii przez muzykę Gounauda i Rossiniego zamiast się trzymać gregoryańskiego śpiewu, to nie jest wina rytu, ani wina Rzymu tym razem, bo Rzym was o to upomina, ale wasze własne, jak widać, upodobanie. Niema, co prawda, w świątyniach zachodnich tej profuzyi złota co na Wschodzie, ale jest więcej sztuki, bogactwa wyższego rzędu, Bogu poświęconego. Nie ma tej identyczności typów, wiecznie powtarzanych w obrazach, w architekturze, ale jest innego, może wyższego rodzaju jedność w sztuce kościelnej: jedność myśli przewodniej, która jest samą myślą chrystyanizmu, szukającą przez wieki a nigdy w pełni nie dosięgającą swej formy. Ta sama myśl z bazyliki wznosi się do romańskiej świątyni, i z romańszczyzny wzlatuje do gotyki; ta sama maluje biblijne sceny na ścianach katakumb, dla pociechy prześladowanych, i ta sama rzeźbi z miłością też sceny na glifach i w tympanach gotyckich katedr, ażeby kamienie pouczały lud nieumiejętny — i jeszcze

ta sama maluje sklepienie Sykstyny, ażeby swój tryumf w świecie zadokumentować. Liturgia i cała sztuka kościelna wschodnia jest w jednej jakby formie giserskiej wyciśnięta, zachodnia zaś jest jednym wewnętrznym ożywiona pierwiastkiem.

KSIĄDZ.

Bardzo pięknie i zwycięsko Miss broni zachodniego obrządku; muszę jednak rozdzielić dwie bardzo różne kwestye, które się w tym sporze zaczynają plątać. Co innego obrządki, a co innego Kościół Chrystusowy. Zarówno w greckim jak i w łacińskim rycie mieścić się może (historya o tem świadczy) bądź katolicyzm bądź schizma. Oba obrządki są piękne, oba myśl chrystyanizmu wyrażają — w tem i pan Siemionow i miss Wilson mają racyę. Który absolutnie piękniejszy, trudno nam objektywnie sądzić, bo trudno od nawyknień tak delikatnych strun duszy abstrahować. Ale pan Siemionow zarzuca za jednym zamachem Kościołowi rzymskiemu ciągłą w religii zmiennność, niezmienność zaś wschodniego, niekatolickiego uważa za znamię religijnej wyższości. Otóż przeciwko temu muszę zaprotestować. Nie na rzymskim Kościele cięży piętno odmiany, ale właśnie na wschodnim odłączonym.

LEROY.

Ciekawym jak tego rodzaju rzecz może być dowiedziona. Ani mumie egipskie nie są przecież tak niezmienne jak wschodni Kościół!

SIEMIONOW.

Wystawiam sobie jak Ksiądz będzie dowodził, że *Filioque* znajduje się innemi słowy przez starych Ojców greckich stwierdzone, i że prymat papieża został przez sobory wschodnie uznany. Ale z góry ostrzegam, że na tego rodzaju dowodzenia jestem zupełnie niewrażliwy.

KSIĄDZ.

Otóż tych dowodów nie tknę, będę się trzymał wczorajszej umowy, a rzucę tylko okiem na historyczny bieg obu Kościołów.

Jak wyglądają te Kościoły w pierwszym peryodzie swej historyi, przed rozerwaniem? Oba z jednakim zapędem rozwijają się i organizują: Kościół zachodni określa zaczepione przez heretyków dogmata, wydaje nowe symbole — i Kościół wschodni dogmata określa i nowe symbole wydaje; Kościół zachodni organizuje swą karność, urządza stosunki swych hierarchów, życie religijne ludu, odpowiednio do coraz nowych potrzeb społeczeństw — i Kościół wschodni to wszystko ciągle organizuje; Kościół zachodni rozwija swoje obrządki — i Kościół wschodni swoje rozwija, i jeszcze w VIII. i IX. wieku, po zwalczeniu Ikonoklastów, ważne zaprowadza rytualne zarządzenia, aby cześć obrazów uwydatnić i unormować. W najważniejszych sprawach, jak w kwestyi rytualnej o czasie obchodzenia Wielkiejnocy, w jurysdykcyjnej o stosunku patryarchatów, i w kwestyach dogmatycznych niemal wszystkich, oba Kościoły legiferują razem na soborach powszechnych, w sprawach mniej ogólnej doniosłości każdy się urządza u siebie. Jednem słowem żywotny ruch i rozwijanie się we wszystkich kierunkach cechuje tak samo wschodni jak i zachodni Kościół.

Tak się przebywa ośm soborów i dziesięć wieków. W tem następuje rozerwanie — i co widzimy dalej w historyi? Zachodni Kościół żyje dalej takiem samem życiem jak przed tem, tak samo przeciw nowym herezyom sobory zbiera i dogmata określa, tak samo kult swój, prawa, instytucye wszelkiego rodzaju rozwija. Wschodni zaś Kościół od tej chwili przestaje się ruszać; nietylko dogmatycznych orzeczeń już nie wydaje, ale najmniejszej rzeczy, ani w prawach, ani w liturgii, ani w kalendarzu, w niczem zgoła nie odmienia, nie uzupełnia — jak gdyby go paraliż w chwili rozerwania poraził! — Któryż więc z dwóch Kościołów się odmienił? czy ten, co rozwija się tak samo jak się rozwijał, czy ten co nagle rozwijać się przestał? Z dwóch gałęzi jednego drzewa jedna, dajmy na to, uschła rok temu i została przy tej samej grubości i kształcie jaki miała wtedy, druga znacznie zgrubiała i nowe wypuściła gałązki — któraż z tych dwóch gałęzi istotnej uległa zmianie?

SIEMIONOW.

Nasi teologowie mówią, że już wszystko, co było do orzeczenia w wierze, już na siedmiu soborach orzeczone zostało. Nasz Kościół, widać, wcześniej skończył rośnięcie.

KSIĄDZ.

Wiem, że tak wasi teologowie mówią, ale jest to najfałszywszy wybieg. Mnóstwo punktów dogmatu, przez późniejsze herezye zaszczepionych, nie było wcale tkniętych na pierwszych siedmiu soborach. A czy w łonie samej cerkwi rosyjskiej nie powstają raz po raz nowe sekty, rozkoły, którymby według zwyczaju kościelnego wyroki soborów zapobiedz powinne, i możeby skuteczniej zapobiegły, niż wasze środki policyjne? Depozyt wiary, będąc zawsze przez nowe wymysły ludzkie zagrażany, zawsze musi być przez orzeczenia Kościoła tłumaczony i broniony. To reagowanie przeciwko błędowi jest funkcyą żywotną kościelnego ciała; jej ustanie nie jest dojrzałością, jak pan sądzi, lecz zamarciem tego organizmu. Również nieudolność wytwarzania nowych praw, nowych zakonów, adaptowanie starych instytucyj do zmiennych potrzeb czasów i miejsc, nie jest znakiem dorośnięcia, ale zamarcia, bo jest pozbawieniem właściwej żyjącym istotom zdolności: rozwojowego przystosowania się do otoczenia. — Właściwa przyczyna tego sparaliżowania wschodniego Kościoła, powiem bez ogródki, jest ta, że dusza kościelnego ciała, Duch św., w chwili rozerwania go opuścił. Kościół wschodni, jakoby to czuł instynktowo, nie śmie się ruszyć, nie śmie najmniejszej zrobić zmiany, bo wie, że to, co dzierży z czasów jedności, jest pewne i dobre, a nie poczuwa się do zdolności rozeznania tego co można zmienić, od tego co nie można, co przypadkowe od tego co istotne, i dlatego instynktem samozachowawczym nic nie zmienia. Poczucie kierownictwa Ducha św. w nim zgasło. Zachodni zaś Kościół, który to poczucie w całej pełni zachował, z taką samą swobodą i pewnością siebie postępuje naprzód, jak dawniej postępował.

Swoją drogą ten instynkt zachowawczy, który Kościół wschodni paraliżuje, jest dla niego w obecnym stanie dobrodziejstwem, bo gdyby ten Kościół oderwany, bez Ducha, bez światła,

zaczął się ruszać, reformować, jak protestantyzm, to zarówno jak on nie zatrzymałby się, ażby wszystko roztrząsł, zatracił: dogmata, hierarchię i sakramenta. I w tem więc jest dla tego zbłąkanego Kościoła miłosierdzie Opatrzności.

DON PARDOVAL.

Chcecie panowie namacalnych dowodów uschnięcia wschodniej gałęzi Kościoła? Patrzcie na owoce, jakie ta gałąź rodzi. Najwidoczniejsze z tych owoców, które każdy w historyi skonstatować może, to są narody do chrystyanizmu nawrócone. W pierwszej epoce, wśród prześladowań rzymskich przed Konstantynem, kiedy Kościół zachodni zdobywa dla Chrystusa Hiszpanię, Gallię, Brytanię aż poza granice ówczesnego państwa rzymskiego, kiedy wśród Germanów sieje kościoły po obu brzegach Renu, w Spirze, Moguncyi, Trewirze, Kolonii, dociera nad Dunajem do Rugii, Noryku i Panonii, a najwspanialej rozkwita się w Afryce rzymskiej — to równocześnie, z niemniejszą gorliwością i powodzeniem, Kościół wschodni pochodnię wiary od Apostołów przejętą daleko po Azyi roznosi: w II-im już wieku gęsto kościołami zasiana jest Mezopotamia, Armenia rzymska, nawet Persya; o gminach chrześcijańskich w Bitynii i Poncie mówią już Pliniusz i Lucyan; w początkach III-go w. spotykamy takowe w Arabii. W drugiej epoce, od Konstantyna aż do schizmy, Kościół zachodni prowadzi dalej swe zdobycze: Goci przyjmują chrystyanizm jeszcze w IV-ym w. za Walensa, Frankowie w V-ym pod Klodoweuszem; Irlandyę nawraca św. Patryk, skąd wiara dostaje się do Szkocyi i na Hybrydy; w VI. stuleciu przychodzą do Kościoła Burgundowie, Wizygoci pod Rokazedem, Anglosasi za głosem św. Augustyna; w VII-ym i VIII-ym w. kończy się ewangelizacya niemieckich dzielnic, Holandya, Belgia, a z drugiej strony Chorwacya przyjmują wiarę; w IX-ym w. nawraca się Morawia, Czechy, Dania, w X-ym Szwecya i Norwegia, Polska pod Mieczysławem, Węgry i t. d. W tejże samej, drugiej epoce Kościół wschodni niemniej płodnym się okazuje: z jego łona wychodzą tacy mężowie apostolscy, jak Grzegorz Oświeciciel, który nawraca całą Armenię, albo Teofil Indyjczyk, który chrzci Sabejów,

albo ta dziwna niewolnica Nunia, która imię Chrystusa zaszczepia u Iberów (dzisiejszych Gruzinów), skąd ono promienieje na Abazów i inne wszystkie ludy pod Kaukazem osiedlone; Abisynia już jest chrześcijańską w początkach IV-go w.; do Indyj dostaje się imię Chrystusa nie później jak w VI. wieku, do Chin podobno w VII-ym; w VIII-ym za staraniem cesarzowej Irmy nawracają się Słowianie w Grecyi osiadli, w IX-ym Bułgarzy, Chazarowie; w X-ym wreszcie Ruś pod św. Włodzimierzem przyjmuje wiarę z Carogrodu.

Aż do tej pory oba Kościoły z jednakową żywotnością, z jednakiem błogosławieństwem bożem nawracają do Chrystusa narody. Wtem, w XI. wieku rozrywają się te Kościoły między sobą — i jaki widok przedstawiają nam dalej? Wschodni konar naprawdę ani jednego owocu więcej nie przyniósł, poczet ludów przez grecki Kościół nawracanych urywa się nagle i niepowrotnie. A Kościół zachodni nawraca dalej, jak nawracał, tem samem tempem. Pomorze przyjmuje wiarę od św. Ottona w XII-ym w. a niebawem i Estonia, Inflanty, Kurlandya; Prusacy w XIII-ym; w tymże wieku misye franciszkańskie zaczynają promienieć na wschód i na południe; w XIV-ym Jagiełło chrzci Litwę, a równocześnie chrystyanizm dochodzi do Laponii. W XV-ym na florenckim soborze nawiązuje się unia, którą wprawdzie Grecy wnet zrywają, ale niektóre ludy: część Armenii, Jakobici w Egipcie i inni pozostają wierni. W XVI-ym w. Kościół katolicki ponosi straty przez odpadnięcie protestantów; ale, podczas gdy wschodni Kościół strat, ciągle sobie zadawanych przez zdobycze mahometanizmu, niczem powetować nie mógł, Kościół zachodni swoje straty nagradzał; Francyę, Polskę, do połowy przez protestantyzm zagarnięte, odzyskiwał, a równocześnie przez św. Franciszka Ksawerego i jemu podobnych zdobywał Indye, Cejlon, sięgał aż do Japonii na wschodzie, na zachodzie aż do Meksyku i aż do Kafrów na południu. W XVII-ym i XVIII-ym w. działalność misyjna jeszcze się o wiele rozszerza: Kochinchinę, Tonkin, Siam, Kombodżę ewangelizują z powodzeniem Jezuici, w Chinach kwitnące zakładają kościoły; w Afryce Kapucyni apostołują i gminy chrześcijańskie zakładają w Sudanie, w Kongo, w Gabonie wówczas

Gwineą zwanym; portugalscy misyonarze nawracają wybrzeże Mozambik, francuscy wyspy sąsiednie; w Ameryce południowej powstają biskupstwa i klasztory po miastach, a po puszczach sławne redukcye dla nawróconych Indyan; na północy zaś, w Kanadzie, Jezuici koczują długiemi latami w szałasach Huronów, aby ich dla Chrystusa pozyskać. W naszym nakoniec wieku ten rozwój misyj i to nawracanie się ludów wszelkich ras po całej kuli ziemskiej do takich doszło rozmiarów, że ani myślę się kusić o ich wyliczenie...

MISS WILSON.

Skądże Don Pardoval to wszystko tak doskonale ma w pamięci?

DON PARDOVAL.

My Hiszpanie, proszę pani, jesteśmy katolikami, i jako takich życie Kościoła interesuje nas w pierwszym rzędzie. Ale przychodzę już do swego wniosku: wobec tych faktów, tych kart historyi, pytam: czy trudno jest przedmiotowo osądzić, który z dwóch rozerwanych Kościołów usechł, utracił żywotność, a w którym przebywa dalej boski pierwiastek życia?

HAINBERG.

Nie można zaprzeczyć wielkiej żywotności Kościoła rzymskiego, ale zdaje mi się, że Don Pardoval zbyt surowo sądzi chrystyanizm wschodni. Przecież i rosyjska cerkiew ma, jak słyszę, swoje missye i przymnaża sobie wyznawców.

KSIĄDZ.

Pozwolę sobie wtrącić, że znam zbliska nabytki cerkwi na zachodnim jej kresie, tj. nawracania Unitów, i dla honoru Rosyi nie radzę na nie się powoływać; o nabytkach zaś na wschodnim krańcu, tj. o tych kilku plemionach pogańskich, które urzędowo zaliczone zostały do prawosławia, słyszałem od kompetentnych ludzi, że ich uchrześcijanienie podobne jest do tych miast z kartonu, które, jak mówią, Potemkin pokazywał zdaleka Katarzynie w jej podróży do Krymu. A choćby też jakieś spora-

dyczne nawracania zdarzały się po stronie wschodniego Kościoła, to nie przeszkadza jednak ogólnemu znamieniu: że Kościół ten, jako taki, od chwili zerwania jedności z zachodnim, porażony jest widoczną niepłodnością.

MISS WILSON.

Że jest wielka pod tym względem różnica między tem, czem był Kościół grecki niegdyś, a czem jest teraz, to niestety nie podlega wątpliwości; ale dlaczegoż zaraz zasądzać Kościół wschodni, jako umarły, przez Ducha św. opuszczony? Czemuż nie myśleć raczej o tem, żeby go jakoś ocucić i do dawnej przywrócić świetności?

DON PARDOVAL.

Wszyscy tego najgoręcej pragniemy, żeby Kościół wschodni do dawnej powrócił świetności; a sposób na to—jedyny możliwy—od dawna jest wymyślony.

MISS WILSON.

Jaki?

DON PARDOVAL.

Żeby powrócił do katolickiej jedności.

MISS WILSON.

Ha! wy katolicy tego tylko chcecie, żeby wasz papież panował nad wszystkiemi Kościołami, i myślicie że to jest *panaceum*, które wszystkiemu złemu zaradzi!

SIEMIONOW.

Czy papiestwo ochroniło narody katolickie, bądź od politycznego, bądź od religijnego upadku? czy ochroniło Francyę od rewolucyi i ateizmu? czy wyratowało Polskę z jej rozstroju? czy podźwignęło Włochy? Jeżeli taką pomyślność obiecujecie Rosyi za jej złączenie się z Rzymem, to dziękuję za to!

DON PARDOVAL.

Nikt tego nie twierdzi, żeby papiestwo miało wszystkiemu złemu zaradzić i za wszystko starczyć. Oprócz uznania papiestwa, trzeba jeszcze wielu innych rzeczy do całości religii, i jeszcze innych potrzeba do politycznej pomyślności. Tę ostatnią zresztą wykluczyliśmy wczoraj z dyskusyi o religii. Uznanie papiestwa jednak jest jednym z istotnych warunków religii od Chrystusa ustanowionej, i dlatego żaden Kościół chrześcijański bez papiestwa ani stać, ani żyć normalnie nie może.

MISS WILSON.

Don Pardoval jest zawsze nielitościwie skrajny! Niech nam katolicy mówią o faktycznej pożyteczności instytucyi papieskiej, to będziemy o tem rozprawiali; ale jeżeli czynią z niej istotny warunek chrystyanizmu, to już ustaje wszelka dyskusya. Przypuszczam jeszcze do roztrząsania zdanie, że kapłaństwo, że biskupstwo do religii należy; ale na tem koniec; biskupi są przecież szefarzami słowa bożego i wszelkich sakramentów, wszystkie więc potrzeby gmin chrześcijańskich opatrują. W jakim dalej porządku biskupi mają jedni od drugich zależeć, kto ma być prostym biskupem, kto arcybiskupem, patryarchą, prymasem — to już zawisło od czysto ludzkich i zmiennych układów. Może przynajmniej Ksiądz trochę racyi mi przyzna?

KSIĄDZ.

Miss doskonale określiła sposób jakim Grecy oderwani tę kwestyę pojmują — sposób, który też sobie w pewnej mierze Anglia przywłaszczyła: hierarchia kościelna aż do biskupa jest rzeczą religii, ponad tem jest rzeczą polityki. Przypuszczam, że można mieć osobiste upodobania w takim poglądzie; ale istnieje też od wieków inny pogląd, mianowicie: że Chrystus nietylko ustanowił w Apostołach biskupów, ale też w Piotrze powszechnego pasterza całego Kościoła. Otóż jeżeli dla poznania w tej mierze prawdy, postąpimy podług mądrej przestrogi, którą sama miss Wilson przed kilkoma dniami nam dała — że nie należy naszych upodobań Bogu narzucać, lecz pokornie badać co Bóg

zrobił i postanowił — jeżeli, mówię, tak w tej kwestyi postąpimy, to już będziemy blizkimi wniosku, że ten drugi pogląd jest prawdą i wolą Bożą. Myśl Chrystusa co do konstytucyi Kościoła jest tak jasno i dobitnie w samej nawet Ewangelii wyrażona, że jedynie gorączkowa chęć odepchnięcia tego wniosku wytłumaczyć może psychologicznie to dziwne zjawisko: iż są ludzie, co jasnym jak biały dzień słowom Chrystusa, zawiłe i ciemne podkładają znaczenia. Niech najprzód pokornie uchylą czoła przed wolą Chrystusa, który galilejskiego rybaka uczynił opoką swego Kościoła i pasterzem swych owiec, a wtedy z daru bożego zrozumieją — co my mamy już szczęście rozumieć — jak nieskończenie mądrą jest ta instytucya, jak potężną przeciw bramom piekielnym, jak przedziwnie płodną, mimo ludzkich ułomności następców tego rybaka — słowem, jak prawdziwie godną boskiego Założyciela!

LEROY.

Co do mnie, to bez tekstów i bez długich wywodów, zdaje mi się jasnem, że ze stanowiska chrystyanizmu, papiestwo powinno istnieć; bo, jak mówiliśmy wczoraj, chrystyanizm i Kościół i zwierzchność kościelna, to są pojęcia nierozdzielne; ale chrystyanizm jest z natury swej powszechny, więc i zwierzchność powszechną mieć musi.

DEVILLE.

Mogą być kościoły narodowe, jak według Pawła są kościoły domowe i gminne; a zgodność tych kościołów w Chrystusie stanowić będzie, w zbiorowem znaczeniu, Kościół powszechny.

KSIĄDZ.

Jaka zgodność, pytam, stanowić ma Kościół powszechny? czy ta co mówi: my, kościół tego kraju, wierzymy w Bóstwo Chrystusa, w Trójcę — wy, kościół drugiego kraju, jednemu i drugiemu przeczycie, jednak żyjmy w zgodzie! — my chrzcimy wodą w imię Trójcy, mszę odprawiamy, wy chrzcicie w imię ludzkości, ze mszy się śmiejecie, jednak bądźmy braćmi!? Taka zgodność

może być swoją drogą pożądana w stosunkach cywilnych w jednem państwie, ale ona nie stanowi żadną miarą jednego Kościoła. Jeden Kościół stoi na jednej wierze, a ta jedność wiary, jak już wiemy, zależy od jedności nauczającej zwierzchności. Wczoraj dowodziliśmy przeciwko wam protestantom rozumem i faktami, że bez zwierzchności żadną miarą jedność społecznej wiary nie da się osiągnąć; ale wschodni Kościół sam to w zasadzie uznaje, on widzi w biskupach władzę nauczającą, organa, przez które Duch św. Kościół sprawuje; wyznaje on przytem, że Kościół musi być jednym organizmem, że musi mieć jedną ściśle obowiązującą wiarę; więc oczywiście przyznać też winien, że musi być jeden powszechny biskup, któryby był tej jedności organem To, czego się teraz prawosławni i po części anglikanie trzymają: że miejscowe kościoły Duch św. uczy i kieruje przez biskupów, a zgodność między biskupami sprawia bez ludzkiego organu, jestto sklecenie sprzecznych zasad: katolickiej i protestanckiej.

DEVILLE.

Ze stanowiska Kościoła wschodniego odpowiadam, że organem zbiorowej jedności Kościoła są sobory.

KSIĄDZ.

Na to znowu już sto razy odpowiedziano, że jedność Kościoła musi być ciągłą i żywą, nie może zależeć od łaski zewnętrznych warunków, od których możliwość zebrania soboru koniecznie zależy.

Ale jeszcze coś innego odpowiem. Sam fakt schizmy tę kwestyę rozstrzygnął. Gdyby nie było rozerwania, schizmy wschodniej w Kościele, jeszczeby można, dajmy na to, spierać się o zagadnienie: czy sobor ekumeniczny nie starczy za organ kościelnej jedności? Ale schizma się zrobiła; Grecy obwiniają o to Rzym, Rzym obwinia Greków — lecz niezależnie od tego sporu stoi fakt, że od tego czasu niemożliwy jest sobór powszechny, któryby był ważny w oczach Greków i wszystkich zwolenników ich teoryi soborowej. Na zwoływane przez papieżów sobory przyjść nie chcą, i twierdzą, że nie mogą; odrębnie,

bez zachodniej części Kościoła, soboru ekonomicznego, jak sami wyznają, złożyć również nie mogą; więc ostatecznie żadnym sposobem w myśl ich teoryi do soboru przyjść nie może. Mówią, że łacinnicy temu winni; — jeżeli tak jest, powiadam, to jeszcze bardziej pokazuje się zasadnicza wadliwość w budowie Kościoła, jak oni ją pojmują, skoro mogło się zdarzyć, że wszyscy chrześcijanie wschodni bez swojej winy pozbawieni zostali przez tysiąc lat możliwości soboru, tj. tego co podług nich jest jedynym organem jedności Kościoła i warunkiem jego czynów i wyroków nieomylnych.

Dziwimy się, że w republikach Południowej Ameryki wychodzą raz po raz na wierzch nieprzewidziane luki w konstytucyach; skąd starcia, które na drodze prawnej rozwiązać się nie dają, a w następstwie — rewolucye. Tłumaczymy sobie te luki krótkim rozumem twórców konstytucyj owych krajów. Ale czy możemy pomyśleć, żeby boski, wszechwiedzący założyciel Kościoła tak radykalnie wadliwą dał mu konstytucyę?

HAINBERG.

Prawda jest, że Kościół wschodni, bez papieża, mniej żywotności okazuje, mniej się rusza, niż zachodni; ale za to zdolny on jest żyć w zgodzie z państwami, wśród których się rozmieścił. Nietylko z władcami chrześcijańskimi, ale nawet z padyszachem umie on się jakoś pokojowo porozumieć i spokojnie pod ich berłem żyje. Kościół katolicki, przeciwnie, jest wiecznie w walce z państwami. Póki zachód skupiony jest pod berłem cesarzów, Kościół walczy z cesarzami o inwestytury, o wpływ na Włochy, rozdwaja Włochy na Gwelfów i Gibelinów. Kiedy zaś państwa zachodnie się odosabniają, znowu z każdym z osobna walczy, od zatargu z Filipem Pięknym aż do spółczesnego nam *Kulturkampfu* w Niemczech. Czy bije czy jest bity, prześladuje czy jest prześladowany, mniejsza o to, dosyć, że nigdy do pokoju przyjść nie może. Jestto fakt, który mię w całej historyi zachodu uderza. A przyczynę tego widzę nie w ambicyi pojedynczych papieży — byli przecież między nimi ludzie różnego temperamentu — ale w samej instytucyi papiestwa jako takiej

Przyznaję Księdzu, że ta jedność kościelnego rządu ma swoje dobre strony, w czysto kościelnej sferze; ale te są małe w porównaniu z ujemnemi stronami, jakie doświadczenie wykazało. Ta jedność rządu z jednym najwyższym hierarchą, sprawia że Kościół katolicki jest rządem w rządzie, państwem w państwie — co już dla prawników jest monstrualnością. Co więcej, ponieważ to niby duchowe, a jednak materyalnemi środkami zcentralizowane państwo większe jest od każdego państwa świeckiego a głowę swoją ma poza jego granicami, więc nawet właściwie w pojedynczem państwie świeckiem się nie mieści. Z drugiej strony nie można żadną miarą powiedzieć, że się państwo mieści w Kościele, bo nie jest przecież jego organem; państwo jest uspołecznieniem najwyższem i niezależnem, albo nie jest państwem. Stąd wynika, że w żaden sposób jedno uspołecznienie z drugiem harmonijnie złożyć się nie da, i że nawet przy dobrej woli zwierzchników, co chwila wynikają spory o kompetencyę, o granicę władz. Ludność katolicka wiecznie przeciągana jest przez dwa od siebie niezależne centra władzy, i dlatego nigdy uspokoić się na długo nie może; a niepokój ten i na resztę ludności przez kontakt oddziaływa, i w rezultacie zarówno religii ludów jak sile państw szkodę przynosi. Zło niniejsze leży, jak powiedziałem, w samej instytucyi papiestwa. I dlatego, choć nie odmawiam tej instytucyi dobrych stron i zasług, jednak sądzę, że ją potępia, nietylko filozofia prawa, ale też doświadczenie dziejowe.

DON PARDOVAL.

Pozwolę sobie powiedzieć, że ten pogląd w dwóch kierunkach za daleko idzie. Najprzód, walka między państwem a Kościołem nie jest ani powszechna, ani ciągła, tylko sporadyczna. Najpiękniejsze karty historyi narodów katolickich — karty dość liczne, Bogu dzięki! — odznaczają się zupełną ich harmonią z Kościołem, potęgującą wrodzone tych narodów przymioty i siły. Nie biorę się do wyliczania, bobym nie skończył. Po drugie zaś, kiedy zdarzają się zatargi i walki, to przyczyny takowych nie potrzeba szukać w samej instytucyi papiestwa, ale w każdym danym przypadku łatwo przyczynę znaleść w ludzkich ułomno-

ściach jednej lub drugiej ze stron walczących. Czasem jest wina papieży, którzy niepotrzebnie mieszają kościelną powagę w wiry polityki sąsiednich państewek; najczęściej wina jest świeckich władców, którzy, gdy dochodzą do pewnego stopnia wszechwładzy i powodzenia, tracą łatwo poczucie ludzkiej miary, żadnej nie znoszą granicy, niczego coby nie było ich tworzywem; a ponieważ w Kościele katolickim znajdują zawsze siłę duchową zatwierdzającą się samoistnie, nie przeszkadzającą im wprawdzie być królami, ale nie pozwalającą im być bogami dusz — dlatego rozpoczynają wojnę z Kościołem. Taka jest historya prześladowców większej miary, począwszy od dumnych Hohenstaufów, Fryderyka I. i II., aż do księcia Bismarka i wcielonych w nim Prus nowożytnych. Doszedłszy do apogeum potęgi, zwyciężywszy Francyę i zdobywszy koronę cesarską Niemiec, musiało to państwo uczuć, czego przedtem wcale nie czuło: że katolicyzm mu zawadza dlatego samego, że nie jest jego kreacyą — i poczęło prześladować. Zdarzają się też inne powody wojny z Kościołem ze strony panujących: niekiedy chciwość, jak u Filipa Pięknego, niekiedy po prostu małostkowość, jak u Józefa II.; ale zawsze przyczynami prześladowań są jakieś popędy, jakieś namiętności władców czy ludów; trudności zaś zestrojenia dwóch sfer, duchownej i świeckiej, kwestye szczegółowe o kompetencyę, są to tylko trudności dla legistów; służą one czasem za pretekst władcom, którzy chcą Kościół prześladować, nigdy przyczyną tej woli nie są. Trudności te rozwiązują się właściwie konkordatami. Lecz nawet gdy konkordatu niema, a nawet gdy państwo ze swojej strony w wielu punktach konkordat naruszyło, jeszcze przy dobrej woli państwa może się zachować pokój i współdziałanie obu władz ku dobru ludów — czego dowodem jest dzisiejsza Hiszpania i Austrya.

LEROY.

Uwagi te są niewątpliwie słuszne i prawdziwe; jednakże widzi mi się, że i po stronie pana Hainberga cośkolwiek prawdy zostaje. Bądź co bądź, Kościół katolicki ma coś takiego w sobie, że światu uspokoić się nie daje.

MISS WILSON.

I mnie się tak samo rzecz przedstawia.

HAINBERG.

Kiedy przez tyle wieków tak rozmaite potęgi walczyły z tym Kościołem, to prosta logika wnosić każe, że jakiś powód do tego w samym Kościele być musi.

KSIĄDZ.

Ja, nie w przeciwieństwie do tego co Don Pardoval mówił, ale z innego punktu na rzecz patrząc, zgodziłbym się na to, że Kościół nigdy światu uspokoić się nie daje. Rzecz ta jednak, mojem zdaniem, nie uwłacza boskiemu jego ustanowieniu, owszem jest nowym i wspaniałym tegoż dowodem. Kościół katolicki jest zwalczany i prześladowany, choć nie zawsze i wszędzie, jednak nierównie więcej niż którakolwiek inna religia — to prawda, panowie. Ale i pierwotny, starochrześcijański Kościół był prześladowany, słał swych wiernych na męczeństwo, i w Jerozolimie i w Rzymie i w państwie Persów i gdziekolwiek był — prześladowany nietylko przez władców ale i przez lud i przez filozofów i legistów. To ponoszenie prześladowania dziedziczy w prostej linii po starych chrześcijanach nie inne wyznanie jeno sam Kościół katolicki. Mówiliśmy wczoraj o różnych znamionach identyczności tego Kościoła ze starochrześcijańskim; oto jedno znamię więcej. A to znamię jest upodobnieniem Chrystusowej oblubienicy do jej boskiego Oblubieńca i spełnieniem wielu proroctw Chrystusowych: że uczniowie jego będą mieli ucisk w świecie; że jeżeli jego nienawidzili, to ich też nienawidzić będą; że nie przyszedł pokój puścić na ziemię ale miecz.

DEVILLE.

Ależ Ksiądz miesza rzeczy zupełnie różne! Chrystyanizm, wchodząc w świat, musiał wyprzeć pogaństwo; ono naturalnie walczyło siłą, on duchem bożym, i dlatego zwyciężył. Lecz przez to samo że zwyciężył, racya bytu tej walki z siłą państwową

ustała. Jedynie odłam chrześcijaństwa, w kształt Kościoła katolickiego ukonstytuowany, wieczne z państwami, nawet chrześcijańskiemi, wywoływał zatargi.

KSIĄDZ.

Jakiem prawem można powiedzieć, że powód walki między państwem a chrystyanizmem ustał? Czy niema innego przeciwieństwa między światem a królestwem bożem, jak tylko kult bałwanów? A gdy pycha, duch herezyi i inne czynniki, stanowiące ów świat przez Chrystusa przeklęty, wezmą górę w jakiemś państwie, choćby ochrzczonem, czy nie musi być walka między tem państwem a królestwem bożem? Gdybyśmy zresztą wglądnęli głębiej w powody prześladowań starochrześcijańskiego Kościoła, nie w paragrafy, które kodyfikował Ulpianus, ale w psychologiczną przyczynę, która cezarów parła, to zapewne znaleźlibyśmy w gruncie tę samą przyczynę, która, jak dobrze wykazał Don Pardoval, skłaniała nowożytnych potentatów do wojowania z katolickim Kościołem. Tak samo jak oni, rzymscy cezarowie spotykali się z oporem przekonania, ograniczającym ich wszechwładzę: przedtem wszystko było ich, teraz słyszą po raz pierwszy, że to jest cesarskie, a tamto boskie — i to głównie ich zaciekłość wznieca.

Ostatecznie, nie roztrząsając dalej tej psychologicznej kwestyi, powiadam: jeżeli zaraz po nawróceniu Konstantyna, państwa urzeczywistniły cały ideał ewangeliczny, w takim razie zgoda, powód walki między państwem i Kościołem ustał; ale jeżeli państwa zachowały jeszcze dużo pierwiastków Chrystusowi przeciwnych, jeżeli te pierwiastki w ciągu dziejów owładały nieraz ster pojedynczych państw, w takim razie musiała być walka między temi państwami a królestwem bożem, prześladowanie królestwa bożego. A w takim razie, między wieloma kościołami, które za Chrystusowe chcą uchodzić, ten jeden ma znamię prawdziwego królestwa bożego, który jest ofiarą tych prześladowań i który stawia im opór duchowy, nie te, które ani mogą być prześladowane, bo się pod wszelkiemi kaprysami władców świeckich uginają.

MISS WILSON.

Czy Ksiądz myśli, że jedynie u katolików jest siła sumienia? czy sądzi, że oni jedni odróżniają co jest cesarskiego od tego co boskie?

KSIĄDZ.

Wiem, że są protestanci i są wyznawcy wschodniego Kościoła, którzy doskonale to odróżniają, i niekiedy cierpią za swe przekonania; ale konstatuję, że tego nie czyni ani protestantyzm jako społeczność kościelna, ani nawet Kościół wschodni od czasu schizmy; jedynie Kościół katolicki to czynić może i to czyni; i dlatego on szczególnie jest prześladowany, jakeście panowie zauważyli. Chrystus nietylko w oderwanej zasadzie postawił rozgraniczenie między sferą cezara a sferą Boga czyli religią, ale oparł tę zasadę na konkretnej instytucyi: pierwsza sfera należała już naturalnym porządkiem do państwa, On drugą powierzył Kościołowi swemu.

Ludzkość w naszych czasach, chcąc zawarować swą wolność polityczną, zaprowadziła podział władzy państwowej: innemu powierzyła moc prawodawczą, innemu sądowniczą, innemu jeszcze wykonawczą, i nazwała ten podział konstytucyą. Otóż 19 wieków przedtem, Chrystus nadał ludzkości konstytucyę nierównie donioślejszą, chroniącą od tyranii najistotniejszą jej wolność ducha i godność: przez podział między świecką a duchową władzą.

HAINBERG.

Nie przeczę, że ten pogląd ma coś wzniosłego. Jednak ja jeszcze wracam do swego: trudno mi pojąć, żeby Chrystus nie był mógł innej dla ludzkości konstytucyi wymyśleć, jak właśnie taki podział władzy, który wieczne rodzi w historyi spory, cierpienia i walki. To przecież było do przewidzenia!

DON PARDOVAL.

Chrystus to wszystko przewidział, panie Hainberg, i przepowiedział nawet; jednakowoż przy zakładaniu swej religii nie pytał o to, co się da najspokojniej w świat wprowadzić — w ta-

kim razie byłby zupełnie co innego zrobił — ale co najwięcej ludzkość uszlachetni i do Boga podniesie — choćby kosztem trudów, walk i cierpień. Zawadził swym dogmatem o pychę rozumu ludzkiego, i dlatego zbuntowana filozofia i nauka wojuje z jego Kościołem; zawadził swemi przykazaniami o rozkiełznane namiętności ludzkie, i dlatego te przeciw niemu się podnoszą i syczą; zawadził, jak Ksiądz powiedział, o wszechwładzę państwa, przez postawienie religii ponad jego juryzdykcyą, i dlatego spoganiałe państwa Kościół prześladują. — A czy Kościół na tem tak źle wychodzi? Co się działo za czasów męczeńskich: że wiara się umacniała i szerzyła, że cnota hartowała się i rosła aż do heroizmu, serca uszlachetniały się i wznosiły wysoko ponad ziemię — to się w późniejszych prześladowaniach Kościoła w większym lub mniejszym stopniu powtarzało. Jestto, panowie, jednym ze środków, którymi boska Opatrzność Kościół z ziemskich naleciałości oczyszcza: że od czasu do czasu zsyła na niego prześladowanie.

KSIĄDZ.

To jest dopiero jedna strona; ja jeszcze sobie pozwolę zwrócić uwagę panów na drugą stronę, tj. na to co się dzieje w ciągu historyi z temi Kościołami, które odrzuciwszy prymat i jedność kościelnego rządu, uzdolniły się, jak mówił p. Hainberg, do zgodnego pożycia z państwami. O protestantyzmie mówiliśmy już wczoraj, rzućmy teraz okiem na dzieje wschodnich Kościołów. W miarę jak się odrywają od jedności z Rzymem, podpadają one w niewolniczą zależność od świeckich władców, zatracając wszelką duchową wolność, wszelką moc, na którejby się oprzeć mogły dusze do nich należące. Jeżeli się kiedy pojawia u nich siła, odporność duchowa, to tylko, jak powiedziałem, indywidualna, znikoma, nigdy Kościoły jako takie wtargnięciom państwa oporu nie stawiają. I doprawdy, inaczej być nie może. Tylko katolickość Kościoła, urzeczywistniona w powszechnym duchownym rządzie, może stawić Kościół ponad przemocą państwa. W jednym, w drugim kraju go gnębią, ugiąć, przekształcić usiłują, ale on jest i poza temi krajami, on się

czuje solidarnym z katolickością świata, czuje się pod wpływem najwyższej Głowy; może cierpieć, ale przekształcić się pod przemocą nie może. Skoro zaś części Kościoła, w granicach różnych państw położone, stają osobno, odłączają się od jedności kościelnego rządu, już przez to samo te części stają się Kościołami narodowemi, państwowemi, i nie mogą nie ulegać jarzmu najwyższych władz, które w tych krajach panują. To z natury rzeczy wynika, że tak się dziać musi — i faktycznie tak się zawsze działo. Po schizmie, póki jeszcze trwa państwo Bizantyńskie, otoczone nimbem dawnej wielkości, póty i Kościół Bizantyński zachowuje pozór powszechności na wschodzie; ale staje się zupełnym cesarzów niewolnikiem. Cesarzowie o wierze, o liturgii, o kanonach decydują, patryarchów zmieniają według kaprysu; faworytów, świętokupców, nieuków, eunuchów dworskich, heretyków mianują najwyższymi Kościoła zwierzchnikami. Zapanowanie półksiężyca nad św. Zofią jest jeszcze, w porównaniu do tego co było przedtem, dobrodziejstwem Opatrzności dla wschodniego Kościoła, bo przynajmniej Turek, nie rozumiejąc kościelnych spraw, nie miesza się do nich, i owszem, potęguje on władzę patryarchy, zrzucając na jego barki nawet świeckie chrześcijan interesa. Lecz i to jarzmo, choć mniej dokuczliwe, niemniej jest dla Kościoła upadlającem. Świętokupstwo staje się z konieczności rzeczy normą hierarchii: patryarcha musi okupić u Turka swe wyniesienie, konsekwentnie biskupi muszą kupować sakrę od patryarchy, księża od biskupów, bo pieniądze z niczego się nie biorą. A świętokupstwo przecież, przeklęte od Apostoła, przez kanony wschodnie zarówno jak zachodnie potępione jest jako unieważniające kościelne urzędy.

Co więcej — uważcie to panowie — jedność polityczna Ottomańskiego państwa staje się warunkiem jakiej takiej jedności Kościoła wschodniego. Patrzymy dziś na to ciekawe, z punktu zasad kościelnych niemożliwe, ale w tych warunkach bardzo naturalne zjawisko, że w miarę jak państwo Ottomańskie słabnie i odczepiają się od niego jedna po drugiej pojedyncze chrześcijańskie prowincye: Grecya, Rumunia, Serbia, Bułgarya, każda z nich niebawem odczuwa, że nie ma dobrej racyi należenia do konstan-

tynopolskiego Kościoła i, nie dbając na jego gniewy i klątwy, odczepia się i ustraja w autocefaliczny Kościół. To samo daleko wcześniej uczyniła Moskwa, skoro mianowicie poczuła swoją państwową siłę a upadek Carogrodu. Każdy zaś taki narodowy Kościół zdany jest znowu na łaskę i niełaskę cara, księcia czy hospodara, władcy tego kraju w którym się mieści. W Moskwie np., Izydora, wracającego z florenckiego soboru, Wasyl II. każe wykląć przez biskupów, i biskupi go wyklinają, a jedynie ucieczka ratuje go od stosu. Następca Wasyla, Iwan III., dowiedziawszy się o wzięciu Carogrodu, już sam nawet rytualnie metropolitów tworzy, między nimi też młodego dworaka, Daniela, który bigamię jego pochwalił. Równocześnie książęta innych dzielnic ruskich chcą oderwać swe cerkwie od metropolii moskiewskiej, i bez cienia oporu te cerkwie się odrywają i nowe metropolie tworzą. Iwan IV. Groźny cały szereg metropolitów wynosi, obala, dręczy, w cerkwi znieważa, na stosie pali. Borysowi Godunowowi zachciewa się mieć w Moskwie godność patryarszą, i odrazu powstaje patryarchat moskiewski, i sam patryarcha carogrodzki Jeremiasz II., włóczący się naonczas po owych krajach, nie waha się, za odpowiednią wagę złota, ten kanoniczny absurd zatwierdzić. W następnym wieku carowi Aleksemu podoba się reformować liturgiczne księgi; krocie tysięcy ludu się opierają, upatrując w tem starej wiary uszczerbek; ale patryarcha Nikon i urzędowa cerkiew reformę przeprowadza, a tysiące z ludu giną pod chłostą i na stosach. Wreszcie Piotrowi Wielkiemu widzi się że i malowany patryarcha mu zawadza, znosi go ukazem i tworzy natomiast rodzaj biura ministeryalnego dla spraw cerkiewnych, zwany św. Synodem, ażeby nietylko rzeczą ale i formą się uwydatniało, iż nie kto inny, tylko car jest Głową cerkwi: — i to ostatnie przeobrażenie, wywracające wszelkie soborowe kanony i wszelkie pojęcia o kościelnej jurysdykcyi, wprowadza się w życie cerkwi równie gładko jak poprzednie. A kiedy wreszcie przed 10-ma laty urzędowy akt państwa, określający „reguły państwowego egzaminu z prawa“, zadokumentował formalnie kościelne zwierzchnictwo cara, twierdząc że wschodnia cerkiew zrzekła się swej władzy i w rękach cara ją złożyła, to formalność ta niczyjej, prócz So-

łowiewa, nie zwróciła uwagi, tak dalece była tylko wyrazem od wieków istniejącej rzeczywistości. — Obawiacie się państwo absolutyzmu papieży? patrzcie pod jaki absolutyzm idzie fatalnie Kościół, który się z pod władzy papieży wydziera!

W takich warunkach oczywiście walki między państwowym a kościelnym pierwiastkiem niema żadnej; lecz nie dla tego, że jest między nimi zgoda, harmonia, tylko dla tego, że pierwiastek kościelny niema żadnej siły ni zdolności do bronienia powierzonego sobie od Boga zakresu, i daje się i musi się dawać państwu poniewierać, naginać, przeobrażać, do wszelkich świeckich celów dowoli używać. Rozumie się, że taki Kościół nie może w żaden sposób nadprzyrodzonego posłannictwa chrystusowego spełniać. O strasznym upadku rosyjskiej cerkwi, mimo wrodzonej religijności rosyjskiego ludu, nie potrzebuję się rozwodzić, bo sami szczerzy patryoci rosyjscy krwawemi łzami ten upadek opisali. Taki Aksaków np. zeznaje, że przerobienie cerkwi w departament państwa „odebrało duszę tej cerkwi“; żali się gorzko, że „więzieniem dowodzą innowiercom prawdy ortodoksyi“; a gdy sami hierarchowie cerkiewni wyznają, że inaczej połowa ludu przeszłaby do innych wiar, oburza się na to i wnosi, że „cerkiew jest chyba niewierną trzodą, której pasterzem jest policyant, knutem spędzający zbłąkane owce“! — Słuszne oburzenie, najsłuszniejsze żale, ale jeszcze jedno dodać trzeba, na co ci patryoci rosyjscy nie zwracają uwagi, tj. że tak źle być musi i inaczej być nie może, jak długo cerkiew jest narodowym kościołem, bo, jak wykazałem przedtem, każdy kościół, który się z zasady w granicach jednego państwa zamyka, musi z natury rzeczy pod zwierzchność tego państwa podpaść; a jedyny sposób aby Kościół zachował wobec państw swą duchową niezależność jest to, żeby miał swą międzynarodową kościelną władzę.

DEVILLE.

Ja wreszcie Księdzu przyznaję racyę przeciwko wschodniemu Kościołowi. Kiedy się uważa biskupów za organa Boga do nauczania i rządzenia ciałem Kościoła, to jasna rzecz, że konsekwentnie uznać trzeba jednego biskupa nad biskupami, jeżeli się chce mieć

jedno kościelne ciało i jedną naukę. Jednakże cały ten wasz sposób pojmowania Kościoła Chrystusowegn wydaje mi się bądź co bądź zbyt zewnętrzny; myśl, żeby kto inny niż Chrystus był głową Kościoła, jest mi wstrętna... Ha! gdybyście pojmowali Kościół Boży bardziej duchowo, to możnaby zwracać oczy w stronę katolicyzmu...

KSIĄDZ.

Zacny panie Deville, tak długo ze sobą rozmawiamy, a jeszcze nas pan nie zrozumiał! Kościół podług nas, to jest „miasto świętych", tj. społeczność duchowa wszystkich, którzy przez nadprzyrodzone życie — wiarę czy miłość czy widzenie — zjednoczonymi są z Chrystusem, czy na ziemi są jeszcze, czy w czyścu, czy już w niebie, czy w Starym Zakonie żyli oczekując Chrystusa, czy w Nowym go posiadając; nietylko ludzie wreszcie, lecz i aniołowie. Ci wszyscy są członkami Kościoła, a Chrystus jest jego głową, źródłem z którego czerpią życie, czerpią w rozmaitej mierze według swego stanu: idących do celu, albo go już posiadających.

Tak pojęty Kościół, choć w stosunku do Chrystusa, swej głowy, nazywa się jego ciałem, sam w sobie jednak jest czysto duchowy, bo na czysto duchowym związku z Chrystusem zależy. Otóż kiedy przyszedł czas, że Bóg się okazał w ciele, podobało się mu i temuż Kościołowi dać ciało. Ulepił on zarodek tego ciała z garstki rybaków galilejskich, niby z mułu ziemi, tchnął w niego ducha swego, i dał mu to zadanie, żeby wchłaniał w siebie ciemną masę ludzkości, przetwarzał ją w ducha i jednoczył z duchową Głową. W ten sposób ciało mistyczne Chrystusa wzrasta, według Apostoła, aż do pełności Chrystusowej, tj. aż do tej miary doskonałej, która przedwiecznie zamierzoną była. I wtedy oblubienica Baranka, już w pełnej chwale, bez zmarszczki i skazy, z nim wieczne gody obchodzić będzie.

Zaczem ciało Kościoła istnieje, nie wieczyście jak sam Kościół, ale od Wniebowstąpienia Chrystusa aż do dnia sądu. Ciało to jako takie musi mieć swe zewnętrzne organa, swą widzialną głowę do spełniania swego zadania na ziemi. Organa te, głowa

ta, są narzędziami Chrystusa, jakeśmy poprzednio tłumaczyli; ale właśnie dlatego, że są narzędziami, a nie jakimiś zastępcami Chrystusa, wymagają, żeby On był wnętrznym działaczem i duchową głową Kościoła. — Potrzebę, racyę bytu tego ciała Kościoła można łatwo zrozumieć — prawie wszyscy panowie ją zrozumieli — ale choćby się racyi nie rozumiało, o woli jednak i ustanowieniu Chrystusa wątpić niepodobna. Rzecz jest aż nadto jasna w ewangelii i aż nadto widoczna w historyi. A więc czcić trzeba i kochać trzeba ten Kościół cały, tak jak go Chrystus ukształtował: Kościół duchowy i Kościół zewnętrzny — ciało i duszę Kościoła — bo to jest jedna mistyczna osoba, jedna oblubienica Chrystusowa, którą Zbawiciel ukochał i krwią swoją poświęcił.

SIEMIONOW.

Ja zarzutów czynionych Cerkwi na polu dogmatycznem odpierać nie umiem, jak powiedziałem, i nie zamierzam; ale wracam do punktu, który mię szczególnie obchodzi i który też miss Wilson z początku naszej rozmowy poruszyła, mianowicie: że Kościoły, będąc zewnętrznym religii kształtem i historycznym jej wyrazem, muszą być narodowe, inaczej nie mogą być do duszy narodów dostrojone. Otóż wschodni ustrój chrześcijaństwa na to pozwala: widzimy po owej stronie wszędzie Kościoły narodowe; ustrój zaś katolicki stoi widocznie w przeciwieństwie do narodowości; te tylko kraje na zachodzie posiadają Kościoły narodowe, które się z pod papiestwa wyłamały. Otóż ja nie mogę w swej głowie pomieścić, żeby zaparcie się tak szlachetnego uczucia, jak narodowe, mogło być od Chrystusa wymagane.

DON PARDOVAL.

Chrystus nie wymaga zaparcia się narodowych uczuć, ale nie chce żeby one wchodziły w sferę religii. Narodowość jest naturalnym wytworem dziejowego rozwoju ludzkości, chrystyanizm dany jest z nieba; narodowość wyróżnia ludzi, zaczem też łatwo ich oddala i waśni, chrystyanizm objawia im że są braćmi, zbliża ich i jednoczy. Są to dwa pierwiastki, które nie wykluczają się właściwie, ale w odrębnych zostają sferach. Otóż Ko-

ściół jest samym chrystyanizmem uspółecznionym, więc narodowym być nie może. Rządy niech będą narodowe, armie narodowe, literatura, stroje, obyczaje niechaj będą narodowe; ale o narodowym Kościele panowie mi nie mówcie, bo jest w tem sprzeczność z ideą chrystyanizmu — i doświadczenie tylu wieków, o którem mówiliśmy przed chwilą, dość stanowczo, sądzę, potępiło Kościoły narodowe.

MISS WILSON.

Nie wiem na razie co na te dowody odpowiedzieć; jednak czuję, że w tem zupełnem wykluczeniu uczuć narodowych ze sfery religii i nabożeństwa jest coś nienaturalnego, co nie może być czystą prawdą. Zdaje mi się, że Don Pardoval wymaga jakiegoś rozdwojenia człowieka na dwie warstwy, które w żywej rzeczywistości przeprowadzić się nie da. Ja nie mogę nie być Angielką w kościele, a być nią przy biurku i w salonie.

LEROY.

Protest Pani jest pięknym i bardzo zrozumiałym odruchem serca; ale darmo! nie podobna nieprzyznać, że z wysokiego stanowiska chrystyanizmu Don Pardoval ma racyę. Patryotyzm jest najwyższym szczytem moralnym, do jakiego wznieśli się ludzie starożytni; pobudzał on tych ludzi do czynów bohaterskich, ale zarazem do nienawiści wszystkiego co obce. W czasach chrześcijańskich patryotyzm nie przestaje być arcypiękną cnotą naturalną, narodowość nie przestaje odgrywać roli w świecie. Ale chrystyanizm jako taki nie ma w tem nic wspólnego. On jest religią uniwersalną — albo niczem zgoła nie jest; a że nie jest, jak się powiedziało, religią oderwaną lecz uspółecznioną w Kościele — więc i Kościół musi być powszechnym a nie narodowym. Może się komuś ta konkluzya nie podobać, ale ona nieuchronnie, sądzę, z całości chrystyanizmu wypływa.

SIEMIONOW.

Ta dyalektyka oderwana jeszcze więcej sprawę w moich oczach gmatwa; może dla tego właśnie, że jest oderwana, a w ży-

wym świecie wszystko jest splecione i nieskończenie skomplikowane. Ja, zarówno jak miss Wilson, nie mogę pojąć chrystyanizmu jako stykającego się z jednym określonym duszy punktem. Albo cała dusza do chrystyanizmu przylgnie i wszystko po chrześcijańsku pojmie i pokocha, albo nie będzie prawdziwie i w całej pełni chrześcijańską. Ażeby zaś takie przylgnięcie duszy było możliwem, trzeba żeby sam chrystyanizm doskonale duszy ludzkiej i wszystkim jej aspiracyom odpowiadał, jakeście panowie przed kilkoma dniami na wyścigi dowodzili. Otóż w duszy ludzkiej jest uczucie narodowe, i to nie zdrożne, nie dowolne, ale naturalne i piękne; więc słusznie coś we mnie odpycha chrystyanizm katolicki, który to uczucie wyklucza, a trzyma się chrystyanizmu i Kościoła wschodniego, który je uwzględnia i szanuje.

HAINBERG.

Ja w tej dyskusyi staję po stronie panów Pardovala i Leroy, z tą różnicą, że jeszcze dalej w tym kierunku idę. Zdaje mi się, że ci panowie zastrzegając się przeciw opozycyi między nacyonalizmem a chrystyanizmem, sami się trochę łudzą. Z ich własnych omówień widać, że opozycya ta istnieje. Powiedzmy poprostu, że to są dwie siły, które się miarowo przeciwważą, jak w naturze fizycznej przyciąganie i odpychanie; a ich wypadkowa zakreśla bieg nowożytnej ludzkości.

KSIĄDZ.

Mnie się zdaje, że w każdym prawie z tych poglądów jest coś prawdy, ale przymieszało się też trochę nieporozumienia — co się nam wogóle nader łatwo zdarza, kiedy tylko sfery uczuć dotykamy.

Istotnie chrystyanizm w pełni, królestwo boże, obejmuje, a przynajmniej dąży do objęcia i udoskonalenia wszystkiego; jednostki i narody, cnoty prywatne i patryotyzmy, wszystko ma w nim idealne miejsce — byle się oczyściło z nieszlachetnych domieszek. Jednostki wchodzą w skład tego królestwa, nietylko o ile są w naturze podobne, ale także o ile są indywidualnie, rozmaicie ze strony natury i łaski obdarzone; dla tego wedle Apo-

stoła jeden Duch, a różne dary, różne funkcye w tym ciele, przez Opatrzność zamierzone. Narody znów są jednostkami wyższego rzędu; są one tworem nie pomysłu ludzkiego, jak towarzystwa akcyjne, ale dziejowej ewolucyi ludzkości, która podobnie jak ewolucya natury jest dziełem Boga. Narodowość jest tą indywidualnością wyższego stopnia, tem piętnem duchowem, które historya wyciska na pewnym członie ludzkości, żyjącym wśród wspólnych warunków przez dłuższy czas. Jedność rasy, jedność języka, religii, jedność rządu i państwa własnego, to są czynniki pomocnicze, mogące mniej lub więcej przyspieszyć wyrobienie się narodowości; ale istotnym czynnikiem, który ją wytwarza, jest, jak powiedziałem, jedynie historya. Byt państwowy jest zwykle potrzebnym warunkiem, aby narodowość mogła się zawiązać, ale skoro się ta wytworzy, byt państwowy może zginąć, a narodowość bez niego żyje, jak widzimy, niby dusza bez ciała. Narody więc mają niewątpliwie swoje miejsca i swoje funkcye w królestwie bożem, według zamiarów Opatrzności. A choć nie zawsze możemy te funkcye określić, bo drogi Opatrzności są nam wogóle zakryte, jednak powinniśmy narodowości jako dzieło boże szanować, i wierzyć, że Bóg, który w przyrodzie nic nie zrobił napróżno (jak postępy nauk przyrodniczych coraz więcej stwierdzają), tem mniej w tej wyższej sferze rozwoju ludzkości nic bez celu nie uczynił.

Patryotyzm znów, czyli miłość własnego narodu jest w tej wyższej sferze tem, czem miłość siebie w jednostce: rzeczą dobrą, do królestwa bożego jak wszystko dobre należącą, ale łatwo się psującą. Jak miłość siebie wyradza się w egoizm, tj. miłość siebie ekskluzywną, dla drugich mającą tylko obojętność i pogardę, tak patryotyzm wyradza się łatwo w miłość swego narodu ekskluzywną, egoizm narodowy, gardzący obcymi i nienawidzący ich. Ten egoizm narodowy ma nieraz pozory szlachetne, dlatego, że nie jest osobisty, ale w gruncie jest on zawsze zdrożny i błędny, rodzi pychę narodową, która zaślepia i nawet docześnie narodowi szkodzi. W starożytności patryotyzm prawie zawsze z tem skażeniem występował; dlatego, jak mówił p. Leroy, waśnił narody. Chrystyanizm leczy to skażenie patryotyzmu, uczy,

że można szczególną miłością miłować swoich, im swe siły poświęcać, uznając w tem normalną Opatrzności drogę; a obok tego szanować i miłować inne narody. Uczy nawet, że dopiero wtedy dobrze i mądrze miłuje się swój naród, gdy go się miłuje łącznie z drugiemi, bo dobro jednego narodu nie zależy przecież na krzywdzie drugich, ale na odpowiedniem umieszczeniu i współdziałaniu z drugiemi do powszechnego celu ludzkości. Przypominam Pawłowe podobieństwo o członkach w jednem ciele.

Słowem, patryotyzm czysty wyróżnia ludzi, jak mówi p. Hainberg — ale ich nie oddala; chrystyanizm zaś ich jednoczy — ale organicznie.

MISS WILSON.

Pięknie to wszystko i z głęboką prawdą powiedziane, ale co to ma do Kościoła katolickiego i do Kościołów narodowych?

KSIĄDZ.

Otóż tem królestwem bożem na ziemi, o którego wszechobjętości mówiłem, jest Kościół katolicki. W nim różne narody się mieszczą organicznie, w jego łonie spełniają własne zadania cywilizacyjne, bo i to nie jest Kościołowi obce — i spełniają w nim własne zadania relijne, bo każdy naród przynosi właściwy sobie przyczynek do rozwoju nauk teologicznych, nabożeństwa, sztuki kościelnej. Dlatego i my katolicy mówimy: „Kościół hiszpański, Kościół francuski, niemiecki“, rozumiejąc przez to organiczną część katolickiego Kościoła, przez pewien naród z właściwemi jemu znamionami urzeczywistniony. I bez skrupułu też swój Kościół narodowy szczególnie kochamy, nie ujmując przez to miłości powszechnego Kościoła. Kościół powszechny również szanuje narodowości, języki, obyczaje, i nigdy takiej jedności form nie wprowadza, żeby duch narodu nie znalazł w nich pewnego wyrazu. Proszę wejść do katolickich świątyń w Anglii i we Włoszech, w Niemczech i w Hiszpanii — jeden obrządek, a inny koloryt duszy odbija się w nabożeństwie i we wszystkiem. Jak Miss zostanie katoliczką, to będzie miała prawo i w kościele

pozostać Angielką. — Czy to uwzględnienie typów narodowych ma się posuwać aż do różności języków liturgicznych i obrządków, to kwestya, o której można wiele *pro* i *contra* powiedzieć. W każdym razie nie jest ona zasadniczą w oczach Kościoła, i dziś taki jest stan rzeczy, że w łonie katolicyzmu niektóre narody mają swój ryt, inne go nie mają. To jedno jest zasadniczem, żeby owo wyróżnienie nie szło aż do rozerwania jedności mistycznego ciała Chrystusa na odrębne państwowe Kościoły; — a to już naprawdę nie jest wymaganiem narodowości jako takiej, jeno zachcianką płytkiej polityki ludzkiej. Chrystus Pan ma owce z różnych narodów, ale chce, aby była jedna owczarnia.

DON PARDOVAL.

Doskonale; na tak pojęte zharmonizowanie narodowości z Kościołem godzę się zupełnie.

MISS WILSON.

Więc ostatecznie... co mamy robić?

DON PARDOVAL.

Nawrócić się.

MISS WILSON.

Jakto, nawrócić się? czy nie jesteśmy chrześcijanami?

DON PARDOVAL.

Jesteście poza Kościołem Chrystusa.

HAINBERG.

To jest przecież zbyt bezwzględne powiedzenie.

MISS WILSON.

I zbyt bolesne!

KSIĄDZ.

Można trochę inaczej powiedzieć. Jesteście chrześcijanami połowicznie — i również połowicznie katolikami, gdyż macie coś

z katolickiego Kościoła, i o tyle do tegoż Kościoła należycie. Wam protestantom zostawił Bóg miłosierny Biblię, nie dla waszych teologów, którzy ją do stwierdzenia swych błędów nakręcają, ale dla tego mnóstwa dusz religijnych, które szczerze Boga szukają, a będąc pozbawione innych środków od Chrystusa danych, przynajmniej w tej Biblii znajdują umocnienie dla swej wiary i pokarm dla swego serca, okruszyny dusznego chleba. Wam znów odszczepieńcom wschodnim dał Bóg zachować wspaniałą liturgię, wyrażającą nieskażenie starą z przed schizmy wiarę, ażeby te miliony dusz prostych i pobożnych, które ogołocone są z wielu innych środków zbawienia, zaniedbane przez wasze strupieszałe duchowieństwo, brały z tej liturgii jakie takie pouczenie w wierze i podniesienie ducha. Ten, który powiedział: „Lituję się nad rzeszą", tak litościwie zrządził, iż jednym i drugim te niezakażone krynice zostały. I nie wątpię, że jego łaska przez nie do wielu serc przemawia, i sprawia, że wiele dusz, wykarmionych temi okruszynami, a nic nie wiedzących o całości Kościoła, duchowo do niego należy.

Jednakowoż obowiązek całkowitego należenia do katolickiego Kościoła, wyjścia z grona tych, co w przedsionku jego stoją i protestują, a wejścia w tę otwartą bramę — obowiązek ten cięży na was, panowie; nałożył go wam i wszystkim Chrystus. I w miarę jak ta wola Chrystusa zaczyna się wam przejawiać — biedz powinniście ku tej bramie. Inaczej, nawet duchowy związek z Chrystusem zrywacie!

SIEMIONOW.

Czy Ksiądz myśli, że to łatwo porzucić swój narodowy Kościół i przejść do obcego?

MISS WILSON.

Musi to być możliwem, skoro faktem jest, jakeśmy słyszeli, że zacni ludzie to z przekonania uczynili. Jednakże pozbyć się nie mogę pewnego, może niewytłumaczalnego wstrętu do takiego kroku.

KSIĄDZ.

Ani myślę przypuszczać, żeby ten krok był łatwym, i wstręt do niego rozumiem doskonale. Kiedy idzie o nawrócenie się bądź z niedowiarstwa do chrystyanizmu, bądź z innego wyznania na katolicyzm, mogą stawać na przeszkodzie rozmaite wewnętrzne stany. U ludzi powierzchownych, rozerwanie, zmysłowość nie dają nawet dojść do tego, żeby na seryo o Bogu i duszy pomyśleli; tem trudniej, żeby się na coś zdecydowali. U ludzi znów głębszych i myślących zdarza się często pewna pycha umysłowa, która im nie pozwala przypuścić, że byli dotąd w błędzie, a przynajmniej chce koniecznie prawdę bożą poddać własnej krytyce, jakeśmy to przed paru dniami obszerniej omawiali. Oba te stany duszy, pierwszych i drugich, są właściwie różnemi formami miłości własnej; ale oprócz tego, w duszach nawet podniosłych i osobiście nie pysznych, gnieździ się często miłość własna narodowa, którą przed chwilą starałem się określić — i ta, proszę mi wierzyć, bardzo często, ukrywając się pod szlachetnemi pozorami patryotyzmu, broni przystępu prawdzie, bo nie daje widzieć możliwych błędów własnego narodu. Wystawiam sobie, że Anglikowi ogromnie trudno być musi pomyśleć, że angielski Kościół jest w błędzie, albo Rosyaninowi, że Cerkiew nie jest prawym Kościołem — może jeszcze trudniej, niż zarozumiałemu człowiekowi przypuścić, że on sam jest w błędzie: bo miłość własna narodowa jest jeszcze drażliwsza od osobistej. Jednakowoż, gdyby własny naród był w błędzie — co jest przecież *a priori* możliwem — to nawet patryotyzm rozumny wymagałby, żeby człowiek na to oczy otworzył. A tem bardziej Bóg wymaga, żeby dusza wzniosła się ponad ciasnotę i uprzedzenia narodowego ekskluzywizmu, zerwała te krocie delikatnych korzonków nawyknień, uroczych wspomnień, któremi od lat dziecinnych do nacyonalnego kultu przyrosła — i szła prosto tam, gdzie On chce.

MISS WILSON.

Prosto... gdzie On chce!?

* * *

Po tych słowach nastąpiło dłuższe milczenie. Wstaliśmy od stołu, przeszliśmy na brzeg terasy panującej nad jeziorem. Noc była jeszcze piękniejszą niż dni poprzednich; Leman, jak tafla ze stali, odbijał miryady gwiazd, które iskrzyły się w górze; opary ledziuchne wlokły się tylko wzdłuż brzegów. Cisza i pokój natury nas oblewały. Wtedy wpadł mi w oko ów cypel, na którym pierwszego wieczora Deville wskazał nam człowieka wspinającego się przez mgłę do góry. Przypomniałem to reszcie towarzystwa i dodałem:

— Już mgła się znacznie rozrzedziła; niechże ten co idzie pod górę, jeszcze trochę się wysila, by się broń Boże nie zatrzymał w pół drogi.

Pożegnaliśmy się wszyscy serdecznem uściśnieniem ręki, mówiąc sobie, że nie zapomnimy tych wieczorów. Jeden Deville był chłodny i sztywny przy pożegnaniu; ale może ten chłód pokrywał wewnętrzne poruszenie.

Ks. M. Morawski.

DWIE PRZEDSTAWICIELKI DAWNYCH DYNASTYJ.

Zarys historyczny.

(Dokończenie).

Pierwsze, wrażenia wyniesione ze spotkania siostrzeńca i siostrzenicy w Piotrkowie, wskazywały ciotce, iż to świat inny owe sieroty z poza morza przybyłe. Wprawdzie „Janusia“ wesoła, śmiała, przypominała bardzo matkę i z rysów, i z energii, chociaż rysy nie dościgały świetnej piękności Katarzyny Jagiellonki, i nie miały wdzięku łagodnego polskiej dziewicy, ale Zygmunt blady, sztywny, zimny, rysów nieruchomych, milczący, najzupełniej obcym jej się wydał. Ciotka wszakże, jak wiemy, tem się nie zrażała. Tę jego sztywność tłumaczyła wpływem wrażeń więziennych, które były pierwszemi jego wrażeniami w dzieciństwie. Sądziła ona, iż pod promieniem słońca ziemi naszej, na gruncie starych, rodzinnych tradycyj, wszystko się zmieni, lody obcego obyczaju prysną, roztają...

Inni, którzy przypatrywali się dzieciom Katarzyny Jagiellonki ze Szwecyi przybyłym, tak pobłażliwie na nich nie patrzyli. Chłód, wiejący od młodocianej postaci Zygmunta, zrażał wielu. Kanclerz Zamoyski, przyzwyczajony do wpływu za rządów Batorego, do powagi swego słowa, spodziewający się uprzejmej wdzięczności za tak wiele dokonanych usług w sprawie osadzenia na tronie Zugmunta, zrażony zbyt zimnem przyjęciem, wyrzekł do Leśniowolskiego, który przywiózł młodego króla, te pamiętne wyrazy goryczy: „Jakieżeście nam nieme dyablę przywieźli“?...

Słowo żółcią zaprawne nie dobiegło w owej chwili uszu królewskich, ale na późniejsze dni i lata stało się dla króla źródłem wielu dotkliwych przykrości.

Tłum wszakże mniej był wrażliwym na te lub owe niewłaściwości młodziutkiego króla. Bo gdy Zygmunt, wjeżdżając do Krakowa, odpowiedzał na powitalną mowę bisk. kamienieckiego, Goślickiego, po polsku — a dźwięku własnego języka z ust królewskich od lat pietnastu, tj. od zgonu Zygmunta Augusta, nie słyszano — zapał tłumu wzmógł się niespodzianie. Przemówienie to młodziutkiego króla „taką radością lud cały przejęło — jak świadczy Heidenstein — iż zapomniano wszystkich w sprawie tej podejmowanych trudów".

Pomimo zapału tłumów, pomimo iż wielu starało się ułatwić Zygmuntowi pierwsze kroki na polu sprawowania rządów, trudności wielorakie mnożyły się, wzrastały. Szczególnie pierwsze dni, tygodnie znaczone były niedość iż trudnościami, ale niebezpieczeństwy wcale poważnemi. Młody król wahał się, czy ma stawić czoło trudnościom, czy też wracać do Szwecyi, zwłaszcza że i ojciec wzywał go wciąż, upominał i zachęcał do tego kroku. Wszystko to miało miejsce przed przybyciem do stolicy. Nawet Puffendorf — pisarz niekiedy stronny, nam nieprzychylny — twierdzi, iż Zygmunt projektował zrzec się korony na rzecz Ernesta, arcyksięcia rakuzkiego, pod pewnemi warunkami, wśród których była propozycya, by Ernest zaślubił siostrę królewską, Annę Wazównę.

Poraz pierwszy, ale nie poraz ostatni, występuje tu Anna na polu pewnych kombinacyj politycznych. I później, ilekroć prawdziwe, lub domniemane krążyły wieści o tajemnych rokowaniach Zygmunta III. z domem rakuzkim, ilekroć zapisywano obawy, czy też ślady rzeczywistych, tajemnicą osłoniętych frymarków, imię Anny spotyka się zawsze: obiecywać ją miano w zamężście wpomnianemu wyżej arcyksięciu Ernestowi.

Zbyt samodzielnymi zarysowują się przed okiem naszem charakter, usposobienie królewny, aby można było na seryo przypuszczać, iż wydadzą ją za kogoś bez jej woli, iż się stanie kombinacyj politycznych ofiarą. Kilkakrotnie szeroce mówiono

i pisano o wyżej wskazanych zamiarach królewskich, lecz na wysnutem pasmie przypuszczeń wszystko się skończyło.

Królewna Anna pierwsze lata pobytu w Polsce spędzała u ciotki, u królowej Anny. Dom brata, króla bezżennego, nie mógł być jej siedzibą, u starej zaś ciotki posiadała stosowne do swych potrzeb otoczenie, a nawet czas pożytecznie upływał, gdyż młodością, wdziękiem opromieniała dni sędziwej Jagiellonki. Ciotka, patrząc na ów promień młodości, którego wcieleniem bez zaprzeczenia mienić się mogła siostrzenica, zapominała o latach i troskach przebytych, o sieroctwie swem zupełnem a dawnem, o różnicy przekonań religijnych, co legły taką wielką przepaścią między światem jej ducha a dziedziną wierzeń, poglądów siostrzenicy. Patrzała na owe różnice stara ciotka, wdowieństwa wiekuistego szatą okryta, z boleścią, ze smutkiem nieopuszczającym ją już do mogiły, ale z pewną tolerancyą, którą z tradycyj rodu swego zaczerpnęła.

Wdowa po Batorym, lubo w siostrzanie swym nad miarę rozkochana, stale nie mieszka na Wawelu, szczególnie od czasu gdy Zygmunt pojął żonę i stara Jagiellonka straciła tem samem pierwsze miejsce podczas przyjęć i wystąpień uroczystych na zamku krakowskim. Drugie miejsce po młodziutkiej żonie Zygmuntowej, Annie rakuzkiej, wcale do smaku nie przypadało starej ciotce, zbyt pamiętającej i swe miejscowe, dynastyczne pochodzenie i obranie swe ongi na „króla“ i zajmowanie tronu kilkunastoletnie obok Batorego. Bierze ona, wraz z nieodstępną od niej siostrzenicą, Anną Wazówną, udział w uroczystościach wjazdu Anny rakuzkiej i jej zaślubin na Wawelu, ale wyraźnie stroni od murów, które ją niegdyś wykołysały.

Bawi więc z siostrzenicą coraz to częściej w Warszawie, przyzwyczajając jakby młodego siostrzana do miejscowości i do murów grodu, który przezeń na dostojeństwo stolicy państwa miał być wyniesiony; a że Warszawa zadaleko leżała i ani król tak często nie mógł ciotki odwiedzać, ani też ona, przekroczywszy siedemdziesiąty rok życia, niełacno odbywała dłuższe podróże, bawi niemniej często w Nowym-Mieście Korczynie i już nie rozstaje się ani na chwilę z ulubioną „Janusią“.

Lata i choroby, wynik trosk dawnych, życia sierocego, żałobą bardziej niż radością jaśniejącego, nie powstrzymują starej ciotki od częstych Krakowa odwiedzin, ale jeno na chwilę, by ujrzeć i uściskać umiłowanego siostrzana, by poczynić niezbędne rozporządzenia tam, gdzie jeszcze gospodarzy jej myśl, czuwa serce. Ogrody Łobzowa, ozdabianie i uposażanie kaplicy Zygmuntowskiej, gdzie ojciec i brat spoczęli, gdzie dla siebie spoczynek gotuje, troska o wykończenie pomnika dla męża — to cel główny zabiegów zgrzybiałej Jagiellonki w ostatnich życia latach. „Janusia“ wszędzie jej towarzyszy, lecz niewszystkie cele zabiegów ciotki mają dla niej wartość; owszem, nic jej z tych rzeczy nie obchodzi, oprócz ogrodu łobzowskiego. Zamiłowanie ogrodów jedyną jest nicią, łączącą starą ciotkę z młodziutką siostrzenicą; na tem polu rozumieją się one i zbiegają się ich myśli, upodobania. Lecz i zamiłowania te różne: ciotka przedewszystkiem szuka przyjemności i pożytku w pracy około ogrodów, siostrzenica pragnie znaleść naukę; bada rośliny, klasyfikuje, wytwarza dla siebie zajęcie, którem zapełni później dni życia samotnego, rzuconego na pastwę bezbrzeżnej tęsknicy.

Raz jednak Anna opuszczała na czas dłuższy starą ciotkę, a była to podróż Zygmunta od Szwecyi (1592 r.), w której i ona uczestniczyła.

Pierwsze lata rządów Zygmunta III., jeśli widziały na zamku wawelskim starą Jagiellonkę z nieodstępną „Janusią“, to zawsze w charakterze przemożnym przewodniczących pań zamku stołecznego. Ówczesna broszura niemiecka *(Königliche Heimführung in Polen des Freulein Anna... 1592),* opisująca wjazd do Krakowa Anny Rakuszanki, narzeczonej Zygmunta III., nie zaniedbała wspomnieć o tych paniach Wawelu. Tak się o nich wyrażano: „Stara królowa polska i siostra królewska wyjechały osobiście przed przybywającą arcyksiężniczkę, aż do miejsca, gdzie przywitanie jej w namiotach miało nastąpić“. Kilkakrotnie wspominana w rzeczonej relacyi Anna Jagiellonka nosi miano „starej królowej“, a Anna Wazówna, znać ani na krok ciotki nie odstępująca, figuruje pod imieniem „siostry królewskiej“.

Ożenienie Zygmunta nie wpłynęło wcale na losy jego sio-

stry. Przebywa ona i nadal pod opieką ciotki i w tych zameczkach, gdzie gości ta ostatnia; bratowa bowiem, acz cicha, łagodna, oddaje się ciągle obcym dla Anny Wazówny praktykom religijnym. Zresztą, wywiązał się pewnego rodzaju stosunek zbyt serdecznej sympatyi między siostrzenicą a ciotką, by mogły się one łatwo rozstać. Nie rozstają się przeto aż do owej chwili znaczenia niemałego w dziejach naszych dynastyj i ich dworów, gdy z wyżyn kazalnicy katedralnej, zamkowej zabrzmiał żałobny Skargi głos, na pogrzebie Jagiellonki: ...„Cnotami swemi zamknęłaś Jagiellońską krew“... Ród dawny wygasł — odpryski owego pnia starego starano się widzieć w rodzinie Wazów; były one niemi rzeczywiście z krwi, lecz nie z ducha. W Wazach naszych za wiele już się spotykało obcego pierwiastku.

Zamek na Wawelu już ich nie wabi, nie przywiązuje serdecznemi węzłami, zadaleko im tam do Szwecyi; nawet wspaniałość pałaców wawelskich nie uderza Zygmunta III, obojętny on na owe piękności, chociaż odnawia niejedno w starej siedzibie królów. Do dziś przechowujące się herby, „snopek“ Wazów, na bramie głównej zamku około katedry i w pojedynczych izbach, na wielu odrzwiach, na kominach w salach pałacu, przypominają, iż dawna Jagiellońska struktura odnawianą była przez pierwszego z naszych Wazów. Dodał on nawet dwie wieże na narożnikach północnej facyaty pałacu, ozdabiał pokoje marmurowemi kominami i odrzwiami [1]; pracę w tym kierunku panegiryści nie zaniedbali wychwalać rymami [2]. Cała działalność ta, obudzona skutkiem jednego z większych pożarów (1595 r.) sięga pierwszej doby rządów Zygmunta Wazy i nie jest dowodem, by on do siedziby Jagiellońskiej i tradycyj macierzystych dziadów przywiązywał się. Na początku XVII. w. dwór na dłuższy czas, wreszcie zupełnie, do Warszawy przenosi się, rzuca tem samem podwaliny wielkości tego miasta, nadaje mu dla przyszłości pewne dziejowe posłannictwo, dla Krakowa zaś zbliżają się dni doszczętnego upadku, który podczas drugiej szwedzkiej

[1] „Trzy epoki sztuki na zamku krak.“, Wł. Łuszczkiewicza. 1881.
[2] K. Miaskowski, „Zbiór rytmów“.

inkursyi doszedł do najdalszych kresów, iż można było rzec: „W płomieniach topnieją — Jak świece miasta... Pochodnia przedniejsza — Zamek krakowski, nad inne widniejsza“... [1]

Przeniesienie się Zygmunta do Warszawy usuwa zupełnie i Annę Wazównę z Krakowa; już odtąd jej nie spotykamy na Wawelu; gości na zamku warszawskim i wreszcie jeszcze bardziej oddala się od ognisk dawnego życia, osiadając nad Drwęcą, gdzie brat nadał jej parę starostw.

Zanim nastąpiło osiedlenie się zupełne w starostwach nad Drwęcą, zanim zgon starej ciotki uwolnił ją od opieki i skazał na życie samodzielne, losy osnuły dla Anny projekt zamążpójścia, który nawet w bardzo prędkim czasie miał się urzeczywistnić. Projekt ten godzien uwagi ze względu, iż zyskał aprobatę Anny i właśnie dlatego, iż ona chętnie nań się zgadzała, nader blizkim był urzeczywistnienia.

Oddawna, tradycyjnie niejako, królowie Rzplitej szukali związków małżeńskich dla córek swych i sióstr w margrabstwie brandenburskiem. Ubodzy, ale skrzętni i ambitni margrabiowie, wcześnie budujący plany przyszłości wielkiej dla swej ziemi wcale niezamożnej, garnęli się skwapliwie do stosunków i spokrewnienia z wielką dynastyą. Nie mówiąc o dawniejszych stosunkach powinowactwa, macierzysty dziadek Anny Wazówny, Zygmunt I., swą najstarszą córkę Jadwigę, zrodzoną ze znanej nam Barbary Zapolya, wydał za Joachima II., kurfirszta brandenburskiego. Zygmunt Waza, idąc za tradycyą rodzinną dawnej dynastyi, również w domu margrabiów brandenburskich szukał męża dla swej siostry, uprzednie bowiem projekta, tyczące się domu Habsburgów, rozwiały rożne okoliczności.

Margrabia brandenburski, Jan Jerzy, zapewniwszy się, iż propozycye jego odrzuconemi nie będą, oświadczył się o rękę królewskiej siostry. Przyjęto go i wprędce (w r. 1596) zaręczyny się odbyły królewny Anny z owym Janem Jerzym. Los, który nigdy nie skąpił Annie niespodzianek smutnych, i nie splatał

[1] Wiersz z czasów konfeder. Tarnogrodz., u Ambr. Grabowskiego. („Kraków i jego okolice“) str. 339.

dla niej zwojów pomyślności na pościelisko gniazda rodzinnego zarówno i tym razem twardym się stał. Oblubieniec najniespodzianiej sprzeniewierzył się danym przyrzeczeniom. Na dzień godów weselnych, zamiast oblubieńca, przybyła wiadomość, że margrabia brandenburski, Jan Jerzy, z inną się ożenił na jednym z burgów niemieckich...

Anna w ten sposób osiadła na koszu; odtąd żaden z projektów małżeńskich nie doszedł do urzeczywistnienia. Odtrącała je królewna, doznawszy już raz tak upokarzającego zawodu... Było owo przejście tembardziej stanowcze i bolesne, iż ta, co matkę jej zastępowała, Anna Jagiellonka, właśnie w owym czasie żyć przestała. Ciosy te moralne stanęły niby słupy graniczne na gościńcu życia siostry Zygmunta Wazy.

Dwudziesto-ośmioletnia królewna z dziewicy pełnej swobody ducha staje się naraz niewiastą poważną: sposób jej zachowania, upodobania zmieniają się, wesołość znika. Od ludzi ku przyrodzie zwraca się, ku cudom i tajemnicom natury, której głos nie brzmi w jej duszy bez echa...

Zgon starej ciotki był drugą stanowczą chwilą przełomu w życiu Anny Wazówny. Pobyt jej trzydziestoośmioletni w Polsce na dwa nierówne działy lat rozpada się; zgon Anny Jagiellonki, opuszczenie przez narzeczonego — to granica tych działów. Do dnia zgonu ciotki (1596) bytowanie jej mniej samodzielne; liczy się tego lat dziewięć zaledwie; z ciotką ciągle, pod skrzydłem tej, która była „przykładem życia królewskiego i chrześcijańskiego“ [1], stosuje się do upodobań swej przybranej matki, lecz i wówczas zaznacza wybitnie indywidualizm własny. Osamotniona śmiercią ciotki, najzupełniej się odosabnia od dworu królewskiego, coraz bardziej się zwraca ku swym wierzeniom, utrwala się w gorliwości dyssydenckiej, otacza się gronem swych współwyznawców, wytwarza dla siebie żywioły inne bytu i inne otoczenie, Przybrana ojczyzna jej nie zadowalnia, szuka otoczenia stosownego do swych upodobań, pojęć, tworzy dla siebie, na

[1]. Skarga, „Kazania“.

polskiej ziemi oazę, jeśli nie zupełnie szwedzką, protestancką przynajmniej, i tam, wśród miłych dla siebie botanicznych zajęć, spędza ostatnie parę dziesiątków lat życia.

Już za dni wczesnej młodości Anna uwydatnia swe upodobania przyrodnicze, zbiera rośliny, pielęgnuje krzewy i kwiaty, zwiedza pola i lasy, w celu wyszukiwania ciekawszych okazów do swego „zielnika", który pod dłonią jej skrzętną szybko się rozrasta, a z czasem tworzy zbiór bardzo poważny i ciekawy. Poza mury zamku królewskiego rozbiega się sława upodobań naukowych Anny; poeta więc, przypisując jej swe rymy, każe „dryadom, leśnym bogom i boginiom", składać hołd królewnie, miłośniczce puszcz i kwiatów, które w cieniu lasów rozwijają się. Pozdrowienie posyłane królewnie tak brzmiało:

Z gęstych lasów, gdzie Narew cicho z dawna bieży,
I od strumieniów, które biegną w Białobieży,
I z wysokich pagórków i skał zawiesistych...
Wszyscy leśni bogowie, boginie, dryady...
Pozdrowienie, królewno, tobie posyłają [1].

Pomimo pozdrowień „leśnych bogów i bogiń" nie osiadła Anna wśród puszcz; nie widzimy nawet śladu, by Litwę zwiedzała. Myśl jej, podobnie jak brata, zwraca się przeważnie ku okolicom ościennym Bałtykowi: stamtąd wiatr niesie jakieś powiewy, może atmosferę szwedzką przypominające; tam, w województwach pruskich, rozwielmożnia się protestantyzm, miły sercu Anny; u ujść Wisły grupują się szwedzcy wychodźcy, którzy wiernymi będąc Zygmuntowi i katolickiej wierze, opuszczają swą ojczyznę i na Dolnym Powiślu grób po latach tułactwa znajdują. O parę wieków później, wędrowiec, pod sklepieniem świątyń Gdańska, spotykał głazy kryjące ich groby [2]. Szwedzkie stosunki liczniej się tam niż gdzieindziej spotykały. Było to więc rzeczą naturalną, że Zygmunt nadając siostrze posiadłości, w których osiedlić się zamierzała, nadaje jej dwa starostwa —

[1] Jędrzej Zbylitowski, „Pisanie satyrów puszcz litewskich, do Anny królewny szwedzkiej, o łowach w Białobieżach". (Kraków, u Łazarza 1589).

[2] Jul. Niemcewicza, „Podróże historyczne" (1811—1828). Paryż 1858, str. 253.

Brodnicę i Golub — właśnie na pograniczu tego Dolnego Powiśla położone, u wejścia niejako do prowincyi, gdzie najwięcej znajdowała warunków uprzyjemniających jej życie [1].

Nadanie Brodnicy i Golubia miało miejsce w r. 1605, królewna przekroczyła już wówczas o wiele trzydziesty rok życia, za mąż wyjść nie spodziewała się, w starościńskich swych zameczkach pragnęła wśród ciszy i spokoju kończyć swe dni. Zawsze pełna energii, z jaką ją widziano przed laty, gdy młodziutką wjeżdżała do Polski, gdy stara Jagiellonka z miłością macierzyńską o niej pisała: „Królewna J. M. jako drab nie boi się nic“... obecnie ową energię skierowuje ku pracom w zakresie botaniki, czyni jakieś doświadczenia chemiczne, zapełnia niemi życie. Prace te czynią ją użyteczną sobie i innym. Zamiłowania naukowe królewny i jej stanowisko, ściśle protestanckie — czyniące z niej jakby głównego obrońcę protestantyzmu w Polsce — wywoływały zarówno skupianie się około jej dworu różnych postaci i całych gromad różnowierczych, jak i ludzi piszących. Ci ostatni, przeważnie różnowiercy, dedykowali jej swe prace. Wśród takich różnowierczych autorów, ofiarujących swe prace Annie, spotykamy Samuela Dambrowskiego, autora „Postilli chrześcijańskiej“ (1621), wyżej wspomnianego wierszopisa Jędrz. Zbylitowskiego (1589), do nich zaś przyplątał się i pisarz innego obozu, Jerzy Cerazyn, który jej przypisał polemiczną swą pracę, walczącą z protestantami, p. t. „Przyczyn kilkadziesiąt“ (1612 r.).

Nadane królewnie starostwa posiadały dwa zamki — Brodnicę i Golub; oba nad Drwęcą, odległe od siebie zaledwie o trzy mile. Zamieszkiwała ona w nich kolejno, częściej latem w Golubiu, zimą w Brodnicy. Zamek brodnicki był obronną, wspaniałą, prawdziwie królewską rezydencyą. Olbrzymie jego mury poza miastem, nad rzeką wzniesione, tworzyły jakby oddzielną twierdzę, na straży której wznosiła się wieża, na 175 stóp wyniosła; z jej szczytu oko strażnika objąć mogło z łatwością okolicę kilkumilową. W obronnych i obszernych murach,

[1] Starostwa niegrodowe Brodnickie i Golubskie leżały w ziemi Michałowskiej, w wojew. Chełmińskiem, nad Drwęcą, dziś w tak zwanych Prusach Zachodnich, w pow. brodnickim.

łączących się aż trzema zwodzonemi mostami z miastem i przyległemi przedmieściami, niewygodnie znać było mieszkać królewnie, buduje ona przeto wśród murów swej twierdzy obszerny dom mieszkalny, a dla nabożeństwa swych współwyznawców zabiera kościół parafialny katolicki.

W Golubiu zamkowe mury nie uderzają ani wspaniałością, ani też obronne były tak dalece jak w Brodnicy; sięgał jednak zamek golubski czasów krzyżackich, podobnie jak wszystkie zamki Dolnego Powiśla, tem samem więc odznaczał się mocą budowy i strukturą wcale różną od zwykłych naszych starościńskich zameczków. Wśród sal zamku spotykano wspaniałą kaplicę, również krzyżacką, pod wezwaniem św. Krzyża, której sklepienia gotyckie, wspaniałe, chór dla śpiewaków i piękne stalle wyróżniały ją od innych świątyń i niepospolicie ozdabiały rezydencyę królewny. Tuż przy zamku założyła ona bardzo obszerny, starannie utrzymany ogród, gdzie na każdym kroku spotykano ślady zamiłowania roślin i troskliwej dłoni pani zamku. Ościenne, obszerne lasy, przylegające do Brodnicy, w okolicy wsi Karbowa, niezbyt od Golubia odległe, a niemniej łąki, co legły dużemi szmatami nad Drwęcą i w okolicach Brodnicy, tak były rozległe, iż oddzielną nazwę nosiły — „Radne łąki“, dostarczały mnóstwo okazów do „zielnika“, który, jak wyżej nadmieniliśmy, Anna układała; po jej zaś zgonie dostał się zbiór ten szacowny roślin Radziwiłłom, do Nieświeża: dopiero znacznie późniejsze klęski, z końca XVIII w., rozproszyły pracę owej skrzętnej przedstawicielki starej, w zapomnienie idącej, dynastyi Jagiełłowej.

Ogrody i zamki Anny zaludniali często goście ze Szwecyi i wychodźcy szwedzcy. Było ich dosyć w one lata pod niebem religijnej tolerancyi dawnej Rzplitej. Prześladowania religijne, coraz bardziej wzmagające się w protestanckiej Szwecyi, szczególnie od r. 1600, a jednocześnie rozdwojenia polityczne, sprowadzały na nasze Pomorze gromady chroniących się Szwedów, nawet ze sfer najwyższych towarzyskich. Wśród tułaczy skandynawskich niektóre rodziny skoligaconemi się mieniły z Wazami, bo i ojciec Zygmunta powtórne związki małżeńskie zawierał, szukając żony wśród szlachty szwedzkiej i dziad jego

parę razy tożsamo czynił; namnożyło się przeto w Szwecyi bliższych i dalszych powinowatych dynastyi Wazów. Wszyscy ci powinowaci, wraz z orszakami innych exulantów szwedzkich, cisnęli się na pokoje zamków w Brodnicy i Golubiu, a za nimi ciągnął jeszcze dłuższy korowód rodzin polskich dyssydentów. Do Brodnicy znali i przedtem wybornie drogę polscy protestanci barw różnych, gdyż mąż nauki wybitnej, Erazm Gliczner, był pastorem tamecznej gminy ewangelickiej; w r. 1603 tam zmarł, ciesząc się wielką popularnością wśród różnych kół dysydenckich: za dni Anny dziedziniec zamku brodnickiego tembardziej trawą nie zarastał.

Pewien, dość dłuższy nawet czas, w murowanym dworcu, wzniesionym przez Annę wśród murów zamku brodnickiego, widziano miejsce zebrań różnowierców z najdalszych okolic kraju. Nietylko blizka Wielkopolska, ale wszystkie, bodaj dalekiemi borami, przestrzenią, bezdrożą oddzielone województwa, za pośrednictwem swych różnowierczych przedstawicieli, nawiedzały progi zamku brodnickiego królewny Anny, lub cieniste wirydarze w Golubiu. Że zadzierzgano tam nietylko nić solidarności różnowierczych rodzin, lecz splatano węzły szczerej sympatyi, co ich z królewną łączyła lata całe, rzecz to łatwo dająca się stwierdzić. Po zgonie królewny — i to nie wnet, w lat kilkanaście, gdy ją chowano — skupiły się u jej trumny liczne dysydenckie rody z różnych kończyn ziem Rzplitej, począwszy od wielkopolskich Unrugów, Szlichtingów i Leszczyńskich do owruckich Niemieryczów z ukraińskiego Polesia... Nic innego nad miłość i pamięć niewiasty umysłu statecznego i serca wielkiego ich tam nie wiodło... Oddawano hołd nie królewnie, lecz kobiecie: wylew to uczucia szczerego; nie schlebiano; dłoń bowiem, otaczająca ich opieką, opadła bezwładnie, a wzrok, co ich życzliwością darzył, zagasł już był wówczas na wieki.

Przy wielkim braku świadectw dziejowych, oświecających charakter, wskazujących wartość moralną Anny Wazówny, hołdy pośmiertne, oddawane postaci niezbyt popularnej wśród Rzplitej, hołdy po wielu latach po jej zgonie składane, mówią niemało,

mówią i uzupełniają niejeden niewyraźny rys, jakiemi postać tę szkicował naprędce rylec historyi.

Opiekowanie się różnowiercami i praca kolektorska w botaniki zakresie czyniły z Anny mecenasa gorliwego. Mecenasowanie pracom naukowym, złączonym ze sferą jej upodobań, wywołało jej nakład na dzieło Syreńskiego, czyli Syreniusza, i zapisało temsamem imię owej królewny na kartach dziejów rozwoju naszych usiłowań w dziedzinie botaniki. Usiłowania zrobienia czegoś na polu przyrodniczem niewielkie były wówczas, jednak krzątano się, i w tym kierunku prac — wedle wyrażenia się jednego z naszych pisarzy — „jak na dzieci, które najpóźniej zetknęły się z zachodnią cywilizacyą, położenie jeszcze nie najgorsze“ [1]. Literatura nasza botaniczna, która niżej nieco stała od francuskiej, włoskiej, holenderskiej, niemieckiej, szła zaś tuż za hiszpańską [2] błysnęła za dni Anny Wazówny Szymonem Syreńskim i Joannicym.

Botaniczne studya w XVII w. coraz trudniej zdobywały mecenasów; świat nasz ówczesny, podobnie jak gdzieindziej, zużywał siły na dysputy w sprawach różnowierczych; inne kierunki myśli odłogiem leżały. W czasach gaśnięcia plejady mecenasów, spotykamy się z usiłowaniami Anny wspierania poważniejszych prac. Gabryel Joannicy, medyk i profesor Akademii krakowskiej, botanik przytem, był jej lekarzem nadwornym czas pewien; on to zapewne zachęcił do wydania dzieła Szymona Syreńskiego, które, jego uczoną przedmową opatrzone, wyszło po śmierci autora w r. 1613 (Kraków, w druk. Bazylego Skalskiego). Praca Syreńskiego (Syreniuszem pospolicie zwanego) na tem większą zasługuje uwagę, iż, nie poprzestając na botanice, sięgnął do zoologii, i wogóle dał zarys wiadomości lekarskich. Wszystko to wyłożone po polsku uczyniło dzieło popularnem. Do XVIII. w., nawet dłużej nieco, w wielu zakątkach kraju posługiwały się babki i prababki nasze Syreniusza wskazówkami o ziołach i ich właściwściach. Dzieło to, nakładem Anny,

[1] Prof. J. Rostafiński, rozprawa o naszej literaturze botanicznej, w „Pam. Akademii Um.“, t. XIV. 1888. Kraków.

[2] L. c.

troskliwością Joannicego wydane, wieki całe dla niewiast naszych akademią było, skąd czerpały wiedzę lekarską dla maluczkich, ubożuchnych niesioną. Wiele błogosławieństw księga Syreniusza wywołała. Cząstka ich spłynęła zapewne na grobowiec Anny, która, drukiem uwieczniając tę pracę, przyczyniła się do jej upowszechnienia.

We trzy lata po Syreniuszu drukował Joannicy swój katalog roślin, ofiarując go również Annie; widocznie i tu jej grosz i zapobiegliwa myśl o pożytku publicznym złożyły swą daninę.

W pewnej mierze sukcesyjną była w Annie miłość ogrodów i krzewów. Dziecinne lata królewny upływały w cieniu parku, założonego pod Sztokholmem przez ojca dla jej matki, Katarzyny Jagiellonki. Nosił ów park z ogrodem i pałacem miano Drottningholm'u, „Wyspy królowej“, Tam po raz pierwszy zapoznała się z roślinami; lecz przy ciotce dopiero, w Polsce, zamiłowanie krzewów, ziół i ich właściwości rozwijać się w niej zaczęło. „Czasy, które wiele mogą“ — jak mawiała stara Anna Jagiellonka — pod tym tylko względem polską swojskość w Annie Wazównie zaszczepiają. Podobnie jak niewiasty ziemi naszej, z biegiem czasu oddaje się coraz bardziej ogrodom, a wedle pojęć ówczesnych chce z nich mieć pożytek realny, leczniczy. Ówczesne gospodarstwo niewieście, opisane w drugiej połowie XVI. w., przez Gostomskiego, wskazuje tożsamo: mniej na ozdobę zwracano uwagę, bardziej na stronę praktyczną, aby pomnożyć środki lecznicze, domowe. Pisano przeto w one wieki: „...ogródek pięknie zasiać zioły ozdobnie pachnącemi, nasadzić róży do wódki, jakoteż dla wieńców, dalej: dzięgielu, biedrzeńcu, kadzidła, macierzanki, ślazu, kopytniku, bukwicu, rumnu“... Uprawa w tym właśnie praktycznym kierunku głównie przez Annę była prowadzoną. Posunęła się ona dalej; nie poprzestając na leczniczych właściwościach, uprawianych przez siebie roślin, sama wytwarza jakąś wodę zdrowia, pewien rodzaj *panaceum vitae*, lekarstwo uniwersalne na wszystkie choroby. Oddaje się wreszcie chemii, szukając i w niej środków leczniczych i odkrywając coraz szersze regiony myśli dla swego rzutkiego umysłu... Katalog roślin Schneebergera, prace Siennika obcemi jej nie były, bo obco-

wanie z księgami rzeczywistą jej ducha tworzyło potrzebę. Po jej ciotce Zofii, brunszwickiej księżnej, pozostały „Satyra“ Kochanowskiego i innych polskich ksiąg karty dotąd „nierozcięte“. Takiemi je oglądał i pierwszy rozciął, w połowie naszego stulecia, Aleks. Przeździecki, Wolfenbüttel, rezydencyę Zofii, zwiedzając [1]. Wśród spuścizny po Annie Wazównie odkrycia tego rodzaju zrobić nie możnaby było. W Brodnicy i Golubiu książki z pewnością miano zwyczaj rozcinać.

Dla rozrywki odwiedzała niekiedy Anna brata w Warszawie i on ją odwiedzał w Golubiu. Czasy poswarków różnowierczych nie przynosiły nawet w zaciszu domowem spokoju. Burdy młodzieniaszków, uczącej się młodzieży, kończące się nieraz krwawą katastrofą, gdy przychodziło do zetknięcia się ludzi różnych przekonań religijnych, niekiedy zbyt dotkliwie uczuć się dawały; stąd też niekażda podróż Anny do poblizkiej Warszawy przynosiła chwilę rozrywki; owszem, wywoływała czasem nowe troski.

O jednej z takich trosk mówi nam źródło bardzo poważne własny list Anny, pisany z Warszawy (20 stycznia 1621 r.) do rajców krakowskich. Dowiadujemy się z listu królewny, iż wówczas, gdy bawiła chwilowo w Warszawie, spokój jej zakłócono zawiadomieniem o jakiemciś „swawoleństwie studentów“, którzy bójkę wszczęli w Krakowie z jej sługami; jeden z nich, z nazwiska nam nieznany, zginął w tej poswarce krwawej, drugi zaś „haftarz“ królewny, nazwiskiem „Godfred“, ocalając zagrożone życie własne, walczył; był ujęty, sądzony, i królewna musiała się o niego starać, by go od kary gardłowej uwolnić. Anna, podpisująca się na liście „królewna sweczka“, a tytułująca się nietylko królewną „szwedzką, gotską, wandalską“, lecz używająca przytem miana „W. Księstwa Finlandzkiego dziedziczka“, tłumaczyła panom rajcom, że sługa niewinny, „bo on sam przed studentami uchodził do domu“, i wzywała, by nic nie poczynano bez „prawdziwej inkwizycyi“...[2] Tego rodzaju zajścia były niejako na po-

[1] „Jagiellonki Polskie“ A. Przeździeckiego, t. IV, str. 220, przyp.
[2] Patrz „Ojczyste Spominki“ Amb. Grabowskiego, t. I, str 88.

rządku dziennym w owej chwili. Tam gdzie nie rozwiązywały kwestyi spory ludzi światła i świadomych dróg, któremi się dochodzi do jednoczenia sprzeczności, tam pięść roznamiętnionego tłumu sięgała po tryumf i ostatnie słowo w dysputach i waśniach religijnych. Echo walk ulicznych, poswarków krwawych, zawiści tajonych, a niekiedy niby wulkan gwałtownie wybuchających, wciąż obijało się o mury Brodnicy, o cieniste aleje zamku w Golubiu, zakłócając spokój szybko starzejącej sie królewny. Namiętności stronnicze, bez względu na jakiem tle rozwijają się, niszczą niby gwałtowna pożoga najsilniejsze organizmy...

Odwiedziny Zygmunta przynosiły Annie promienne dnie wewnętrznej zgody z sobą. Miłość brata koiła jej bole i niepokoje, tkwiące w ducha głębinach. Ów brat i siostra, acz tak różni co do swych przekonań religijnych, gorąco wyznawanych, kochali się niezmiernie. Rodzinne przywiązanie najwięcej może w nich przypominało krew Jagiellonów, ono też było dla królewny, nie znającej w życiu innych uczuć rodzinnych, większem stokroć *panaceum vitae* niż jej „woda lecznicza". Ono ją leczyło, pokrzepiało, i przywiązywało do życia, którego barwy od dawna dla niej zbladły.

Ostatnie odwiedziny Zygmunta miały miejsce w lecie 1623 r. Król wówczas dążył z rodziną do Gdańska. Królewna przyjmowała brata w Golubiu. Zamek przepełniony był tłumnym dworem, król bowiem prowadził orszak olbrzymi; towarzyszyli mu: żona Konstancya, królewicz Władysław, królewna Anna Katarzyna i niemała ciżba dworzan; wszystko to zaś przybyło w czterdziestu pięciu poszóstnych karetach, dwudziestu dziewięciu węgierskich, otwartych pojazdach, nie licząc cugów prywatnych, rycerstwa konnego, czeladzi zbrojnej i niezbrojnej. Dni pobytu Zygmunta w Golubiu szybko minęły...

W kilkanaście miesięcy po odwiedzinach brata Anna zgasła...

Życie jej, w swej drugiej szczególnie połowie, mgłą smutku coraz gęstszą zachodziło; równowaga ducha, przy schyłku dni zachwiana, niczem zażegnaną być nie mogła. Teorye przez nią wyznawane, przez życie całe ulubione, nie przynosiły ukojenia

powątpiewań, nie usuwały smutków, na pastwę których rzuciły ją losy.

Duch samotnej niewiasty u kresu swych dni często cofał się w przeszłość i tam stawały wyraziście obrazy dni jej młodocianych, dni gaśnięcia jej matki biednej, zbolałej... Matka biedna widziała w Annie, od najwcześniejszych dni jej dzieciństwa, duch buntowniczy, nie ulegający wpływom macierzystym, wpływom przemożnym religijnym, napomnieniom drżącej o nią matki.

Ciągle rozwijający się opór dzieweczki wywołał wreszcie tak niezmierne rozżalenie nieszczęsnej, konającej matki, iż słyszała Anna z jej ust zamiast błogosławieństw, goryczy wyrazy, zwrócone do swego spowiednika, Warszewickiego... Wśród reminiscencyj przeszłości i te wyrazy goryczy, po czterdziestu dwóch latach, ożyły w jej pamięci... „Radośnie opuszczam świat, ufna w boskie miłosierdzie — mówiła Katarzyna Jagiellonka do Warszewickiego w chwili zgonu — lecz jedno mnie boli... i nie wiem, co jest dla niej pożądańszem — dodawała, wskazując na pietnastoletnią wówczas Annę — czy, żeby zmarła w kwiecie wieku, czy, żeby ją nieszczęśliwa matka wyprzedziła do grobu?... Wiesz dobrze, czego się obawiam... O bodajby jej nigdy nie było nosiło me łono!... Oby nie była nigdy się urodziła, albo wraz ze mną zeszła do grobu"... [1]

Dziwnie bolesny obraz matki tak wyrzekającej stawał przed okiem ducha Anny, gdy przypominała chwile jej konania... Lecz tuż za tym obrazem inny jej się nasuwał. Ojciec na razie niepocieszony po stracie żony, co z nim dzieliła dobrą i złą dolę, w siedemnaście miesięcy po pogrzebie Katarzyny Jagiellonki, niewiasty wyższego umysłu, poślubił dnia 21 lutego 1585 r. młodziutką szwedzką dzieweczkę, Gunilę Bielke'ównę.

Gunila Bielke liczyła lat siedemnaście i miała już narzeczonego, w chwili gdy król szwedzki zgłosił się o jej rękę. Podobnie więc jak dwie żony Gustawa Wazy — również bardzo młode, również innym przyrzeczone — opuszcza ukochanego

[1] Theiner, t. II, str. 15 (ze sprawozdania Warszewickiego).

z lekką myślą, by zająć na tronie szwedzkim miejsce opróżnione po Katarzynie Jagiellonce. Anna zdobyła w swej rówieśnicy macochę.

Gunila była protestantką nader gorliwą. Ci, którym zależało na zdobyciu narzędzia ucisku starej wiary a tryumfu nowych wierzeń, we wpływie młodej ale stanowczej Gunili, na mało stateczny umysł Jana Wazy, znaleźli to narzędzie. Wdzięk i kaprys Gunili zaczęły u dworu tyleż, a później więcej ważyć niż ongi oddziaływał poważny umysł, hart ducha i wiara głęboka Katarzyny... Wówczas to w dziecinnym umyśle Anny Wazówny zatarły się wrażenia ostatnich chwil matki, zagasł odblask jej napomnień, słów przedśmiertnych, pełnych grozy. Anna od chwili ukazania się na zamku sztokholmskim pięknej Gunili z lekkiem sercem stała się już na życie całe wyznawczynią niezłomną nowinek protestanckich... Echo słów umierającej matki w jej duszy zamilkło...

Po wielu dopiero latach, gdy sił do życia dalszego Annie zabrakło, gdy młodsza niż niegdyś jej matka, bo w 57 roku dość napozór pomyślnego życia, gasła powoli — nabierały znów barw, stawały przed jej okiem wyżej wskazane, oddawna zbladłe obrazy... ujrzała, ale już niestety zapóźno, iż kierunek dróg życia wytknięty samowolnie, sprzecznie z wolą i błogosławieństwem matki, nie przyniósł jej dni spokoju, ani tajemnych, cichych radości, któreby dawały moc patrzenia pogodnie w otchłań grobu...

Anna smutnie gasła i samotnie życie skończyła na zamku w Brodnicy, d. 6 lutego 1625 r. Zgaśnięcie niespodzianem znać było, brat bowiem nie stanął u łoża umierającej. Zygmunt w Warszawie otrzymał wieść żałobną o zgonie Anny, a tak boleśnie ciosem tym był dotknięty, iż dni kilka ze swego pokoju nie wychodził, nikogo widzieć nie chciał i dwór swój cały odział w żałobę...

Anna Wazówna reprezentowała ostatnią starej, Jagiellońskiej dynastyi latorośl; słuszną więc było rzeczą, aby jej zwłoki spoczęły w grobach królewskich na Wawelu. Stanęły jednak przeważne skrupuły na przeszkodzie, gdyż była protestantką...

Zygmunt, nieutulony w żalu po jedynej a ukochanej siostrze, odwołał się do Rzymu, prosząc o pozwolenie wprowadzenia jej zwłok do podziemi wawelskiej świątyni. Płynęły miesiące, wreszcie lata, dyspensa upragniona nie przychodziła, a ciało Anny niepogrzebane spoczywało w ustronnej Brodnicy. Zygmunt III. czekał niecierpliwie owej dyspensy, nie doczekał się i umarł. Czekał Władysław IV., a nie mogąc się doczekać, polecił zwłoki Anny przewieść do pobliskiego, o trzy tylko mile odległego Torunia, i tam, jako w większem mieście, i ówczesnem ognisku protestantyzmu pogrzebać.

Zwłoki Anny Wazówny w więcej niż jedenaście lat po zgonie doczekały się pogrzebu; cały zaś kilkunastoletni przeciąg czasu spoczywały w umyślnie ku celowi temu zbudowanem domostwie w Brodnicy.

Pogrzeb Anny Wazówny, tak bardzo spóźniony, nie wywołał w Rzplitej wrażenia ogólnego. Koła różnowiercze najrozmaitszych odcieni zbiegły się około trumny tej pani, by oddać hołd swej współwyznawczyni i własne różnowiercze pojęcia uroczyście ujawnić. Nieliczne jednostki, ceniące w niej naukę, hojność, cnotę, stając u jej trumny zapomnianej, składały świadectwo osobistym przymiotom... lecz nikt nie widział w jej zgonie zgaśnięcia jednej z ostatnich latorośli, chociaż po kądzieli, starego rodu Jagiełłowego.

Poszła jej pamięć w zapomnienie. Jakże daleko stanęła pamięć o niej od tych czasów, gdy cała Piastowska dziedzina zwracała się ku zamorskiemu więzieniu jej matki, gdy z utęsknieniem stamtąd wyczekiwano weselszej „ponowy“, przedniejszy zaś wieszcz owej epoki prorokował matce — którą „Panną świętą“ nazywa — zamianę więzów na koronę szwedzką: „zdarzy tenże Bóg, że tego stolicę — Osiędziesz, u któregoś dziś za niewolnicę“ [1]. Wielki poeta wyrazem tu troski i miłości ogółu... Pamięć o Annie była już inną; była pamięcią nie narodu, ale stronnictwa, pa-

[1] Jan Kochanowski, „Pamiątka wszystkiemi cnotami hojnie obdarzonemu Janowi Baptyście hrabi na Tenczynie“.

mięcią jednostek i fakcyj różnowierczych, nie zapuściła przeto głębiej korzeni w glebę swojską; upadły obozy różnowiercze, z niemi i pamięć wygasła. A zresztą wszędzie nieswojsko jej było: od Szwecyi odbiła łódź jej życia, na polskiem wybrzeżu nie znalazła ostoi; liść lipy naszej odmówił jej cienia...

Poraz ostatni zabrzmiała wieść o Annie podczas uroczystości spóźnionego pogrzebu. U cudzoziemskich jedynie pisarzy pozostał ślad wspomnień o owych uroczystościach, bo tam wiele było z obcego obyczaju, z cudzoziemskich pojęć: cudzoziemcy wytworzyli o Annie ostatnie echo; dajemy tym razem pierwszeństwo ich relacyom [1].

Spóźniony o lat przeszło jedenaście pogrzeb Anny odbył się z polecenia Władysława IV. d. 16 lipca 1636 r.

Król na uroczystości pogrzebowe nie przybył; bawił wówczas za granicą, reprezentowali go umyślnie delegowani posłowie: Krzysztof Radziwiłł, wojew. wileński, Andrzej Rey, star. libiszowski i Zygmunt Gyldenstierna (czyli Guldensztern), starosta sztumski; ten ostatni był nawet powinowatym Wazów. Przewodniczyli oni licznemu gronu różnego miana dysydentów z bliższych, dalszych i najdalszych województw.

Uroczystości nadano znamię mniej żałobne niż pospolicie bywa na pogrzebach. Wśród barw przeważała biała, uwydatniała się zaś zielona, przypominając, iż zmarła pędziła życie w dziewictwie. Białemi oponami przykryty był karawan, białe konie go wiozły; biała, srebrna lama na trumnie leżała; w białych szatach szli mieszczanie brodniccy przed trumną; w białych sukniach zielonych wieńcach otaczało trumnę dwadzieścia cztery panien i tyluż młodzieńców kroczyło za niemi z przedniejszych dysydenckich rodzin; białe zasłony zdobiły katafalk w kościele toruńskim i takiemiż białemi opony okryto chór i ambonę. Muzyka wyborna, herby szwedzkie, korona i wieniec na trumnie — oto przedniejsze akcesorya pogrzebu. Muzyka wyborna, o nucie smutnej, i kazanie polskie pastora, Pawła Orlicza — złożyły się na

[1] Friese, *Reformations Geschichte*, t. III, str. 155.

część obrzędową uroczystości. O żadnych modłach relacye nie mówią.

Po złożeniu zwłok w podziemiach bocznej kaplicy kościoła P. Maryi, w Toruniu zamknął uroczystość poseł królewski, Radziwiłł, dziękując zebranym licznie ze wszystkich dzielnic kraju, iż pospieszyli na oddanie ostatniej przysługi, iż otaczali zmarłą uczuciem szczerej miłości. Staropolska stypa w izbach toruńskiego ratusza, gdzie gospodarzył Zygm. Gyldenstierna, powinowaty królewski, Szwed z polskim niedawnym indygenatem, zgromadziła liczny zastęp rodów różnowierczych. Czytając ich spis liczny w źródłach cudzoziemskich, widzimy, że w owym dniu nie brakowało w Toruniu nikogo z tych, co w owej epoce na kartach naszego różnowierczego ruchu zapisali swe nazwiska [1]. Było nawet książątko niemieckie, Anhalt, byli dwaj Piastowie z Lignicy i Brzegu, książęta Jan i Krzysztof, mocno zniemczone odpryski starej dynastyi, która po latach niewielu, w tymże samem XVII. stuleciu miała z imienia wygasnąć, bo z ducha oddawna już dla nas zamarła.

Przesunęły się przed okiem naszem dwie postacie o różnych obliczach, charakterach, uzdolnieniach, postacie oddzielone od siebie przestrzenią całego prawie stulecia, lecz zbliżone poniekąd podobieństwem losów; każda z nich u wejścia na życia gościniec otoczoną była aureolą świetnych nadziei, a łuna wielkiej pogody myśli biła z ich czoła. Życie skwapliwie odarło je ze świetlanych blasków szczęścia i spokoju — obie smutne, z goryczą i rozczarowaniem w duszy zstępują do mogiły. Obie reprezentowały dwie stare dynastye, reprezentowały wszakże nie z jednakim sukcesem: pierwsza zamało czasu posiadała, by zadaniu sprostać, acz głos tradycyj prastarych obcym jej nie był; druga obcą się stała, a poczęści chciała obcą pozostać tradycyi starego pnia, z którego wystrzelała młodą, bujną latoroślą... Los wiele ujął z pamięci o nich: Barbara Zapolya nie miała i niema ani pom-

[1] Loc. cit

nika, ani bodaj kamienia z napisem; Anna Wazówna posiada wprawdzie na swym grobie sarkofag, na którym widzimy do dziś z marmuru białego wykutą jej postać, spoczywającą na czarnej trumnie marmurowej, lecz mogiła jej odbiegła od mogilnika zarówno ojczystych, jak macierzystych dziadów — legła jakby od jednych i drugich odtrącona, legła na rozdrożu, jakiem zarysowuje się życie jej całe...

Maryan Dubiecki.

WIELKI POETA CHRZEŚCIJAŃSKI

z IV. wieku.

V.

Hymn drugi, z napisem *matutinus*[1], czyli „poranny", słusznie nazwać można hymnem „o wschodzie słońca": Rzymianie bowiem określiwszy przez *gallicinium* cały czas od północy aż do świtu, zwali „porankiem" tę chwilę, gdy pierwszy brzask dnia malując się na nieboskłonie zapowiada nadchodzący wschód słońca. O tym czasie pracowici ludzie zwykli byli wstawać do swych zajęć; chrześcijanin tedy, dbały o najważniejszą sprawę swojego zbawienia, powinien tak samo równo ze świtem znaleść się przy duchowej swej pracy...

Przedewszystkiem chodzi tu poecie o poranną modlitwę. Do niej i wzywa ten hymn i sam jest taką modlitwą w myśl św. Cypryana *(De orat. dom. c. 35)*, który dokładnie rozróżnia modlitwę nocną od porannej. Odpowiada ona obecnej *Prymie* z modlitw kościelnych, co bynajmniej nie sprzeciwia się temu, że Kościół używa hymnu Prudencyusza na *Laudes:* gdyż jak to Kassyan opisuje — dopiero za jego czasów około r. 390 w betleemskim klasztorze wtrącono *Prymę* między *Laudes* a *Tercyę*.

[1] Metr tego hymnu jest ten sam, jak i hymnu poprzedniego tj. *dimeter ambicus.*

Prudencyusz rozpoczyna hymn apostrofą, w której wszystkie duchowe ciemności przyrównując do ciemności nocy, każe im uciekać przed nadchodzącem słońcem — Chrystusem. Obok mistrzowstwa w treściwem zestawieniu tylu obrazów czuć tu zarazem jakoby aluzyę do owej przypowieści Boskiego Zbawiciela „o pannach mądrych i głupich“, gdzie podobnie w nocy rozlega się wołanie: „Oblubieniec idzie!“

Nox et tenebrae et nubila	Cienie nocy i mgławice,
Confusa mundi et turbida —	Mroki ciemne, zawieruchy,
Lux intrat, albescit polus,	Słońce wschodzi, dzień się rodzi,
Christus venit — discedite! [1]	Chrystus idzie — uciekajcie!

Wielki znawca literatury łacińskiej, Gaston Boissier zachwyca się stylem Prudencyusza w następnej zaraz zwrotce i powiada, że takiego języka i takiego kolorytu nie powstydziłby się żaden pisarz z najlepszej epoki:

Caligo terrae scinditur	Przed promieniem słońca znika
Percussa solis spiculo:	Mgła, co ziemię otaczała;
Rebusque jam color redit	Słonecznego blask oblicza
Vultu nitentis sideris [2].	Wraca światu tęcz kolory.

Używając porównań z codziennego życia — w czem za Horacym idzie [3] — każe się sercu chrześcijanina i swemu własnemu zrywać do Boga i do modlitwy bodaj na wzór ludzi oddanych całą duszą sprawom doczesnym:

Haec hora cunctis utilis,	Wszystkim pora to dogodna,
Qua quisque, quod studet gerat:	Gdzie kto służy, niechaj bieży:
Miles, togatus, navita,	Żołnierz, mąż publiczny, żeglarz,
Opifex, arator, institor.	Rolnik, handlarz i rzemieślnik.
Illum forensis gloria,	Tego spraw publicznych rozgłos,
Hunc triste raptat classicum:	Tego nęci wojny groza,
Mercator hinc ac rusticus	Ówdzie kupiec lub ziemianin,
Avara suspirant lucra.	Do ponętnych wzdycha zysków.
At nos lucelli ac fenoris	Nas nie trapi chciwość marna,
Fandique prorsus nescii,	Mowcy sława, lichwy zyski,
Nec arte fortes bellica,	Kunszt wojenny dla nas obcy:
Te, Christe, solum novimus.	Ciebie tylko znamy, Chryste!

[1] Wiersz 1—4.
[2] Wiersz 5—8.
[3] *Satyrarum*, lib. I, sat. 1.

Te mente pura et simplici,
Te voce, Te cantu pio
Rogare curvato genu,
Flendo et canendo discimus.
His nos lucramur quaestibus,
Hac arte tantum vivimus:
Haec inchoamus munera,
Cum sol resurgens emicat [1].

Ciebie czystą, prostą myślą,
Ciebie głosem, pieśnią zbożną
I na klęczkach błagać, Chryste,
Wzdychać k'Tobie — to cel życia!
Z takiej lichwy nasze zyski,
Z takich kunsztów nasza sława,
Takie zaczynamy dzieło,
Kiedy Boże słonko wstaje.

Przy tem świetle widząc całą swą nędzę, błędy, słabości i pozory tylko cnót, rzewnie prosi:

Intende nostris sensibus
Vitamque totam dispice!
Sunt multa fucis illita,
Quae luce purgentur tua.
Durare nos tales iube,
Quales remotis sordibus
Nitere pridem iusseras
Jordane tinctos flumine.
Quodcunque nox mundi dehinc
Infecit atris nubibus,
Tu, rex Eoi sideris
Vultu sereno illumina.
Tu, Sancte, qui tetram picem
Candore tingis lacteo,
Ebenoque crystallum facis:
Delicta terge livida [3].

Spojrzyj na nas, miły Panie,
Rozpatrz życia długie pasmo!
Wiele ciemnych plam naliczysz,
Którym trzeba twego światła.
Spraw, abyśmy zawsze trwali
W owej świętej łaski stanie,
Którąś dusze nam ozdobił
Zmywszy winy we chrztu zdroju.
Czem się dotąd w świata brudach,
Czysta dusza zakaziła,
Betleemskiej gwiazdy króla,
Oczyść łaski twej promieniem.
O, Ty święty, co i smole [2]
Białość możesz nadać mleka,
Heban zmienisz w kryształ jasny:
Zgładźże nasze grzechy sprosne!

Wspomniawszy walkę Jakóba z aniołem właśnie na świtaniu, błaga o takie samo błogosławieństwo na pracę i na walki dnia, którym się przypatruje, jakby na arenie, nieomylny Bóg-Sędzia.

Sic tota decurrat dies,
Ne lingua mendax, ne manus
Oculive peccent lubrici,
Ne noxa corpus inquinet.
Speculator adstat desuper,
Qui nos diebus omnibus
Actusque nostros prospicit
A luce prima in vesperum [4].

Tak niech spłynie dzionek cały:
Prawda w uściech, prawda w czynie,
Oko niech się grzechu chroni,
Ciało niechaj czyste będzie.
Z niebieskiego bowiem tronu
Patrzy na nas Bóg bez przerwy,
Śledząc wszystkie nasze czyny
Od poranka aż do zmroku.

* * *

[1] Wiersz 37—56.

[2] Tutaj pozwalam sobie odstąpić nieco od przekładu ks. Kanteckiego, by wierniej zbliżyć się do myśli poety.

[3] Wiersz 57—72.

[4] Wiersz 101—108.

Hymn trzeci, tj. „przed posiłkiem“, jeden z najdłuższych [1], jest ciekawem, choć w zarysie naszkicowanem, malowidłem ówczesnych uczt rzymskich i potwierdzeniem barwnych opisów z *Quo vadis*. Za to w przeciwieństwie do tej zmysłowości pogańskiej, kreśli Prudencyusz ze szczerem upodobaniem skromność posiłku chrześcijanina. Nie wieńczy on się różami i nie rozlewa wokoło woniejących olejków; nie śpiewają mu przy stole chóry śpiewaków i flecistek, ani popisują się siłą swą i zręcznością atleci, by w ten sposób wszystkie zmysły razem napawać rozkoszą. Ale za to wdzięczniejsza nad róż wieńce, nad słodkie śpiewy, nad cytr dźwięki i nad woń fijołków — łaska i hojne błogosławieństwo Boga kraszą, osładzają i wonią napawają niebieską skromne potrawy chrześcijanina. A prócz tego i namacalny odnajdujem dowód, jak gorąco chrześcijanie pierwszych wieków modlili się przed posiłkiem i po posiłku.

Te sine dulce nihil, Domine
Nec iuvat ore quid appetere,
Pocula ni prius atque cibos
Christe, tuus favor imbuerit,
Omnia sanctificante fide.

Fercula nostra Deum sapiant
Christus et influat in pateras:
Seria, ludicra, verba, iocos,
Denique quod sumus aut agimus,
Trina superna regat Pietas.

Hic mihi nulla rosae spolia,
Nullus aromate fragrat odor:
Sed liquor influit ambrosius
Nectareamque fidem redolet
Fusus ab usque Patris gremio.

Sperne Camoena leves hederas,
Cingere tempora queis solita es
Sertaque mystica dactylico
Texere docta liga strophio
Laude Dei redimita comas [2].

[1] Metr *trimeter dact. hypercatalecticus.*

[2] Wiersz 11—30.

Bez Ciebie niema słodyczy, o Panie!
Bez Ciebie usta nie pragną niczego,
Za nic pokarmy i za nic napoje,
Gdy ich wprzód łaska nie przeniknie Twoja,
Jeśli ich wprzódy nie uświęci wiara.
Wśród uczty naszej głośmy chwałę Pana
I cześć Chrystusa niechaj spływa w czary,
Poważne słowa, żarty i zabawy,
Nasze rozmowy i uczynki nasze,
Niech Trójca święta błogosławi z nieba.
Na naszych stołach nie masz róży kwiatów,
Ani olejków woń się nie rozchodzi,
Ale aż z łona Niebieskiego Ojca

Pobudzając się do wielkiej wdzięczności Bogu za wszystkie dary doczesne i za sam posiłek, opisuje Prudencyusz w poetyczny sposób rozmaite pokarmy, jakimi Opatrzność Boża go karmi.

Ipse homini quia cuncta dedit,
Quae capimus dominante manu,
Quae polus aut humus aut pelagus
Aëre, gurgite, rure creant,
Haec mihi subdidit et sibi — me [1].

Callidus illaqueat volucres
Aut pedicis dolus aut maculis
Illita glutine corticeo
Vimina plumigeram seriem
Impediunt et abire vetant.

Ecce per aequora fluctivagos
Texta greges sinuosa trahunt:
Piscis item sequitur calamum
Raptus acumine vulnifico,
Credula saucius ora cibo.

Fundit opes ager ingenuas
Dives aristiferae segetis
Hic, ubi vitea pampineo
Brachia palmite luxuriant,
Pacis alumna ubi bacca viret [2].

Zdrój łaski spływa ambrozyjską wonią
A wiara święta nektar przypomina.
Dziś moja Muza gardzi bluszczu liśćmi,
Któremi dawniej wieńczono ją hojnie,
Ale z pobożnych wieńce wije rytmów,
We wdzięczne strofy i pieśni je składa
A skroń swą zdobi wieńcem Bożej chwały.

[1] Prócz głębokiej myśli, ukrytej w tym wierszu, rytm sam końcowy tak dziwny na pozór, jest przecież jakby obmyślany i przypomina ów koniec jednego heksametru z Wirgiliuszowej „Eneidy": „...*procumbit humi bos*".

[2] Wiersz 36—55.

Bóg człowiekowi wszystko dał na świecie,
Co dzisiaj dłonią zwycięską dzierżymy,
Wszystko, co morze i co ziemia rodzi,
Co się w powietrzu nad nami unosi,
Wszystko nam poddał a nas poddał — sobie.
Podstępny ptasznik łowi lotne ptactwo
W nieznaczne sidła lub misterne sieci;
Klejem z jemioły pociągnięte prątki,
Gdy się pierzaste do nich zbliży stado,
Ulecieć w górę już mu nie pozwala.
Patrz, oto pełne wyciągnięto sieci
Ryb, co po morskiej błąkają się fali!
Tam znów za wędką sunie rybka płocha:
Wtem, łatwowierna, myśląc, że karm chwyta,
Rani się hakiem i — porwana ginie!
Rola wydaje szlachetne owoce,
Złotemi kłosy kołysze się żniwo,
Winna łatorośl wyciąga ramiona,
I bujnie liściem zielonym je zdobi,
Wśród których grona soczyste się kryją.

Z tych opisów poety pokazuje się, że chrześcijanie pierwszych wieków mieli pewien wstręt do mięsa bydląt i przekładali nad nie ptactwo, ryby, nabiał, owoce i roślinne pokarmy.

Haec opulentia Christicolis
Servit et omnia suppeditat:
Absit enim procul illa fames,
Caedibus ut pecudum libeat
Sanguineas lacerare dapes.
Sint fera gentibus indomitis
Prandia de nece quadrupedum:
Nos oleris coma, nos siliqua
Foeta legumine multimodo
Paverit innocuis epulis.
Spumea mulctra gerunt niveos
Ubere de gemino latices,
Perque coagula densa liquor
In solidum coit et fragili,
Lac tenerum premitur calatho.
Mella recens mihi Cecropia
Nectare sudat olente favus:
Haec opifex apis aërio
Rore liquet tenuique thymo
Nexilis inscia connubii.
Hinc quoque pomiferi nemoris
Munera mitia proveniunt:
Arbor onus tremefacta suum
Deciduo gravis imbre pluit
Puniceosque iacit cumulos.
Quae veterum tuba, quaeve lyra
Flatibus inclyta vel fidibus
Divitis Omnipotentis opus,
Quaeque fruenda patent homini
Laudibus aequiparare queat? [1]

[1] Wiersz 56—86.

Taka obfitość chrześcijanom służy
I dostatniego pokarmu dostarcza!
Niech tedy zdala od naszego stołu
Ona żarłoczność nieprzystojna będzie,
Co rzezią bydląt ludzkie uczty krwawi.
Niechaj się dziki poganin raduje
Patrząc na srogie czworonożnych jatki.
Dla nas jarzyny i strąki niewinne
A różnorodnem napełnione ziarnem,
Wystarczającą zawsze będą strawą.
Pieni się w czarze białe jak śnieg mleko,
Z dwoistych wymion tryskający napój.
Płyn się następnie w stałe ciało zmienia;
Ser się zeń robi, który w delikatnych
Koszach tłoczony, do pokarmu służy.
Z świeżego plastru słodki miód wycieka
I woń nektaru dokoła roznosi.
Skrzętna go pszczółka z kryształowej rosy
I z woniejących wyrabia tymianków,
Co nie zaznała małżeńskiej pociechy.
Są dalej słodkie i rumiane jabłka
Z owocowego pozbierane sadu.
Gną się gałęzie pod plonu ciężarem;
Gdy wstrząśniesz, owoc jako grad opada,
Na ziemi leżą purpurowe stosy.

Teraz wracając myślą w upłynione wieki hen aż do dni stworzenia, przypomina sobie szczęście a potem upadek przez łakomstwo pierwszych ludzi w raju. Na zgładzenie ich win i odrodzenie ludzkości zstępuje z niebios Syn Boga a zarazem Niepokalanej Dziewicy i oto:

Vipera proteritur pedibus,	Starta nareszcie ona sroga żmija,
Edere namque Deum merita	Bo ta, co Bożą stała się nam Matką,
Omnia Virgo venena domat [1].	Dziewica, wszystkie trucizny zabija.

Jest w tem owa myśl ukryta, że za niepowściągliwość w jedzeniu trzeba było aż takiej pokuty i zwycięstwa przez Dziewiczą-Matkę nad szatanem, co pierwszą matkę był pokonał...

Na ostatek — chcąc zagrzać do panowania nad zmysłami przy posiłku, przywodzi na pamięć Prudencyusz (w. 185—205) i blizką nędzną śmierć ciał naszych i ich pełne chwały zmartwychwstanie.

* * *

Jest wielkie podobieństwo między tym hymnem a następnym, tj. „po posiłku“ i nic w tem dziwnego: ten sam bowiem jest cel poety, a mianowicie — Boga za jego dary doczesne uwielbiać... Prudencyusz postawił je koło siebie, jakby dwóch śpiewaków, co przy dźwięku cytr albo lutni wyśpiewują Bogu na przemiany chwałę i dziękczynienie za dary doczesne. Hymn ten atoli jest drobniejszych rozmiarów i w odmiennej a bardzo wdzięcznej szacie hendekasylabów falecyjskich... Co przedewszystkiem w nim uderza, to słodkie a pełne zapału opiewanie „łaski poświęcającej“... A to skąd znowu?

Kto się pilniej wczytał w naszego poetę, ten musiał spostrzedz wielką jego — a jak na świeckiego człowieka — zadziwiającą ascezę. Przebija ona z każdego utworu i na każdym

---

Któryż z poetów, kto z dawnych pieśniarzy,
Wsławiony dźwiękiem swojej lutni rzewnej
Zdoła wyśpiewać godnie wszystkie dary,
Które Wszechmocny w obfitości swojej
Dał człowiekowi na użytek hojny?

[1] Wiersz 150—152.

niemal kroku. I tutaj np. po posiłku nie o tem tylko myśli, by śpiewać pieśń dziękczynną, ale także i o tem, by po cielesnym pokarmie podać wiernym pokarm duchowny.

Pochwaliwszy tedy całą Trójcę Przenajświętszą i bojąc się, by po posiłku nie uwikłały chrześcijanina w swe sieci lekkomyślność albo rozproszenie: przechodzi zręcznie do Ducha św. mieszkającego w czystej duszy ludzkiej. Wszystko tu jest, jak ascetyczne rozmyślanie, w tych dźwięcznych strofach ujęte: i wielkość tej łaski i jej doniosłość i piękność duszy, która ją posiada i warunki, jakich trzeba, by ją posiąść i straszne spustoszenie po utracie łaski.

. . . . Spiritus ille sempiternus
A Christo simul et Parente missus,
Intrat pectora candidus pudica
Quae templi vice consecrata rident,
Postquam combiberint Deum medullis.
Sed si quid vitii dolive nasci
Inter viscera iam dicata sensit,
Ceu spurcum refugit celer sacellum.
Tetrum flagrat enim vapore crasso
Horror conscius aestuante culpa
Offensumque bonum niger repellit [1].

Jakże to przypomina ów wiersz Mickiewicza:

I serce ma podobne do dawnej świątyni
Spustoszałej niepogód i czasów koleją,
Gdzie bóstwo nie chce mieszkać, a ludzie nie śmieją [2].

By dowieść, że Pan Bóg, co nam niczego nie żaluje, żąda

[1] Hymn IV, wiersz 13—24.
. . . . Duch święty Odwieczny
Od Ojca i od Syna razem pochodzący,
Przeczysty nieskalaną pierś chętnie nawiedza,
Która jakby świątynia Bogu poświęcona,
Raduje się, gdy wewnątrz Bożą moc uczuwa.
Lecz skoro grzech podstępny w duszy się zagnieździ,
Która poprzednio była poświęcona Bogu,
Uchodzi z niej Duch święty, jak z brudnej kaplicy.
Gdy dopuścisz się grzechu, sumienie czarnemi
Dręczy cię wyrzutami, winę przypomina,
Łaska Boża uchodzi z duszy obrażona.

[2] Z sonetu „Rezygnacya".

jednak od nas wstrzemięźliwości w posiłku a brzydzi się zbytkiem, przytacza w długiej opowieści cudowne nakarmienie Daniela w lwiej jaskini. I my jesteśmy doń podobni: tylko że jaskinią naszą jest świat, a ryczącymi lwami duchy piekieł i złe namiętności nasze. I o nas tak samo myśli Chrystus, zwłaszcza gdy dlań pracujem i cierpim: ale i my, jak Daniel, powinni spożywszy

. . . . . domowe potrawy
. . . . . wieśniaczym zgotowane kunsztem [1].
Święte zanucić pieśni i dziękować Bogu [2].

Szukać też nam trzeba innego jeszcze pokarmu, jaki Pan Bóg z nieba dla łaknących spuszcza — już to w Przenajśw. Sakramencie „pod postacią skryty chleba", już to przez usta proroków i onych mężów świętych,

Co na wieknistego Pana koszą łąkach [3].
Gdy się tą strawą przejmiem, choć pycha potężna
Fałszywie nas osądzi, choć i na śmierć skaże,
Chociażby i lwy głodne na nas nacierały,
My zawsze Boga Ojca wyznawać będziemy
I Twoją sławę głosić jedynie, o Chryste
I krzyż święty za Tobą odważnie poniesiem [4].

* * *

Jest piękny a starożytny zwyczaj polski, z którego tu i owdzie jeszcze spotykamy ślady, że wnosząc albo zapalając światło, mówi się nabożnie: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". Zwyczaj ten święty opiera się na onej prawdzie, że Chrystus Pan jest „światłością świata". To też i w Wielką Sobotę, kiedy się nowe światło wnosi do świątyni, śpiewamy po trzykroć: *Lumen Christi!* (Światłość Chrystusowa) i przez cały czas wielkanocny świeci się przy Mszy św. t. zw. *paschał,* symbol Chrystusowy.

Podług Arevala [5], Lorenzany, Bartha i innych te właśnie

[1] Wiersz 58—59.
[2] Wiersz 75.
[3] Wiersz 93.
[4] Wiersz 97—102.
[5] Ten nawet, opierając się na niektórych rękopisach, nazwał hymn ten *De novo lumine Paschalis Sabbati* (O nowem świetle w sobotę wielkanocną).

chwile chciał swym hymnem uwiecznić Prudencyusz. Nie wiem atoli doprawdy, jak mogli przeoczyć jasne przeciw temu dowody w samym bodaj hymnie. Jeżeli bowiem wspomina o chwalebnej nocy Zmartwychwstania Pańskiego i o „czuwaniu nocnem“ we wilię święta na jego pamiątkę: toć nie jest to niczem innem, jak nawiązaniem do poprzedzających figur Zmartwychwstania.

Za to same słowa Prudencyusza upewniają nas niezbicie, że ma na myśli wieczorne lub nawet całonocne nabożeństwo czyli παννυχίς, jakie się we wilię wielkanocnej uroczystości [1], a nawet i każdej niedzieli rozpoczynało wieczorem przy zapalaniu światła. Stąd grecka nazwa tych pierwszych nieszporów λυχνικόν, a po łacinie *lucernare* [2], u św. Ambrożego *hora incensi* a w czasach późniejszych *vesperae* [3].

Oto, co w czasach prudencyuszowych pisze w swoim dzienniczku o takich „nieszporach“ w jerozolimskim kościele św. Sylwia:

„O godzinie, którą tu zowią *licnicon* a którą my u siebie zwiemy *lucernare*, zgromadza się lud w kościele. Wszystkie świece są pozapalane: jasność niezmierna. Wtedy zaczynają śpiewać psalmy wieczorne, *psalmi lucernares*. W danej chwili dają znać biskupowi; przychodzi, zasiada na podwyższeniu a wokoło niego zasiadają kapłani. Kiedy się kończy śpiew psalmów i antyfon, wtedy powstaje biskup, staje przed balustradą, podczas gdy dyakon odczytuje ‚wypominki‘ (*commemorationes*) a *pisinni*, to jest chóry chłopiąt, które tu są bardzo liczne, za każdem imieniem powtarzają *Kyrie eleison*. Głosików tych jest bez liczby. Skoro dyakon kończy ‚wypominki‘, biskup odmawia modlitwę: jest to modlitwa ‚za wszystkich‘, a tymczasem lud zgromadzony — tak wierni jak i katechumeni — pochylają głowy. Następnie odmawia biskup modlitwy za katechumenów, a ci schylają głowy podczas

[1] Porównej Batiffol'a *L'histoire du breviaire romain*, str. 2 i nast.

[2] Czuć w tem poniekąd i zwyczaj hebrajski rozpoczynania święta już wieczorem we wilię wraz z zapaleniem światła.

[3] Tego rodzaju nocne czuwanie i modlitwy już od wieczora miały miejsce także we wilie uroczystości św. Męczenników *(natale)*, a Tertullian zwie je *nocturnae convocationes* (*Ad uxorem*, II, 4). I (*De orat.*, 29): „Die stationis nocte vigiliae meminerimus“.

tego. Wreszcie modli się biskup za wiernych i daje im błogosławieństwo, które z pochyleniem głowy przyjmują. Nabożeństwo skończone, a każdy wyjść już może, ucałowawszy przedtem rękę biskupa. Noc już jest ciemna“ [1].

Posłuchajmy teraz Prudencyusza. Już od samego początku nawiązuje cały łańcuch figur, podobieństw i stosunków, jakie ma światło z Chrystusem Panem, Światłością Przedwieczną i światłem dusz naszych. Oto jak rozpoczyna:

Inventor rutili, Dux bone, luminis[2],
Qui certis vicibus tempora dividis,
Merso sole, chaos ingruit horridum:
Lumen redde tuis, Christe fidelibus! [3]

Czyż można wyraźniej zaznaczyć, że tu mowa nie o rannem poświęcaniu światła, ale o chwili, gdzie przy zapadającej nocy zapala się światło?

Quamvis innumero sidere regiam
Lunarique polum lampade pinxeris,
Incussu silicis lumina nos tamen
Monstra saxigeno semine qaerere [4].

Vivax flamma viget, seu cava testula,
Succum linteolo suggerit ebrio,
Seu pinus piceam fert alimoniam,
Seu ceram teretem stuppa calens bibit [5].

---

[1] We wyżej wspomnianem dziele Batiffol'a, str. 21.

[2] Metr asklepiadyczny.

[3] O dobry Boże, Stwórco złotego płomienia,
Coś czasy swą wszechmocą na doby podzielił:
Patrz! Oto słońce znika i ciemności straszne
Pietrzą się ponad światem... Chryste! Daj nam światła!

[4] Wiersz 5—8.

[5] Wiersz 17—20. Ks. arc. Hołowiński pięknie to tłumaczy:
Twórco, moc Twoja światło błyszczące wydaje,
I niem rozdzielasz czasy przemianami wielu;
Gdy się słońce pogrąża, straszna ciemność wstaje,
Powróć Twym sługom światło, Chryste Zbawicielu!
Choć mnóstwem gwiazd malujesz Twój pałac na niebie,
I lampę księżycową zwieszasz na sklepienie,
Jednak biciem krzemienia nauczasz w potrzebie
Dobywać iskrę światła, kamienne nasienie.
Skacze wesoły płomień, kiedy mu wychyla
Ustawnie czara lampy tłuste swe napoje,
Lub kiedy go łuczywo żywicą zasila,
Lub gdy włókno gorące pije wosku zdroje.

Proszę zwrócić uwagę na oryginalność Prudencyuszowych porównań.

Splendent ergo tuis muneribus, Pater,
Flammis mobilibus scilicet atria,
Absentemque diem lux agit aemula,
Quam nox cum lacero victa fugit peplo [1].

Teraz następuje jeden po drugim opis to owego „krzu ognistego", w którym się Pan Bóg Mojżeszowi objawił, to przejścia przez morze Czerwone i zguby Faraona, to znów słupa ognistego, co Żydów wiódł po puszczy. Opiewając cuda Boże w tem 40-letnim prowadzeniu i żywieniu całego narodu, przypomina, że to obraz Chrystusowego Kościoła. Wzywa tedy chrześcijan, by się starali

Krzepić duszę mistycznej uczty pożywieniem [2].

i pośród wszelkich przeciwności i pozornego opuszczenia pamiętali, że

Chrystus wiedzie strudzonych po świata topieli,
Rozdzielając swem słowem burz spiętrzone wały,
I po tysiącznych trudach, jakie wycierpieli,
Wprowadza ich do wiecznej sprawiedliwych chwały [3].

Tego krajobrazu nieba, jaki maluje Prudencyusz, mógłby pozazdrościć sam Horacy:

Illic purpureis tecta rosariis
Omnis fragrat humus, calthaque pinguia
Et molles violas et tenues crocos
Fundit fonticulis unda fugacibus [4].
Felices animae prata per herbida
Concentu parili suave sonantibus
Hymnorum modulis dulce canunt melos,
Calcant et pedibus lilia candidis [5].

---

[1] Tak tedy z Twoich darów, wszechmogący Panie,
W świetlicach naszych jasne migocą światełka.
Słońcu, co zaszło w dali, płomień w pomoc bieży,
Pierzcha noc zwyciężona w podartej opończy.

[2] Wiersz 108.

[3] Wiersz 109—112.

[4] Wiersz 113—116.

[5] Wiersz 121—125. W tych trzech strofach odstąpiłem od przekładu ks. Kanteckiego dla lepszego oddania myśli Prudencyusza.
Tam cała ziemia strojna w jasne róż szkarłaty,
Wonią niebios oddycha, a śród barwnej knieci,

Z niebios wraca poeta na ziemię, by wskazać tego Boskiego zwycięzcę, co przez śmierć swoją i swe zmartwychwstanie śliczne ono niebo wiernym uczniom otworzył. Następuje tedy opis tego wielkiego i tryumfalnego święta, które nietylko w niebie i na ziemi, ale nawet w piekle czuć się daje. Oczywiste stąd przejście do całonocnego nabożeństwa we wilią Zmartwychwstania Pańskiego pośród modlitw, pieni i całego morza jasności. Ciekawy jest ten opis nawet pod archeologicznym względem:

Nos festis trahimus per pia gaudia
Noctem conciliis, votaque prospera
Certatim vigili congerimus prece
Exstructoque agimus liba sacrario.
Pendent mobilibus lumina funibus
Quae suffixa micant per laquearia,
Et de languidulis fota natatibus
Lucem perspicuo flamma iacit vitro.

Credas stelligeram desuper aream
Ornatam geminis stare Trionibus
Et qua Bosphoreum temo regit iugum,
Passim purpureos spargier Hesperos [1].

Wreszcie — koniec hymnu łącząc z początkiem — co do przewodniej myśli, dziękuje Trójcy Przenajświętszej za to wielkie i „Boga godne“ dobrodziejstwo „światła“, bez którego nie moglibyśmy widzieć reszty Bożych darów.

* * *

Między wiotkich fiołków i szafranów kwiaty,
Strumyk swojem srebrzystem wód zwierciadłem świeci.
Tam na kwiecistych łąkach śród rajskiej przyrody
Każda dusza z wybranych w morzu szczęścia tonie,
I stąpając po liliach jaśniejącą stopą,
Harmonijnemi pieśni napełnia te błonie.

[1] Wiersz 127—148.

My tu na ziemi święcąc tę noc uroczystą,
W radości się zbieramy i modły gorące
Przeplatając śpiewami, czuwamy do ranka,
A na ołtarzu święte składamy ofiary.
Na długich wisząc sznurach kołyszą się lampy,
Migocą tajemniczym do koła odblaskiem,
A powolnym oleju podniecane płynem,
Przebija jasne światło szklanne lampy ściany.
Zdaje się, że nad tobą gwiaździste niebiosy
Zawisły swym błękitem, że zdwojonym blaskiem
Lśnią w górze Niedźwiedzice — i, choć północ blisko,
Jeszcze niebo wieczornym jaśnieje szkarłatem.

Jasny, lekki i przeźroczysty jest hymn szósty, czyli „przed spoczynkiem“ [1]. Jak dzień cały we wszystkiem chwalić mamy Boga, tak samo we śnie i przez sen nawet, bo sen ten jest wielkiem dobrodziejstwem Bożem. Śliczne jest to rozpamiętywanie a do tego mimowoli nastręcza cały szereg innych.

Fluxit labor diei
Redit et quietis hora
Blandus sopor vicissim
Fessos relaxat artus.
Mens aestuans procellis
Curisque sauciata
Totis bibit medullis
Obliviale poclum.
Serpit per omne corpus
Lethaea vis, nec ullum
Miseris doloris aegri
Patitur manere sensum [2].

Już dnia minęły trudy,
Spoczynku wraca chwila,
I słodki sen strudzone,
Pokrzepi znowu członki.
Po walk gorących znoju
Sterana troską dusza
Istotą całą pije
Z kielicha zapomnienia.
Ta siła tajemnicza
Ogarnia całe ciało,
Nędzarzom nie pozwala
Czuć cierpień ni boleści.

W ten sam sposób zastanawia się nad naturą snu i sennemi marzeniami już to grzesznych, już to sprawiedliwych, których Bóg nieraz we śnie nawiedza i przez sen do nich przemawia. Przykładem tego owe sny, które Józef Patryarcha rozwiązał i współwięźniom i Faraonowi. Przy tej sposobności wspomina i o objawieniu św. Jana Ewangelisty, któremu Bóg pokazał wtedy najgłębsze nieba tajemnice, a nawet Baranka Bożego.

Evangelista summi
Fidissimus Magistri,
Signata quae latebant,
Nebulis videt remotis.
Ipsum Tonantis Agnum
De caede purpurantem,
Qui conscium futuri
Librum resignat unus... [3]

Wszak wierny Mistrza sługa
Ewangelista święty,
Co pod pieczęcią było,
To ujrzał bez zasłony.
Baranka Najświętszego,
Co we krwi swej się broczy
I sam otworzyć zdolny
Przyszłości tajną księgę.

By we śnie ujść zasadzek szatańskich, każe poeta chrześcijaninowi każdemu uzbrajać się przed zaśnięciem w przepotężny znak krzyża świętego, przyczem wymownie moc jego maluje:

---

[1] Metr hymnu *dimeter jambicus catalecticus*.
[2] Wiersz 9—20.
[3] Wiersz 77—84.

Fac, cum vocante somno
Castum petis cubile
Frontem locumque cordis
Crucis figura signet.
Crux pellit omne crimen:
Fugiunt crucem tenebrae,
Tali dicata signo
Mens fluctuare nescit...

Więc kiedy sen cię wzywa,
Byś w czystem spoczął łożu,
Pamiętaj, abyś czoło
I pierś naznaczył krzyżem.
Krzyż płoszy wszystkie grzechy,
Ciemności nikną przed nim
A dusza pod tym znakiem
Do grzechu się nie zniży.

Wobec wszystkich piekielnych hufców krzyż pański podnosząc śmiało, urąga im w tej Chrystusowej zbroi i z tym zwycięskim mieczem, a razem zasypia z tem mocnem postanowieniem, że nawet we śnie myśleć będzie o ukochanym Zbawicielu.

O tortuose serpens,
Qui mille per Meandros
Fraudesque tortuosas
Agitas quieta corda:
Discede: Christus hic est!
Hic Christus est: liquesce;
Signum, quod ipse nosti,
Damnat tuam catervam.
Corpus, licet fatiscens,
Jaceat recline paullum,
Christum tamen sub ipso,
Meditabimur sopore.

O wężu ty podstępny,
Co przez wybiegi swoje
I zdradnych sztuk tysiące,
Spokojne serca dręczysz!
Idź precz i znikaj, czarcie!
Bo Chrystus Pan jest z nami.
Ten znak ci dobrze znany,
Rozpędza cię z hufcami.
Chociaż strudzone ciało,
Przez chwilę snu zażywa,
To o Chrystusie będzie
I we śnie rozmyślało.

* * *

Znając ascetyczne usposobienie Prudencyusza, można było na pewne przewidzieć, że w dokładnie obmyślanym planie swych duchownych pieni, obok dotychczas opiewanej modlitwy, poczesne naznaczy miejsce drugiej dźwigni chrześcijańskiego życia tj. postowi. Rzeczywiście hymn siódmy z napisem hymn poszczących, jest ze wszystkich najdłuższy[1], a entuzyazm, jaki zeń przebija, jest oczywistym dowodem nastroju ducha poety i jego upodobań.

Zaczyna od gorącej prośby Zbawiciela, by raczył łaskawie przyjąć te postu ofiary:

O Nazarene, lux Bethleem, Verbum Patris,
Quem partus alvi virginalis protulit,

[1] Ma 220 jambicznych trimetrów w pięciowierszowych zwrotkach.

Adesto castis, Christe, parcimoniis,
Festumque nostrum rex serenus aspice,
Ieiuniorum dum litamus victimum [1].

Cel poety widny zaraz z pierwszych wierszów: pragnie on wszystkich zachęcić do tego, by sobie wielce cenili post święty, by go kochali nawet. W tym celu, idąc w ślady Ojców Kościoła — zebrał w swym hymnie rozmaite jego pochwały, nadewszystko jego skutki i wielkie boże nagrody... Oto, co zaraz na samym wstępie mówi:

Najczystsza to zaiste w świecie tajemnica,
Ofiara za nieskromne nadużycie ducha,
Która wybryki ciała ma pochwycić w karby,
Aby przesyt rodzący obrzydzenie wstrętne,
Ciężarem swym bystrego nie mógł zdławić ducha.
Post zbytki powstrzymuje i obżarstwo sprosne,
Budzi ducha tępotę, niecną zbytków córę,
Chuć brzydką i bezczelną wesołość poskramia.
Różne dusz zniewieściałych zabójcze zarazy
Czują potęgę postu i przed nią się korzą.
Gdy nad miarę używasz strawy i napoju
A ciała nie powściągasz postu przepisami:
Osłabiona zbyt częstem rozkoszy użyciem
Szlachetna iskra ducha gaśnie śród popiołów
I duch w leniwem ciele znów chrapać zaczyna [2].

Jeszcze dobitniej i z większem zacięciem powiada o tem niżej (w. 206 i nast.):

Perfusa non sic amne flamma extinguitur.
Nec sic calente sole tabescunt nives,
Ut turbidarum scabra culparum seges
Vanescit almo trita sub ieiunio... [3]

---

[1] O światło betleemskie, Nazareński Jezu,
Słowo Ojca z Dziewicy-Matki narodzone,
Bądź obecny przy czystem naszem umartwieniu,
I racz łaskawie spojrzeć na te święte rzesze,
Kiedy Ci w darze postu składamy ofiarę.

[2] Wiersz 6—20.

[3] Nie tak prędko strumienie wody ogień gaszą,
Ni pod ciepłym promieniem słońca tają śniegi:
Jak znikają pod postu świętego wpływami
Brzydkie chwasty, win grzesznych posiew wybujały...

Za wzór w tej mierze stawia już w Starym Zakonie Eliasza i Mojżesza, z których pierwszy zasłużył być porwanym w obłoki na wozie ognistym, a drugi doszedł przez post czterdziestodniowy do tego zaszczytu, że z Bogiem rozmawiał:

Helia tali crevit observantia,
Vetus sacerdos, ruris hospes aridi... [1]
Non ante coeli principem septemplicis
Moses tremendi fidus interpres throni
Potuit videre, quam decem recursibus
Quater volutis sol peragrans sidera
Omni carentem cerneret substantia [2].

Nie zapomina Prudencyusz i o tym wiele mówiącym przykładzie Niniwitów, którzy szczerym swoim postem przebłagali zagniewanego Boga. Owszem — temu zdarzeniu znaczną część hymnu poświęcił, hołdując w tem i smakowi IV. wieku, lubującego się przedewszystkiem w „opisowej“ poezyi.

Zaledwie prorok Jonasz ogłosił grzesznemu miastu boży wyrok zagłady,

Miasto się zatrwożyło. Srogi ból je targa
Wobec groźby proroka wygłoszonej usty.
Więc po obszernym grodzie bezradnie biegają
Starszyzna i lud prosty bez różnicy wieku,
Młodzież od strachu blada, płaczące niewiasty.
Rozgniewanego Boga publicznymi posty
Przebłagać uchwalono. Gardzą strawą wszelką;
Matrony drogocenne pozrzucawszy stroje
Szare wdziewają szaty; precz perły, jedwabie!
Popiołem posypują rozpuszczone włosy.
Senatorzy ozdobne pozrzucali płaszcze
I płacząc zgrzebne na się pobrali tkaniny.
Panny nie czesząc włosów grube wdziały szaty
I twarze zakrywają czarnemi zasłony;
Chłopięta się w pokutnym tarzają popiele.

---

[1] Takim to niegdyś postem zasłynął Elijasz,
Dawny kapłan i prorok, na puszczy odludnej...

[2] Mojżesz, chociaż był woli najwyższej tłumaczem,
Nie prędzej mógł obaczyć króla nad królami,
Co nad siedmiu niebami władzę swą roztoczył:
Aż się przez dni czterdzieści i przez tyleż nocy
Ścisłym postem do tego przygotował szczęścia...

Sam król, zerwawszy złotą, drogocenną spinkę,
Na ziemię płaszcz szkarłatem jaśniejący rzuca,
Precz miotając klejnoty i perły bogate.
Z czoła zdejmuje znaki królewskiej godności
A głowę posypuje w pokorze popiołem.
Żaden tam o jedzeniu nie wspomniał ni piciu.
Młodzież nie tknąwszy strawy, od stołu powstaje,
Nawet i niemowlętom nie dano pokarmu;
Poszcząca karmicielka piersi im odmawia:
Więc łzami niebożęta kolebki rosiły.
Pasterze też i trzody starannie zamknęli
Po oborach i stajniach, by wolno biegając,
Nie jadły po pastwiskach rosą zlanej strawy,
Ani się z szemrzącego nie napiły zdroju:
Przy próżnych żłobach bydło żałośliwie ryczy.
Taką pokutą szczerą Bóg ułagodzony
Wstrzymał gniew krótkotrwały i cofnął łaskawie
Dawniejszą srogą groźbę... [1]

Nie podobna tutaj nie wyrazić zdumienia, jak mógł taki pisarz jak Brockhaus, do tyla zapoznać chrześcijańskiego ducha, by aż utrzymywać, że „takie przebłaganie Pana Boga postem jest o s o b i s t e m i w y ł ą c z n e m mniemaniem Prudencyusza“ [2]. Doprawdy, trzeba na to albo wielkiej ignorancyi albo stronniczej zaciętości protestanckiej, by módz coś podobnego utrzymywać wbrew żywej nauce i najstarożytniejszej tradycyi Kościoła, pismom wszystkich jego Ojców i pisarzy, a wreszcie słowom Pisma św. i samego Boskiego Zbawiciela.

Z Nowego Zakonu stawia Prudencyusz za przykład postu wielkiego pokutnika choć tak niewinnego, św. Jana Chrzciciela i Najświętszego z Świętych — Chrystusa Pana, który czterdziestodniowym swym postem nas nauczył, jak ma

. . . duch, zwyciężywszy chęć obżarstwa brzydką,
Jako pan swego ciała dzierżyć panowanie [3].

Zwraca atoli Prudencyusz uwagę chrześcijan na jeden do-

---

[1] Wiersz 141—174.

[2] *Aurelius Prudentius Clemens in seiner Bedeutung für die Kirche seiner Zeit.* Leipzig 1872. S. 245.

[3] . . . Ut cum vocandi vicerit libidinem,
Late triumphet imperator spiritus. (V. 199 i 200).

niosły warunek, pod jakim Pan Bóg przyobiecał wspomniane nagrody, a mianowicie na jałmużnę.

Gdy z miłosierdziem posty pójdą w parze.
Wspaniały to zaiste rodzaj świętej cnoty:
Nagich przyodziać, strawą nakarmić ubogich
I spieszyć tym z pomocą, którzy o nią proszą... [1]
Szczęśliwy, kto przed biednym nie usuwa ręki,
Uczciwej sławy szuka a grosza nie skąpi,
O którego lewica dobrodziejstwach nie wie! [2]

Dziwnie miły jest nastrój ósmego hymnu, któremu poeta dał napis: „Hymn po skończonym poście". Już sama lekka szata strof saficznych odbijając od poważnego metru poprzedniej pieśni, szczególnego dodaje mu wdzięku i robi wrażenie, jakby poeta po owych „postnych" rozmyślaniach chciał dać wytchnienie duchowi.

Ależ — zagłębiając się w żywe tony pieśni, przekonujem się zaraz, że one zupełnie dostrojone są do jej treści. Z całego bowiem hymnu tryska miłość i uwielbienie dla Boskiego Zbawiciela, co

. . . Sam pod krzyża upadał ciężarem
I trudy ciała ponosząc zbyt twarde,
Przykładem świecił, a dla sług łagodne
Stawia przepisy [3].

Tutaj uwydatnia ową czysto chrześcijańską cechę postu przepisaną przez Zbawiciela — schludność i wesele nawet oblicza i tę łaskawość Boskiego Pasterza, który nietylko ciężar postu stosuje do sił każdej ze swych owiec, ale sam jeszcze łaską swoją i pociechami, na własnych jakoby niesie ją ramionach. Zachwycony więc taką dobrocią, woła Prudencyusz:

Hisce pro donis tibi, Fide Pastor,
Servitus quonam poterit rependi?
Nulla compensant pretium salutis
Vota precantum.

Za tyle łaski, o Dobry Pasterzu,
Jakąż się służbą wywdzięczyć zdołamy?
Ceny zbawienia nie opłacą choćby
Najszczersze modły.

Hymn dziewiąty — „na każdą dnia godzinę" —

[1] Wiersz 210—213.
[2] Wiersz 216—218.
[3] Wiersz 5—8.

jest jakby streszczeniem wszystkich poprzednich pieśni i spełnieniem tego, co św. Cypryan zalecił: „Dla chrześcijan nie ma takiej godziny, w którejby Boga mniej mieli uwielbiać“ [1]. Owszem jest wiernem zastósowaniem się do rozkazu Apostoła, iż zawsze modlić się potrzeba a nie ustawać [2].

Prudencyusz nie mógł w tej mierze trafniejszej dobrać treści do swego hymnu, jak uwielbienie Chrystusa Pana. Wszakże to jakby z duszy Prudencyusza wyjęte owe słowa Pawła św.: „Nie rozumiałem, abym miał co umieć, jedno Jezusa Chrystusa“ [3] — „Mnie żyć jest Chrystus“ [4]. Czuć tedy zaraz z pierwszym wierszem, że poeta jest w swoim żywiole. Wybrawszy sobie trzywierszowe strofy w tak zwanym „tryumfalnym“ metrze wiersza, w jakim wojska śpiewały pieśni tryumfalne [5], tak zaraz zaczyna w iście horacyuszowski sposób:

Da, puer, plectrum, choreis ut canam fidelibus
Dulce carmen et melodum, gesta Christi insignia.
Hunc Camoena nostra solum pangat, hunc laudet lyra.

Chłopcze — podaj mi lutnię: zanucę piesń wiary
I słodko dzwonić będę Chrystusowe cuda.
Liro moja! ty ze mną śpiewaj Go bez miary.

I jakby nie mógł powstrzymać zapału, jednym tchem wylewa z kochającej duszy cały potok wezbranego uczucia. Przedwieczne od Ojca pochodzenie Wcielonego Słowa, jego pokorne narodzenie i życie i cuda bez liczby, śmierć wreszcie, zmartwychwstanie i wniebowstąpienie, następują po sobie z kolei, wiążąc się w harmonijną całość. Wszędzie zaś — i ponad ziemiami Palestyny, ślad w ślad za umiłowanym Zbawicielem i aż pod złote bramy nieba płynie na skrzydłach poezyi i wiary świetlany duch poety z lutnią w dłoni i okiem utkwionem w Chrystusa. Aż stając przed jego tronem w niebie, tak się doń odzywa:

---

[1] *De oratione*, c. 35.
[2] Łuk 181.
[3] 1. Kor. 2, 2.
[4] Filipens. 1, 21.
[5] *Tetrameter trochaicus catalecticus*

Witaj nmarłych Sędzio! Witaj żywych Królu,
Co na prawicy Ojca w mocy swej królujesz,
Skąd przyjdziesz, sprawiedliwy występków Mścicielu!
Tobie niech pieśń zgodnymi wyśpiewują głosy
Starce z młodzieżą społem i niemowląt chóry,
Matek, panien, dziewczątek niewinnych zastępy.
Niech Ci potoków szumy i huk mórz daleki,
Śnieg, szron, deszcz, dzień, noc, mrozy i upały,
Chwałę głoszą bez końca i na wieków wieki! [1]

Święty Izydor, arcybiskup sewilski, przyjął ten piękny hym do liturgii hiszpańskiej [2].

* * *

Zamknięciem właściwego cyklu jest hymn dziesiąty, któremu poeta dał napis: „Hymn przy grzebaniu umarłych". Jeżeli bowiem celem chrześcijanina i głównem jego zajęciem za życia ma być uwielbienie Boga, to śmierć chrześcijanina ma być ostatnim tego na ziemi wyrazem.

Hymn ten nie bez przyczyny powszechnem cieszył się zawsze wzięciem. Podniosły a razem dziwnie pogodny, ma on dla wszystkich słowa pociechy: i dla tych, co w konieczność śmierci patrzą ze strachem, i dla tych, co płaczą nad mogiłami drogich im osób. Z podziwem tedy mówią o tym hymnie wszyscy. Barth utrzymuje, że „słów braknie na jego pochwały" [3], a nawet Luteranie XVI. i XVII. wieku (nie wyjmując polskich), choć tak szczerze nienawidzili wszystko, co jest katolickie, przecież nie mogli oprzeć się pokusie, by główną część tego hymnu przyjąć do swych religijnych śpiewów, a mianowicie jako śpiew pogrzebowy [4].

---

[1] Wiersz 106—114.

[2] Obacz *Breviarium Gothicum* (Migne t. 86, kol. 64). Na niedzielę Przewodnią widzimy tam pierwszą jego część, przyczem w. 22—24 przełożono na sam początek. Reszta hymnu rozłożona jest na dni następne. Obacz prócz tego *Nordamerikanisches Pastoralblat* (1885, str. 40).

[3] Obacz Arevala *Comment. in Aur. Prud. Carm.* (Migne t. 59, kol. 875).

[4] Aimé Puech (w dziele *Prudence,* str. 98) tak o tem powiada: „Cette hymne est belle, on ne peut le nier, elle a été fort admirée, surtout par les protestants, qui l'ont employée en quelque sorte comme une hymne

Po lekkich strofach w metrze anapestycznym [1] bardzo zgrabnie przebiega Prudencyusz do wytkniętego celu. Nasamprzód wychwala cudowną Opatrzność Bożą, co skazawszy człowieka na czasowy rozdział duszy od ciała, przeznacza duszy wieczne szczęście i odpoczynek po trudach ziemskiego wygnania, a ciału obiecuje chwalebne zmartwychwstanie, jeżeli za życia pójdzie drogą przezeń wskazaną:

Hanc tu, Deus optime, mortem
Famulis abolere paratus,
Iter inviolabile monstras,
Quo perdita membra resurgant.

Tą drogą jest panowanie ducha nad ciałem, a Boga nad duchem:

Si terrea forte voluntas
Luteum sapit et grave captat:
Animus quoque pondere victus,
Sequitur sua membra deorsum.
At, si generis memor ignei,
Contagia pigra recuset,
Vehit hospita viscera secum
Pariterque reportat ad astra.

Gdy jest grzeszną ludzka wola
I za ziemskim goni kałem,
Duch ciężarem przygnieciony
Wraz ku ziemi spada z ciałem.
Lecz gdy pomny swego rodu,
Czysty idzie wciąż na przedzie,
Wnet za sobą ciągnie ciało
I w krainę górną wiedzie.

Stąd wyprowadza Prudencyusz owo uszanowanie chrześcijan dla zwłok umarłych i pełne czci staranie o takowe; stąd te groby i wspaniałe mauzolea i uroczyste pogrzeby. Tem wreszcie tłumaczy, czemu Pan Bóg takie obiecuje nagrody za pobożne „grzebanie umarłych“ i tak za nie przedziwnie Tobiaszowi zapłacił.

Skoro zaś nieomylną dał Bóg naszym ciałom obietnicę, że

Rzucą kiedyś grobów lochy
I po śmierci ożywione,
Już się nie rozsypią w prochy [2].

liturgique. Elle n'est guère que l'expression d'un sentiment profond et atteint ainsi à de véritables beautés“. (Str. 100).

W „Kancyonale“ Piotra Artomiusza, wydanym w Toruniu 1601, między pieniami polskiemi znajduje się i hymn Prudencyusza *in exequiis* rozpoczynający się od słów: *Jam moesta quiesce querela.* — Niejaki Jakób Gębicki przełożył go na język polski a przekład ten jest wydany razem z „Psalmami Dawidowymi“ Macieja Rybińskiego. Wyd. w Gdańsku r. 1619.

[1] *Dimeter anapesticus catalecticus.*

[2] Wiersz 94—96.

ale „w całej zajaśnieją krasie“: to — pyta Prudencyusz,

Na cóż, nierozsądny tłumie,
Rozpacz i ta skarga łzawa?
Na co ból i głośne żale,
Gdy tak pewne nasze prawa? [1]

Tutaj następuje najpiękniejsza apostrofa do płaczących:

Jam moesta quiesce querela,	Już zamilknij, smutna skargo;
Lacrymas suspendite, matres.	Matki! po co łzy toczycie?
Nullus sua pigmora plangat:	Po co płakać śmierci drogich,
Mors haec reparatio vitae est [2].	Gdy z niej nowe tryska życie?

Za to tem usilniej pamiętać trzeba o duszach, by coprędzej w płomieniach czyścowych usłyszały słowa Zbawiciela:

Dzisiaj ze mną będziesz w raju [3].

Prawdziwie po chrześcijańsku kończy ten hymn poeta:

Patet ecce fidelibus ampli	Już otwarta wiernym brama
Via lucida jam paradisi,	Do promiennej raju chwały,
Licet et nemus hoc adire,	Wolno wrócić w te ogrody,
Homini quod ademerat anguis.	Które grzechy nam zabrały.

* * *

Pokrewne sobie treścią i formą nawet [4] są dwa ostatnie hymny; a lubo i w nich opiewa poeta Chrystusa Pana, to przecież ogromna zachodzi różnica pomiędzy wyżej omawianym hymnem „na każdą dnia godzinę“ a tymi dwoma hymnami. W nich bowiem szczegółowo omawia Prudencyusz dwie wielkie uroczystości chrześcijańskie, mianowicie Narodzenie Pańskie i święto Trzech Króli.

Oba te hymny najczęściej bywały obrabiane przez filologów 16. wieku, a nawet sam Erazm nie żałował czasu i pracy na pisanie do nich objaśnień. August zaś Buchner tak w szczególności o pierwszym z tych hymnów powiada: „Przepyszny to wiersz i prawdziwie niebiański, któremu niczego nie brak, ani co do

[1] Wiersz 113—114.
[2] Wiersz 117—120.
[3] Wiersz 159—160.
[4] Metr obu hymnów jest *dimeter jambicus*.

wytworności w mowie, ani co do harmonii w rytmie, ani co do genialności w układzie“ [1].

Czemu Prudencyusz tylko o tych dwóch świętach pisał? Dość pewna jest na to odpowiedź. Jeżeli, jak jest prawdopodobne [2] — zamierzał nowy i osobny cykl hymnów lirycznych napisać, poświęconych uroczystościom Kościoła katolickiego: to właśnie Boże Narodzenie i Święto Trzech Króli musiały mu się pierwsze nasuwać, jako pierwsze w „roku kościelnym“. Prócz tego cieszyły się one szczególniejszem wzięciem w Hiszpanii, a zwłaszcza w prowincyi Tarrakoneńskiej, do której należał poeta; dowód na to w liście papieża Syrycyusza (z dnia 2 lutego r. 385) do Himeriusa, biskupa Saragossy. Nakoniec jeszcze jedno na tę myśl naprowadza... Na wielu już miejscach przekonaliśmy się o tem, że Prudencyusz rachuje się ściśle z liturgią Kościoła i owszem, że jako gorący katolik, szczerze w niej się lubuje. Otóż właśnie w starych „sakramentarzach“ hiszpańskich i gallikańskich znajdujemy nowy dowód na to. Jest to *Illatio* czyli *Contestatio* [3] (po naszemu Prefacya) we mszy św. na uroczystość Bożego Narodzenia i nawet wiele miejsc innych, które widocznie poddały Prudencyuszowi myśl do jego hymnu „na Boże Narodzenie“.

Już od samego początku to widać. Prudencyusz rozpoczyna swój hymn od wskazania symbolicznego związku, jaki zachodzi między „światłem dnia“, rosnącem w tym dniu uroczystym, a „światłością świata“, która nam się w Betleemie zjawia. Temu też odpowiada zaraz początek liturgii: *Hodie nobis lucerna Virginis, quam Spiritus Sanctus ignivit, verum lumen apparuit* [4]. Ale i dalej jest podobnie. Oto owa *Illatio* — pisownię zaś łacińską podajemy niezmienioną z mozarabskich mszałów:

---

[1] Arevalo, *Comment.* (Edit. Migne, t. 59, kol. 888).

[2] Rösler, *Der kath. Dichter Aur. Prudentius Clemens.* Str. 112 i Arevalo w wyżej wspomnianem miejscu.

[3] Co we mszałach starohiszpańskich i mozarabskich zwało się *Illatio,* to w gallikańskich nosiło nazwę *Contestatio.*

[4] „Dziś nam się świeca Dziewicy, którą Duch św. zapalił, jako prawa światłość zjawiła“.

„Dignum et justum est, nos omnipotentie et pietati tue referre... laudes, ...quia post multa tempora: que (pewnie *qui*) tibi vel sibi semper erat, nobis natus est Jesus Chistus, Unigenitus tuus... Factus est ancille filius, Dominus matris sue, partus Marie, fructus ecclesie"... Następnie cała ta długa i pełna poezyi „Illacya" przeprowadza podobieństwo między Najśw. Panną, rodzącą Chrystusa, a Kościołem, co we chrzcie św. ustawicznie Chrystusa w duszach rodzi i ludzkość zwyrodzoną odradza... *Qui* (sc. Christus) *ab illa* (sc. Maria) *editur, ab ista* (sc. Ecclesia) *suscipitur. Qui per illam pusillus egreditur. per istam mirificus dilatatur* i t. d. i t. d.

A teraz porównajmy to z hymnem Prudencyusza:

Quid est, quod arctum circulum	Czemu, słońce, już opuszczasz
Sol iam recurrens deserit?	Ciasny krąg swojego biegu?
Christusne terris nascitur,	Czy się Chrystus na świat rodzi,
Qui lucis auget tramitem?...	Co powiększa światła strugi?...
Caelum nitescat laetius,	Niech radośnie świeci niebo,
Gratetur et gaudens humus:	Niech i ziemia się raduje,
Scandit gradatim denuo	Że powoli znów na dawne
Jubar priores lineas [1].	Słońce blask się wznosi kręgi!
Emerge, dulcis Pusio [2],	Zjawże się, Dziecino miła,
Quem mater edit castitas,	Którą czysta Matka rodzi,
Parens et expers coniugis [3],	Której Ojciec nie zna żony!
Mediator et duplex genus.	Tyś pośrednik: Bóg i człowiek.

Wyśpiewawszy wiekuiste „rodzenie Słowa" od Ojca i stworzenie świata „przez Słowo", przechodzi do jego zjawienia się „w czasie" dla zbawienia ginącej ludzkości, co zapomniawszy o Bogu, poszła w haniebną służbę bożyszcz i szatana:

Stragem sed istam non tulit	Chrystus nie zniósł, by narody
Christus cadentum gentium,	W przepaść piekieł pospadały,
Impune ne forsan sui	Nie pozwolił, by bezkarnie
Patris periret fabrica.	Dzieła Ojca ginąć miały.
Mortale corpus induit	Stąd śmiertelne przyjął ciało,
Ut excitato corpore	By na człowieczeństwa progu

[1] Porównanie wzięte ze słonecznego zegaru.

[2] Jest to wyrażenie wspomnianej wyżej *Illacyi:* „Qui per illam pusillus egreditur".

[3] Porównaj *Responsoria* z officium o św. Agnieszce, gdzie te dwa zdania znajdujemy żywcem wzięte z Prudencyusza.

Mortis catenam frangeret
Hominemque portaret Deo.
O quanta rerum gaudia
Alvus pudica continet,
Ex qua novellum saeculum
Procedit, et lux aurea!

Skruszył dawne pęta grzechu
I człowieka oddał Bogu.
O jak wielkie szczęście świata
Czysty żywot mieści w sobie!
Nowy wiek się rozpoczyna,
Nowe światło lśni w tej dobie!

Tutaj serdeczna radość poety każe mu dobierać najmilszych porównań już to z Proroków [1], już to nawet z wirgiliuszowskich sielanek [2]:

Sparsisse tellurem reor
Rus omne densis floribus
Ipsasque arenas Syrtium
Fragrasse nardo et nectare.
Te cuncta nascentem, Puer,
Sensere dura et barbara,
Victusque saxorum rigor
Obduxit herbam cotibus.
Jam mella de scopulis fluunt,
Jam stillat illex arido
Sudans amomum stipite:
Jam sunt miricis balsama.

Pewnie w onę noc pamiętną
Ziemia kwieciem się pokryła,
I pustynia nawet piaski
Wdzięczną wonią napoiła.
Twoją — Dziecię, moc uczuła
I najbardziej harda siła,
I najdzikszy nawet krzemień
Bujna zieleń przystroiła.
Z twardej skały miody płyną
A z dębiny skamieniałej,
Z tamaryski, jak wiór suchej
Płynie balsam w strudze całej.

Śród tej powszechnej radości, w której — jak niegdyś w betleemskiej stajence pastuszki i nieme nawet bydlęta — tak teraz cała przyroda żywy bierze udział: z jakąż szkodą swą własną

Przeczy Bóstwa Chrystusowi
Żyd pijany nienawiścią!

Nie przypadkowo wspomina tutaj żydów Prudencyusz. Rozsiadłszy się w Hiszpanii, do której Hadryan 50.000 żydowskich rodzin był przesiedlił, dali się oni dobrze we znaki Hiszpanom, zwłaszcza wśród wichrzeń Pryscyllianistów... Poeta wzywa ich w dniu tym radosnym do żłóbka narodzonego Zbawcy, wskazując im w Bożej Dziecinie „wodza ich królów".

Zarazem i wszystkim przypomina inny dzień wielki a straszny, w którym ta sama drobna Dziecinka, co z czystej Panny narodzona w biednym teraz złóbku leży, zjawi się kiedyś na niebiosaeh w błyskach gromów i wśród trąb grzmotów, by są-

[1] Joel III, 18. — Amos IX, 13.
[2] Ecloga 4: *Ultima Cumaei venit iam carminis aetas* etc.

dzić wszystkich i otwierać im niebo lub piekieł przepaście. Charakterystyczne są ostatnie słowa:

Wtedy poznasz, żydowinie,
Kto jest ten, co krzyżem błyska!

* * *

Kto nie zna Prudencyuszowego hymnu na uroczystość św. Trzech Króli? Choćby się nawet nie wiedziało o jego piewcy, powtarza się z zachwytem owe cudownie piękne strofy o św. Młodziankach: *Salvete flores martyrum.* Nietyle tylko atoli z tego XII. hymnu pomieścił Kościół rzymski w swych modłach. Hymny: *Quicunque Christum quaeritis* na nieszpory i jutrznię Przemienienia Pańskiego, *O sola magnarum urbium* na *laudes* św. Trzech Króli, *Audit tyrannus anxius* na jutrznię św. Młodzianków, a *Salvete flores martyrum* na *laudes* tegoż święta: wszystko to powstało z tego jednego XII. hymnu [1].

Nie wchodzim tutaj w historyczno-liturgiczną kwestyę święta *Epiphaniae,* czyli św. Trzech Króli (a właściwie Objawienia się Pańskiego). Pewnikiem jest niezbitym, że od najdawniejszych czasów cały Kościół w dniu 6 stycznia to święto Objawienia się Pańskiego z wielką uroczystością obchodził; w tem atoli różnił się kościół zachodni od wschodniego, że kiedy tamten poświęcał tę uroczystość pamięci chrztu Zbawiciela i objawienia się wtedy całej Trójcy Przenajświętszej, to Kościół łaciński obchodził w tym dniu pamiątkę objawienia się Zbawcy narodom w osobie św. Trzech Króli, jako ich przedstawicieli. To też i Prudencyusz tę samą pamiątkę w swym hymnie opiewa. Nasamprzód tedy zwraca nasze oczy na niezwykłe zjawisko na niebie — jasnej gwiazdy, co nietylko nocą ale i za dnia przedziwne światło sieje. To znak Zbawcy i do Zbawcy wiedzie rzeszę królów z dalekiej krainy, jako hołd od wszystkich narodów z symbolicznymi darami:

Haec stella, quae solis rotam	Gwiazda, co słońce zaciemia.
Vincit decore ac lumine,	Blaskiem zwiastuje wesele,

[1] Obacz Kayser'a *Beiträge zur Geschichte und Erklärung der ältesten Kirchenhymnen.* 2. Aufl. Str. 294 i nast.

Venisse terris nuntiat
Cum carne terrestri Deum [1].
Videre quod postquam Magi,
Eoa promunt munera,
Stratique votis offerunt
Thus, myrrham et aurum regium [2].
Regem Deumque annuntiant
Thesaurus et fragrans odor
Thuris Sabaei: at myrrheus
Pulvis sepulcrum praedocet [3].

Że Bóg dla ludzi zbawienia
Zestąpił w śmiertelnem ciele.
Widzą to króle z rozkoszą,
Dostają dary z ochotą,
I padłszy na twarz, przynoszą
Kadzidło, myrę i złoto.
Król i Bóg! — niememi słowy
Mówią skarb i kadzidł wonie:
Balsamiczny proch myrowy
Głosi o grobie i zgonie [4].

Tymczasem, kiedy ta uroczysta scena odbywa się w betleemskiej stajence, niepokój i trwoga powstaje na dworze wiecznie o swój tron drżącego Heroda a stąd morderczy plan pozbycia się Zbawiciela i straszne wymordowanie tysięcy niewiniątek:

Audit tyrannus anxius
Adesse regum principem,
Qui nomen Israël regat
Teneatque David regiam.
Exclamat amens nuntio:
Successor instat, pellimur.
Satelles! — I, ferrum rape,
Perfunde cunas sanguine [5].

Tyran słyszy, że na ziemię
Król królów przyszedł z Dziewicy,
Rządzić Izraela plemię
Siąść na Dawida stolicy.
Przelękły, w szaleństwie rzecze:
Jest następca, niechaj zginie!
Siepacze! porwijcie miecze,
Po kolebkach krew niech płynie!

Tu następuje rzewny a niezmiernie plastyczny obraz tej osobliwszej rzezi niewinnych dzieciątek, ich konanie pod mieczem żołnierzy i w studniach ziemi betleemskiej. Czytając te wiersze przypomina się zaraz ową przecudną mowę św. Augustyna na uroczystość św. Młodzianków, gdzie ze zdumieniem się spostrzega powtórzone niemal żywcem słowa Prudencyusza. Cały ten opis kończy się apostrofą do św. Młodzianków i tryumfem Zbawiciela, co tak uszedł Herodowego miecza jak niegdyś Mojżesz zguby z ręki Faraona.

Salvete, flores martyrum,
Quos lucis ipso in limine

Witajcie męczeńskie kwiatki!
Wróg boży, zgładził was, dziatki,

[1] Wiersz 5—8.
[2] Wiersz 61—64.
[3] Wiersz 69—72.
[4] Jest to tłumaczenie ks. arcyb. Hołowińskiego.
[5] Wiersz 97—100.

Christi insecutor sustulit
Ceu turbo nascentes rosas.
Vos prima Christi victima
Grex immolatorum tener,
Aram ante ipsam simplices
Palma et coronis luditis.
Quid proficit tantum nefas?
Quid crimen Herodem iuvat?
Unus tot inter funera
Impune Christus tollitur [2].

W progu światła, w pierwszem życiu,
Jak wicher róże w rozwiciu.
Wy ofiar Zbawcy początek,
Śliczne grono niewiniątek
U ołtarzy w jasnej szacie
Z palmą i wieńcem igracie [1].
Cóż przyniósł straszny uczynek?
Co sprawił mord Herodowy?
Śród rzezi mnóstwa dziecinek
Sam Chrystus uchodzi zdrowy [3].

Uczony kanclerz, Tomasz More, miał powiedzieć o tych strofach, że za nie oddałby chętnie pisma wielu klasycznych poetów, i rzeczywiście niema nikogo, ktoby z lubością i podziwem nie czytał ślicznych tych wierszy.

Z tego tryumfu Boskiej Dzieciny nad prześladowcami przechodzi Prudencyusz do tryumfów Opatrzności Boskiej i wtedy, gdy gotowała ścieżki dla przyszłego Zbawcy świata i po wieki wieków, co mają być świadkami, jak wszystkie narody padną na oblicze przed tronem zwycięskiego Chrystusa.

Nim zamkniemy te uwagi nad hymnami *Kathemerinon*, niech nam wolno będzie przypomnieć, co o nich mówi Puech, którego wcale o religijność, a zatem i o stronniczą przychylność dla Prudencyusza nie można posądzić: „Tout imitateur d'Horace qu' il est, Prudence doit nous paraitre original, tout au moins parmi ses contemporains. On peut même affirmer, que sa tentative, à laquellle rien ne servait de modèle, était véritablement hardie et prouvait une ambition poétique élevée“ [4].

---

[1] Ks. arcyb. Hołowiński tak przełożył:
Wy ofiar Zbawcy początek,
Słodka trzodo niewiniątek,
Pod ołtarzem w krwawej szacie
Z palmą i wieńcem igracie.

[2] Wiersz 125—136.

[3] Ks. arcyb. Hołowiński:
Cóż przyniósł krwawy uczynek?
Nic, jak hańbę Herodową:
Wśród mordu mnóstwa dziecinek
Unoszą Chrystusa zdrowo.

[4] W dziele wyżej wspomnianem str. 98.

Rzeczywiście, jeżeli prawdą jest, że Rzymianie nigdy nie mieli prawdziwych liryków a nawet w Horacym że więcej było artyzmu niż uczucia: to tem więcej zdumiewać się należy nad liryzmem naszego poety z IV. stulecia. A nie zapominajmy i o tem, że kiedy wszystkim pogańskim poetom — jak to na każdym niemal kroku widzim — niezmiernie ułatwiały ich rymotwórcze zadanie otwarte dla nich źródła wybujałej mitologii: to Prudencyusz, biorąc po nich w spuściźnie poetycką lutnię, musi zupełnie zerwać z całym dawnych wieszczów Olimpem i szukać natchnienia, obrazów, porównań a nawet i wyrazów nowych po takich drogach i wyżynach, po jakich żadnego jeszcze poety nie stąpała noga.

Ks. Władysław Czencz.

KSIĄDZ KAROL ANTONIEWICZ.

XIII.

Apostolstwo piórem.

Pociąg do pióra poczuł Antoniewicz bardzo wcześnie, w młodzieńczych, powiedzieć można, w chłopięcych latach. Nie umiał dobrze po polsku pisać, a już składał polskie rymy; gdy polskie posłuszeństwa odmawiały, uciekał się do lepiej sobie znanych, do niemieckich. Ciężkie, niejednokrotnie niefortunne wiódł boje z polską składnią, gramatyką, nawet ortografią, ale boje te nie odstraszały go od coraz nowych prób wiązaną i niewiązaną mową, aż wreszcie zapał, dobra wola i przyrodzony talent odniosły zwycięstwo. Kiedy przygnieciony cierpieniem przyszły misyonarz pukał do furty starowiejskiego klasztoru, panował już o tyle przynajmniej nad formą i językiem, że nie potrzebował się z niemi na każdym kroku borykać. Polskie otoczenie, ścisła znajomość zawarta z mistrzami polskiego słowa ze złotych, zygmuntowskich czasów dopełniły, co jeszcze brakowało; w wierszach, w artykułach i broszurach puszczanych na świat we Lwowie, w Piekarach, Lesznie, Krakowie, nie poznać już dawnego, chwiejnym krokiem posuwającego się naprzód autora młodzieńczych sonetów, tłumacza rozmyślań Fenelona. Poeta, literat zaprzągł poetyczne natchnienia, literackie zdolności jedynie i wyłącznie w służbę Bożą; wielka idea, której się bez ograniczenia poświęcił, dodała poezyi blasku, myślom siły i jasności, uszlachetniła sam nawet styl i język.

Stosunkowo na najniższym szczeblu w pisarsko-literackiej swej działalności stoi Antoniewicz jako poeta. Krytyk z zawodu przerzucając dwa niedawno temu wydane tomiki, które mieszczą w sobie rozrzucone dotąd po kilkunastu rękopiśmiennych i drukowanych zbiorach jego poezye, wiersze i wierszyki[1], sporo znajduje przeróżnych usterek, sporo materyału do różnorodnych uwag i zastrzeżeń. Zwłaszcza w młodzieńczych, świeckich utworach, forma często chropowata, a zdarza się, że i bardzo chropowata; zdarza się, że rytmu trudno się dosłuchać, a rym zawdzięcza swe istnienie jedynie silnej, z przeszkodami się nie rachującej woli poety. Lamartine, Byron, Shakespeare odzywają się i przypominają nietylko w *mottach*, umieszczanych przed sonetami i piosenkami, ale i w treści, w układzie, bywa, że i w całych zwrotkach, jakby żywcem z angielskiego, z francuskiego przełożonych. Co gorzej, w niektórych, na szczęście bardzo nielicznych wierszykach, pochodzących bez wyjątku z pierwszej, młodzieńczej doby twórczości naszego poety, z nieświetną formą łączy się arcybanalna treść; tak banalna, codzienna, że odczytując taki sonet, opowiadanie, piosenkę, ma się ochotę podpisać pod nią protest słuchaczów pana Jowialskiego: Znamy, znamy!...

Czy z tego wynika, że Antoniewicz nie czuł w sobie nigdy świętego, poetycznego ognia; że jego pieśni nie mają żadnej wartości, nie przemawiają do serc, nie poruszają wyobraźni? Najdobitniejszą odpowiedzią na te pytania, niesłychana popularność, którą od tylu lat cieszą się, zwłaszcza niektóre z religijnych jego utworów poetycznych. Dużo można formie zarzucić, o niejednę mniej udałą, szkoda, że nieprzerobioną i niepoprawioną zwrotkę się posprzeczać; żałować można, że gdy miał czas rymami się bawić, brakowało mu nieraz wznioślejszych, niepowszednich tematów; gdy tematy setkami pod oczy podchodziły, brakowało czasu i chęci do ubierania je w rymy. Można się o to skarżyć, gniewać się, żałować; lecz swoją drogą niepo-

[1] „Poezye O. Antoniewicza T. J.“, wydał ks. Jan Badeni T. J. — Tom I. Poezye religijne. — Tom II. Poezye różne. W Krakowie. Nakładem Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. 1896.

dobna zaprzeczyć, że wiersze Antoniewicza mimo wszystkich tych wad, uderzających każdego, nawet największego profana, mają, mieć muszą w sobie ukryty jakiś talizman, który o wadach każe zapomnieć, serce otwiera i gwałtem je dla siebie zdobywa. Tym talizmanem szczerość, wykluczająca wszelki najdrobniejszy cień poetycznej pozy, miłość głęboka, rwiąca, miłość Boga i ludzi dla Boga. Piszą i głoszą poeci: „Sobie śpiewam, nie ludziom"; Antoniewicz na czele swych pieśni, zwłaszcza najpiękniejszych, religijnych, mógłby z całą prawdą napisać: „Bogu śpiewam, nie sobie, nie ludziom!..."

Bogu śpiewał: nowonarodzonemu Jezusowi w żłóbku, Jezusowi przybitemu do krzyża; wił z rzewnych piosenek „majowe wianki" dla Bogarodzicy; sławił polskich patronów, opowiada niewyszukanemi słowy krążące o nich między ludem legendy pobożne. Legendy o św. Jacku, św. Janie Kantym powtarza na pamięć cała polska młodzież we wszystkich szkołach, szkółkach, ochronkach, w których wolno mówić po polsku. Kolędy, niektóre z pieśni, umieszczonych w „krzyżowym" i w „majowym" wianku, przeszły do ust ludu, do miejskich kościołów i wiejskich kościółków, rozbrzmiewają w pałacach i chatach, i tu i tam napełniają serca ufnością, pociechą. „Biedne, proste, pokorne piosenki — pisał poeta o swym ‚Majowym wianeczku' — jak te polne kwiateczki majowe. Krótkie ich życie, ale szczęśliwe kwiateczki, jeśli choć chwilek kilka, zdobiąc obraz Maryi, kwitnąć i odkwitnąć mogą"... Tak! proste to, serdeczne, bezpretensyjne piosenki, — ale w tem mylił się poeta, gdy sądził, że dlatego mniejsza ich wartość i krótkie ich życie. Mylił się, gdy pisał o „Krzyżowym wianku": „Biedne kwiateczki, bez barwy bez woni"; to tak, jakby kto mówił, że fiołki bez barwy i woni dlatego, że skromnie w trawie się kryją.

Jak np. serdeczną, rzewną nutą odzywa się to porównanie matki ziemskiej, do lepszej, potężniejszej, Niebieskiej Matki:

Różne są szczęścia i różne są bole,
Przez które człowiek w życiu przechodzi,
A świat ten nieraz w serce ukole,
Życia goryczy nigdy nie osłodzi,

Bo świat to umie i zdradzić i złudzić,
Serce rozranić i duszę obrudzić.

Tylko ta jedna, co życie nam dała,
Miłując sercem, sercem nas pociesza;
Tylko ta jedna miłością wytrwała
Zawsze i wszędzie w pomoc nam pospiesza,
Ranę odgadnie a boleść przeczuje,
Bo tylko matka swe dziecko pojmuje.

Ale ta matka słaba jako trzcina
Cóż sama przez się uczynić jest zdolna?
Pod krzyżem dziecka kornie się ugina,
Modlić się, płakać, to tylko jej wolno.
Sama swą siłą serca nie zagoi,
Sama swą prośbą Boga nie rozbroi.

Lecz drugą matkę mamy jeszcze w niebie,
Co matce naszej pomoc, radę daje,
A gdy jej wezwie w smutku i potrzebie,
W obronie dziecka zawsze przy niej staje.
Gdzie matka płacze, tam Maryja radzi,
Gdzie matka błądzi, Maryja prowadzi.

Jeśli chcesz dziecku twemu błogosławić,
To je błogosław w Maryi imieniu;
Jeśli chcesz duszę dziecka twego zbawić,
Kochaj Maryją w szczęściu i strapieniu.
Bądź ty jej dzieckiem i zawsze i wszędzie,
A ona matką dziecku twemu będzie.

W bolu, w cierpieniu, gdzie, do kogo się udać, jak nie do tej jednej, Bożej Matki, co jedna rozumie łzy dziecka?

Modlić się pragnę, płakać tylko umię,
Smutek, tęsknota głos modlitwy tłumi,
Własnego serca uczuć nie rozumię,
Ale Maryja to serce zrozumie.
Dla mnie, dla ludzi łzy są tylko łzami,
A dla Maryi modlitwy słowami.

Kogo o pociechę, o miłosierdzie prosić, pod czyj płaszcz się uciekać?

Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko nie opuszczaj nas!
Matko pociesz, bo płaczemy,
Matko prowadź, bo zginiemy:
Ucz nas kochać choć w cierpieniu,
Ucz nas cierpieć choć w milczeniu [1].

[1] „Wianeczek majowy".

Z wysokości krzyża na świat spogląda; u stóp krzyża najszczytniejszej, wszystko obejmującej i tłumaczącej filozofii się uczy i nas uczy![1]

Pracuj i kochaj, módl się bez ustanku,
Modlitwa z Bogiem duszę Twoją złączy,
I łzy, coś przelał już w życia poranku,
I te, co jeszcze twe oko wysączy,
Uschną w mogile. — Na tej łez dolinie
Wszystko przeminie.
Bo każda życia chwilka, to ogniwo;
Jedno po drugiem w tym łańcuchu pęka.
Coś w smutku zasiał, piękne wyda żniwo,
Nad grobem życia zaświeci jutrzenka.
Nie trać odwagi! — Na tej łez dolinie
Wszystko przeminie.
Mężnie więc naprzód, jeszcze kroków kilka,
Kilka łez jeszcze przepłaczesz, pielgrzymie.
Wieczność się zbliża, życie jedna chwilka;
Z tobą i ból twój w mogile zadrzymie.
Wiara, nadzieja, miłość nie przeminie,
Choć świat zaginie.

Wierszowane powieści i opowiadania, osnute na tle huculskich, tatrzańskich, wiejskich legend pozostawiają niejedno do życzenia. O wiele milsze, spisane prozą opowiadania; milsze i powiedziećby można poetyczniejsze, może właśnie dlatego, że w nich fantazya poety, nie dość nawykłymi do posłuszeństwa rymem i rytmem nie potrzebowała się krępować. Antoniewicz czuł, że w tym kierunku dużoby mógł dobrego zrobić i na kilka zawodów zabierał się do spisywania krótkich, przeważnie dla ludu przeznaczonych powiastek; niemała szkoda, że za każdym razem inne, pilniejsze zajęcia już po paru godzinach odrywały go od stolika. Ostatecznie pozostała nam tylko książeczka: „Obrazki z życia ludu wiejskiego dla szkółek wiejskich“; jedna niewielka książeczka, ale mogąca być wzorem, jak tego rodzaju obrazki kreślić, aby podając zdrowy, pożywny pokarm, dostawały się tam, dokąd są przeznaczone i pełniły swą misyę z równym skutkiem po wielu, wielu jeszcze latach[2]. Współczesny ludowy

[1] U stóp krzyża. „Wianek krzyżowy“. 11.

[2] „Obrazków“ wyszło trzy wydania: pierwsze we Lwowie r. 1850 w trzech zeszytach, drugie w Lesznie r. 1850, trzecie w Lipsku r. 1875.

powieściopisarz, serdeczny przyjaciel, gorący wielbiciel Antoniewicza, Walery Wielogłowski, pochwytywał w licznych swych dyalogach i powieściach ludowych głównie śmieszności i wady wprowadzonych na scenę postaci, naśladował aż do zbytku wiernie wyrażenia i zwroty Maćków-złodziei, Kasiek-zalotnic; nasz poeta-misyonarz obrał zupełnie przeciwną drogę, którą doświadczenie lat późniejszych uznało za jedynie odpowiednią. Nie portretuje on chłopa z rozpaczliwą, karykaturalną dokładnością; nie powtarza frazesów, za które sam chłop przed człowiekiem wykształconym by się rumienił; ale podnosi go, zlewa na jego codzienne prace, na moralne życie całe potoki uszlachetniającej, krzepiącej serce poezyi; pokazuje mu w barwnych, idealnych obrazach, jakiem to życie byćby mogło, jakie te prace mają znaczenie przed ludźmi i Bogiem, gdy po bożemu są podjęte i prowadzone. Każdy z tych obrazków, to jakby przybrany w powieściowe ramy ustęp z misyonarskiego kazania. Do czego na ambonie dążył, do tego tu dąży inną ścieżką, ale z tą samą miłością i szacunkiem dla czytelnika, jaką żywił dla słuchacza; czego tam wytłumaczyć jaśniej, wyraźniej nie było czasu, lub nie było można, tutaj tłumaczy.

W jednym obrazku odmalowana śmierć starego leśnego, sprawiedliwego Grzeli; czuć, że malarz nie jeden raz takiej błogosławionej śmierci się przypatrywał, że mu w sercu wzbiera pragnienie: Oby takich Grzelów, takich zgonów było jak najwięcej! Oglądamy z kolei i porządną, lipami i różami otoczoną chatę Grzeli, jego synów i córki, ule i pszczółki. Oddawna starzec do nieba tęsknił. A gdy go które z dzieci zapytało: „A cóż to panie ojcze, tak cię zasmuciło i rozrzewniło?“ — On milcząc wskazywał na zachodzące słońce, lub patrząc w niebo stłumionym odzywał się głosem:

„Oj! tęskno mi już, tęskno do Boga; przydłużyły się dni wędrówki mojej na ziemi, ale czuję, że już nie mam co tu dłużej gospodarzyć! I pszczółki moje napracowawszy się przez całe lato, spokojnie usnęły w ulach swoich... Chciałbym już i ja, oddawszy Bogu duszę, a ziemi ciało, usnąć w grobie jak pszczółka w ulu“.

„I długi czas Bóg starego Grzelę utrzymywał w tej tęsknocie, bo chciał, aby dopełnił miarki zasług; a gdy przyszła nakoniec godzina zlitowania, posłał Bóg śmierć, aby jako owoc dojrzały zabrała z ziemi duszę starego Grzeli...“

„Izba była pełna ludzi, ale wszystko tak cicho. Stara Grzelowa odsunęła maślnicę z niedorobionem masłem i żarna kręcić się przestały, syn i zięć milcząc lulkę kurzyli, córka i synowa na ławeczce przy piecu przędły nić na góralskich kądzielach, a gromadka dziatek z pieca i z poza pieca wyglądała ze strachem patrząc na grożącą, aby nie hałasowały, babkę. W pośrodku izby wesoło igrały króliki, gryząc podrzucone im gałązki, a czubate kurki skrzętnie z popod ławy szukały dla siebie ziarneczek. W jednym zakątku izby, na świeżem sianie i okłotach, leżał stary Grzela, ciepłym przykryty kożuchem. Oddech jego ciężki i krótki, przepowiadał bliską śmierć. Wtem wiatr silniej zahuczał, że aż szybki w oknach zadzwoniły i krokwie na dachu trzeszczeć poczęły. Grzela się przebudził i przecierając oczy rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — A wszyscy zerwawszy się na nogi, powtórzyli:

— Na wieki wieków. Amen!

— Czy to już poranek? — zapytał Grzela.

— Oj tatulu to ledwie słońce zaszło — odpowiedziała Jadzia, córka leśnego.

— Spaliście mój człowieku dobrze i długo — dodała Grzelowa.

— Bogu niech będą i za to dzięki! A czyście posłali po Dobrodzieja?

— A jużci! Janek parobek pojechał małemi saneczkami i gniadą kobyłką, lecz do proboszcza przez zawiany wąwóz się nie dobije, kazaliśmy mu jechać do klasztoru do S., lecz kto wie, czy księdza przywiezie, bo to taka zawierucha, żebyś i psa z domu nie wygonił!

— No, no, nie troszczcie się wy o to, ja wiem, że przywiezie; a jakiżby to ksiądz był, coby się drogi i śniegu przestraszył? Wszakci on jedzie z Panem Bogiem! Znam ja dobrze dobrodziejów naszych, toby każdy z nich i w wodę skoczył, aby Bogu duszę pozyskać!

— Tatulu, czy nie będziecie co jedli? — zapytała Elżbietka, synowa Grzeli — nagotowałam dla was garnuszek obwarzanej kaszy ze świeżem masłem, a sąsiad nasz przyniósł dla was butelkę miodu.

— Podziękujcie za przysługę kumowi, wypijcie sami miód, a kaszę dzieciom dajcie, ja już waszego posiłku i pokarmu nie potrzebuję! Oto mój posiłek i pokarm!

A to mówiąc, zdjął zawieszony na szyi różaniec, co był dostał przed wielu już laty w podarunku od zakonnic klasztoru św. Kunegundy w Starem Mieście, dokąd co rok na uroczystość tej wielkiej, świętej królowej naszej zwykł był chodzić. Ucałowawszy mosiężny krzyż, do różańca zawieszony, i przycisnąwszy go do serca, rzekł:

— Oto posiłek, oto pokarm mój, oto cała nadzieja moja! Panie Jezu Chryste, przez te najświętsze rany Twoje, zmiłuj się nade mną!

I łza potoczyła się po siwym wąsie starca, i niewiasty fartuszkami łzy w oczach ocierały. Syn i zięć spuściwszy głowy, westchnęli głęboko, a dzieci to na rodziców, to na dziadka ciekawem poglądały okiem, jakby pytając: coby to wszystko znaczyć miało?...

I rzuciły się dzieci na łoże ukochanego dziadka i wyciągały rączęta ku niemu, i igrały siwym włosem i wąsem, i gładziły głębokiemi marszczkami poorane czoło a stary Grzela uśmiechał się i żegnał jedno po drugiem, mówiąc: nie zapominajcie codziennie odmawiać paciorek, któregom was nauczył; kochajcie Boga i ludzi, a Bóg i ludzie kochać i błogosławić was będą. I umilkł stary Grzela i cicho było w chacie, tylko wiatr szumiał i huczał w suchych lip konarach! I coraz ciemniej i ciemniej było w izbie, i Jadzia przystąpiła do komina, aby słabym już tylko płomykiem migocący ogień rozdmuchać w popiele. Słychać było tylko stłumionem łkaniem przerywaną modlitwę.

— Czego płaczecie, kiedy ja się weselę? Zakończę wkrótce pielgrzymkę moją; właśnie dziś rok mija, gdym się wybierał na odpust do cudownego obrazu Pana Jezusa w Kobylance

i dziś na wielki wybieram się odpust, już nie do Kobylanki, ale przy łasce i miłosierdziu boskiem do nieba — nie do cudownego obrazu, ale do samego Pana Jezusa, Zbawiciela mego!...

Wtem stary Grzela porywa się i siada na łożu swojem:

— Dzieci na kolana, Pan Bóg do nas idzie, słyszę dzwonek, który głosi przyjście Jego!

— Oj gdzież tam panie ojcze — odezwała się Elżbietka — to wiatr w szybki zadzwonił.

— Ot mówisz, stary Grzela choć tępy ma słuch, ale nie tępe serce — czuje bliskość już Boga i Pana Zbawiciela mego; wyjdźno które z was do bramy, a przekona się, że mnie serce nie myli.

I wyszedł Stach, i powrócił oznajmując, że tak jest; koło krzyżowej figury widziałem migocący promień latarni, ot i już blisko podworca słychać i dzwonek i głos Janka! Stara Grzelowa porwała się jakby oparzona, zydelek białym przykryła fartuszkiem — Jadzia potężną wydrążyła rzepę, aby za lichtarz służyć mogła, a Elżbieta z wielką biedą spłoszone kurki do komory wygnała. Króliki przelęknione pochowały się i z jamek swoich czerwonemi świeciły oczkami. I dzwonek w sieniach zadzwonił, wszyscy padli na kolana, ministrant z latarnią wszedł pierwszy do izby, a za nim ksiądz, i otrząsł płaszcz ze śniegu, dał błogosławieństwo Przenajświętszym Sakramentem, pokropił klęczących święconą wodą i powitał ich temi słowy pociechy: Pokój temu domowi i wszystkim mieszkającym w nim! Złożył Przenajświętszy Sakrament na zydelku, a sam przystąpił do chorego. Wszyscy z izby do komory się wynieśli! Spowiedź nie długo trwała, bo Grzeli sumienie było zawsze w porządku, bo on często się spowiadał, a katechizm umiał doskonale i wiedział dobrze wszystko, co większą lub mniejszą mogło być obrazą boskiego majestatu. On nie czekał ze spowiedzią, jak to czynią niektórzy, od Wielkiejnocy do Wielkiejnocy, a jakże tu za kilka chwil można sobie przypomnieć wszystko to, co się i myślą i uczynkiem i słowem nabroiło przez cały rok? — ale pokąd był młodszym, chodząc do S. na targ lub w interesie dworskim, to się zawsze w klasztornym spowiadał kościele, a później, to jak

tylko mógł, to chodził do bliższego parafialnego kościółka na spowiedź. Bo sumienie nasze, to tak jak gospodarska rola; jeśli będziesz ją dobrze doglądał, dobry ci też da i urodzaj, ale jeśli o nią dbać nie będziesz, to wkrótce bujnemi porośnie chwastami — a czem chwasty dla roli, tem są grzechy i złe skłonności dla sumienia. Radość, żal i wzruszenie odebrały ostatnie siły choremu, a ostateczna dla niego zbliżała się godzina, ale twarz jego była tak jasna i spokojna, ręce na piersiach w krzyż złożone, ukochany trzymały różaniec. Weszła rodzina do izby. Ksiądz zapytał jeszcze chorego:

— Grzela, kochasz Boga twego?

— O kocham, kocham, kocham z całej duszy, z całego serca i ze wszystkich sił moich!

— Czy żałujesz za grzechy twoje?

— Żałuję! żałuję, a żałuję jedynie żem obraził Pana i Boga mojego!

— Czy się zgadzasz we wszystkiem z wolą boską?

— Zgadzam się zupełnie; zgadzałem się przez całe życie z wolą boską i dobrze mi z tem było; zgadzam się i dzisiaj, i wiem, że mi z tem dobrze będzie!

— Czy się nie lękasz śmierci?

Grzela spojrzał na ukrzyżowanego Zbawiciela, oko jego łzami się napełniło, twarz zajaśniała radością, wzniósł ręce w górę i odrzekł:

— W nadziei miłosierdzia boskiego, które z tych pięciu ran do duszy mojej przemawia, nie lękam się śmierci, ale czekam z tęsknotą, aby mnie z Bogiem już połączyła!

Podawszy najświętszą Komunię, którą Grzela przyjął z największą wiarą, nadzieją i miłością, kapłan zwrócony do klęczących, przemówił o naturze i skutkach Sakramentu ostatniego pomazania, i zapytał:

— Czy umie z was kto czytać?

— Ja umiem — odezwała się Jadzia.

— Weź więc książkę i odmów wspólnie do Wszystkich Świętych litanię.

Jadzia wyciągnęła ze skrzyni książkę: „Początki życia nie-

bieskiego“ — i zaczęła głośno odmawiać litanię, podczas gdy ksiądz dawał ostatnie pomazanie choremu. Ogień na kominie zagasł, wicher na podworcu już ucichł, a na zachmurzonem jeszcze niebie rzadkie gwiazdeczki świecić poczęły. Gromnica zapalona w ręku Grzeli, blade światełko rozrzucała po izbie. Chory coraz słabiej i słabiej począł oddychać, a gdy mówiący litanię przyszli do słów: „Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata!“ Grzela uderzył się w piersi, westchnął głęboko i wymawiając jeszcze najsłodsze Imię: „Jezus! Marya!“ Bogu ducha oddał“...

Powtórzyliśmy pierwszy obrazek w głównych ustępach, aby dać poznać, jakim pędzlem Antoniewicz obrazki swe malował; jak harmonijnie złączyć w nich umiał poważną, misyonarską naukę z rzewną poezyą. W drugim obrazku na cmentarz prowadzi i szczegółowo opisuje jego furtkę i pomniki; krzyże dębowe, niby żołnierzy postawionych na warcie; z grobów wykwitające jaskrawe piwonie i błękitne toje. A jaki tu gospodarz, jakie życie, historya starego grabarza? Odpowiedzią na to pytanie jeden z następnych obrazków. Dobrym grabarz był synem; po śmierci matki ukochanej cmentarz ukochał; potem na cmentarz się przeniósł, kochał każdy grób, przyozdabiał go kwiatami, a o to najbardziej się starał, aby na każdym grobie był krzyż. Niemniej piękna, pociągająca w innym znów obrazku naszkicowana postać starego Bartłomieja, przewoźnika, co na dniestrowym „promie się wychował i porósł jak ta wodna lilia“.

— Kiedy mię ojciec — opowiadał przewoźnik — z konikiem lub krówką wysłał na odległe pastwisko, a Dniestr znikał przede mną, to mi się tak smutno i tęskno na sercu robiło; zawsze wyszukiwałem takie miejsca, skądbym choć przez gęste krzaki mógł dojrzeć białą Dniestru wodę, skądbym przynajmniej mógł posłyszeć szum fali jego. Do Dniestru zwracało się pomimowolnie i ucho i oko i serce moje. Ależ bo to i piękny ten nasz Dniestr — niemasz podobnej jemu wody... Ja stary i on stary, nigdy się z sobą nie rozłączamy. Dziadek mój był przewoźnikiem, ojciec mój zrósł na tym promie, a po mnie Franek, syn mój będzie wiosłem roztrącał te fale. On to i teraz jak rybka

cały dzień by w wodzie siedział; ot widzicie go tam pod promem, jak się pluska w falach?

— A czy się wam tak nie sprzykrzy, Bartłomieju, ciągle wiosłem pracować i prom ten ciągnąć?

— A czy się przykrzy Dobrodziejowi czytać, rolnikowi ciągle za pługiem chodzić? Oto — pokazując na fale — książka moja, zawsze na niej coś wyczytam; oto rola moja, zawsze z niej coś wyorzę. Innym chleb daje ziemia, a mnie woda. Tylko w zimie to smutno, kiedy lody staną, a prom i ja próżnujemy; ale za to kiedy kra ruszy, a po raz pierwszy promem od brzegu odbiję, to ledwie z radości serce mi nie pęknie. I jakżeby mi się przykrzyć miało, kiedy tu ciągła praca; poczekajcie, niech tylko słońce trochę wyżej się wzniesie, a usłyszycie wołanie: Hej, hej, przewoźniku! dawajcie prom; a ledwie przybiję do jednego brzegu, a tu z drugiego brzegu też same powtarzają się głosy; i w dzień i w nocy nie masz spokojnej chwili; a jeśli się znajdzie jaka, to człowiek zapali lulkę i duma przy brzegu, albo Boga chwali, ot tak jak umie. A różnito ludzie się przewożą; i panowie, i panie, i Żydzi, i wieśniacy, to człowiek zawsze dowie się czegoś nowego, jak to tam na wielkim dzieje się świecie...

Po sympatycznym przewoźniku, równie sympatyczny, wesoły, pobożny, pokorny kwestarz reformacki; poważny gospodarz Wojciech, nigdy nie próżnująca jego żona, serdeczny organista. Cała galerya ludzi dobrych, pracujących, ubogich ale szczęśliwych, o ile na ziemi można być szczęśliwym, — galerya obrazów prawdziwie w słońcu malowanych.

Wespół z hymnami i pieśniami, wespół z powiastkami ubranemi w rymowaną i nierymowaną szatę, słał Antoniewicz pod wieśniacze strzechy długie szeregi ściśle pobożnych broszurek i książeczek; słał pod wieśniacze strzechy, ale zaglądały one po drodze i do mieszczańskich dworków i do pańskich pałaców, a wszędzie znajdowały gościnne przyjęcie i hojnie za nie się odpłacały nauką i pociechą. Jedne z tych książeczek są jakby powtórzeniem i przypomnieniem w nieco odmiennej formie nauk głoszonych na misyach; inne wpajają w serca ogólne zasady

pobożnego, świątobliwego życia, lub uczą jak pokochać i praktykować pewne cnoty najbardziej potrzebne, najbardziej będące na czasie; jeszcze inne rzucają na te same nauki nowe pęki światła z przykładów pozostawionuch przez świętych; uczą, poddają, jak ukochaną już cnotę sobie i innym wypraszać.

Najchętniej pisał Antoniewicz dla ludu; uważał nie bez słuszności, że najżyźniejsza to gleba, a jednocześnie najmniej obrobiona. Ale jak w bezpośredniej kapłańskiej pracy nad duszami, na ambonie i w konfesyonale, nikogo nie wykluczał i wedle apostolskiego przykładu i napomnienia starał się dla wszystkich być wszystkiem, tak i pisarskie mozoły poświęcał nietylko biednym, ale i bogatym, nietylko prostaczkom, ale i uczonym. Grono graefenbergskich, krasiczyńskich, krakowskich, poznańskich przyjaciół zarzucało go prośbami, to o artykuł do znanego już nam, w ściśle katolickim duchu redagowanego *Dzwonka,* to o wytłumaczenie tej lub innej, bardziej umysły poruszającej kwestyi; to znów o zjednanie umysłów dla jakiegoś podjętego w imię boże dzieła. Czyż można było takim prośbom odmówić? W pośpiechu, na popasie, między jedną a drugą misyą, chwytał Antoniewicz za pióro i słał najprzód do Krasiczyna, potem do *Dzwonka* prześliczne listy „O powołaniu kobiety“; rozbierał, jakiem ma być wychowanie dzieci, katolickie i polskie; jaką rozumna miłość rodziców, jakim prawdziwy patryotyzm; kreślił znane nam z poprzednich rozdziałów rzewne „Wspomnienia z cichego domku“ graefenbergskiego, „Wspomnienia życia zakonnego“; lub opisywał czem jest, jak wygląda „Ochronka“ dla biednych sierot; czem jest, jak wygląda „Cerownia“ i do serc miłosiernych pukał: „Pomagajcie, dajcie, a będzie wam dane“.

Plan listów „O powołaniu kobiety“, niestety! nie w całej pełni wykonany, tak sam autor w drugim z kolei liście szkicuje [1]:

W pierwszym liście „w ogólności wyłożyłem zdanie i myśli moje tyczące się powołania kobiety... W tym i w następnych listach skreślę pokrótce: czego Bóg, czego świat wymaga od ko-

[1] Listów tych spisanych we Lwowie i w „cichym domku na kolonii graefenburgskiej“, na prośbę ks. Sapieżyny jest pięć; z tych trzy pierwsze drukowane były w *Dzwonku,* dwa ostatnie pozostają dotąd w rękopisie.

biety; jak tym, tak sprzecznym żądaniom zadość uczynić może, a działając w małem kole powołania swego, działać błogosławieństwem na całe przyszłe pokolenia; a zbawiając duszę swoję, przyczynić się do zbawienia tych, których Bóg poruczył pieczy jej. Przeprowadzę cię przez cały ciąg pielgrzymki kobiety, wyłożę jej obowiązki, jej szczęście i cierpienie, jako dziewicy, oblubienicy, żony, matki, pani lub sługi, a zawsze z jednego stanowiska, tj. ze stanowiska wiary katolickiej... Nie sądź i nie wymagaj tego odemnie, abym ci moralną w drobiazgowym rozbiorze napisał książkę. Pisząc w tej samotności, czerpię jedynie uwagi moje z serca i ewangelii. Piszę do ciebie u stóp krzyża, tej wielkiej księgi mądrości, której pieczęć tylko wiara zdjąć może. A u stóp tego krzyża widzę Maryę, która jest wzorem wszelkiej doskonałości dla kobiety, w jakiemkolwiek położeniu się znajduje".

Nadzwyczaj trafne i po dziś dzień na czasie są uwagi, które określają różnicę zachodzącą między wychowaniem a wykształceniem dziecka i rolę, która matce w jednem a w drugiem przypada:

„Matki wieku naszego z nielicznemi wyjątkami kształcą, ale nie wychowują dzieci swoich. Wychowanie zajmuje się sercem, wykształcenie rozumem. Wykształcenie jest tylko jedną, małą cząstką wychowania, a my ją za całość bierzemy i dlatego widzimy dziś więcej ludzi dobrze wykształconych, niż dobrze wychowanych, więcej ludzi rozumu, niż serca, więcej ludzi teoryi niż praktyki, bo wykształcenie na teoryi czczych formułek poprzestaje, wychowanie przechodzi w praktyczność życia. Znajdziem dziś ludzi dobrze wychowanych bez wykształcenia, którzy zawsze są pożyteczni społeczeństwu. Znajdziem ludzi wykształconych bez wychowania, którzy częstokroć są tylko zawadą i zgubą społeczeństwa. Dobre wychowanie od matek zależy".

Powołanie kobiety jako matki nie ogranicza się na obowiązkach macierzyńskich w ścisłem tego słowa znaczeniu, sięga dalej — do całego narodu, a w szczególności do ludu naszego. Lecz rozważmy, zapytajmy wprzód, czem u nas lud był i jest; jak u nas stoi „kwestya ludowa"?

„Jest to kwestya żywotna, którą niestety! mało kto zrozu-

miał i pojął; mieliśmy tego tak smutne dowody w r. 1846 i 1848. W r. 1846 ogólna klątwa rzuconą była na lud nasz, tego nowego Kaina, bratnią krwią zbroczonego. Lud polski stanął jako uosobiona zbrodnia przed sądem bez miłosierdzia i wyrok wypadł bez zlitowania... To rzecz łatwa do pojęcia i inaczej być nie mogło; lecz sprawiedliwość i miłość kraju wymaga wejść w szczegółowy rozbiór tej zbrodni i anatomicznym nożem rozebrać serce ludu polskiego.

...„Złość nieprzyjaciół naszych wywołała tę zbrodnię, ale przysposobienie do tego już było w sercu ludu, tak, że ten głos znalazł echo. Zabójstwo to materyalne wywołane zostało przez zabójstwo duchowe, spełniane przez lat tyle na sercu, myśli i uczuciu ludu naszego; nie mówię tu o zabójstwie czynnem, ale o zabójstwie biernem. Bo może Bóg nie tyle nas karze za to złe, cośmy względem ludu uczynili, jak za to dobre, cośmy mogli i powinni byli uczynić, a nie uczynili... O duchownem i moralnem wychowaniu ludu aniśmy pomyśleli, przynajmniej z bardzo nielicznymi wyjątkami — tak, jakby ten lud zupełnie bezdusznym był ludem. I ten to grzech sprowadził na nas karę 1846 r...

„Przyszedł rok 1848, a w tym roku popadliśmy w błąd zupełnie przeciwny i daliśmy smutny dowód zupełnej nieznajomości ludu naszego. Bolesno i śmieszno było patrzeć na ten zapał — w niektórych udany, w niektórych prawdziwy — czułości i tkliwości dla ludu naszego. Chciano gwałtownie ten lud zidealizować; wmawiano w niego jakieś uczucia szlachetne, wzniosłe, delikatne, których w jego sercu ani najmniejszego nie było zarodu... Lud nie mogąc nas zrozumieć, bośmy się sami nierozumieli, upatrywał w tych miłosnych oświadczynach nowe zdrady i podstępy, a byli tacy, którzy z tego niedowiarstwa korzystać umieli. I tak to, co lud do nas przyciągnąć miało, jeszcze go bardziej od nas oddaliło. A gdy w klubach i salonach ludową kwestyę rozbierano, lud rozbierał kwestyę szlachecką w karczmach i po jarmarkach“...

„Nasze Polki w tym względzie niemało mają sobie do wyrzucenia. Z sercem gorącem, które, gdy rozsądek nie przyjdzie

w pomoc, zawsze o ostateczność zawadzi; z rozumem przez czytanie złych książek omroczonym i skrzywionym, ze źle pojętą miłością ojczyzny, żyjąc bardziej w świecie wyobraźni, jak rzeczywistości, źle oświecone w wierze, zapoznając powołanie swoje, rzuciły się na to apostolstwo filantropiczne. Zaczęły odkrywać dziwne jakieś usposobienia w sercu ludu, a wyegzaltowawszy głowy swoje, chciały wmówić w lud to, co w siebie wmówiły. Lud słuchał, kłaniał się nisko i potakiwał, ale zdrowego nie wyrzekał się rozsądku. Jako dziś niestety! niejedna matka uważa dziecko swoje niby zabawkę, tak też i niejedna z tem wielkiem dzieckiem, z ludem bawić się chciała. Ale taka zabawka bardzo niebezpieczna, bo lud ze sobą igrać nie da"...

„Co czynisz dla ludu, nie czyń dla własnej pociechy, ale czyń z obowiązku. Wiem, że dzisiejsze położenie każdej z was jest bardzo przykre; trzeba wiele cnoty, wytrwałości, cierpliwości, zaprzenia, miłości... Mało kto ci poradzi, wielu odradzi; mało kto zachęci, wielu zniechęci. O! nie zważaj na to! Jak będziesz chciała źle robić, każdy ci pomoże; do dobrego mało kto! Bo to najłatwiej umyć sobie ręce i powiedzieć: Ja jestem niewinny zguby tego ludu. Ty to powiesz, ale czy Bóg to uzna?"

Najpierwszem, najważniejszem zadaniem matki należyte wychowanie dzieci; obowiązkiem dziecka wdzięczność, miłość rodziców. Do obu tych obowiązków wraca Antoniewicz raz po raz w listach swych, przemowach, pismach [1]. Obowiązkiem pani rozumna, chrześcijańska, czynami, nie pięknie brzmiącemi słowami stwierdzona miłość ludu. A jakie obowiązki dobrej Polki; na czem zasadza się prawdziwy zdrowy patryotyzm? Częściową odpowiedź daje Antoniewicz w „Rozmowie o zmroku wieczornym [2]; częściową, bo i ta rozmowa znowu niestęty! po pierwszym wieczorze się przerywa. Do spisania drugiej części, drugiego wieczora, zapowiedzianego w ostatnich zdaniach, nigdy się autor nie zabrał. Ale i ta częściowa odpowiedź tak rozumna

[1] Por. urywek „O wychowaniu", umieszczony w *Pokłosiu* z r. 1856; „O miłości rodziców" w *Pokłosiu* z r. 1854.

[2] Taki tytuł w rękopisie. W druku ukazała się „Rozmowa" pod nieco zmienionym tytułem: „Wieczorna Pogadanka". Lwów 1850.

tyle w niej prawd, aż do przesytu późniejszemi gorzkiemi doświadczeniami udowodnionych, że prawie wierzyć się nie chce, że przestrogi te padły nie przed trzydziestu, przed dwudziestu, ale przed blisko pięćdziesięciu latami. Nie słuchano Skargi, gdy przyszłe uciski przepowiadał; cóż dziwnego, że Antoniewicz nie znalazł posłuchu?

— Jestem Polką — woła pani N. z obliczem dumą, radością rozpromienionem.

— „Jesteś Polką? — pyta jakby z niedowierzaniem rozmawiający z nią, sam pisarz oczywiście. Czy pojmujesz Pani wagę i całe znaczenie słowa tego? Czy znasz Pani te powinności, które ono na Ciebie wkłada i czy je wypełniasz? Czas już, czas, abyśmy raz do prawdy przyszli; abyśmy wyszli z tych błędników, urojeń, marzeń, po których nas miłość własna złudnie i zdradnie, na nasze i kraju nieszczęście, przeprowadza... Nie urodzeniem Twojem na polskiej ziemi, lub pochodzeniem z polskich przodków — bo to jest traf ślepy — ale zasługą i cnotą Polką być powinnaś".

...„Zdeptani, znękani, wzgardzeni jesteśmy. Dlaczego?... Dlatego, że prawda jest jakby wyklętą u nas i prawda na równi stoi ze zdradą; że rozsądek napiętnowany jest pogardliwem mianem tchórzostwa; że rozwaga jest brakiem patryotyzmu; że w szalę zamętu wszystko rzucając chcemy siebie i Polskę zbawić; że chwilową egzaltacyą chcemy pokryć niedołęstwo i sobkostwo nasze, a nie pojmujemy, ani chcemy pojąć tego spokojnego, cichego, trwałego, uporczywego nawet działania, które się niczem ani zrazić, ani wstrzymać nie da, a które jedynie do pożądanego może doprowadzić nas celu!..."

...„Skarżymy się na zapory, stawiane rozwojowi ducha naszego narodowego — i słusznie! Ale najpierw oskarżmy siebie samych, bo go nie rozwijamy tam, gdzie go rozwinąć możemy; nie rozwijamy go w sercach naszych i w głowach naszych. Czujemy nie po polsku, myślimy nie po polsku. Francusczyzna, angielszczyzna, niemczyzna wygnały polszczyznę z serc naszych... A czyż właśnie źle zrozumiany i pojęty patryotyzm nie jest jedną z najgłówniejszych przyczyn, dla których do ojczyzny

przyjść nie możem?... W naszych czasach między innemi przyczynami, źle zrozumiany patryotyzm kobiet, źle zrozumiany patryotyzm księży, niemało nowych, bolesnych ran nam zadał"...

Pisząc, co Antoniewicz piórem działał i zdziałał, niepodobna przejść do porządku dziennego nad jego listami. Wielu znakomitych pisarzy głównie, bywa, że i wyłącznie listom zawdzięcza swą sławę; nie sięgając myślą w dalekie, rzymskie czasy, ograniczając się na dziale listów pobożnych, apostolskich dość wspomnieć miodopłynne listy św. Franciszka Salezego; to głębokie, mistyczne, to znów z niezrównaną praktycznością schodzące do najdrobniejszych szczegółów listy św. Teresy; poważne, hetmańskie odezwy, uniwersały św. Ignacego. Listy Antoniewicza najbardziej może zbliżone do pierwszego z tych mistrzów. Słodycz z powagą się łączy; poetyczne tchnienie okrasza surowe, chrześcijańskie rady; serdeczna wyrozumiałość na ludzkie biedy, zrozumienie wszystkich potrzeb, wszystkich wymagań, podsuwa pod pióro słowa, które prowadzą, krzepią, leczą — nigdy nie ranią. Kiedy Antoniewicz przy tylu innych zajęciach, nieraz wśród najgorętszej misyjnej pracy znalazł czas do zapełniania tych stosów i stosów długich, szerokich, gęsto od wierzchu do dołu zapisanych ćwiartek papieru, które szły później na wszystkie strony niosąc pociechę, radę, wszędzie gdzie pociechy, rady było potrzeba? Ci, którzy razem z nim pracowali, opowiadali później, że nie mogli się dość nadziwić błyskawicznej szybkości, z jaką pióro po listowym papierze pędziło; dziwili się tem bardziej, że Antoniewicz jednocześnie nic w pisaniu sobie nie przerywając, słuchał i odpowiadał na ich zapytania, wydawał potrzebne rozporządzenia, rzucał czasem w koło gwarzących opodal braci wesołą lub poważną uwagę. Istotnie tak tylko powstać mogły te grube, z głęboką czcią w niejednym polskim domu przechowywane tomy, z których drobna jedynie cząstka okazała się w druku. Ale w samych listach napróżnobyś szukał namacalnego potwierdzenia tej ustnej tradycyi; nigdzie niema przekreślań, roztargnień, powtórzeń.

Najznaczniejsza część listów odnosi się bezpośrednio do

służby bożej, do wewnętrznych spraw duszy; dzieło rozpoczęte z pewnemi wybranemi duszami w konfesyonale i w ustnej rozmowie, ciągnął Antoniewicz dalej w rozmowie listownej, wskazując coraz wyższe stopnie doskonałości, ucząc jak na nie wstępować. Długi, bardzo długi szereg listów do ks. Sapieżyny, do br. Konopczyny, do rodziny Morawskich, do mgr. Wielopolskiej i innych, mógłby, w umiejętnem skróceniu i zestawieniu posłużyć za pewnego rodzaju kurs chrześcijańskiej doskonałości. W innych listach odsłania Antoniewicz z chwytającą za serce prostotą, najskrytsze tajniki własnej duszy; to znowu jakby drugi tom, w formę „Wyznań“ ujęty, przewodnika na drodze doskonałości. Nie brak naturalnie i listów omawiających bardziej ziemskie, ale zawsze dla Boga podjęte, do Boga skierowane sprawy. Nie brak listów, zaadresowanych zwłaszcza do zakonnych braci, z których tryska tak szczera, rzekłbyś dziecięca wesołość; że ktoby Antoniewicza znał jedynie z tych listów, musiałby sobie wyrobić o jego zwykłem usposobieniu wręcz fałszywe pojęcie. Nieraz mieliśmy i mieć jeszcze będziemy sposobność podać na kartkach tego życiorysu dłuższe lub krótsze ustępy z tych różnorodnych, różnego smaku i rodzaju listów; owszem niektóre rozdziały prawie w całości z tych listów splecione; nie mamy więc teraz potrzeby rozwodzić się obszerniej nad ich stylem i formą, tem bardziej nie mamy chyba racyi wyjaśniać na tem miejscu cytatami, jaki czar wkoło siebie musiały roztaczać, jakie było ich znaczenie, dla tych, do których były skierowane, dla wszystkich, którzy z nich w jakibądź sposób korzystać mogli: w całości czy w urywkach, w odpisach, czy w druku.

Korzyści, jakie z odczytywania tych listów czuli w sobie i widzieli w innych, skłoniły niektórych przyjaciół i wielbicieli Antoniewicza do ogłoszenia drukiem jeszcze za życia piszącego, pewnych, znaczniejszych z nich wyjątków. Kolejno ukazały się trzy takie zbiory: „Listy z zakonu“, „Listy w duchu bożym do przyjaciół“ i „Poselstwo duchowe ku ludziom“ [1]. Myśl, zamiar

[1] „Listy z zakonu“. Poznań 1849. Str. 114. — „Listy w duchu bożym do przyjaciół“. Kraków 1850. Str. IV i 128. Drugie wydanie okazało się

wydawców był z pewnością najlepszy; mieli w swym ręku drogocenny skarb, którym sami dość nacieszyć się nie mogli, i pragnęli nim z innymi się podzielić. Inna kwestya, czy nie zbyt z wydaniem tem się pospieszono, czy w każdym razie nie należało większego doboru i wyboru w nich zachować? Najpoważniejsze współczesne pismo polskie: *Przegląd Poznański*, którego redaktorzy żywili dla Antoniewicza serdeczną przyjaźń i cześć najgłębszą, wyraził jednak w tym względzie poważne wątpliwości [2]:

„Pozwolimy sobie jednę uwagę zrobić. Rzadko wypada ogłaszać listy osób żyjących. Jest coś rażącego w tem odsłonieniu przed publicznością rzeczy tajnych z natury, bolów serca i walk wewnętrznych, także pociech duchownych, które tem więcej mają zwykłe ceny, im w większej cichości wzrosły i dojrzały. To co po śmierci pobożnego autora może ku zbudowaniu posłużyć, za jego życia niema uroku, niema powagi, jakie duchownym pismom przystoją. Szczegóły osobiste dla nieznajomych często za blade i drobne. Niedość ich, by całkiem z piszącym zapoznać; za wiele, żeby wstrzymać od zbytniego spoufalenia się z nim... W listach ks. Antoniewicza jest bardzo wiele pięknych, bardzo budujących ustępów, ale z wyjątkiem opisów misyj, znajdujemy, że przedwcześnie na świat się okazały. Bądź co bądź, odpowiedzialność za to rzucamy na nieoględną skwapliwość przyjaciół zacnego kaznodziei i pisarza; sam on pewnie tej jawności dla poufnych swych zwierzeń nie szukał".

Uwagi te wyrażone z powodu ukazania się „Listów z zakonu"' odnoszą się w wyższym jeszcze stopniu do listów ogłoszonych w „Poselstwie duchowem ku ludziom"; trzeci zbiór „Listy w duchu bożym do przyjaciół", najmniej stosunkowo, dzięki taktowi wydawcy, p. Wielogłowskiego, zasługuje na słuszne zarzuty. Sam Antoniewicz bardzo był niezadowolony z okazania się listów, a zwłaszcza z „Poselstwa"; przed zaufanymi nie taił się z tem niezadowoleniem, ale co się raz stało, tego nie

---

również w Krakowie r. 1857. — „Poselstwo duchowe ku ludziom". Poznań 1850. Str. II. i 238.

można było odrobić. O jakichś publicznych protestach czy zastrzeżeniach nie mogło być mowy i ze względu na niewątpliwie najlepszą wolę i stanowisko wydawców, i poprostu dlatego, że wszystkie te zastrzeżenia niby ostatecznie nie pomogły, a całą sprawę bardziejby jeszcze zabagniły. Trzeba więc było poprostu i tę przykrość do wielu innych dołączyć i Bogu w milczeniu złożyć ją w ofierze [1].

Płynęły serdeczne pieśni i budziły w duszach słuchaczów pobożne uczucia, przepełniające duszę poety; szły między lud z życia ludu wyjęte opowiadania; szły do dworków i pałaców miłość bożą rozpalające listy; rozchodziły się po całej Polsce drobne, skromne, ale niemniej ukochane, z niemniejszym wszędzie witane zapałem, pobożne książeczki.

Czytali je mali, czytali wielcy i uczeni. Chłopi rozkoszowali się broszurkami Antoniewicza, a jednocześnie Zygmunt Krasiński pisał o nich [2]:

„Woś Morawski przesłał mi niedawno trzy broszurki ks. Antoniewicza. Nie mogę się dość wydziwić prześlicznej naiwności gładkości i namiętności stylu. Pejzażysty tak oryginalnego i doskonałego, w kilku słowach malującego okolicę całą; dotąd w języku polskim nie spotkałem, a czasem znów zdaje się człowiekowi, że nagle skądziś, z niebios zapewne, Piotr Skarga przemówił...“

I dziś jeszcze te opowiadania, te książeczki ukochane, i dziś ileż jeszcze robią dobrego; ilu duszom przynoszą naukę, wzmo-

[1] Niemałą przykrość sprawiła Antoniewiczowi ocena, jaka pojawiła się o „Listach z zakonu“ w czasopiśmie *Krzyż a miecz* w r. 1850, nr. 7. Ocena ta pozornie dla autora bardzo pochlebna, w gruncie rzeczy rzucała nań prawdziwe obelgi. Recenzent wmówić się starał w swych czytelników, że Antoniewicz myli się zupełnie, kiedy mieni się być Jezuitą: „nie suknia bowiem czyni Jezuitą, ale duch jezuicki, a duch autora bynajmniej nie był jezuickim...“ „Nie wyparł on się wcale — czytamy dalej w tej ocenie — Polski dla Rzymu, miłuje on ojczyznę szczerze i serdecznie, kocha lud polski po bratersku... Czyż taki człowiek może być Jezuitą?.. “

Czem ja sobie na taką krzywdę zasłużyłem? pytał Antoniewicz z żalem po przeczytaniu tej oceny, niewiedzieć, czy bardziej złośliwej, czy naiwnej.

[2] Do Stan. Koźmiana. Z Heidelbergu 3 stycznia 1851 r.

cnienie, pociechę! Jednoczesnie z Antoniewiczem puszczało w świat swe głębokie prace, swe fantazyjne utwory wielu uczonych, poetów, którzy w poprawności jezyka, nauce, logicznym układzie i rozkładzie swych dzieł, literackich zaletach, stali o całą głowę wyżej od zawsze dorywczo tylko chwytającego za pióro zakonnika. A jednak wieluż z nich zwycięsko próbę czasu; iluż z nich nazwiska żyją w ludzkiej pamięci: iluż z nich książki znane są po dziś dzień nie samym wyłącznie bibliotekarzom i historykom literatury? Pobożne, ludowe pisemka Antoniewicza przeszły próbę czasu; nie ma obawy, aby prędzej czy później miały za jedynych admiratorów bibliotekarskie mole. Jest w nich talizman, który nie dozwala im się zestarzeć, a choćby tylko na blasku stracić; ten sam talizman, który chroni od starości, od zapomnienia pisma, dzieła świętych. Literackie mody zmieniają się, dowcip wietrzeje, stylowe zalety nie są ocenione i rozumiane nieraz już w następnem pokoleniu. pisma pełne miłości ludu, a miłością bożą natchnione mniej zawsze tym zmiennym kolejom ulegają; powiedzieć można, że boża wieczność rzuca na nie promienie.

Ks. Jan Badeni.

Z PAMIĘTNIKÓW JENERAŁA CHŁAPOWSKIEGO.

VII. Bitwa pod Wagram 6 lipca; pod Znaim 10 lipca.

Zaraz po bitwie pod Essling cesarz kazał był postawić most jeden na słupach na pierwszej odnodze Dunaju, a dwa, także na słupach, na drugiej, która oddzielała wyspę Lobau. Trzecia odnoga mniej szeroka. Przygotowano na wyspie Lobau materyały na 6 mostów na niej.

Z Francyi przychodziły wciąż marszowe kolumny *(colonnes de marche)*, złożone z całych kompanij i z batalionów, których zakłady miał każdy regiment, będący w armii, z rannych i chorych, wyzdrowiałych po różnych szpitalach, urządzonych w miasteczkach od Ratyzbony do Wiednia, i nareszcie z rekrutów z Francyi. Największą część tych kolumn przeprawiono łodziami na wyspę Lobau, ażeby skompletować korpusy tam stojące, które najwięcej były ludzi straciły.

Budowano te trzy mosty przez cały miesiąc czerwiec. Przez ten czas cesarz stał w Schoenbrunn, ale wyjeżdżał konno prawie co dzień, najczęściej do Ebersdorf, dla przyspieszenia budowy mostów. Objeżdżał też kolejno obozy, stojące w około Wiednia. Zjeżdżało się przez ten czas wielu oficerów z wojsk sprzymierzonych, przybyło raz nawet dwóch rosyjskich, major Gorgoli, bardzo do rzeczy człowiek, i podporucznik Czerniszew. Był jeden oficer szwedzki, a najwięcej niemieckich. Od naszej polskiej armii po kilkakroć przybywali oficerowie, wysyłani przez księcia Poniatowskiego. Pomiędzy nimi jednak zajął mię najmocniej nie

żaden wojskowy, ale pan Ignacy Potocki, którego, nie wiem po co, cesarz był do siebie sprowadził. Miał on z cesarzem kilka rozmów bez świadków. Był to człowiek nadzwyczaj skromny, gładki, rozsądny, wszystko było w nim przeciwne jak w bracie jego Stanisławie, którego znałem w Warszawie i Paryżu. Pan Ignacy nie wydawał się zadowolonym z rozmów z cesarzem i powrócił do kraju z małą bardzo otuchą.

Bywaliśmy także często w Wiedniu, ale cesarz tylko przez miasto przejeżdżał, kiedy koniecznie droga najbliższa tamtędy wiodła. Aktorowie opery wiedeńskiej grali kilka razy na tydzień w teatrze w Schoenbrunn. Prócz oficerów, bywały i osoby cywilne z Wiednia, które o bilety prosiły. Ogółem, dziwne jest usposobienie tej ludności. Byłem w Wiedniu w teatrze, pełno zastałem tam kobiet, a w Praterze wiele bardzo widać było eleganckich powozów, napełnionych strojnemi damami i mężczyznami, jak gdyby im zajęcie przez Francuzów obojętnem było. Nie tak się działo w Warszawie, gdy ją Austryacy zajęli, żałoba była ogólna od najwyższych do najniższych. Trzeba jednak pamiętać, że szlachta austryacka opuściła była Wiedeń jeszcze przed wejściem wojska francuskiego, a zatem ludność, którą widziałem w teatrze lub po spacerach. składała się po większej części z kupców i żon ich. Słyszałem przecież kilka imion szlacheckich pomiędzy damami, które pozostały w mieście i z Francuzami w najlepsze się bawiły. Wiedeń i okolica wyglądały jak w pokoju zupełnym. Francuzi zatrudniali wielu rzemieślników, osobliwie kareciarzy, ci więc kontenci byli. Ja także koczyk kupiłem.

Przez przeciąg tego czasu jeszczem raz był wysłany do Raab. Miałem i do marszałka Davousta, i do ks. Eugeniusza różne zlecenia, które mi cesarz w krótkości dyktował. Jadąc do Davousta do Raab zastawałem już po całej drodze naszą lekką jazdę, która wszędzie w najlepszej harmonii z mieszkańcami przebywała; w kilku miejscach widziałem Francuzów, tańcujących pod cieniem drzew z Słowiankami, parobcy też miejscowi, ubrani w mundury francuskie, bawili się z nimi pospołu, a żołnierze chętnie pozwalali im brać te mundury, bo ich to bardzo cieszyło.

Wszędzie po drodze było huczno i wesoło, a pocztylioni Słowacy, gdym przemawiał do nich po polsku, doskonale i prędko jechali.

Dnia 1 lipca ukończono mosty mocno zbudowane na palach. Cesarz 2-go na wyspę Lobau przybył i pod namiotem stanął. Książę Eugeniusz z korpusem całym przymaszerował 3-go. Trzy bataliony tylko z Raab ku Komarnu wśród dnia rozwlekłemi kolumnami po dwóch pomaszerowały, aby Austryacy ten ruch widzieli. Takiż sam manewr zrobił marszałek Davoust, wysłał kilka batalionów nad samym Dunajem na wschód, ale jedne i drugie dłuższą i odleglejszą drogą od Dunaju powróciły do korpusów swoich.

Wyspa Lobau przedstawiała bardzo piękny widok. Jest ona pokryta drzewami, pomiędzy któremi rozciągają się obszerne murawy. Na całej przestrzeni wznosiły się ładne baraki, pobudowane przez żołnierzy francuskich. Domu tam żadnego, ani mieszkańca nie było.

3-go spadł ogromny deszcz tak, że cesarz cały dzień nie wyszedł z namiotu. Namiot jego był złożony z trzech połączonych ze sobą wzdłuż. Pierwszy był służbowy dla nas, i tam też spaliśmy wszyscy. W środkowym cesarz spał sam na łóżku składanem, takiż był stołek i kilka krzesełek i słupek z kołkami, na którym mapy wieszał. Tylny namiot zajmował sekretarz, i kilku ludzi cesarskich zawsze tam było.

Całą noc deszcz padał. Gdy nad ranem wyszedł cesarz, zbliżył się do stojącego na prawo grenadyera (a dwóch ich zawsze stało na warcie) i rzekł mu: Przyjacielu, brzydki czas *(mon ami, fichu temps);* — a ten mu odpowiedział: Lepszy, jak żaden *(vaut mieux que pas du tout).*

4-go z południa wyjaśniało. Wieczorem na przygotowane łódki siadło 6.000 grenadyerów i woltyżerów z bindami na lewym rękawie, ażeby się w nocy poznać mogli, i w prawo wyspy przeprawiło się przez ostatnią odnogę Dunaju. Wysiedli oni na prawo miasteczka Enzersdorf bez żadnego oporu ze strony nieprzyjaciela, który się przygotował na nasze przejście w tem samem miejscu, w którem rzuciliśmy most, idąc na bitwę pod Aspern.

Naprzeciw tego punktu, w odległości wystrzału usypali Austyacy bateryę, o czem cesarz wiedział i dlatego o pół lub o trzy ćwierci mili bardziej w prawo przejście ostatniej odnogi zadecydował. Po wylądowaniu o 10-tej w nocy tych 6.000 grenadyerów na drugą stronę, rzucono zaraz 6 przygotowanych mostów, i o 2-giej już wojsko nasze przechodzić zaczęło; razem po dwóch mostach piechota, jednocześnie jazda po dwóch innych, a nareszcie artylerya po ostatnich. Czoła kolumn tak stanęły, że przechód w największem odbył się porządku i do 6-tej z rana 6 korpusów przeszło. Korpus marszałka Davousta skrzydło prawe, Oudinot przy nim, Sasi pod Bernadottem, armia włoska (trzy korpusy, ale słabsze) środek, a marszałek Massena lewe skrzydło stanowił. Gwardye, korpus bawarski i 10.000 z Illyryi pod Marmontem tworzyły rezerwę bardzo liczną. Gwardye i te korpusy przeszły most na ostatku i dopiero 5-go wieczorem za nami je zobaczyłem. W tym samym dniu Baraguay d' Hilliers, który był został naprzeciw Preszburga, i trzy bataliony, w Raab zostawione, ukazały się w marszu ku wschodowi, czem omylony arcyksiążę Jan, który był do Preszburga przymaszerował, ruszył z Preszburga ku Komorn, a zatem oddalił się od głównej armii arcyksięcia Karola, i tym to sposobem 50.000 jego wojska nie przyszło na czas na batalię 6-go pod Wagram.

Po przejściu wszystkich korpusów, cesarz myśląc, że Austryacy będą się trzymali w redutach, które pobudowali między Aspern i Essling, rozwinął dwie linie od Enzersdorf w prawo, aby zaatakować arcyksięcia Karola z lewego boku. Lecz arcyksiążę, po naszem przejściu na innem miejscu, jak się spodziewał, opuścił szańce i obrał położenie na wzgórkach za Wagram, opierając prawe swe skrzydło o Dunaj.

O 8-ej z rana wszystkie linie nasze zaczęły postępować naprzód. Tylko kawaleryę nieprzyjacielską widzieliśmy cofającą się wolno przed nami. Cały dzień rozwinięci postępowaliśmy powoli, nie wiedząc, gdzie zastaniemy armię austryacką, aż dopiero o 5-tej z południa spostrzegliśmy ich linie piechoty w lewo i prawo Wagram na wzgórkach. Sasi pod Bernadottem szli wprost na tę wieś i właśnie wchodzili do niej, gdy poczynało się ście-

mniać. Tymczasem grenadyery i woltyżery Oudinota, postąpiwszy na prawo Sasów i zbliżywszy się do Wagram, zmyleni białemi ich mundurami, zaczęli do wsi strzelać tak, że nim dowódzcy omyłkę spostrzegli, nietylko wiele Sasów, którzy, poznawszy Francuzów, nie odstrzeliwali, zginęło, ale reszta się pomięszała, uciekać zaczęła, a stąd cały ten korpus saski tak się pomięszał, iż go w nocy już zebrać nie zdołano.

Przed samym także wieczorem marszałek Davoust postąpił z prawem skrzydłem aż naprzeciw lewego austryackiego i tam zaraz atak rozpoczął. Cesarz widząc teraz już całą armię arcyksięcia przed sobą, rozesłał oficerów do wszystkich korpusów, ażeby stanęły w miejscu i jeść sobie gotowały.

Na kilkunastu bębnach, po trzy jeden na drugim, rozciągnięto namiot cesarski, pod którym cesarz się położył, a my wszyscy wokoło pod gołem niebem.

6-go lipca o w pół do 4-tej z rana obudzono nas. Lokaje cesarscy przyszli do nas z zaproszeniem na obiad. O kilka kroków od namiotu cesarskiego znaleźliśmy sute jedzenie, zastawione na czaprakach rozciągniętych na ziemi, i był to obiad cały, jakby w Paryżu: zupa, kilkanaście różnych potraw, wszelkie wina; a ponieważ w wilią nikt z nas nie jadł, tylko to, co miał przy sobie lub co któremu przypadkiem służba cesarska podała, jedliśmy z wielkim apetytem, żartując pomiędzy sobą, że pewnie już nie wszyscy będziem tak na drugi dzień biesiadowali.

Jeszcześmy po rzymsku przy tym obiedzie leżeli, kiedy Austryacy rozpoczęli atak na Davousta, a zatem swojem lewem na nasze prawe skrzydło mocnym działowym ogniem. W tejże samej chwili cała armia nasza stawała do broni, i muzyki na pobudkę na całej linii pięknie regimentami jedna po drugiej grały. Wkrótce jednak grzmot dział je zagłuszył. Rozwidniało, już byliśmy na koniach, ale nie ruszyliśmy z miejsca. Najpiękniejszy widok, jaki w życiu oglądać mi się zdarzyło, teraz się przed nami rozwinął. Całą armię austryacką, prawe skrzydło od Dunaju, lewe aż po za Wagram, nasze lewe także o Dunaj oparte od Aspern, prawe aż poza Wagram, widać było mniej więcej na milę odległości. Nasza armia w tym samym była po-

rządku co w wilią, to jest Massena prowadził lewe skrzydło, po jego prawej stała armia włoska, za nią brygada już tylko saska, bo resztę w tył odesłano, Oudinot trzymał położenie na prawo Wagram, Davoust stanowił prawe skrzydło, dalej jeszcze stała dywizya lekkiej jazdy, a za nim dywizya kirasyerów. Gwardya cała za środkiem z cesarzem, a na prawo opodal za Oudinotem dwie dywizye kirasyerów, za gwardyami zaś dwie dywizye Bawarów (trzecia była użytą w Tyrolu), korpus Marmonta i Sasi, których po porażce w wilię porządkowano. Zapewnie cesarz na te korpusa rachował, jeśliby arcyksiążę Jan się zbliżył i dlatego je opodal za armią zatrzymał.

Atak austryacki na nasze prawe skrzydło pod Davoustem był tylko udanym, bo prawdziwy i największemi siłami skierowano na nasze lewe pod Masseną.

O 6-tej z rana na całej milowej przestrzeni, z obu stron artylerya tak mocno grała jak jeszcze nigdy nie słyszałem. Ogień dział wzdłuż obu linii było widać od lewego skrzydła nad Dunajem aż do Oudinota po prawej stronie Wagram na zupełnej płaszczyźnie, a u marszałka Davousta na wzgórku. Cesarz za środkiem, to jest za armią włoską, stał nieporuszony na siwym koniu z perspektywą w ręku, obok niego tylko Berthier, a zaraz za nim dwóch z nas, za nami zaś dwóch szaserów, jeden z mapami, drugi z perspektywą dużą. Skoro cesarz jednego z nas wysłał z rozkazem, zaraz drugi nadjeżdżał w jego miejsce, wszyscy bowiem oficerowie ordynansu i adjutanci Berthiera stali w tyle około 150 kroków dlatego, żeby tylu oficerów razem nie ściągnęło na ten punkt strzałów, które donosiły i przenosiły.

Obie linie coraz się bardziej zbliżały do siebie. Około 8-ej prawe nasze skrzydło pod Davoustem znacznie było postąpiło naprzód, a lewe austryackie pod Rosenbergiem już się rejterowało. Przeciwnie prawe austryackie nad Dunajem postąpiło. Tam arcyksiążę Karol skierował główny atak. Po najmocniejszej kanonadzie wysunęły się na Massenę głębokie kolumny piechoty i tak ostro na jego korpus uderzyły, iż tenże przed przewyższającemi siłami cofać się musiał w kierunku Enzersdorf. Austryacy spiesznym krokiem za Masseną posuwali się, a na ich lewej

stronie ku nam ukazała się liczna kawalerya austryacka, dla zabezpieczenia ich flanki. Czoło tej jazdy, ośm regimentów huzarów, dragonów i kirasyerów (ułani rozwinęli się naprzeciw nas), uderzyło na dywizyą Lassalle'a lekkiej jazdy, która od rana wiele ludzi straciwszy, musiała się rejterować. Jenerał Lassalle zginął w szarży. Widocznem było, że nieprzyjaciel większą część sił swoich na nasze lewe skrzydło skierował, i nic mniej nie zamyślał jak odciąć nas od naszych mostów i jednym zamachem zniszczyć lub zabrać całą armię. Ale tym wielkim swego prawego skrzydła ruchem zanadto rozciągnął linię i środek osłabił.

Cesarz widząc korpus marszałka Masseny cofający się i już w nieładzie, puścił się galopem ku niemu. Spotkaliśmy marszałka Massenę przy ostatniej jego rejterującej się kolumnie, siedział w koczyku, bo był zasłabł, ale pomimo tego w najgęstszym był ogniu. Cesarz dał mu tylko taki rozkaz. Cofaj się aż do mostów jeżeli Austryacy nie staną, za godzinę złożą broń jeżeli dalej postąpią. Poczem skręcił konia i znów galopem powracał na miejsce. Ruszał wzdłuż linii kawaleryi Lassalle'a, która co chwilę do frontu stawała, jadąc pomiędzy linią a flankierami. Pomiędzy tą jazdą a korpusem włoskim stała brygada saska kawaleryi, która się rejterowała, bo traciła bardzo dużo ludzi od kul i już od kartaczy. Cesarz ją zatrzymał, stanąć do frontu kazał, dobył zegarek i rzekł do dowódzcy: „Proszę was tylko stać pół godziny w tym ogniu, za pół godziny ustanie". Potem ruszył na dawne miejsce. Stąd dał następujące rozkazy. Gwardyi polskiej i za nią szaserom kazał pójść kłusem naprzód przed lewe skrzydło armii włoskiej, artyleryi konnej gwardyi kłusem się rozwinąć za niemi na lewo, i dać ognia we flankę Austryakom posuwającym się za Masseną. Macdonaldowi posłał rozkaz uformować kolumny i ruszyć naprzód w lewo Wagram, za nim posunął dwie dywizye kirasyerów, posławszy do Davousta po trzecią, aby i ta z niemi poszła. Kiedy oddawał tę całą kawaleryę pod rozkazy marszałka Bessières, koń tegoż uderzony został kulą armatnią w łopatkę, myślano, że marszałek na miejscu zabity, ale tylko mocną kontuzyę odebrał. Gdy marszałek z koniem się powalił, cesarz tylko odwrócił swego i kazawszy przywołać jenerała Nansouty, po-

wtórzył mu to samo polecenie, które był dał marszałkowi Bessières. „Skoro Macdonald środek linii austryackiej przełamie, dokończyć zwycięstwa dwoma dywizyami, a trzecią, która za niemi zaraz przybędzie, uderzyć na lewo na kolumny posuwające się za Masseną". Dodał, że te kolumny wnet nad Dunajem rejterować się będą i że wesprze go kawaleryą gwardyi.

Gdy artylerya gwardyi w przeciągu mniej niż pół godziny kilkanaście razy ze 60-ciu dział dała ognia, coraz mniej gęste strzały artyleryi austryackiej od tej strony słyszeliśmy. Widać także było, iż Macdonalda nic nie wstrzymało, bo już daleko się posunął, a kirasyery za nim.

Cesarz na mnie skinął i kazał mi zawieść rozkaz szaserom gwardyi, aby gwardyę polską wspierali, a tej aby szarżowała na wszystko co ma przed sobą. Kiedy mi to zlecenie dawał, i gdy prawą ręką unosiłem kapelusz nad głową, jak to był zwyczaj przy odbieraniu rozkazow od cesarza, kula działowa uderzyła mi w kapelusz i o kilkanaście kroków porwała. Cesarz się roześmiał, powiedział mi: „Dobrze żeś nie wyższy" — a potem dokończył rozkazu, ażebym od gwardyi polskiej jechał do Macdonalda i doniósł mu, że austryackie prawe skrzydło nietylko już stanęło, ale rejterować zaczęło, a zatem niech pędzi wszystko co ma przed sobą. „Zostań z Macdonaldem, dodał w końcu, i potrójnym galopem (był to wyraz jego zamiast prędko), powracaj mi opowiedzieć co będziesz widział". Kapelusz mi podał mój kolega, który zsiadł z konia, okurzył go, nie było znaku kuli, musiała już być słabą. Przytoczyłem tu to małe zdarzenie dlatego, że żart cesarza w chwili tak stanowczej najlepiej jego zimną krew maluje.

Dojechałem do szaserów i do gwardyi polskiej, oddałem jenerałowi Krasińskiemu rozkaz cesarza, po czem zaraz przypuściła szarżę na ułanów Schwarzenberga i na dragonów la Tour. Przy tej szarży zdarzył się wypadek, któren mógł pułk o klęskę przyprawić, gdyby nie przytomność Kozietulskiego. Dwa pierwsze szwadrony komenderował gros-major Delaître, Francuz, drugie dwa podpułkownik Kozietulski. Delaître miał wzrok krótki, nosił okulary. Widząc austryackich ułanów gotujących się do ataku

i przeceniając ich siłę chciał się zbliżyć do szaserów, którzy byli w tyle, zakomenderował: *Demi tour à droite,* jako starszy dla całego pułku. Spostrzegł niebezpieczeństwo Kozietulski, że Austryacy wpadną na nich z tyłu, dał więc natychmiast tę samą komendę, a miał śliczny i doniosły głos i ogromne zaufanie w pułku. Tak nasi ułani zrobiwszy dwa razy zwrot, znaleźli się znów frontem do nieprzyjaciela, zrównali się i w tej chwili Kozietulski: „Do ataku broń i marsz, marsz“ zakomenderował. Szarża się powiodła. Nie byłem przy tej szarży, bo dążyłem dalej, naprzód za Macdonaldem, ale później się dowiedziałem, że się powiodła. Zabrano ze 150 ułanów, kilku oficerów, a między nimi pułkownika, księcia Auersberg, ale też oficerowie nasi przyznawali, że łatwo ich było brać, bo ułani poznawszy rodaków, brać się dawali; inaczej w jednej szarży na polu bitwy, pomiędzy dwiema liniami, a zatem na krótkiej przestrzeni, jeden regiment nie jest w stanie wziąść 150 kawalerzystów do niewoli, do tego pogoń musiałaby być dłuższą, albo nieprzyjaciel przyparty do jakiej zawady.

Położenie obu armij było teraz zmienione: nasze lewe skrzydło zupełnie w tyle, nasz środek prawie trzy ćwierci mili naprzód, pomiędzy lewem skrzydłem i środkiem artylerya i kawalerya gwardyi, prawe zaś nasze skrzydło także znacznie naprzód wysunięte.

Arcyksiążę Karol widząc zapewne, że chociaż się jego atak prawem skrzydłem na Massenę udał, to skrzydło to może być przez nasz środek od armii odciętem, musiał dać rozkaz odwrotu. Nie trzeba zapominać o tem, że kto chce oskrzydlić nieprzyjaciela, sam oskrzydlonym być może, bo poddaje zawsze bok jeden, czyli go odsłania. Miał wprawdzie arcyksiążę za środkiem mocną rezerwę, która Macdonaldowi dała wiele do czynienia, ale czy arcyksiążę ją ochraniał, czy też śmiałe postępowanie naprzód Macdonalda zaimponowało mu, dość, że gdym dojechał do Macdonalda, ten powiedział mi, że ani razu Austryacy nie wytrzymali ataku na bagnety i widziałem też jak wciąż się rejterowali, chociaż powinni byli koniecznie tam na środku stanąć i pozycyę utrzymać, dopókiby prawe skrzydło, które już

teraz stamtąd widać było w odwrocie, nie wycofało się. Macdonald wciąż parł naprzód, nieprzyjaciel zatrzymać go usiłował ogniem działowym.

Pozostałem przeszło godzinę przy Macdonaldzie, spodziewając się zawsze, że coś stanowczego cesarzowi przywiozę, ale wiedząc, że czeka na wiadomość z tej strony, powróciłem, zdałem mu raport, mianowicie o tem, że stamtąd widać już było kolumny austryackie rejterujące się nad Dunajem, czego z położenia, na którem stał cesarz, trudno było dostrzedz, bo artylerya nasza, kawalerya nasza i nieprzyjacielska zasłaniała całą lewą stronę, i tu jednak słychać było pomiędzy działowym i ogień ręcznej broni, posuwający się od Enzersdorf ku Stadelau, co dowodziło, że Austryacy się cofali. Wkrótce także powrócił od Masseny kolega mój z raportem, że Austryacy w rejteradzie zupełnej i że Massena za nimi postępuje. Było to około 6-tej wieczorem. Myślę, iż cesarz nie spodziewał się, żeby arcyksiążę Jan dał się był złudzić komedyą, którą kilka batalionów marszem niby ku Komorn odegrało, i mniemał, iż przybędzie na pomoc arcyksięciu Karolowi. Dlatego to trzymał 40.000 wojska, to jest gwardyę, Bawarów i Marmonta w rezerwie.

O 6-tej godzinie ogień na całej linii oddalił się i kule już nawet się do nas nie przytaczały, choć grzmiał równie mocno jak przed godziną.

Około 7-mej kazał mi cesarz znów do Macdonalda pojechać, i dopiero jak tenże już obozem stanie, powrócić. Nie było więc pilno tam jechać, wszystkie też moje konie były pomęczone, puściłem się więc kłusem, i widziałem jakie mnóstwo zabitych leżało po polu i w życie, które gdzieniegdzieś jeszcze stało nie potratowane. Spotykałem także wielu rannych, którzy podnieść się nie mogli i na mnie przejeżdżającego o ratunek wołali. Tu i owdzie chirurgowie pomoc im nieśli, ale wszystkim dać rady nie mogli. Gdy przemieniałem konie, służący cesarski napełnił był mi winem butelkę oplataną, którą miałem w jednym olstrzu, sądząc, że w Niemczech dosyć jednego pistoletu. Zsiadałem więc kilka razy i dawałem z niej napić się kilku zgłodniałym, a przytem rozdzieliłem między nich kawałek chleba

i szynki, które mi włożył w kieszeń od czapraka. Zajechałem do Macdonalda, wymijając wszystkie trzy dywizye kirasyerów, które spokojnie za piechotą maszerowały.

Macdonald zaraz mi oświadczył, że bardzo niekontent z kawaleryi, i polecił mi, żebym od niego powiedział cesarzowi, iż gdyby powinność swą była wypełniła kawalerya, która za nim szła, mielibyśmy 30.000 niewolnika.

Skoro się ściemniło, piechota stanęła obozem naprzeciw Stamersdorf. Powróciłem do cesarza dopiero o 10-tej. Zastałem go przy kolacyi z jenerałem Berthier, już pod namiotem porządnie postawionym, nie na bębnach jak w wilią. Zdałem raport i powtórzyć musiałem to, co mi Macdonald o kawaleryi powiedział. Cesarz nic na to nie rzekł.

Koledzy moi także byli przy kolacyi, i mnie się jeszcze jeść dostało. Porachowawszy się, jeden tylko z nas zginął. Alfred de Noailles i jeden ranny. Koni połowa zabitych była.

Pozbyliśmy się także nazajutrz jednego kolegi, księcia Salm-Kyburg. Ciotką jego była księżna Hohenzollern Sigmaringen, która wychowała księcia Eugeniusza Beaucharnais i jego siostrę królowę Hortensyę wtedy, gdy matka ich opuściła. Księżna Hohenzollern oddawna bawiła w Paryżu i za to wychowanie pasierbów cesarza, miała przystęp i wielką u niego łaskę. Ona to podobno uprosiła cesarza, ażeby młodego Salm-Kyburg wziął na oficera ordynansu. Ten nie miał więcej jak lat 20, był bardzo próżny, nosił gwiazdę wielkiego orderu kawalerskiego i wielką wstęgę brał na siebie często przy najmniejszej okazyi, a jako książę udzielny Rzeszy niemieckiej, rościł sobie prawo, aby każda warta przed nim pod broń występowała i oficerom na warcie, gdy koło niej przejeżdżał, tłumaczył swą godność. Ci oczywiście z niego się śmiali. W batalii pod Wagram cesarz go raz wysłał z rozkazem, a miał zwyczaj nowemu oficerowi ordynansu zawsze kazać powtórzyć głośno dane sobie zlecenie, ażeby się przekonać czy go dobrze zrozumiał. Otóż podobno Salm coś tak pobałamucił, czy też źle któremuś marszałkowi rozkaz oddał; że nazajutrz musiał odjechać, ale mi nie wiadomo, czy go cesarz oddalił, czy też jemu samemu ta służba się nie

spodobała, dość żeśmy go nie widzieli. W jego miejsce wziął cesarz Watervilla, który już był doświadczonym oficerem. Tylko w tym jednym przypadku miał cesarz oficera ordynansu, który poprzednio nie służył w żadnej z trzech broni. Najwięcej ich brał z artyleryi i inżynieryi. Adjutanci jenerałów także powinni byli dwa lata przynajmniej poprzednio służyć w regimencie, ażeby nabrali doświadczenia i byli zdolnymi dobrze oddawać rozkazy i raportować to, co spostrzegą.

O 12-tej w nocy wielka powstała wrzawa i krzyki na prawo za marszałka Davousta, korpusem i nas przebudziła. Cesarz wsiadł na konia, toż i my wszyscy, i wysłał z nas kilku w tę stronę. W pół godziny lub trzy kwadranse jeden po drugim wracał i raportował, że z tej strony mnóstwo żołnierzy naszych bez broni ucieka i wszyscy mówią, że stamtąd idzie arcyksiążę Jan. Ale cesarz, który z rana zaraz po przejściu mostów wysłał był w tym kierunku dywizyę lekkiej jazdy ku rzece March z tej strony Preszburga właśnie dla obserwacyi, jeżeliby arcyksiążę Jan się zbliżał dla połączenia się z arcyksięciem Karolem, i mając gwardyę całą tuż za sobą, był spokojny i położył się spać. Pokazało się, że tę wrzawę wszczęli żołnierze, którzy rozbiegli się w nocy, szukając żywności dla siebie i dla koni, a napotkawszy żołnierzy bawarskich, którzy tego samego szukali, i posłyszawszy ich mówiących po niemiecku, zwrócili się i roznieśli popłoch, który aż do nas doszedł. Za godzinę wszystko się uspokoiło.

Wypływa stąd przestroga, że w nocy w pobliżu nieprzyjaciela nie można dozwalać żołnierzom rozchodzić się po żywność. Jeżeli jest konieczność, to jest jeżeli żołnierz nic niema z sobą, należy w tym celu potworzyć porządne oddziały pod dowództwem jednego starszego oficera. Pod tym względem zawsze był wielki nieporządek w armii cesarza. Jeden tylko korpus Davousta stanowił wyjątek i odznaczał się karnością i ładem.

Po batalii wojsko potrzebowało spoczynku niezawodnie, ale niemniej zdziwiłem się, że nazajutrz rano 7-go, cesarz nie kazał zaraz za nieprzyjacielem maszerować, co zwykle bywało. Około 8-mej z rana dopiero wsiadł na konia i kazał tylko nam dwom, Foedoasowi i mnie jechać za sobą, prócz nieodstępnego

Mameluka Rustana i dwóch szaserów. Jechał wolno przez pobojowisko. Mnóstwo naszych trupów leżało, ale spotykaliśmy także jeszcze żyjących, ciężko rannych. Cesarz kilka razy się przy nich zatrzymał, wina czy wódki i chleba po kawałku dawać im kazał Rustanowi, który ten prowiant dla cesarza zawsze miał przy sobie. Zajeżdżały po rannych ambulanse i widać było wielu opatrujących chirurgów. Wkrótce Rustan na zapytanie cesarza odpowiedział, że już wszystko rozdał co miał. Wtedy cesarz ruszył galopem i przejechał z pół mili odległości do Macdonalda. Ten ze swego biwaku z daleka widząc go przybywającego, siadł na konia i podjechał naprzeciw niemu. Cesarz schwycił go za rękę, przyłożył na serce i rzekł: Macdonald, tutaj powracasz, mianuję cię marszałkiem. Było bowiem od lat kilku nieporozumienie jakieś między nimi, podobno od czasu procesu jenerała Moreau. Jechali razem przed front regimentu, jeśli się nie mylę, nr. 10 piechoty linijowej. Macdonald opowiadał cesarzowi, że to ten pułk tak dzielnie szedł wilią na bagnety przeciw rezerwie austryackiej, że przez półtory godziny wszystkie regimenta austryackie, które mu czoło stawić i zatrzymać go chciały, przewracał. Cesarz rozkazał, ażeby ten regiment nosił na swych gouidonach (małe chorągiewki na drążkach do równania) „jeden przeciw dziesięciu“ — *un contre dix.*

Od Macdonalda pojechał cesarz do Stamersdorf, gdzie przedpoczty nasze stały. Jest to pierwsza stacya pocztowa od Wiednia na drodze do Berna i Pragi, leży na wzgórku, skąd rozległy wkoło widok. Cesarz zsiadł tam z konia i perspektywą patrzał na wszystkie strony. Po kilku minutach spostrzegł mały oddział jazdy, a przy nim pieszych żołnierzy, przybliżających się coraz bardziej do nas. Nareszcie stanęli przed nami. Był to oficer z plutonem od strzelców konnych, wysłany na patrol przededniem, a ci kilkunastu pieszych, byli Polacy, dezerterzy austryaccy którzy, jak mówił oficer, przybyli do niego z krzaków, bez broni, machając białą chustką. Oficer od szaserów powiedział cesarzowi że to Polacy. Cesarz więc kazał mi ich wybadać, z jakiego regimentu są, jakiego korpusu, gdzie był ten regiment wilią, dokąd pomaszerował? Na pierwsze pytania odpowiedzieli, ale nie wie-

dzieli, dokąd ich korpus pomaszerował, ponieważ w nocy w pierwszym lasku się schowali. Mówili przytem, że jeszcze dużo być musi tak chowających się, bo się często z innymi Galicyanami drugich regimentów zmawiali, ażeby do Francuzów uciec. Kazał ich się cesarz zapytać, czy chcą służyć? Natośmy (rzekli) przyszli do Francuzów, bo wiemy, że mają polskie regimenta z sobą. Nie było jednak żadnego, prócz gwardyi konnej. Cesarz mi się zapytał, który z oficerów polskich, przybyłych od armii polskiej i znajdujących się jeszcze w Wiedniu lub przy głównej kwaterze, jest najstarszym. Odpowiedziałem, że jenerał Bronikowski, ale zarazem dodałem, iż on teraz nie zostaje w czynnej służbie, tylko jako przyjaciel towarzyszy księciu Józefowi Poniatowskiemu, służył wprawdzie za Kościuszki, ale myślę, że teraźniejszej formacyi piechoty nie zna. Rzekłem nakoniec, że jest w gwardyi polskiej podpułkownik Henryk Kamiński, uczony oficer i służył poprzednio w piechocie. Wiedziałem, że on był się poróżnił z jenerałem Krasińskim i że chętnieby gwardyę opuścił. Wspomniałem cesarzowi, że przebywa w Wiedniu oficer z gwardyi szlacheckiej galicyjskiej, która służbę przy cesarzu austryackim robiła i niedawno rozpuszczoną została, dlatego zapewnie, iż jej nie ufano, że znam tego oficera, że się nazywa Krasicki i że, jak mi się zdaje, służba mu nie jest obcą. Cesarz kazał szaserom wynieść stolik z domu pocztowego i kilka krzesełek. Papier atrament i pióra każdy z nas miał w mantelzaczku. W tem to miejscu w Hamersdorf, 7 lipca 1809 r., podyktował mi cesarz dekret formacyi 4-go regimentu nadwiślańskiego piechoty (były już bowiem trzy w Hiszpanii) i mianował w nim jenerała Bronikowskiego szefem, podpułkownika Henryka Kamińskiego pułkownikiem dowódzcą, a porucznika Krasickiego do pierwszej kompanii. Na miejsce do formacyi przeznaczył Augsburg. Wkrótce potem zebrało się do 3.000 dezerterów, oficerów do nich przysłano z zakładu, który legia nadwiślańska miała w Sedan.

Zaraz potem cesarz wysłał Fodoasta po sztab główny. Gdy przybyły szwadrony służbowe, które zawsze opodal za cesarzem maszerowały, wsiadł na konia i czasem galopem, czasem stępo, ażeby szwadrony służbowe dochodzić mogły, przybyliśmy do

Wolkersdorf, o dwie mile dalej na drodze do Brenna. Tam obszerny jest zamek, i gdy główny sztab przybył około 2 godziny z południa, główna kwatera założoną została. Naokoło stanęła gwardya, a korpus marszałka Davousta tegoż dnia poszedł na drogę ku Bernu i posunął się przed nas. Lewe skrzydło marszałka Masseny pomaszerowało na Stokerau. Jenerała Marmont mianował cesarz także marszałkiem. Pomaszerował on z Bawarami przed nami. Armię włoską wysłał cesarz nad rzekę Marchią naprzeciw Preszburga dla stawienia czoła arcyksięciu Janowi, który dopiero teraz posuwał się dla połączenia z arcyksięciem Karolem. Było to trzy dni za późno. Dowiedziawszy się zapewnie o batalii pod Wagram, zatrzymał się nad Marchią.

W Wolkersdorf dopiero cesarz się dowiedział z raportu przysłanego Masseny, że on ma główną armię austryacką arcyksięcia Karola przed sobą, że tenże rejteruje się z Stokerau na Znaim, a zatem do Czech, i że korpus Rosenberga tylko, który w bitwie pod Wagram lewe austryackie skrzydło tworzył, cofa się na Berno. Wysłał więc marszałka Davousta za Rosenbergiem do Nikolsburg, Marmonta zaś małą drogą na lewo przez Laa ku Znaimowi. Sam poszedł z całą gwardyą za nim. Z Laa wysłał mię do Marmonta, którego zastałem już naprzeciw Znaim w bardzo dobrej pozycyi, w której właśnie był atakowanym przez całą armię arcyksięcia Karola, bo stanął na jej boku i z położenia swego działami bił w kolumny austryackie, rejterujące się na Znaim. Arcyksiążę Karol musiał zatem w prawo część wojska swego rozwinąć i starał się spędzić Marmonta z tej pozycyi i byłby zapewne tego dokazał, gdyby w czasie ataku nie była Marmontowi przybyła z Laa dywizya jego francuska, która zajęła miejsce już chwiejących się Bawarów. Od rana samego deszcz lał, a zatem ułatwił atakującym wzięcie pozycyi, bo ogień karabinowy broniącej się piechoty był niegęsty, ale dywizya francuska z Illyryi, przybyła z Marmontem, mężnie wytrwała i nieprzyjaciela nie dopuściła na górę. Marmont odesłał mię z raportem do Laa, prosząc cesarza o pomoc. Puściłem konia tyle, ile mógł wyskoczyć, i wkrótce stanąłem u cesarza, któregom zastał w ciepłej kąpieli bardzo cierpiącego na kurcze. Kazał mi

na kawałku papieru położenie Marmonta skreślić, ale kiedy ołówkiem przed nim nad wodą oznaczałem położenie Marmonta i austryackie, schwycił za ołówek i mówiąc, że zna miejscowość i tylko stanowisko wojsk obu mam mu oznaczyć, szybko na papierze, który na książce byłem położył, kreślić zaczął. Wydobywając wciąż rękę z wody, pomaczał papier i rysować dalej nie mógł. Kazał mi więc iść natychmiast do Berthiego, aby bez zwłoki ruszył z całą gwardyą pod Znaim, a mnie przemienić konia i napowrót udać się do Marmonta, by mu oznajmić, że gwardye na pomoc mu maszerują.

Przybywszy do Marmonta, zastałem go w tej samej pozycyi, francuska dywizya w pierwszej, a Bawary w drugiej linii, oprócz tego jedna ich brygada na lewem skrzydle, gdzie mniej było niebezpieczeństwa. Już ogień był ucichł, Austryacy atakować przestali i widać było opodal kolumny ich maszerujące ściśniętym szykiem ku Znaimowi i ogrom bagażów na polu jeszcze dalej po lewej stronie tych kolumn. Deszcz wciąż padał, ale już nie tak mocno jak z rana, więc jeszcze lepiej wszystkie ruchy całej armii arcyksięcia Karola widać było. Maszerowała na Znaim w kilku kolumnach bardzo ściśniętych. Część kawaleryi już była Znaim minęła i rozwinęła się przed nami, ale naprzeciw prawego naszego skrzydła, gdzie stała dywizya lekkiej jazdy francuskiej. Obie kawalerye stały spokojnie naprzeciw siebie i nic nie przedsiębrały. Ziemię tak deszcz rozrobił, iż trudno byłoby odbyć szarżę na niej.

Około 4-tej z południa usłyszeliśmy ogień działowy od strony drogi z Stokerau do Znaim. Była to tylna straż arcyksięcia Karola, która ucierała się z przednią strażą Masseny, postępującego ku Znaimowi. Marszałek Marmont kazał zaraz dać ognia z bateryi najwyżej stojącej, co jednak nie miało zapewne skutku, bo Austryacy stali bardzo daleko, ale uczynił to, ażeby przednia straż Masseny dowiedziała się, że tu na boku armii austryackiej stoimy.

Około 6-tej godziny przybył Berthier i kawalerya lekka gwardyi. Cesarz także powozem nadjechał, wysiadł, perspektywą w kilka minut rozpoznał położenie i zawołał:

En avant! Już się rozpoczął ruch illyryjskiej dywizyi, już zaczęła schodzić z góry na Znaim, gdy oficer od jazdy przybiegł z wiadomością, że książę Jan Lichtenstein do naszej jazdy przybył i prosił aby oznajmiono cesarzowi, iż jest do niego od cesarza austryackiego przysłany. W kwadrans potem przyjął go cesarz w swoim namiocie, który ustawiono na najwyższym pagórku wśród drzew wiśniowych bardzo pięknych. Po kwadransie rozmowy wyszedł Berthier z namiotu i wysłał rozkaz zatrzymania wszystkich ruchów.

Skoro książę Lichtenstein wyszedł z średniego namiotu, w którym był z cesarzem i Berthierem, do namiotu pierwszego, w którym my staliśmy ściśnięci, bo było w nim ze sześciu jenerałów naszych, począł witać każdego z nich po nazwisku, musiał bowiem ich znać z poprzednich wojen, a witał bardzo uprzejmie. Udał się następnie z Berthierem do jego namiotu, który stał przy cesarskim o sto kroków. Po drugiej stronie stał taki sam jak Berthiera, oba mniejsze niż cesarski z trzech złożony. Ten trzeci był przeznaczony dla podszefa sztabu, jenerała Monthion, który tam stał z mnóstwem oficerów do sztabu głównego należących. W namiocie Berthiera spisano artykuły zawieszenia broni. Podpisali je tylko Berthier i Lichtenstein. Zarazem kilka kopii przepisano i opatrzono podpisami, i zaraz wysłano z niemi oficerów ordynansu do korpusów odległych. Mnie cesarz zawoławszy, oddał jeden egzemplarz zawieszenia broni i kazał jechać do Iglau, głównej kwatery arcyksięcia Karola, ażeby tenże dał rozkaz do wojsk austryackich przepuszczenia mię przez Berno, Ołomuniec, Kraków do Warszawy, ostatnie bowiem wiadomości stamtąd były, że Austryacy opuścili Warszawę i rejterowali się na Sandomierz.

Zawieszenie broni nastąpiło 12 lipca. W ostatnim artykule było powiedzianem: „Co do armii w Polsce i Saksonii, wojska staną i zatrzymają się w tych samych położeniach, w jakich się znajdują“. Nie było jednak wysłowionem wyraźnie, czy mają zatrzymać położenia zajmowane w dniu zawieszania broni, to jest 12 lipca, czy też w dniu odebrania wiadomości o niem. Cesarz prócz tego kazał mi powiedzieć księciu Poniatowskiemu,

że jeśli tym razem nie uczyni jeszcze dla Polski tego, czegoby życzył, to z przyczyny, iż nie może zrażać Moskwy, ale że pamiętać będzie szczerą pomoc, którą mu Polacy dali, a zwracając uwagę na ostatni artykuł, rzekł: Jeżeli książę Józef od 12-go postąpił dalej, to niech tłumaczy artykuł jak gdyby w nim była mowa o pozycyi zajmowanej w dniu odebrania wiadomości, jeśli zaś musiał się cofnąć, to niech żąda powrotu na położenie w dniu 12-tym trzymane.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego. Tom XX. Poznań, 1894. (Str. I—CII. ı 1—656 w 4ce) — Tom XXI. Poznań, 1895. (Str. 1—598 w 4ce).

Kto z uwagą śledzi postępy komisyi kolonizacyjnej w Wielkiem Księstwie Poznańskiem i widzi, jak coraz to więcej ziemi polskiej w obce, a wrogie przechodzi nam ręce, ten słusznie może zrozpaczyć o przyszłości tej prastarej polskiej dzielnicy i zawołać ze starożytnym piewcą ἔσσεται ἦμας... Cokolwiek bowiem mogą przytoczyć na swą obronę ci, co frymarczą lekkomyślnie najdroższą po przodkach spuścizną i coraz bardziej kurczą ojczyznę, rzekomo, aby z torbami nie pójść na dziady, to przecież zaprzeczyć się nieda, że często powody ich sprzedaży nie wytrzymują krytyki obywatelskiego sumienia, a w tej frymarce ziemią rodzinną przeważnie *auri fames* niestety wybitną gra rolę. To też dziwić się trudno, że jakaś apatya poczęła się imać coraz to więcej umysłów w Wielkopolsce i nieraz i najodważniejsi i najstateczniejsi przygnębieni i znieczuleni dają folgę smutnym, ponurym przeczuciom... Zdawałoby się zatem, że wobec takiego zniechęcenia i zwątpienia ze strony najwybitniejszych poniekąd obywateli tej dzielnicy i pisać nie będzie komu i że literatura polska, która w pierwszej połowie tego wieku tak bujnie kwitnęła w Wielkopolsce, obecnie zupełnie leżeć musi odłogiem. Tymczasem przychodzi nam zdać sprawę z dwóch obszernych tomów poważnych prac i studyów literackich, które przeważnie przez wielkopolskich napisane zostały autorów. Jeżeli

zaś społeczeństwo wielkopolskie, prześladowane i gnębione na każdym kroku przez nieprzyjaciela, znajduje czas i ochotę do pracy i co roku ogół polski sporym tomem takich poważnych studyów darzy, to o jego przyszłość możemy być spokojni i ufać, że lubo przerzedzone w swych szeregach, prędzej czy później zwycięsko wyjdzie ze zapasów z komisyą kolonizacyjną, tak jak zwycięsko przetrwało i pokonało walkę kulturną, albowiem ci, których prace składają się co roku na te spore tomy „Roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego“, rozumieją dobrze, „że dobrobyt w narodzie tylko wtedy da się utrzymać, gdy na nauce oparty, z postępem czasu idzie i równego kroku innym narodom w rozwoju ekonomicznego gospodarstwa dotrzymuje. Inaczej zginąć musi, choćby w sercu miał najpiękniejsze ideały, choćby najwznioślejsze miał na oku cele i zamiary“. (Tom XX., str. I., II.).

Zdawać sprawy z dwudziestu kilku rozpraw dwóch powyższych tomów o kilkudziesięciu arkuszach druku *in quarto* treści jak najrozmaitszej i pomieścić to wszystko w zwykłych ramach sprawozdawczej recenzyi, jest i zadanie niemałe i trudność nie do pokonania. To też przy tego rodzaju obszerniejszych publikacyach krytyka z natury rzeczy staje się kroniką sprawozdawczą i wymieniwszy nazwiska autorów i tytuły rozpraw, poprzestaje na zwróceniu uwagi czytelnika na niejedną, jej zdaniem wybitniejszą pracę i więcej ogół interesującą, odsyłając ciekawszych do samego dzieła. Zwykle bowiem i w najpoważniejszem wydawnictwie zbiorowem znajdą się obok czysto naukowych i specyalistów głośnie obchodzących rozpraw, również i rzeczy ogólniejszej treści, nieraz bardzo żywotnej i zajmującej, pisane przystępniejszym stylem, aniżeli pierwsze. Tak też i te roczniki, obok czysto historycznych artykułów zawierają kilka specyalnych literackich studyów, to znów lingwistycznych, filozoficznych, przyrodniczych i t. d.; moglibyśmy więc podzielić je podług treści i poszczególnie potem o nich słów kilka powiedzieć. Uważam wszakże, że skoro z dwóch naraz książek zdaje się sprawozdanie, to praktyczniej będzie każdą z nich traktować osobno i osobno też wymienić artykuły i rozprawy w każdej z nich zamieszczone.

A więc najprzód w tomie XX., na którego czele umieszczony jest portret Augusta hr. Cieszkowskiego, mamy Przedmowę pióra St. hr. Tarnowskiego o pracach naukowych Cieszkowskiego. Jakkolwiek autor zastrzega się z góry, że nie dorósł zadaniu, aby mógł pisać i wyrokować o dziełach Cieszkowskiego, to przecież zdaje nam się, że wydział Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego nie mógł zrobić

lepszego wyboru, jak powierzając napisanie kilku słów wstępnych o Cieszkowskim właśnie prof. Tarnowskiemu. Kto się zajmował tak wiele Krasińskim, kto tego Krasińskiego tak zrozumiał i ocenił, ten z pewnością należycie i zrozumie i oceni Cieszkowskiego, przynajmniej to swe zrozumienie i ocenę wyrazi takiemi słowami, a takie poruszy myśli i problemy, że z nich dopiero niejeden z nas lepiej pozna dzieła Cieszkowskiego. Dlatego też to, co napisał prof. Tarnowski w formie Przedmowy, jako przegląd prac naukowych ś. p. Cieszkowskiego, jest i pozostanie, mem zdaniem, nietylko ważnym przyczynkiem, ale i pomostem, prowadzącym niejako do lepszego zrozumienia poważnych prac jednego z naszych najgłębszych myślicieli tego wieku.

Po przedmowie Tarnowskiego następuje szczegółowy opis jubileuszu 50-letniej naukowej i obywatelskiej pracy ś. p. Cieszkowskiego, oraz wiersz *ad hoc* napisany przez hr. Engeströma. Te trzy rzeczy stanowią niejako ramy do XX. Rocznika.

Pierwszą właściwą rozprawą jest „Sprawa toruńska z r. 1724“ przez ks. St. Kujota. Jest to wyczerpujący szkic historyczny (str. 1—152), wyświetlający i uzupełniający wszelkie do tej kwestyi odnoszące się spory i prace różnych historyków, mianowicie K. Jaroszowskiego. Autor znalazł się, jak sam powiada, w tem szczęśliwem położeniu, iż mógł korzystać z obfitego, autentycznego materyału, odnoszącego się do sprawy toruńskiej. Mianowicie przejrzał gruby foliant (będący własnością biblioteki pp. Sozańskich w Nawrze, niedaleko Torunia) niejakiegoś Rosenberga, syndyka gdańskiego, pod tytułem: *Fatum Thorunense Anno 1724 et sequ.* i z tego to dzieła, jako też z listów, do Rosenberga przez wybitne ówczesne osobistości pisane, a w *Fatum Thorunense* nie zamieszczonych, zdaje sprawę w swej rozprawie. Prócz tego korzystał ks. Kujot jeszcze z następnych źródeł nawrzańskich: *Tumultus Thorunensis in Collegium Jesuitarum. Anno 1724 die 17 Iulii,* „Daryusz sejmu walnego sześcioniedzielnego warszawskiego anni 1724“ obok tych źródeł posiadał autor jeszcze kilka dokumentów z innych archiwów, przedewszystkiem odpisy relacyj ks. Santiniego, nuncyusza papieskiego w Polsce, z archiwum watykańskiego, także odpisy niektórych ważnych w tej sprawie dokumentów z archiwum państwowego w Dreźnie i wiele innych. Miał zatem materyał, do czego sam się przyznaje, bardzo wyczerpujący, ale właśnie to nagromadzenie drobnego często materyału nie pozwoliło mu, jak powiada, podać obrazu rzeczy zaokrąglonego i poczytnego. Nie wie także, czy praca jego i jej wyniki ostatecznie ten zawiły przedmiot historyczny wyczerpią, czy też inni badacze na

podstawie materyałów, przez niego nagromadzonych, do innych, więcej z prawdą zgodnych wyników nie dojdą.

W słowie wstępnem swej rozprawy powiada ks. Kujot, że dotychczasowe opracowania sprawy toruńskiej z r. 1724 zadowolnić nas nie mogą, gdyż najprzód nie polegają na materyale autentycznym, a potem pochodzą „od autorów, jużto bezpośrednio w sprawie samej interesowanych, jużto piszących w pewnym z góry zakreślonym zamiarze". Nawet ś. p. K. Jaroszowski, który bezstronnie korzystał z „pierwszych źródeł", nie załatwił stanowczo wielu w „Sprawie toruńskiej" ważnych i ciekawych kwestyj. Kogo jednak ta kwestya historyczna bliżej obchodzi, mianowicie, kto był winien, że August II. nie ułaskawił burmistrza Rösnera, który rzekomo był sprawcą, względnie pozwolił na napad mieszczan toruńskich na szkoły OO. Jezuitów, tego do rozprawy samej ks. Kujota odsyłamy. Ks. Kujot bowiem tak gruntownie i przekonywająco, mem zdaniem, sprawę tę całą zbadał i przedstawił, że z argumentami jego i czynnikami jego przedstawienia rzeczy zupełnie zgodzić się można. Jeżeli w Polsce w XVIII. wieku za naruszenie i przywłaszczenie sobie cudzej własności, zwłaszcza gdy tą własnością był kościół, i za zbezczeszczenie miejsc i obrazów świętych sądy asesorskie mogły sprawiedliwie na winowajców nałożyć karę śmierci, to mimo to trudno nam dziś uwierzyć, aby ten, który sam bezpośrednio udziału w tem nie brał, tylko wybrykom nie przeszkodził zawczasu, razem ze sprawcami miał śmierć ponieść i nie doznał ułaskawienia ze strony katolickiego monarchy! To też argumentacya ks. Kujota zupełnie trafia nam do przekonania, że „w wykonaniu spraw gardłowych zaznaczyła się obca siła", że winę śmierci Rösnera złożyć trzeba nie na samego króla, tylko na politykę jego powierników, mianowicie Flemminga.

Trzecią z rzędu rozprawą jest praca p. A. Mierzyńskiego: „Przysięga Kiejstuta". Jestto przyczynek, jak się wyraża autor, do przyszłego zarysu religijnych obrzędów Litwinów, jedyny w swoim rodzaju, a opisujący obrzędy, jakie zachował Kiejstut na stwierdzenie umowy z Ludwikiem węgierskim. Autor korzystał z trzech współczesnych źródeł, mianowicie z wierszy niejakiegoś Piotra Suchenwirta, poety niemieckiego, żyjącego w XIV. wieku i piszącego w średnio-górno-niemieckiem *(mittelhochdeutsch)* narzeczu, następnie z opisu rycerza de Sternegge, „który służąc w chorągwiach Ludwiga węgierskiego, przysiędze onej był obecny i opowiedział cały przebieg Henrykowi Truchsess z Diessenhofen, a ten wcielił opowiadanie rycerza do swej kroniki", nareszcie jako trzecie źródło posłużyła autorowi kronika niejakiegoś mnicha Jana

(Joannes monachus), która opisuje właśnie dziesięć lat panowania Ludwika węgierskiego od r. 1345 do 1355. Lubo wszystkie te trzy źródła uzupełniają się wzajemnie, wszakże opis mnicha Jana jest najobszerniejszy. Według niego wyprawił się w r. 1351 król węgierski Ludwik na życzenie Kazimierza Wielkiego na Litwę, czyli przeciw Kiejstutowi. Kiejstut wszedł z Ludwikiem w układy, mianowicie uczynił zobowiązanie (przysięgę), że przyjmie ze swoimi wiarę chrześcijańską i w swem królestwie zachowa się spokojnie. Formułę, rotę a względnie rytuał tej przysięgi opisuje p. Mierzyński na podstawie owych trzech wymienionych źródeł, przytem na poparcie swego „wykładu“ powołuje się na analogiczne obrzędy albo źródła wieków średnich i taką w końcu od siebie dodaje uwagę: „Tak zbierając krytycznie fakt po fakcie i zestawiając je ze sobą, z czasem dojść możemy do pożądanej prawdy w wierzeniach i religijnych obrzędach litewskich, które obecnie przygniata masa fałszów i urojeń“. Jakkolwiek rozprawka p. Mierzyńskiego około drobnej obraca się kwestyi, to przecież trudno analogiom jego i wysnuwanym z nich hipotezom odmówić cechy prawdopodobieństwa i nie uznać, że tylko z takich systematycznie zbieranych, a krytycznie i naokoło opracowywanych i najdrobniejszych faktów historycznych dojść możemy z czasem do coraz to jaśniejszego poglądu na całość pewnej jużto epoki dziejowej, jużto obrządków religijnych lub zwyczajów domowych dawnych narodów, a zatem w ten tylko sposób dochodzimy po wielu nieraz początkowo błędnych mniemaniach i zapatrywaniach do — prawdy.

W dalszym ciągu niniejszego rocznika zastanawia się p. Wilhelm Bogusławski na podstawie tekstu dzieła Jornandesa: *De origine Gothorum*, cap. 5, nad granicą Słowian od zachodu w połowie IV. wieku. Przed kilku laty (1891), wydał p. W. Bogusławski książkę pod tytułem: „Dzieje Słowiańszczyzny półn.-zach.“, którą ocenił prof. Brückner w *Kwartalniku Historycznym*, zeszycie I., r. 1891. W tej to recenzyi zarzuca Brückner Bogusławskiemu między innemi, że źle zrozumiawszy tekst Jornandesa, względnie interpunkcyę w jednem miejscu, rozciąga granice Scytyi w IV. wieku do Renu. Na zjeździe historyków polskich we Lwowie r. 1890 również i prof. Kawczyński wyraził zdziwienie, że Bogusławski „każe Słowianom zajmować całe Alpy i ziemię wenecką aż po Adryatyk“ i nazwał pracę jego „budowlą z kart“. Otóż przeciwko tym dwom krytykom swej pracy występuje polemicznie p. B. i odpierając dłuższą argumentacyą ich zarzuty oświadcza, że jeśli im obu do przekonania nie trafiają jego poglądy, natenczas niechajby sami

zechcieli „przyłożyć się do odszukania prawdy i nauką swą pomódz do wyrozumienia tekstu Jornandesa, chociażby to było niezgodne z tem, co prawią niemieccy uczeni“.

Następuje potem ekonomiczna praca prof. J. Milewskiego: „Stosunki monetarne w drugiej połowie XIX. wieku“. Autor, znany zwolennik bimetalizmu, tj. srebra i złota jako monety obowiązującej, przeszedszy pokrótce stosunki monetarne większych państw od najdawniejszych czasów aż po dobę dzisiejszą, przy końcu swej rozprawy do takich dochodzi wyników. Prawie wszystkie państwa na świecie chciałyby mieć dziś wyłącznie złotą walutę, tymczasem prawie każde z nich niedostatecznie jest w złoto zaopatrzonem. Dlatego też przytem dążeniu, jak łatwo przewidzieć można, powstanie sztuczna walka o złoto, a kto więcej da za nie, ten je posiędzie i utrzyma. To dawanie zaś więcej za złoto, czy to więcej towarów, czy ziemi, czy pracy, stanie się wyrazem drożyzny złota, powodem ogólnego przesilenia i przyczyną ruiny. Zmienić tego położenia, zagrażającego ekonomicznemu rozwojowi poszczególnych państw ruiną, nie zdoła żadne państwo z osobna w drodze własnego tylko ustawodawstwa, albowiem kwestya monetarna jest przez swą istotę międzynarodową. Dlatego możnaby ją tylko załatwić w drodze międzynarodowego porozumienia się wszystkich państw i narodów. Zatem autor nie po raz pierwszy i nietylko w tej swej pracy, przemawia gorliwie za instytucyą międzynarodowej unii monetarnej, któraby za podstawę biorąc bimetalizm, najskuteczniej rozwiązała kwestyę monetarną.

Cenną następnie jest praca najprzewielebniejszego ks. biskupa poznańskiego, E. Likowskiego: „Rzut oka na wewnętrzny stan cerkwi ruskiej przed Unią Brzeską“. W uwadze zamieszczonej przed samą rozprawą objaśnia nas dostojny autor, że praca Jego niniejsza jest przerobieniem i uzupełnieniem dawniejszych Jego artykułów w tej kwestyi, zamieszczanych w *Przeglądzie kościelnym,* zresztą zaś stanowi „tylko ustęp z większej pracy“, jaką w przyszłości drukiem zamierza ogłosić. W tymczasowej zaś rozprawie poucza nas autor, jak grubą ciemnotą i zupełnym brakiem ogólniejszego wykształcenia i znajomości elementarnych prawd wiary grzeszyło niższe duchowieństwo ruskie przed Unią, jak wielkim był jego upadek moralny, czego przyczyną był sam „ciemny i niemoralny“ episkopat ruski. Biskupi ruscy nie dbali o zakładanie szkół, to też nie dziw, że „na całej Rusi nie napotykamy aż do połowy XVI. wieku ani jednej wyższej szkoły, mogącej choćby najskromniejsze wymagania zaspokoić. Zaledwie tu i owdzie przy klasztorach i cerkwiach znachodzą się nędzne szkółki elementarne...“ Dopiero

ks. Konstanty Ostrogski założył r. 1580 „pierwszą wyższą szkołę ruską, jakoby akademię w Ostrogu“. Następne powstawały staraniem Bractw ruskich, jako to we Lwowie r. 1586, w Wilnie r. 1588, w Biały r. 1594 i t. d., ale wszystko to było mało na ogromny obszar kraju ruskiego i Litwy. Skutek zaś ignorancyi duchowieństwa ruskiego był ten, że Ruś przed Unią Brzeską „sama nie wiedziała, w co wierzyła“ (str. 237), to też „herezya wśród duchowieństwa i ludu ruskiego płynęła“ (str. 239). Najlepszym stosunkowo znawcą ze współczesnych wewnętrznych stosunków Cerkwi ruskiej był arcybiskup Melery Smotrzycki, „mąż nadzwyczajnych zdolności i nauki rzadkiej“. Z powodu nieokrzesania niższego kleru ruskiego w tych czasach, szlachta ruska „nie mogąc w Cerkwi swej znaleść zaspokojenia potrzeb religijnych“, poczęła gromadnie przechodzić jużto na protestantyzm, jużto do Kościoła rzymskiego, a więc wbrew twierdzeniom dzisiejszych pisarzy ruskich już przed Unią wielu obrządek łaciński przyjęło. Dalej dowiadujemy się z pracy biskupa Likowskiego, że pierwszym, który myśl „jedności Kościoła bożego“ rzucił był ks. Piotr Skarga, który r. 1577 w Wilnie wydał książkę: „O jedności Kościoła bożego pod jednym Pasterzem i o greckiem od tej jedności odstąpieniu“, dedykując ją najzawziętszemu w tym czasie przeciwnikowi Unii, ks. Konstantemu Ostrogskiemu. Za przykładem Skargi poszedł dopiero Possewin, a potem sam król Zygmunt III., a więcej jeszcze Jan Zamoyski zabrali się już na dobre do przeprowadzenia Unii Kościoła ruskiego z rzymskim. W r. 1590 już dzieło Unii postanowionem zostało, ale opis tego dokonania nie jest już zadaniem niniejszej pracy.

Następną pracą w Roczniku XX. zamieszczoną jest: „Wspomnienie o wyższej szkole rolniczej imienia Haliny w Żabikowie“, pióra N. Urbanowskiego, byłego tejże szkoły profesora; rzecz poświęcona założycielowi tejże szkoły, czcigodnemu A. hr. Cieszkowskiemu. Autor przechodzi pokrótce usiłowania społeczeństwa polskiego w Wielkopolsce celem założenia wyższego zakładu naukowego dla młodzieży Wielkiego Księstwa Poznańskiego, podejmowane systematycznie od lat kilkudziesięciu, ale natrafiające zawsze na opór rządu pruskiego. Nareszcie, dzięki ofiarności i szlachetnej inicyatywie osób dobrej woli, jako to: hr. Mielżyńskich, Działyńskich, dr. K. Marcinkowskiego i t. d. a między innymi głównie dzięki hojności Aug. hr. Cieszkowskiego z pierwotnej „stacyi doświadczalnej chemicznej i ogrodowej“, założonej w świeżo nabytym przez hr. C. folwarku Żabikowie pod Poznaniem r. 1868, a wydzierżawionym przez niego wspaniałomyślnie bezpłatnie na lat 12

na ten cel, powstaje ze zapomóg i składek polskiego społeczeństwa wielkopolskiego już nietylko „stacya doświadczalna“, ale rzeczywista „wyższa szkoła rolnicza imienia Haliny w Żabikowie“, otwarta 21 listopada 1870 r. Zadaniem tej szkoły miało być „kształcenie młodzieży sposobiącej się do zarządzania większym majątkiem czy to na własny czy na obcy rachunek“. Autor kreśli w następstwie historyę, program i rozwój tej szkoły w czasie jej krótkiego, bo tylko sześcioletniego istnienia, aż nareszcie rząd pruski nie mogący „spokojnem okiem patrzeć na zbiór młodzieży chłonącej wyższą naukę w ojczystem słowie“, srogim nakazem r. 1875, nauczających i uczących, pochodzących z pod obcego zaboru, wydalił a przez to i dalsze istnienie szkoły udaremnił; w ten sposób szkoła żabikowska upaść musiała, a walne zebranie akcyonaryuszy spółki „Haliny“ uchwaliło 14 czerwca 1876 szkołę zawiesić, nie mogąc po tem co zaszło liczyć ze strony władz rządowych już, jeżeli nie na pomoc, to przynajmniej na neutralne zachowanie się. „Takim był koniec instytucyi, wzniesionej czystą jak łza ofiarnością społeczeństwa naszego“. A jak założenie szkoły żabikowskiej z jednej strony chlubnym pozostanie pomnikiem dla całego społeczeństwa polskiego w Wielkopolsce, w szczególności zaś dla jej głównego fundatora, który obok filozoficznych swych badań i dociekań, jakim głównie czas swój, życie i mienie poświęcał, potrafił zejść ze szczytów myśli na dół rzeczywistości i zrozumieć, „że niedość na ojczystem łonie składać drukowane księgi mądrości, lecz że należy i ekonomiczne wychowanie narodu ująć w praktyczne formy“, tak z drugiej strony zniesienie tej szkoły pozostanie wiecznem *mane-tekel-fares* dla tych, co się do niego przyczynili.

Przychodzi mi teraz zdać sprawę z „Rysu historycznego początków i zawiązku parlamentaryzmu polskiego w Prusach“, przez d-ra Szumana. Jak w tytule zapowiedział autor, opowiada powstanie parlamentaryzmu w Prusiech w r. 1848, a przytem i zawiązania i początkową organizacyę Koła polskiego w Berlinie. Dowiadujemy się, którzy mężowie wielkopolscy zasłużyli się tam najbardziej i że obok nazwisk G. Potworowskiego, M. hr. Mielżyńskiego, K. Libelta i innych, znowu wysuwa się tu naprzód postać A. hr. Cieszkowskiego, czy to jako organizatora Ligi polskiej, mającej posłom sejmowym w Berlinie, dawać impuls z kraju, czy to jako autora różnych ważnych wniosków i protestów. Że poczucie solidarności z początku w tem Kole było słabe, że panował w niem jakiś rozstrój wewnętrzny, temu dziś nie mamy się co dziwić, gdy zważymy śród jak trudnych okoliczności,

w jakich warunkach zawiązała się i działała ta liczebnie mała korporacya parlamentarna w ciele prawodawczem pruskiem. Z pewnością każdy poseł Polak chciał jaknajwięcej dobrego dla sprawy polskiej zrobić, jak najwięcej korzyści i korzystnych uchwał przysporzyć, dlatego z początku łączyli się Polacy z innemi parlamentarnemi frakcyami i występowali w Izbie dorywczo i pojedynczo, dopiero nauczeni doświadczeniem, że chcąc coś zdziałać, łatwiej zawsze im to przyjdzie gdy występują razem, zbiorowo, przeto bez bezpośredniej inicyatywy czyjejkolwiek ułożyli sobie program, mający ściślejszą formę obowiązującego statutu i na solidarności oparty. Pan dr. Szuman (późniejszy czcigodny prezes Koła polskiego w Berlinie) opowiada w swym Rysie obszerniej o pierwszym peryodzie działalności Koła tj. od 1848—1852. Właśnie zaś Koło polskie sejmowe, powiada, zorganizowało się dopiero z nastaniem tak znacznej nowej ery, tj. po objęciu rządów przez króla Wilhelma I. Krótko też przedtem (1859) powstał ów obowiązujący do tej chwili statut Koła. Na podaniu tych wiadomości kończy autor swój Rys historyczny i nawiązuje już tylko kilka uwag ogólniejszej natury, w których uzasadnia potrzebę solidarności w życiu parlamentarnem, nazywając ją „przeciwległym biegunem sławetnego *liberum veto*“.

W „Edykcie Stefana Batorego“ z dnia 6 września 1580 z pod Wielkich Łuk do szlachty polskiej przesłanym, przedrukował p. Al. Kraushar ów rzadki dokument historyczny według tekstu egzemplarza biblioteki Krasińskich, z uwzględnieniem nowoczesnej pisowni. Drugi egzemplarz tegoż edyktu znajduje się w bibliotece Dzikowskiej hr. Tarnowskich. Oba znane były dotąd jedynie z bibliografii Estreichera (t. XII., str. 406) i Wierzbowskiego (t. II., nr. 1549), przeto podając pierwszy z nich do publicznej wiadomości dał nam autor cenny przyczynek do historyi króla Stefana, ile że odnośny edykt jest przez samego króla skreślonym raportem o zwycięstwie odniesionem pod Wielkiemi Łukami.

W dalszym ciągu rzeczonego Rocznika spotykamy się ze studyum prof. A. Małeckiego ze Lwowa nad bullą Inocentego II. z r. 1136, wydaną dla arcybiskupa gnieźnieńskiego. Czcigodny profesor poświęca temu dokumentowi osobne studyum, ponieważ, jak powiada, jest to nasz najdawniejszy, w autentycznym oryginale do dziś dnia zachowany zabytek archiwalny, nietylko dla dziejów Kościoła, ale i dla historyi społecznej ważny. Papież Inocenty II. na prośbę arcybiskupa Jakuba bierze w tej bulli arcybiskupstwo polskie w protekcyę i rozwija przed

oczyma naszemi cały niejako inwentarz majątku tego Kościoła. Autor podaje dosłowny i cały tekst bulli, dzieląc go dla jaśniejszego później omówienia poszczególnych jego części na 10, liczbami oznaczonych, ustępów, które następnie po kolei rozbiera. W toku tego rozbioru prostuje szanowny profesor dużo bałamutnych wyobrażeń dzisiejszych o dawnych stosunkach polskich za czasów Krzywoustego, przytem rzuca niejedną myśl nową i stwarza hipotezy, ale na gruntownej erudycyi i długoletniem doświadczeniu oparte. Między innemi poucza nas, że wyraz *juriditio* zupełnie co innego oznaczał aniżeli *jurisdictio*, z którym go często błędnie dziś jeszcze identyfikują Mianowicie słowo *juriditio* znaczyło: prawo nad czem lub władzy nad kim. Dalej dowiadujemy się, że *castella* to były kasztelanie, okręgi grodowe a nie grody i t. p. Kogo te rzeczy bliżej interesują, mianowicie topografia ówczesnej dyecezyi gnieźnieńskiej, tego do samego studyum odsyłam.

W następnem studyum „Prawa, warunki i środki postępu ludzkości", zajmuje się p. Fr. Habura historyozofią w ogóle, wymieniając pracowników na tem polu według kolei czasów i narodów począwszy od Herodota a skończywszy na Heglu dowodząc, że ostatni lubo „zebrał, wyjaśnił i sprostował" myśli wszystkich dawniejszych historyozofów, nie pochwycił mimo to całokształtu wiedzy i że dopiero Cieszkowski stworzył taki panteon wiedzy ludzkiej w swych „Prolegomenach" i „Ojczenaszu"; któremi to dziełami w szczególności autor w ciągu swego studyum się zajmuje.

Pod koniec tomu XX. zamieszczone jest „Album przedhistorycznych zabytków Wielkiego Księstwa Poznańskiego", zebranych w Muzeum Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, z 20 tablicami i tekstem objaśniającym, pióra konserwatora zbiorów Towarzystwa Przyjaciół Nauk, p. dr. B. Erzepkiego. Tak tekst napisany nader jasno a zwięźle jak i tablice fotodrukowe wykonano poprawnie, stanowić mogą ważny przyczynek do rozszerzenia znajomości archeologii wśród szerszych warstw społeczeństwa polskiego i zyskać uznanie u całego świata naukowego. Nareszcie mamy „Sprawozdanie z czynności Towarzystwa i poszczególnych wydziałów za r. 1893".

W XXI. tomie Roczników za rok 1895 spotykamy się na wstępie z jednym ustępem „Ojczenasza" A. Cieszkowskiego. Jestto wyjątek z II. tomu, a raczej początek drugiego działu tomu II-go „Ojczenasza", przeznaczony przez autora do druku w tych Rocznikach, o czem syn autora w liście do wiceprezesa Tow. Przyj. Nauk prof. d-ra Wi-

cherkiewicza, zamieszczonym *in extenso* pod samym tekstem, wspomina. Tytuł ma ten ustęp: Wezwanie. Jak wiadomo pierwszy tom „Ojczenasza“ wyszedł w r. 1848 i 1870 i jest tylko „wstępnem słowem i zasadniczym prologiem“ całości. Ustęp powyższy (Wezwanie) przekazał „konający już prawie autor stygnącą ręką synowi polecając, aby pierwsze ustępy przygotowanego do druku dzieła w Rocznikach Towarzystwa były drukowane. Omawia też w tym ustępie głęboki myśliciel pierwsze zarysy modlitwy Pańskiej: „Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech“, dowodząc, że wyrażenie „w niebie“ jest błędnem, albowiem tylko niebios jest ilość nieskończona a to, co zwykle nazywamy niebem tj. to, co obejmuje firmament gwiaździsty oku dostępny, jest tylko małą cząsteczką niebios dostrzegalnych uzbrojonemu w najlepsze teleskopy oku.

Drugą z rzędu rozprawą jest: „Anakreont i jego pieśni“ przez d-ra L. Mizerskiego. W obszernym (str. 27—56) wstępie o różnych kolejach życia i pismach poety opowiada autor, jak nieprzychylnie filolodzy angielscy a zwłaszcza niemieccy traktowali w różnych czasach spuściznę Anakreonta, mimo że poeci Tegnér, Moore i Lessing, jako też i ogół wykształcony nietylko ich autentyczności bronili, ale niezwykłe pochwały im oddawali. Inaczej było w Polsce. Począwszy od Kochanowskiego, który 7 ód Anakreonta przetłumaczył i do „Pieśni“ swych wcielił, również i między „Fraszkami“ dwa utwory („Sen“ i „Do dziewki“) Anakreonta umieścił, zajmowali się Anakreontem i tłumaczyli jego pieśni następnie Naruszewicz (1774), Kniaźnin, Fr. hr. Skarbek (1816), Szujski (1867), Alf (1882), nareszcie prof. Jan Czubek (1882)[1]. Autor tłumaczy się też w końcu, dlaczego, mimo tylu istniejących już w polskiem piśmiennictwie przekładów, ośmielił się swój drukiem ogłosić i opowiada, że przekładu swego dokonał jeszcze w r. 1870 i że byłby go nadal więził w tece, gdyby nie przychylna zachęta ze strony Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, któremu te swe „rymotwórcze igraszki“ przedłożył. Oby takich „więzionych w tece“ utworów literackich znalazło się u nas więcej, i oby częściej oglądały światło dzienne! Jak bowiem gruntownym i przejrzystym nazwać musimy cały historyczny wstęp o życiu i pieśniach Anakreonta skreślony przez p. Mizerskiego, tak znowu przekładowi jego perełkowych wierszyków Tejskiego piewcy nie możemy odmówić dużo wdzięku, poetycznego uroku i dostrojenia się dziwnego do nuty Anakreontowej, jak

[1] Por. *Przegląd Polski* 1882. „Lirycy greccy“.

my ją pojmujemy. Samo się przez się rozumie, że w toku rozbioru poszczególnych ód w przekładzie p. Mizerskiego nie raz jeden potrzebaby nam było zakwestyonować niejedno wyrażenie zbyt śmiałe albo też przekład zbyt dowolny, lubo tłumacz sam się zastrzegł (str. 55), że nie krępuje się zbytecznie tekstem greckim, ale na to obecnie nie pozwalają nam ramy niniejszej zbiorowej recenzyi, które już i tak może zbytecznie pozwoliliśmy sobie rozszerzyć. Co wszakże przy przekładzie p. M. podnieść uważam za słuszne, to że rymy jego, dobór wyrazów, rytm wreszcie więcej mi przypadł do gustu aniżeli „rubaszna dobroduszność", jaką tłumaczenie swe krasi p. Czubek. Zdaje mi się bowiem, że jeśli taka „rubaszna dobroduszność" może być zupełnie na swojem miejscu w przekładzie Arystofanesa naprzykład, to z pojęciem dziś naszem Anakreontowej liryki niekoniecznie ona chodzi w parze. Takie tłumaczenie p. M., podług mnie, przerasta swą poetycznością tak tłumaczenie Alfa jak i Szujskiego, nie mówiąc już o dawniejszych.

Następują „Zapatrywania polityczne Kaspra Miaskowskiego. Napisał Leszek Marya Dziama". Autor rozbierając kilka okolicznościowych wierszy Miaskowskiego, pisanych pod wpływem zdarzeń politycznych, zajmuje się stosunkiem Miaskowskiego do króla Zygmunta III., po którego stronie, powiada, stał zawsze, a następnie odsłania nam nietylko polityczne, ale i religijne zapatrywania wielkopolskiego poety. Miłość ojczyzny bowiem szła u Miaskowskiego ściśle w parze ze szczerą religijnością. „O ojczyzny dobro, jak o rozwój wiary świętej, poleca się modlić polskim biskupom" (str. III). Co do poglądów politycznych poety, to na podstawie jego „Rythmów", w których poeta swe zapatrywania objawia, charakteryzuje je p. Dziama w stosunku do poszczególnych ówczesnych wypadków historycznych. Że te zapatrywania poety nie musiały być złe, przeciwnie zdrowe i mądre, tego dowodzi rezultat badań ich, do którego doszedł p. Dziama, mianowicie powiada on pod koniec swej rozprawki (str. 123), że „gdyby wszyscy byli przejęci zasadami i zapatrywaniami Miaskowskiego, jakże innemi tory byłyby poszły dzieje nasze!"

W dalszym ciągu rzeczy zawartych w tym tomie mamy przekład w języku polskim kilkunastu wierszy szwedzkich współczesnego poety szwedzkiego, Roberta von Kraemer, dokonany z oryginału szwedzkiego przez Wawrz. hr. Benzelstjerna Engeströma. Jakkolwiek wierszyki Kraemera nie są utworem pierwszorzędnego barda północy, to przecież

posiadają dużo oryginalności i wdzięku, które to cechy potrafił im też i polski tłumacz w swym przekładzie zachować.

W pracy p. t.: „Druki kościańskie Wiganda Funcka z XVII. w. z uwzględnieniem działalności tego drukarza w Lesznie“, przez d-ra Koehlera, wykazuje autor działalność Funcka jako drukarza w Wielkopolsce, dowodząc, że w Kościanie nie istniała nigdy samodzielna drukarnia, lecz tylko filia leszczyńskiej. Przytem prostuje p. K. dużo omyłek, jakie się znajdują w pracach zajmujących się tą sprawą Bandtkiego, Łukaszewicza i Estreichera (por. str. 581 i 582 tego rocznika).

Następują Dokumenta odnoszące się do sprawy toruńskiej z r. 1724, w przeszłym roczniku przez ks. St. Kujota zapowiedziane.

Potem idzie rozprawka dr. Fr. Chłapowskiego: „O stosunku śp. Aug. Cieszkowskiego do nauk przyrodniczych w ogóle, a do wydziału przyrodniczego w szczególności“, w której autor stara się wykazać, że wielki nasz filozof położył niemałą wiązkę zasług i na polu nauk przyrodniczych. Mimo, że nauki przyrodnicze „nie były właściwą dziedziną jego samodzielnych badań“, duch jego „wyjątkowo obdarzony i syntetyzujący, przepowiedział niejedno odkrycie lub jego obszerne zastosowanie“, o jakiem się wtedy jeszcze „nikomu nie śniło“. I tak Cieszkowski poznał się jeden z pierwszych na wartości matematycznych prac Hoehne Wrońskiego, on również przepowiedział już przed 50 laty światodziejowe znaczenie elektryczności, niemniej zwrócił uwagę na doniosłość astronomicznej fotografii. Zajmował on się dalej i biologią, szczególniej badaniem warunków życia jestestw organicznych, zrozumiał teoryę Darwina, w ktorej potrafił odróżnić zdrowe ziarna prawdy od tendencyjnych przymieszek, interesowała go psychologia, hygiena a nareszcie i bakteryologiczne badania i odkrycia. W Towarzystwie Przyjaciół Nauk nietylko zachęcał do uprawiania nauk przyrodniczych, ale sam z ich zakresu miewał odczyty (o trzęsieniach ziemi i inne) i brał żywy zawsze udział w dyskusyach wydziału przyrodniczego. To też autor kończąc swą rozprawkę wyraża nadzieję, że z niedrukowanych jeszcze prac śp. A. Cieszkowskiego niejeden raz jeszcze będziemy mogli się przekonać, że w nich i dla przyrodników „bogaty pokarm duchowy“ się znajdzie.

Na podstawie najnowszych źródeł zamieścił dalej p. I. Łubieński, inżynier cywilny ze Lwowa, „Archeologiczne studyum o glinie“ (aluminium). W obszernem tem (str. 359—409), na głębszej znajomości rzeczy i naukowej podstawie opartem studyum, opisuje autor własności, sposoby obróbki i praktyczne znaczenie glinu w życiu codziennem.

Jakkolwiek, powiada, trudno dziś przesądzać, jakie w ogóle jeszcze przedmioty dadzą się z glinu, tego „metalu przyszłości“ wyrabiać, to już ta wielka mnogość i rozmaitość tych, które dziś z niego z pożytkiem wyrabiają, daje nam dostateczną miarę jego wartości i praktyczności. Prawdopodobnie też, mniema autor, powołany będzie glin do odegrania w technice wielkiej roli, a spiże aluminiowe, które następnie wylicza już dziś (bronzy aluminiowe, glinowe), wobec znacznej obniżki ceny glinu niepoślednie oddają nam przysługi. Studyum p. Ł. odznacza się wielką jasnością tak formy jak treści, i jako takie budzić może zainteresowanie w szerszych kołach czytelników.

W „Przyczynku do kwestyi wyrytych stóp na kamieniach“, zastanawia się p. dr. K. Koehler, jakim może być początek i znaczenie tego zwyczaju? Nie zgadza on się z świeżo[1] postawioną teoryą prof. Łuszczkiewicza, jakoby rzeźbienie stóp ludzkich na kamieniach było obyczajem religijnym, rozpowszechnionym w Polsce po wojnach szwedzkich, albowiem znachodzą się takie kamienie i tam, gdzie szwedzka noga nie postała. Z innych pisarzy, którzy się tą kwestyą zajmowali, wspomina Kotlarzewskiego, według którego mają to być „znaki graniczne państwa“, zaś Przyborowski powiada, że to „znaki podziałów kraju“ czyli graniczne kamienie, oddzielające w średnich wiekach jednę włość od drugiej. Autor zamieszczając swój komunikat w tych rocznikach nie oświadcza się wyraźnie za żadną z powyższych teoryj, tylko wyraża życzenie, aby inni ogłosili niebawem swe wiadomości o nieznanych dotąd takich kamieniach, a przez to podali i legendy, zwykle do nich przywiązane. Coby zaś oznaczały owe stopki wykute w kamieniach, to „kwestya jeszcze otwarta“ i może niezadługo rozwiąże ją archeologia ku zadowoleniu uczonych i prostaczków.

W krótkiej rozprawie „O pobycie Krzysztofa Arciszewskiego w Brazylii“ uzupełnia p. dr. Danysz dwutomowe dzieło p. A. Kraushara, wyszłe przed 3 laty a opisujące detalicznie „Dzieje“ tego rycerskiego awanturnika 17. wieku. Mianowicie podaje p. D. nieznane Krausharowi szczegóły o Arciszewskim, które zaczerpnął z dzieła holenderskiego uczonego Vossa, współczesnego Arciszewskiemu.

Ogłoszeniem niedrukowanego dotąd poematu St. Wojciecha Chrościńskiego, p. t. „Lament ojczyzny strapionej“, którego dwie kopie niedawno w bibliotece Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk od-

[1] Por. Wiadomości archeologiczno-numizmatyczne. Nr. 1, 2, r. 1894 str. 31,

szukał, gdy równocześnie prawie p. dr. I. Korzeniowski w swym spisie katalogu rękopisów biblioteki ks. Czartoryskich w Krakowie trzy wymienił, przysłużył się p. dr. Erzepki niemało znajomości naszej literatury polskiej z XVII. wieku, co do której tak szczupłe i zwykle niekorzystne mamy pojęcie. Rozbierając bowiem powyższy poemat, tak pod względem treści, jak formy starał się p. F. udowodnić, że sądząc z niego „wbrew utartej i powtarzanej do niedawna jeszcze opinii, bujnie rozwijała się i kwitnęła na samym schyłku XVII. wieku nasza poezya narodowa". Poemat Chrościńskiego mimo swej rozwlekłości posiada, według autora rozprawki, język jak na owe czasy „niejednokrotnie piękny, silny i jędrny", tak że zaliczać się może „do lepszych utworów poetyckich ze schyłku XVII. wieku". Przytem ciekawym jest jeszcze jako panflet polityczny, a przez to cenny dokument historyczny z tych czasów. Pan dr. Erzepki, mojem zdaniem, scharakteryzował dokładnie i nieprzesadnie tak stanowisko Chrościńskiego w literaturze polskiej, jak i znaczenie jego „Lamentu", to też poprzestaję na zwróceniu uwagi na tę jego publikacyę.

Tenże sam autor podał nam jeszcze w tym Roczniku „Próbki gwary mazowieckiej z końca XVII. i początku XVIII. wieku". Przyczynek ten lingwistyczny opracował p. E. nader starannie, komentując go, gdzie potrzeba i umieszczając pod koniec słowniczek, tak że w tem opracowaniu zainteresowanie wzbudzić może w każdym w ojczystych rzeczach zamiłowanym czytelniku, chociażby on nie był lingwistą z zawodu lub zamiłowania.

Na tem kończy się szereg rozpraw, zamieszczonych w XXI. tomie tych Roczników. Następują jeszcze detaliczny opis pogrzebu ś. p. Aug. hr. Cieszkowskiego, nekrologi ks. Łukaszewicza i dr. A. Polle'go, a zamykają Rocznik, jak zwykle, Sprawozdania z czynności Towarzystwa i poszczególnych wydziałów. Jeżeli wymieniając poszczególne prace naukowe, zamieszczone w tych dwóch Rocznikach nie ograniczaliśmy się do szerszego wymienienia ich tytułów i autorów, tylko staraliśmy się, choć zwięzłą przynajmniej treść ich podać, oraz wyniki badań ich autorów, nie zapuszczając się w obszerniejszą ich ocenę, raz, aby nie przekraczać i tak już szerokich ram naszego sprawozdania, drugi raz, że nie o wszystkiem wszyscy wyrokować są powołani, to przecież zadanie nasze nie byłoby spełnionem, gdybyśmy przy końcu nie zwrócili uwagi właśnie na Sprawozdania zarządu, konserwatora i poszczególnych wydziałów Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego. Z nich bowiem, tak jak i z rozpraw je poprzedzających, równie do-

kładnie poinformować się możemy, jak Towarzystwo się rozwija, jakiemi tory ku temu rozwojowi kroczy, co zrobiło już i co jeszcze zrobić zamierza. W tych sprawozdaniach też czytamy, że Towarzystwo nie cofa się, ale zorganizuje się wedle możności i siły, mimo przeszkód moralnych i materyalnych [1], a lubo szereg pracowników szczupły, nie zasilany dostatecznie nowemi, a zdolnemi siłami ze strony całego społeczeństwa wielkopolskiego, to przecież ci, którzy stoją na czele zarządu i poszczególnych wydziałów,przy pomocy bożej upaść Towarzystwu nie pozwolą, a gorące słowa zachęty, do serc i sumień rodaków wypowiadane od czasu do czasu na walnych zgromadzeniach, prędzej czy później odniosą chyba pożądany skutek, czego Towarzystwu tak zasłużonemu też z głębi serca życzymy — Szczęść Boże!

K. O. B.

Ze wspomnień kasztelanica. Opracował *Kajetan Kraszewski.* Przyczynek do historyi obyczajów, życia domowego i wychowania w końcu XVIII. w. Petersburg. Nakładem K. Grendyszyńskiego 1896.

Niewielka ta, ale zajmująca książeczka opiera się na ustnych opowiadaniach Wincentego Biesiekierskiego, kasztelanica kowalskiego, które syn jego Antoni spisał jak umiał przed przeszło dwudziestu latami, a obecnie K. Kraszewski opracował do druku. Zajmująca książeczka — jak słusznie wydawca w przedmowie pisze — odsłania nam „ze wszech miar ciekawy obraz obyczajów z końca zeszłego wieku, życia domowego, zwłaszcza zaś wychowania". Zapewne nie w każdym ówczesnym większym domu wychowanie toczyło się tak oryginalnym, a dla dzisiejszego pokolenia czasem wprost nie zrozumiałym torem, jak w kasztelańskim dworze w Płowcach; ale zupełnym znowu wyjątkiem dwór ten być nie mógł, ogólne rysy nakreślonego tu z całą szczerością obrazu powtarzać się musiały w wielu, bardzo wielu innych współczesnych dworkach i dworach. O pieszczotach, czułościach, poufałości z rodzicami nie było mowy: monitor boćkowski jak w domu, tak potem w szkole raz po raz występował na scenę; dziecko stało w domu zawsze na ostatnim planie, i przez myśl mu nie przyszło zajmować swą osobistością gości, nudzić domowników swemi fantazyami. Dziś inaczej, ale czy dzisiejszy sposób wychowania — pyta autor z niepokojem parękroć — w praktyce lepszy się okaże, czy wyda tęższych, dla społeczeństwa pożyteczniejszych ludzi? Nie wszystko w dawniejszym sposobie

[1] Por. Rocznik XX. str 551.

wychowania było idealnem — nikt o tem nie wątpi: lecz czy dziś w przeciwną ostateczność nie wpadliśmy, czy może nawet nie lepsza — z dwojga złego wybierając — dawniejsza surowość od dzisiejszej miękkości?

Pod jarzmem tureckiem. *Iwan Wazow.* Powieść osnuta na tle walki Bułgarów z Turkami w r. 1876. Przełożyła z bułgarskiego i licznemi objaśnieniami uzupełniła *Helena Sopodźkowa.* Z życiorysem i portretem autora, oraz 20 illustracyami. 2 tomy. W Krakowie. 1895.

Przed rokiem zwrócił *Przegląd* uwagę na wymienioną w nagłówku powieść Wazowa [1], która zwłaszcza w Anglii doczekała się powszechnego i głośnego uznania. Obecnie, gdy ukazał się, zapowiedziany już wówczas, polski przekład, wątpić nie można, że znajdzie on u nas licznych i chętnych czytelników, a znajdzie tem pewniej, że tłumaczka włada widocznie równie dobrze polskim jak bułgarskim językiem, i że bardzo roztropnie tłumaczy nam w osobnych jędrnych notach wszystko, co mogłoby być nie zrozumiałem lub niedość jasnem dla nie obeznanego bliżej z bułgarskiemi stosunkami. W każdym razie, choćby kto nawet popsuwszy sobie smak na dzisiejszych „fizyologicznych“ i „psychologicznych“ powieściach krzywił się trochę na proste, z natury wyjęte widoki, awantury, boje, skreślone przez bułgurskiego poetę i powieściopisarza, nie pożałuje z pewnością paru godzin poświęconych na zapoznanie się z tym odrębnym, odmalowanym z miłością synowską krajem, z jego oryginalnemi zwyczajami, oryginalnymi, powiedziećby się prawie chciało, homerowskimi bohaterami.

Zarys dziejów kaznodziejstwa w Kościele katolickim. *Ks. dr. Józef Pelczar.* Część I. Kaznodzieje greccy do IX. wieku, łacińscy do XVI. wieku. W Krakowie. Spółka Wydawnicza Polska. 1896.

Każdy kwiatek, na ziemi z rzadka tylko roślinnością pokrytej, jest miły i wdzięczny, zwłaszcza jeżeli sam w sobie na to zasługuje. Takim bez przesady kwiatem na niwie kaznodziejstwa polskiego jest pierwszy tomik pracy p. t. wyżej przytoczonym, znanego już i zasłużonego wielce kapłana w pracy na tej niwie.

Praca ta, jak nas sam autor zapewnia na wstępie, nie jest wyczerpującą pod względem oceny i poglądów wszechstronnych na prace kaznodziejów wszelkiej narodowości — ale jest tylko zarysem, czy ujęciem głównych momentów z życia Ojców św. i kaznodziejów, jak ich

[1] Por. *Przegląd Powszechny* z lutego 1895, str. 301 np.

prac, chronologicznym porządkiem w zgrabną całość powiązanych. Daje ona nam pojęcie nietylko ogólne, ale i szczególne o kaznodziejstwie, zaczynającem się u fundamentów i kolebki Kościoła, tj. od Chrystusa P. i Apostołów, a sięgającem w swym rozwoju aż do IX. w. w Kościele greckim, a do XVI. w łacińskim. W XIX. rozdziałach znajdziesz treściwie a nie sucho i nie nudno przedstawiony życiorys każdego z Ojców Kościoła apostolskich i poapostolskich, apologetów i historyków, a następnie scholastyków, którzy się odznaczyli na polu kaznodziejskiem w okresie od XII. do XVI. w. Każde szczegółowe omówienie życia i pism pojedynczych Ojców św. czy kaznodziejów, należących do jednego okresu, poprzedza ogólny rzut oka na ten okres zamieszczony w osobnym rozdziale. Są w nim podane warunki, w jakich się obracali, a jakie wpłynęły korzystnie na rozwinięcie ich geniuszu, są i źródła, z jakich czerpali pełną garścią cały ten skarb nauki i zasób ducha i podniosły w swoich mowach nastrój. Trafne to uwagi, które stanowią jakby tło do następujących po sobie rozdziałów, by je tem lepiej zrozumieć i ocenę pojedynczych mężów bożych dosadniej pojąć. Szczególniej trafnym sądem celuje rozdział XVII. o okresie scholastycznym od XII. do XVI. w. Tutaj wykazuje autor, jak panowanie scholastyki z jednej strony wpłynęło dodatnio na podźwignięcie się z upadku kaznodziejstwa, ucząc jasności i zwięzłości w wykładzie, z drugiej zaś jak obcięło mnóstwem podziałów i podpodziałów, jako też nagromadzeniem cytatów swobodniejszy polot wyobraźni i gorętsze porywy serca. Nie ustępuje mu też ogólny rzut oka rozdziału XV. na okres przejściowy od w. VII. do XII., w którym wskutek zaburzeń politycznych i powolnego tworzenia się nowych organizmów państwowych czy narodowych, stan nauk i piśmiennictwa podupadł i pociągnął za sobą obniżenie poziomu kaznodziejskiego.

Szkoda nam pominąć milczeniem rozdziałów III. i IV. Rozdział III. jasno omawia, czem są Ojcowie św. w Kościele katolickim, jakie ich znaczenie i jakie wreszcie źródła ich nauki, a IV. poucza o kazaniach w okresie patrystycznym, a mianowicie: kto prawił kazania; gdzie, kiedy i jak: jaki był rodzaj i skład nauk; jaki styl i jakie wreszcie czynniki dodatnie wpłynęły na tak świetny rozwój kaznodziejstwa.

Cóż powiedzieć o zarysie poszczególnym pojedynczych Ojców Kościoła i kaznodziejów? Już w rzeczy samej leży trudność przystępnego jej obrobienia. Trzeba bardzo wprawnej ręki, by miniaturowy rysunek życia omawianych osobistości i ich pism nie ograniczył się na suchem wyliczeniu dat życia i nagłówków prac, ale by był przystępny,

zrozumiały, urozmaicony, słowem, by czytającego nie nudził. Możemy z całą śmiałością powiedzieć, że się to autorowi udało. Czytanie nietylko nie nudzi, ale pociąga i bawi; tu np. jakiś szczegół ciekawy z życia Ojców św. lub kaznodziejów zajmuje, tam dodany do nazwiska omawianego tytuł, od współczesnych lub późniejszych przyjęty, całą wartość i znaczenie tegoż odrazu stawia przed oczy.

Nie ogranicza się też autor na samych kaznodziejach κατ' ἐξοχην, zwłaszcza w okresie patrystycznym — ale wciąga w szeregi tychże i apologetów i pisarzy kościelnych, przez co uwydatnia się doskonały całokształt rozwoju prac nietylko pod względem chronologicznym ale i psychicznym pierwszych i późniejszych wieków Kościoła katolickiego.

Dlatego też tomik ten pierwszy odpowie, jak nam się zdaje, zamierzonemu celowi przez autora. Autor pragnie stawić przed oczy młodzieży kształcącej się na kapłanów wzory wzniosłe i źródła bogate z zakresu kaznodziejstwa, by według tych wzorów kształciła swe życie, zdobiąc je cnotami kaznodziejskiemi, a ze wskazanych źródeł czerpała obfity i wzniosły materyał do głoszenia słowa bożego. Na tej tylko drodze bez wątpienia może się bardziej jeszcze podnieść kaznodziejstwo polskie.

Wobec tego śmiało możemy zalecić młodzieży duchownej ofiarowaną jej pracę. Znajdą tam wiele zachęty, wynikającej z przedstawienia samej rzeczy, do pilnego kształcenia się na tem polu, a może u niejednego rozdmuchana iskra oratorskiego talentu tak wzniosłemi przykłady, rozpali się i chluby i ozdoby przyczyni naszej, polskiej ambonie.

H. H.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Jubileuszowa księga Jana Wazowa. Zebrał i ułożył komitet jubileuszowy. Sofia, 1895. (Юбилеятъ на Ивана Вазовъ. Събралъ и наредилъ юбилейний комитетъ. София 1895).

Piękną uroczystość obchodziły w końcu roku ubiegłego wszystkie bułgarskie inteligentne sfery. Ulubiony i niezwykłą popularnością cieszący się pisarz i poeta, Iwan Minczow Wazow, święcił dwudziestopięciolecie gorliwej i zasłużonej pracy w dziedzinie ojczystego swego piśmiennictwa. Jeżeli w innych krajach taka rocznica wystąpienia w literackich szrankach jednego z najznakomitszych autorów daje pole do

mniej lub więcej szczerych i pięknych manifestacyj, to w Bułgaryi jubileusz Wazowa był jakby jubileuszem bułgarskiego piśmiennictwa, w którem pisarz ten naczelne zdobył sobie miejsce, jubileuszem bułgarskiej idei, której on w swych utworach najpiękniejszy i najpotężniejszy dał wyraz. Ten, kogo cały naród bułgarski uważa za pierwszego swego poetę, opłakującego minioną jego niedolę, opiewającego współczesne ideały, oraz za pierwszego pisarza, jaki zrobił wyłom w chińskim murze, dzielącym świat myśli i pojęć swych rodaków od ogólnego kierunku idei w Europie, tudzież wyrobił w niej prawa obywatelstwa dla rodzinnego swego piśmiennictwa, zasłużył istotnie na to, ażeby kraj cały złożył mu dowody miłości i uznania. To ostatnie zaś jest tak dalece ogólnem i powszechnem, że na niezliczonych depeszach i adresach, zapełniających sporą część księgi jubileuszowej, znajdujemy nazwiska Bułgarów, należących do rozmaitych stronnictw, jak również wielu wybitnych zagranicznych pisarzy, pomiędzy którymi nie braknie i Polaków. Entuzyastyczny obchód jubileuszu Wazowa stanowi wielce korzystne świadectwo dla tego, kto był przedmiotem takich owacyj, jak również dla jego rodaków, którzy umieli wznieść się ponad poziom stronniczych sympatyj i antypatyj, aby pomimo odrębności przekonań podać sobie dłonie w celu uczczenia wspólnie i jednomyślnie swego narodowego pisarza.

Czytelnikom *Przeglądu Powszechnego* nie obce nazwisko Wazowa, gdyż ostatnie jego utwory „Dźwięki“ (Звуково), „Poemata“ (Поеми), „Szkice i obrazki“ (Драски и Шарки), „Pod jarzmem“ (Подъ Игото) i „Włochy“ (Италия) kolejno były tam oceniane. Sądzimy więc, że parę biograficznych szczegółów o nim tem bardziej nie będą zbyteczne.

Urodzony w r. 1850 w bułgarskiem miasteczku Sopocie, Iwan Minczow Wazow był synem bogatego kupca, który go przeznaczył do tegoż samego zawodu. Otrzymawszy staranne wykształcenie najprzód w rodzinnem mieście, potem zaś w Kaloferze i Filipopolu, został on wysłany przez ojca do krewnych w Rumunii, aby się poświęcić handlowi. Zamiast tego jednak młodzieniec wolał dzielić losy emigrantów bułgarskich, oraz próbować swych sił na literackiej arenie. Między innemi napisał w Rumunii pierwszy swój utwór pod tytułem „Sosna“ (Боръть), za który później w Konstantynopolu dostał się do więzienia. Podczas bułgarskiego powstania w r. 1876 rodzinne miasto Wazowa Sopot zostało zniszczone przez baszybuzuków, którzy ojca poety, ratującego się ucieczką, zamordowali w Bałkanach, matkę zaś z młodszemi dziećmi uprowadzili do karłowskiego więzienia. Po oswobodzeniu

Bułgaryi Wazow piastował kolejno rozmaite godności, w ostatnich jednak latach usunął się prawie zupełnie od publicznego życia, odrzucił nawet ofiarowaną sobie przed rokiem tekę ministra oświaty i wiedzie teraz w Sofii cichą, prywatną, lecz niezależną egzystencyę, poświęconą wyłącznie literackiej pracy.

Gdy przed 25 laty na szpaltach *Periodiczeskiego Spisania*, wydawanego wówczas w Braile przez Bułgarskie Literackie Towarzystwo, ukazał się utwór poetycki pod tytułem „Sosna“, podpisany przez Wazowa, nikt z Bułgarów zapewne ani się domyślał, że po upływie ćwierć wieku, cała *élite* bułgarskiego społeczeństwa współubiegać się będzie ze sobą w składaniu hołdu jego autorowi. Sam nawet Wazow nie marzył o czemś podobnem w chwili swego literackiego debiutu, który w dziękczynnej przemowie do swoich rodaków, zebranych w dzień jego jubileuszu w sofijskiej sali sejmowej, czyli tak zwanem *Narodnem Sobraniu* następującemi scharakteryzował słowy:

„Dwadzieścia pięć lat temu w mglisty dzień jesienny w rumuńskiem mieście Braile jakiś młodzieniec ubogo ubrany z nieśmiałym, bojaźliwym wyrazem twarzy zatrzymał się z szacunkiem przed wysokim gmachem, na którym jaśniał napis *Bułgarsko Kniżowno Druż'stwo*.

„Biedny i zmięszany ten chłopak wahał się przez długą chwilę, spoglądając trwożnie i nieufnie na wysokie ściany, ogromną bramę domu a zwłaszcza na napis, który nań dziwny magiczny wpływ wywierał. Czuł biedak, że po całem jego ciele przebiegają mimowolne dreszcze, jak u człowieka, którego życie zależy od tego, co znajdzie wewnątrz tajemniczego budynku, oraz którego los za chwilę ma się rozstrzygnąć. Tak, bo ten młodzian nosił w piersi wieloletnią, gorącą żądzę zostania poetą, w kieszeni zaś spory rękopis — z wierszami.

„W czytelni Towarzystwa znalazł dwóch ludzi. Ci poprosili go grzecznie, aby usiadł, zdziwieni nieco smutną i zmięszaną fizyognomią chłopaka, którego nazwisko nieznane jeszcze nikomu, nic im nie powiedziało. Byli to redaktorowie *Periodiczeskiego Spisania* [1], najpoważniejszego ówczesnego bułgarskiego organu prasy. W moich oczach jednak byli oni wówczas więcej, niż redaktorami, bo sędziami, wyrocznią, najwyższym trybunałem. Jedno ich słowo wystarczałoby do zabicia młodej, słabej jeszcze duszy, do odebrania odwagi człowiekowi, nieufają-

[1] Byli to żyjący jeszcze obecnie literaci bułgarscy, Wasil Drumew i Wasil Stojanow.

cemu we własne siły; jedno ich słowo zdołałoby uciąć skrzydła trwożliwego młodzieńczego polotu.

„Nie wyrzekli jednak takiego słowa, owszem powitali życzliwie pierwszą moją pracę i znaleźli w swem sercu ciepłe, zachęcające wyrazy, aby pokrzepić mą wiarę w samego siebie, miotaną trwogą i zwątpieniem. Rękopis mój przyjęto! Czyż trzeba mówić, jak się czułem szczęśliwym, upojonym radością i błogą nadzieją, kiedym wychodził z tego domu? Wkrótce potem *Bor* ukazał się w *Periodiczeskom Spisaniu*. Po raz pierwszy ujrzałem drukowane swe nazwisko. Wiersz ten podobał się wielu, radość zaś moja doszła do zenitu, odrywając mię niemal od ziemi.

„Od tej chwili zostałem pisarzem".

Pierwszy ten utwór jubilata nietylko podług skromnego jego wyrażenia „podobał się wielu", ale wywołał w Bułgaryi prawdziwy entuzyazm. Przytaczamy go w przekładzie:

Tam, gdzie się spiętrzyły spadziste gór stoki,
Z wąwozem trakijskim u twardych swych stóp,
Gdzie czerni się we mgle nasz Bałkan wysoki,
Wspaniały i groźny, a prosty jak słup;

Tam, gdzie się skaliste podnoszą filary,
Wśród ślicznych, zielonych, kwiecistych łąk, wzgórz,
Gdzie ciągle w powietrzu brzmią szmery i gwary
Wietrzyka, kaskady i ptaków i zbóż.

W tem ślicznem ustroniu, na łonie natury
Żółtemi ścianami zdaleka się lśni
Monaster prastary, milczący, ponury,
Jak nieme wspomnienie minionych już dni [1].

---

[1] Тамъ, дѣто се види Балкана високи,
Край дола Тракийски — на южна страна.
Да спушта на бързо плѣщи си широки,
Величесмвенъ, страшенъ и правъ кат' стѣна;

Тамъ, дѣ се издига на мраморъ основи,
Върѣдъ хълми зелени, покрити съ цвѣтя,
Дѣ всичко шумува, играй, пѣснослови:
Зефиръ, водопади, врабчета, листа;

Въ туй весело мѣсто, съ тосъ изгледъ прѣкрасенъ
Озъва се мълкомъ съсъ жълти стѣни,
Скитъ дрѣвенъ и жаленъ, кат' спомѣнъ безгласенъ,
Въ тѣсъ хубости нови, на старитѣ дни.

Dokoła jest gwarno, lecz klasztor tak głuchy,
Jak gdyby ramiona objęły go snu,
I tylko niekiedy wietrzyka podmuchy
Szmer bliskiej kaskady przynoszą aż tu.

Nad tem chrześcijańskiem siedliskiem spokoju,
Gdzie nizkiej cerkiewki rozpostarł się dach,
Wznosiła się sosna, chłodząca wśród znoju,
I ciemny wierzchołek nurzała we mgłach.

Jak cedry wysokie w libańskiej pustyni,
Lub orzeł, gdy śmiały rozwinie swój lot,
Tak ona nad groby i mury świątyni
Rozwiała szeroko gałęzi swych splot.

Zakonnik sędziwy z siwizną u czoła,
Tak dumną wspaniałą pamiętał wciąż ją,
A nawet od przodków nie słyszał nikt zgoła,
Od kiedy w tem miejscu wznosiła skroń swą.

Taiła swą przeszłość, jak korzeń jej skryty
Nie mówił, gdzie w ziemi zasięgnął już dół,
Jak milczał wierzchołek, wpatrzony w błękity,
O wszystkiem, co widział, i słyszał, i czuł.

A może to drzewo stuletnie, milczące
Jest świadkiem minionej świetności tych ziem [1]

---

[1] Все околъ е шумно. Алъ въ тая ограда.
Е глухо... безмълвно... всегдашенъ е сънъ!
Едвамъ се зачува до тамъ водопада,
Кой пѣнястъ, гръмливо бухти си на-вънъ.

Въвъ тозъ скимъ спокойний, скитъ старъ християнский,
Наъ черквица ниска съси вѣхти светий
Се боръ възвишава съсъ израстъ гигантский
И връха си черний въвъ облаци крий!

Кат' кедъръ високи въ Ливанска пустиня,
Катъ орла крилатий когато хвърчи,
Той клони распѣрилъ. На стара светиня,
На гробове бѣли той сѣнка държи.

Монахъ бѣлобради и старецъ годишни,
Го помнѫтъ сѐ толъкъ, се толъкъ голямъ;
Нито сѫ пъкъ чули отъ хора прѣдишни,
Кога му е коренъ заболенъ билъ тамъ.

Тъй таенъ съ родътъ си. Какъ таенъ и скритенъ
Е коренъ му старий, до дѣ е пробилъ,
Какъ таенъ е върхъ му, що взоръ любопитенъ
Да види на пусто би сили хабилъ!

А може тосъ старецъ безгласенъ, вѣковни,
На бившата сяйностъ свидѣтель да е,

I pomni doniosłych wypadków tysiące,
Na które wciąż w życiu patrzało tu swem...

I żyła ta sosna przez szereg lat długi
Z wichrami górskiemi bój tocząc o byt,
Ni w lecie upały, ni w zimie szarugi
Nie zdarły zieleni, zdobiącej jej szczyt.

W gałęziach jej gęstych, gościnnych i wonnych
Swe gniazda ptaszęcy zakładał wciąż rój,
Gdzie zdala od ziemskich trosk marnych i płonnych
Świegotał lub karmił skrzydlaty ród swój.

Każdego wieczora złociły jej czoło
Ostatnie promienie, niknące wśród gór,
A kiedy wschód słońca witała wesoło
Swym szmerem, to ptasi wtórował jej chór.

Lecz wówczas, gdy wszyscy na sosny wspaniałość
Patrzali z wyrazem szacunku i czci,
Jak gdyby chcąc dowieść wszech rzeczy niestałość,
Starego olbrzyma dosięgnął los zły.

Raz nagle gwałtowna zerwała się burza,
Gdy ziemię całunem okryła już noc,
I wicher od stoków bałkańskich podnóża
Wiejący, w niezwykłą uzbroił się moc [1].

---

[1] И случки голѣми той още да повни,
Които въ животъ свой узна и видѣ...

И тъй той живѣй тукъ години безчетни
Съсъ горскитѣ бури въ неспирна борба:
Ни мразове зимни, ни пекове лѣтни
И' оголватъ му шумна и горда глава.

Въвъ клони му гѫсти и гостоприемни
Безчисленни птички гнѣзда си държдѫтъ,
Дѣ, мирни отъ злоба и бѣдствия земни,
Дѣчица перна́ти кърмiдѫтъ и звучдѫтъ.

Самъ той слѣдъ Балкана, кому е синъ личенъ,
Се вѣчеръ позлашта отъ сѣтниятъ зракъ,
И зарань пакъ той пръвъ, отъ слънце укиченъ,
Съ хоръ птичий го срѣща, като свой гостъ прѣдрагъ.

Но въ тая му пора, дѣ все се дивеше
На негова хубостъ и височина —
Защото и самъ той отъ тоя свѣтъ бѣше —
То общата участъ, уви, го стигна!

Въ нощть тъмна и мрачна внезапно се чува
Отъ пештери горски гръмовенъ, дивъ гласъ,
И вѣтъръ съсъ буря завя, залудува
Съ нечувана яростъ и гнѣвъ до тогасъ.

W momencie tym pełnym piękności i grozy,
Błyskawic snop w górze migotał jak wąż,
A echem ponurem jęczały wąwozy,
Wśród których huk gromów rozlegał się wciąż.

Gdy sosna, jak zawsze, odważnie i śmiało
Ze wściekłym orkanem toczyła dziś bój,
Z korzeniem wyrwane olbrzymie jej ciało
Runęło, druzgocąc zielony grzbiet swój.

Jak rycerz niezłomny, walczący z wrogami,
Co w sposób zdradziecki odemścić się chcą,
Znużony, wybladły, pokryty ranami,
Nad hańbę sromotną przekłada śmierć swą;

Więc walczy do końca, krwią znacząc swe ślady,
A wreszcie upada, podcięty jak kłos,
Ażeby nie przeżyć porażki lub zdrady,
Lecz śmiercią rycerską okupić swój los.

Tak sosna, uczuwszy, że koniec się zbliżał,
Nie chciała się złamać, lub ugiąć swój grzbiet,
Lecz, aby zwycięstwem jej wróg nie poniżał,
Z godnością żywota przecięła nić wnet.

Już padła!... O jakże szlachetnie i smutnie
Wygląda pień stary, leżący jak trup, [1]

---

[1] Долинитѣ жално отъ буря пишѣхѫ,
Небето трѣштеше пламнало въ огънь,
Все пада и гине!... Поля опустѣхѫ!
Всѫдѣ страхотия, мракъ, блѣсъкъ и гръмъ!

Какъ винѫги, боръ̀тъ, сърдитъ, непокоренъ,
Се бореше храбро съ туй страшно духло̀,
И въ тосъ бой отчаенъ, искъртенъ отъ коренъ,
Съ ревъ силенъ простира гигантско тѣло̀!

Като нѣкой си ратникъ, кой силно се брани,
Нападнѫтъ внезапно отъ лютий си врагъ,
Ѵ труденъ, измѫченъ, покритъ цѣлъ отъ рани,
И вече едвамъ се задържа на крак̀ъ;

И както до край той се бъхти съ врагътъ си
И пада тогава когато умрѐ,
Да не прѣживѣе слѣдъ тосъ бой смъртьта си
И себе съсипанъ, надвитъ да съзре;

Тъй сѫщо и борътъ свой край вечь усѣтилъ,
Нито се прѣчуни, нито се скърши:
На вражата гордость да не е свидѣтель,
Съ достойнство животъ си по̀-скоро свьрши!

Падна́ вечь!... И какъ е величественъ, жаленъ,
Прострѣнъ на земята столѣтния боръ!

Co wczoraj złym wichrom urągał okrutnie,
A dzisiaj dla siebie już znaleść miał grób.
Lecz jako zwycięsca bez dumy i złości
Na zwłoki swych wrogów, zbroczone ich krwią,
Spogląda oczyma pełnemi litości,
Zdradzając tem smutek, a nawet cześć swą;
Tak nagle huragan uciszył też gwary,
Gdy sosny istnieniu położył już kres,
I z niemym szacunkiem dla swojej ofiary
Ustąpił wnet miejsca dla westchnień i łez [1].

Wiersz ten, stanowiący pierwszy poetycki debiut Wazowa, przyjęty został, jakeśmy wyżej zaznaczyli, z niesłychanym zapałem we wszystkich zakątkach Europy, gdzie się inteligentni znajdowali Bułgarzy. Głównem źródłem niezwykłego powodzenia była nietyle literacka wartość utworu, który zresztą o przyszłości swego autora nader piękne rokował nadzieje, ile raczej aluzya politycznej natury, jaką w nim upatrywano, biorąc upadek sosny w sopockim monasterze za alegoryczny obraz losów państwa bułgarskiego. Ze swej strony Turcy wytropili w tym wierszu przepowiednię rychłej zguby Wielkiej Porty, słuszne zaś, czy mylne to mniemanie podejrzliwych muzułmanów przypłacił przyszły bułgarski pieśniarz trzymiesięcznem więzieniem.

Od opowiedzianej powyżej przez niego samego chwili przyjęcia do druku pierwszego jego utworu, Wazow pracował niezmordowanie w dziedzinie literackiej, wzbogacając, jak nikt dotąd, rodzinne swe piśmiennictwo. Tem większą z jego strony było to zasługą, że jak słusznie podczas jubileuszu poety powiedział p. Danew, „na dziewiczym gruncie Bułgaryi nic nie może trwale się rozwinąć, ciągła i wytrwała praca do największych należy tam osobliwości i chociaż niekiedy bywa świetną, ale zarazem krótką i chwilową. Daje się to zwłaszcza zastosować do literackiej działalności, napotykającej na każdym kroku tru-

[1] До сноштн той бѣше тъй гордъ и началенъ,
Чело му лѣтеше къмъ синий просторъ!
Аль какъ побѣдитель, што врага си глѣда
Бездушенъ въ крака си слѣдъ славни борби, —
Безъ гордость, безъ лютость, забравя побѣда
И дава му почесть и даже скърби;
Тъй сѫщо смълча се вѣявица люта,
Кат' своятъ противникъ съсъ трѣпетъ сразн,
И пълна отъ почетъ къмъ жертва прочута,
Тя мѣсто отстѫпи на плачъ и сълзи!

dne do zwalczenia przeszkody z powodu braku materyalnego poparcia, obojętności ogółu, tudzież drobiazgowości i złośliwości krytyki. Rozpocząć działanie na tak ciernistem polu — to prawdziwe bohaterstwo, nie uledz zaś zniechęceniu, wytrwać i dopiąć celu — to cud prawdziwy.

„Wazow był zdolny do takiego bohaterstwa i dokonał cudu. Z wytrwałością i energią Tytana stawiał czoło niedostatkowi, obojętności lub złości. Wreszcie odniósł zwycięstwo nad wszelkiemi przeszkodami, rozciągnął swe panowanie na całej linii w dziedzinie bułgarskiego piśmiennictwa i stanął dziś jak olbrzym na bułgarskiej ziemi, nieprzyzwyczajonej do powodzenia umysłowej pracy, obojętnej na płody myśli i ducha.

„Dlaczegóż tak się stało? Oto dlatego, iż Wazow, jako kochające dziecię matki swej Bułgaryi, nie zapomniał nigdy o tem, że musi być wiernem echem uczuć jej i myśli. Rzeczywiście w jego ręku język bułgarski, poprzednio niewyrobiony, stał się podatnem narzędziem do wyrażenia najwznioślejszych idei i najsubtelniejszych uczuć. Nieporównanem swem piórem opisał on prześlicznie piękność ukochanej przez siebie ojczyzny, opiewał chwałę dawnych zasłużonych pracowników, poruszył najbardziej dźwięczne struny w sercach bułgarskich i najszlachetniejsze obudził w nich uczucia".

Główniejsze utwory Wazowa, jak wierszem, tak prozą, zestawił zręcznie pan Georgiew Bułgar, z Wiednia w swojej odezwie jubileuszowej, mówiąc, iż ją poświęca

„Poecie i myślicielowi, który się pojawił, jak promienna „Jutrzenka" (Денница) jeszcze za czasów uginania się swego narodu „Pod jarzmem" (Подъ Игото), z „Proporcem i gęślą (Пропорецъ и гусла), aby opiewać „Niedolę Bułgaryi" (Тжги-тѣ на България), który pełnemi współczucia słowy opisał cierpienia, jakie znosili „Powstańcy" (Хжшове-тѣ), oraz ci wszyscy, co się włóczyli jako „Emigranci" (Немили-недраги), wyparci z rodzinnego ogniska; malarzowi, który potrafił odtworzyć piórem urocze bułgarskie „Pola i góry" (Поля и горы), z jakiemi współzawodniczyć mogą tylko „Włochy" (Италия), a wreszcie patryocie, który opisał nasze „Oswobodzenie" (Избавление) i podniósł historyczne znaczenie „Sliwnicy" (Сливница).

Wymienione powyżej utwory stanowią zaledwie pewną cząstkę tych *títres à la gloire,* za pomocą których stał się Wazow najbardziej popularnym i cenionym poetą i pisarzem w Bułgaryi, a nawet poza jej obrębem zaszczytną zdobył sobie sławę. Świadczy o tem niezwykła poczytność tego autora nietylko w kraju, lecz i zagranicą, oraz przekłady

jego utworów na wszystkie niemal europejskie języki. Wymownym zaś dowodem uznania ze strony jego rodaków był obchód jubileuszowy, który wypadł w sposób prawdziwie imponujący. Stosownie do swego zadania, jubileuszowa księga podaje bardzo szczegółowy jego opis, z którego tylko główne wyjmujemy chwile.

W dniu oznaczonym w sofijskiej sali sejmowej czyli *Narodnim Sobraniu* zebrali się najwybitniejsi przedstawiciele Bułgaryi z gabinetem ministeryalnym na czele, cały zaś gmach *Sobrania* i najbliższe nawet ulice niezliczonym zapełniły się tłumem. O jedenastej rano przybył jubilat w towarzystwie swej matki, czcigodnej bułgarskiej matrony i wiceprezesa jubileuszowego komitetu, d-ra Szyszmanowa. Po pięknej przemowie prezesa tego komitetu, Stojanowa i piękniejszej jeszcze odpowiedzi jubilata, nastąpiło wręczenie temu ostatniemu rozmaitych kosztownych darów od prywatnych jednostek, całych stowarzyszeń, a nawet od książąt bułgarskiego i czarnogórskiego. Najbardziej jednak odpowiednim podarunkiem była srebrna lira ze srebrnym laurowym wieńcem, ofiarowana poecie przez cały jego naród, który w przeciągu paru tygodni złożył potrzebną na ten cel kwotę. Po tej oficyalnej recepcyi nastąpił również oficyalny obiad w *Słowiańskiej Besedzie,* gdzie się jak z rękawa posypał szereg mów, rozpoczęty przez teraźniejszego ministra oświaty i starego przyjaciela Wazowa, p. Konstantego Weliczkowa. Wzniosłą i rozrzewniającą była chwila, gdy po licznych toastach na cześć jubilata i wszystkich drogich mu osób, jeden z obecnych rzekł uroczyście:

„Panowie, wstańmy i podług tradycyjnego naszego zwyczaju wylejmy kroplę wina na ziemię, mówiąc: *Bog da prosti* ojcu poety, zamordowanemu okrutną ręką pięciowiekowego prześladowcy".

— *Bog da prosti!* chórem odpowiedzieli obecni i w wielu oczach zabłysły łzy.

Chociaż takie szczegóły nie wchodzą we właściwe ramy oceny, przytaczamy je wszakże dlatego, iż rzucają one światło na charakterystyczne zwyczaje bałkańskich naszych pobratymców. Również charakterystycznym i oryginalnym był tryumfalny pochód jubilata przez główniejsze ulice Sofii, urządzony przez wielbicieli jego talentu dlatego, ażeby cała ludność stolicy mogła wziąć do pewnego stopnia udział w obchodzie jubileuszu Wazowa, będącego zarazem jubileuszem bułgarskiej literatury.

Nie będziemy już opisywali literacko-artystycznego wieczorku, urządzonego tegoż samego dnia na cześć jubilata, ani też wręczonego mu później okolicznościowego albumu autografów, pomiędzy którymi

zabłąkało się i parę polskich, lecz musimy zaznaczyć, że jeden z najpiękniejszych dowodów uznania dla jego talentu i 25-letniej niezmordowanej pracy stanowi księga jubileuszowa, ozdobiona licznemi ilustracyami, a zawierająca życiorys Wazowa i cały przebieg jubileuszu, którego cenną pozostanie pamiątką.

Sądzimy, że najbardziej odpowiedniem zakończeniem niniejszego artykułu będzie najnowszy wiersz bułgarskiego pieśniarza: „Com widział na Czarnej górze“, dający poznać zwykły, podniosły nastrój jego muzy.

Dziwne przestrzenie,
Chaos wielkości,
Światła i cienie,
Odbłysk wieczności;

Skaliste góry
I cyple śnieżne,
Jasne lazury,
Niebo bezbrzeżne.

Groźne, cudowne,
Olbrzymie siły,
Światy czarowne —
Wzrok mój olśniły,

Duszę pobożna
Przejęła trwoga
Wówczas, rzec można:
Ujrzałem Boga!

Дивни простори,
Ширъ, безконечность,
Блѣскъ... кржгозори,
Хаосъ и вѣчность;

Скални грамади,
Ридове снѣжни...
Облачни сгради.
Гледки безбрѣжни!

Сили гигантски
И страховити,
Миръ великански —
Смайватъ очитѣ.

И менъ огромна
Смути тревога:
Въ тоя мигъ, помнѫ,
Видѣхъ азъ Бога!...

Tytus Sopodźko.

Les enfants. Par *l'Abbé Henri Bolo.* Paris. René Haton. 1895.

Bogatą już posiada literaturę ta najważniejsza gałęź pedagogii, wychowanie dziecka, a przecież wciąż nowe pojawiają się dzieła o tym przedmiocie i zawsze z żywem zajęciem czytają je, ci wszyscy, którym ta codzienna a taka aktualna kwestya szczerze leży na sercu.

Płodny pisarz francuski, ks. Bolo, któremu zawdzięczamy spory już szereg prac, tchnących zawsze świeżością a pełnych, głębokich i oryginalnych myśli — wystąpił z nowem dziełem — tym razem o dzieciach. Że i tym razem wiernym pozostał swej oryginalności, to już same wskazują tytuły tych czterech rozdziałów, na które podzielił swe dzieło: *La race d'Onan — Génération du mal — La Mère — Le Père.* Myślący i szerzej po świecie patrzący czytelnik sam się już z tego więcej domyśli, niżbyśmy mogli i niżby nam wypadało szczegółowo

tłumaczyć. Pamiętajmy, że to pisze Francuz, który z blizka patrzy na tę straszną nietylko moralną, ale wskutek wyludnienia i polityczną klęskę swej ojczyzny, płynącą z tego zatrutego źródła, z którego nie sami piją już — niestety — Francuzi. Jak tedy na czele dzieła: *Du Mariage au divorce* zamieścił był autor napis *Pour lire avant d'être fiancées:* tak i tu umieścił wiele mówiącą uwagę: *Pour lire au foyer conjugal.*

Rzeczywiście autor nietylko wiele dowiódł tu odwagi i żarliwości kapłańskiej, tykając tej bolesnej rany ale i talentu, omawiając tak wymownie a delikatnie razem kwestyę, przed którą już krocie piór się wzdrygnęło. Nieocenioną oddał tedy przysługę, oczywiście ludziom dobrej woli; my zaś na tem kończymy uwagę o... pierwszym rozdziale.

Drugi rozdział wyłącznie dotyczy dzieci. Jest to psychologiczne a trafne studyum natury dziecięcej, jej zwykłych przywar, ich rozwoju a razem, jak daleko doprowadzić może zło, po rodzicach odziedziczone. Jeżeli te tragiczne obrazy miałyby się komu wydać nazbyt przesadnymi, to bez wątpienia broni autora przed posądzeniem o pesymizm ta słodycz jego charakteru, jaka raz po raz przebija i powaga faktów, na które się odwołuje. Są to straszne rzeczy i sam przyznaję, że czytanie tego rozdziału nietylko głębokie wywiera wrażenie, ale nawet dreszczem przejmuje, choć i ten rozdział, podobnie jak poprzedni, wdziękiem swoim stylowym przypomina bardzo gorzką pigułkę w cukrowej powłoce. Wielki w tem takt autora, który — jak niegdyś boży posłaniec z księgi Tobiasza — gorzką żółć na uzdrowienie oczu podaje ręką anioła...

Trzeci rozdział poświęcony jest „matce“ a czwarty „ojcu“; pełno mieszczą one powabów i myśli. Jakże np. jasno i przystępnie kreśli autor ową „mądrość macierzyńską“, jaką zazwyczaj niesie ze sobą prawdziwa cnotliwość i wrodzony spryt matki, ilekroć się rozchodzi czy o duszę czy o ciało dziecięcia! Autor chciałby widzieć w każdej i najprostszej matce ową matkę, której obraz słowy mędrca Duch Boży w Piśmie św. nakreślił... „Ojcu“ przypomina autor, że „tem musi być koniecznie i w duszy i w sumieniu, czem chce widzieć swe dzieci“, i, że „jeśli chce by syn stał się takim, jakim chce go mieć ojciec, to do tego potrzeba całej powagi ojcowskiej: mocnej a miłej, rozkazującej i przekonującej“; że „trzeba, by ojciec — jak orzeł uczący latać swe pisklęta — uczył dzieci „żyć, pracować, walczyć i zwyciężać“.

Jakżeby to dobrze było, gdyby i u nas wiele rodziców mogło czytać tę książkę!

Ks. Władysław Czencz.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Kongres austryackich socyalistów. — Kongres protestancki w Berlinie. — Wojskowe pismo berlińskie o pojedynkach. — Odezwa trzech kardynałów w sprawie zaprowadzenia międzynarodowego trybunału rozjemczego. — Akcya katolicka na Wschodzie w oświetleniu prasy rosyjskiej.

KONGRES AUSTRYACKICH SOCYALISTÓW.

Dwa kongresy: protestancki w Berlinie, socyalistyczny w Pradze, rzuciły kilka nowych, jaskrawych promieni na walkę, toczoną z Kościołem katolickim na dwóch różnych polach, ale nie z różną niestety! zaciekłością.

Na piąty z rzędu socyalistyczny kongres, obradujący w tym roku w Pradze, „kongres ludu pracującego z całej Austryi“ — jak wyrażają się pompatycznie socyalistyczne nasze pisemka — zebrało się około 150 delegatów „zorganizowanych stowarzyszeń robotniczych ze wszystkich prowincyj monarchii. Dr. Ellenbogen przedstawił we wstępnym referacie obecny stan austryackiej organizacyi socyalistycznej. Obejmuje ona w tej chwili 14 okręgów niemieckich, 13 czeskich i 3 polskie; okręgi niemieckie dzielą się znowu na przeszło sto podporządkowanych im organizacyj. Siłę i rozwój partyi można tymczasem, dopóki powszechne głosowanie nie zostanie zaprowadzonem, najwłaściwiej zmierzyć po sile i rozwoju socyalistycznej prasy. W r. 1894 roz-

porządzała partya w Austryi 21 politycznemi pismami; dziś liczba ta wzrosła do 28. Przed dwoma laty nakład pism politycznych wynosił 72.000 egzemplarzy; dziś 95.800. Pism fachowych było przed dwoma laty 29 z nakładem 95.000 egzemplarzy, dziś jest 32 z nakładem 111.700 egzemplarzy. Wogóle miała partya w r. 1894 55 pism, rozchodzących się w 179.150 egzemplarzy, dziś ma 65 pism, rozchodzących się w 229.000 egzemplarzy. Ważnym krokiem naprzód było przekształcenie wiedeńskiej *Arbeiter-Zeitung* w organ codzienny. Socyaliści czescy wydają dziesięć politycznych pism, jedno „wolno-religijne“, dwa humorystyczne i jedenaście fachowych; wszystkie razem rozchodzą się w około 70.000 egzemplarzy. Polska prasa socyalistyczna poszczycić się nie może podobnemi rezultatami i dlatego pewnie p. Daszyński, który reprezentował polski socyalizm, uznał za stosowne ze ściśle określonemi cyframi nie występować; krakowski *Naprzód*, świeżo powstała *Krytyka*, lwowski *Nowy Robotnik* rozrzucane są razem wziąwszy zaledwie w paru tysiącach egzemplarzy. Jak na truciznę, i to z pewnością bardzo smutno; tem smutniej, że trudno i w ogóle socyalistom, i w szczególności socyalistom naszym nie przyznać pewnej dozy energii i sprytu w szerzeniu swych zasad i obdarowywaniu naiwnych wyrabianym przez siebie jadem.

Wodzowie austryackich socyalistów, znajdując się we własnem swem kółku, nie uważali za stosowne obwijać w bawełnę swych myśli i uczuć i szczerze po kilkakroć wyznawali, że za głównego swego wroga uznają religię i Kościół. Dr. Adler skonstatował z tryumfem, że Słowianie południowi zaczynają się wreszcie wydobywać „z pieluch klerykalizmu“, a tem samem zbliżać się do wielkiej niemiecko-czesko-polskiej socyalistycznej armii. Dr. Verkauf i Schumaier domagali się energicznie rozciągnięcia socyalistycznej agitacyi na lud wiejski. To tylko nieszczęście, mówił ten ostatni, wśród mieniających się grzmiących oklasków i gromkich okrzyków „Hańba“, — to wstyd i nieszczęście, ze księża strasznie robotę nam psują. Ja sam zajmowałem się agitacyą na wsi między niższo-austryackimi chłopami i czas jakiś zupełnie z rezultatów byłem zadowolony. Ale przyszła

niedziela — ksiądz wyszedł na ambonę i zniszczył całotygodniową pracę. Przeciw wiejskim „klechom“ walczyć musimy z wytężeniem wszystkich sił. (Okrzyki: I na żadne względy nie zważać!) Uczyć musimy, że między klerem a religią istnieje ogromna różnica, i że można wybornie walczyć przeciw „klechom“ bynajmniej religii nie zaczepiając“...

Stara to taktyka, której nasi Fraenkle i Daszyńscy uczyć się nie potrzebują, bo od dawna ją praktykują. Ale zawsze dobrze spamiętać, do jakich w tym kierunku w najgorszym słowa tego znaczeniu, faryzajskich zasad, zjazd austryackich socyalistów, głośno i otwarcie się przyznał. Jak zresztą w rzeczywistości wygląda owe „nie zaczepianie religii“, tego małą próbkę złożyła *Arbeiter-Zeitung* w tym samym wielkanocnym numerze, w którym witała otwierający się w Pradze socyalistyczny sejm: „Niech sobie klerykali się cieszą, że parę tysięcy piwoszów, którzy jeszcze przed pięciu lub sześciu latami walczyli przy piwie z religią, dziś zapełniają Kościoły. Kościół został już z rzeczywistego życia do połowy wypędzony, a to to niemałe ma znaczenie“.

KONGRES PROTESTANTÓW W BERLINIE.

Dziewiętnasty kongres niemieckiego związku protestanckiego popisywał się ze swej strony z odniesionemi przez siebie zwycięstwami; przypisywał „Związkowi“ lwią zasługę w niedopuszczeniu Jezuitów do Niemiec i umorzeniu szkolnego wniosku Jedlitza; ale jednocześnie wyznawał z boleścią przez usta swego prezesa Schroedera: „Ultramontanizm rośnie z dnia na dzień w potęgę“. „Czy Kościół ewangelicki — pytał pastor dr. Grimm — ma w sobie dosyć siły duchowej, aby się w zupełności obronić przed wpływem rzymskiego ducha? — Bardzo o tem wątpię“. Najjaśniej wystąpiły życzenia i marzenia zebranych „wolnomyślnych“ protestantów w następnej ciekawej rezolucyi, uchwalonej na wniosek pastora Kleina z Pforzheimu:

„Dziewietnasty kongres protestancki, pamiętny swego stale zajmowanego stanowiska odnośnie do ultramontańskich dążeń; pamiętając w szczególności o uchwałach powziętych w Darm-

sztacie przed 25 latami a odnoszących się do usunięcia zakonu Jezuitów poza granice naszej ojczyzny; pamiętając również, że zawsze stawał w obronie ślubów cywilnych i prawa państwa do szkoły; — ubolewa jak najmocniej nad zgubnem dla protestanckich interesów i dla ogólnego dobra ludu, krzewieniem się i wzrostem kościelnego i politycznego wpływu rzymskiego katolicyzmu; ubolewa w szczególności nad ostatniem głosowaniem parlamentu w sprawie przywrócenia Jezuitów, nad nowemi zaczepkami wymierzonemi przeciw ślubom cywilnym i żądaniami czysto wyznaniowej szkoły. Jednocześnie zwraca się z napomnieniem do wszystkich niemieckich protestantów, aby nie ustawali w narzuconej nam walce przeciw temu nie chrześcijańskiemu i nie niemieckiemu postępowaniu!...“

WOJSKOWE PISMO O POJEDYNKACH.

Orgia pojedynków rozszalała się znów na dobre! Nie można wziąść do ręki dziennika, aby nie wyczytać w nim wiadomości o nowym jakim pojedynku między najbardziej znanemi osobistościami. Tem większe też wzbudzić musiały wrażenie słowa umieszczone w *Militaerwochenblatt* w numerze noszącym datę Wielkiego Piątku; słowa, które zapewne na razie nie zmienią smutnych dzisiejszych stosunków, ale zawsze są śladem, że prawda przedzierać się zaczyna i do tych kół, w których dotychczas z największym uporem i konsekwencyą pielęgnują pojedynkową zbrodnię.

„Jeszcze inne zagadkowe zjawisko — czytamy w wojskowym tygodniku — staje naprzeciw ukrzyżowanej postaci Zbawiciela. Honor tego świata domaga się, abyśmy szukali gwałtownego zadośćuczynienia za obrazę w sile własnej dłoni, w wyrządzeniu wzajemnej obrazy. Kto za obrazę nie szuka pomsty, do tego przylepia się plama tchórzostwa i ludzie ogłaszają go za człowieka bez czci. Króla boleści, pana miłosierdzia, stwórcę nieba i ziemi widzimy uniżonego, zanurzonego w dobrowolnie przyjętem cierpieniu, które wyklucza nawet myśl o zemście, o dobijaniu się, uganianiu za własną czcią. Samąż taką myśl, pod krzyżem stojąc, musielibyśmy uważać za niedorzeczną i bezbożną. A jednakowoż Chrystus nie okazuje się nam ani w je-

dnej chwili swej męki mężem bez hartu, szlachetności, odwagi. W cierpieniach Jego przebija się majestat, wobec którego wszystko co ludzkie, co grzeszne, co próżne w proch i marność się zmienia. Rozmyślając o Jego cierpieniach, domyślać się zaczynamy jak czemś wielkiem i doskonałem jest chrześcijaństwo, które kiedyś oczyścić i oswobodzić musi wszystkie serca, wszystkie stany i urządzenia społeczne, aż zniknie zwalczanie złego przez złe, aż wszystkie obecnie jeszcze buntujące się dusze złączą się w głośnem wyznaniu jednego Pana, w którego czci przenikającej niebo i ziemię, każdy z Jego wyznawców szukać i odnajdywać będzie własną swą cześć".

ODEZWA TRZECH KARDYNAŁÓW.

Trzej angielsko-amerykańscy kardynałowie: arcybiskup baltymorski Gibbons, prymas irlandzki Logue i arcybiskup westminsterski Vanghan, wydali wspólnie przez siebie podpisaną odezwę, w której w gorących słowach przemawiają za utworzeniem międzynarodowego trybunału, mającego rozstrzygać sporne kwestye między państwami, które dotąd rozstrzygano żelazem i ołowiem. Na razie, dla prędszego wprowadzenia w życie przedłożonego przez siebie projektu, kardynałowie proponują, aby ów trybunał rozciągał swą powagę na te przynajmniej kraje, których mieszkańcy używają języka angielskiego. „Wiemy dobrze — odzywają się przedstawiciele katolików irlandzkich, angielskich, amerykańskich — że projekt nasz połączony jest z niejedną praktyczną trudnością. Ale z drugiej strony jesteśmy przekonani, że byle nie zabrakło powszechnej dobrej woli, trudności te nie są do niepokonania. Przez całe wieki istniał taki trybunał, kiedy chrześcijańskie narody połączone były we wspólnej wierze. A czyż i w dniach naszych nie widzieliśmy, że różne narody odwoływały się w swych sporach do tegoż samego trybunału?... Ustanowiony osobno w tym celu, stały międzynarodowy trybunał pojednawczy, stanowiłby drugą linię obronną przeciw wojnie i występowałby wtedy w pole, gdy już byłyby wyczerpane zwykłe dyplomatyczne środki... Niechaj inni opierają swe odezwy w tym kierunku na pobudkach odnoszących się do ziemskich waszych interesów, waszego powodzenia, waszego

wpływu rozciągającego się na świat cały, waszej powagi w sprawach tej ziemi. Kościół katolicki uznaje zupełną słuszność tego rodzaju pobudek w porządku przyrodzonym i błogosławi wszystkiemu, co dąży do rzeczywistego postępu rodu ludzkiego. Ale najgłówniejszą pobudką, która nas porusza, są wyraźne zasady i wola Księcia Pokoju, wiecznie żyjącego założyciela, Boskiej Głowy chrześcijaństwa. On ogłosił nam, że miłość bliźnich jest drugiem przykazaniem, podobnem do pierwszego. On ogłosił ludowi zacność i nagrodę przeznaczoną dla tych, którzy szukają pokoju, i starają się go rozszerzać. ‚Błogosławieni, powiada, pokój czyniący, albowiem nazwani będą synami bożymi'. Dlatego gorąco was prosimy, abyście wespół z nami złączyli swe usiłowania i przedkładali swym rządom wasze pragnienia w tej mierze, za pośrednictwem petycyi i innych środków dozwolonych przez konstytucyę"...

Opinia publiczna w Anglii i Ameryce przyjęła odezwę trzech kardynałów z najwyższem uznaniem. „Głowy rzymskiego Kościoła, piszą *The Daily News,* oddały społeczeństwu wielkiej wagi usługę". „Odezwa ta, zaręcza *The Freeman's Journal,* wywołać musi ogólne uczucie sympatyi". „Nie ma, czytamy w *The Daily Chronicle,* ani jednego słowa w energicznem a pouczającem piśmie znakomitych katolickich prałatów, pod którem każdy chrześcijanin nie mógłby się podpisać. Jedni z pierwszych wyraziliśmy zdanie, że w sprawie tej nie kto inny, jak chrześcijańskie kościoły wziąść powinny inicyatywę. Z niemałem też zdziwieniem dowiedzieliśmy się, że niektórzy z dygnitarzów Kościoła anglikańskiego uznali za stosowne wydać sąd o całej tej rzeczy z politycznego raczej, niż z humanitarnego punktu widzenia. Może obecna odezwa skłoni ich do zabrania głosu ze swej strony.

OPINIA ROSYJSKA O AKCYI KATOLICKIEJ NA WSCHODZIE.

Żywsza akcya katolicka na Wschodzie rozbudziła w Petersburgu niechęć i niepokój, z którym rosyjska prasa bynajmniej taić się nie myśli. Znakiem dość charakterystycznym tego niepokoju zabawny artykuł o „rzymsko-katolickiej propagandzie" umieszczony w jednym z cerkiewnych

pism rosyjskich, a następnie powtórzony przez *Petersburgskie Wiadomości:*

„Dzięki słabości rządu tureckiego i protekcyi mocarstw katolickich, rozlała się po Egipcie, Syryi i Palestynie, wezbrana rzeka mnichów papieskich z wszelkiego rodzaju zakonów, a na pierwszem miejscu Jezuitów. Skoro osiedlili się w tych stronach, użyli olbrzymich środków pieniężnych, któremi rozporządzają, aby założyć mnóstwo klasztorów, kościołów, przytułków, szpitalów i t. d., a nadto zajęli się fundowaniem przeróżnych wolnych szkół, które miały wyłącznie służyć religijnej propagandzie. Na całej linii wypowiedzianą została walka przeciw prawom starodawnych, niegdyś słynnych Kościołów, które dziwnym sposobem przetrwały do naszych dni. W ostatnim jednakże czasie zdawaćby się mogło, jakoby te Kościoły zaczynały się chwiać, co widocznem jest zwłaszcza w Kościele koptyckim. Jezuici i inni katoliccy mnisi skorzystali z waśni, które szerzyły się przed dwoma latami w łonie koptyckiego Kościoła z powodu kwestyi patryarchalnej i wytężyli wszystkie siły, aby jedno z walczących stronnictw dla siebie zjednać. Cel ten osiągnęli, choć nie w zupełności. Leon XIII. wpadł na myśl zamianować osobnego patryarchę dla katolickich Koptów. Rzymskie intrygi wywołały oczywiście w kraju mnogie kłótnie... Niestety! obecne postępowanie rzymskiego Kościoła na Wschodzie zmusza do uzasadnionej obawy, że papież prędzej lub później dojdzie do spełnienia swych zamiarów. Oblężeni przez Rzym wschodni chrześcijanie oczekiwali pomocy od potężnej rosyjskiej cerkwi. Ale czyż można mieć nadzieję, że pożądana odsiecz przybędzie na czas, kiedy cerkiew rosyjska nie ma dotąd w całym Egipcie ani jednego duchownego przedstawiciela?“

Zbyteczne komentarze, co znaczą te żale i insynuacye, do czego dążą i w jakim kierunku mają popchnąć rząd i opinię w Rosyi.

Ks. Jan Badeni.

Notatki literackie.

Pantologia dekadentów polskich. — Dekadent Bałuckiego. — Zagórski o dekadentyzmie. — Poemat dekadenta.

Był czas zimowy, ogień trzaskał w piecu a za oknem huczała śnieżyca, kiedy któryś ze znajomych wpadł nagle do mnie i rzucił na stół, z miną Archimedesa, dwie książki.

— Szukasz — zawołał — dekadentów po francuskich i belgijskich księgarniach, a oni rosną pod nosem.

Na jednej z książek świecił złoty napis: „Wydawnictwo dekadentów polskich"...

Nagłe to zjawisko zaimponowało mi na razie. Że i u nas przez rogatki czujnych redakcyj zaczynają się od pewnego czasu przekradać twory nowej poezyi, dekadentyzmem zwanej, to było mi znanem, — zacząłem nawet urządzać z nich kolekcyę, aby przy wolnej chwili zabrać się do podmurowania kilku przynajmniej stopni pod pomnik jasnej chwały tych wieszczów przyszłego Parnasu — ale nie przypuszczałem nigdy, że młode to pokolenie tak nagle w butę urośnie, żeby już dzisiaj afiszować się publicznie i swe herby wybijać na tytułowej karcie. Czy może, pełna entuzyazmu dla nowego tego kierunku, rozprawa p. Przesmyckiego, lub ośmiokartkowa broszura p. Szmula Rokoszewskiego o dekadentyzmie warszawskim, rozstrzygnęła kwestyę do tego stopnia, że ci *homines novi* mogą wchodzić na salony naszej poezyi tak pewnym siebie i śmiałym krokiem? Pełen wątpliwości wziąłem książki do ręki i zacząłem się im z blizka przyglądać.

Książki już samą oprawą zaintrygowały. Z jednej okładki czarnej, jak brama do piekieł, wychylił się metaliczny napis: „Eleonora. Trójhymn duchów smętnych, przez fosforycznego Skalderona" — a w drugą okładkę, szarą, jak mur średniowiecznej baszty, wlepiony jest, coś jakby pamiątkowa tablica, tytuł u góry: „Jęk ziemi. Pantologia dekadentów polskich". — Z okładką fantastyczność się nie kończy. Eleonora drukowana jest na zielonym papierze drukiem czerwonym, a w Jęku ziemi każdy ustęp odgraniczony jest u góry i u dołu apokaliptycznymi znakami, utworzonymi z czarnych, grubych linij i punktów. Jeżeli ktoś mający dalszą styczność z dzisiejszym ruchem umysłowym, miał dotychczas ze słuchów to przekonanie o przedstawicielach nowej poezyi, że są to ludzie tem tylko różniący się od mieszkańców jakiegokolwiek domu obłąkanych, iż pozostawiono im jeszcze wolność i swobodę ru-

szania się po świecie, ten po przyglądnięciu się temu wyglądowi zewnętrznemu, do reszty umocni się w swojem przeświadczeniu.

Czem jest Eleonora, trudno wiedzieć. Przez dwanaście pieśni ani razu tego nazwiska nie spotyka się; dopiero w ostatnim wierszu czytamy: „I tak skończyła się Eleonora". Gdzie początek jej, może w przedmowie do czytelnika. Otwieram przedmowę i czytam: „Oddając poniesionej wyobraźnią wykwitów i zaników myśli Eleonorę, nie czynię tego w błogości, że mało umysłów przyjmie ją z powiernem uczuciem czynię to niemniej, bo przeblask drzew. z których zwieszają się grona fioletowych kwiatów rodzi dzień w zapatrzonych źrenicach".

Pouczony dokładnie takim jasnym wykładem o wszystkiem, czego tylko dowiedzieć się mogłem, przerzuciłem Eleonorę od początku do końca i od końca do początku i w czasie tych dwóch pielgrzymek nie mogłem dosyć nadziwić się elastycznej myśli pisarza, który potrafił zestawić 55 stron rymów bez żadnego wątku myśli. Ma to być jakiś rapsod historyczny, w którym cała historya przewraca się i kotłuje, jak wrząca woda. Marya Stuart, najbardziej jeszcze uprzywilejowana heroini Eleonory, spotyka się raz z Leonidasem, innym razem z Mojżeszem, kiedy indziej znowu, gdy Job rozdarszy szaty

Jął recytować „Fausta" od prologu,
I w grzbiet Ezawa uderzył kosmaty,
To każde słowo powtarzała z echem
Marya Stuart z komety pośpiechem.

I tak dalej, bez początku i końca — nonsens piętrzy się na nonsensie, a na tym nonsensie jeszcze siedzi nonsens.

Czy tak piszą dekadenci? Nie. U dekadentów można się potknąć co krok, jak o grudę, o jakiś absurd logiczny, psychologiczny, stylowy — nieraz zdania całe nie mają sensu i znaczenia — ale nie są to anachronizmy historyczne, wyjęte z „Obrony Sokołowa". Miała być więc Eleonora widocznie satyryczną parodyą dekadentyzmu, ale zamiar nie udał się...

Po tem odkryciu możnaby nad Eleonorą złamać pióro, a nad „Jękiem ziemi" przejść do porządku dziennego — gdyby nie to, że w drugim tym zeszycie niektóre rysy nowego kierunku są dość trafnie podchwycone. Czem są dekadenci, jaki ich nastrój duchowy, jakie ich życie wśród czterech ścian pomieszkania — wszystko to — dość wiernie maluje jeden ustęp, który warto tu w wyjątkach przytoczyć. Służyć on może doskonale za tło genetyczne do niejednego zbiorku poezyj, u nas dzi-

siaj wydawanych, zwłaszcza, że autorowie tych zbiorków nie przeczuwają może nawet, że są czystej rasy dekadentami!

„Lubię *volupté* — tak spowiada się dekadent ze swoich myśli i z trybu swego życia — bo nie znam szczęścia, prawdopodobnie go niema. Obudziłem się rano, — kiedy, nie wiem, bom dawno już nie spał. Gdym się obudził, zastanowiłem się, o czem myślałem — ale potem dałem spokój, bom był zapomniał i wpatrywałem sią w jasną plamę okna, zasłoniętego firanką. O dwunastej pomyślałem, że trzeba wstać, nie zdając sobie sprawy, dla czego — byłem zły i smutny, a potem bardzo byłem zadowolony, że słońce świeci na dworze — popatrzyłem się na łóżko i bardzo zbrzydłem sam sobie — było mi nieprzyjemnie się myć i myślałem, czy nie lepiej zadzwonić na kawę, ale dzwonek był w drugim pokoju, więc zacząłem się myć — długo się myłem, bo pluskanie to bardzo przyjemna rzecz. ...Uczułem się zdrów i młody, ale to nie dobrze, że po kawie będę zmęczony i żółty, więc natarłem sobie ręce wódką i uśmiechnąłem się do siebie w lustrze, przyczem czułem się bardzo śmiesznym. Pomyślałem, że dzień przejdzie prędko i że na drugi dzień pewnie się obudzę i nieprzyjemnem mi było to uczucie, a życie przedstawiło mi się jako łańcuch, a wchodząc do drugiego pokoju zły byłem, że był taki sam jak wczoraj...

...„Pogorzelski mię prosił, żebym coś napisał — więc pisałem, co myślę, bo to łatwiej, a przytem o wiele genialniej, niż pisać to, czego się nie myśli, choć mało kto o tem wie".

Oto niektóre tylko ustępy, bo wszystkich przytaczać trudno. Czyż nie jest to wierny portret duszy dekadenta? Newroza, przeczulona wrażliwość, bezwzględna uległość wszystkim kaprysom i zachciankom histerycznej wyobraźni — a z drugiej strony brak wszelkich przekonań, brak woli i energii, brak jakichkolwiek ideałów. Na zgliszczach rozburzonej natury ludzkiej tli się jeszcze jeden tylko popęd — ustawiczne uciekanie przed nudami. Czy nie wynosi się takiego samego pojęcia po przerzuceniu „Kwiatów grzechu" Baudelair'a.

Jakżeż tworzą dekadenci? Chorobliwe oznaki znużonej tej wyobraźni zaczynają się już pojawiać i u nas, ale nie są one tak uderzające, jak we Francyi i Belgii. Na przekład takich okazów i czasu szkoda i ostatecznie przełożyćby je trudno było, bo nieraz cała siła dekadentyzmu polega na brzmieniu wyrazów, które tylko w swoim języku zachowują tę wartość.

Z tego względu niektóre rzeczy w „Jęku ziemi" mogą mieć na-

wet pewien interes dla ciekawych. Jakby naprzykład dekadent lub symbolista opisał burzę, jakby uzmysłowił grzmoty i trzaski piorunów:

Uhuu — uhu — drrychta, drychta,
Oniemiało echo zwierza,
A jak sosny uderzały:
Uhuu — uhu — drrychta, drychta,
Tak się burza czarna zbliża,
Szumem las pokryty cały,
A on tańczy wraz.
Drychta!

Uhuu — uhu — drrychta, drychta,
Szum wśród sosen ciągle wraca,
Siwych chmurzyc walą kłęby,
Uhuu — uhu — drrychta, drychta,
Błyskawica lśni jak raca
I blask rzuca w lasów zręby
A on tańczy wraz.
Drychta!

Uhuu — uhu — drrychta, drychta,
W smugach deszczu wszystko tonie,
Grzmoty rwą się gdzieś w przepaści,
Uhuu — uhu — drrychta, drychta,
Chłop swą furę i swe konie
Na rozdrożu zaprzepaści,
A on tańczy wraz.
Drychta!

Uhuu — uhu — drrychta, drychta,
Świat jest czarny,
Świat jest marny,
Grzmoty zasną,
Lasy zgasną,
A on w noc upadnie jasną.
Elia!

Odrzuciwszy owo fatalne uhu i drychta, otrzymamy dosyć podobny opis do tego, jaki dał nam przed dwoma laty jeden z warszawskich poetów, p. Wolski, w swoim poemacie: „Burza“, o którym niżej mówimy.

Często uda się dekadentowi stworzyć taki labirynt, gdzie czytelnik ani z kłębkiem Aryadny nie da sobie rady. Charakteryzuje to doskonale wiersz „Wues“:

Za psem ładnym dzisiaj, rano
przez całe rano za odmianą
kamienic snułem.

Ranek długą świecił ścianą
na kamienicach, i różaną
duszę psa czułem.
Za psem ładnym cichy, skłonny,
szedłem za psem tym rano całe
w psa zapatrzony,
A za nami stąpał konny,
stąpał cień konny, skrzydła białe
ważył na strony.

Na dalsze cytaty i czasu i miejsca szkoda.

Jedną chcielibyśmy zrobić w tem miejscu uwagę. Dzisiaj powszechnie, tak u nas, jak i za granicą obejmuje się wyrazem „dekadentyzm“ cały nowy kierunek dzisiejszej poezyi. Za tym powszechnym zwyczajem poszedł i nasz satyryk i cały zbiór najrozmaitszych, tak kolorytem, jak nastrojem, utworów podciągnął pod jeden wspólny mianownik: „Pantologia dekadentów polskich“. Nie lubimy pedantyzmu, kawałkującego drobnostkowo każde pojęcie, ale klasyfikacya rzeczy odrębnych jest zawsze konieczną. Cała nowa poezya ma ten tylko wspólny charakter, że szuka za jakąkolwiek cenę nowości i oryginalności we formie i w treści, i wskutek tego staje się po największej części dziwaczną i chaotyczną — ale pod tym wspólnym tytułem, w tym chaosie kryją się całkiem odmienne i różne kierunki. Baudelair'a przecież trudno w tym samym rzędzie stawiać, co Maeterlincka! Co innego naszem zdaniem jest dekadentyzm, filozofujący w zdenerwowanych wyrazach nad zdenerwowaną, rozbitą i histeryczną duszą, dla której jeszcze jedynym ognikiem lubieżna zmysłowość — a co innego symbolizm, który niezależnie od jakiejkolwiek treści, całą uwagę zwraca na formę poezyi, dźwięczną i dźwiękami działającą na wyobraźnię, a we wyrazach i zgłoskach materyalnych upatruje jakieś tajemnicze odgłosy uczuć, wrażeń duchowych i myśli. Od dwu tych kierunków oddzielić potrzebaby jeszcze trzeci, który nazwalibyśmy ultra-mistycyzmem, a który obrał sobie za teren pomysłów, świat duchów, przeczuć, przewidzeń, tajemniczych wpływów przyrody na człowieka. Często dekadent jest symbolistą a symbolista prawie zawsze mistykiem, mimo to rozdział taki wydaje nam się koniecznym dlatego, żeby rozróżnić to, co w całym tym ruchu ma jakąś wartość artystyczną od tego, co żadnej wartości niema. Dekadentyzm i symbolizm przelecą po półkach księgarskich jak koń Attyli i wkrótce nie będzie po nich żadnego śladu — mistycyzm zaś będący tylko reakcyą przeciw tyranii pozytywizmu w sztuce, choć

jest dzisiaj jeszcze cudaczny i znarowiony, we fizyognomii swo'ej jednak ma kilka rysów głębszych.

W samej pantologii znajduje się jeden wiersz, pod tytułem: „Pieśń o rdzawym Łukaszu“, który mimo to, że ma być karykaturą tego kierunku, po odrzuceniu wielu niejasnych i śmiesznych wyrażeń, nie jest pozbawionym literackiej wartości. Proszę posłuchać:

Na przegniłej ulicy, gdzie się mglistość rozlewa,
Od Tamizy i błota niedoli,
Ostrzy noże służąca, ostrzy noże i śpiewa
Powoli
Pieśń o rdzawym Łukaszu.

Cienie idą za wozem, ludzie idą tak czarni,
Pogrzeb kroczy przed okiem dziewczyny,
Która ostrzy tam noże przy omdlałej latarni
Bez winy
Pieśń o rdzawym Łukaszu.

Wiszą ciche mgły rude, płaczą dalej po próżni,
Ona nóż opuściła od dreszczy,
Kto to puka po bruku? Jacyś nocni podróżni
Złowieszczy
Wieść o rdzawym Łukaszu.

I z za mgły się wysunął, twarz bez oczu szeroka,
Podniósł z bruku nóż ostry i długi
I popatrzył swą twarzą, bladą twarzą bez oka
W twarz sługi.

Od takich samych objawów zaczynała się nasza romatyczna poezya.

Czy rysy te, charakteryzujące dzisiejszy ultra-mistycyzm są w rzeczywistości, a nie pozornie tylko głębszemi, czy odrzuciwszy pewne krzywizny i obrzękłość przejdą one kiedyś w harmonijny wyraz artystycznego posągu, może kiedyindziej nad tem kabałę kłaść będziemy; ale w każdym razie, jak na dzisiaj, jeżeli nie budzą one sympatyi, to zasługują przynajmniej na cierpliwą wyrozumiałość — i dlatego satyra pod tym względem jest niesłuszną.

I pod tym względem czas byłby, pogłębić nasze literackie przekonania.

* * *

Czy z autorem „Eleonory“ i „Jęku ziemi“ zrobił p. Bałucki jakiś tajny kontrakt, czy nie, rzecz to już teraz zadawniona i trudna do zbadania, dość, że i on wziął się dość obcesowo do dekadentów. Byliśmy oddawna ciekawi, jak pisarze nasi starszej doby zapatrywać się

będą na młode pokolenie, wyrastające pod ich okiem, a tak przekonaniami i duchem od nich odmienne. Starszym trudno się nieraz na wyrozumiałość zdobyć — wiadomo, że Renan zapytany, co sądzi o młodych przedstawicielach nowej poezyi odpowiedział, że są to dzieci, które nic lepszego robić nie umieją, jak ssać sobie wielki palec. Podobny konflikt rozegrał się w ostatnich numerach *Słowa Polskiego*, dzięki obrazkowi p. Bałuckiego, p. t. „Dekadent".

P. Bałucki ma już dosyć ustaloną reputacyę jako wybitny powieściopisarz, żeby ją można w czemkolwiek naruszyć, dlatego możemy przypatrzyć się ostatniemu jego obrazkowi z dość wielką nawet swobodą. Obrazek cały robiony jest na tęsamą manierę, co i wszystkie poprzednie nowele i powieści. Jakąż jest ta maniera? Nie możemy sobie wyobrazić inaczej twórczych chwil p. Bałuckiego jak tylko w tej formie. Przychodzi mu, dajmy na to, myśl pisać powieść o jakimś bankierze. Zasiada więc bez żadnych dalszych ceremonij i wstępów przy biurku i notuje sobie mniej więcej następującą charakterystykę: skąpiec — wyzyskuje sieroty — robi dla reklamy fundacye — chce nawiązać stosunki z arystokracyą — zgrywa się na giełdzie. Po wypisaniu tych wszystkich grzechów głównych i kilku innych pobocznych, powieść, można powiedzieć, gotowa. Tyle bajek słyszało się od młodości, tyle przeczytało się powieści, że niema już w tem sztuki, żeby wytyczone te pale po porządku obwiązać sznurem fabuły. Zresztą nad każdą taką receptą unosi się duch opiekuńczy, jakaś „ona" — w tym wypadku, dajmy na to, wyzyskana przez bankiera sierota, która służy za rodzaj kleju między pojedyńczymi rozdziałami tak długo, dopóki autor, znudzony wkońcu przewlekaniem się historyi nie połączy obojga, albo przy flakoniku trucizny, albo przy ołtarzu. I tak w ten sposób płyną w świat jedne tomy po drugich, szare, bezbarwne fotografie, zrazu niespostrzeżone, później trzebione na gwałt przez krytykę — a w końcu, kiedy żadne środki, ni ludzkie, ni boskie nie mogły autora od pisarskiego przedsięwzięcia odstraszyć, publiczność zrezygnowana na wszelką ewentualność, obrzucana na wszystkie strony grubymi tomami, wchodzi z konieczności rzeczy w bliższą z nimi styczność, tak jak Horacy z tym gadułą, o którym pisze w satyrze:

Ibam forte via sacra...

Ta sama rutyna, co w poprzednich powieściach, jest i w Dekadencie. Genio, dekadent w szkołach nie uczył się, ale zajmował się książkami, właściwemi dojrzalszemu wiekowi. Wyrobiła się wskutek tego w nim przedwczesna dojrzałość, zuchwałość, zaniedbywanie obo-

wiązków, z czego rezultat był taki, że wydalono go ze szkół. Mając matkę bogatą, nie myślał już o dalszem kształceniu, ale oddawał się dalej czytaniu, marzeniom o zwróceniu literatury na nowe tory i pisaniu dekadentycznych utworów. Zaczyna się teraz cała litania przytyków. Genio przepędza chwile na tureckiej otomanie, wśród obłoku dymu papierosów; nie smakują już mu bażanty, ani filet z maderą; broni się rękami i nogami przed powszedniością życia i przed wszelkim szablonem. Opowiadanie całe przedłuża się tylko po to, aby ze wszystkich stron biednego dekadenta opiętnować. Genio nie wierzy w żadne ideały, ludzi pojmuje anatomicznie, jako osobniki, odziedziczające po przodkach całe kombinacye chorób i defektów fizycznych i moralnych, nie może pojąć małżeństwa z miłości, a miłość traktuje jako chwilową rozrywkę. Byłem najmocniej przekonany w toku czytania, że całe opowiadanie skończy się rewolwerem, bo i życie dla Genia tak długo tylko ma wartość, dopóki nie zaczną go trapić nudy Na szczęście pospieszyła się Orzeszkowa ze swymi Melancholikami, gdzie znalazł Bałucki typy podobne do swego dekadenta. Kończy się opowiadanie, tak jak u Orzeszkowej. Spada na Genia cios dotkliwy, choroba matki, który go całkowicie oprzytamnia. Genio odzyskuje równowagę serca i umysłu, rezygnuje z wielkich haseł i z wielkich marzeń, a staje się uczciwym obywatelem. W końcu żeni się z jakąś zacną panną, a przy boku żony ani mu się śni o literaturze.

P. Bałucki nie lubi w ogólności bawić się w natchnienie i pomysłowość, ale tym razem, jakby się uwziął, aby się obejść bez wszelkiej barwności i kolorytu. Temat tak ponętny dla głębszej dyagnozy psychologicznej, dla artystycznych motywów, jaki przedstawia dusza dzisiejszego pokolenia, mglista i smętna, wrażliwa na wszystko, a wskutek tego pozostająca w ustawicznym odpływie między szlachetnością a występkiem — cały ten temat najfatalniej niezrozumiany. Ani co do ze wnętrznej rzeczywistości typu, ani co do tendencyi, nic temu obrazkowi zarzucić nie możemy; ale jeżeli szło autorowi tylko o to, aby wszystkie wady dekadenta wyliczyć, to mógł zebrać je w kilku słowach i czekać z niemi na lepszą chwilę; powieść, czy nowela, czy obrazek musi być czemś więcej, jak katalogiem ułomności ludzkich. Ale tego gruntowniejszego zrozumienia sztuki, tego delikatniejszego pendzla odmówiły muzy p. Bałuckiemu.

P. Bałucki jest tylko wiernym obrazem dzisiejszej chwili, — naturalnie, że wyjąć tu trzeba tych kilku pisarzy, którzy nad tę chwilę wznieść się potrafili. Ale po zrobieniu tego zastrzeżenia, ogólny widok

jest smutny. Ponad głowy i na wszystkie strony piętrzą się dzisiaj całe stosy powieści, nowel, szkiców, obrazków, opowiadań i innych tego rodzaju historyj — a wszystkie jedną i tę samą rzecz w ten sam sposób, po tysiące razy słyszany, powtarzają i nicują. Że w jednej powieści występuje dwadzieścia osób, a w drugiej dziewiętnaście, że tu widzi się trzy wypadki śmierci i dwa śluby, tam dwa śluby i trzy wypadki śmierci, te i tym podobne drobnostki nie decydują jeszcze o oryginalnej wartości dzieła. Znudziły się już dzisiaj idyliczne czułości kochanków, — rzucają się więc powieściopisarze hurmem na druty telegraficzne i koleje, włażą do redakcyjnych biur i faktoryj wywiadowczych, błąkają się po kopalniach i norach nędzy, aby bankrutującą powieść jakimś nowym tematem orzeźwić i ożywić. Niestety! czy bohaterowie powieści siedzieć będą na stołkach drewnianych, robionych przed pięćdziesięciu laty, czy na fotelach, wyginanych według najnowszego modelu, to nie uratuje jeszcze sytuacyi.

Czasem jakaś sztuczka w nawiązaniu fabuły, jakaś nadzwyczajna kolizya zdenerwuje czytelnika i podnieci ciekawość, ale czyż to jest ta satysfakcya, którą daje sztuka. Jeżeli idzie o zaspokojenie ciekawości i poruszenie nerwów, to daleko praktyczniejszym środkiem do tego celu byłoby odnowienie walki gladyatorów z bykami, lub inne tego rodzaju widowiska. I nic dziwnego, że od dzisiejszych powieściopisarzy zaczyna się już tłumna dezercya ludzi wykształconych, a ta reszta wiernych klientów dlatego tylko jest wierną, że szuka w powieści tylko jakiegoś uczciwego zabicia czasu.

Nie w temacie więc orzeźwienia szukać należy, bo temat sam go dać nie może; a ostatecznie i temat nie może być już nowym, bo życie ludzkie ciągle tem samem korytem płynie. Tak pod pancerzem i przyłbicą średniowiecznego raubrittera, jak pod cwikrem wychudłego dziennikarza ta sama w zasadzie huczy namiętność. Zmienić się może tylko dekoracya, silniejszym będzie koloryt i wyrazistszą charakterystyka, ale rzecz zasadnicza inną nie będzie. Gdzieindziej rozwiązania szukać należy, ale tego sekretu sztuki już nie znają — z małemi wyjątkami — dzisiejsi pisarze, zahukani pozytywistycznym realizmem.

Tym sekretem jest twórczość w sztuce. Sztuka powinua być zawsze w zgodzie z rzeczywistością, ale ta zgoda nie jest jedynym przymiotem sztuki. I tu tkwi zasadniczy błąd dzisiejszego realizmu; zapomniano o wszystkiem, a myślano tylko o zgodzie z rzeczywistością. Pojmowanie takie zagłuszyło wszelką artystyczną twórczość i obniżyło szlachetny polot artystycznego uczucia. To, co realizm wytworzył u nas

prawdziwie wartościowego, możnaby w kilku tomach pomieścić, a naprzeciw tych kilku tomów wznoszą się całe sterty fotograficznych próbek, w których ani źdźbła artyzmu niema. Potrzeba na to wielkiego talentu, aby wyszedszy jedynie z obserwacyi, nie zapomnieć o twórczości. I dlatego słuszniejszą racyę bytu ma idący zwolna naprzód idealistyczny kierunek, który otwarcie twierdzi, że powieść jest odcieniem poezyi, a ta naturalnie z istoty swojej powinna być w zgodzie z rzeczywistością.

Tę zagadkę sztuki zaczynają już odgadywać młodzi pisarze. Kiedy w roku bieżącym, przy konkursie literackim *Czasu*, rozstrzygała jury o nadesłanych nowelach, z pewnem markotnem zdziwieniem zauważyli sędziowie, że we wszystkich wybitniejszych utworach młodych nowelistów nad spokojną obserwacyą bierze górę poetyczne natchnienie. Spostrzeżenie to nie powinno było zadziwić nikogo, bo od tylu lat rzuca na naszą literaturę wielki cień Sienkiewicz, który całą swoją wielkość zawdzięcza temu poetycznemu urokowi, jakim owiane są jego historyczne powieści.

Pojmuję, że wprowadzenie w czyn tych teoryj przyprawiłoby wielu dzisiejszych powieściopisarzy o utratę chleba. Jedni musieliby całkowicie odłożyć pióro na bok, inni, bardziej zdolni, musieliby się zabrać do innego rodzaju pisania. Ale rezygnacya taka byłaby pod wielu względami korzystną dla społeczeństwa. Pomijając inne korzyści niepodobna pominąć tej, którą nam na myśl Dekadent p. Bałuckiego nasuwa. Dekadentyzm cały jest tylko koniecznym wytworem dzisiejszych stosunków; jest to ta fala, płynąca ponad brzegi dlatego, że fale płynące korytem nad brzeg ją wysadziły. Jak długo samo koryto nie unormuje się, tak długo ta wierzchnia fala będzie nieść muł i zniszczenie na otaczające pola. Ale gdyby ustał ten natłok powieści, nudnych i bezcelowych bajek, gdyby rozpoczęły pojawiać się częściej rzeczy, pisane z talentem i artystyczną miarą, to i dekadentyzm umiarkowałby się, bo nie miałby żadnej mądrej racyi do gonienia za nowościami.

Jest w Dekadencie p. Bałuckiego jedna scena, w której jakiś literat starszej epoki (może sam p. Bałucki) rozmawia z dekadentem. Kiedy nie może on zrozumieć dziwacznego jakiegoś utworu Genia, Genio podaje mu dziennik, w którym była pomieszczona recenzya tego utworu.

— „Masz pan, czytaj. Może to wyjaśni panu choć trochę treść

i znaczenie mego dzieła. Będzie to nitka Aryadny, która pomoże panu zoryentować się w labiryntach naszej młodej twórczości.

„Wziąłem gazetę — mówi starszy literat — przeczytałem cały artykuł, zakreślony czerwonym ołówkiem — i osłupiałem ze zdumienia. To, co mnie wydawało się niezrozumiałem, bezsensownem, recenzent nazwał arcydziełem, wobec którego całe biblioteki dotychczasowych powieści i dramatów, były nędznemi fabrykatami, klejonkami bez wartości. Czego on tam nie dojrzał, ten recenzent w tych kilkunastu kartkach, jakie szczytne myśli, głębie duchowe i oryginalne zwroty. Czytając to, doznałem dziwnego zamętu w głowie, tak, że przez jakiś czas nie mogłem zdać sobie sprawy, czy mnie się coś pomięszało w głowie, czy temu, co to pisał, czy ja tak straciłem zupełnie zdrowy sąd o rzeczach, że nie byłem w stanie dojrzeć nic a nic z tego, co ów recenzent widział w tej książce.

„Genio widocznie odgadł z mojej twarzy te wątpliwości i zakłopotania, bo stanąwszy przedemną, zapytał z tryumfującą miną:

— „A co? Widzisz pan. Ten nie powiedział, że mnie nie rozumie. Bo my rozumimy się doskonale. I cóż pan na to?

„Wzruszyłem ramionami.

— „Jeżeli — rzekłem — to, co ten pan tu pisze, jest także wyrazem gustu czytającej publiczności, to nam starszym nie pozostaje nic innego, jak połamać pióra, siąść pod kościołem i odmawiać zdrowaśki za duszę ś. p. dawnej literatury“. — —

W scenie tej stanęły przed sobą dwa światy literackie. Jaką będzie przyszłość nowej poezyi jeszcze nie jest pewnem, ale, że pewne formy dotychczasowej literatury już nie przyszłości, ale teraźniejszości mieć nie powinny, to jest jasnem. Za duszę takiej literatury, za wieczny spoczynek tych klejonek można już rozpocząć teraz odmawianie zdrowaśków.

* * *

Ojcowie dzisiejszej literatury zaczynają na seryo radzić nad literaturą przyszłą. P. Bałucki, któremu widocznie zdaje się, że dotychczasowa literatura jest bez zmarszczki i skazy, chciałby cały nowy kierunek zaprzepaścić, a wychodząc z zasady: my rządzim światem a nami kobiety, rzuca swego dekadenta, a z nim i całą nową beletrystykę pod kobiecy pantofel. Rozwiązanie kwestyi, co prawda, oryginalne ale czy trafne? Ten pantofel, jak powiadają ludzie, ma być straszny,

i bardzo straszny, ale żeby był taki ciężki, iżby wszelkie natchnienie pisarskie przygniatał i w proch druzgotał pióro, w to mi trudno uwierzyć.

Na inną drogę wszedł p. Włodzimierz Zagórski. P. Zagórski, sądzimy, dosyć jest już znany światu, żeby go w tem miejscu rekomendować potrzeba. Macza pióro w trzech atramentach i pisze krytyki, powieści i satyry. Jest w jego pisaniu czasem odrobina donkiszoteryi; lubi wypaść z nienacka zza płotu i obłożyć płazem jakiegoś nieszczęśliwego literata; ale ostatecznie bywa w tych atakach dużo werwy, fantazyi i słuszności. Tak naprzykład, niedawno temu przebudził się pewnego pięknego poranku p. Chmielowski i spostrzegł z przerażeniem, że z literackiego jego imienia nic mu nie pozostało. Napadł go p. Zagórski i ze wszystkiego obrał.

W ostatnich czasach poniósł p. Zagórski oręż w dziedzinę dekadentyzmu. W obozie warszawskich dekadentów, na wieść o tem, że pogromca Chmielowskiego zbliża się pod bramy nieufortyfikowanego jeszcze grodu, zapanowała blada trwoga i postrach do nieopisania. Ale p. Zagórski, jak Hannibal, kiedy Rzym omijał, przeszedł górą ponad nazwiskami, a zaatakował tylko samą istotę dekadentyzmu. Czy z ataku wyszedł zwycięsko?

W rozprawce p. Zagórskiego jest kilka rzeczy cennych. Z całego zakroju poznać można, że rzecz tę pisał literat-artysta i dlatego spotyka się tam z głębszem zrozumieniem istoty poezyi. Stara się też p. Zagórski, co jest wielką zaletą, traktować rzecz genetycznie; bada przyczyny, które wytworzyły dekadentyzm, uchwycić pragnie samą rdzeń jego, a w końcu, myśli o środkach zaradczych, aby zatamować drogę jego wybrykom.

Jakież są najpierw te przyczyny, które wedle p. Zagórskiego wytworzyły dekadentyzm. Naznacza ich dwie, a naznacza z tym akcentem, iż on pierwszy je dopiero wskazuje. Pierwszą przyczynę widzi w tym ogólnym stanie umysłów, jaki wywołał rozgrom z 1870 – 71 r., a drugą we wpływie materyalistycznej filozofii, która zasłoniła ludziom widnokrąg duchowych aspiracyj. Druga przyczyna jest słusznie naznaczona, ale na nią już wielu pisarzy wskazywało. W samej Warszawie, pod bokiem p. Zagórskiego, siedzi p. Choiński, który na ten temat już dwie książki napisał. Na pierwszą przyczynę wskazuje p. Zagórski nietylko pierwszy, ale nawet sam jeden. Ten robak duchowy, który toczy Francyę, nie wylągł się dopiero w 70-tym roku, on już wiek przeszło nurtuje, a w tym wieku, mimo tego stanu, miała Francya Wiktora Hugo i całą romantyczną szkołę.

Nie lepiej powiodło się p. Zagórskiemu z określeniem dekadentyzmu. Utożsamiwszy dekadentyzm z symbolizmem, upatruje całą jego istotę i całe dążenie w tem, aby wyswobodzić formę z pod tyranii treści. Przecież sam Miryam (pseudonim Przesmyckiego), z którym polemizuje p. Zagórski, powinien był przekładem swym Maeterlincka na język polski, szerszy otworzyć widnokrąg p. Zagórskiemu na istotę i program nowej poezyi. Kilka słów o tem powiedzieliśmy wyżej.

Novissima peiora prioribus. Najniefortunniej przedstawia się koniec rozprawy. Jako główny środek zaradczy przeciw dekadentycznej epidemii uważa p. Zagórski poprawę naszej rytmiki, w ogólności poetyki, aby wiersz nasz był tak śpiewny, by odpowiadał najwybredniejszym wymaganiom sztuki, by był

Złoty, gdy się zniży, malowany,
A cały wielki, otwarty, natchniony,
I nie mówiony — lecz z ducha błyskany.

Że rytmika naszego wiersza jest niewyrobioną jeszcze, że poetyka potrzebuje reformy, temu nie myślimy przeczyć; wtedy dopiero będziemy mieli pełną poezyę, kiedy z tą wyrobioną formą myśl artystyczna się połączy. Ale to wskazywanie formy, czyż nie jest to dzisiaj woda na młyn dekadentów. Jeżeli do tej grawitacyi, jaka w łonie samego dekadentyzmu istnieje, aby nietylko już ideę, ale sens wszelki podeptać, przyjdzie jeszcze głos krytyki, wskazujący kult formy, to wtedy już całkowita nastanie anarchia. Czasy te, w których o formie tylko się myśli, należą do najgorszych w poezyi. P. Zagórski łudzi się tylko, że krokiem takim wydrze się broń z ręki dekadentom.

* * *

Kiedy tak starzy, a osiwiali w boju wodzowie pochylili nad planem bitwy poorane oblicza i przemyślają o przyszłej kampanii na dekadentyzm, w obozie dekadentów dzieją się cuda nie do opisania. Dekadenci nasi obrali sobie za główne ognisko Warszawę i tam używają wszelkich praw literackich i prasowych i wszelkich poetycznych licencyj. Są to dopiero zaczątki, ale już teraz zarysowują się między nimi rozmaite kierunki i dążności.

Przypatrzmy się dzisiaj jednemu poematowi, krystalizującemu w sobie jeden z takich kierunków. Mamy na myśli uznaną w świecie dekadentów za rzecz genialną, „Burzę“ p. Wacława Wolskiego.

Czego chce autor w tych trzech pieśniach poematu, które dotych-

czas się pojawiły, nikt jasno nie określi. Prawdopodobnie, za wzorem dekadentów francuskich, zażył on porządną dozę haszyszu, wpadł, co za tem idzie, we furor poetycki i w nieokiełzany szum pojęć, a w tym burzliwym stanie przyszła mu na myśl burza w przyrodzie i chęć burzenia wszystkiego, co tylko nasunęło się przed oczy.

Przytoczymy bez komentarzy kilka ustępów. A najpierw coś z opisu burzy:

Jasność duża i grzmoci się burza!
W strop kamienny walą ciężkie młoty
I hurkoty i głuche stukoty,
Paszcza nocy w błyskawicach nurza!
Wiatr jęczeniem *status quo* podjurza
I ukośnie leją deszczu strugi
I błotnieje ziemia wśród szarugi
I chlupoczé niejedna kałuża...
W zgiełku lasu nie słychać hałasu,
Z jakim woda prysznicuje liście
I gałęzie chlasta zamaszyście!
Moknie staruch...
. . . . . .

Poniżej znowu czytamy:

Wszechbyt wściekle namiętnym uściskiem
Zwarł się z dżdżystą i posępną nocą
I zawodzi żałością sierocą
I flaży jednostajnym natryskiem...
Elektryczność zagasła i strugi
Klapią się po rozmiękłej arenie
I po ciemku bucha przedstawienie!
Wielki siłacz kiełzna rejwach długi
I kotłuje się i znów pasuje
I spieniony chrypi aleluję.

Pominęliśmy wiele wierszy, w których opis burzy z tym samym zamachem przy akompaniamencie podjurzań i zachrypłych aleluj dalej się posuwa. Przypatrzmy się teraz jak poeta, dzisiejszy świat opisuje:

Jaźnią targa bolenie praświatów
I czas jurzy dymiące wnętrzności
I memłają pośród okropności
I katów broczą dłonie Piłatów!
I na stosie wielkim świętych gratów
Spasły bankrut apatycznie leży
I zębiska szczerzy do młodzieży
I do nowych odkryć, systematów!
Zniknij marą, przebrzydła poczwaro,

Stęchłych zwalisk zaropiała sowo!
Odtąd będziesz ozdobą stylową...
Precz ze starą, pocieszną gitarą!
Nam nie wolno pieścić się, omdlewać,
Nam dano płuca zerwać i śpiewać.

W drugiej i trzeciej pieśni, które później pojawiły się w druku, autor widocznie przestrzeżony przez krytykę, że pieśń pierwsza dała wiele psychiatrom do myślenia, miarkuje odrobinę wulkaniczne swoje natchnienie. Pozostaje to samo przyśpieszone tempo, szalone jak wicher, ale już nie zalewa czytelnika taka nieprzebrana lawa opałków. Znajdują się jednak i tam klejnoty. — Tak np., zaczyna się śpiew drugi:

Wśród błyskawic i piorunów swędu
Burzą czarne niebo się rozpęka
I poety niewidzialna ręka
Zygzakami tworzy pieśń obłędu.
Śpiewak coraz nabiera rozpędu
I opuszcza go lękliwa trema,
Pośród trzasku olbrzymie poema
Zaszybuje do arcydzieł rzędu!
Nocy przeraźliwa, nocy ducha!
Burzo, klas okropna walko, burzo!
W tobie arcydzieła się zanurzą!
Śmierci, kościotrupem śmierci sucha?
Nędzo, żywiołowa ludzka nędzo!
W obec ciebie pieśń jest nikłą przędzą!

I tak dalej rozpędza się coraz bardziej śpiewak, aby z tramboliny nonsensów przeskoczyć tremę, a olbrzymie poema, liczące 32 małych stroniczek, pośród takiego samego trzasku szybuje dalej do końca. Czy zaszybuje ono do rzędu arcydzieł? Czemużby nie! Poeta wybrał sobie przecież rząd i rodzaj poezyi taki, w którym śmiało sięgnąć może po berło pierwszeństwa — jego niewidzialna ręka tworzy zygzakami pieśń obłędu.

Ks. Jan Pawelski.

Druk ukończony 28 kwietnia 1896 r.

DĄŻENIA DO UNII CERKIEWNEJ ZA JAGIEŁŁY.

I.

Dotychczasowe zapatrywania. — Unia cerkiewna postulatem unii polsko-litewskiej. — Prace Jagiełły nad podźwignięciem cerkwi; prace Witołda. — Trudności z powodu Carogrodu. — Grzegorz Camblak. — Wydalenie Focyusza z Litwy i sobór w Nowogródku litewskim.

O usiłowaniach królów polskich dążących do podniesienia cerkwi przez unię z Kościołem, w czasie poprzedzającym unię florencką, nie posiadamy chociażby powierzchownej znajomości. Zaledwie wiemy, że za czasów króla Jagiełły był u papieża Marcina V. metropolita kijowski, Grzegorz Camblak. Co działał, co uskutecznił, dlaczego zabiegi jego nie odniosły skutku, a nawet kto był sprawcą wysłania Camblaka — na te wszystkie pytania nie mamy dostatecznej odpowiedzi. Na kartach dzieł historycznych odbija się jeszcze dotąd więcej fantastyczny aniżeli prawdziwy obraz, skreślony zresztą przed ćwiercią wieku [1], w którym całkiem niewłaściwie przedstawiono Witołda jako tego, który był sprężyną całej akcyi wysłania Camblaka na sobór konstancyeński, wreszcie jako męża, który przy pomocy tej unii zamierzał zapanować nad całym wschodem, daleko poza Smoleńsk (na którym, według wyobrażeń ówczesnych, kończyły się granice Europy [2]); jednem sło-

[1] Caro, *Gesch. Polens* III, 436—444.

[2] Por. Ulrichs von Richental, *Chronik des Constanzer Conzils,* herausgegeben von M. R. Buck *(Biblioth. des lit. Ver. in Stuttgart,* 158. B.) 159: „Europa ist das land, da wir inn sind und vahet an, an der wiszen Rüszen zu Schmolentzgi".

wem stać się królem całego wschodu, całej Słowiańszczyzny. Mglisty ten obraz nie dozwalał nawet przypuszczać o właściwych zamiarach i celach autorów zamierzonego dzieła unii cerkwi, o współudziale jej samej przy pracy, a przedstawiając usiłowania „wolnomyślnego księcia do opanowania całej Słowiańszczyzny“ i podsuwając owym czasom obcego im ducha i pojęcia wcale nieznane, zakrywał i tę tak jasno z pośród dzieł owych i aktów objaśniających je przeglądającą prawdę, że idea ta stała w związku z myślą podźwignięcia całego wschodu w imię Chrystusa, myślą stanowiącą kardynalny warunek aktu Krewskiego i wszystkich późniejszych, wyszłą od Kościoła i z rąk jego przejętą a stanowiącą wzniosłe zadanie unii.

Do źródeł dawno już przez wiedeńską akademię wydanych [1], objaśniających niewyjaśnioną dotąd sprawę dążeń cerkwi do wspólności z rzymskim Kościołem za króla Jagiełły, przybyło w ostatnich czasach kilka skąpych wprawdzie, niemniej przeto ważnych źródeł. Jedne z nich ogłosił prof. Lewicki w publikacyach krakowskiej akademii, w drugim mianowicie tomie *Codex epistolaris XV. saeculi;* bardzo zaś ważne pismo metropolity kijowskiego, sławnego Grzegorza Camblaka w sprawie unii, odczytane na publicznem posiedzeniu konstancyeńskiego soboru wobec papieża Marcina V., ogłosił Henryk Finke w *Forschungen und Quellen zur Geschichte des Konstanzer Konzils Paderborn,* 1889. W zestawieniu z innemi współczesnemi przekazami, da się na podstawie tego nowo odkrytego źródła nakreślić obraz usiłowań jedności kościelnej za panowania twórcy unii, króla Władysława Jagiełły. Źródło, o którem mowa, jest niewątpliwej autentyczności, mowa bowiem Camblaka przechowała się w szczęśliwie odkrytym i przez Finke'go kardynałowi tytułu św. Marka, Wilhelmowi Fillastre, przypisanym pamiętniku z dziejów soboru konstancyeńskiego. Fillastre już jako dziekan w Reims pod koniec XIV. w. brał udział w usiłowaniach zniesienia rozdwojenia w Kościele,

[1] Mam tu na myśli list Cunzona de Zwola, ogłoszony przez Höflera w *Geschichtsschreiber der hussitischen Bewegung,* tudzież listy ogłoszone przez Firnhabera w *Arch. f. oester. Gesch.* XV.

a na soborze w Konstancyi odegrał pamiętną rolę, podnosząc wspólnie ze sławnym Piotrem d'Ailly w lutym 1415 r. myśl usunięcia schizmy przez dobrowolną abdykacyę. Źródła te dostatecznie zbijają zdanie o rzekomych zasługach Witołda w usiłowaniach unii cerkiewnej, przeciwko któremu to twierdzeniu wystąpił już Lewicki [1], a nadto wskazują życiodajne źródło usiłowań Jagiełły celem zjednoczenia cerkwi z powszechnym Kościołem, źródło bijące z polsko-litewskiej unii.

Polityczny program unii, polegający na obronie Litwy od wewnętrznych i zewnętrznych wrogów, na zdobyciu jej dla niej samej, na wykorzenieniu barbarzyństwa i pierwotnej dziczy, wreszcie na urządzeniu kraju pod względem prawa, administracyi według wzorów zachodnich, był tylko jedną stroną idei, niosącej nowe życie wschodnim ludom. Nierównie ważniejsze zadanie wypływało z myśli rozszerzenia wiary chrześcijańskiej wśród ludu pogańskiego i rozwinięcia tamże zasad społeczeństwa katolickiego. Jeżeli bowiem pierwsza część zadania wymagała poświęcenia i trudu niesłychanego w ustawicznej obronie Litwy na wewnątrz i na zewnątrz, w nadstawianiu piersi, w poświęceniu mienia i życia i wytężających wysiłków celem zaprowadzenia ładu na ruinach rozpadającej się w gruzy barbarzyńskiej społeczności, a wreszcie w poświęceniu bytu państwa przy obronie Litwy, jak to miało miejsce w wiekopomnej bitwie pod Grunwaldem, to druga część zadania wymagała wysiłków pracy równie wielkiej, polegającej na zaparciu siebie samego, na cierpliwym trudzie misyjnym, na szerzeniu kościoła Bożego w puszczach wśród ludów dzikich, lub, co gorsza, zepsutych tu i ówdzie pozornie zaszczepioną cywilizacyą. Na gruncie twardym i nieurobionym podjęta, ciężka to była praca ścierania piętna barbarzyństwa ze społeczeństwa na pół dzikiego, upartego, stojącego wytrwale przy błędzie, podnoszenia go do godności ludzkiej; praca, której ani uorganizowane silnie Zakony, pruski Krzyżaków i mieczowy w Inflantach, podołać nie zdołały, ani nawet wysiłki wspólne połączo-

[1] Lewicki A., *Ueber das staatsrechtliche Verhältniss Littauens zu Polen Altpreuss. Monatschrift*, XXXI t., Heft 1—2, p. 65.

nych zakonów w ciągu kilku wieków, poparte siłami całego niemal Zachodu. Wartość tej pracy ocenić zdołamy uwzględniając i to, że nie liczyła ona głośnych tryumfów ani zwycięstw owych pod murami Wilna i pod Grunwaldem, że nie szczyciła się sławnymi bohaterami Oleśnickimi, Moskoszewskimi, lecz tylko cichymi misyonarzami, do liczby których sam król się zaliczał, że w końcu owoców jej nie mieli oglądać pracownicy, że dopiero późniejsze pokolenia cieszyć się niemi miały. Lecz właśnie w tem zaparciu się kryje się tajemnica postępu unii i jej trwałych dla cywilizacyi korzyści; zaparcia i poświęcenia wymagały obie strony unii; polityczna czerpała siłę we krwi Spytka z Melsztyna i tylu obrońców Litwy poległych nad wodami Worskli, pod Grunwaldem, pod murami Grodna i Wilna; pracom misyjnym przyświecało poświęcenie Jadwigi, która dla dobra wiary, dla rozwoju chrześcijaństwa nie zawahała się poświęcić szczęścia ziemskiego, Jagiełły, przodującego osobiście misyom i dziełu nawracania, biskupa Wysza i tylu innych dobrodziejów krakowskiej wszechnicy, którzy uzupełnieniem jej przez wydział teologiczny stworzyli szkołę misyjną na wschód daleki, wreszcie i korony samej, która dźwignięte przez Kazimierza Wielkiego sławne swe imię podała wrogom swoim na poniewierkę, tak że okrzyczano ją jako ochronkę schizmy, pogan i heretyków, starano się u papieży o ogłoszenie krucyaty przeciwko jawnej nieprzyjaciółce Kościoła i chrześcijańskiego porządku [1], korony, która dotacyą kościoła wileńskiego z własnych dochodów wskazywała, ile jej zależy na rozwoju chrześcijaństwa.

Rozszerzenie społeczeństwa katolickiego wśród plemion i ludów niższych cywilizacyą, na drodze ustawicznej pracy i misyi, przez poświęcenie i zaparcie, postawione już przez akt Krewski jako zasada unii [2], a przez biskupa Wysza jako godło wszechnicy krakowskiej, objąć miało nietylko Litwę właściwą, ale nadto i Ruś litewską i Wołochów, społeczeństwa rozbite, wśród których pod

---

[1] Szujski i Sokołowski, *Cod. ep. XV saeculi*, I, nr. 41: „petere volunt a domino nostro passagium".

[2] Por. ibidem, nr. 3, p. 4.

wpływem pogan i koczowniczych hord pierwiastki cywilizacyi chrześcijańskiej uległy wielkiemu rozstrojowi. O tem zadaniu mówi wyraźnie wspomniany biskup krakowski w fundacyjnym akcie wydziału teologicznego z 1401 r., założonego *ad fidei catholicae propagacionem eiusdem studii Cracoviensis dilatationem et uberius incrementum neophitarumque praedictarum gentium Lithuaniae, Rutheniae et Walachiae* [1]. Tych samych prawie słów używa również i król Jagiełło w swoich nadaniach dla wszechnicy [2]; a nie były to czcze frazesy, lecz myśli dobrze rozważone i poparte czynami, myśli obejmujące także unię cerkwi wschodniej, do której dwa ostatnie ludy należały, z Kościołem rzymskim. Nawet Tatarów miano objąć misyą apostolską, plemiona dzikie, koczownicze, postrach i klęskę europejskiego wschodu [3].

Wzniosłe słowa poparł zarówno episkopat polski jakoteż i uniwersytet krakowski czynami. Zdążający li tylko do celów państwowych Krzyżacy, teoryą i czynem rozwijali myśl, że wiarę Chrystusa i społeczność katolicką należy li tylko mocą oręża rozszerzać, a mając na tę misyę przywileje papieskie i cesarskie, rościli pretensye do Litwy i do Rusi i tamowali działalność misyjną korony na każdym kroku. Skoro ogłosili nadto Polskę i jej króla jako protektorów schizmy i pogan, należało publicznie zaprotestować przeciwko takiemu mniemaniu — i wiele takich protestów imieniem króla i Witołda wyszło do książąt zachodnich [4]. W czasie soboru konstancyeńskiego poczuł się episkopat i uniwersytet do obowiązku wystąpienia wobec zgromadzonych ojców przeciwko mieczowi jako dźwigni wiary. Protest taki założył biskup poznański, Andrzej Laskary, w swej mowie do zgromadzenia koncyliarnego, w której warując prawa królewskie do Litwy, poruszał subtelnie pytanie, czy godzi się rozszerzać wiarę za pomocą oręża, a równocześnie wyraził ufność imieniem owych wyjętych z pod prawa, że pontyfikat jest zbawieniem dla wszyst-

[1] *Cod. dipl. Univ. Crac.*, I, p. 38.

[2] Ibidem p. 120, cf. dotacye królewskie z 1400 i 1401 r., na p. 25 i 35.

[3] Por. pismo Polaków na soborze konstancyeńskim w *Cod. ep. Vit.*, p. 1012, cap. XXVI.

[4] Są one na rozmaitych miejscach w *Lites* i w *Cod. ep. Vit.*

kich wierzących w Boga, tak dla Greków jak dla Rzymian [1]. Jeszcze dobitniej od Laskarego zaznaczył uniwersytet krakowski swoje stanowisko co do sposobu rozszerzania katolicyzmu przez usta rektora swego Pawła Włodkowica. W rozprawie pełnej głębokiej uczoności, wniesionej i bronionej na posiedzeniach nacyi germańskiej, później zaś na plenarnych posiedzeniach soboru, potępił on barbarzyński sposób nawracania mieczem i przemocą niewiernych, używany przez Krzyżaków, nabytki ich oparte na podstawie podboju nazwał niegodziwością i łupiestwem, tudzież bezprawnem przywłaszczeniem, również że je z wynagrodzeniem szkód zwrócić należało. Niegodnem jest chrześcijańskiego imienia — udowadniał na podstawie Pisma świętego i Ojców Kościoła — przemocą rozszerzać wiarę, pod tym bowiem płaszczykiem ukrywa się żądza zaborów. Jedynie papieżowi przysługuje władza rozdawania krajów tudzież nawracania pogan przy pomocy oręża, ani cesarz, ani królowie, a tem mniej zakon, powołany do szerzenia owczarni Chrystusowej miłością i słodyczą, prawa tego nie mają [2].

Była to stanowcza obrona tak Litwy jakoteż i Rusi przed zasadą, która w celach jedynie panowania stosowana, jak najbardziej tym narodom dawała się we znaki, ze szkodą wiary chrześcijańskiej i prawdziwej cywilizacyi. Popierając teoretyczną obronę, świetnie wygłoszoną przez rektora wszechnicy, wysłał król Jagiełło pod koniec 1415 r. przed trybunał soboru kilkudziesięciu Żmudzinów, którzy już, dzięki zabiegom króla, wiarę przyjęli. Ci wśród skarg przedłożyli ojcom soboru, że tylko z powodu zaborczości krzyżackiej rodzinna ich Żmudź pozostaje dotąd w pogaństwie i upraszali, aby sobór wyzwolił ich od tej opieki, a natomiast wysłał na Żmudź do zaślepionych w pogaństwie Żmudzinów kapłanów i nauczycieli słowa bożego. Prośba Żmudzinów odniosła pożądany skutek, rozrzewniła zgromadzonych na soborze dostojników Kościoła i zachęciła gorliwych

[1] Von der Hardt, *Acta Conc. Constanc.* II, 177, mowa Laskarego z 25 stycznia 1415 r.

[2] Porównaj traktat Pawła Włodkowica w V t. „Star. pr. pol. pom.“. 161 i nn.

o dobro wiary do wyrwania tego ludu z objęć pogaństwa. Wśród zgromadzenia, które liczyło wielu zwolenników Jana Parwusa, siejących pogańskie hasła mordu tyranów, powiał duch inny, łagodniejszy, przychylny dla polskiej polityki pokoju, dla pracy cichej, wytrwałej, z zaparciem się i poświęceniem [1]; zdanie o protektoracie, danym przez Polskę społeczeństwom niechrześcijańskim i barbarzyńskim, niemniej jak i to, że wiarę rozszerzać należało przemocą, zostało milcząco — a nawet przez delegatów soboru — potępionem. W taki sposób doktryny krzyżackie o wyjętych z pod opieki prawa niewiernych, dzięki obronie polskiej, upadły, a narody barbarzyńskie doznały jak dawniej opieki od powszechnego Kościoła, gdyż od Ojców, zgromadzonych na soborze.

Łatwo odgadnąć, że tam, gdzie mową i pismami w tak dosadny sposób broniono ludy i kraje, wskutek niskiej żądzy zaborów i ambitnych dążeń rozszerzania władzy uznawane za pozbawione praw, i do tak pomyślnych na tej drodze dochodzono rezultatów, że tam czyny szły równolegle z teoryą i że wyprzedziły tę ostatnią, zdążając do jednego celu, do rozszerzenia Kościoła. Wykazać można na podstawie źródeł, że, jak się łatwo zresztą dorozumieć, czyny te wyprzedziły świetną teoryę, będącą rozwinięciem prawd ewangelicznych, że mianowicie co do cerkwi ruskiej od samego początku politycznego związku Polski z Litwą zdążano wytrwale do jej podniesienia.

Warując czystość wiary chrześcijańskiej, zajął król Jagiełło tak aktem unii Krewskiej, jak wileńskiemi edyktami z 1387 r., jak wreszcie aktem unii Horodelskiej obronne względem schizmatyckiej cerkwi stanowisko. Chcąc uchronić nową latorośl wiary, Litwę, od wpływu rozmaitych wiar i sekt, od manicheizmu i zżydowszczenia, jakiemu uległa schizma [2], zabroniono małżeństw

[1] Von der Hardt, IV, 606; Voigt, *Gesch. Preussens,* VIII, 295.

[2] Do rozprzężenia cerkwi i do nauk błędnych, jakie się tam zakorzeniły w Bośni i t. p., porównaj świadectwo współczesnego Ulrycha von Richental, *Chronik,* 159: „Die haltend etwas mit Juden und etwas mit den Kriechen, das sy weder Juden noch Kriechen sind und haben ain patriarchen zu Constantinopel".

pomiędzy katolikami a wyznawcami schizmy i nakazano przejście na wiarę katolicką tej stronie małżonków, która jej nie wyznawała.

Nie braknie równocześnie dowodów, że Jagiełło, ochraniając nową latorośl wiary na Litwie, współbolał jednak nad smutną dolą cerkwi, rozprzężonej zarówno jak społeczeństwo ją wyznające, jak i duchowieństwo, które toczył rak świętokupstwa, zarówno jak ją psuła nieustanna chwiejność bizantyńskiego dworu i tamecznej macierzystej cerkwi. Pierwszem takiem świadectwem interesowania się dolą cerkwi, to fundacya Benedyktynów słowiańskich na Kleparzu przez bogobojną królowę Jadwigę, drugiem zjazd Jagiełły i Witolda z metropolitą kijowskim, Cypryanem, jak się słusznie dorozumiewano, celem rozbudzenia uśpionej myśli unii cerkwi z Rzymem [1]. Niestety już w następnym roku zeszedł sędziwy Cypryan ze świata, mąż dbający o cerkiew, oddany naukom, tłumacz ksiąg liturgicznych na język słowiański. On to taktem swoim zdołał utrzymać równowagę pomiędzy Witołdem litewskim a zięciem tegoż Wasylem moskiewskim i być metropolitą, uznawanym zarówno na Litwie jakoteż i w Moskwie.

Niemniej ważne świadectwo dbałości o rozwój cerkwi płynie ze strony przeciwników króla, czyniących wyraźny zarzut z powodu tej opieki królowi Jagielle niejednokrotnie w okólnikach i poselstwach przed książętami Zachodu, tudzież przed papieżami [2]. Obejmował nią król nietylko cerkiew, lecz i ludy ruskie, czego dowodem ten wielki objazd krain ruskich wspólnie z Witołdem w najdalsze strony Rusi po odniesionem pod Grunwaldem zwycięstwie — objeździe, odbytym nie tyle celem gruntowania władzy, ile celem pouczenia o owocach wielkiego tryumfu, odniesionego w imię zasad, postawionych na czele aktu unii. Były to prawdziwe misye dla ludów wschodnich, drżących pod obuchem najezdcy, misye, mające zaszczepić wśród nich myśli o chrześcijańskiem społeczeństwie, o związku chrześcijańskich

[1] O zjeździe tym w Miłolubju (?) ob. Daniłowicz, *Lat. lit.* i „Kronika ruska“ 226 i Kojałowicz *Miscellanea.*

[2] Voigt, *Cod. dipl. pruss.* VI, nr. 42, 61. *Cod. ep. Vit.* p. 1024 i nn.

ludów, twarda szkoła cywilizacyi, mająca za zadanie do wielkich gmin chrześcijaństwa zachodniego przyłączyć i te ludy opuszczone, zdane pod obuch dziczy, rzucając wpośród nich posiew prawdziwego chrześcijaństwa. Dzięki wspólnym zabiegom Jagiełły i Witołda, nawet możny Wielki Nowogród uległ temu wpływowi, wydalając wrogiego Litwie Fedora, księcia smoleńskiego, i przyjmując na kniażenie brata królewskiego, Lingwena. W najdalsze kraje wschodu rozszerzał się błogi wpływ cywilizacyjny, a pochodnia światła, bijącego z unii, rozpraszała coraz bardziej ciemności.

Że te objazdy stanowią dowód istotnie wyższego kierunku polityki króla Jagiełły, nie kończącej się na utrwaleniu panowania przez rozgłos o wojennych zwycięstwach, lecz stawiającej rozkrzewienie wiary jako najwyższy cel, do którego wytrwale zdążał, wskazuje na to jego stanowisko wobec rozwoju cerkwi po śmierci Cypryana. Niewątpliwie tak król jak i Witołd zdawali sobie dokładnie sprawę z powodów upadku cerkwi, a mianowicie, że rak świętokupstwa, a z nim i ogólnej korupcyi szedł z Carogrodu, skąd też pochodziło i ustawiczne wahanie i ta wielka chwiejność, jaką się odznaczała bizantyńska polityka ówczesna wobec kwestyi unii cerkwi wschodniej z Kościołem katolickim. Chcąc dać pojąć dokładnie rzetelne zamiary króla i Witołda wobec cerkwi, musimy wspomnieć na tem miejscu o owej polityce wahania, pochodzącej z Bizancyum.

Było charakterystycznem znamieniem polityki carogrodzkiej że w miarę zbliżającego się niebezpieczeństwa ze strony Turków, rosły tam dążenia do unii z Kościołem rzymskim. Żeby nie cofać się w odleglejsze czasy, wspomnimy, że współczesnik króla Jagiełły, Jan Paleolog, z całą swoją rodziną przystąpił w 1369 r. do wspólności z rzymskim Kościołem [1]. Unia ta jednak była pozorną i gdy ratunek od papieża nie nadchodził tak rychło, jakby tego sobie dwór bizantyński życzył, gdy Turek coraz większe zdobycze w Europie czynił, poczęła i unia upadać. Despota z Morei, z Macedonii, sam wreszcie cesarz stawali się wasalami Bajazeta. W 1393 r. upadło carstwo bułgarskie, samej stolicy

[1] Hergenröther, *Handbuch d. a. Kirchengeschichte*, 3 Aufl., II B., 841.

wschodniego cesarstwa zagroziła potęga turecka. Po klęsce wojsk chrześcijańskich pod wodą króla Węgier, Zygmunta, pozostających pod Nicopolis, gdzie, jak wiadomo, około stu tysięcy rycerstwa zachodniego walczyło pod najsławniejszymi wodzami, jak hrabiego d'Eu, konstabla Francyi, marszałka Baucicault'a, obok naszego Zawiszy Czarnego, Sasina z synem Rolandem, Ścibora ze Ściborzyc, Tomasza Kalskiego, Świętosława Szczeni i wielu książąt i rycerzy angielskich i niemieckich. Emanuel, zagrożony przez Turków, upraszał znowu Bonifacego IX. o ogłoszenie wojny krzyżowej przeciwko niewiernym [1]. Wsparty przez papieża, zdołał Emanuel w 1399 r. odpędzić pokuszających się o stolicę państwa Turków, a nie ufając siłom własnym, udał się osobiście na zachód, kołacąc i żebrząc o pomoc. Wówczas to wobec zwiększającej się grozy i niebezpieczeństwa, udał się cesarz i do króla Jagiełły z prośbą o zasiłek, którego mu też nie odmówiono [2], wówczas wysyłał do gromadzących się na soborze w Konstancyi ojców Kościoła z przedłożeniem obedyencyi i gorącem żądaniem unii [3].

Jeżeli na zachodzie łudzono się kilkakrotnie wznawianemi przedłożeniami bizantyńskiego cesarza, zdążającego do unii, to król Jagiełło, lubo rycerstwo swoje posyłał pod Nicopolis, lubo wspomógł cesarza posyłką zboża, poważne jednak żywił wątpliwości co do szczerości zamiarów carogrodzkiego dworu. Właśnie w tym czasie zwiększających się kłopotów wschodniego cesarstwa, doświadczała żywo obchodząca króla cerkiew ruska aż nazbyt często złych skutków egoizmem przesiąkniętej polityki tego dworu, szukającego pomocy w świętokupstwie i w obdzieraniu skarbów cerkiewnych [4], w tem ustawicznem źródle rozstroju i poniżenia cerkwi. Stawiając sobie za cel podźwignięcie jej

---

[1] Raynold, *Ann. eccl. XVII. ad an. 1398,* nr. 40.

[2] Długosz, libro XI, 188—189.

[3] List Gunzona de Zwola u Höflera w *Geschichtsschreiber der hussitischen Bewegung* II, 271.

[4] *Akty Zap. Rossyi* I, nr. 25, p. 36: „szto oni (cesarz i patryarcha) chotjat metropolita stawiti po nakupu, chto sia u nich nakupit na metropoliu".

z upadku, postanowił król Jagiełło nie zrywać przyjaznych stosunków z Carogrodem i dlatego zgodził się, by Witołd postarał się o zatamowanie źródła bizantyńskiej korupcyi. Usiłowaniom tym zawdzięcza początek słynny sobór biskupów litewskich w Nowogródku litewskim, o którym tutaj wspomnimy, dowód żywej troski królewskiej o dobro i rozwój cerkwi.

Oparł się król na mężu, który w cerkwi dążenie do reformy przedstawiał. Działo się to bowiem w czasie, kiedy po upadku Tyrnowy uczniowie bogobojnego tamecznego patryarchy Eutymiusza szukali schronienia u książąt chrześcijańskich, przynosząc księgi bułgarskie, a co ważniejsza żywe świadectwo strasznego upadku cerkwi i tryumfu półksiężyca. Pomiędzy innymi znalazł w klasztorze Bazylianów kijowskich schronienie uczony Bułgarzyn, zakonnik Grzegorz Camblak, jeden z najgorliwszych uczniów Eutymiusza, autor żywotu tego patryarchy a zarazem i upadku bułgarskiej cerkwi. Grzegorz był świadkiem szturmu na Tyrnowę, kiedyto syn Bajazeta, Celebi, zdobywszy gród stołeczny, z cerkwi i kościołów powypędzał księży a ustanowił nauczycieli bezwstydu, kiedy arka przymierza dostała się w ręce wrogów, a Przenajśw. Sakrament psom rzucano, kiedy patryarszą cerkiew zarówno jak wiele innych na moszee i stajnie obrócono, kiedy bogobojny Eutymiusz płacząc nad niedolą ojczyzny i upadkiem cerkwi i polecając owieczki swoje Trójcy św. przestrzegał, by nie przyjmowano islamu i dusz nie gubiono[1]. O tego to męża postanowili oprzeć się Jagiełło i Witołd w pracy nad podźwignięciem cerkwi z upadku.

Starania króla Jagiełły, poparte przez wybitną osobistość z łona samej cerkwi, znalazły energicznego wykonawcę w osobie Witołda, wielkiego księcia Litwy. Już wnet po śmierci wspomnianego metropolity Cypryana wysłał Witołd do Carogrodu władykę połockiego Teodozego, z prośbą do cesarza, by patryarcha wyświęcił go na metropolitę, wyrażając przytem życzenie, aby metropolita stale w Kijowie zamieszkał i rządy swe osobiście

[1] Por. Jirecek Konstanty, *Gesch. der Bulgaren,* 346 i nn. Glasnik XXXI, 248—292, Życie Eutymiusza.

i energicznie sprawował [1]. Zarówno cesarz jakoteż i patryarcha odmówili prośbie Witołda; przysłano z Carogrodu na metropolitę Greczyna, nazwiskiem Focyusza, którego Witołd przyjął pod warunkiem rezydowania w Kijowie i gorącej troski o dobro cerkwi, widocznie ustępując przed naleganiami cesarza Emanuela, którego syn Jan był mężem wnuczki Witołda, wielkiej księżniczki Moskwy, urodzonej z córki księcia, Zofii Witołdówny. Związek ten jednak nie zapowiadał nadziei dźwignięcia się cerkwi, a raczej ośmielił tylko cesarza do coraz natrętniejszych domagań pieniędzy a co gorsza do odzierania cerkwi ze skarbów przy pomocy Focyusza [2]. Ten bowiem obietnicy danej Witołdowi wcale nie dotrzymał, rzadko tylko przebywając w Kijowie i często uskuteczniając wycieczki do Carogrodu, dokąd uwoził pieniądze i skarby, złożone z drogich wot cerkiewnych, darów ruskich książąt, słowem dopuszczając się grabieży cerkwi.

Gdy raz Focyusz obciążony łupami cerkiewnemi wyjeżdżał do Carogrodu, nakazał Witołd przyaresztować świętokradzkie skarby, poczem wygnał Focyusza z państw swoich, zabraniając srodze powrotu. Równocześnie zwołał Witołd książąt i władyków a przedłożywszy im sprawę świętokradztwa i symonię bizantyńską, wezwał do stanowczego zapobieżenia złemu. Z porady władyków wysłał książę do Carogrodu skargę na Focyusza, przedkładając dowody jego winy i szkody wyrządzone cerkwi, a zarazem i prośbę, aby patryarcha konfirmował Grzegorza Camblaka na metropolitę. Nadaremnie Focyusz, który tymczasem rozwinął działalność swą w Moskwie, starał się zapobiedz grożącemu ciosowi, nadaremnie pospieszył on do Witołda do Grodna, Witołd go nie przyjął [3].

W żałobie swej na Focyusza, wyznaczył Witołd patryarsze

---

[1] „Sztoby sedieł na stole kijewskoj metropoli po starynie stroiłby cerkow po dawnomu jako nasz". *Arch. Zap. Ross.* I, p. 36. nr. 25.

[2] Por. list do uniwersytetu wiedeńskiego z 1 marca 1418 w *Arch. f. oest. Gesch.* XV, 68, ustęp: „et si imperator amore tyrannidis et inique exaccionis, quas dicitur exercere in ipsorum clerum" etc., ze słowami Witolda w *Arch. Zap. Ross.* I, p. 35: „no kolko cerkownych prychodow" etc.

[3] Daniłowicz, *Lat. lit.* i „Kronika ruska", 256—257.

termin kilkumiesięczny do stanowczego załatwienia sprawy przez wyświęcenie Camblaka, termin dwukrotnie przedłużany aż do 15 listopada 1415 roku [1]. Gdy i do tego terminu nie nadchodziła odpowiedź, postanowił Witołd przez stanowczą decyzyę usunąć złe, bez względu, co na to powie dwór carogrodzki.

W tym celu idąc za przykładem Izasława kijowskiego, tudzież serbskich i bułgarskich władyków, którzy to wybierali metropolitę bez odnoszenia się do carogrodzkiego patryarchatu, zwołał Witołd sobor cerkiewny do Nowogródka litewskiego na listopad 1415 r. Prócz kniaziów litewskich i archimandrytów zakonu Bazyliańskiego przybyli na ogłoszony zjazd wszyscy władycy litewscy, a mianowicie arcybiskup połocki Teodozy, którego to, jak wyżej wspomniano, w 1407 r. życzył sobie Witołd mieć metropolitą, Izaak czernichowski, Dyonizyusz łucki, Gerazym włodzimierski, Sebastyan smoleński, Charyton chełmski, Eutymiusz turowski, a nadto Gelazyusz przemyski władykowie.

Przed dostojnem zgromadzeniem wniósł Witołd sprawę upadku cerkwi przez świętokupstwo Focyusza i wezwał do obmyślenia środków celem zaradzenia złemu. Winy Focyusza — mówił książę — są powszechnie wiadome, jego najgorsze obyczaje, złe rządy, rabunek skarbu cerkiewnego i ruina cerkwi. Wyrażając współczucie i boleść z powodu tego upadku, uzasadniał Witołd wzięcie inicyatywy w dziele reformy cerkwi żywą chęcią zaprzeczenia, jakoby on, obcy wiarą książę, dopomagał do upadku cerkwi. „Aby obcy nie składali winy niedoli i upadku cerkwi na nas — mówił Witołd, — twierdząc: książę wasz jest łacinnik, dlatego też ruska cerkiew upada, — was wszystkich tutaj wezwałem, radźcie, co czynić należy.

Potwierdzili we wszystkiem władykowie żałobę Witołdową, przyznając, że rakowi świętokupstwa przypisać należy wszystko złe w cerkwi, niedostatek i ubóstwo cerkiewne, niepokoje i bunty w jej łonie, a nawet mężobójstwo i powstania, a, co za tem idzie i co najgorsze ze wszystkiego, niesławę i upadek cerkwi kijowskiej i wszej Rusi! [2] W dalszem następstwie wytoczonej sprawy

[1] *Akty Zap. Rossyi* I. nr. 25, p. 36.

[2] Ob. okólnik władyków w *Aktach Zap. Rossyi* I, nr. 24, p. 84.

wypowiedział sobór posłuszeństwo Focyuszowi, motywując stanowczy ten krok tem, że jako działający przeciwko prawidłom apostolskim (przez świętokupstwo) ściągnął na siebie przekleństwo cerkwi, dlaczego też zgromadzeni nie mogą go uważać za władykę, a tem mniej za metropolitę[1]. Wreszcie postępując za przykładem Izasława uchwalono wybrać na soborze metropolitę; wybrano tego męża, który był przedstawicielem kierunku reform w cerkwi, którego Witołd nadaremnie polecał carogrodzkiemu patryarsze do potwierdzenia, Grzegorza Camblaka.

Nie było to jednak odpadnięcie od cerkwi wschodniej, ów akt wyboru Camblaka. Władykowie w okólniku swoim, ogłaszając wybór metropolity, mówią: Nie odłączamy się od cerkwi bynajmniej i tylko nierozumni mogliby nam uczynić podobny zarzut. I owszem, my spełniamy nakazy apostołów i ojców śś. i dlatego przekleństwem obkładamy wszelką herezyę, a zwłaszcza symoniacką. Patryarchę carogrodzkiego uważamy za takowego, cóż kiedy ani on, ani sobór nie mogą nam dać innego metropolity, jak tylko takiego, którego życzy sobie mieć car bizantyński, tj. tego, który się sowicie jemu opłaci. O, mieliśmy tego przykłady na Cypryanie, na Pimenie, na Dyonizym![2]

Równocześnie i Witołd w okólniku objaśniał powody do sobornego wybrania metropolity, pozostawiając jednak Rusinom zupełną swobodę przyjęcia obedyencyi Camblaka lub też nieuznania go za metropolitę. Kto go nie chce uznać, mówił Witołd, niechaj czyni, jak wskaże jego wola[3]. Uzasadniając jeszcze dobitniej brak wszelkiego nacisku ze strony rządu na sumienia poddanych, podniósł książę, że gdyby dążył do zguby cerkwi i do umniejszenia wschodniej wiary, natenczas nie okazywałby wcale żadnej troski o jej losy, a tylko korzystałby z dochodów cerkiewnych przez zatrzymanie władyctw w wakansach i gromadziłby dochody cerkiewne zapomocą ustanowienia namiestników

---

[1] Ob. Deklaracyę synodu w *Akt. Zap. Rossyi* I, nr. 23.
[2] *Akty Zap. Rossyi* I, nr. 24, p. 34.
[3] *Akt. Zap. Rossyi* I, nr. 25.

na władyctwach, lecz on, dążąc do wzrostu cerkwi, postarał się o wybór metropolity przez sobór władyków i przełożonych cerkwi.

W taki sposób podawał Witołd do wiadomości ludom swoim dzieło wyboru Camblaka na metropolitę Rusi, dokonane na pamiętnym soborze w Nowogródku litewskim dnia 15 listopada 1415 roku.[1]

Dodać należy, że i chwila wyniesienia Camblaka do godności metropolity zdawała się sprzyjać idei unii cerkwi, w tym bowiem roku Aleksander, wojewoda mołdawski, mąż Ryngatty, siostry Witołda, złożył uroczyście hołd przed królem w Śniatynie[2], a temsamem kraje jego uznały obedyencyę Camblaka, odcinając się od Focyusza[3].

Równocześnie Witołd rozwinął gorączkową działalność, sięgającą w głąb czarnomorskich stepów, obejmującą i Kilię z Białogrodem i krymski półwysep. Tym celem odbywał on zjazdy w Łucku z oddanym sobie carzykiem Zeledynem, jednym z synów Tochtamysza[4], a carzyk ten, jak wiadomo, dzięki protektoratowi Witołda owładnął krymską ordą. Odbywały się w Łucku rokowania o nieznanej nam treści, skoro jednak weźmiemy na

---

[1] Data roku oznaczonego indykcyą dziewiątą rokiem 6924 (*Akty Zap. Rossyi* nr. 24, p. 35) pozwala przypuszczać, że sobór odbył się w 1416 r. Tak też przypuszcza ks. biskup Pełesz w swej *Gesch. der Union der ruthenischen Kirche* I, 361, przyjmując 1416 r. jako datę soboru w Nowogródku, chociaż w podanem tłumaczeniu listu synodalnego władyków ruskich podaje datę an. MCCCCXV, idąc za Kulczyńskim w *Ap. ad Specimen ecc. ruthenae.* Że Kulczyński nie mylił się, oznaczając rok 6924 rokiem 1415, wypływa nietylko z listów, o których niżej będzie mowa, ale nadto z listu mistrza Inflanckiego do w. mistrza z 1 stycznia 1416 r., w którym jest mowa o soborze Nowogrodzkim: „Ouch so hat herzog Vitovd einen Russchen babist, oder andirs patriarchen geheisen, in Lettowen irhaben und irwelt". Bunge, Liv-Est-Curl. U Buch v, str. 2047, c. 108.

[2] Długosz, libro XI, 188.

[3] Wypływa to z tego, że Jagiełło nazywa w liście do papieża Camblacka: „metropolita totius Russie ac plage orientalis". — Lewicki, *Cod. ep. XV. saec.* II, nr. 81, p. 99: „a Camblak w swej mowie do Marcina V. mówi o dwóch narodach pragnących unią połączyć się z Rzymem". — Finke, *Forschungen u. Quellen zur Gesch. des konst. Konzils* p. 239: „redeantque iste due gentes" etc.

[4] *Cod. ep. Vit.* nr. 631, 629 cf. Bunge v, c. 78 cf. Ibidem nr. 2079.

uwagę, że w poselstwie do Konstancyi, o którem nam później mówić przyjdzie, wzięli udział i Tatarzy, skoro Witołd wyraźnie pisał do ojców na soborze konstancyeńskim, że ma pełnomocnictwo od Tatarów co do przyjęcia przez nich wiary Chrystusowej [1], skoro zresztą z liczby siedmiu carstw tatarskich pięć miało swych stałych przedstawicieli na soborze, a pomiędzy nimi i car zawolski Edyga i car Soltan czyli Zeledyn, oddany sługa Witołda [2], będziemy mieli obraz żywych zabiegów Witołda, stojących w związku ze sprawą dźwignięcia cerkwi i rozwoju wiary. Nie w innym celu wysyłał też książę jeszcze przed soborem w Nowogródku do Moskwy Camblaka [3], a pomimo że tam przyjęto Focyusza jako metropolitę, to jednakowoż i tutaj wpływ Witołda sięgał, skoro wkrótce książę ożenił kniazia Aleksandra na Słucku, syna Włodzimierza Olgerdowica, z wnuczką swoją Anastazyą, urodzoną z córki Witołda, Zofii, wielkiej księżnej moskiewskiej [4], i wogóle żywo oddawał się wzmocnieniu swego stanowiska na wschodzie.

Wobec takich rezultatów energicznej działalności księcia Witołda, schlebiających wysoce jego ambicyi, mógł on oddawać się złudzeniom co do łatwości rozszerzenia wiary przez reformę cerkwi i nie widzieć ani trudności, ani nawet niebezpieczeństw, jakie sprawa ta w sobie ukrywała. Uległ w części tym złudzeniom i król Jagiełło, a przyczyniły się wysoce do tego wypadki na południu. Właśnie bowiem w czasie przygotowań do soboru w Nowogródku, Turcy srogim napadem po raz pierwszy wdarli się w głąb Europy. Wezwany przez uciskanych od Węgrów Bośniaków Mohamed I., wkroczył z wojskiem aż nad Sawę i w morderczej walce pokonał Węgrów a Bośnię w sandżak swój zamienił [5]. Zgromadzeni w Konstancyi ojcowie Kościoła

---

[1] Por. list prokuratora Zakonu z 25 paźdz. 1415, w którym wspomina o liście Witołda z pełnomocnictwem Tatarów: *zum Christenglauben*. Bunge v, nr. 2359, p. 525.

[2] Ulryk v. Richental. *Chronik des Const. Conz.* 47, cf. 406, 206 i 209

[3] Daniłowicz, Lat. lit. i Kr. 236.

[4] *Cod. ep. Vit.* p. 392—393.

[5] Klaič, *Gesch. Bosniens* 325, podaje szczegóły tego wdarcia się Turków w głąb Europy.

i książęta udają się z prośbą do Jagiełły i do Witołda, do stanów korony polskiej, aby zasłoniły Węgry od srogich ciosów Turczyna[1]. Ludy naddunajskie szukają możnej opieki korony, której jej Węgry, rządzone przez niedołężne ramię Barbary Cylejki, żony króla Zygmunta, dać nie mogły. Takie chwilowe polityczne tryumfy mogły sprawić, że i w koronie oddawano się optymistycznym zapatrywaniom co do łatwości dźwignięcia cerkwi z upadku.

II.

Różnica pomiędzy zapatrywaniami na unię cerkwi pomiędzy Jagiełłą a Witołdem. — Działanie króla na soborze, celem ułatwienia unii. — Protektorat Witołda nad ryskim kościołem. — List Focyusza. — Zakon w tajnem przymierzu z królem Zygmuntem. — Przymierze Zakonu z Pskowem. — Camblak na soborze konstancyeńskim. — Papież Marcin V. wobec zamiarów unii. — Odłożenie unii. — Następstwa w Polsce.

Rezultat soboru w Nowogródku litewskim, będący żywem świadectwem trosk króla Jagiełły o dobro i rozwój cerkwi, zarówno jak i usiłowań reformy, płynących z samejże cerkwi, wskazywał zarazem, jak energicznego i dzielnego znalazła myśl dźwignięcia unii w Witołdzie wykonawcę. Zdawałoby się, że co do celów misyjnych, zawartych w unii politycznej Polski z Litwą pomiędzy Jagiełłą a Witołdem, nie zachodziły różnice, że obaj zrozumieli duchowe potrzeby przewodników licznych ludów swoich, a nie mogąc obojętnie patrzeć na braki, ułatwili tym ostatnim drogę do reformy. I niewątpliwie, że co do zapatrywań na konieczność zaradzenia potrzebom cerkwi zachodziła zgoda pomiędzy królem a księciem, co do celów jednakowoż tej dążności zachodziły pomiędzy nimi różnice, o których na tem miejscu szerzej wspomnieć należy.

Gdy bowiem żarliwy o rozwój wiary król Jagiełło, przejęty na wskróś myślą odrodzenia swoich ludów przez wiarę chrześcijańską, do tego celu, będącego najwyższym postulatem unii, wytrwale zdążał, przyświecając wszystkim przykładem w odby-

[1] Listy z 15 sierpnia 1415 r.; Dogiel I, 50; Lewicki, *Cod. ep. XV saec.* II, nr. 62, 63.

waniu praktyk religijnych tudzież w nawracaniu, tymczasem Witołd, powierzchowny wyznawca wiary, zdawał się uważać misyę ową za środek, prowadzący do władzy, do jej utrwalenia wśród ludów chwiejnych wobec niego, niepewnej wiary. Jagiełło pragnie przez ewangelię zdjąć okowy niewolnictwa z ludów, jęczących pod ich brzemieniem, podnieść wśród nich świadomość istoty ludzkiej i wyższych zadań człowieka, Witołd pragnie przez wiarę pozyskać ich posłuszeństwo, rozszerzyć tym sposobem panowanie. Pierwszy, pamiętny na dawną jedność cerkwi z Kościołem, upiększa kościoły bizantyńską sztuką, wschodniemi obrazami, lecz zarazem wie dobrze, że jeszcze łaska boża nie oświeciła jego poddanych na Rusi [1], natomiast książę jeszcze dwa lata przed soborem w Nowogródku pozwolił głośnemu kacerzowi, Hieronimowi z Pragi, spalonemu później w Konstancyi, towarzyszyć sobie w podróży do Witebska i do Połocka i zniósł obojętnie, gdy Hieronim z lekceważeniem traktując tamecznych katolików pochwalał wiarę ruską, aprobując schizmę i utrwalając schizmatyków w błędach i nienawiści do prawdziwej wiary, siejąc powszechne zgorszenie [2]. Co bardziej, Witołd ścierpiał nawet, że przybyli na dwór jego rycerze z Czech ogłaszali Husa jako świętego, a cały sobór konstancyeński hańbiącemi piętnowali nazwami. Na wieść o tem zgorszeniu wzywać musiał księcia zaprzyjaźniony z nim biskup dorpacki do ukarania zuchwałego gościa czeskiego [3].

Brak głębszych religijnych przekonań, a z tem i idealnych celów u księcia, który po trzykroć już w życiu zmieniał wiarę, zaznacza i współczesne źródło ruskie, z całą naiwnością przytaczając rozmowę pomiędzy Witołdem a metropolitą Camblakiem w sprawie unii. Na zapytanie Camblaka, dlaczego to książę żyje w lackiej wierze, odpowiedzieć miał Witołd, że jeżeli nietylko jego, ale w ogólności całą Litwę chce mieć metropolita pod swoją obedyencyą, niechaj uda się do Rzymu i odbędzie

[1] „Habemus Ruthenos subditos, quibus nondum divina lux affulsit" — mówi król. Finke, *Beiträge z. Gesch. d. Const. Conz.* 318.

[2] Hardt, *Acta Conc. Const.* IV, 677 inn.

[3] *Cod. ep. Vit.* p. 382.

tam rozprawę z papieżem i ojcami Kościoła; jeżeli nie przekona ich o pierwszeństwie ruskiej wiary, natenczas książę poleci wszystkim przyjąć lacką [1]. Prawda, że motywy, dla których Camblak udać się miał na sobór, były zupełnie innej natury, aniżeli je opisuje naiwny latopisiec, opowieść jego jednak stwierdza rzecz o przekonaniach Witołda, które co do cerkwi ruskiej i co do zamiarów wobec niej, były odmiennemi od zapatrywań królewskich, co także na powodzenie sprawy niemało wpłynęło.

Poddający się pod przewodnictwo Kościoła, obdarzony zaufaniem papieży, pragnący żywo, aby światło prawdziwej wiary zaświeciło w tych stronach, zdawał się król Jagiełło jedynie troszczyć o ludzi, a w ludziach o wiarę, i do tego celu, nie zaś do panowania, zdążał, wierny zasadom unii, wypływającym z dobrze zrozumianych prawd chrześcijaństwa. Jego dobre stosunki z dworem carogrodzkim, chętna pomoc użyczana w potrzebie, ciężki lecz chętny protektorat nad Mołdawią i dalej nad Wołoszczyzną, oddanie Podola w zarząd Witołdowi, nieustanna i wytrwała obrona Litwy i Rusi od wrogów, wogóle ustępstwa, ofiary i prace: wszystko to świadczyło o wyższych celach rozwoju wiary i dobra chrześcijaństwa.

To też Jagiełło sprawę podźwignięcia cerkwi związał z reformami, jakie Kościół przeprowadzał podówczas na koncylium konstancyeńskiem, gdzie znakomici posłowie jego: arcybiskup gnieźnieński Mikołaj Trąba i Andrzej Laskary, biskup poznański, tudzież rektor wszechnicy krakowskiej Paweł, syn Włodzimierza, nietylko ozdoby Polski, ale, jak się sobór z pochwałami dla króla wyrażał, Kościoła powszechnego i całego świata [2], gorliwie pracowali nad jednością Kościoła. Widzieliśmy już w poprzednim rozdziale, jak już na samym wstępie do soboru, poruszając kwestyę rozszerzania wiary mieczem, występował biskup poznański w obronie ludów wschodnich od niesłusznych nieraz roszczeń krzyżackich, stając w obronie Rusi. Za tym wstępem do obmyślanego dzieła poszło wysłanie na sobór Żmudzinów, którzy bła-

[1] *Polн. Sobr.* XVI, p. 166.
[2] Lewicki, *Cod. ep. XV. saec.* II, nr. 61.

gali ojców Kościoła o opiekę i pomoc w zaprowadzeniu chrześcijaństwa. A gdy sobór chętnym się okazał do użyczenia opieki, natenczas począł król, tak listami, jakoteż i przez posłów, zaręczać, że wszelkich dołoży starań celem ułatwienia unii greckiej cerkwi z rzymskim Kościołem [1].

Na kilka miesięcy przed wspomnianym soborem w Nowogródku litewskim wysłał król w sprawie unii z cerkwią do Konstancyi wikaryusza generalnego zakonu Dominikanów, niejakiego Teodora z Konstantynopola, męża wielkiej nauki i pobożności, znającego nadto prócz greckiego języki, ruski i tatarski [2]. Męża tego, zaleconego sobie przez wielu książąt, użył król nietylko celem naradzenia się z soborem powszechnym, ale nadto do porozumienia się z władykami w dziele zamierzonej unii, dlatego też prosił ojców, by go najrychlej odpuszczono z soboru, przez niego bowiem — dodawał król w swem piśmie — miał nadzieję zjednoczyć Rusinów schizmatyków z powszechnym Kościołem [3]. Równocześnie pisał król do biskupów swoich, na soborze bawiących, że obecnie dokonałby unii cerkiewnej, pod warunkiem jednakże, by nasamprzód jedność co do głowy Kościoła była uskutecznioną [4], a w październiku wysyłając przez osobne poselstwo uroczystą obietnicę dania pomocy królowi Zygmuntowi przeciwko Turkom, wyrażał gorącą chęć przywieść Rusinów na łono powszechnego Kościoła za dni swoich w obawie, że żar bogobojnych chęci u następców jego nie będzie pałać tak żywym ogniem, jakim pałało serce królewskie [5].

Z powyższych świadectw wypływa niewątpliwie, że król Jagiełło jeszcze przed soborem w Nowogródku okazywał jawnie

---

[1] *Cod. ep. Vit.* p. 1030: „multis pollicitationibus per suos nuncios et litteras huic sacro concilio spopondit"...

[2] Finke, *Beiträge zur Gesch. d. Const. Conz.* 318, list króla Jagiełły z 29 sierpnia 1415 r.

[3] „Per quem speraret gentem suam ruthenicam afide Christi deviam reducendam". *Archiv f. oester. Gesch.* XV, 35.

[4] „Das her der Kirchen mechtig sei wider under den gehorsam der Romischen Kirchen zu brengen, als verre eine einunge der heil. Kirchen gescheen wirt". Bunge V, nr. 2359 c. 523.

[5] „Formidantesque quod circa successores" etc. *Cod. ep. Vit.* 323. p.

żywą dążność do unii cerkwi z Kościołem powszechnym, skoro oddał tę sprawę pod obrady ojców soboru, żądając od nich rady i pomocy, poparłszy poprzednio usiłowania reformy i unii, od samejże cerkwi płynące, przez uczonego generała Dominikanów Teodoryka z Konstantynopola [1]. Co do działalności tego ostatniego na Rusi niestety nie znamy bliższych szczegółów, zarówno jak i nieznaną jest nam jego działalność na soborze, to jednak pewna, że odtąd milkły na soborze głosy zawziętych przeciwników i oszczerców królestwa, że Polacy zyskali pośród Ojców Kościoła bardzo wielu zwolenników, że dalej skoro nawet ktoś z wrogów królewskich, jak np. prokurator Zakonu Niemieckiego, chciał wystąpić przeciwko niemu, wnet powstawał któryś z biskupów dowodząc, że przez to wystąpienie dąży tylko do szkodzenia rozwojowi wiary [2]. Za jeden z pomyślnych skutków zabiegów Teodoryka, mających poprzeć zamysły królewskie, należy uważać postanowienie soboru, na mocy którego dano pełnomocnictwo Witołdowi, aby był obrońcą Kościoła ryskiego, a więc i sufraganij, do arcybiskupstwa należących. Było to zarządzenie, jak się łatwo dorozumieć, bardzo potrzebne, przez nie bowiem miano zapobiedz wpływowi Krzyżaków, którzy już z powodu politycznej emulacyi na terenie Nowogrodu lub Pskowa łatwo z Inflant szkodzić mogli chlubnym zamiarom króla Jagiełły. Postarał się o nie król jakby w przeczuciu, że nie przebierający w środkach Zakon łatwo mógł skorzystać ze złowrogiego prądu, który zawiał od Focyusza, oddalonego przez władyków litewskich metropolity.

Focyusz bowiem nie został dłużnym odpowiedzi władykom z nowogrodzkiego soboru na ich okólnik, wykluczający go jako

---

[1] W głębokiem poczuciu podjętych przez króla prac, mogli posłowie jego powołać się wobec soboru na: „clarissima et gloriosissima dictorum principum gesta in ampliacione fidei catholice et maxime paulo ante suscepta, qui eciam novissimis temporibus nostris pro Ruthenorum, Grecorumque reduccione nec laboribus parcendo nec expensis, ut notorium est universis summa cum vigilancia et sollicitudine exactissima laborant et laborare intendunt quod vixerint convertendorum". Piekosiński, „Kod. dypl. katedry krak. II, nr. 581.

[2] List prokuratora Zakonu z I maja 1416. Bunge v. Nr. 2063.

symoniaka z metropolii. Wysłał on listy okólne do kniaziów Rusi litewskiej z wezwaniem, aby nie uznawali za ważne święcenia Grzegorza Camblaka, którego piętnował nazwą buntownika *(miatieżnika)* i wyklął zarówno jak i tych, którzy władzę jego uznali [1].

Był to posiew, mający wydać złe dla rozwoju wiary i dla zamysłów Jagiełły owoce, posiew, któremu z politycznych pobudek sprzyjali ci, którzy mieli być tarczą katolicyzmu na wschodzie, ci sami, którzy w Konstancyi niesłychane trudności stawiali na drodze polskim posłom, stale szkodząc zamiarom królewskim. Do ocenienia, z jakiemi trudnościami walczył król Polski w dążeniach do unii cerkiewnej, do ocenienia przyczyn, dla których dążenia te, jak powszechnie wiadomo, nie zostały uwieńczone pomyślnym rezultatem, chociaż tak bliskim celu zdawał się być król Jagiełło, należy pokrótce dotknąć stosunku Polski zarówno do Zygmunta jakoteż i do Krzyżaków.

Zwycięstwo pod Grunwaldem złamało wprawdzie potęgę zeświecczałego Zakonu, przymierze jednak toruńskie nie doprowadziło stron do stałego pokoju, wnet już bowiem zerwali Krzyżacy warunki przymierza i wszczęła się wojna, przerwana przez legatów papieskich dwuletnim rozejmem, poczem strony zdały sprawy sporne pod sąd papieża, króla Zygmunta i soboru w Konstancyi. W taki sposób sprawa polsko-krzyżacka razem ze sprawą dążeń do unii cerkiewnej oparły się o sobór. Powodzenie obydwóch spraw zawisło w znacznej części od stanowiska, jakie wobec nich zająć miał król Zygmunt, świecka głowa soboru, król rzymski i węgierski, pozostający z Jagiełłą od czasu zjazdu w Budzinie w najserdeczniejszych stosunkach. Otóż szczęśliwie odkryte archiwalia dowodzą niezbicie, że przyjaźń Zygmunta była udaną, że obdarzony zaufaniem królewskiem, otrzymawszy pełnomocnictwo wyrokowania wraz z soborem w sprawie Polski z Krzyżakami, dał ostatnim uroczystą obietnicę, iż sprawę na ich korzyść załatwi. Uczynił to król rzymski aktem wydanym w Konstancyi 16 lipca 1415 r. pod swoją majesta-

[1] Ob. *Posłanije Fotieja, metropolity ruskaho, k' chrestianom na Kijewie* w *Poln. Sobr. russ. let.* XVI. 166.

tyczną pieczęcią wydanym [1]. Wręczony ten w największej tajemnicy mistrzowi akt zdoła nam wyjaśnić wiele ciemnych spraw, gdyż i owe silnie szerzone oszczerstwa z powodu rzekomego wspólnictwa Polski z Turkiem [2], i sprawę falkenbergowskiego paszkwilu, rzuconego na króla i koronę, i tę pełną przesadnego schlebiania i dobrze tajonej obłudy rolę Zygmunta wobec poselstwa polskiego, przy nienawiścią i brutalną złością nacechowanej roli Zakonu, jaką tenże odgrywał na soborze powszechnym.

Podczas gdy król rzymski w wyszukanych pochlebstwach przyrównywał Jagiełłę do Mojżesza, wysławiając zasługi króla za dzieło nawracania Żmudzinów i oświadczając, że sprawę unii cerkwi greckiej sam osobiście poprze [3], gdy innym razem podnosił króla Polski do wielkości Konstantyna Wielkiego [4] i poruczał mu sprawę ochrony Węgier przez objęcie i tego królestwa do zamierzonego przymierza z Turkiem [5], tymczasem Krzyżacy, ufni w niewidzialne skrzydła jego opieki, usiłowali tem skuteczniej przeszkadzać sprawom polskim, a tem samem i zamierzonej przez króla unii, lubo z drugiej strony publicznie formowali zarzut przeciwko królowi, że dotąd nie omieszkał poddanych swoich Rusinów złączyć z Kościołem katolickim [6].

Nietylko w Konstancyi na soborze, Zakon postanowił i wśród Rusi szerzyć przeszkody do unii cerkiewnej, widocznie w obawie, że Witołd zniewoli i Moskwę i Psków i Nowogród [7] do posłuszeństwa swemu metropolicie. W ten sposób stanął Zakon na jednej drodze z Focyuszem.

(Dok. nast.).

Dr. Antoni Prochaska.

---

[1] Lewicki, *Cod. ep. XV. saec.* II, nr. 60, p. 72—73 z dopiskiem na zewnętrznej stronie oryginału: „das war der heymliche briff".

[2] *Cod. ep. Vit.* nr. 631 p. 331.

[3] Lewicki, *Cod. ep. XV. saec.* II, nr. 88.

[4] Caro, *Aus der Canzlei König Sigismund* 166. *Archiv f. oest. Gesch.* LIX Band, 1. Hälfte.

[5] Sokołowski i Szujski, *Cod. ep.* I, nr. 48 p. 42.

[6] *Cod. ep. Vit.* p. 1030: „ut hoc eciam et prius faciat de Ruthenis sue dicioni subjectis".

[7] Bunge, V, nr. 2047, list mistrza infl. z 1 stycznia 1416.

GUYAU A ETYKA PRZYSZŁOŚCI.

(Dokończenie).

II.

Obowiązek!... jakżeż to obce słowo dla dni dzisiejszych. „Pokładamy, mówi Renan, całą naszą zacność w uporczywem zatwierdzaniu obowiązku i dobrze czynimy; trzymać się tego trzeba nawet wbrew oczywistości. Wszelako jest prawie równe prawdopodobieństwo, że po przeciwnej stronie jest prawda“.—To usuwanie kwestyi obowiązku ze światła dziennego, albo, co najwyżej, stawianie jej w mglistym, sceptycznym półmroku, jest znamieniem ostatniej chwili. W „Upiorach“ Ibsena, dość wiernem zwierciedle dnia dzisiejszego, gdzie tylu ludzi na deskach się przesuwa, depcących najświętsze obowiązki społeczne, jest jedna bardzo charakterystyczna scena, w której matka, pani Alving, opowiada synowi Oswaldowi o nieszczęśliwem swojem pożyciu małżeńskiem z jego ojcem.

Pani Alving: ...I ja — nie wniosłam w jego dom promiennego uśmiechu wiosny.

Oswald: Ty!

Pani Alving: Nauczono mnie obowiązku i tym podobnych morałów, w które dotąd wierzyłam — na których zawsze i wszędzie wszystko się skończyć musiało. Obowiązek mój, jego i — Doprawdy Oswaldzie lękam się, że zatrułam twemu ojcu pożycie nasze. —

Trzeba znać pióro Ibsena, żeby dojrzeć, ile pod temi słowami kryje się piołunu i czarnej goryczy. A pani Alving i syn

jej Oswald, i służąca Regina i Engstrand są tylko typami przeciętnemi dzisiejszej rzeczywistości, dla upostaciowania jakiej takiej idei obowiązku musiał Ibsen aż duchowną sutannę wyprowadzić na scenę.—Cóż dziwnego, że etyka, która jest najczulszym wskazownikiem współczesnej atmosfery, stała się dzisiaj zapadłem cmentarzyskiem, na którem filozofowie nad pojęciem i poczuciem obowiązku sypią mogiły i kopce.

Jakąż naprzykład gra to pojęcie rolę w etyce Spencera, która jest ostatniem słowem utylitaryzmu i ewolucyonizmu? Znajdujemy tam opis, jak to pojęcie w duszy ludzkiej się wytwarza, jak z czasem się wykształca, do jakiego stopnia rozwoju dojdzie w przyszłości, ale czem jest ten obowiązek i dlaczego go pełnić mamy, o tem głucho, jak w puszczy. Z poza nieprzejrzanego, dziewiczego lasu faktów i szczegółów, czerpanych z całego zakresu nauk przyrodniczych, wychyla się człowiek dziki, egoista, który początkowo wystrzega się pewnych czynów, aby uniknąć nieprzyjemności od drugich ludzi. Człowiek ten, żyjąc potem w społeczeństwie uorganizowanem, obawia się nadto kary panującego zwierzchnika — a w razie śmierci zwierzchnika, obawia się mściwego jego ducha. W ten sposób z potrójnej tej obawy powstaje potrójna sankcya: społeczna, państwowa i religijna, która człowiekowi pierwotnemu przedstawia się jako przymus, żądający od niego pewnych czynów. W czynach takich, wykonywanych, lub zaniedbywanych początkowo z obawy kary zewnętrznej, człowiek z czasem przy rozwoju cywilizacyi upatruje, stosownie do następstw dobrych lub złych, dobre lub złe strony, a wskutek tego wytwarza się w nim uczucie sympatyi dla czynów, mających dobre następstwa, a wstręt go ogarnia przed złym uczynkiem. Stąd już łatwe przejście do obowiązku. „Myśli i uczucia, mówi Spencer, tworzące te wstręty i pociągi moralne, zostając w ścisłym a ciągłym związku z myślami i uczuciami, tworzącemi obawę odpowiedzialności politycznej, religijnej i społecznej, b a r d z o n a t u r a l n i e przyłączyły się do nierozdzielnego z niemi poczucia obowiązku“ [1].

[1] Spencer. „Zasady etyki“. Str. 119. (Przekład Karłowicza).

Trudno nie podziwiać w tem miejscu sprytu Spencera w darze podstawiania jednej wartości za drugą. Rozumiał on dobrze, że w pojęciu obowiązku zawarte jest pojęcie przymusu moralnego; cały kłopot w tem tylko, jak do wytłumaczenia podstawy tego przymusu dojść, — skąd się bierze ta potęga jakaś, która nas wiąże i zmusza moralnie do tego lub owego czynu. Zabawił się więc w retoryczną figurę przejścia; pouczywszy o wstrętach i pociągach, tworzących obawę odpowiedzialności politycznej, religijnej i społecznej, dodaje łagodnie, że przyłączyły się one „bardzo naturalnie“ do nierozdzielnego z niemi poczucia obowiązku. Rozumowanie Spencera jest to: Na politycznem, religijnem i społecznem polu czuje się człowiek związanym, a ponieważ czynności terenu moralnego mają podobieństwo z czynnościami tamtych terenów, przenosi więc człowiek związanie stamtąd na pole moralności. — Ale czyż wtedy będzie on na polu moralności rzeczywiście związanym, czyż opaczne to i błędne pomieszanie w biednym mózgu ludzkim rozmaitych terenów potrafi na polu moralności nawiązać objektywny węzeł i mus moralny? — A może już w tej potrójnej odpowiedzialności: politycznej, religijnej i społecznej zawarty jest jakiś pierwiastek wspólny z tym przymusem, jaki w sobie mieści obowiązek moralny? Ale najpierw odpowiedzialność religijna nie jest niczem innem u Spencera, jak tylko strachem, przed duchami zmarłych panujących, strachem, który nikogo do niczego zobowiązać nie może; owszem, każdy człowiek rozsądny powinien się starać, aby takie tremy jak najprędzej z serca złożyć. Sankcya społeczna, polegająca na obawie przed pięścią bliźnich, krewnych i sąsiadów, także wiele sensu niema, a nawet w sobie samej wzięta jest niemoralną. Trzecia odpowiedzialność polityczna zawiera w sobie pierwiastek moralny, — naturalnie nie z jakiejś obawy przed chłostą i ciemnicą, jak utrzymuje Spencer, lecz dlatego, że władzy należy się posłuszeństwo ze strony poddanych. — Ale posłuszeństwo to dla władzy już jest obowiązkiem moralnym, — pozostaje więc Spencerowi cała praca na nowo do odrobienia, — inaczej będzie obowiązek przez obowiązek tłumaczony, co się w filozofii nazywa *petitio principii*.

Taką jest geneza obowiązku spencerowskiego, — jakiem będzie poczucie to w przyszłości. W przyszłości na wyższych szczeblach rozwoju poczuwanie się to do obowiązków musi się zgoła z praktyki usunąć. Wtedy czynność każda nie będzie wypełnianą przez uleganie uczuciu powinności moralnej, ale będzie czynnością, zupełnie normalnie płynącą z natury, dostarczającą należytej cząstki przyjemności, — a poczucie obowiązku budzić się będzie tylko w okolicznościach niezwykłych, nasuwających pokusę do naruszenia prawa, które zwykle bez przymusu jest w poszanowaniu. I oto cała doktryna! Pod obuchem zewnętrznego przymusu zaczyna człowiek-zwierzę zadawać gwałt egoistycznej naturze; z czasem ta forsa przemienia się w słodką i miłą nawyczkę i wypełnia się czyny moralne nie dlatego, że powinno się je wypełniać, ale dlatego, że są przyjemne.

Gdyby znalazł się jakiś dobry rysownik, to podsunęlibyśmy mu temat do cyklu humoresek, pod tytułem: „Teorya Spencera o obowiązku". Na pierwszym obrazku możnaby przedstawić lazarona z uśmiechem rozkoszy, wygrzewającego się w promieniach południa, na brzegu Tybru. Nagle nad uszczęśliwionem ciałem sybaryty zjawiają się w drugim obrazku członkowie rodziny ze sponsowiałą od gniewu twarzą i zaciśniętemi pięściami, — w dali, z bocznej uliczki, wysuwa się kordon policyi z przygotowaną do ataku bronią, a z podziemia wydobywają się mściwe duchy pomarłych książąt włoskich. Nieszczęśliwy lazaron, na widok trzech wrogów (potrójna sankcya spencerowska), wybladły od przestrachu, przypomina sobie, że jest z powołania ekspresem; przewiązuje się więc nerwowo sznurem i bierze się do dźwigania pakunków i kufrów. Zrazu idzie mu robota ciężko, gnie się pod ciężarem i kurczy, ale z czasem twarz mu się wypogadza i uśmiecha, plecy same podsuwają się pod ciężary, a nogi idą do taktu. Ostatni obrazek przedstawiałby, jak uszczęśliwiony lazaron-ekspres, otoczony gronem rodziny, pułkiem policyi i duchami książąt, wynosi na cmentarz w trumnie pojęcie obowiązku.

Że pewni ludzie w pewnych zakresach działania mogą ten stopień doskonałości osiągnąć, iż obowiązki swoje z przyjemnością będą wypełniać, temu nie myślimy przeczyć, ale żeby przy-

jemność stała się jedynym bodźcem wszystkich czynów moralnych u wszystkich ludzi, o tem wątpliwości nie trzeba nawet uzasadniać. Spencer stał się tylko jedną ofiarą więcej tej smutnej tragedyi, która wzdłuż całych dziejów rozgrywa się na arenie etyki. W życiu ludzkiem często czyn moralny wyklucza przyjemność, a częściej jeszcze przyjemność zbacza od normy moralnej. Etyka łączy w sobie te dwie dążności człowieka: dążność do cnoty i do szczęścia; ona ma wskazywać drogę, na której dążność moralna zejść się ze szczęściem może. Nad wskazaniem tej drogi wszystkie etyki łamały sobie głowę. Jedni, jak stoicy, brali za punkt wyjścia powinność i obowiązek, ale wykluczali wszelką przyjemność z życia ludzkiego i kwitowali całkowicie człowieka ze szczęścia, — drudzy, za Epikurem, tłumaczyli powinność przez przyjemność, ale zaprzepaszczali pojęcie obowiązku; jedni i drudzy opierali się na błędnej opinii, że istotę moralności można wyjaśnić w odcięciu od religii, która etyce drugie życie, a w tem drugiem życiu harmonijne połączenie tych dwu dążności wskazuje. Podeptane przez Spencera „wierzenia religijne“ i zastąpione etyką naukową srogo się na nim pomściły.

Guyau, chociaż ze Spencerem polemizował, pozostawał jednak ustawicznie pod silnym jego wpływem. Jest więc i u niego ten sam punkt wyjścia, co w ewolucyonizmie angielskim, to samo silenie się, aby, niezależnie od dalszych zagadnień, tuziemskiemi danemi rozwiązać etyczne równanie. I mimo oryginalnego sposobu, w jaki Guyau rozwija pojęcie obowiązku, cała praca jego pozostałaby na zawsze bezowocną, ewolucyonistyczną sztuczką, gdyby mu nie były przyszły z pomocą: bezwzględna szczerość w poszukiwaniu prawdy i szlachetne pojmowanie etyki.

Czuł Guyau, że etyka zespolona jest jak najściślej z całem życiem człowieka i z całym rozwojem społeczeństwa, i dlatego, żeby uczyniła zadość temu celowi, powinna być czemś więcej, niż psychologiczną rozprawą. Kiedy dwaj najwybitniejsi spenceryaniści: Pollock i Stephan Leslie, atakowali go, że teorye moralne mało wpływają na praktykę, że hypotezy, dotyczące obowiązku, tak samo nie zmieniają ludzkiego postępowania, jak hypotezy, dotyczące rzeczywistości przestrzeni i jej wymiarów

albo pozaprzestrzenności, odpowiedział Guyau słusznie: „Zapominacie, że jeśli przestrzeń ma cztery, a nie trzy wymiary, to nie obchodzi to ani nóg moich, ani rąk, które poruszać się będą zawsze w trzech wymiarach znanych; lecz gdyby przeciwnie istniał dla mnie jakikolwiek środek poruszania się w wymiarach nowych, oraz gdyby to było korzystnem, pospieszyłbym tego spróbować i pracowałbym z całych sił nad zniszczeniem mojej pierwiastkowej intuicyi przestrzeni. To właśnie zdarza się w etyce: całe pole działania, zamknięte do pewnej chwili przez widmo obowiązku, otwiera się niekiedy przedemną; jeśli spostrzegę, że niema istotnie nic złego w tem, gdy tam swobodnie się poruszam, lecz, że przeciwnie wszystko na korzyść moją się obróci, to jakżebym miał z tego nie skorzystać? Różnica między zwykłą spekulacyą naukową a spekulacyą moralną polega w istocie na tem, że pierwsza wskazuje prostą tylko alternatywę dla myśli, gdy tymczasem druga wskazuje zarazem alternatywę dla działania; wszystkie możliwości, spostrzegane przez naukę, są tutaj do urzeczywistnienia dla nas samych".

Tak Guyau pojmował etykę; ale swoją drogą marzy o naukowem rozwiązaniu kwestyi obowiązku, i pierwszem pytaniem, jakie sobie stawia, jest to, jak się będzie przedstawiać idea powinności w tej hypotezie, w której nauka obyczajów ma być ułożoną niezależnie od wszelkich pojęć metafizycznych.

To ciągłe wykluczanie filozofii, a zasłanianie się naukowemi hasłami w epoce pozytywistyczno-ewolucyonistycznej, wytworzyło wiele karykatur w całej literaturze współczesnej — dość przypatrzeć się kłopotom Littré'go, — ale w etyce było ono wprost śmiesznem. Ludzie ci chwytali, z powietrza, czy z krainy swoich marzeń, jakąś utopijną ideę, rezonowali i rozumowali nad nią w najlepsze, a łudzili się, że garść faktów przyrodniczych i garść wykrzykników na rozumowane teorye stawia ich na terenie czystej obserwacyi a uwalnia od piętna metafizyki. Dlatego słusznie któryś z dzisiejszych francuskich pisarzy nazwał Spencera wielkim metafizykiem wieku XIX. Dlatego i Guyau w swojej etyce jest trochę w tym względzie naiwnym: do metafizyki go

ciągnie okropnie, ale jak długo może, tak długo się jej zapiera — w końcu, naturalnie, wrodzony popęd zwycięża.

Przypatrzmy się już teraz, jak Guyau zabiera się do pojęcia obowiązku i jak bez metafizyki będzie się obywać. Cała ta forsa naturalnie jest pracą Danaid, — ale ma tę wartość historyczną, że jest dobrą ilustracyą, jak ludzie dzisiejszego pokolenia pokutują za utopie pokolenia przeszłego.

Umieściwszy wewnątrz samej jednostki źródło altruizmu, a i utylitaryańskiej swojej moralności, musi Guyau być konsekwentnym i musi, niezależnie od jakichkolwiek zewnętrznych odnośni i wpływów, wytłumaczyć pojęcie obowiązku. Guyau na samym progu tej kwestyi robi szczere wyznanie, że właściwa idea moralnej powinności jest niemożliwą w etyce naukowej, wykluczającej pojęcia metafizyczne. I tu jest pierwsza wielka zasługa Guyau'a, jest to pierwszy głos szczery i otwarty, który z obozu ewolucyonizmu się przekradł. Tem słowem uznał sam ewolucyonizm swoją nieudolność do stworzenia etyki, — bo czemżeż etyka bez obowiązku?

Zadowolić się więc będzie potrzeba w etyce naukowej równoważnikami obowiązku, jak mówi Guyau. Spencerowi było łatwo ten równoważnik wynaleść, bo wprost utożsamił powinność z przyjemnością; Guyau, wyszedłszy z mętnego pojęcia życia, musi piąć się pod górę z wielkim trudem. Zanalizowawszy pojęcie powinności, twierdzi, że powinność w sobie trzy pierwiastki zawiera: popęd porządku wyższego, natrafiający na pewien opór, nadto wyobrażenie, a w końcu uczucie. Popęd, wyobrażenie i uczucie mają to być te trzy składniki, które tworzą w psychologicznym procesie poczucie obowiązku. Pocóż cała ta psychologiczna analiza? Łatwo gderać nam, którzyśmy w naszem żeglowaniu ominęli Scyllę i Charybdę i szli drogą spokojną i równą poza skrajnościami, ale cóż ma robić ten filozof, który musi sobie cały świat etyczny własnoręcznie stwarzać. Szczęśliwym trafem przeskoczył już ten rów, który wykopał ewolucyonizm angielski, i wykazał trafnie całą zewnętrzność i mechaniczność spenceryańskiego systemu. Poszedł krok dalej i oparł słusznie moralność na wewnętrznej istocie osobnika; ale tu już były doły

i dołki, w których co krok się potykał. Najfatalniejszem było to potknięcie, kiedy czysto fizyczną energię życiową, w sobie samej wziętą, utożsamił z moralnością. Konsekwentnie i obowiązek — który wszyscy pojmujemy i doświadczalnie czujemy, jako przymus moralny, prawem nam nałożony — i obowiązek ten pojął fizycznie, jako wewnętrzny przymiot tej życiowości. Fizyczny mechanizm życiowy (życie bierzemy tu w pełnem znaczeniu, a więc i życie duchowe), w sobie zamknięty, stał się alfą i omegą jego etyki.

Po tej uwadze łatwiej już będzie zrozumieć, jak Guyau pojmuje w swoim altruistycznym typie moralnym wytwarzanie się obowiązku i tego obowiązku istotę.

Życiu samemu właściwy jest popęd do osiągnięcia jak największego swego natężenia i jak najwyższego rozwoju — jest w tem życiu jakaś siła, pożądająca ćwiczenia się i usuwania przeszkód, jakaś potęga, dążąca do czynu. A ponieważ moralność Guyau'owska polega na natężeniu i rozlewności życiowej, siła więc ta przeto i ten popęd ma u niego z tą moralnością najbliższą styczność. W tej sile złożone jest wszelkie prawo, do którego człowiek może mieć w swem życiu odnośnię; prawo to stanowi jedność z tą potęgą życiową. „Od życia to właśnie i od wewnętrznej siły jego wszystko pochodzi; życie samo stanowi dla siebie prawo przez dążenie do nieskończonego rozwoju; zamiast mówić: powinienem, więc mogę, słuszniej byłoby powiedzieć: mogę, więc powinienem". — Stąd obowiązek w takiej teoryi niczem innem nie jest, jak tylko świadomością tej potęgi życiowej. „Uczuwać wewnętrznie to, co można uczynić największego, jest to tem samem zdobywać najpierwszą świadomość tego, co zrobić jest się zobowiązanym. Obowiązek ze stanowiska czynów, a po usunięciu pojęć metafizycznych, jest to pewien nadmiar życia, domagający się ćwiczenia, ujścia; dotąd tłumaczono go zanadto często jako uczucie konieczności i przymusu: sądzę, ...że przedewszystkiem jest to uczucie mocy". —

Taką rolę gra w obowiązku Guyau'wskim popęd życiowy, ale sam nie jest on jeszcze obowiązkiem; w obowiązku prócz pierwiastku popędowego rozróżnia jeszcze Guyau pierwiastek

intelektualny, ideę racyonalności. Chciałby się przez to uwolnić od zarzutu, który mimowoli się nasuwa, że obowiązek taki niczem innem nie jest, jak tylko wyładowaniem siły mechanicznej. „Kiedy powiadam — mówi on: — jestem zmuszony moralnie do takiego lub innego czynu, to oznacza to coś zupełnie innego, jak kiedy mówię: nie mogę tego nie zrobić". Dlaczego? dlatego że prócz tego popędu wchodzi jeszcze w rachubę racyonalność.

W jakiejż formie przedstawi się ten drugi równoważnik powinności moralnej? Będzie nim sama idea życia jak najbardziej natężonego i rozlewnego, która zrozumiana i uświadomiona dążyć będzie do urzeczywistnienia się i do zamienienia się w ruch. To osiągnięcie *maximum* natężenia dla siebie i dla drugich wydaje się życiu czemś najbardziej racyonalnem i dlatego ten popęd życiowy z tą ideą jest zespolony. Co więcej — Guyau wyznaje teoryę Fouillé'go idei-sił *(idées forces)*, która utrzymuje, że poznanie i działanie nie są to dwie rzeczy różne, po sobie następujące, ale poznanie samo, sama idea, już jest początkowem działaniem — i dlatego myśl i czyn są to rzeczy identyczne. Stąd „to, co nazywamy powinnością, albo przymusem moralnym, jest właśnie w zakresie inteligencyi poczuciem owej zasadniczej tożsamości (między inteligencyą a działaniem); powinność jest jak gdyby parciem wewnętrznem, potrzebą odtworzenia naszych wyobrażeń przez wprowadzenie ich w życie". Stąd, w razie zaniknięcia pojęć metafizycznych, moralność, mówi Guyau, będzie pojmowana, jako zasadnicza jedność istoty, objawiająca się w zgodzie myśli i chcenia, — bo ten, u którego myśl jest w rozterce z czynem, sam czuje, że mu czegoś brak, i wie o tem, że ten brak usunięty być powinien. A brak ten będzie usunięty przez dążenie do *maximum* natężenia i rozlewności życia.

Tak postawiony obowiązek na gruzach metafizyki nie jest jeszcze całkowicie ukształtowany — w człowieku nietylko jest władza i popęd do działania, nietylko inteligencya i idea, ale w piersi ludzkiej kołace także uczucie. Trzecim tym równoważnikiem od uczucia zapożyczonym będzie coraz bardziej rosnące zlewanie się czuciowości ludzkich. Jednostka sama, wedle

Guyau'a, jest dla dzisiejszej nauki czemś takiem, co rozwiązanie swoje znajduje w społeczności — tylko na łonie społeczeństwa znajduje ona racyę bytu. Z tego stanowiska uważa on zobowiązanie moralne jako wynik świadomego, albo nieświadomego oddziaływania wzajemnego układów nerwowych, w ogólności zaś oddziaływania życia na życie. „Uczuwać się zobowiązanym do czegoś moralnie, jest to w istocie najczęściej poczuwać się do jakiegoś obowiązku względem innego, poczuwać się do jakiegoś z nim związku, do solidarności". I to uczucie solidarności pomiędzy wszystkiemi istotami najlepiejby jeszcze, zdaniem Guyau'a, zastępowało powinność moralną wtedy, gdyby idee metafizyczne zniknęły całkowicie z liczby naszych pobudek.

Tak więc popęd mechanizmu życiowego w towarzystwie wyobrażenia i uczucia ma równoważyć i zastępować poczucie powinności. Jakie z całej tej teoryi następstwo? Guyau'a nie trzeba komentować, bo sam wszystko jasno i otwarcie wypowiedział samym nawet tytułem głównego swego etycznego dzieła: *Esquisse d'une morale sans obligation ni sanction.* Życie dążące z natury swojej do *maximum* natężenia i rozlewności jest samo sobie jedynem prawem; dla swej mocy samo sobie narzuca powinność działania; i samo w końcu tworzy sobie sankcyę, gdyż działając napawa się sobą: działając mniej, mniej ma uciechy, — działając więcej, ma jej więcej. Powstaje moralność zupełnie z wszelkich więzów wyzwolona bez obowiązków, bez praw, bez sankcyi; życie samo jest sobie wszystkiem. Aż zimno się robi...

W abstrakcyjnym umyśle Guyau'a składała się ta kombinacya bardzo ładnie. Życie jest z natury swojej rozlewne dla drugich, altruistyczne, szlachetne, można więc w nie włożyć spokojnie, jak w arkę przymierza, cały kodeks prawny, cały trybunał rozjemczy, całą sankcyę monarszą każdego czynu. Tak sobie myślał optymista, gdy tymczasem naokoło niego huczało, jak spienione morze, życie brudne, czarne, namiętne. I jeszcze kartki jego nie oschły z atramentu, a rwała już je gawiedź, chcąc kartkami filozofii zasłonić rany i wyrzuty sumienia. Naokoło ewolucyonistyczno-pozytywistycznej etyki począł powstawać świat Płoszowskich, maniaków bez siły woli i bez jakiegokol-

wiek ideału, którym krok każdy nie obowiązek, ale popęd życiowy dyktował.

Dalej już ewolucyonizm i sekularyzacya etyki posunąć się nie mogły. W zasadzie to samo mówili utylitaryści, to samo Spencer i Darwin, ale nikt nie śmiał tak jasno tego sformułować. Trzeba było całej jasnej otwartości Guyau'a, żeby tę logicznie płynącą konkluzyę ze wszelkich pozorów i obsłonek obedrzeć.

Guyau postawił tę konkluzyę z przekonania i świadomie, ale postawił ją tylko w hypotezie, gdyby pojęcia metafizyczne zaniknęły całkowicie. W tę hypotezę sam jednak nie wierzy i w dalszym ciągu swej teoryi potrzebę metafizyki uwzględnia. W ten sposób w jednym i tym samym systemie podają sobie rękę dwa światy: do ostatniej skrajności posunięta ewolucyjna etyka sekularyzowana i wyglądająca jeszcze nieśmiało etyka metafizyczna, kończynami swojemi wspierająca się na pozaświatowych, ale rzeczywistych widnokręgach.

Jakżeż Guyau do tego poznania dochodzi, że pseudo-naukowa etyka jest niewystarczającą, i że w etyce bez metafizyki obejść się nie można? Całe pojęcie obowiązku, ten najwarowniejszy gród etyki, jest tak na wszystkie strony otoczone wałem metafizycznych zagadnień, że z którejkolwiek strony chce się do wnętrza jego istoty dotrzeć, przez ten wał przejść się musi. Samo np. najpierwsze pojęcie o obowiązku poucza nas, że obowiązek nigdy się nie zmienia, jest zawsze jeden i ten sam dla wszystkich ludzi i po wszystkie wieki. Mogą być różne okoliczności i stosunki, różnorodne warstwy zajęć i najrozmaitsze usposobienia ludzi, i wskutek tego różnorodne stopnie zobowiązań moralnych, ale ostatecznie, nad całym tym chaosem unosi się wiecznie, stale, jednostajnie jakiś jeden moralny mus — owo *sustine et abstine*, będące w swojej bezwzględności odźwierciedleniem absolutu. — A czemżeż przeciwnie jest ten popęd życiowy, w którym Guyau całą istotę obowiązku zasadza? Wartość życia samego w sobie jest rzeczą bardzo względną, podlegającą tysiącom zmian, a nawet nieraz redukującą się do zera. Samobójstwa najlepszym na to dowodem, że życie samo niema dostatecznej kwalifikacyi na urząd obowiązku. Cóż na to Guyau?

Guyau tłumaczy długo, jak można przenieść śmierć nad życie w poniżeniu i nędzy, analizuje uczucie nieznośności, ale wszystko to wyjaśnia tylko proces psychologiczny samobójcy, ale nie rozwiązuje właściwej trudności. Na tę trudność ani nie myśli odpowiadać, bo względność życia najlepiej sam on czuje.

I dlatego wniosek, do którego dochodzi, jest bardzo smutny dla etyki naukowej. Słowa są tak charakterystyczne, że warto je w całości przytoczyć: „Etyka pozytywna i naukowa może dać jednostce takie tylko przykazanie: rozwijaj życie twe we wszystkich kierunkach, bądź osobnikiem jak najbogatszym w energię natężoną i rozlewną; dlatego zaś bądź istotą jak najbardziej społeczną i towarzyską. W imię tej zasady ogólnej etyka będzie mogła zalecić osobnikowi pewne ofiary częściowe i umiarkowane; będzie ona mogła sformułować cały szereg obowiązków przeciętnych, które wypełniają życie zwykłe. W tem wszystkiem, ma się rozumieć, nie będzie nic kategorycznego, bezwzględnego, lecz tylko wyborne rady hypotetyczne: Jeżeli ścigasz ten oto cel — największe natężenie życia, — tedy czyń to a to".

Słowa są tak jasne, że już żadnych komentarzy nie potrzebują; dziwićby się nawet można, żeby mógł ktoś tak naiwnie braki swojej teoryi zdradzać.

Odsuńmy na bok nasuwającą się wątpliwość, czy rady te hypotetyczne mogą mieć kiedy jakikolwiek wpływ na czynności ludzkie, a zapytajmy się Guyau'a o to, w jaki sposób radzić będzie sobie etyka naukowa w okolicznościach życia nadzwyczajnych, przekraczających tę miarę obowiązków przeciętnych, — tam, gdzie już potrzeba poświęcenia i ofiary.

Dla uratowania sytuacyi, jak najdłużej da się ją jeszcze ratować, wprowadza Guyau nową pobudkę, którą nazywa zamiłowaniem ryzyka moralnego. Człowiek jest przyjacielem spekulacyi nietylko w teoryi, ale i w praktyce. Gdyby do każdorazowego działania konieczną psychologicznie była pozytywną pewność, to życie musiałoby być zawieszanem co chwila; często jesteśmy zdani na niepewność losu i dlatego ryzyko jest koniecznem. W takiem ryzykowaniu bywa nawet przyjemność i rozkosz, i dlatego narażanie się na niebezpieczeństwo może być

czemś zupełnie normalnem u jednostki dobrze uorganizowanej. A w takim razie, mówi Guyau, poświęcenie wkracza do dziedziny ogólnych praw życia. „Narażenie się na niebezpieczeństwo dla siebie, albo dla innych — odwaga, albo poświęcenie — nie są czystą negacyą jaźni i życia osobistego; jest to samo właśnie życie, dochodzące do szczytności". Ryzykując zaś narażamy się naturalnie na śmierć, czy na nieszczęście jakieś tak, jak na loteryi jest się zdecydowanym na dobre i na złe numery.

Czy pojęcie takie poświęcenia jest w etyce dopuszczalnem? — przecież w tym wypadku i linoskoczek i bohater poświęcający się dla szlachetnej idei stanęliby co do moralności swego czynu zupełnie obok siebie równorzędnie; dla obydwu jedyną pobudką i jedynym celem działania byłaby miłość ryzyka. Pomijając tę trudność, rozumowanie Guyau'a o tyle tylko miałoby racyę, o ile w takiem narażaniu się na niebezpieczeństwo niepewnym jest wynik. Ale cóż wtedy powie etyka naukowa, kiedy człowiek stanie wobec pewności ofiary z siebie? Na to niema już odpowiedzi. „Potrzeba byłoby wówczas znaleść coś bardziej drogocennego niż życie — mówi Guyau; — otóż doświadczalnie nie znajdujemy nic takiego". Dlatego przyznaje Guyau, że w pewnych wypadkach skrajnych zagadnienie moralne niema racyonalnego i naukowego rozwiązania. W takich razach pozostawiona jest jednostce wszelka samorzutność, będzie ona działać podług swojej natury, a przeciw takiemu, mniej lub bardziej odpowiednemu działaniu jednostki, społeczeństwo będzie się bronić wedle sił i potrzeby.

W ten sposób naznacza Guyau granicę, do jakiej dojść może i gdzie się zatrzymać powinna etyka naukowa, mogąca być wedle niego tylko pierwszą połową wszelkiej etyki przyszłej. Sama etyka naukowa jest tylko względem etyki prawdziwej tem, czem jest wielobok ze wzrastającą liczbą boków względem koła, którego nigdy wypełnić nie może. Guyau dobrze widzi i mówi to nawet, że człowiek nigdy nie poświęci życia czemuś, czego za ideał stanowczy nie uważa, a pojęcie takie ideału mieści koniecznie w swem łonie zagadnienia dalsze o istocie człowieka, o wszechświecie, o pierwiastku i końcu istnienia. Jest to cały

las zagadnień metafizycznych, do którego pozytywizm i ewolucyonizm ani zaglądnąć nie chciał.

Etyka przyszłości zatem, mówi Guyau, będzie musiała być zarazem naukową i metafizyczną; prócz wiadomości pozytywnych musi ona mieścić w sobie całokształt metafizycznych spekulacyj...

Twierdzenie to wygląda tak ponętnie i mądrze, a przytem tak nowo, że koniecznie zanalizować potrzeba znaczenie, w jakiem prawdziwemby być mogło — a potem znaczenie, w jakiem je bierze Guyau. Etyka, jak w ogólności filozofia cała, opierać się musi na faktach dotykalnych przez doświadczenie, a sprawdzonych przez naukę. Rozsądny filozof patrzy najpierw naokoło siebie i obserwuje i z obserwacyi bierze punkt wyjścia. Co więcej, dalsze wnioski nawet, przekraczające już dziedzinę obserwacyi, opierać się muszą na zasadniczych prawach, które również w rzeczywistej przyrodzie obserwować można, jak np. prawo przyczynowości, tożsamości, sprzeczności i t. d. — a wskutek tego wnioski te posiadają taką samą objektywną rzeczywistość, jak kołek w płocie lub kamień na bruku. Spekulacya więc i obserwacya, nauka i metafizyka są to dwa działy, które wcale nie wykluczają się, ale owszem uzupełniają się wzajem. I z tego względu, zdaniem naszem, wiele z tych szczegółów, które do etyki nagromadził ewolucyonizm, jest bardzo cennych i wartościowych, jako materyał, z którego filozof może dalsze wnioski wysnuwać. Więcej powiemy — obserwacya uczuć i pojęć moralnych, ich zaczątku i rozwoju, rozmaitych odmian i odcieniów, różnorodnych przejawów i zboczeń, z uwzględnieniem tysiącznych stosunków życiowych, klasowych, społecznych, cywilizacyjnych, klimatycznych — jakie to olbrzymie pole do nowej specyalnej gałęzi nauki. Na ten teren wpadł ewolucyonizm, ale zamiast nauki eksperymentalnej zachciało mu się stworzyć filozofię życia i wskutek fałszywego założenia i fałszywych przesłanek stworzył karykaturę. Ale gdyby był Spencer złożył pychę z serca i togę filozofa zawiesił na szaragach, a sam zakasał rękawy i bez dalszych wyrokowań zbierał skrzętnie i klasyfikował szczegóły dotyczące objawów moralnych, to byłby zasłużył

sobie na wielką wdzięczność potomności. Dzisiaj tak rozdrabniają się i rozszczepiają gałęzie wiedzy, że zupełnie nie pojmujemy, dlaczegoby nie miała mieć racyi bytu eksperymentalna psychologia etyki.

Gdyby więc Guyau zgodził się na to, żeby z całej etyki ewolucyjnej, którą on naukową nazywa, zbudować przedsionek etyki, a gmach sam etyki właściwej, gdyby oddał do dyspozycyi rozsądnej i mądrej filozofii, to byłaby zgoda całkowita. Ale takiego jasnego programu od ewolucyonisty żądać nie można. Już to jest wiele, że przez mgłę niewyraźne kształty tego obrazu dojrzał i pierwsze jego kontury rzucił.

Na Guyau'u cięży piętno pozytywizmu. O metafizyce — użyjmy innego wyrazu — o właściwej filozofii, chodziły po tych głowach tak mętne pojęcia, że i Guyau, umysł nawskróś metafizyczny, pod wpływem tych opinij, mimo całego swego afektu do metafizyki, uważał ją jako spekulacyę czysto hypotetyczną, jako zbiór niepewnych wywodów, niedających się niczem sprawdzić. Naturalnie, że z hypotezy nie można wyciągnąć istotnego moralnego prawa. „Do tego — mówi Guyau, — abym mógł wyrozumowywać aż do końca pewne czyny moralne, przekraczające etykę przeciętną i naukową, abym ze ścisłością mógł je wyprowadzić z zasad filozoficznych albo religijnych, potrzeba, aby te zasady były jasno postawione i określone. Ale mogą one postawionemi być tylko przez hypotezę. Ostatecznie więc ja sam muszę tworzyć metafizyczne powody moich czynów. Wobec danego mi pierwiastku niepoznawalnego, wobec x, tkwiącego w głębi rzeczy, muszę sam sobie wyobrażać go w pewien sposób, muszę go pojmować na obraz czynu, którego mam dokonać". A jednak z drugiej strony, jak sam przyznaje w innem miejscu, „od sposobu pojmowania metafizycznej istoty rzeczy zależy sposób działania obowiązkowego". Jakżeż teraz dwie te sprzeczności pogodzić — o ile trzeba przyjąć metafizykę, a przyjąwszy ją, jak godzić ją należy z etyką *quasi*-naukową? Tu już Guyau'a opuszcza właściwy mu talent głębszej i subtelniejszej syntezy; poćwiartowanych tych kawałków już nie łączy organicznie ze sobą, ale je mechanicznie obok siebie składa. Z jednej strony ludzi

się, że te, jak sam przyznał, rady hypotetyczne etyki naukowej mogą mieć jakiś wpływ na działalność ludzką, a z drugiej strony poddaje się błędnemu uprzedzeniu, że metafizyka jest tylko zbiorem niepewnych przypuszczeń. Z dwu tych fantasmagoryj powstaje w teoryi Guyau'a taki zlepek: istnieje etyka niezmienna, etyka faktów; dla uzupełnienia zaś jej, tam, gdzie nie jest wystarczającą, istnieje etyka zmienna i osobista, etyka metafizycznych hypotez. W części naukowej jest etyka niezupełną, w części metafizycznej wątpliwą. Cóż wobec tego ma robić człowiek, szukający w etyce wskazówki? Niech się zadowalnia, odpowiada Guyau, etyką częściowo pewną, częściowo niepewną — dlaczegóż musi być każdy dobrym według pewnego oznaczonego prawa? Niech w takich wypadkach idzie każdy drogą indywidualną za szlachetnemi popędami swojej natury.

Jest to autonomia człowieka na moralnym terenie, posunięta do niemożliwych granic — powstaje tyle etyk, ilu jest ludzi. Kant zrobił krwawy przewrót we współczesnych pojęciach moralnych, stawiając jako zasadę moralności autonomię ludzkiej woli. Guyau zarzuca jeszcze Kantowi, że stanął w połowie drogi, że jego autonomia stwarza powszechną jednostajność, gdy tymczasem prawdziwa autonomia oryginalność jednostkową wytworzyć powinna. Stawia więc sam tę autonomię woli każdego pojedyńczego człowieka, ale tem samem w puch rozbijał całą moralność. A cała tragedya dlatego tylko się rozegrała, że zasady metafizyczne mają być tylko hypotezami.

* * *

A cóż wtedy, podchwytuje Guyau'a jego wielki przyjaciel Fouillée, — zarówno pozytywista i ewolucyonista, — cóż wtedy, jeżeli w metafizyce istnieją zasady pewne i niewzruszone? Wtedy, przywróconą będzie do czci ta etyka, która już istniała od wieków; stargana i podeptana przez pozytywizm etyka metafizyczna. I o n a j e s t e t y k ą p r z y s z ł o ś c i. Filozofia metafizyczna, wogóle, dobrze przez wybitniejszych swoich przedstawicieli zrozumiana, a więc wolna od skrajności i od materyalizmu płaskiego i od wybujałego idealizmu, idąca złotą drogą środkową,

uwzględniała zawsze obserwacye i wyniki nauki. W uwzględnianiu eksperymentalnych danych może ona postępować naprzód i rozwijać się ustawicznie, tak jak i sama eksperymentacya wciąż się rozwija, ale w zasadniczej swej części jest stałą i niewzruszoną na zawsze.

Jakaż to mściwa Nemezis dziejowa? Kilkadziesiąt ledwo lat temu, jak pozytywizm wyrzucał metafizykę z przybytku wiedzy, jako sprzęt nieużyteczny, a dzisiaj ostatni epigonowie pozytywizmu znowu do niej wracają. Sam Fouillée stanął, dziełem swojem o metafizyce [1], po jej stronie, jako zdecydowany zwolennik. Są w tem dziele rzeczy, na które zgodzić się nie można; cała immanentna metafizyka Fouillégo zakrawa coś na idealizm, ale w zasadniczych punktach jest wiele słuszności.

Po smutnej klęsce pozytywizmu rozeszli się jego wyznawcy w trzech kierunkach. Jedną drogą idzie Nietzsche i prowadzi za sobą cały tłum ludzi rozbitych, wyzutych ze wszelkiej żywotności i odartych ze wszelkiego ideału. Są to ludzie, którzy poddali się bezwzględnie pozytywistycznym hasłom i padli ich ofiarą.

Inni przeciwko tyranii pozytywizmu reagują. Reakcyonistom serca i wyobraźni możnaby naznaczyć wodzem Tołstoja; reakcyę rozumu w ogólności zaczęli francuscy myśliciele, a na polu etyki rozpoczął ją Guyau. W tej ostatniej reakcyi upatrujemy najwięcej siły i żywotności. Mogą Verlaine i Huysmans wędrować z Paryża do klasztorów, może Tołstoj zakładać eremy, Rod i Desjardins mogą uznawać potrzebę religii dla serca, ale wszystko to nie ma głębszego swego uzasadnienia. Takie fale płynęły nieraz przez dzieje, żłobiły nawet nasz wiek, a przepłynęły prędko. Daleką przyszłość ma tylko ta reakcya, która od reformy zasad i pojęć filozoficznych zaczyna.

Ks. Jan Pawelski.

---

[1] *L'avenir de la Métaphysique fondée sur l'expérience.*

Z PAMIĘTNIKÓW JENERAŁA CHŁAPOWSKIEGO.

VIII. Bitwa pod Lützen 2 maja 1813 r.

Wojna saska zaczęła się 1 maja 1813 roku. Pod miastem Weissenfels padły pierwsze strzały, z których jeden działowy, jak wyżej powiedziałem, zabił marszałka Bessieres. Ta sama kula, która ugodziła marszałka, stojącego o 30 kroków przed moim szwadronem, odskokiem od jego ciała trafiła i zabiła podoficera mego, Jordana.

Cesarz oddał dowództwo gwardyi marszałkowi Soult. Tego samego dnia pomaszerowaliśmy z cesarzem dalej. Kawalerya i artylerya nieprzyjacielska cofały się przed nami aż za Lützen, gdzie stanęła główna kwatera. My rozłożyliśmy się obozem pod samem miastem. Dnia 2 maja ruszyliśmy ku Lipskowi. Książę Eugeniusz szedł z korpusem przed nami, za nim gwardya, po naszej prawej stronie maszerował korpus marszałka Neya i zajął wieś Kaja. Za gwardyą korpus marszałka Marmont, a w końcu korpus jenerała Bertrand, adjutanta cesarza. Wszystkie korpusy postępowały w ściśniętych kolumnach dlatego, że nie mieliśmy więcej kawaleryi jak 200 koni z księciem Eugeniuszem, 1600 kawaleryi gwardyi i 600 dziesiątego pułku huzarów w korpusie jenerała Bertrand.

Około 10 godziny z rana usłyszeliśmy mocny ogień działowy i ręczny za wsią Kaja. Cała armia pruska i moskiewska uderzyły niespodzianie zupełnie na korpus Neya, złożony z samych młodych żołnierzy *(premier ban)*.

Ci po energicznym oporze nie wytrzymali ataków starych żołnierzy i bardzo licznej artyleryi Blüchera i wieś Kaja opuścili. Cały korpus poszedł w rozsypkę, rzucając broń, i okrył pola, na które wmaszerowaliśmy. Chwila była krytyczna. Cesarz jechał na czele gwardyi, posłał rozkaz księciu Eugeniuszowi, aby rozwinął się w prawo, przez co się do niego zbliżał, a sam zwróciwszy konia, rozkazał nam za sobą kłusem maszerować, za nami zaś piechocie gwardyi (była tylko młoda) i artyleryi. W pół godziny stanęliśmy pomiędzy szosą i wsią Kaja i naprzeciwko tej rozwinęliśmy się w jednej linii na polu, po którem jeszcze ostatki młodych żołnierzy Neya uciekały. W jednej godzinie cała armia 120-tysięczna, maszerując w kolumnach ku Lipskowi, gdzie cesarz spodziewał się zastać nieprzyjaciela, a zatem gotował się ją rozwinąć naprzód przed sobą, została łatwiejszym jeszcze manewrem rozwiniętą w prawo. Wszystkie korpusy prostym zachodem w prawo przeszły, gwardya tylko uskuteczniła obrót prawo w tył półgodzinnym marszem, by stanąć w miejscu najbardziej zagrożonem, to jest naprzeciw wsi Kaja, którą nieprzyjaciel obsadził. Skorośmy naprzeciw tej wsi w linii stanęli, przywitano nas nietylko ogniem działowym, ale i z ogrodów ręczną bronią.

Uciekających żołnierzy marszałka Neya kazał cesarz nie przepuszczać pomiędzy szwadronami. Musieli się cofać za nasze lewe skrzydło, to jest między nami i nadchodzącą młodą gwardyą. Tym sposobem zamiast rozpierzchać się po całej płaszczyźnie, skupiali się, ażeby tą przerwą ujść przed strzałami nieprzyjaciela. Byli to już ostatni, którzy najdłużej wytrzymali we wsi, najwięcej oficerów i podoficerów, wszystko starsi żołnierze, łatwiej więc ich było zebrać za nami, bo broni nie porzucali jak młodsi.

Nadeszła artylerya. Cesarz kazał zaraz dwie baterye na naszem skrzydle odprzodkować, a młodą gwardyę w dwie kolumny za nami uformować. Nieprzyjaciel nie wyszedł ze wsi, obsadzał wszystkie domy, a czarna kolumna jego jazdy stanęła na lewo wsi Kaja, tak blisko nas, iż łatwo było rozeznać, że w pierwszej linii szerokiej kolumny znajdował się pułk kira-

syerów, a obok niego czarnych huzarów. Słyszeliśmy nawet ich komendy w chwili krótkich przerw w odgłosie strzałów działowych. Widać także było różne ruchy w kolumnie poza temi dwoma regimentami. Pewniśmy byli, że na nas uderzą i tak liczną jazdą od prawego oskrzydlić spróbują.

Gotowaliśmy się ich dobrze przyjąć, ale stracili wiele czasu na przygotowaniach i korzystna dla nich minęła chwila. Na wojnie dowódca prędko decydować się musi. Co w tej chwili jest podobnem, za pięć minut staje się nie do wykonania. Decyzya i bystre oko są nieodzownemi warunkami.

Baterye nasze coraz liczniej na linię przychodziły. Cesarz cały ogień na wieś skierować kazał. Moje dwa szwadrony plutonami w prawo posunął. Jerzmanowskiego dwa drugie w lewo, a zrobiwszy miejsce pomiędzy nami, sam dobył szpady, stanął między dwiema kolumnami młodej gwardyi, ruszył z niemi na wieś Kaja i bez wystrzału wszedł do niej. Młoda gwardya położyła bagnetami wszystko, co we wsi było. Ogień na nas z ogrodów ustał. Jazda nieprzyjacielska się nie ruszyła. Zmieniło się położenie. Z odpornego przeszło w jednej chwili w zaczepne. Na naszem prawem skrzydle pokazał się w odległości korpus Marmonta. Być może, iż ten widok wstrzymał był tę liczną jazdę nieprzyjacielską od działania, a zdaje się, że atak na okrążenie prawego skrzydła francuskiego miałby więcej szansy, gdyby go byli spróbowali, zamiast wszystkiemi siłami bronić wsi Rahna, Kaja i Gorschen, które się stały ich grobem.

Wkrótce potem przysłał cesarz po nas. Przeszliśmy przez wieś zasłaną rannymi. W niektórych miejscach leżało kilku, jeden na drugim, nieprzyjaciół i Francuzów razem. W jednem miejscu spostrzegliśmy zabitego gwardzistę pruskiego, bardzo dużego, a obok, jak gdyby w jego objęciach, małego, młodego Francuza. Jenerał Lefebvre Desnouettes, który na naszem jechał czele, rzekł, patrząc na to, że się wydają, jakoby ojciec z synem. Był to ten sam jenerał Lefebvre, którego w Hiszpanii wzięli Anglicy do niewoli. Powiadał mi, iż osadzony w małem miasteczku w środku kraju, znalazł tam kupca, który mu za sto gwinej ucieczkę ułatwił i nad morze odstawił, a kontrabandzista przewiózł go

spokojną nocą na brzeg francuski. Przeszedłszy wieś Kaja, uformowaliśmy się za młodą gwardyą, która postępowała za nieprzyjacielem, ze wszystkich stron się cofającym.

Na naszem lewem skrzydle miał książę Eugeniusz trudniejsze zadanie. Miał korpus moskiewski pod Wittgensteinem przed sobą, który dopiero wtedy cofać się zaczął, gdy młoda gwardya za korpusem pruskim szybko się posunęła i artylerya z boku mu zaszła. Już się więc cofała cała linia nieprzyjacielska, cofała się i jazda z przed naszego prawego skrzydła, bo za nią postępował korpus marynarzy pod Marmontem, a dalej na prawo korpus jenerała Bertrand.

Nie mieliśmy, jak wspomniałem, tylko około 2400 koni w całej armii, cesarz więc nie chciał jej użyć, ażeby jej nie zmniejszać, ale rzecz dziwna, że jazda nieprzyjacielska nic nie przedsięwzięła.

O zmroku kazał cesarz wszystkim korpusom stanąć, ale zostać pod bronią. Nim zupełnie ściemniało, widzieliśmy, że się jazda nieprzyjacielska zatrzymała, a piechota cofała się dalej.

Skoro noc zapadła, a była ciemna, działa ucichły. Jenerał Lofebvre Desnouettes przyjechał do mnie i kazał mi z jednym szwadronem pomaszerować z sobą. Posunąwszy się naprzód przed piechotę, maszerowaliśmy jakie 2000 kroków ku nieprzyjacielowi. Jenerał Lefebvre i ja, jadąc przed szwadronem, spostrzegliśmy po naszej prawej stronie jakby linię wojska stojącego. Troszeczkę jaśniej było na samym brzegu horyzontu, mimo więc tak ciemnej nocy widzieliśmy tę linię. Kazał jenerał stanąć, a ja z porucznikiem pierwszego plutonu, Łęskim, pojechaliśmy w tę stronę, aby więcej pewności nabrać. Podjechawszy może 200 lub 300 kroków, nie tylko ujrzeliśmy linię, ale i szelest stojącej licznej jazdy usłyszeliśmy. Wolno do szwadronu wracając, a biorąc się nieco w lewo, napotkaliśmy jeźdźca, stojącego przy koniu. Ponieważ tuż koło niego przejeżdżałem, poznałem szyszak rosyjski lub pruski, były bowiem jednakowe, schwyciłem za jego cugle, a on, troszkę napity, ozwał się po niemiecku: Kto to? Po tych słowach poznawszy jego narodowość, kazałem mu wsiąść na konia; Łęski jechał z drugiej strony, a ja za cugle naszego jeńca

prowadziłem. Nie szarpał się wcale, tylko się chciał tłumaczyć, dlaczego z szeregu wyjechał i zsiadł z konia. Kazałem mu być cicho. Przybywszy do jenerała Lefebvre, który z adjutantem o 10 lub 15 kroków stał przed szwadronem, zapytałem kirasyera, z którego jest regimentu. Odpowiedział: Z 1-go brandenburskiego kirasyerów". — Gdzie wasz regiment stoi? — „Nie może być dalej, niż o 100 kroków, dopiero com szereg opuścił". Skoro te odpowiedzi przetłumaczyłem jenerałowi Lefebvre, dobył pałasza i dość głośno powiedział: Ha, ha! chcą niespodzianie wpaść na nas, szarżujmy na nich, w nocy nas nie porachują! Wtem cesarz, który z kilkoma oficerami ordynansu jechał za szwadronem, o czem nie wiedzieliśmy, usłyszał, co mi Lefebvre rozkazuje, i zbliżając się, zawołał: „Lefebvre, zawsześ ten sam, nieroztropny *(ton jour fou)*, niech szwadron stoi". Potem kazał mi jeszcze raz pytać się kirasyera pruskiego. Ten, czy nas nareszcie poznał i uląkł się, czy też dlatego, że był podpity, dość gładko odpowiedział, że o północy ma na obóz francuski uderzyć 20 regimentów jazdy (zapewne tak żołnierzom było powiedziane). Cesarz rozkazał nam cofnąć się, i powróciliśmy z nim za linię piechoty, która wciąż stała pod bronią. Niebawem na całą linię wysłał rozkaz, ażeby przed każdą dywizyą cicho jeden batalion o sto kroków się wysunął, uformował w czworobok i ażeby tak wszystkie spokojnie stały gotowe.

Przed północą jeszcze usłyszeliśmy łoskot jazdy nieprzyjacielskiej przed nami. Nie trwało i dziesięciu minut, gdy na prawej od nas stronie jeden czworobok piechoty dał ognia. Wprost przed nami także hałas jazdy słychać było, ale czworobok, stojący przed piechotą, znajdującą się tuż przed nami, wcale nie wystrzelił. Od ognia czworoboku na prawo konie nasze tak się postrachały, że trzeba było szwadrony równać na nowo. Atak jazdy wśród nocy udać się nie może, najmniejsza linia piechoty wstrzyma go i jazda będzie się musiała cofać w nieporządku. Tak się też zapewne z tą moskiewsko-pruską stało. Napady podobne powinno się wykonywać na godzinę przededniem, ażeby potem korzystać z nieporządku nieprzyjaciela, jeżeli się napad udał.

Tym razem cesarz nie mając jazdy podostatkiem, nie mógł kazać rozstawić placówek przed całą linią i wysłać patroli, dlatego całą pierwszą linię piechoty pozostawił pod bronią, a może też był przez szpiega uwiadomiony o zamiarze nieprzyjaciela.

O 2-giej w nocy kazał cesarz zmienić pierwszą linię piechoty, bo druga linia i rezerwa były już kilka godzin spoczęły. Druga ta linia stała od 2-giej do rana pod bronią.

My pomaszerowaliśmy dopiero o godzinie 2-giej po północy za cesarzem do Lützen i stanęliśmy obozem pod miastem na tem samem miejscu, na którem przebyliśmy noc przeszłą.

Nie długośmy odpoczywali, bo zaraz z rana ruszył cesarz z Lützen i my za nim. Poszliśmy znowu przez wieś Kaja i połączyliśmy się z piechotą, która już była w marszu ku Pegau, prostszym gościńcem do Drezna, krótszym niż na Lipsk.

W marszu na Drezno codzień wydarzały się małe potyczki pomiędzy naszą przednią, a tylną nieprzyjacielską strażą. Kilka razy staliśmy w takiem położeniu na wzgórzach, żeśmy zdaleka na te utarczki patrzeli. Miały one coś szczególnego, bo z naszej strony tylko sama piechota działała, z nieprzyjacielskiej zaś liczna kawalerya. Piechota francuska w kolumnach postępowała naprzód z tyralierami przed sobą, których jednak nigdy daleko nie wysyłała, bo tego oczywiście czynić nie mogła wobec licznej jazdy i zawsze chmarami ucierających się kozaków. Postępowała ona naprzód bez ustanku i tylko wtedy, gdy nieprzyjaciel liczną artyleryę okazywał, kolumny się rozwijały, idąc naprzód niemniej spiesznie. Pomiędzy batalionami szły działa, które, kiedy położenie sprzyjało, odprzodkowywały i dawały ognia, ilekroć nieprzyjaciel z odwrotu zdawał się do ataku przechodzić. Zapewne daleko lepiej jest mieć i jazdę w przedniej straży, ale ten marsz nasz od Lützen do Drezna, a potem aż do Bautzen, dowodzi, że nie potrzeba w przedniej straży tyle jazdy, ile jej zwykle używają i zużywają. Ponieważ musi być zawsze na baczności, a zatem konie ciągle mieć okulbaczone, bardzo się niszczy, jak to dowiodła wojna w Moskwie. Król Murat miał zawsze liczną jazdę w przedniej straży, a często, aby przejść przez lasek, przed którym cała kawalerya kilka go-

dzin zatrzymaną bywała przez kilkuset strzelców pieszych moskiewskich, na jeden batalion piechoty czekać musiał. W ciągu tego marszu z Lützen aż pod Bautzen piechota nasza, ile mogłem się dowiedzieć, chociaż bez jazdy w przedniej straży, ani razu znacznie nie ucierpiała i traciła tylko ludzi od kul, ale nigdzie napady kawaleryi na nią nie powiodły się.

Dopiero — tu wyprzedzę wypadki, aby wszystko razem o piechocie w przedniej straży powiedzieć — po bitwie pod Bautzen, pod Hanau, bardzo niewłaściwie użyto piechoty w przedniej straży. Dywizya Maison stanęła przed miastem, a nie za miastem, i wystawiwszy w blizkości przed sobą kilka słabych placówek z czatami, złożyła broń w kozły i rozeszła się cała po żywność do miasta. Jazda nieprzyjacielska pobliskim laskiem zakryta, napadła i porąbała placówki, dostała się do broni w kozły złożonej, straż pobiła i po kilku minutach cofnęła się. Niewielka była strata w ludziach, ale wywarła bardzo zły wpływ moralny. Nie byłoby się to stało, gdyby dywizya była stanęła za miastem, a przeznaczyła jeden batalion do zajęcia ostatnich domów w mieście przed sobą i wystawienia czat i placówek. Kiedy przedniej straży nie wypada stanąć pod miastem lub wsią i położenie zmusza ją przejść przed miasto i stanąć na polu, trzeba się strzedz dobrze i po żywność, drzewo, słomę rozpuszczać częściami. Ale armia cesarza nigdy się dosyć nie strzegła. Powtarzam, iż to nie może być regułą, iż przednia straż jazdy nie potrzebuje, ale tu tak było z konieczności.

Lepiej daleko, i tak być powinno, mieć jej tylko tyle, ile potrzeba na placówki, czaty, a zwłaszcza na patrol i ropoznania. Do tego nie tak licznej potrzeba kawaleryi. Według mego przekonania, większa jej część powinna być w rezerwie, ażeby jej można użyć w bitwie i do ścigania po wygranej. Nie pragnę jazdy ochraniać, owszem radzę używać jej sowicie, ale we właściwym czasie i miejscu.

Nie chcę, żeby ona podczas bitwy zdaleka w tyle stała, niech owszem stoi w pobliżu za piechotą, a czasem i obok piechoty, jeżeli otwarte jest pole, ażeby była gotową rozbić nieprzyjaciela w każdej chwili, skoro się korzystna pora dla jej ataku nadarzy.

Prawda, że więcej od ognia straci na linii, niż daleko z tyłu w rezerwie, ale doświadczenie uczy, że jazda, która ogień kilka godzin wytrzymała, tem silniej i śmielej idzie do ataku, chociażby dużo już straciła. Nie od kul zatem chcę jazdę ochraniać, ale od szarżowania na próżno. Francuzi oszczędzać jazdy nie umieli. Z wyjątkiem wojny saskiej, zawsze jej zanadto w przedniej straży używali, za mocne rozpoznania i patrole wysyłali, przez co niszczyli wiele koni i ludzi dużo tracili — zwłaszcza przeciw kozakom, którzy wciąż robią zasadzki i w takiej wojnie są bardzo przebiegli.

DEMON POLITYCZNY.

La Criminalité politique, par *Louis Proal,* Conseiller à la Cour d'appel d'Aix, Lauréat de l'Institut. Paris 1895.

Na słońcu teoryi rozwojowej, rzucającej jeszcze dokuczliwe promienie, jak w ogóle słońce — zachodzące, odkrył głęboki współczesny filozof niemiecki[1], plamy, które dostrzegalne są nawet dla oka profana, nieuzbrojonego w aparat subtelnej, umiejętnej obserwacyi. Idea rozwojowa, uważana przez jej zwolenników za nieomylną i nieograniczoną żadnemi zastrzeżeniami, zawodzi według tego filozofa tam, gdzie występują „wielkie kontrasty życia, które w biegu dziejów raczej wzrastają aniżeli zmniejszają się. Tak rzecz się ma co najmniej w zakresie moralnym. Czyż bowiem mógłby kto na seryo utrzymywać, że za wpływem całe wieki trwającej pracy nad kulturą ludzie w najgłębszych podstawach swojego ustroju moralnego stali się lepsi, szlachetniejsi, bliżsi doskonałości?... Poleganie na wszechmocy rozwoju zdradza tutaj tylko zapoznawanie problematów a zarazem i głębokiej otchłani życia. Czasem zdaje się, że się cofamy przed uznaniem rzeczywistego stanu w naszym bycie tylko dlatego, aby nie stanąć w pobliżu niemiłych dogmatów. Owe dogmaty o grzechu pierworodnym, o ułomności ludzkiej i t. d. można pominąć, gdyż w rzeczywistości wcale nieszczęśliwie sformułowały fundamentalne fakta i problematy. Ale fakta mimoto pozostają tem, czem są, a owo ignorowanie stanowi po-

[1] Rudolf Eucken, *Die Grundbegriffe der Gegenwart* — w nowem wydaniu, str. 116.

ważne niebezpieczeństwo. Gdyby to można człowieka lepszym uczynić już przez to, że go się dobrym uzna!“ Darujmy krytykowi zarzut „wcale nieszczęśliwego“ sformułowania dogmatów za to wcale szczęśliwe odsłonięcie plamy na słońcu teoryi rozwojowej, gdyż zarzut ów wcale nie jest niebezpieczny, a owo odkrycie wcale ciekawe i pożyteczne, jako świadectwo klasyczne dla tych kół, do których przekonania samemi dogmatami zawsze trafić trudno.

Gdyby pozytywiści w ten sposób, jak ze słów Euckena wypływa, ograniczyli byli swoją admiracyę dla wszechwładnej rzekomo idei rozwojowej, to nie byliby się tak fatalnie rozczarowali na najświeższych datach statystyki kryminalnej, objaśniającej w sposób drastyczny stan moralny społeczeństwa objawami złego, przekraczającemi zuchwale granicę, poza którą zło już nietylko obraża zasady moralności, lecz stanowi brutalny zamach na dobro publiczne i z tego powodu wyzywa w szranki prawo karne z jego najostrzejszemi środkami represyjnemi. A rozczarowanie to przebija tak otwarcie na wszystkich współczesnych zjazdach kryminalistów, we wszystkich parlamentach przy danej sposobności, tj. wśród obrad nad jakiem uzupełnieniem lub poprawieniem postanowień i urządzeń prawno-karnych, że dłużej nad tem zatrzymywać się nie potrzeba. Jest to rzecz tak notoryczna, że w literaturze naukowej na ten temat nie chodzi już o upiększanie złego i doznanego stąd rozczarowania, lecz o ocalenie cywilizacyi przed zarzutem, że ona nietylko nie poskramia przestępności, lecz nawet nie jest w stanie jej powstrzymać. Jeden z włoskich pisarzy (Poletti) wpadł na pomysł rehabilitacyjny, który nazwaćby można wybornym, gdyby rzecz tak stała, że — *mundus vult decipi ergo decipiatur!* Pociesza on desperatów tem, że statystyka kryminalna wykazuje tylko wzrost złego, który jest następstwem większej komplikacyi stosunków, a nie objaśnia tego wcale, w jakim stosunku objawy złego stoją do objawów pracowitości, zabiegliwości, dobroczynności, ofiarności i t. d., jednem słowem do objawów dodatnich pod względem moralnym. Stosunek ten musiałby — zdaniem włoskiego pisarza — wypaść na korzyść ostatnich objawów dzięki uszlache-

tniającemu wpływowi cywilizacyi na stan moralny. Komu to wystarcza na uspokojenie, temu pozazdrościć można, że zachował tyle pogodnego optymizmu, ile potrzeba na to, aby przygnębiające wrażenie suchych, stwierdzonych, więc nieubłaganych dat statystycznych wyrugować fantastyczną rachubą rzeczy niesprawdzonych i z natury swojej ani sprawdzić, ani cyfrowo wyrazić się nie dających.

Jedna z pierwszorzędnych powag współczesnych w prawie i filozofii (Tarde) nie dał się przekonać w ten sposób, chociażby z pewnością chciał być przekonany. Pisarz ten kilkakrotnie w dziełach swoich próbował znaleść lepszą formułkę rehabilitacyjną dla cywilizacyi dzisiejszej, ale z prób tych wynikło raczej — pogłębienie poglądów pesymistycznych. Czasy dzisiejsze bowiem nazwane zostały okresem fermentacyi cywilizacyjnej, wśród której człowiek wprawdzie nie stał się gorszym, aniżeli był dotąd, ale dostał się pod wpływy nowe do złego pobudzające a przez prawo albo niedostrzeżone, albo niedość skutecznie sparaliżowane. Społeczeństwo w dzisiejszym stanie przyspieszonej ewolucyi cywilizacyjnej znajdowałoby się zatem, zdaniem Tarde'a, w takiem samem położeniu, jak pociąg kolejowy, idący ze spotęgowaną niezmiernie szybkością, a mimoto niezasłonięty przed zwiększonem niebezpieczeństwem nieszczęśliwych wypadków wyższą miarą środków ostrożności. Więc trzeba podnieść tę miarę, co w karno-prawnem tego słowa rozumieniu znaczy, że trzeba spotęgować środki represyjne i prewencyjne. I to ma być pociecha dla zaniepokojonych! Piękna to ewolucya cywilizacyjna, jeżeli z nią równym krokiem postępować musi powiększenie liczby posterunków żandarmeryi, sądów karnych i więzień!

Gdyby to już przynajmniej wystarczyło! Ależ właśnie to najwięcej niepokoi kryminalistów europejskich na ich peryodycznych zjazdach, że dzisiejszy system kar i skala środków represyjnych i okazują się niedostatecznem! Nad nowym systemem kar łamie sobie głowę świat pozytywistyczno-prawniczy tak samo, jak technicy wojskowi nad nowem udoskonaleniem broni, nad wynalezieniem nowej, wszystkie dotychczasowe wynalazki prześcigającej, machiny morderczej. Prawnicy nieubłagani w wysnu-

waniu najdalszych konsekwencyj z Darwinizmu dla prawa karnego (jak Ferri, Garofalo i inni ich włoscy i niewłoscy satelici), z zimną krwią zalecają prawu karnemu, ażeby otrząsło się zupełnie ze swoich zasad klasycznych i weszło na tory „selekcyi społecznej“, która miałaby polegać wprost na tępieniu przestępców z taką bezwzględnością, jak się tępi szkodliwe pasożyty. W formalnych wnioskach tych selekcyonistów, walczących jeszcze ciągle pod sztandarem Lombrosa, mowa jest wprawdzie tylko o eliminacyi przestępców sposobem więziennym i deportacyjnym, ale na dnie serca leży, nieraz nawet z nieostrożną otwartością wprost wypowiedziane, pragnienie, aby to tępienie było jeszcze surowsze a chociażby nawet pojęte i przeprowadzone *au pied de la lettre*. Często bowiem w wywodach tych reformatorów wymieniany jest król angielski, Henryk VIII., w taki sposób, jak gdyby on najwięcej zdziałał dla cywilizacyjnego podniesienia swojego społeczeństwa ową słynną, wędrowną szubienicą, która za rządów tego króla zgładziła wiele tysięcy już nie samych tylko zbrodniarzy, lecz także i bohaterów *minorum gentium* ze świata przestępstwa, a nawet prostych nędzarzy, natrętnych żebraków i włóczęgów.

Dziko brzmią takie pomysły, ale mają tę zaletę, że odraza, jaką wzbudzać musi myśl o samobójczych dla społeczeństwa następstwach takiej recepty karno-eksterminacyjnej, zwraca się także ku zasadzie, z której ścisłej konsekwencyi podobne pomysły wypływają. A są one istotnie ścisłą konsekwencyą tego naturalizmu skrajnego, który zdegradowawszy człowieka na fragment wielkiej materyi, fragment odarty z t. zw. „przesądów metafizycznych“ jak wolna wola, odpowiedzialność moralna i t. d., obchodzi się z nim w razie, gdy jest szkodliwy dla społeczeństwa, w ten sposób, jak się człowiek obchodzi z rzeczą szkodliwą wogóle.

Nie budzą takiej odrazy, więc nie wywołują tak rychło refleksyi, a z tego powodu szkodliwsze są teorye niekrańcowe, ale płynące z tego samego źródła. I ten pozytywizm bowiem, który w prawie karnem wyparł się już dziwolągów Lombrosa i wysnutych stąd pomysłów reformatorskich w zakresie kary *à la*

Ferri, nie chce także nic słyszeć o powyższych „przesądach metafizycznych“, determinizm uważa za zasadę naczelną, za punkt wyjścia, a tem samem, zarówno jak jego skrajni alianci, podkopuje te fundamenta moralne, na których wzrosła i rozkwitła cywilizacya, ubezwładnia te czynniki moralne, które pod troskliwą wychowawczą opieką Kościoła stanowią taką zaporę przeciw wzmaganiu się złego, jakiej najdoskonalszy na mechanizmie prawnym oparty system kar stworzyć nie może. Swoją drogą na determinizmie wogóle niepodobna oprzeć żadnego konsekwentnego systemu kar, co już bystrzejsi determiniści sami otwarcie uznają. Nie potrzeba na to lepszego objaśnienia nad fakt, że taki matador w tym świecie prawniczym, jak Tarde, w rozprawie o odpowiedzialności wprost to powiedział, iż chociaż nie uznaje w zasadzie wolności woli, uważa jej dalsze uznawanie jako fikcyi za niezbędne. I nie wstydże to, że się trzeba przed bankructwem salwować taką obłudą? Tarde sam nie wstydzi się, bo wystarcza mu ta sofistyczna argumentacya, że skoro pewna doza kłamstwa jest rzekomo niezbędną dla państwa i społeczeństwa, jak np. kłamstwo w biuletynach wojennych, w biuletynach wyborczych, w historyi i prasie oficyalnej i t. d., to można i tutaj posługiwać się kłamstwem, skoro chodzi już nie o interes pewnego rządu lub pewnej partyi, lecz o najwyższe dobro społeczeństwa. Czy i wiara w Boga, wogóle jakakolwiek religia miałaby być także zatrzymaną w roli kłamstwa oficyalnego, czy fikcyi pseudo-naukowej? Na razie niema o tem mowy, ale konsekwencya wiedzie do tego, bo sama wolna wola, tolerowana *ad hoc*, tj. tylko dla wybrnięcia z teoretycznych trudności w skleceniu jakiegoś nowego, na determinizmie opartego, systemu kar, nie może przecież wystarczyć w tej mierze człowiekowi ze zdrowym aparatem myślenia. Gdyby zaś przyjść miało do zbudowania takiego gmachu fikcyi, jaki byłby potrzebny dla ich powiązania w całość, to mielibyśmy skończoną aberracyę, bo powrót do tego, co stanowi treść wiary, ale bez wiary samej. Byłoby to ukoronowanie dziwolągów, godne zakończenie sporu, czy cywilizacya pojmowana w duchu pozytywistów, więc wykluczająca wiarę, uczyniła człowieka lepszym

i sama w sobie posiada dość siły, aby go wieść po dalszych szczeblach do doskonałości.

Niechby tam sofiści na schyłku XIX. stulecia spierali się z sobą w ten sposób dalej, byle tylko wszystkie ich dziwolągi były zamknięte w świecie książkowym tak szczelnie, aby poza kołami fachowemi nie zatruwały umysłów wrażliwych na wszelkie nowinki tego rodzaju a pozbawionych dostatecznej siły odpornej, jeżeli nie tej siły niewzruszonej, jaką wiara daje, to przynajmniej tej, jaką zapewnia rzetelna wiedza w połączeniu z samodzielnością w myśleniu. Ale to właśnie stanowi jedno z najfatalniejszych znamion współczesnej epoki, że wszelkie paradoksy, sofizmaty i t. p. są chciwie pochwytywane i uważane na ślepo za dobrą monetę prawdziwej wiedzy, która znowu w takich płytkich umysłach uchodzi za niepołączalną wogóle z wiarą. A jak ponętną jest ta fałszywa teza o niepołączalności wiary z wiedzą dla każdego, kto poczuwa w sobie grę złych instynktów, chęć użycia i nadużycia wszystkiego, co świat dać może, bez opamiętania, bez skrupułu, bez jakiejkolwiek refleksyi na upomnienia obowiązku, wogóle na moralne względy! Kiedy bowiem z jednej strony w miarę rozluźniania się karbów obowiązku otwiera się szerokie pole wszystkim zachceniom i kaprysom nieokiełznanej woli, z drugiej strony zdumiewające istotnie zdobycze wiedzy spotęgowały w nieskończoność środki i siły człowieka w możności dogodzenia tym zachceniom i kaprysom. W takim stanie rzeczy ani dziwić się temu, ani nawet — ze względu na przejściowy i dzięki Bogu już przesilenie odbywający okres tego zboczenia filozoficznego i moralnego — trwożyć się tem nie trzeba, że wieczysty wróg ludzkości wyzyskał sytuacyę, że zło, za sprawą boską poskromione w swem władztwie, ale nie uchylone ze świata, wybujało na gruncie podatnym. Rój demonów, objawów złego z staremi i nowemi maskami, zasiadł z człowiekiem do orgij, wyprawianych pod hasłem naturalizmu. Jak pozbyć się tego towarzystwa, nieproszonego, ale w pierwszej chwili lekkomyślnie z otwartemi ramionami przyjętego? Wezwać straż, prawo pozytywne, aby przywróciła porządek i wyrzuciła gości nieproszonych, jako tałałajstwo, poni-

żające gospodarza? Ależ ta straż uznaje się otwarcie bezsilną nietylko wobec zuchwałych intruzów, którzy już wtargnęli do przybytku życia społecznego, lecz nawet wobec nacisku dalszych gości tego samego rodzaju, dalszych demonów z nowemi maskami! Bezsilną jest ta straż, bo rozbrojono jej dzielny oddział posiłkowy, owe moralne czynniki, które ze świadectwem historyi prawa, historyi cywilizacyi w ogóle, jak najdzielniej i jak najskuteczniej wspierały, czasem nawet wyręczały prawo w jego misyi prewencyjnej i represyjnej.

Wpadamy w ton, który przeciwnikom takiego poglądu może dostarczyć wygodnej broni. Łatwo im bowiem, wbrew rzeczywistości, odpierać takie przedstawienie stanu rzeczy zarzutem, że jest to kazanie świeckie z argumentami, zaczerpniętemi stamtąd, skąd pochodzą rzekomo wszelkie zapory, stawiane wielkiej ewolucyi cywilizacyjnej na nowych torach, przez pozytywizm utorowanych, z — *asylum ignorantiae*. Dobre to były czasy, kiedy taki zarzut jednym imponował, drugich teroryzował a wszystkim wystarczał na to, żeby nie dać sobie zamącić przekonania, żeśmy według fundamentalnego zdania ojca pozytywizmu współczesnego (Comte'a) weszli z nim w trzecią najwyższą fazę cywilizacyjną, po przebyciu ciemnicy teologicznej i pomroki metafizycznej! Dziś jednak można już odpłacić pięknem za nadobne i to z dodatkiem sowitym, bo nietylko zarzutem ignorancyi, lecz i arogancyi. Arogancyą naukową było odgrzebanie i długie przedstawianie za rzeczy nowe tych teoryj naturalistycznych, których autorstwo prędzej należy się już koryfeuszom naturalizmu na schyłku poprzedniego stulecia (Helvetius, d'Holbach, La Mettrie), ignorancyą byłoby zapoznawanie tej, dzięki Bogu, już potężnej reakcyi przeciw tegoczesnym wznowionym próbom zmateryalizowania społeczeństwa. Jak w tych próbach, tak i w reakcyi prawo karne, najwrażliwsze z natury swojej na wszelkie nowości filozoficzne, stanowi najlepsze pole obserwacyjne. Że to wzmożenie się złego w ostatnich czasach, wykazane przez statystykę z nieubłaganą, cyfrową ścisłością, idzie na karb osłabienia tych moralnych czynników, które w wierze mają źródło swoje, w Kościele warownię a w rodzinie najważ-

niejszy dla dobra społecznego instytut wychowawczy, to nie kazanie cywilne, to treść tej głębokiej i ścisłej dyagnozy, którą przeprowadzają na objawach współczesnych chorób społeczeństwa nie doktrynerzy tendencyjni, lecz uczeni najwyższej miary, patrzący na stan rzeczy okiem spokojnego obserwatora i docierającego do rdzenia rzeczy filozofa. Jednym z takich uczonych, który w dodatku jeszcze jako sędzia zawodowy i członek wysokiego kolegium sądowego mógł wszystkie rezultaty swoich badań naukowych sprawdzać, objaśniać i w danym razie uzupełniać w świetle długoletniej, inteligentnej praktyki, jest Louis Proal, autor książki na wstępie przytoczonej a zarazem i autor drugiego poprzednio przez paryską akademię nauk moralnych i politycznych premiowanego dzieła *(Le crime et la peine)*, przedstawiającego z przedziwną jasnością a bez żadnej ujmy dla głęboko naukowego charakteru pracy, wszystkie powyżej tylko przelotnie zaznaczone przyczyny wzmożenia się złego, wzrostu liczebnego jego objawów w nowej i starej formie we wszystkich zakresach życia społecznego.

Już w tem ostatniem dziele Proal, demaskując demony, które wkradły się w tak wielkiej liczbie na widownię współczesnego życia społecznego, nie mógł pominąć polityki, demona politycznego, który dziś przedewszystkiem społeczeństwo francuskie upatrzył sobie za pole popisowe. Przed stu laty Montesquieu wspominając o formalnym systemie denuncyacyi w starym Rzymie dodał te słowa: „Była to droga, po której zdążano do zaszczytów i do fortuny, a czego dziś wcale nie widzimy w naszem społeczeństwie“. Proal dodaje do tych słów: „co jednak odżyło w XIX. stuleciu dzięki polityce“, i tym lakonicznym dodatkiem najlepiej objaśnia swój pogląd na demoniczny wpływ polityki, nietylko rzucającej cień na obecny stan moralny społeczeństwa francuskiego, lecz nawet świadczącej, że cofnęło się ono wstecz w okresie rzekomo cudownego stadyum ewolucyi cywilizacyjnej. Dodaje przytem Proal, że oczywiście ma na myśli nie politykę jako „szlachetną naukę o rządzie, o której pisali najwięksi filozofowie, jak Arystoteles, Plato, Montesquieu, lecz politykę przekształconą w rzemiosło, która dezorganizuje spo-

łeczeństwo, utrudnia reformy, rozwija alkoholizm wraz z duchem podstępu i korupcyi, osłabia uczucie sprawiedliwości i zamiłowanie w pracy".

Ilustracyę do tej ogólnej uwagi zaczerpnął Proal z bieżącej polityki francuskiej, a że już wtedy, kiedy dzieło swoje pisał, znalazł w machinacyach wyborczych, parlamentarnych i w pierwszem stadyum skandali panamskich materyał bardzo obfity, to się rozumie. Mimochodem nie mógł Proal wyczerpnąć tego materyału w pierwszem dziele, ale już wtedy dawał do zrozumienia, że wróci do sprawy, która godna jest odrębnego wystudyowania i opracowania. Oczekiwanie czytelnika zostało ziszczone w dziele, którego tytuł na czele wypisaliśmy.

* * *

Nowe dzieło Proala wprowadza demona politycznego na szeroką widownię i przedstawia go w tak silnem oświetleniu historyczno-filozoficznem, że żaden jego rys charakterystyczny nie może już ujść uwadze czytelnika, a ktoby chciał stracić z oczu potworność obrazu, musiałby chyba usunąć się poza promienie tego światła i zdać się na — błędne ogniki illuzyi lub optymistycznej tendencyi.

Żeby z góry upewnić czytelnika, że Proal nie kreślił swojego obrazu pod silnem, łatwo uprzedzenie wzbudzającem wrażeniem, jakie poszczególne jaskrawe akta deprawacyi politycznej z współczesnej doby mogłyby wywrzeć nawet na pisarzu, przystępującym do opracowania tak drażliwego tematu ze spokojem i wyrozumiałością prawdziwego uczonego, zaznaczamy zaraz tutaj, że w chwili pisania tej książki sprawa panamska dopiero się zarysowywać zaczynała na politycznym widnokręgu Francyi, więc nawet w części jeszcze nie były odsłonięte wszystkie te brudy, których ohyda streszcza się w tej chwili w myśli inteligentnego obserwatora współczesnych wypadków już tylko w dwóch słowach: sprawa Artona! Rękopis książki snać był już pod prasą drukarską, gdy świat cały przerażony został skrytobójstwem popełnionem na Carnocie. To też nie wchodzi ten wypadek u Proala w rachubę, chociaż stanowiłby grozą przejmu-

jący przykład i dowód prawdziwości jego uwag o wieczystej demonicznej sile namiętności politycznych. Cóż dopiero mówić o tem wszystkiem, co zaszło już po pojawieniu się książki w handlu księgarskim! Cały szereg faktów, stanowiących jaskrawą ilustracyę do poszczególnych rozdziałów. Wobec grozą przejmującego morderstwa politycznego popełnionego na Stambułowie, schodzą na drugi plan wstrętne szacherki polityczne najświeższej daty à la Jaques-St. Cére we Francyi, Hammerstein w Niemczech i t. d., chociaż każde z tych nazwisk mogłoby służyć za napis osobnego rozdziału o korupcyi politycznej *fin de siècle*. Wymieniliśmy ze sfery korupcyi politycznej tylko dwa ostatnie nazwiska, chociaż możnaby przytoczyć cały tuzin podobnych już w tej chwili i to z dodatkiem, że szereg nie jest zamknięty, lecz owszem wzrasta z każdym dniem w miarę, jak prokurator francuski, nie zrażając się wstrętnym widokiem, grzebie dalej w tem wielkiem śmiecisku moralnem, które nazywa się polityką w nowoczesnem tego słowa znaczeniu.

Zresztą szereg nazwisk, z któremi łączą się inne demoniczne działania polityki, powiększa się także z każdym dniem. W ostatnich czasach przybyło znowu nazwisko, w którem streszcza się jedna z największych współczesnych zdrożności politycznych, może największa, bo uwieńczona gorszącemi sukcesami politycznemi, więc ukoronowane przed areopagiem europejskiej polityki. Mamy na myśli skrytobójstwo popełnione przez ojca na pierworodnym synie, skrytobójstwo duchowe, religijne. Trzebaż jeszcze osobno wymieniać nazwisko księcia bułgarskiego Ferdynanda, gubiącego dla interesu politycznego w otchłani prawosławnej duszę swojego syna, bezbronnego niemowlęcia, które jeszcze samo oprzeć się nie może szkaradnemu zamachowi? Dla czytelników tego pisma już to wymienienie jest niepotrzebne a bliższe omawianie szczegółów całego faktu w świetle demonicznych wpływów polityki byłoby już wcale zbyteczne. Ile nowego a ciekawego materyału przybędzie Proalowi, gdy się zabierze do drugiego wydania swojej książki.

Lasciate ogni speranza! — możnaby zawołać do tych czytelników, którzy wogóle nie lubią prawdy odsłoniętej na widok

publiczny a w predylekcyi swojej właśnie politykę chcieliby może jak najwięcej zasłaniać przed tak badawczem wtargnięciem w jej tajniki. Dewizy tej nie położył Proal na książce swojej, ale myśl w niej tkwiąca wyrażona została szerzej w przedmowie do dzieła. Skoro powyżej zaznaczyliśmy, że autor pisał swoją książkę nie pod wrażeniem świeżych faktów, któreby go do pesymistycznych uprzedzeń dopiero nastroić mogły, lecz ze spokojem historyka i filozofa a wyrozumiałością prawnika i zawodowego sędziego, więc przytoczyć możemy tę przedmowę jako sumaryusz całego rezultatu jego badań naukowych a zarazem jako wyborną charakterystykę demona politycznego.

„Sztuka rządzenia — mówi Proal w przedmowie, — ta sztuka tak szlachetna i doniosła, została skoszlawiona przez mnóstwo fałszywych maksym, które zrobiły z niej sztukę kłamania i oszukiwania, sztukę proskrybowania i rabowania ludzi pod legalnemi pozorami. Obok mężów politycznych, którzy sprawowali rządy w interesie ludów, byli inni, którzy w wykonywaniu swojej władzy szukali tylko zaspokojenia namiętności własnych. Ludzkość miewała u steru katów, fanatyków, złodziejów, fałszerzy monet, bankrutów, szaleńców, ludzi zepsutych i zepsucie szerzących. Jak wielką jest odpowiedzialność tych ludzi, którzy objąwszy władzę dla oświecania i umoralniania ludów, szerzyli ogłupienie i zepsucie złemi prawami i złemi przykładami! Niema złoczyńców większych od tych politycznych, którzy dla swojej ambicyi, chciwości i współzawodnictwa propagowali rozterkę i nienawiść. Złoczyńcy zwyczajni osądzeni przez trybunały zabijają lub okradają tylko pewne osoby, więc liczba ich ofiar jest ograniczona. Natomiast złoczyńcy polityczni gubią tysiące ofiar, szerzą korupcyę i ruinę w całych narodach. Cywilizacya udoskonaliła wszystko z wyjątkiem polityki, która posługuje się zawsze podstępem, poniewierką prawa i wolności. Społeczeństwo współczesne, tak dumne ze swoich postępów przemysłowych i odkryć umiejętnych, niema tytułu do takiej dumy, jeżeli bada swoje obyczaje polityczne i moralne. Może ono pokazywać na wystawach machiny cudowne, ale ta wielka machina polityczna, która się rządem nazywa, jest jeszcze bardzo niedołężną, a ci, którzy

ją obsługują, nie są zawsze ani najwykształceńsi, ani najmędrsi. Wszystko u nas kwitnie — powiedział Littré — z wyjątkiem polityki, która jako niedołężna, zła lub niedorzeczna wyzuwa nas peryodycznie z osiągniętych korzyści... Kwestya polityczna, tak samo jak socyalna, jest przedewszystkiem kwestyą moralną. Podnosić ludzi w oświacie, moralności, jedności i szczęściu — oto prawdziwy cel polityki. Najlepsza polityka polega zatem na przysparzaniu dobra, na ulżeniu cierpień niezasłużonych, na uśmierzaniu zawiści, na zachęcaniu zasługi i pracy, na rozwijaniu zmysłu moralnego w społeczeństwach. Walki polityczne, staczane o słowa i kwestye osobiste, wzburzają tylko umysły a nie prowadzą do żadnego postępu. O postępie społeczeństwa rozstrzygają nie kombinacye ministeryalne, regulaminy, dekrety, ustawy źle wystudyowane, zmienne i liczne, lecz dobre uczucia i wielkie myśli, od serca pochodzące, dobre przykłady, które dają osoby rządzące. Dlatego też, chociaż nie powtarzam zdania Platona, że państwa tylko przez filozofów mogą być dobrze rządzone, utrzymuję, iż niepodobna wykonywać władzy w sposób godny bez pewnego zmysłu filozoficznego i bez zasad spirytualistycznych. Szczery spirytualizm stanowi niejako sól, która strzeże społeczeństwa od zepsucia. Na nieszczęście w ostatnich latach sól ta w Europie znacznie zwietrzała. Namiętności niewątpliwie zawsze wciskać się muszą do polityki, ale mimoto wolno spodziewać się, że może ona stać się moralniejszą. Rozum ludzki uporał się z niewolnictwem, z poddaństwem, z przywilejami i wszechwładną potęgą królów, więc dlaczegóż nie miałby dokazać tego, żeby w polityce więcej zapanował duch umiarkowania i lojalności, sprawiedliwości i ludzkości?“

Jest to niejako ogólna część aktu oskarżenia przeciw polityce, który następnie w książce Proala szczegółowo został rozwinięty, uzasadniony i datami historycznemi poparty. Część szczegółowa zaczyna się od machiawelizmu, którego systematykiem tylko, ale nie twórcą, był sam Machiavelli. Polityka nie potrzebowała dopiero od niego uczyć się sposobu, w jaki ma wyzyskiwać gwałty i podstęp dla swoich celów, a „mężowie stanu nie potrzebowali dopiero od tego pisarza włoskiego brać

lekcyj kłamania, proskrybowania swoich przeciwników i konfiskowania ich majątku. Żądza panowania i wykonywania władzy uczy już podstępu i gwałtowności". Gdyby chodziło o przykłady historyczne najdawniejszej daty, to możnaby przytoczyć cały szereg już z dziejów cesarstwa rzymskiego. Najwięksi okrutnicy, nie wyjmując Nerona, postępowaniem swojem przed dojściem do władzy wcale nie zapowiadali tego, że będą takimi potworami, jak ich dzisiaj historya przedstawia. O cesarzu Tyberyuszu mówi Tacyt, że stał się okrutnikiem dopiero pod władzą i za podszeptami demona politycznego, stał się złym „siłą władzy podniecony i zmieniony" *(vi dominationis convulsus et mutatus)*. Jeszcze lepiej niż Tacyt w powyższem zdaniu streścił teoryę machiawelizmu grecki poeta Euripides, wkładając w usta jednego z bohaterów swoich te słowa: „Jeżeli trzeba popełnić niesprawiedliwość, aby dojść do władzy, to nie należy się wahać, lecz popełnić ją. Wśród wszelkich innych okoliczności jednak bądźmy uczciwymi ludźmi". Lakonicznie wyrażona została w tem zdaniu główna zasada machiawelizmu, teorya dwóch moralności: jednej, która ma obowiązywać tylko w życiu prywatnem, i drugiej, wprost przeciwnej, którą kierować się należy w życiu politycznem. Na tem tle osnuta jest cała, we Francyi szczególnie obfita, literatura machiawelizmu, którego najświeższym a zarazem i najwybitniejszym epizodem historycznym mieni Proal całą rewolucyę francuską. Mirabeau rzucił z trybuny parlamentarnej pamiętne hasło: „mała moralność zabijè wielką", a za tem hasłem poszli wszyscy bohaterowie przewrotów i rzezi tendencyjnych. Owa wielka moralność, to podstęp i gwałt, uwieńczone pożądanym skutkiem, tj. zdobytą władzą, a mała moralność, która przed pierwszą ugiąć się, nawet ustąpić musiała, to te wszystkie wzniosłe uczucia, które podeptano w czasie rewolucyi pod dźwięcznem hasłem wolności, równości i braterstwa, pod osłoną rzekomej racyi stanu, interesu i dobra publicznego. Czego to nie zakrywa ta osłona przed kondemnatą historyi! Największe szalbierstwa dyplomatyczne, najniegodziwsze podstępy, nawet rzezie formalne! „Formułą piekielną" nazywa to hasło inny, głęboki pisarz francuski (A. Franck w dziele: *Philosophie du droit pènal)*, dodając,

że „niema środka tak haniebnego, ustawy tak niegodziwej, tyranii tak wstrętnej, dyktatury tak okrutnej, któraby nie zasłaniała się tą formułą, zarówno dobrą do uciskania narodów jak i do szerzenia korupcyi“. Danton, Marat, Robespierre i t. d. — to bohaterowie tej formuły piekielnej, nadużywającej dobra publicznego dla wszelkich niegodziwości.

Proal nie poprzestał na samem przedstawieniu zwycięstw machiawelizmu w historyi, zwłaszcza w ostatniej dobie dziejów Francyi. Na ten ponury obraz pada promień światła, gdy autor objaśniać zaczyna, także na wybitnych przykładach historycznych, szczególnie na najwybitniejszym w oczach Francuza, na panowaniu Napoleona Wielkiego, nietrwałość sukcesów politycznych, osiągniętych za pomocą środków przez machiawelizm zalecanych, za pomocą tej „wielkiej moralności“, która nie chcąc być zabitą przez „małą moralność“, sama ją zabić usiłuje. „Skoro największy geniusz czasów nowożytnych (Napoleon) — mówi Proal — zawiódł się w swoich rachubach politycznych, można polegać na tem, że polityka moralna jest najbezpieczniejszą. Machiawelizm skompromitował sprawę rewolucyi. Wszystkie przewroty, które zakłócały spokój kraju od stu lat, a które jeszcze nie skończyły się, wyniknęły z pominięcia moralności przez ludzi, powołanych do wprowadzenia w życie nowych zasad politycznych. Nie owe zasady sprowadziły przewroty, lecz zdrożne środki, któremi je w życie wprowadzić chciano. Gwałty, rozruchy zorganizowane, proskrypcye, trybunały rewolucyjne i rusztowania usunęły w dal panowanie wolności politycznej i zjednoczenie wszystkich Francuzów“.

Biedna ta Francya! Wykrzyknik ten ciśnie się pod pióro, gdy się przytacza takie słowa z książki Proala, tak patryotycznie usposobionego, że pewnie radby ukryć przed światem to wszystko, co dla dobra ojczyzny ukryć można i należy, tak jednak przytem poważnego i głębokiego w obserwacyi, że do lekkomyślnego zabarwiania ponurej sytuacyi jest wprost niezdolnym. Biedna Francya, biedna nietylko dlatego, że demon polityczny w ostatnich stu latach rewolucyjnych zawiódł ją nad sam brzeg przepaści, lecz także, i to w wyższym jeszcze stopniu,

dlatego, że brnie dalej w tym machiawelizmie politycznym, którego zgubność widzi na każdym kroku, a oddala się przytem od tego sprzymierzeńca, któryby ją najpewniej mógł ocalić tak, jak ją całe wieki przedtem wiódł od jednego sukcesu do drugiego, na szczyt sławy i wyższości cywilizacyjnej nad innemi narodami. Gdybyśmy tego sprzymierzeńca, Kościół katolicki, przywołali tutaj z własnej inicyatywy, wniosek mógłby się wydawać podsunięty autorowi. Ale do wniosku tego dochodzi każdy czytelnik uważny a nieuprzedzony za wskazówkami samego Proala, który chociaż nie zdobywa się na jawną affirmacyę w tym rodzaju, lecz jak w poprzedniem tak i w tem dziele swojem „religijność“ a jeszcze więcej „spirytualizm“ w ogólnikowem tylko brzmieniu wysuwa na pierwszy plan w medytacyach nad środkami zaradczemi wobec wzmagającej się deprawacyi społeczeństwa francuskiego, to jednak w tym właśnie obrazie machiawelizmu przynajmniej otwarcie hołd składa przedstawicielom chrześcijańskiej moralności w literaturze francuskiej, w pierwszym rzędzie Bossuetowi. Jedynie moralność chrześcijańska, uważająca wszystkie narody za członków jednej wielkiej rodziny, ludzkości, piętnująca zło i ostrzegająca przed niem, chociażby ono ukrywało się pod maską popularną, wreszcie nie wchodząca ze zdrożnością w żadne kompromisy dla osiągnięcia pewnych upragnionych korzyści, stanowi najdzielniejszą broń w walce z machiawelizmem, z demonem politycznym w ogóle.

„Gdy się czyta historyę proskrypcyi — tak opiewa wstęp drugiego rozdziału o morderstwie politycznem i królo (tyrano)-bójstwie — przerażenie ogarnia na wspomnienie okrucieństw tam opisywanych. Jaką racyę miał Bossuet mówiąc, że niema istoty więcej brutalnej i krwiożerczej od człowieka, gdy go unosi namiętność polityczna. Po kolei proskrybowali patrycyusze plebejuszów a plebejusze patrycyuszów, królowie dziesiątkowali narody a narody mordowały królów. Namiętności polityczne krwią zwilżyły ziemię: królowie, cesarze, arystokracye, demokracye, republiki, wszystkie rządy popełniały morderstwa z pobudek politycznych, bądźto z żądzy władzy, bądź pod wpływem zawiści, trwogi lub fanatyzmu“. I ten drugi punkt aktu oskarżenia prze-

ciw polityce, brzmieniem swojem na przesadę zakrawający, popiera Proal całym szeregiem przykładów historycznych. Czytelnik mógłby się jednak w końcu uspokoić myślą, że przecież dziś u schyłku XIX. stulecia pod tym przynajmniej względem jesteśmy lepsi, gdyż zbrodnie tego rodzaju należą już więcej do dawnych, smutnych wspomnień historycznych, a nikt nie poważyłby się obecnie, jak w starożytnych i średniowiecznych czasach, zalecać np. mordowania „tyranów“ jako cnoty obywatelskiej. Czy tak jest rzeczywiście? Najpierw podobne wspomnienia historyczne nie są tak odległe, jakby wypływało z książki Proala, pisanej przed wstrętnym aktem zamordowania Stambułowa, tej dziś już historycznej ofiary niewdzięczności narodu i posuniętej aż do bestyalizmu nienawiści politycznej, która nie umiała się poskromić nawet wobec majestatu śmierci, ani na widok zmasakrowanych zwłok wielkiego patryoty, ani wobec jego świeżej mogiły. A i ta druga pociecha, że taka apologia królobójstwa, jak w starożytności i w wiekach średnich, byłaby dziś niemożliwą, zmienić się musi w przykre rozczarowanie, gdy się przeczyta trzeci rozdział o anarchizmie, który w teoryi i czynie, książkami i bombami, sławi, zaleca i praktykuje morderstwa polityczne, formalne tępienie klasy posiadającej, burżuazyi, jakby ona była nowoczesnym tyranem, którego zgładzenie dawniej cnotą nazywano. Ten rozdział o anarchizmie jest prawdziwie straszny, bo autor zadał sobie wiele pracy, aby przedstawić jego grozę nietylko na zbrodniach anarchistycznych już dokonanych, lecz i na programie dalszej akcyi zbrodniczej. Groza wzrastać musi w czytelniku, gdy się spotka z ustępami, świadczącemi o tem, że autorowi służył za podstawę w tym naukowym akcie oskarżenia przeciw polityce nietylko materyał naukowy, w umiejętny sposób ugrupowany i historycznemi przykładami na każdym kroku ilustrowany, lecz także — co najważniejsza — doświadczenie i studya z zawodowej działalności sędziowskiej. Najświetniej zestawiony materyał naukowy nie przemawia tak dobitnie i nie stanowi tak poważnej przestrogi, jak te osobiste reminiscencye sędziowskie pisarza z rozległym widnokręgiem wiedzy i subtelnym zmysłem badawczym. Po tym rozdziale nie tykajmy nawet

kwestyi, czy nasze postępy w cywilizacyi zmniejszyły sumę złego, ale oczywiście postępy w cywilizacyi z taką wyraźną marką materyalistyczną, jaka cechuje ostatnie czasy. Nie tykajmy tej kwestyi teraz, bo pod pierwszem wrażeniem tego obrazu rachunek musiałby wypaść gorzej aniżeli może wypadłby w takim razie, jeżeliby — co tutaj jest niepodobieństwem — ściśle zestawione zostały także wszystkie dodatnie i ujemne pozycye *conta* cywilizacyjnego współczesnej doby.

Sprawozdawcy wolno w roli przewodnika być lekkomyślnym i pomimo mnóstwa dalszych ciekawych szczegółów oderwać uwagę czytelnika od tak ponurego obrazu, jakim jest rozdział o anarchizmie. Ale wypadałoby w takim razie zawieść zaraz czytelnika przed inny obraz, jeżeli nie wcale przyjemny, to przynajmniej niezbyt rażący. Trudne to jednak zadanie, prawie niewykonalne, jeżeli się stoi przed całym cyklem obrazów z napisem: *La criminalité politique* i z taką marką autorską jak Louis Proal. To też jakby z deszczu pod rynnę dostaje się czytelnik, jeżeli go sprawozdawca zaprowadzi przed dalszy obraz, tj. przed następny rozdział, który omawia nienawiść polityczną, a już zaczyna się w ten sposób: „Gdy Bóg stworzył serce człowieka, włożył tam według słów Bossueta najpierw dobroć, jak odblask swojej dobroci, aby ona była znakiem tej ręki dobroczynnej, z których do życia wchodzimy. Czy na prawdę dobroć stanowi rdzeń serca ludzkiego? Prawie zwątpić trzeba o tem, gdy się widzi tyle nienawiści między ludźmi: nienawiść religijną i narodową, społeczną nienawiść wzajemną między wyższemi i niższemi klasami, między bogatymi i biednymi, nienawiść rasową, pochodzącą z różnicy w ideach i w uczuciach. Wilki nie pożerają się nawzajem, ludzie tylko gubią się w ten sposób; zabijają się nawzajem w imieniu religii, wolności, braterstwa i równości... Historya ludzkości jest tylko jednym szeregiem wojen, zagranicznych i domowych, wojen między rasami i klasami. Były przecież wojny, które trwały siedm, trzydzieści a nawet sto lat". Dziś wojna tak długo trwać nie może, gdyż do walki stanęliby nie sami tylko zawodowi żołnierze, lecz wprost całe narody, i do tego tak uzbrojone, że w kilku tygodniach wydoskonalone na-

rzędzia mordercze więcej mogłyby zgładzić ludzi, aniżeli dawniej w ciągu lat całych. Ale możnaby na to powiedzieć, że dziś przynajmniej wybuch wojny nie mógłby nastąpić tak lekkomyślnie, jak to dawniej nieraz bywało, kiedy drobna rozterka lub nawet prosta intryga doprowadzała do rozlewu krwi. To prawda, ale główne źródło wojen: antagonizmy między państwami, antagonizmy, wypływające z wieczystej nienawiści wzajemnej między ludźmi, wcale bić nie przestało, a jeżeli je dyplomacya tak starannie ukryć i zakryć usiłuje, to trzeba to kłaść głównie na karb tej trwogi wzajemnej, która w nowoczesnej epoce, jawnie proklamowanej wyższości siły nad prawem, wytworzyła nieznany dotąd w dziejach, ale przez Montesquieu'go już przed stu laty jakby głosem proroczym zapowiedziany, nieznośny stan zbrojnego pokoju. Podnosimy tę stronę sprawy, gdyż Proal pominął ją, kładąc więcej nacisk na walki wewnętrzne, toczące się w łonie społeczeństw dzisiejszych między stronnictwami i klasami. Miał on przed oczyma głównie historyę ojczyzny swojej w ostatniem stuleciu i rzecz swoją pisał przedewszystkiem dla Francuzów, a nadto jeżeli gdzie, to tutaj możnaby przecież spodziewać się, że dzisiejsza wielka ewolucya cywilizacyjna, wprawdzie bezsilna i skazana na wieczną bezsilność wobec takich peryodycznych rzezi, jakiemi z dopustu Bożego były, są i niestety być muszą wielkie wojny na arenie międzynarodowej, posiada dość siły w sobie, aby przynajmniej w łonie samych społeczeństw zamknąć na zawsze okres barbarzyństwa. Tymczasem sił takich jest dziś mniej, niż kiedykolwiek, gdyż rozwinąć się one mogą tylko na gruncie religijno-moralnym, więc na gruncie, przez współczesne prądy bezbożne zupełnie zachwaszczonym. To też niestety nie można zaprotestować przeciw następującym, niejako konkluzyę całego *exposé* historycznego stanowiącym, słowom Proala: „Zdawałoby się na pierwszy rzut oka, że zawiści polityczne, które wywoływały taki rozlew krwi, należą już do historyi i że współczesne społeczeństwa nie ujrzą już więcej ekscesów r. 1793. Słowa takie jak braterstwo, ludzkość i litość ze wszystkich ust się dobywają, ale nie weszły jeszcze do serc wszystkich. Są pomiędzy nami barbarzyńcy bez żadnych idei, którzy żywią tylko nienawiść

w sobie i chcą zburzyć budowę społeczną. Barbarzyńcy ci wychylający się z otchłani wielkomiejskich są srożsi od barbarzyńców, którzy z lasów wypadali. Nie należy zasypiać w błędnem mniemaniu, że wrogowie społeczeństwa są w mniejszości. Wszystkie rewolucye dokonywane były przez mniejszości... Jeżeliby jutro wybuchła nowa rewolucya, akta wandalizmu i krwiożerczej srogości z r. 1871 zostałyby prześcignięte przez akta barbarzyńskie rewolucyjnych socyalistów i anarchistów, którzy przejęci są wobec swoich pryncypałów, wobec burżuazyi, księży i armii dziką nienawiścią i pragną zburzyć społeczeństwo wszelkiemi środkami, naftą, dynamitem i ogniem. Będąc sędzią w kilku sprawach anarchizmu, mogłem w słowach i pismach obwinionych poznać siłę tej strasznej nienawiści". Do tego klasycznego świadectwa dodaje autor przestrogę, że w miarę wzrostu zuchwałości i zapalczywości żywiołów przewrotu energia represyjna prawa i społeczeństwa widocznie słabnąć zaczyna, skoro dawni zbrodniarze z czasów komuny wracają ułaskawieni, chociaż nie poskromieni w swojej nienawiści, do społeczeństwa, a największym zbrodniarzom anarchistycznego autoramentu nawet dzisiejsi sędziowie przysięgli przyznają okoliczności łagodzące.

(Dok. nast.).

Dr. Bronisław Łoziński.

KSIĄDZ KAROL ANTONIEWICZ.

XIV.

Apostolstwo życiem.

Pięknie, szerokim korytem toczą się wody apostolskich prac polskiego misyonarza; z ambony głoszone, na papierze utrwalone słowa bujnie użyźniają rolę serc ludzkich i pokrywają ją bogatym plonem. Gdzie źródło, z którego wody te wypływają; gdzie jest siła, która popycha siewcę, żniwiarza do wytężonej pracy i ręką jego kieruje? To samo tu źródło, z którego popłynęły, z którego płyną nadludzkie poświęcenia i prace dawnych i nowszych męczenników, dawnych i nowszych apostołów; ta sama wewnętrzna siła, która Franciszka Ksawerego prowadziła od Indyj do Japonii, zebrała koło Dom Bosca tysiące i tysiące opuszczonych dzieci, towarzyszyła Skardze w nawracaniu Rusi, reformowaniu królewskiego dworu, zakładaniu fundamentów pod dziś jeszcze kwitnące dzieła miłosierdzia. Inne to, głębsze zapewne i szersze rzeki, ale nie inne źródło, nie inna siła; jak tu, tak tam gorejąca miłość Boga wypaliła w sercu miłość własną, a natomiast rozpaliła nie liczącą się z żadnemi przeszkodami, z żadnemi trudami, bożą, więc czynną i rozumną miłość bliźniego.

Cierpieć i kochać, to moje życzenie;
Cierpieć i kochać, chcę, pragnę i żądam,
Gdzie krzyż, tam miłość, gdzie miłość, zbawienie!
Cierpieć, to życia mego powołanie,
Cierpieć, lecz z Tobą, dla Ciebie jedynie;

Kochać, to ciągłe serca zmartwychwstanie,
To kwiat niezwiędły na szczęścia ruinie [1].

Motto pieśni: „Kochać i cierpieć!“ oplatało i poniekąd streszczało całe wewnętrzne życie zakonnika-misyonarza. Poznał i wiedział z własnego doświadczenia, jak świat kocha, a jak Bóg kocha; czem Bóg, a czem świat za miłość płaci.

„Bóg cię kocha! Ach! ile w tem słowie pociechy dla biednego, strapionego, ukrzyżowanego serca!... Świat cię kocha!... A choćby cię cały świat kochał, uwielbiał, cóż ci z tego kochania przyjdzie? [2]

„Miłość jest zawsze ogniem, lecz z tą różnicą, że zadaje albo życie, albo śmierć, albo grzeje, albo pali. Zbliżając się do Boga i myśl się rozwidnia i serce rozszerza i wola umacnia. Zbliżając się do świata i myśl się mięsza i serce ścieśnia i wola słabnieje“... [3]

„Innej światłości nie szukaj, jak tej, którą daje miłość; bo ta światłość nie jest tym ognikiem błotnym, który zdradza, ale tym słupem ognistym, który przeprowadził Izraela przez noc puszczy do ziemi obiecanej. Kochaj, a rób, co chcesz, ćwicz się w tej miłości codzień, co chwila, bo, dzięki Bogu, na okazyach nam nie zbywa. Przez miłość Boga ćwicz się w miłości ludzi; przez miłość ludzi ćwicz się w miłości Boga, kochaj zawsze, kochaj wszędzie, kochaj wszystkich“... [4]

W czem prawdziwa miłość boża się objawia; co znaczy: dobrze Bogu służyć? Zacytujmy znowu słowa samegoż Antoniewicza, bo one najdokładniej odzwierciedlają nam jego przekonania, zasady, wedle których życie kierował, i samoż wewnętrzne życie duszy.

„To nie znaczy, żeby opływać zawsze w pociechy, w słodycze, nie czuć wstrętów i niechęci ku dobremu. Ale to znaczy, że się ma postanowienie mocne iść za wolą bożą i tyle razy powstawać, ile się razy upadnie“ [5]. Takie usposobienie duszy

[1] „Wianek krzyżowy“, v.
[2] Do br. Konopczyny. Ze Stanisławowa.
[3] „Listy w duchu bożym“. List v.
[4] „Poselstwo duchowe. List LXVII.
[5] Do br. Konopczyny. Lwów. W listopadzie, 1846.

wypływa i opiera się na rozumnej, żywej wierze. „Tam, gdzie nie masz wiary [1], tam i życia nie masz; tak, jak rzeka ze źródła wytryska, kwiat z nasienia się rozwija, tak i życie nasze z wiary wytryska i rozwijać się powinno... Wiara jest jak słońce; gdziekolwiek promień słoneczny padnie, tam życie i jasność; gdzie go niema, tam śmierć i noc. Wiara jest tem słońcem, co świeci na dnie duszy naszej, a promienie jej rozświecają myśl, rozwidniają pojęcie, rozgrzewają uczucie i przez nią w prawdzie i jasności żyjemy, pracujemy, cierpimy, kochamy, ufamy... Ludzie, odłączywszy życie od wiary, ani żyć, ani wierzyć nie umieją. Chcą rozumem wierzyć, zmysłami żyć, sercem kochać, i dlatego i wiara zła i życie złe i kochanie złe! Wiary nie używają jako źródła wiedzy, jako pierwotnej i żywotnej nauki, bo nie pojmują tego związku, jaki między życiem a wiarą zachodzi, którego spójnią jest miłość. Uczą się katechizmu tak, jak się uczą historyi, sądząc, że jak ten, kto umie historyę, już jest dobrym historykiem, tak i ten, kto umie katechizm, już jest dobrym katolikiem... Miłość bez wiary, tak jak wiara bez miłości, martwą jest".

W prześlicznym nie liście, lecz raczej memoryale, wręczonym młodemu ks. Adamowi Sapieże, wybierającemu się w dłuższą podróż do Anglii, wykłada Antoniewicz swój pogląd na świat, rozwija całą historyę wiary w świecie, całą teoryę życia z wiary [2]:

„Gdzie prawdy szukać mamy, gdzież ją znaleść wydołamy? To pytanie zadał człowiek Bogu, zadał Piłat Zbawicielowi świata: Co jest prawda? To pytanie ileż to już razy zadawaliśmy, zadajemy rozumowi naszemu: Co jest prawda?... I toż samo pytanie od początku świata ludzie rozumowi zadawali, i na to pytanie od początku świata rozum odpowiadał i swoje zdania, jako nieomylne wyrocznie, w systemata składał i swoje marzenia i urojenia w formy ściskał i ułożył naukę, którą filozofią nazwał. Lecz ta cała historya filozofii przedchrystusowej, pogańskiej; lecz ta cała historya filozofii pochrystusowej, chrześcijańskiej — pierwsza, bo wiary nie miała, druga, gdy od wiary odstąpiła, jest

[1] „Listy w duchu bożym". List XXXIX.

[2] Do ks. Adama Sapiehy. Lwów, 25 stycznia 1848.

tylko historyą obłąkania, niestałości, zmienności rozumu ludzkiego jest historyą marzeń i urojeń wyobraźni naszej; jest historyą złości serca ludzkiego, upokorzenia dumy i pychy rozumu ludzkiego"...

„Ludzie sami sobie zostawieni zawsze na ostateczności się puszczają. Jedni chcą życie zmateryalizować, drudzy chcą je zidealizować, a tem samem psują tę dziwną harmonię od Stwórcy samego zaprowadzoną między duchem a materyą, rwą ten związek tak ścisły między duszą a ciałem... Tych fałszywych proroków i tych mniemanych prawd ileż to było od założenia Kościoła i cóż się z niemi stało? W pysze i dumie powstały, we wzgardzie i upokorzeniu skonały, a Kościół katolicki i wiara katolicka przetrwała te wszystkie przechody, bo wiara katolicka jest prawdą. I dzisiaj mamy takich fałszywych proroków i fałszywych prawd podostatkiem... Te wszystkie nowoczesne systematy są to trupy galwanizowane, płaszczem mądrości okryte, ale zawsze trupy... A jeśli te systematy czynem pojawiać się poczynają, skutkiem ich jest rozprzężenie wszystkich zasad moralności, rozdwojenie serc i zniszczenie pokoju i swobody całych rodzin i całego społeczeństwa"...

„Wielkie i szerokie pole dla rozumu ludzkiego było i jest zawsze otworem; tu może okazać całą dzielność i potęgę swoją rozum, ten olbrzym, na słowie Boga zakładający moc swoją... Ale ten rozum marnieje, karleje, gdy weźmie kłamstwo albo czcze marzenie za podstawę rozwoju swego. Rozum nasz, albo raczej wyobraźnia nasza w latach młodości, gdyśmy jeszcze nie przeszli kolei bolesnych doświadczeń tak życia idealnego, jak i życia realnego, lubi się awanturować i, porzuciwszy gościniec bity i pewny, pnie się, jak góral karpacki, po wyłomach skał i urwiskach przepaści. A nasza prawda gdzie? Ach! odkąd prawda do krzyża przybitą została, już jej gdzieindziej nie szukajmy, jak tylko na krzyżu!...

„Jakże nie kochać tej wiary, która osładza wszelkie cierpienia, która uspokaja wszelkie trwogi, która łzom gorycz odbiera, która broni serca od zepsucia, która nadaje hartu i sprężystości duszy, która człowieka stawia na prawdziwem stano-

wisku jego, która go uczy żyć, kochać, cierpieć i umierać, która mu daje zbawienie?... Jedna wiara, jeśli nie jest martwą, ale żywą wiarą, jeśli w praktyczne wciela się życie, każdą noc rozwidni, każde rozdwojenie spoi, każdą tęsknotę uciszy, każdą ofiarę uświęci, każde westchnienie i łzę pobłogosławi"...

Kwiatem miłości bożej, z korzenia wiary wyrosłej, była serdeczna, gorąca, powiedziećby można dziecięca pobożność. Widoczne jej ślady ciągną się złotą nicią przez całe życie, szczególniej zakonne życie Antoniewicza; chcąc w dokładnym obrazie ją odmalować, trzebaby całe życie przed oczy sobie powtórnie przywieść, bo każdy dzień, każda praca, kazanie, rozmowa, list nią nacechowany. Znał on wartość modlitwy: „Nic mię nie straszy, pisał wśród największych trudności, bylem się modlić umiał" [1]. Dał mu Bóg ten dar, dał płomienną, a jednocześnie rozumną pobożność; serce ku Bogu się rwało, lecz rozum zawsze sercem kierował, miarkował jego porywy i nigdy nie dozwalał pobożności przekształcić się w dziwactwo, Bogu i ludziom niemiłe.

„Być pobożnym — tłumaczył Antoniewicz, a własnem życiem tłumaczenie stwierdzał [2] — to nie znaczy: zerwać stosunki z ludźmi i ze światem, stać się nudnym, kwaśnym, twardym, nieużytym, zaniedbać obowiązki swoje, innych potępiać i nimi pogardzać. Och! zachowaj nas Boże od takiego nabożeństwa!" „Co do urządzenia nabożeństwa — udzielał w innym liście ściśle praktycznych wskazówek [3] — chociaż tu ciężko coś pewnego ustanowić i wiele zawisło od wewnętrznego i zewnętrznego usposobienia, od czasu, zdrowia, miejsca, — jednak zawsze dobrze, zbawiennie, jak we wszystkiem, tak i w tem mieć pewien ustalony porządek, bo przez to unikamy niebezpieczeństwa zupełnego odstępstwa od Boga, popadnięcia w ten stan najniebezpieczniejszy oziębłości i obojętności, która pomału wysusza serce nasze... Zresztą wszystkie dzienne sprawy twoje ofiaruj Bogu, z Nim pracuj, z Nim płacz, z Nim noś krzyż twój, a całe życie będzie modlitwą, a cała wieczność będzie nagrodą twoją".

[1] Do ks. Sapieżyny. Z Poznania, 3 sierpnia 1852.
[2] „Poselstwo duchowe". List IV.
[3] Do br. Konopczyny.

Gdzież lepiej się modlić, niż u stóp najśw. sakramentu; kiedyż modlitwa słodsza i pożyteczniejsza, niż gdy Bóg zstąpi do serca w komunii św.? Gdy w Tarnopolu przeznaczono Antoniewiczowi celkę, przytykającą do murów kościelnych, nie posiadał się z radości. „Mam pomieszkanie, jakiegobym nigdzie znaleść nie mógł[1]. Mieszkam albowiem w sąsiedztwie, i tylko o ścianę, Pana i Zbawiciela mego. Okno moje wychodzi na kościół, na wielki ołtarz. Budzę się z rana przy odgłosie organów, a gdy wieczór świecę zagaszę, to jeszcze blask lampki przed najśw. sakramentem oświeca celkę moją. O! żeby to człowiek tak blizko był sercem Boga swego, jak jest ciałem!“... Osobie pragnącej szczerze Bogu służyć, usilnie doradza[2]: „Jak możesz, przystępuj najczęściej do komunii św. Niegodność twoja niechaj nie będzie przeszkodą, ale właśnie zachętą do tego, abyś coraz godniejszą się stała: bo ani ty sama, ani nikt w świecie duszy twej nie poświęci, tylko Ten, który chce, abyś Go miała w sercu swojem. Działania łaski w komunii są bardzo niepozorne, nieznaczne, ale tem pewniejsze i bezpieczniejsze, bo utrzymują duszę w ciągłym stanie pokory i miłości i tej bojaźni zbawiennej, która obudza żal, ale nie trwogę“...

W jednej z pieśni, z których uwity jest „Wianeczek majowy“, poeta opowiada bole, smutki, tęsknotę, serce dręczące; a każdą z kolei zwrotkę kończy pocieszającem zaręczeniem, pociechą w tęsknocie, „jedyną ulgą dla zbolałej duszy:

Jest ta myśl błoga, jest ta myśl droga,
Że Matką moją jest Matka Boga...“

Droga ta, błoga myśl z podwójną siłą go cieszyła, gdy klęczał przed cudownym obrazem Matki Boskiej starowiejskiej, modlił się przed poświęconym Maryi ołtarzem staniąteckim, łączył się z rodakami, pielgrzymującymi do Zuckmantlu lub pracował pod opiekuńczemi skrzydłami Matki Boskiej w Piekarach. Z każdego z tych miejsc, ubłogosławionych szczególną opieką Królowej Niebieskiej, szły pisma, listy, hymny, świadczące o głę-

[1] „Listy z zakonu“. List II.
[2] „Poselstwo duchowe“. List LXV.

bokiej miłości, którą wierny poddany, dobry syn, czuł dla swej pani i matki. Wszystkim, ale na pierwszem miejscu matkom, zalecał Antoniewicz gorąco miłość i naśladowanie Matki Bożej. Pisma jego i listy pełne tych to napomnień, to przypomnień, to próśb: „Kochaj Maryę!“...

Miłość Boga, oparta na fundamencie wiary, a ogarniająca wszystko, co z Bogiem ma styczność i do Boga się odnosi, musiała w sercu wypalić nie oglądającą się na Boga, cóż dopiero Bogu przeciwną miłość własną. Komuż jej brakuje? Żalili się na nią święci i wyznawali, jak twardą, upartą walkę wieść z nią muszą; czuł w sobie Antoniewicz jej żądło i starał się uczynić je nieszkodliwem wskazanemi przez boskiego Mistrza, praktykowanemi przez świętych środkami. Noś swój krzyż za Chrystusem, a więc cierp i upokarzaj się! — oto hasło, które nieustannie rozbrzmiewa w jego słowach, pismach, życiu.

Mężnie więc naprzód, bo to Bóg cię woła,
Bóg, co pod krzyża ciężarem upada,
A chcąc z człowieka zmienić cię w anioła,
Sam na twe barki ciężki krzyż swój składa[1].

Trzeba sobie cenić, trzeba ukochać krzyż. „Ci, co płaczą, to są ulubione, wybrane dzieci boże[2]. Cóż — pyta — może mi Bóg dać lepszego, niż pracować dla Niego i z Nim cierpieć[3]. Dziećmi bądźmy[4], dziećmi krzyża, bo krzyż nam dał zbawienie i życie. O! kiedy cierpimy, najpodobniejsi jesteśmy do tego, który za nas umarł na krzyżu; kiedy cierpimy, On nas najwięcej kocha, ale kiedy cierpimy w Nim, dla Niego i w miłości Jego“. „Ciężar krzyża[5] chociaż gniecie i nieraz o ziemię powala, jednak nietylko że nie wstrzymuje chodu naszego, ale go przyspiesza. Bez krzyża idziemy w tył, z góry na dół i dlatego tak nam lekko, bo nie patrzymy, od czego się oddalamy, nie patrzymy, do czego się zbliżamy. Z krzyżem idąc, idziemy z dołu do góry i dlatego

[1] „Tajemnice krzyża“, „Poezye religijne“, str. 55.
[2] „Poselstwo duchowe“. List LXVI.
[3] Do br. Konopczyny, 20 grudnia 1851.
[4] „Poselstwo duchowe“. List VI.
[5] Do br. Konopczyny. Z Krakowa r. 1851.

tak nam ciężko, bo nie patrzymy na koniec i wciąż się lękamy, czy potrafimy dojść, czy nie?“

W prześlicznym, długim liście do księcia Adama Sapiehy wykłada Antoniewicz całą teoryę krzyża: czem jest, jaka jego wartość, kiedy pomaga, a kiedy szkodzić może, jak go nosić?[1]

„Tak czasem ciężko w życiu, żebyśmy chcieli upadłszy pod krzyżem, leżeć pod nim, bo łatwiej pod krzyżem leżeć, niż iść z nim naprzód; łatwiej płakać, niż pracować. Nie zapominajmy nigdy na wielkie powołanie nasze! niechaj cierpienie rozwija siły nasze, ale niechaj ich nam nie odbiera; niechaj serce w łzach się obmywa, ale nie zatonie; niechaj cierpienie da nam poznać z prawdziwego stanowiska Boga, świat, ludzi i siebie! niechaj nam odbierze miłość do świata, ale nie odbiera miłości do ludzi. Kto pojmuje jasno życie, ten zawsze równowagę w duszy zachować potrafi: ani w szczęściu się nie rozzuchwala, ani w boleści nie rozpacza. Kto wśród boleści się śmieje, z krzyżem się bawi, okazuje, że twardy i podły jest. Kto wśród boleści zasępiony, przykry, cierpki — upada na umyśle, objawia małoduszność. Cierpieć i milczeć, cierpieć i kochać, cierpieć i pracować! Łza zostanie w głębi duszy twojej jako zadatek szczęścia wiecznego. ‚Błogosławieni, którzy płaczą‘. Łza nadziei, ale nie łza rozpaczy! Ale ta łza niechaj użyźnia, a nie wysusza serca twego, jak rosa niebieska nie wysusza, ale użyźnia ziemię. Niechaj nie wstrzymuje, ale rozwija czynność twoją! Wiesz, co zyskujemy przez cierpienie? Oto, że serce nasze nie będzie tak tkliwe i drażliwe na chwałę lub prześladowanie. Czyńmy dobrze z przekonania, czyńmy dobrze z miłości, bo tu nie idzie o naszą chwałę i dobro, ale o chwałę Boga, o dobro ogółu!“

Kiedyindziej z nieopisaną miłością, jak dziecko do matki, do krzyża się tuli; nie znajduje dość słów, aby wyśpiewać na jego cześć pochwalny, tryumfalny hymn:

„O jak piękny jesteś krzyżu Pana i Zbawiciela mojego! Oblanyś krwią Jego, uświęcony łzami Jego! W tobie całą nadzieję moją pokładam, do ciebie chcę przybić biedne serce moje.

---

[1] Do ks. Adama Sapiehy. Stanisławów 7 maja. 1849 r..

bo tylko w tobie znajdę pokój i swobodę; bo tylko od ciebie nauczę się kochać i przebaczać; bo tylko przez ciebie mogę ufać w miłosierdzie Boga! O krzyżu drogi, jakże jasny jesteś, jaśniejszy nad wszystkie gwiazdy nieba; twoja światłość nigdy nie zagaśnie! Jakże silny jesteś, bo twoja siła nad wszystkie siły świata nigdy nie osłabnie. Jakże wymowny jesteś nad wszystkie rozumy ludzkie. Ty jeden możesz mię poprowadzić, ty jeden możesz mię wzmocnić, ty jeden możesz mię oświecić. O krzyżu drogi, ty jesteś dla mnie tą gwiazdą, która trzech mędrców...; ty jesteś dla mnie tym głosem anioła, który pastuszków do betleemskiej przyprowadził szopki. Pójdę za twojem światłem, pójdę za twoim głosem, a nie zbłądzę... Panie! z Tobą chcę być na krzyżu! Maryo, z Tobą chcę być pod krzyżem!"

A jaki najlepszy, najpożyteczniejszy krzyż? Ten, który sam Bóg na barki wkłada, który krzyżuje nietylko ciało i jego namiętności, ale całego człowieka: serce, umysł, duszę. „Krzyże, które Bóg zsyła, są bez wątpienia dobre i zbawienne[1]; krzyże naszego wynalazku, czy będą miłe Bogu, czy nie, to pytanie. A to prawdziwa szkoda, tracić siły na cierpieniach, które nam na nic się nie przydadzą, a potem upadać pod tym krzyżem, co nam Bóg zsyła... Wiele cierpienia bez Boga nic nam nie pomoże; małe cierpienie z Nim i dla Niego nas zbawi[2]. Zresztą żadne umartwienie nie może iść w porównanie z tem ciągłem walczeniem z życiem i wiernem wypełnianiem nieraz tak nad wyraz nudnych obowiązków życia. Żadne najkrwawsze biczowanie nie może iść w porównanie z tem ciągłem biczowaniem i serca i myśli i woli naszej".

Kochaj krzyż, więc kochaj cierpienie, kochaj pokorę: cierp i upokarzaj się! „Do wszystkich tajemnic bożych to tylko jeden klucz: pokora![3]" Wielka, niezbędna to cnota, ale jeśli należyte owoce ma przynosić, musi ona być złączona z ufnością w miłosierdziu bożem, wolna od szkodliwych niepokojów. „Niepokój i bojaźń żadnego nie mają związku z pokorą. Ten jest pokornym,

[1] „Poselstwo duchowe". List LXV.
[2] Tamże. List LXXXIV.
[3] Do mrg. Wielopolskiej. Nissa. 28 grudnia 1851.

kto się widzi nędznym i ubogim, ale przytem poznaje wszystko, co Bóg dla niego uczynił“ [1].

„Pycha [2] nie chce się przyznać, że cierpi, i mówi: Ja się krzyża nie boję. Pokora mówi: Boję się krzyża, ale go kocham; boli, bardzo boli, ale dziękuje Bogu, że boli. Pokora zawsze zwycięży“.

Takie nauki dawał innym, takie na pierwszem miejscu dawał samemu sobie i starał się wedle nich życie swe pokierować, serce swe ukształcić. Krzyżów w życiu Antoniewiczowi nie brakowało; krzyże przywiodły go do zakonu i w zakonie, choć inne, różne, były mu przecież wiernymi towarzyszami. Najcięższym może z nich było własne, skłonne do melancholii usposobienie, które raz po raz, mimo uporczywej ze sobą walki, przebijało się na wierzch i usiłowało, na szczęście bezskutecznie, przywieść sługę bożego do załamania rąk, do niemęskiego rozczulania się nad własną biedą. Nie mniej ciężko dotykało czułe serce O. Karola pewnego rodzaju niezrozumienie i niedowierzanie, z jakiem niektórzy ze starszych zakonnych braci, wyrosłych w innych czasach, do innych stosunków przyzwyczajonych, spoglądali na jego prace, posuwające się po mniej dotąd utartych torach; na sposób postępowania, który, jak niektórym się wydawało, nie zawsze był dość zgodny z starodawną zakonną tradycyą. Szczególnie podobno sądecki rektor, ks. Ciechanowiecki, żywił do niego pewne uprzedzenia i dawał mu je niejednokrotnie poznać. Tak zaręcza ustne podanie; w pismach Antoniewicza nie ma o tem ani śladu; w rozmowie z innymi miał on właśnie — jak dodaje to samo podanie — dla owego przełożonego szczególne pochwały i, zwyczajem świętych, z zamiłowaniem rozwodził się nad przymiotami, któremi Bóg go obdarzył. Gdy mówił i pisał: „Ja biedny“, „ja najgorszy“ — to nie był frazes, przejęty z ascetycznych książek, ale głęboko odczute przekonanie o własnej nędzy, a przekonanie to nie pozwalało mu się dziwić, gdy się dowiedział, że ktoś się o nim wyraził z lekceważeniem lub na-

[1] Do ks. Sapieżyny. Lwów, w maju, 1850.
[2] Do br. Konopczyny. Z Nissy.

ganą. To, jak każdemu prawdziwie pokornemu, wydawało mu się naturalnem; nieprawdziwemi wydawały mu się pochwały, któremi go obsypywano; nienaturalną, nieznośną pełna uwielbienia cześć, która, im dalej szedł w życiu, tem szerszem kołem go otaczała.

„Nicem dotychczas nie zrobił[1] — pisał w chwili, w której wieść o lwowskich kaznodziejskich jego tryumfach szła po całej Polsce z ust do ust, z pisma do pisma. Dzięki Bogu, takem zobojętniał na wszystko, co się ze mną dzieje i dziać może; tego jednego żądam i pragnę, abym mógł dojść do zupełnej śmierci, tego zaparcia się samego siebie zawsze, wszędzie i we wszystkiem. Lecz o jakże jeszcze do tego daleko".

„Dla mnie[2], to tak zdrowo wiedzieć, że nigdzie na nic potrzebny nie jestem! Ja to tak czuję i dziękuję Bogu, że to tak głęboko i żywo czuję: nędzę i niedołężność moją"...

„Jestem — zwierza się towarzyszowi misyonarskiej broni, wśród najgorętszej pracy po krakowskim pożarze[3] — jak ten osiołek przy żłobie Jezusa; chciałbym słowem i czynem rozgrzać do miłości serca ludu... Chociaż, wierzaj mi, gdyby mi Pan Bóg zdrowie odebrał, tobym przyjął bez żadnego zażalenia, a jak dziś Mu służę mówieniem, takbym Mu służył milczeniem, a to milczenie, bylem umiał milczeć w pokorze i miłości, niemniejby i dla mnie i dla moich było pożyteczne. O! jak to błogo umrzeć i niczego nie pragnąć, nie żądać, nie chcieć, tylko Boga i chwały Jego!..."

Tylko ten, kto tak umrze, kto tak nie dba o własną sławę i wygody i niczego nie pragnie, prócz Boga i Jego chwały, może się rozpalić prawdziwą, żywą, z niczem się nie rachującą miłością dusz ludzkich. Miłość Boga jest źródłem, z którego obficie miłość ta płynie; własne cierpienia uczą współczuć z biedą ludzką i wskazują na nią najodpowiedniejsze lekarstwa; pokorna znajomość własnej nędzy nie dozwala się dziwić nędzy innych,

---

[1] „Listy z zakonu". List XLIII.
[2] Do br. Konopczyny.
[3] 27 sierpnia 1850 r.

wlewa w słowa, w napomnienia, w całe postępowanie tyle popotrzebną słodycz i wyrozumiałość.

Antoniewicz kochał dusze, bo znał ich cenę, bo kochał ich Stwórcę i Odkupiciela; kochał prawdziwie, więc, ile i jak mógł, pracował, aby wieczne szczęście im zapewnić. Nigdy nie za późno do pracy na bożej roli. „Biada nam księżom, jeśli powiemy: Niema już co robić! Właśnie jest co robić, kiedy najgorzej!“ [1] O! żeby to można — wyrywa mu się z piersi jakby mimowolnie, gorący okrzyk [2], — żeby to na ambonie ciągle żyć i umierać można, to jest raczej między amboną, ołtarzem i konfesyonałem i tylko módz pocieszać, uczyć i modlić się za ludzi i kochać, kochać ich bardzo!“ „Oby tak na ambonie można życie skończyć i dać to życie Bogu za drugich!“ [3] Gdy wyjątkowo przez dni parę zabrakło bardziej wyczerpującej pracy, zaraz się skarży: [4] „Od dwunastu dni w Krakowie już bawię, i oprócz spowiedzi nic nie mam do czynienia, a to tak wielka praca — próżnować“. Nie częste, co prawda, takie skargi, bo nigdy prawie nie starczyło czasu na ową „wielką pracę“. Częstsze żale, z któremi niejednokrotnie spotykaliśmy się w ciągu tego życiorysu: jedna praca za drugą tak goni, że nie wiedzieć jak za nią nadążyć; lud woła chleba, domaga się bożego słowa, do konfesyonału się ciśnie, a tu siły opadają, i niesposób nakarmić wszystkich przymierających z głodu.

Główną zasadą, której żarliwy kapłan trzymał się w pracy nad duszami, była często przezeń powtarzana przestroga św. Pawła: Stać się winienem wszystkiem dla wszystkich. Umiał pozyskiwać dla Boga bogatych, wykształconych i z apostolską otwartością przypominał im ich obowiązki, karcił wady; umiał trafiać wprost do serca wiejskiego ludu; z szczególną miłością gromadził koło siebie dzieci i wszczepiał w ich umysły katechizmowe nauki, wlewał w serca gorące przywiązanie do wiary;

---

[1] „Listy w duchu bożym“. List XXXI. Wydanie z r. 1850.
[2] Do ks. Sapieżyny, 12 listopada 1851.
[3] Z Pleszewa. 9 października 1850.
[4] Do mgr. Wielopolskiej. Kraków 1852 r.

prowadził pewną ręką krok za krokiem dusze, wspinające się na szczyty chrześcijańskiej doskonałości.

Lekkomyślność, zbytek, niezdrowe rozbawienie się wyższych sfer społecznych, wyciskający z chłopów krew i pot szulerzy, „kokietujące, skaczące lalki", znajdowały zawsze w Antoniewiczu nieubłaganego, niepowstrzymanego żadnemi względami wroga i pogromcę.

„Kraków rozbawił się — pisze z serdecznym żalem [1]. — To także jedna z iluzyj boleśnie zawiedzionych. Tańcem i pałaszem chcemy Polskę zbawić — a nam łez i modlitwy potrzeba. Tańcować i spiskować umiemy, ale żałować i pokutować nie umiemy... Pisano mi także, że młodzież akademicka, w ten zamęt wciągnięta, bawi się, bawi się — do upadłego... I to nadzieja nasza, i to przyszłość nasza! Ach! ta młodzież polska! Bóg jej dał wielkie i szlachetne serce, ale świat psuje dzieło boże!... Żebym był w Krakowie, wołałbym z ambony, choćby mię za to ukamienować mieli; ale tak — muszę boleść w sercu nosić i modlić się: Boże! daj nam rozum do serca!"

Lud biedny, nieoświecony, ale czy to jego wina? Czy nawet wtedy, gdy się zbrodni dopuszczał, nie był raczej godny politowania, niż potępienia? [2] Trzeba mu tylko powiedzieć, co ma robić i do serca przemówić, a pokaże się, jak „kochany, poczciwy lud nasz!" „Dopiero [3] między Niemcami żyjąc i pracując, można poznać i ocenić nasz lud polski; to brylant". „O! ileż [4] to wielkich, świętych serc bije pod siermięgą i sukmaną! Ja tak przekonany jestem, że z połowę nieba polscy chłopi zajmą... Lud biedny tak chętnie i rad słucha, gdy rozumie... lud boży, lud polski jak w oblężeniu konfesyonał trzyma"...

Pracę nad dziecinnemi sercami uważał Antoniewicz nie tak za pracę, jak za najmilsze po pracy wytchnienie. „Bylebym mógł choć jednemu dziecku do zbawienia pomódz [5], to wszystka praca

---

[1] Do ks. Sapieżyny. Z Nissy 1852 r.
[2] Do br. Konopczyny. 1847 r. (?)
[3] Z Pleszewa. 9 października 1850 r.
[4] „Listy z zakonu". List XXXII.
[5] „Listy z zakonu". List XX.

moja aż zbytnio nagrodzona". Kochał dzieci, bo, jak powtarzał: „Pan Jezus dzieci kochał", gromadził je koło siebie i tłumaczył najwznioślejsze prawdy wiary z taką jasnością i miłością, że raz dostawszy się do duszy, zostawiały w niej ślady, do późnej starości niestarte. Miłość ta i z listów widoczna; wraca w nich raz po raz to do tego, to do tamtego dziecka, wypytuje o jego talenta, charakter, usposobienie; podaje rady, jak dzieckiem kierować, aby rosło na chwałę Bogu a ludziom na pożytek. Niesłychanie praktyczne, roztropne, gorącą miłością natchnione te rady. Oto np. jak przestrzega, aby wadami dziecka się nie zrażać i, broń Boże, charakteru jego nie skrzywić [1]:

„Niecierpliwość i zły humor dziecka ci poruczonego, pochodzi, zdaje mi się, nie z moralnych, ale z fizycznych przyczyn i dlatego trzebaby bardzo ostrożnie je przerabiać, aby nie uczynić to prawdziwie wadą moralną, co jest tylko skutkiem fizycznego usposobienia. Z wielką cierpliwością postępuj, a wtedy gdy dziecko najniecierpliwsze, prostuj je z największą łagodnością i spokojem, lub zupełnie zamilknij, a dopiero gdy ten zły humor przeminie, pokazać trzeba winę, napomnieć, nauczyć z powagą i ze sprężystością, ale nigdy nie oddać się niecierpliwości, chcąc niecierpliwość wytknąć i naprawić. Ciągłem napominaniem bardziej humor się jątrzy i czułość serca tępieje"...

„Mówisz — czytamy w innym liście [2], — że się martwisz i turbujesz dzieckiem. Dlaczego? Mniej się martwić i turbować, a więcej działać i ufać w Bogu, a wszystko dobrze będzie, bo te wszystkie turbacye będą cię mieszać, niepokoić, drażnić, a nic nie pomogą... Mąż powierzył ci wychowanie dziecka, jesteś matką i ojcem. Jako matka, bądź pełna miłości, a jako ojciec bądź pełna surowości, ale jednak niech miłość zawsze przeważa... Niech dziecko twoje to nasamprzód pozna, że je kochasz, niech poczuje potrzebę miłości, a potem choć je i połajesz i ukarzesz, to nie zajątrzy serca jego. W karaniu i łajaniu tylko ostrożnie, nie w pierwszym impecie, nie w niecierpliwości, nie dlatego, że

[1] Do p. Trojanowskiej. Ze Lwowa 1850.

[2] „Listy w duchu bożym". List xv. (Wydanie 1850 r.).

sam człowiek w złym humorze, nie zanadto i nie za często, nie żądaj, aby dziecko było doskonałe, my, starzy, tak często błądzimy, i nie trać odwagi: co się za tydzień nie zrobi, to za miesiąc, co nie za miesiąc, to za rok. Tylko cierpliwości i wytrwałości, a Pan Bóg dopomoże; Bóg cię kocha, dopomoże ci, pobłogosławi cię, wesprze cię. Będziem razem się modlić za dziecko twoje. Jeśli można, rozdziel mu czas, aby nie miało tych chwil, w których dziecko samo nie wie, co z sobą zrobić, nie obciążając go za nadto. Staraj się, aby było wierne w nabożeństwie, ale nie za nadto, by mu nabożeństwo nie było nudotą, ale pociechą. Zajmij je Pismem św., to przemawia do serca i młodych i starych, ale zwłaszcza kochaj je, jako skarb tobie od Boga powierzony, i co przyjdzie Mu oddać. Niech ci żadna ofiara nie będzie za wielką, kiedy idzie o pozyskanie duszy Bogu, a tą duszą jest dusza dziecka twego"...

Jak z dziećmi Antoniewicz rozmawiał, jak zniżyć się umiał do ich pojęcia i za serce chwycić, to poznać w części można z licznych listów, które z serdecznemi przestrogami do nich pisał. Dużo, bardzo stosunkowo dużo tych listów; widać, że dla nich zawsze, wśród najgorętszej pracy, czas znaleść się musiał. Zacytujmy, na chybił trafił, jeden przynajmniej, pisany do dziesięcioletniej dziewczynki; najwymowniejszym on będzie obrazem pracy, miłości, wyrozumiałości wymownego kaznodziei, sławionego pisarza dla dusz dziecięcych [1]:

„Teraz wiosna dla ciebie. Nie daj jej przeminąć bez pożytku: wyrywaj, wykorzeniaj wszystko, coby dobre ziarno zagłuszyć mogło. Bądź dzieckiem i nie bądź dzieckiem. Bądź dzieckiem: posłuszeństwem, cierpliwością, łagodnością, cichością; bądź starą: rozumem, mocą nad sobą, roztropnością i oględnością na wszystko, co czynisz... Pamiętaj na Boga, abyś Go nie obraziła; pamiętaj na rodziców, abyś ich nie zasmuciła; pamiętaj na siebie, abyś wobec Boga i ludzi siebie na duszy nie skrzywdziła... W imieniu Anioła Stróża twego proszę cię o jednę rzecz. Bądź łagodną i cierpliwą!... Powiedz sobie: Oto dla miłości Pana Boga

[1] „Listy w duchu bożym". List XV (Wydanie 1850 r.).

chcę być cierpliwą i będę walczyła ze sobą, aby to postanowienie do skutku przyprowadzić! Chcę tę pociechę uczynić matce, bo innego dowodu wdzięczności i miłości mojej dać jej nie mogę, jak ten, aby z mojej przyczyny nigdy żadnego, najmniejszego smutku nie doznała. Uważaj każde słowo matki, jakby za słowo boskie do ciebie wyrzeczone; — och! nie! — nie słowo, ale myśl jej. Inni potrzebują słowa jej, aby jej wolę odgadnąć; ale ty, jako dobre dziecko, powinnaś, nie czekając na słowo, odgadnąć myśl jej. Jeden rzut jej oka powinien ci być już słowem, wolą, rozkazem"...

Daj, dobry Jezu, aby szczere chęci,
Coś wzbudził w sercu, nie wyszły z pamięci,
Bym zawsze była uprzejmą, łagodną,
I w sercu cichą i w myśli swobodną,
A gdy Cię będę nad wszystko kochała,
Błogosławieństwem mej matce się stała.

Dusze, które zupełnie Bogu się poświęciły lub poświęcić się zamierzały, prowadził Antoniewicz tą samą drogą miłości i pokory; wyrobić się w nich starał swobodę serca, wyrozumiałość dla drugich; rozniecić w sercu żarzące pragnienie jak najgorliwszego służenia Bogu. Droga to była, na pierwszy rzut oka, zwyczajna; nie przedstawiała nic niezwykłego, nic, coby ludzi mogło w oczy kłóć, a choćby tylko zwrócić na siebie szczególną ich uwagę. Tą drogą szedł sam w zakonie, trzymając się wiernie i litery i ducha swej reguły; rozumiał i z doświadczenia wiedział, że ona najprościej i najszybciej wiedzie do Jezusa śladami Jezusowemi; rzecz naturalna, że wskazywał na nią sercom, wyższej doskonałości żądnym. Do zupełnego opuszczenia świata i poświęcenia się Bogu w zakonie nikogo nie nakłaniał, bo to łaska nad łaski, której jeden Bóg może udzielić; ale gdy w czyjej duszy odezwał się głos: „Porzuć wszystko i idź za mną!" — cieszył się gorąco z tego dowodu miłosierdzia Pańskiego, dodawał otuchy i nie szczędził już starań i napomnień, aby wezwanie to, święte i zaszczytne, nie przebrzmiało daremnie. Do osoby, która zwierzyła mu się z zamiarem obleczenia zakonnego habitu, pisze[1]:

[1] „Poselstwo duchowe". List 89.

„Znam ten głos, co cię woła. Przed dziesięciu latami, w najbolesniejszej chwili życia, on się odezwał do duszy mojej i poszedłem za nim. Powiedz, co stracisz, gdy świat porzucisz? Ach! on ci już tyle sprawił boleści, a radości, jakie ci dał, jakie ci dać może, czemże są w porównaniu z tą pociechą i spokojem, jakim cię Bóg obdarzył. Porzucisz tych, co cię kochają! Ale i ci, co cię kochają, o! jakże często, nie chcąc, ranili serce twoje, jakże często byłaś od nich zapoznaną, niezrozumianą! Bóg zawsze cię pojmie, zrozumie, przytuli cię do serca swego, kiedy będziesz w boleści; otrze łzy twoje, kiedy będziesz w smutku. Jak będziesz cała Jego i myślą i czuciem i miłością i boleścią, wtenczas dopiero poznasz nieskończone miłosierdzie Jego nad sobą. Porzucisz tych, co cię nie kochają, a przykre tego rodzaju uczucia znikną, gdy się za nich modlić będziesz. Uboga celka klasztorna stanie ci za pałac, w którym dziś mieszkasz, bo obszerne i piękne salony, to tylko oczy cieszą, nie serce. Wyrzekniesz się wolności, co ci świat daje, a która jest źródłem wszystkich boleści, najcięższej niewoli, a odzyskasz utraconą wolność, godną ciebie, przez dobrowolne poddanie woli swojej pod wolę boską w posłuszeństwie zakonnem... Módl się i bądź stałą. Wiem, że powołanie twoje nie jest płochością, nierozwagą, ale wezwaniem Boga; a to wszystko, coś dotychczas doznała, wycierpiała, to było tą ścieżką, która cię do furty klasztornej doprowadzi. Tam znajdziesz pokój, tam znajdziesz krzyż, ale na krzyżu Boga"...

Innej osobie, która dopiero co przekroczyła klasztorną furtę, winszuje z głębi serca tego szczęścia i kreśli kilka ogólnych wskazówek, jak w zakonie żyć, aby dojść do świętości[1]:

„O to jedno cię proszę: staraj się jak najściślej wypełnić wszystkie najmniejsze ustawy zakonne, bo nie od wielkich, heroicznych cnót i czynów, ale od tej wierności i stałości zawisła zakonna doskonałość, bo chociaż każda ustawa w sobie lekka się wydaje, jednak niemałej cnoty i zaprzenia potrzeba, aby wszystkie zawsze wypełnić. Nie c o, ale j a k czynimy — i naj-

[1] Z rękopisu. List datowany we Lwowie 10 października 1847 r.

szlachetniejszy akt, w którym więcej siebie niśli Boga szukamy, mniej ma wartości w oczach boskich, niż wypełnienie najmniejszej reguły, jedynie dlatego, że On nam ją przykazał, i życie zakonne powinno być nieustającem zaprzaniem i ciągłą ofiarą woli własnej, rozumu własnego, całego siebie. Dlatego drugą rzeczą, którą Ci zalecam, a bez której nigdy nie będziesz spokojną i szczęśliwą w zakonie, jest wielka szczerość, ufność i miłość względem przełożonych, widząc w nich nie człowieka, ale samego Zbawiciela Pana. ‚Kto was słucha, mnie słucha", i wszystko, co uczynisz z posłuszeństwa, wyjdzie ci na zasługę, a w sercu zawsze pokój mieć będziesz, bo za wszystko, coś z posłuszeństwa uczyniła, przed Bogiem rachunku zdawać nie będziesz. Pamiętaj, że wstępując w furtę zakonną, u progu składasz P. Jezusowi w ofierze wszystko, co masz, czem jesteś; aby ta ofiara była zupełna, nic sobie nie zostawiaj. Oblubienica Jezusa ubogiego, cierpiącego, posłusznego, aż do śmierci krzyżowej pokornego, uboga w duszy, cierpliwa, pokorna być powinna, nosić powinna koronę cierniową za życia, aby po śmierci przyjąć mogła koronę chwały z rąk Jego. Utraciłaś była nadzieję być przyjętą do zakonu, podziękuj Panu Bogu, że chciał wypróbować wierność i ufność Twoją. Zwyciężyłaś wszystkie przeszkody, czem? Miłością i pokorą! Miłość i pokora oblekły cię świętą zakonu szatą. Miłość i pokora niechaj odtąd nieodstępnemi towarzyszkami będą życia Twego zakonnego, niechaj kierują każdą myślą, każdym krokiem, każdem poruszeniem Twojem. Bądź łagodną, uprzejmą, cierpliwą, usłużną dla wszystkich, bez wyjątku, bez żadnej różnicy. Wszystkie najmniejsze uczucia odrazy, niechęci do tej lub owej osoby natychmiast przytłumiaj w sercu Twojem i pamiętaj, że nie żyjesz między aniołami, ale ludźmi, i jako Ty swoje masz błędy i ułomności, tak też i drudzy. Nie sądź — nie będziesz sądzona! Zawsze czyń sobie to zapytanie: Pocom wstąpiła do zakonu? Abym zbawiła duszę moją, Boga chwaliła i innym modlitwą, miłością i przykładem do zbawienia dopomagała".

Nie dla innych celów wstąpił i Antoniewicz do zakonu. Kochał te cele wielkie, boże, kochał więc i zakon, który wskazywał mu, jak do nich dojść najkrótszą i najlepszą ścieżką, i po

tej ścieżce za rękę niejako prowadził. Chciał kochać Boga, wyplenić ze serca miłość własną, poświęcić się dla bliźniego; zakon uczył go, jak zadośćuczynić tym pragnieniom, przez Boga wznieconym, i podawał najodpowiedniejsze środki do przemienienia marzeń w czyny, pragnień w życie. Czyż dziwić się, że dla zakonu, który duchowo wykształcił go i wychował, żywił uczucia, jakie ma dobre dziecko dla najlepszej matki, i że wszystko, co do zakonnej reguły, zakonnych prac i ideałów w jakibądź sposób się odnosiło, miało dla niego najżywszy interes? W pismach, w listach odnajdujemy raz po raz wyrażenie: „zakon, matka moja"; najpiękniejsze, a zarazem najwłaściwsze to określenie stosunku, który łączył Antoniewicza z zakonem.

Jak syn do matki, jak wygnaniec do ojczyzny, tak Antoniewicz w domu najserdeczniejszych przyjaciół, najdelikatniejszą troskliwością ich otoczony, tęskni do klasztoru; w smutku, w drobnem jakiemś, czy większem niepowodzeniu podtrzymuje się wspomnieniem słodkich dni, spędzonych w klasztorze, wśród zakonnej rodziny.

„W czasie dziewięcioletniego pożycia w zakonie — zwierza się jednemu z współbraci [1] — nigdy na nikogo użalić się nie mogłem; zawsze i wszędzie pobłażliwości i miłości doznawałem i od przełożonych, i od braci, i dlatego tak wzrosło serce moje w serce tej matki: Towarzystwa".

„Innej nagrody — pisze wśród krakowskich popożarowych mozołów i tryumfów [2] — nie pragnąłbym, tylko żeby mię Bóg do mojej biednej, ubogiej powrócił celki".

„Mieszkam tu [3] zupełnie od ludzi odosobniony, czegom już od tak dawna pragnął, żądał, tęsknił; ale to nie klasztor, ale tu niema dzwonka. Poczciwa ptaszyna chciałaby mi to zastąpić i przylatuje rano i wieczór pod okno moje i śpiewa — ale to nie dzwonek".

A jak się cieszy, gdy choć na krótki czas znaleść się może

[3] „Poselstwo duchowne". List LXXXIV.

[2] Do br. Konopczyny. 3 marca 1851.

[1] „Poselstwo duchowne". List LXI.

znowu wśród klasztornych murów: „Błogo mi[1], bo wróciłem do tego życia klasztornego, do tego życia ciągłej pracy wobec Boga jedynego, do tej pustyni duszy wśród świata; do tego życia, do którego Bóg mię powołał od kolebki, a gdym Mu się całą siłą opierał i wydzierał, prowadził mię drogą ciężką, bolesną, a żem nie chciał Mu poświęcić serca niewinnego, musiałem Mu oddać serce zbolałe. Dziś, po sześciu miesiącach tak wygodnego życia, widzę się powtórnie dziwnem zrządzeniem miłosierdzia boskiego w tej ubogiej celce zakonnej, wśród braci moich przy naszym kościółku. Dziś słyszę ten w duszy nigdy nie przebrzmiały dzwonek zakonny; dziś jestem zakonnikiem nietylko sercem, bo tem zawsze, dzięki Bogu, byłem i za pomocą bożą zawsze będę, ale i zewnętrznem życiem. Cała przepaść dziś od świata mnie oddziela...“

Płynęły miesiące, lata, mnożyły się prace, rosło boże błogosławieństwo; zdawało się, po ludzku sądząc, że upragniona zakonna cela, klasztorne życie, coraz bardziej się oddala. Antoniewicz, wbrew nadziei, nie tracił nadziei: „O, gdybym! — wyrywało mu się serdeczne pragnienie — mógł przynajmniej umrzeć w zakonnej celi!“... „Czy powrócą jeszcze te chwile, że się rozproszeni zbierzemy; czy nam Bóg tej łaski nie odmówi, aby w zakonnej można umrzeć celce?!“...[2]

Życzenia dobrego swego sługi miał Bóg spełnić, modlitwy wysłuchać. Gorliwy zakonnik dążył z wytężeniem wszystkich sił do spełnienia postawionego sobie przez świętego zakonodawcę ideału, do większej bożej chwały, drogami przez zakonną regułę wskazanemi: pracą nad udoskonaleniem własnej duszy, pracą nad zbawieniem dusz swych bliźnich; jako ziemską już nagrodę za wierną tę służbę nie odmówił mu Bóg łaski, o którą tak często i gorąco się modlił: Pozwól mi umrzeć w gronie zakonnych braci, w ubogiej betleemskiej, klasztornej celce!

Ks. Jan Budeni.

[1] „Listy z zakonu“. List X–XI.

[2] „Poselstwo duchowne“. List LXIV.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Wędrówki duszy. Esoteryzm na tle współczesnego ruchu religijnego we Francyi. Napisał *Maryan Zdziechowski*. Kraków 1895.

Ten sofizmat, który postawił pozytywizm, że religia i nauka to dwa wrogie sobie światy, najpierw rozognił umysły i rzucił rękawicę religii; potem wytworzył niesmak, niemoc i opadnięcie ze sił, jak zwykle po gorączce, a dzisiaj wywołuje reakcyę i obronę religii i filozofii. O reakcyi tej mieliśmy już sposobność w kilku miejscach mówić. Niniejsza praca otwiera nową połać tego samego horyzontu.

Jest to omówienie i krytyka ostatniej wielkiej książki wybitnego francuskiego myśliciela, Schuré'go. Schuré jest przedstawicielem istniejącego już wprawdzie od dawna, ale na nowo wyłaniającego się dzisiaj kierunku, znanego powszechnie pod nazwą esoteryzmu religijnego, a jest przedstawicielem imponującym, możnaby nawet powiedzieć, że wodzem. Religijny esoteryzm sam ma te same znamiona ogólne, co i inne dzisiejsze idealistyczne prądy; wszystkim idzie o to, aby te szpary i pęknięcia, jakie na sklepieniach serc i sumień zarysował ciężar teoryi pozytywistycznej, w jakiś godziwy sposób zasklepić. Tylko, jak neochrześcijanie uwzględniają za Tołstojem przedewszystkiem etykę, a względem religii są jeszcze dosyć swobodni, tak przeciwnie esoteryści główną pokładają siłę w religii. Są to naturalnie dopiero raczkowania do prawdy, co najwyżej pierwsze kroki.

Zaczątki esoteryzmu są już dosyć dawne; już nad nim pracowali: Dutens (1730—1812), Fabre d'Olivet (ur. r. 1767) i żyjący

jeszcze Saint Ives d'Alveydre. Esoteryzm taki, o ile ma jedynie na celu tradycyjne przechowywanie najskrytszych jakichś tajemnic religijnych, rozszczepił się na kilka gałęzi; gra tu nawet rolę wolnomurarstwo, które, podług Papusa, te tajniki przejęło, pochłonięte tylko później działalnością polityczną, przestało rozumieć symbole własnych obrzędów. Przyszli później inni filozofowie, jak nasz Hoene-Wroński, którzy przy pomocy własnego natchnienia i pewnych danych, wziętych u wolnomurarstwa, chcieli esoteryzm wskrzesić.

W zasadzie więc swojej opiera się esoteryzm na mrzonce, że istnieją jakieś, nieprzystępne dla tłumu profanów, tajniki religijne, przechowywane tylko w cieniu świątyń i w myśli kapłanów, z których bije kastalskie źródło ożywczej siły. To też wielu z dzisiejszych esoterystów i okultystów padło formalną igraszką tej utopii. Trzeba było dopiero tak idealnego myśliciela, jakim jest Schuré, żeby z tych kabał stworzyć jakąś teoryę, którą można poważniej traktować.

Schuré, oparłszy się na dziełach Fabre'a d'Olivet, uzupełnia go bardzo jasno i rozsądnie. Podług Schuré'go, każda religia miała dwie strony: zewnętrzną i wewnętrzną. Treść pierwszej stanowią dogmaty i mity, których jawnie nauczano; treść drugiej była tajoną w gronie kapłanów. Przy badaniu religij ze stanowiska esoterycznego, a więc z drugiej tej strony, dochodzi się — zdaniem Schuré'go — do wniosku, że nauka esoteryczna sięga najdawniejszych czasów i ciągnie się jednostajnie. Istotę nauki esoterycznej stanowią — według Schuré'go — następujące twierdzenia: duch jedyną jest rzeczywistością, materya jego słabym i zmiennym wyrazem; dzieło stworzenia jest wieczne i ciągłe, jak życie; człowiek, mikrokosm przez troistość swą (ducha, duszę, ciało), staje się obrazem makrokosmu — wszechświata (świat boski, ludzki i natura), który znowu organem jest troistego Boga; nieśmiertelna dusza ludzka po mniej lub więcej długim szeregu przeobrażeń zdobywa doskonałość i, zachowując pełnię świadomości, zlewa się ze Stwórcą.

Takie byłyby zasady nauki esoterycznej. Pominąwszy niektóre momenty, możnaby na taki esoteryzm się zgodzić, ale wtedy nie jest on już jakimś tajonym przed tłumem esoteryzmem, tylko nauką jawnie przez wiele religij głoszoną.

Wyłożywszy w ten sposób esoteryczną naukę, zabiera się do wykazania jej powszechności, ciągłości i jedności od najdawniejszych czasów. Rzecz tę szkicuje sylwetkami wybitniejszych mistrzów religijnych idei, jak: Mojżesz, Pytagoras, Platon. Ostatni w tym cyklu, choć nie w zbyt równem sobie towarzystwie, jest Chrystus. Jakim jest

Chrystus Schuré'go? Odpowiada na to sam Schuré, porównując swego Chrystusa z Chrystusem Renana: „Chrystus Renana — mówi — to słodki i naiwny marzyciel, który staje się Mesyaszem, nie chcąc tego, prawie nie wiedząc, wyłącznie w celu dogodzenia uczniom. Ale czy nauczyciel z wiarą tak słabą mógłby stworzyć religię, która zmieniła postać świata? Nie. Chrystus jest największym z synów bożych, a pojęcie to, wedle inicyacyi indyjskiej, egipskiej i greckiej, oznacza duszę zjednoczoną z prawdą bożą, wolę, zdolną do objawienia jej. Otóż Chrystus stał się ostatniem, a najwspanialszem objawieniem woli Boga, należy mu się przeto cześć boska".

Jakąż wybiera drogę Schuré, aby trafić ze swoją esoteryczną teoryą do umysłów dzisiejszych? Wychodzi z pojęcia prawdy. „Dzisiejsi uczeni — mówi — tworzą sobie o prawdzie dziwnie materyalne i płytkie pojęcie, przypuszczając, że im więcej nagromadzą faktów, tem są jej bliżsi. Jakże inną była prawda w myśli mędrców i teozofów Wschodu i Grecyi. Wiedzieli oni dobrze, że niepodobna jej posiąść bez dokładnej znajomości świata fizycznego, ale wiedzieli oni też, że mieszka ona przedewszystkiem w nich samych, w ich życiu wewnętrznem. Dusza była dla nich jedyną: boską rzeczywistością, kluczem wszechświata. Drogą skupienia woli i natężenia wszystkich sił duszy dochodzili oni do tego ogniska życia, które zwali Bogiem i przy jego świetle zdobywali wiedzę ludzi i świata". — Tak pojmuje Schuré swoją naukę i taką drogą chciałby trafić nią do umysłów dzisiejszych.

Tych kilka refleksyj nastręczyła nam rozprawa p. Zdziechowskiego, napisana z wielkiem cieplem, z wielką jasnością i pogodą myśli i z głębszem zrozumieniem rzeczy. Przedstawienie systemu jest objektywne, krytyka spokojna i trafna.

Za wiele może poddał się autor urokowi Schuré'owskiego pomysłu; w podobnych systemach mistyczno-filozoficznych z góry już podejrzywać trzeba o pewną przesadę bo wybitną grą w nich rolę wyobraźnia. Wyobraźnia pisarza dobiera te szczegóły z historyi, które bardziej ją nęcą, wypełnia je swojemi kolorami — co najgorsza — przekręca je nawet i stosuje wbrew rzeczywistości do swojej tendencyi. Naszem przynajmniej zdaniem, ani Mojżesz, ani Plato, ani Chrystus zupełnie się na esoterystów Schuré'go nie nadają — a Pytagoras w tej postaci, w jakiej go przedstawiają esoteryści, jest tylko wyidealizowanym, a nie rzeczywistym Pytagorasem, bo doprawdy, jak mało wiemy o rzeczywistym. Gdyby jeszcze Schuré wyprowadził z egipskich piramid kilku zamierzchłych kapłanów, obwieszonych na wszystkie strony ta-

jemnicami, to byłby przynajmniej wywołał jakieś wrażenie esoteryzmu głównie dlatego, że o tych kapłanach mało co pewnego wiemy. Esoteryzm w tej formie pojęty, jak już powiedzieliśmy wyżej, wydaje nam się mrzonką: najrealniej jeszcze skrystalizowany, jak u Schuré'go, utożsamia się z pewnikami filozofii i dogmatami teologii, które wielu ludziom przystępne były.

Istnieje coś w religii, co ma na sobie pewne znamiona esoteryzmu, gdzie pewne tylko jednostki drogą skupienia woli i natężenia wszystkich sił duszy, a dodajmy i nadprzyrodzonego udzielenia im się Boga, dochodzą do najprzenikliwszego zrozumienia tajemnic bożych, na jakie tylko dusza ludzka wysilić się może. Ten objaw religii nazywa się mistyką. Mistyka rzeczywiście dla niewielu jest przystępną, ale nie dlatego, jakoby ci wybrańcy Opatrzności chcieli utworzyć jakąś ekskluzywną kastę, bo dzieła ich są na publicznym widoku, ale dlatego, że przeciętni ludzie nie potrafią nigdy wspiąć się na tę wyżynę. Esoteryzm cały jest tylko mglistem przeczuciem tej mistyki, ale jak na dzisiaj może i on chwilowo przyczynić się do jakiegoś rozbudzenia się religijnego ruchu.

Rozprawa p. Zdziechowskiego naprowadza także naszą uwagę na jeden bardzo charakterystyczny a sympatyczny rys umysłu autora. Potrafił on od razu odgadnąć ducha czasu, że znamieniem dzisiejszej chwili jest kierunek etyczno-religijny, a zrozumiawszy to, wziął się do studyowania tego kierunku. Oby ten krok jednego z najwybitniejszych naszych literatów był dla innych literatów wzorem. Bez pogłębienia dzisiejszych prądów filozoficznych, etycznych i religijnych, ani jednego uczciwego wyrazu w dzisiejszej krytyce literackiej złożyć nie można.

Ks. Jan Pawelski.

Nasi powieściopisarze. Zarysy literackie skreślone przez *Piotra Chmielowskiego.* Serya druga. Warszawa i Kraków. Nakład Gebethnera i Wolffa 1895. (Str. 489, w ósemce).

Niestrudzony badacz i krytyk ojczystej literatury dał nam tym razem szereg sylwetek wybitniejszych powieściopisarzy począwszy od Korzeniowskiego a skończywszy na debiutujących w roku 1885 autorach. I w tej publikacyi, podobnie jak we wszystkich pracach Chmielowskiego, uznać należy obok niepospolitego kapitału wiedzy niezmordowaną pracowitość zasłużonego historyografa, dzięki której postaci przez niego naszkicowane przedstawiają się wyobraźni czytelnika jasno,

przejrzyście, tłumacząc się w sposób aż nadto dokładny z swej pisarskiej działalności i z wpływów, pod jakiemi takowa powstawała.

Nie trzymając się porządku, w jakim poszczególne szkice w książce Chmielowskiego następują, pozwolimy sobie na pierwszem miejscu wymienić wizerunek Ludwika Sztyrmera. Co prawda, autor rozporządzał w tym zarysie dziennikiem, notatkami, listami głośnego w swoim czasie powieściopisarza i publicysty, który to materyał przyczynia się niepomiernie nietylko do poznania charakteru, wykształcenia i stosunków literackich omawianej osobistości, lecz nadto ciekawe rzuca światło na tak mało znane u nas dzieje szkół wojskowych w Królestwie Polskiem przed rewolucyą listopadową. Dzięki tym warunkom oraz umiejętnemu ugrupowaniu zebranych o Sztyrmerze wiadomości, niezbyt sympatyczna postać autora „Powieści nieboszczyka pantofla“ występuje przed nami z przedziwną plastyką a zarazem i pracom jego, dziś już od dawna przebrzmiałym, należyta ocena przypadła w udziale.

Najbliższym sąsiadem pisarza dziś zapomnianego jest w książce Chmielowskiego autor, który mimo swej płodności i wielostronności dotychczas ostatniego nie wypowiedział słowa. Mamy tu na myśli Sewera Maciejowskiego, którego działalność pisarską słusznie podzielił nasz krytyk na trzy fazy: egzotyczną, ludową i społeczną. Rzadko który autor pod tak pomyślną gwiazdą wstąpił w szranki literackie jak Sewer, lecz z drugiej strony słuszność każe nam wyznać, że z rzadką też wytrwałością i szczęściem zdołał on w ciągu dwudziestoletniej działalności podtrzymać i usprawiedliwić rozgłos, jaki mu w pierwszej zaraz chwili zdobyły „Szkice z Anglii“ i „Pojedynek szlachetnych“. Charakteryzując znaczenie społecznych powieści Sewera, trafnie podnosi Chmielowski jako najbardziej dodatni rys jego twórczości: ową pogodę talentu pisarza, wolną od sentymentalności, która nie przeoczając groźnych i ponurych objawów, woli raczej przedstawiać jaśniejsze strony życia.

Niemniej zajmującym i prawdziwym jest profil literacki Bolesława Prusa (Aleksandra Głowackiego), któremu nie szczędząc uzasadnionych zarzutów, jak przeładowanie niektórych utworów pierwiastkiem dydaktycznym, przepowiada nasz autor ciągły postęp, wznoszenie się na coraz to większe wyżyny. A prawdą i słuszną miarą w ocenie zalecają się również drobniuchne rozmiarami, lecz trafione sylwetki Junoszy i Czernedy.

Bardziej pobieżnym z natury rzeczy musiał być końcowy, siódmy rozdział książki Chmielowskiego, zatytułowany: „Debiuty powieściopi-

sarskie z roku 1885", określający pokrótce charakter pierwszych prób na tem polu poczynionych przez Kościałkowską, Zapolską, Obertyńską, Trzcińską, tudzież przez Zagórskiego, Rapackiego i Wołowskiego. Przy tej sposobności dostały się jednemu z młodszych autorów zasłużone cięgi z powodu usterek stylistycznych i gramatycznych, więc też z całą przyjemnością powtórzyć nam wypadnie odezwę Chmielowskiego, wystosowaną pod adresem wydawców i redaktorów, opiewającą, jak następuje: Panowie! zanim zaczniecie nauczać współziomków, co i jak myśleć i czuć, zadajcie sobie pracę wystudyowania gramatyki i stylistyki języka ojczystego, bo na nic się nie zdadzą wasze patryotyczne przestrogi, jeśli wy sami słuchać ich przedewszystkiem nie zechcecie!...

Obszerne studyum o Korzeniowskim, wypełniające niemal trzecią część książki, a napisane w roku 1891, pozostawiliśmy rozmyślnie na koniec niniejszego sprawozdania. Pisali już o Korzeniowskim: Widman, Winkler, Lewestam, Marrenowa, Rzążewski i Kantecki, oceniając bądź to działalność autorską tego pisarza, bądź też kreśląc szkic biograficzny osobistości tegoż poświęcony. Traktowali oni jednak Korzeniowskiego jako odosobnioną jednostkę, nie zaś jako składowy czynnik całości naszego rozwoju duchowego, stąd też rola jego w dziejach ojczystego piśmiennictwa nie była genetycznie oznaczoną, lecz określoną dowolnie, stosownie do pojęć estetycznych piszącego. Inne cele przyświecały pracy Chmielowskiego, który przedewszystkiem zamierzył odpowiedzieć na pytanie: jakim był i co zdziałał Korzeniowski w ciągu długiego (1816—1863) okresu swej pisarskiej czynności? Stosownie do tego założenia podzielił autor swe studyum na trzy okresy, obejmujące lata: 1816—1831, 1832—1850 i 1850—1863, omawiając szczegółowo twórczość Korzeniowskiego w każdej z tych epok, zarówno na polu powieściopisarskiem jak dramatycznem. Co do tej ostatniej, pozwolimy sobie sprostować pewne mylne szczegóły, jakie znajdujemy w rozprawie Chmielowskiego. I tak utrzymuje on, zgodnie zresztą ze swymi poprzednikami, iż pierwszem dziełem scenicznem Korzeniowskiego, jakie dostąpiło zaszczytu przedstawienia na scenie, był „Piąty akt", odegrany we Lwowie w roku 1836, poczem nastąpiły: „Dymitr i Marya", oraz „Piękna kobieta" (str. 60—61). Otóż data ta jest mylną, gdyż pierwszym utworem Korzeniowskiego, przedstawionym na scenie lwowskiej, była tragedya „Dymitr i Marya", wystawiona w dniu 4 lutego 1831 roku. Po niej nastąpiła „Piękna kobieta", grana we Lwowie pod tytułem: „Piękność

zgubą“ [3], zaś „Akt piąty“, wykonany na tejże scenie w dniu 7 listopada 1836 roku, był już trzeciem z rzędu dziełem Korzeniowskiego, z jakiem zapoznano publiczność lwowską. Niemniej mylnem jest twierdzenie Chmielowskiego, jakoby ten ostatni utwór nie „zyskał zbyt wielkiego uznania wśród publiczności“... (str. 61). Przeciwnie „Akt piąty“ — jak to świeżo wykazał dr. Bronisław Czarnik w swem cennem studyum p. t.: „Korzeniowski i teatr lwowski“ — cieszył się nadzwyczajnym sukcesem. Istniejące wówczas w tem mieście pismo literackie, redagowane w języku niemieckim, *Mnemosyne*, zwie „Piąty akt“ nadzwyczajnie udatnym dramatem sławnego Korzeniowskiego, a i w trzy lata po pierwszej reprezentacyi sztuki sprawozdawca *Gazety lwowskiej* wyraża się o tym utworze jako o „uwielbionym“. Z „Piątym aktem“ występowano też w chwilach uroczystych, jak w roku 1842, gdy przedstawieniem tego dzieła zamknięto szereg przedstawień w starym teatrze miejskim, a nadto utwór ów przyswojono bezzwłocznie scenie niemieckiej we Lwowie. O sukcesie odniesionym zawiadomił też bezzwłocznie autora Antoni Benza, aktor grający w dramacie popisową rolę Wacława i spowinowacony z Korzeniowskim przez żonę. Uradowany otrzymaną wiadomością autor, polecił Benzie podziękować kolegom za ich usilność, uwiadamiając go równocześnie, że „Piąty akt“ wyjdzie z dedykacyą wszystkim artystom lwowskim... Studyum d-ra Czarnika, drukujące się obecnie w *Przewodniku naukowym i literackim*, nie mogło być znane autorowi „Naszych powieściopisarzy“, który wszakże przeoczył w tym wypadku daty podane już przed laty w dziełkach d-ra Karola Estreichera („Teatra w Polsce“) i Stanisława Pepłowskiego („Teatr polski we Lwowie“).

Za stosowne również uważamy uzupełnić podaną przez Chmielowskiego (na str. 146) wiadomość o przedśmiertnej pracy Korzeniowskiego, spoczywającej dotychczas w rękopiśmie. Według naszego autora miały to być sceny z obrazów dramatycznych p. t.: „Nasza prawda“, osnutych na tle najnowszych wówczas wypadków krajowych. Inaczej opowiada ów epizod z ostatnich chwil życia Korzeniowskiego w „Wspomnieniach z roku 1863“ Seweryna Duchińska, która odwiedziła dogorywającego autora na dwa dni przed jego wyjazdem z Warszawy. Chory odczytał jej wówczas poemacik tylko co nakreślony p. t.: „Pierwszy akt dramatu“.

„Rzecz odbywa się w gęstym lesie“, czytamy w „Wspomnieniach“.

---

[1] Dnia 11 kwietnia 1833 r.

„Do oddziału powstańców przybywają ludzie stateczni, pragną odwieść ich od zuchwałego kroku. Gdzie idziecie szaleńcy? — pyta jeden z nich i pokazuje klęski, które gradem sypną się na kraj, doświadczony tylu próbami. Wywody jego logiczne nie trafiają do serca młodym. Ci odpowiadają na swój sposób, dowodząc, że narody żyją tylko ofiarą, że krew wytoczona w świętej sprawie jest drogim posiewem dla przyszłości. Spór toczy się coraz gwałtowniejszy, statyści nie ustępują na krok, zwycięstwo zda się być po ich stronie. W tem zabrzmiał w oddali znany chór: „Boże, coś Polskę“, powtarza kilkadziesiąt głosów, ziemia drży pod kopytami koni. Pieśń brzmi coraz to głośniej. Ukazuje się nowy oddział. Młodzież zrywa się, bieży ku braciom. Wrzawa, radość powszechna! Statyści osłupieli, słowo zamarło na ich ustach, łzy trysły im z pod powiek. Wyciągają ręce ku młodym! Idźcie wy drogą waszą — rzecze najwymowniejszy z nich, — wasz zapał lepiej was poprowadzi niż chłodne rozumowanie nasze! Starzy błogosławią powstańców, dzielna młodzież z uczuciem całuje ich ręce, garnie się w ich objęcia. Na tem kończy się akt dramatu“.

Tyle słów Duchińskiej, uzupełniającej niedomówiony z łatwych do zrozumienia powodów ustęp rozprawy Chmielowskiego, której wartości naukowej nie myślimy bynajmniej obniżać skromnemi naszemi uwagami.

Stanisław Schnür-Pepłowski.

Dzieje powszechne ilustrowane. Wiedeń. Nakładem Franciszka Bondego.

Pożytecznego tego wydawnictwa opuścił świeżo prasy drukarskie tom pierwszy części trzeciej, obejmujący „Historyę nowożytną“ (w 8ce str. 314). Opracowaniem tego tomu zajął się na podstawie wydawnictwa Spamera znany zaszczytnie autor i publicysta, Alfred Szczepański. Leżąca przed nami książka obejmuje okres czasu, sięgający od epoki odkryć i reformacyi aż do panowania Filipa II., roztaczając przed oczyma czytelnika żmudne dzieje odkryć i przewrotową dobę reformacyi, zaprowadzenie rządów hiszpańskich w Nowym Świecie, rozkwit włoskiego renesansu, wreszcie wewnętrzną historyę Niemiec za panowania Maksymiliana I. i Karola V. Okres drugi tej epoki wypełnia opowieść o wojnach religijnych, przyczem autor zastanawia się kolejno nad kwestyą odrodzenia katolickiego Kościoła, tudzież omawia stan monarchii hiszpańskiej za rządów Filipa II., zaznaczając następnie wzrost potęgi Osmanów pod panowaniem Solimana II., tudzież postęp handlowej i ko-

lonialnej przewagi rzeczypospolitej weneckiej. Oto w krótkości treść najświeższego tomu popularnego wydawnictwa, które pod względem prostoty i przystępności wykładu odpowiada w zupełności swemu przeznaczeniu, do czego przyczynia się w wysokim stopniu styl opowieści barwny, poprawny, sprawiający, iż książkę czyta się z prawdziwem zajęciem od początku do końca. Tekst dzieła zdobi przeszło 150 ilustracyj i 21 kartonów, które pod względem pomysłu i wykonania zaspokoić muszą najsurowsze wymagania ze strony miłośników ozdobnych wydawnictw.

Stanisław Schnür-Pepłowski.

Rok 1846. Kronika dworów szlacheckich. Zebrana na pięćdziesięcioletnią rocznicę smutnych wypadków lutego przez ks. *Stefana Dembińskiego*. Jasło, 1896. (W 8ce str. 443).

Potrzebna była ta smutna, żałosna kronika nietylko, aby uratować od zapomnienia imiona i nazwiska wielu dworów i wielu ofiar rzezi 1846 r., ale aby uprzytomnić, werznąć głęboko w pamięć dzisiejszego pokolenia tę prawdę, że „kto wiatr sieje, zbiera burze“, kto lud wiejski w jakikolwiek sposób bałamuci i jadem nienawiści zaprawia, ten pracuje dla podobnych przewrotów i orgij, jakie szalały w lutym 1846 r. przeciw „dworom“. Autor opowiada krwawe sceny 149 dworów; kilka lub kilkanaście z tych scen strasznych znanych jest z niemieckiego dzieła barona Sali, z książeczki Tessarczyka, z książki Pepłowskiego i innych opowiadań niedawno w dziennikach krajowych umieszczonych, ale przeważna część ich z zapomnienia odgrzebana. Listy i relacye naocznych świadków, notatki w pamiątkowej parafialnej księdze przez księży proboszczów tych wsi, gdzie „rabacya“ szalała, spisane, skargi (na nic nieprzydatne) poszkodowanych obywateli do sądów i cyrkułów zanoszone, raporta urzędowe justycyaryuszów, wreszcie artykuły dziennikarskie: oto źródła, z których autor czerpał swą prostą co do stylu, ale przerażającą co do treści naracyę; „nie siliłem się, pisze w przedmowie, na barwność stylu, by nie ubliżyć majestatowi zgrozy, którą opowiadane wywołują sceny“.

Ma ta książka jeszcze cel inny, uboczny, ale aktualny. Oto od niejakiego czasu agitatorzy, obrabiający lud nasz, polscy zarówno jak ruscy, na zebraniach ludowych i w Radzie państwa wywołują coraz częściej widmo rzezi 1846 r., na to, aby wmówić w te ciemne masy ludu i nieznające naszych stosunków posły niemieckie, że to szlachta polska niesłychanym swym uciskiem i tylko ona wywoła ten krwawy

protest gnębionego aż do rozpaczy ludu. Dały się słyszeć nawet głosy niektórych trybunów ludu, że szkoda, iż nie wyrznięto wszystkiej szlachty, że wyrznąć należy tę, która pozostała jeszcze. Jako antidot tej truciznу książka ks. Dembińskiego „podaje fakta, które nieuprzedzonych przekonać mogą, że lud wiejski jako narzędzie w obcem ręku zawinił, oraz, że dwory tak złemi nie były, jak je warchołowie przedstawiali i przedstawiają".

Tę obcą rękę, której narzędziem, ale nie bez ciężkiej swej winy, stał się lud wiejski, wskazuje autor w przedwstępnych uwagach, bo z rozmysłu pominął historyę ruchu, opowiedzianą przez innych (Salę, Pepłowskiego), a jest nią demokratyczna agitacya, idąca z Wersalu i Brukseli, a w wyższym nierównie stopniu „grzechy rządu" ówczesnego, tj. „ministerstwa (księcia Meternicha) i podległych temuż w Galicyi naczelnych urzędów", reprezentowanych w stolicy kraju: we Lwowie przez prezydenta gub. rządu, barona Kriega, starostę Milbachera i dyrektora policyi, Sachera Musocha; na prowincyi zaś przez starostów cyrkularnych: Andrzejewskiego w Złoczowie, Przybylskiego w Jaśle, Lederera w Rzeszowie, Ostermana w Sanoku, Berndta w Bochni, a wreszcie „udekorowanego orderem Leopolda" Breindla v. Wallerstern w Tarnowie, którym pomagali urzędnicy cyrkularni: Leśniewicz, Trojanowski, Chomiński, Hoszard, Witzthurm i inni. Apologeta ówczesnego rządu w Galicyi, baron Sala, tak niezręcznie uniewinnia „grzechy" rządu, że je stwierdza na nowo. Polscy pisarze o r. 1846 wypowiadają je z ks. Dembińskim zgodnie.

Szlachty wina w tem, że, z wyjątkiem pańskich domów, zbyt łatwowierna, dała się złapać na lep agitatorów emigracyjnych i gotowała powstanie we wszystkich trzech dzielnicach naraz, powstanie oparte na współakcyi ludu wiejskiego. Ale, zdaniem autora, i ta wina maleje, jeżeli się zważy, że ówczesna szlachta po dworach dla surowej cenzury rządowej ani pism peryodycznych, ani książek, któreby ją o rzetelnym stanie emigracyi pouczyły, nie miała i nie łatwo mieć mogła, patryotyczna więc, jak była, wierzyła na słowo agitatorów. Stanowczo zaś przeczy, i to przeczenie uzasadnia autor faktami, jakoby ucisk i gnębienie chłopa przez szlachtę i jej ekonomów wywołał tę rzeź nieszczęsną, owszem w bardzo wielu majątkach dola ówczesna chłopa lepszą była aniżeli jest dzisiaj, bo we dworze znajdował opiekę i materyalną pomoc, której dziś nie znajduje nigdzie. Chłopstwo rzucało się na rabunek dworów i rzeź „panów", ale były to bandy z obcych, nieraz dalekich wsi; właśni poddani, jeżeli się rzucili na swój dwór, to do-

piero za zachętą obcych, częściej zaś bronili swego dworu, ratowali życie swemu panu przed bandą obcą. Najbardziej ludzcy panowie, jak Kotarski, nie uszli śmierci, nie od swoich, ale od band cudzych, bo chłopstwo rabowało, rznęło tych, których mu „rznąć kazano“, i co chwila powoływało się na to, że ma „taki befel“. Szela w tarnowskim cyrkule miał swoją kancelaryę, sam w 20 co najmniej dworach rznął i rabował, a wydawał rozkazy szeroko i daleko w okolicy Brzostka jeszcze przez kilka tygodni po rzezi, jak to stwierdza urzędowy raport kameralnego urzędnika, Strzelbickiego, do prezydyum gub. we Lwowie z d. 17 marca 1846 r. (str. 59—69).

Wiarogodność opowiadań i opisów rabunku i rzezi w 149 dworach co do faktów nie ulega wątpliwości, żeby zaś były dokładne i wyczerpujące, tego żądać nie można, bo spisywano jedne pod wrażeniem chwili, drugie z pamięci w kilka lub nawet kilkadziesiąt lat później, jak np. opis rzezi w Dąbrowej (str. 99). Zasługa wielka autora, że wyrwał z zapomnienia i zestawił te straszne swą treścią notatki. Co się w jego duszy dziać musiało, gdy tę pracę przedsiębrał, odgadnąć łatwo: ojciec jego, nadziany na widły, zginął pod cepami chłopów, dwór rodzinny zrabowany do szczętu, matka z nim i z dwoma młodszymi synkami przez kilka tygodni kryła się na probostwie w Gromniku. O! już to tych scen strasznych, krwawych, podobnych zresztą do siebie, czytać jednym tchem nie można, zanadto wiele bólu i wstydu zbiera się w sercu, zanadto wiele i zbyt silnych wrażeń męczy umysł, — ustępami, przerywając co kart kilka lekturę, da się ten „rok 1846“ przeczytać, a przeczytać go trzeba, bo to komentarz wyborny do historyi naszych powstań, do charakterystyki ówczesnych rządów, systemów i ludzi, bo tu *facta loquuntur*.

Ks. St. Załęski.

Dzieje Polski przez *Józefa Szujskiego*. Wydanie drugie, staraniem Wiktora Czermaka. Wydania zbiorowego dzieł Józefa Szujskiego serya II, t. I., II., III., IV. Kraków. 1895.

„Dzieje Polski“, które przed 30 laty napisał Józef Szujski „dla dojrzalszej młodzieży“, były przez długie lata jedynym podręcznikiem historyi polskiej nietylko dla młodzieży, ale i dla profesorów, nauczycielek, starszej generacyi. Napisane z talentem, z szerokiemi poglądami na stosunki państw ościennych i na wewnętrzne urządzenia polskie, nosiły wszelako na sobie piętno młodzieńczości początkującego autora, dorywczości i pośpiechu w pracy. To też ś. p. Szujski powtarzał wie-

lokrotnie, także i przedemną na jakie trzy zawody, że pomimo nalegań z wielu stron, aby je wydał powtórnie, on tego nie uczyni, bo „dzieje Polski muszą być przelane“; tak jak są, są w wielu miejscach błędne i niedokładne. Niedługo przed śmiercią słyszałem to samo zdanie z ust jego. Przyznaje to wydawca, p. Czermak, w swej przedmowie do „Dziejów“, a profesor Smolka w przedmowie do drugiego wydania „Historyi polskiej w dwunastu lekcyach“ przytacza list ś. p. Szujskiego, poczynający się od słów: „Drugie wydanie mojej historyi (Dzieje Polski) byłoby dla mnie bardzo trudnem przedsięwzięciem, bo nie przyszłoby mi zostawić na niej całej nitki“. Według więc ostatniej woli ś. p. Szujskiego „Dzieje Polski“ nie powinny były być wydane powtórnie, bo on ich „nie przelał“, zaskoczony przedwczesną, a nieodżałowaną śmiercią, a podobno „przelać“ nie miał nawet zamiaru.

A jednak „zbiorowe wydanie“ dzieł Szujskiego nie mogło się dokonać bez najgłówniejszego jego dzieła, które mu chlubne imię historyka zjednało, bez „Dziejów Polski“. Jak tę trudność usunął? Wiadomo wszystkim, że niestrudzony, szlachetny i szlachetniejący z dniem każdym miłością prawdy a sumiennością pracy ś. p. Szujski, już jako profesor uniwersytetu, powtórne rozpoczął studya nad dziejami Polski i doszedł w nich do końca panowania Jagiellonów, a rezultaty tych studyów ogłosił w licznych odczytach i rozprawach, które w zbiorowem jego dzieł wydaniu objęte są w 4 tomach „Opowiadań i roztrząsań“, streścił zaś je w swej „Historyi polskiej w 12 lekcyach“. Dokonać takichże studyów nad epoką królów elekcyjnych już sił i życia nie stało. Otóż niewątpliwą jest rzeczą, że tak, jak te powtórne studya nad epokami Piastów i Jagiellonów doprowadziły Szujskiego w wielu kwestyach do zupełnie innych zapatrywań, zdań i przekonań, jak te, które wyraził w I. i II. tomie swych „Dziejów Polski“, tak też te same powtórne studya, napoczęte, ale nie dokończone, nad epoką królów elekcyjnych, doprowadziłby go musiały, a w części już doprowadziły — widać to z niektórych poglądów, raz rzuconych w „Opowiadaniach“ i „Historyi Polski“ — do podobnejże zmiany swych sądów o ludziach i instytucyach z czasów zwłaszcza Zygmunta III. i Władysława IV.

Jakże z tych trudności wycofał się wydawca? Oto w odsyłaczach zaznaczył te waryanty cytat i różnice poglądów i sądów, które w późniejszych pracach Szujskiego odszukać się dały, nie przytaczając wszelako tekstu, ani treści nawet jego, jeno tytuł i stronicę, tak że czytelnik „Dziejów Polski“ musi mieć pod ręką i cztery tomy „Opowiadań“ i tom „Historyi Polski“, szukać zaznaczonych ustępów, czy-

tać je, porównywać i dopiero sobie sąd wyrobić, co i jak właściwie myślał i sądził o danej kwestyi Szujski. Nie można było wynaleść niepraktyczniejszego sposobu komentowania „Dziejów Polski". Konia z rzędem dam panu Czermakowi, jeżeli wskaże mi jednego czytelnika, któryby zadał sobie pracę czytania w ten sposób komentowanej drugiej edycyi „Dziejów". Należało, oprócz zaznaczenia tytułu i stronicy, podać krótszy dosłownie, dłuższy w streszczeniu dotyczący ustęp, zawierający odmienne zapatrywania Szujskiego, niż te, które wypowiada pierwsza edycya „Dziejów Polski". Zaradziłoby się jako tako poprawności tego powtórnego wydania przynajmniej co do epoki Piastów i Jagiellonów — nie zaradziłoby się zaś co do następnych epok, dla tej prostej racyi, że Szujski studyów swych nad niemi ani wykończył, ani obrobił, chociaż *de facto* w wielu wypadkach z epoki elekcyjnych królów miał zupełnie odmienne zdanie, jak to, które w pierwszej edycyi tomu III. i IV. „Dziejów Polski" napisał, jak się o tem wielokrotnie z rozmów jego przekonać miałem sposobność. To też w III. i IV. tomie nowej edycyi „Dziejów" już bardzo nieliczne spotykamy odsyłacze wydawcy; pozostały one wbrew woli ś. p. Szujskiego „nieprzelane", ani poprawione. Najgorzej na tem wyszli Zygmunt III. i Jezuici, bo niesprawiedliwe a krzywdzące sądy o nich w pierwszej edycyi wygłoszone, chociaż Szujski takowe, poznawszy Zygmunta III. ze studyów dokładniej, a Jezuitów osobiście bliżej, znacznie w ostatnich latach życia złagodził i zmienił, powtórzone zostały dosłownie; wydawca przeoczył nawet zaznaczyć dotyczący ustęp z „Historyi Polski" (str. 267).

Zresztą wydanie drugie „Dziejów" bardzo staranne i kosztowało nie mało żmudnej pracy p. Czermaka, za co mu się uznanie i wdzięczność należy.

Ks. St. Załęski.

Auxiliary czyli stokilkadziesiąt kongresów odbytych w czasie kolumbijskiej wystawy w Chicago 1893 r. Opisał *Michał Żmigrodzki.* Kraków. Księgarnia Spółki Wydawniczej Polskiej. 1895.

Auxiliary, to jedno słowo z długiego tytułu: *The world's congress Auxiliary of the world's Columbian Exposition* (Wszechświatowy kongres pomocniczy wszechświatowej kolumbijskiej wystawy); broszura więc p. Żmigrodzkiego jest sprawozdaniem z owego kongresu, a, powiedzmy z góry, sprawozdaniem bardzo ciekawem, czytającem się z wielkiem zajęciem, napisanem żywo, barwnie, zajmująco. Bierze się ją z pewną obawą do ręki, spodziewając się zastać suche zestawienie, szeregi cyfr,

znajduje się tymczasem rzecz, którą się odczytuje od jednego razu, dowiaduje się wiele nowego, karbuje się to i owo w myśli na użytek własny — ma się, jednem słowem, z tej lektury korzyść znaczną.

Niepodobna w krótkości streścić tego, co samo jest streszczeniem mnóstwa spostrzeżeń, odebranych wrażeń, słyszanych i widzianych spraw i rzeczy, notatek robionych na prędce, a tu i owdzie głębszego studyum. Powiemy więc tylko kilka słów o tem, co to był ten *Auxiliary*, i wskażemy kilka szczególnie interesujących spraw, które i p. Żmigrodzki nieco obszerniej traktuje.

Kongres *Auxiliary*, trwający 6 miesięcy, składający się z około 200 poszczególnych kongresów, omówił, i to w przeważnej części systematycznie i gruntownie, w formie odczytów, odpowiednio ułożonych, wszystkie sprawy, jakiemi tylko umysł ludzki zajmował się i zajmuje. „Nie mogę sobie przypomnieć — pisze p. Żmigrodzki — jakiejbądź sprawy społecznej, nauki, sztuki pięknej lub wyzwolonej, któraby nie miała swego kongresu, na którym omawiano zwykle wszystko, co było w związku z jej bytem, rozwojem, udoskonaleniem". Kongres cały rozpadał się na dwie części: mężczyzn i kobiet; na czele jego stali: Dr. Bonney i p. Karolina Henrotin; zajmował się zaś następującemi sprawami: postępu kobiet, publicznej prasy, medycyny i chirurgii (panie dodały tu kongres: ukształcenia mamek i nianiek), wstrzemięźliwości, moralnych i społecznych reform, handlu i finansów, muzyki, literatury (w skład tego weszły kongresy: bibliotekarzy, historyków, filologów, autorów twórczej literatury, folklorystów), pedagogii, inżynieryi, sztuk pięknych (wypadł najsłabiej), politycznych nauk, prawniczych i państwowych reform, nauk ścisłych i filozofii, wszystkich religij i t. d., i t. d.

Najoryginalniejszym, najciekawszym a bardzo ważnym był kongres wszystkich religij; o nim traktuje obszerniej druga broszura p. Żmigrodzkiego p. t.: „Kongres katolicki i kongres wszech religij".

Kongresów tych nie należy rozumieć w znaczeniu tem, jak się je u nas pojmuje, żądaniem ich bowiem nie było rozwiązanie pewnych kwestyj naukowych, lecz spopularyzowanie nauki, obudzenie zainteresowania się w najobszerniejszych kołach, zjednanie dla nich poparcia ogółu, który sam wszystko robi, nie oglądając się, jak u nas, za pomocą rządu, lecz stawiając sobie wszędzie i zawsze zasadę: pomóż sam sobie. Kongresy te były seryami bezpłatnych odczytów z pewnej dziedziny, dyskusyj po nich nie było.

Wiele miejsca poświęcono w tej broszurze stosunkom szkolnym

w Ameryce, zasadom pedagogicznym, tej, praktycznej, tak jak i we wszystkich innych sprawach i stosunkach amerykańskich, myśli, że oświatę należy naprzód rozprowadzić w szerz, a później dopiero w głąb: z tej zasady praktycznej wyniknęło, że Ameryka ma masę szkół niższych i średnich (bo niektóre uniwersytety, to nasze gimnazya), a mało zakładów, któreby się mogły równać z naszemi wszechnicami, że nie ma wcale akademii umiejętności, że nie wytworzyły się wreszcie wielkie różnice co do stopnia inteligencyi obywateli, a w następstwie tego społeczeństwo jest więcej skonsolidowane, nieulegające tak łatwo przewrotom społecznym i t. d.

Z wielką sympatyą odzywa się p. Żmigrodzki o Amerykankach, stawiając je za wzór Europejkom.

Wspomnijmy jeszcze o ciekawym opisie i wytłumaczeniu t. zw. *dni* poświęconych narodowościom lub instytucyom, o bystrych uwagach nad ustrojem społeczeństwa amerykańskiego, o jego rozwoju, o Polakach w Ameryce i t. d. Nie mogąc rozpisać się obszerniej o tem wszystkiem, odsyłamy ciekawych do samej książki.

Dr. Antoni M. Kurpiel.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Ernest Renan. Henriette Renan. Lettres intimes 1842—1845. Calmann Lévy 1896.

Jeżeli błyskotliwy talent Renana olśnić i obalamucić w swoim czasie zdołał znaczniejszą liczbę polskich umysłów o słowiańskiej wrażliwości na szum słów i blichtr myśli, obrażona tem prawda znalazła też u nas zaiste szybszych i dzielniejszych niż gdziekolwiek mścicieli. Przed kilkoma laty rozprawa ks. Morawskiego, obecnie wyczerpująca księga ks. d-ra Pawlickiego, kruszą zarówno gliniane nogi mistrza przeczenia, rozwiewają jego nauczanie, metodę, filozofię i spuściznę. A jednocześnie pogrobowa nemezys używa świadectwa samegoż Renana do zburzenia samozwańczej legendy, która tymczasem dokoła jego imienia była urosła. Część tejże legendy odnosiła się do wystąpienia byłego seminarzysty z duchownej w Saint Sulpice szkoły. Wedle niej, zrywając ze stanem duchownym i katolickim Kościołem Renan poświęcił własną przyszłość, spokój i świetne widoki, twardym wymaganiom rozpoznanej

zapomocą zwątpienia absolutnej prawdy. Sumienie nakazywało mu uczynić tę krwawą ofiarę, choćby kosztem chleba i nadziei bezpiecznego jutra. Ustaliło się mniemanie, iż wiele cierpiał, wiele walczył, więcej jeszcze poświęcił. Tymczasem świeża publikacya korespondencyi rodzinnej, listów Renana i jego siostry Henryetty, rzuciła nowe a całkiem różne światło na pobudki, które rozstrzygnęły o wystąpieniu seminarzysty. Znane są smutne dzieje tego rodzeństwa, w którem siostra sprzeniewierzyła się posłannictwu domowego anioła, wyprzedziła brata na szlakach zwątpienia i, zamiast skrzydłem modlitwy osłaniać duszę jego przed ostatecznem rozbiciem, ułatwiła mu zerwanie z chrześcijańską młodością i tradycyą. Biegły w okłamywaniu czytelników Renan, usiłował udowodnić, iż nauka hebrajskiego języka oraz bliższe poznanie egzegezy biblijnej fatalnie go doprowadziło do utracenia wiary. Tymczasem w poufnem listowaniu doczytujemy się, iż już w 1842 r., kiedy zaledwie był wstąpił do seminaryum, i na cały rok przed rozpoczęciem studyów hebrajskich, już Renanem targało zwątpienie, już go kusiła myśl opuszczenia zawodu kapłańskiego. Wszystko tedy, co w tej mierze sam opowiedział w „Wspomnieniach“ i rozprawie o „Przyszłości wiedzy“, jest czczym tylko wymysłem i pozą. Stwierdzić nam owszem przychodzi, że żadna naukowa, pozytywna zdobycz nie zachwiała w nim wiary, lecz raczej osobiste, subjektywne rozumowania, zbite w rodzaj właściwej, indywidualnej filozofii. Stąd jeden dowód więcej, iż nie wiedza, nie nauka sprzeciwia się zasadom katolickiej wiary, lecz raczej tylko pewien rodzaj i kierunek indywidualnej filozofii a raczej sofizmatów.

W listach tych poznajemy młodzieńca, który był już takim w dwudziestym trzecim roku życiu, jakim miał być przez całe życie, a więc pełnym siebie, upojonym własną myślą, i to myślą chwili, która go uwięzić nie była w stanie, acz na razie darzyła go pewną lubością. Rozmiłowany w tem upojeniu i rozkoszy, wyrzec się ich nigdy już nie potrafił; wtedy już nazywał prawdą jej zaprzeczenie, wiedzą być mienił uorganizowany sceptycyzm, a rozkoszne używanie i poszukiwanie intelektualnego zadowolenia nazywał samozwańczo za Heglem filozofią.

A tymczasem nie filozofem, lecz rozkosznikiem miał być zawsze, mimo chłodnego temperamentu i czystszych od myśli własnych obyczajów. Skończony to Epikurejczyk, wychylający się z każdego słowa. Na próżno w braterskich zwierzeniach szukamy tragicznej nuty przełomu dopełniającego się w jego duszy podczas trzechletniego w seminaryum pobytu: przejawia się tu raczej troska młodego samoluba, roz-

trząsającego zagadkę bodaj najwygodniejszego życia, szukającego wciąż drogi bezciernistej, łatwej, świetnej, swobodnej przyszłości. Gdzież się takowa pewniej znajdzie: w świecie czyli też kapłańskim zawodzie? Oto pytanie główne i górujące. O wątpliwościach i dusznym niepokoju głucho tu, acz raz po raz występuje szumno brzmiący wyraz konieczności obowiązku, dla upozorowania kwestyi doczesnych korzyści. Wystarczy tu jeden przykład, zaczerpnięty z ostatnich listów. Renan słucha wykładu p. Quatremère de Quimy w *Collège de France*, odgaduje, że na podobne katedry nie wielu znajdzie się kandydatów, że można bez wielkiego wysiłku zdobyć sobie piękne i poważne stanowisko. To wszystkie jego wahania kończy i przecina, zaczem postanawia coprędzej wystąpić z seminaryum. Jakież będzie jego rozczarowanie, gdy usłyszy, że następstwo po p. Quatremère de Quimy już komu innemu zostało obiecane! Ale skoro tylko mu błyska nadzieja innej katedry, wnet czuje się uspokojonym i zaspokojonym. Nie lękać mu się zresztą o dalszą czy bliższą przyszłość. Siostra pracą własną i znojem ubezpieczy mu chleb powszedni, ułatwi studya wiodące do najwyższych naukowych godności, oszczędzi mu materyalnych zachodów i zasłoni przed niedostatkiem.

Cała tedy legenda, cała sztuczna tragedya mniemanego heroizmu Renana całkiem inaczej w rzeczywistości się przedstawia. Miał on do wyboru między życiem spokojnem i szanownem, pozbawionem jednak wpływu i blasku, z powodu słusznej nieufności przełożonych, a innem, świetniejszem i głośniejszem, do którego mu zarobek siostry i jej ambicye torowały drogę. Wybrał karyerę profesorską w *Collège de France*, stokroć swobodniejszą i bardziej niezależną od zawodu kapłana. Heroizmu chyba niema tam, gdzie się obiera szeroką drogę zamiast wąskiej. Jedno tylko zadziwia, iż zaznawszy pokusy zwątpienia u wstępu do seminaryum, Renan mógł się wahać i opóźniać krok stanowczy. Już w listach z r. 1842 uwidocznia się zupełna wiary utrata, zaczem niepojętem jest trzechletnie przeciąganie pobytu w Saint Sulpice!

Można tedy Renanowi zostawić miano szczęśliwego samoluba, intelektualnego Epikurejczyka, tylko nie podobna go pomawiać o jakąbądź ofiarę, walkę czy bohaterstwo. Siebie tylko zawsze szukał on i kochał, własnych korzyści był nieznużonym kalkulatorem. Nawet u łoża śmierci poświęconej mu do ostatka siostry, nad żal po jej utracie góruje myśl oszczędzenia sobie bólu i przykrości. Nic smutniejszego, nic wstrętniejszego egoizmem nad karty, w których Renan streszcza własne w chwili zgonu siostry uczucia i wrażenia. Słusznie o nim po-

wiedziano, iż na wzór starożytnych chciał mieć życie łatwe, przyjemne, i uwieńczone różami. Za życia może aż nadto posiadł kwiatów, po śmierci jego opadają one i więdną, zniżając uwielbionego niegdyś mędrca do bardzo niskich rozmiarów, oraz uwydatnionych dziś małostek i małoduszności. Niniejsza korespondencya dopełniła miary, odsłaniając nam w całej nagości samolubną Renana naturę. Biedna, zaślepiona Henryetta nie domyślała się, jak smutną usługę odda pośmiertnej sławie brata zachowaniem jego najpoufniejszych listów. Ale bankructwo renanizmu w sam czas przychodzi, by zadać dotkliwy cios przeróżnym amatorom nauki mistrza, dyletantyzmowi, dekadentyzmowi, paladyzmowi, satanizmowi i t. p., słowem wszystkim chorobom ducha, na których pierwszą zarazą padło tchnienie Renana, jego chęć intelektualnego używania i epikurejskich życia i myśli rozkoszy.

M.

La fin de l'Europe. Par *A. Bocher*. Paris. Ollendorff. 1896.
Le péril prochain. Par *Paul de Estournelles* de Constant.

Nietylko u ludzi dzisiejszych pierś bywa raczej wedle miary krawca niż Fidyasza. Sameż wypadki do tejże zniżają się miary, zatracając epiczny charakter dziejowych przełomów. I tak, posępne wyrocznie do niedawna zapowiadały nowe gminoruchy, nowy barbarzyństwa zalew, w którym ginąca stara cywilizacya mogłaby przynajmniej kończyć z bohaterstwem, padając na wyłomie w obronie zagrożonych posterunków. Za rycerski wszelako byłby to kres filistrowskiej epoki i społeczeństwa. Świeższe vatycynia wprawdzie jednogłośnie zapowiadają upadek Europy, lecz już nie pod naciskiem wrogich najazdów, lecz raczej skutkiem materyalnej ruiny, sprowadzonej niespodziewanem i nieproszonem współzawodnictwem narodów, do niedawna zasilanych hyperprodukcyą naszej części świata, które dziś, nauczywszy się tajemnie nowoczesnej industryi, zwrócą przeciw starej mistrzyni zaczerpnięte u niej nauki, przykłady, odkrycia. Gdy ktoś unosił się raz w obecności Renana nad postępami cywilizacyi, otwierającej sobie coraz to nowe szlaki, nowe drogi handlowe, stary sceptyk potrząsnął z niedowierzaniem głową: „Bardzo to wszystko pięknie wygląda, byle nie to rowało drogi obcemu najezdnikowi". Zaczem jął wspominać Tamerlana. Wali się obecnie wszystkiemi nowemi drogami przewidziany najezdnik, atoli nie w formie wrogich jeźdźców i fali dzikich barbarzyńców, lecz raczej w ponurym kształcie ruiny.

Tak jest, ruiny dla starej żywicielki, która do niedawna mnie-

mała, że reszta świata nie ma innej racyi bytu, jak czerpać ze skarbnic jej wiedzy i ze spiżarni jej dostatków. Długo zaślepiano się na idące groźby przyszłości, wojna chińsko-japońska nagle wszystkim otworzyła oczy, wskazując na dalekim Wschodzie naród młody i krzepki, który w krótkim czasie umiał sobie przyswoić zdobycze wielowiekowej cywilizacyi Zachodu, stworzyć flotę i armię, a nareszcie i przedewszystkiem zstąpić w arenę z ogromem produkcyj, wypierających stopniowo handel i przemysł europejski z kresowych posterunków. Przeważnie wykształceni w Niemczech, Japończycy posiedli tajemnicę wyrobów, opatrzonych godłem: *schlecht und billig;* obliczyli, że szybko żyjące pokolenia nie dbają o trwałość, lecz tylko o taniość przedmiotów. I oto skutkiem niewyczerpanych bogactw krajowych i szalenie taniego robotnika doszli do cen tak niskich, iż Europa w żaden sposób podobnej konkurencyi wytrzymać nie potrafi. Wystarczy np. wspomnieć parasole japońskie po franku, zegary ścienne po trzy franki, rozchodzące się dziś po całym świecie krociowym odbytem. Taniość robotnika tu o cenach rozstrzyga. Podczas gdy przędzalnie angielskie upadają, gdy w samem hrabstwie Lancaster przemysł tkacki traci rocznie do dziesięciu milionów, japońskie zakłady i spółki dają około 28 procent dywidendy. Nie trudno to przychodzi, gdy robotnik męski pobiera dziennie niecałe pół franka, a większość zajętych w rękodzielniach robotnic żeńskich zadawalnia się zarobkiem 21 centymów, bodaj nawet połową tej sumy. To też fabryki, zakłady przemysłowe, spółki handlowe i bankowe powstają tam jak grzyby po deszczu, nie oglądając się już bynajmniej na Europę. Niegdyś żelazo angielskie, stal i okucia płynęły morzem ku Wschodowi. Dziś Japonia stworzyła sobie marynarkę, buduje pancerniki, korzystając z własnych hut, kopalń i fabryk. Wszakże i węgiel angielski przestaje zasilać dalekiego Wschodu porty, skąd Japonia wyparła dostawców angielskich. I tak na każdym kroku. Zapałki, niegdyś importowane masami, dziś się na miejscu fabrykują po zniżonej cenie. Do niedawna przędzalnie Europy dostarczały perkalów Indusom i Chińczykom, którzy przeważnie w bawełniane przybierają się tkaniny. Otóż przekonano się, że bez porównania taniej wypadnie na miejscu fabrykować perkale, oszczędzając sobie kosztu przewozu pierwotnego materyału z ojczyzny bawełny do Anglii i napowrót, zwłaszcza że gdy w Anglii robotnik kosztuje dziennie do 8 franków, wschodni za 25 centymów w Indyach przez cały dzień znojnie i zręcznie pracuje. Odpada zatem pięćset milionów odbiorców, dotychczas ubierających się przeważnie w tkaniny angielskie. To samo da się powiedzieć i o je-

dwabiach, które oczywiście bez porównania taniej dadzą się fabrykować na miejscu. A cóż dopiero powiedzieć o przemyśle rolnym, o płodach ziemi, tem tańszych i obfitszych, im bogatszą i świeższą jest gleba, urodzajniejszy klimat, tańszy robotnik, łatwiejszy transport. O przełomie agrarnym chyba wystarczy krótka wzmianka, ponieważ wiadome są powszechnie trudności, zagrażające dziś przyszłości rolników. Na nic cła ochronne wobec płynącej ze wszystkich stron świata dostawy. Jak tu walczyć z hodowlą bydła australskiego, z ziarnem Ameryki, ba nawet z ogrodownictwem innych części świata! W Londynie i Paryżu jadać można w zimie świeże brzoskwinie, przysłane z Przylądka Dobrej Nadziei. Niczem filoksera wobec klęski, zadanej produkcyi winnej rozszerzoną dziś po całym świecie kulturą szczepów winogradowych, sprowadzanych z Francyi. Butelka wina wyprodukowanego w Kalifornii kosztuje 25 centymów, kiedy w Paryżu identycznie to samo wino co najmniej dwa franki zapłacić trzeba. Sycylia do niedawna zasilała Stany Zjednoczone dostawą cytryn i pomarańcz, dziś jest zrujnowana konkurencyą amerykańską, produkcyą Kalifornii i popołudniowych prowincyj. Wszystko to szczegóły, drobniejsze strony idącego przełomu. Głównie atoli on przejawi się w zakresie węgla, i trudno odgadnąć np. przyszłość takiego Śląska, zrujnowanego bodaj za jednym zamachem, gdy współzawodnictwo Wschodu obniży ceny zarobku i produkcyi.

Rysuje się tedy gmach Starego Świata, zarywa się dawnych rzeczy porządek, a tymczasem Europa po dawnemu politykuje, zaprząta się zwietrzałemi formułkami dyplomatycznemi, bawi w żołnierzy, wydaje krocie na utrzymanie zbrojnego pokoju, kiedy stosunki rdzennie się odmieniły, i dzisiejsze wojny nie zdołają już dobić się korzyści niegdyś zbrojną zdobywanych siłą. Jeśli p. d'Estournelles głównie przemysłową statystyką usiłuje ostrzedz czytelników o groźbach przyszłości, p. Bocher raczej polityczne wysnuwa wnioski, szydząc z konwencyonalnych szematów, które po dziś dzień wystarczają gabinetom europejskim. Wytyka między innemi bezpodstawność wagi, przywiązywanej do tego lub owego posterunku, rzekomego klucza mórz, wyśmiewa naiwność Anglii, mniemającej, iż wysłaniem kilkutysięcznych posiłków, uchwaleniem większego kredytu wojskowego, ocali swą przewagę w Indyach i obroni posterunki, które prędzej, później stracić musi! Wszystkie te bowiem smutne horoskopy i wyrocznie głównie godzą w pomyślność Anglii i jej szalone bogactwa. Nie od dziś głębsze umysły wypowiadają owe groźne zapowiedzi przyszłości. Wszak wielki hiszpański myśliciel, Donoso Cortis, już przed półwiekiem wypisywał Baltazarową wyrocznię

wobec upojonej powodzeniem potęgi Albionu. Tylko nie od Wschodu jednego widział on idące niebezpieczeństwo: przewaga Rosyi, której Anglia mogła przeszkodzić, a nie przeszkodziła, obróci się najpierw przeciw niej samej. „Przeciw kolosowi, dzierżącemu w jednym ręku Europę, w drugim Indye, na nic się nie zdadzą jej okręta i floty; olbrzymie państwo brytańskie w kawały się rozpadnie, a odgłos jego upadku odbije się o przeciwne bieguny, dając początek długiemu na stępstwu klęsk i przełomów". Ale Donoso Cortis, jeśli przewidział gro żną dziś hegemonię Rosyi, nie odgadł rdzennego zmodyfikowania się stosunków europejskich wtargnięciem nowych ludów w życie ogólno ludzkie. Zaprzątamy się wewnętrznemi kwestyami i sporami, jedni ba wią się w zagraniczną politykę, drudzy w socyalizm, kiedy tu nad wojną zewnętrzną, nad wewnętrzemi swarami i niesnaskami góruje obawa o chleb powszedni, lęk ewentualnego zagłodzenia starej Europy współzawodnictwem młodych plemion i krajów. A co potęguje grozę sytuacyi, to, że z narodów europejskich jedna Rosya najmniej wystawioną jest na niebezpieczeństwo chwili, że podczas gdy wszystkich dziś znaczy się upadek, ona jedna idzie w górę, bo młodsza, bo z natury rzeczy jest bardziej wschodniem aniżeli zachodniem państwem, że przyszłość gotowa ją coraz bardziej ku Azyi przechylać.

Jakiż tedy środek obronny, co za ratunek od śmierci głodowej? P. Bocher wskazuje niebardzo smaczny, trącący socyalistycznemi hasłami. Twierdzi on, wbrew zapewnieniom Pisma św., że *Sanabiles fecit nationes terram,* iż narody mają czas trwania i śmierci, zakres historycznego bytu i zagłady; że dziś, gdy para zniosła przestrzeń i zarównała granice, należałoby raz się wyrzec indywidualizmu narodowego, zawiązać w konfederacyę, noszącą wspólne miano krainy europejskiej, i wspólnemi siłami warować się od głodu i ruiny. Przedewszystkiem należałoby usunąć ciężary utrzymania zbrojnego pokoju, znieść stałe armie, usunąć międzynarodowe zapory i waśni, doprowadzić do jednolitego poniekąd znacyonalizowania, i pokierować emigracyą ku niezaludnionej, niewyzyskanej Afryce. Oto idzie, aby dobiedz pierwej tam, dokąd inni niebawem pospieszą, aby zająć grunta, które szybko dorównają po myślności Stanów Zjednoczonych. Oczywiście strefy równikowe nie rychło dadzą się skolonizować przez Europejczyków. Na toby trzeba klimatycznych odmian lub niezdobytych dotąd hygienicznych ubezpieczeń. Południowa atoli Afryka stoi otworem dla podbojów cywilizacyi, i ten wygra, kto prędzej do mety dobiegnie. Gdyby wszystkie budżety wojenne zwrócono w tym kolonizacyjnym kierunku, możeby się jeszcze

dała zażegnać nieunikniona katastrofa, zawisła nad Europą. Tu obaj pisarze do jednego dochodzą wniosku, że każda waśń wewnętrzna przyspiesza godzinę zwycięstwa Wschodu nad Zachodem. A pod każdym względem straszne to będzie zwycięstwo, nietylko w zakresie nędzy i ruiny. Uwydatnią się bowiem skrajne pierwiastki szczepowe. Spirytualizm jest podstawą wierzenia Europejczyków, pierwszym zaś ich dogmatem wolność osobista, podczas gdy ludy Azyi czczą tylko materyę i niewolę. Aryjczyk czci ducha i swobodę, Azyjczyk ślepe przeznaczenie i siłę. W odwiecznym ich sporze zawsze jednaka występuje kwestya: ażali stawiać należy ołtarze ku czci ducha czy materyi, wolności czy fatalizmowi.

I znów w tym ostatnim zwrocie idziemy w ślad hiszpańskiego filozofa, powtarzamy jego słowa, kiedy tymczasem p. Bocher zamyka swą rozprawkę zapowiedzią międzynarodowej paryskiej wystawy, która, zdaniem jego, będzie i popisem nieznanych nam dotąd narodowości, i obrachunkiem sił i sumienia starszych plemion. Przyjdzie wtedy zmierzyć naocznie wzrost sił i cywilizacyi kresowych szczepów, ich bogactwo i środki. Ogólnem mniemaniem owa wystawa z r. 1900 będzie ostatnim występem ginącej Europy. Upadek bowiem bywa bliskim dni upojenia i dumy. Przyszłe międzynarodowe popisy chyba odbędą się w Tokio, Rio de Janeiro lub Johannesburgu. A tymczasem stary świat runie nie pod orężem Aleksandra czy Atylli, lecz stokroć prozaiczniej, pod handlowem spółzawodnictwem młodszej braci. Z jednej strony stanie starszyzna europejskich ludów, zajmująca grunt wyczerpany i obciążony podatkami, zniszczona wojnami i waśniami odwiecznemi, podkopana w najświętszych przekonaniach i zasadach za pomocą niegodziwej propagandy; z drugiej zaś szczepy młode, rządzące przestrzenią i czasem, posiadające dziewicze pola i lasy, zachowujące uszanowanie władzy, wierzące w własną siłę i gwiazdę, gardzące trudem i śmiercią. Chyba nie wątpić, po której stronie tryumf się znajdzie.

Nie wesołe tedy horoskopy snują nam francuscy pisarze. Zdrowo można spojrzeć niebezpieczeństwu w oczy, zmierzyć grozę sytuacyi, obliczyć blizkość klęski. Atoli tylko hartownym duszom takie obliczenia wychodzą na dobre. Słabsze gotowe rozpacznie założyć ręce, tęższe tylko podwoją baczności i trudu. Hasłem epok cięższych, niepewnych przyszłości winny być zawsze słowa szlachetnego księcia Adama Czartoryskiego: „Człowiek powinien żyć jakby miał umrzeć jutro, pracować zaś jak gdyby miał żyć wiecznie“. Nie słabnąć nam, nie zniechęcać się grozą „końca Europy“, ale dokładać starań, aby takową opóźnić,

aby dźwigać z upadku siebie, rodzinę własną, społeczeństwo i ojczyznę. Jakkolwiek posępne brzmią i grzmią wróżby, nie powinny one odejmować nikomu siły woli i siły pracy, tych dwóch potężnych czynników, oryentujących światem, omylających rachuby wróżbitów.

M.

Les Américaines chez Elles. Notes de voyage. Par *Th. Bentzon*. Paris. Calmann Lévy. 1896.

W niejednej nowej książce znajdujemy wrażenia z podróży do Nowego świata. W polskiej literaturze przoduje praca d-ra E. Dunikowskiego p. t.: „Od Antlantyku poza góry Skaliste“ i świeżo wyszła „Za Atlantykiem“ Ludwika Krzywickiego, po francusku zaś Bourget'a *Outre mer*. Skromność autora przeznacza tę książkę „jako przepędzenie czasu w dusznej salce pakbotu“, my zaś widzieliśmy tyle nagromadzonych szczegółów, dających nam prawdziwy obraz Ameryki, tyle spostrzeżeń odnoszących się do duchowego rozwoju, do cywilizacyi narodu, nie będącego właściwie narodem a tak zlanego potrzebami duchowemi i umysłowemi ze sobą: że jej tak prędko zapomnieć nie możemy, zalecając każdemu zapoznanie się z nią. Dziś inny autor, chociaż nie cieszący się równie rozgłośnem imieniem we Francyi, darzy nas bardzo zajmującym przyczynkiem do obrazu Nowego Świata. Jest to jakby ciąg dalszy, jakby dopełnienie wspomnianej wyżej pracy Bourget'a: *Outre mer*. Autor *Cosmopolis*'u wtajemnicza nas w życie społeczne Amerykanów, zapoznaje z ich przemysłem, ukazuje nam ich potrzeby i rozwój umysłowy, społeczny. P. Bentzon wstępuje w jego ślady, ale nic sobie z tamtej pracy nie przyswaja, dotykając bowiem tych samych przedmiotów, ukazuje nam nową ich stronę, zajmując się w swej książce li tylko działalnością niewieścią, spostrzegając charakterystyczną jej cechę a razem siłę w tem, że ona nie szuka żadnej odrębności, nie pragnie zdobyczy dla niewieściego rodu, ale pracuje, przyczyniając się do podniesienia ogólno-ludzkiego poziomu umysłowego i duchowego.

We wszystkich zakładach naukowych, zaczynając od ogródków freblowskich, kończąc na uniwersytetach — znajdujemy i kobiety, oddające się nauce nietylko dla chleba, lecz często przez zamiłowanie tejże, i filantropijne idee, które w Ameryce są nadzwyczaj rozwinięte. Dość tylko przypatrzeć się tej ilości klubów i stowarzyszeń spotykanych na każdym kroku. P. Th. Bentzon daje nam poznać z bliska każdą z tych instytucyj, nie skąpi nam szczegółowych opisów urządzenia, opowiada wreszcie o celach, w imię których tyle kobiet pracuje.

Idąc za autorem, zwiedzamy po kolei Chicago, Nowy York, Waschington i Boston, który z tradycyi już wszelkim dziełom filantropijnym przoduje, a w rozwoju umysłowości pierwsze zajmuje miejsce. Ze zdumieniem dowiadujemy się, patrząc na gmachy zasługujące na miano pałaców, że się w nich mieszczą *Hull house,* przytułek dla opuszczonych cudzoziemców lub Stowarzyszenie wstrzemięźliwości zwane *Woman's Temple* tak słusznie noszące swoje miano, skoro założycielką tego dzieła umoralnienia i miłosierdzia była kobieta, dar kobiety wzniósł budynek i bez przerwy zarząd instytucyi do kobiet należy, szukających tam pracy dla miłości bliźniego albo dla zajęcia, służącego zawsze dobrym celom. P. Bentzon podaje na każdej karcie nazwiska kobiet, które wsławiły się na polu humanitarnem. Widzimy więc imię pani Johnson, która objąwszy zarząd krajowego więzienia dla kobiet w Scherborn, zrobiła zeń wytrwałością i pracą niemal dom poprawy, w którym panuje niezwykła karność utrzymana li tylko słabą ręką niewieścią, kierującą się na równi miłosierdziem jak rozumem.

Idąc za p. Bentzon, zwiedzamy następnie szkoły przemysłowe, szkoły agronomiczne dla kobiet, do których i murzynki są przypuszczone; zapoznajemy się z p. Logan, której działalność znana jest w Chicago. Oddała się ona na usługi policyi, dopomagając jej w poszukiwaniach, mających na celu bronienie niesłusznie obwinionych i dopomaganie im w wyświeceniu prawdy.

Przechodzimy następnie do rozmaitych klubów przeznaczonych dla różnych klas społeczeństwa, przeważnie jednak uwagę naszą zwracają te, w których kobiety zajęte całodziennie przy handlu lub rzemiosłach znajdują nietylko kilka godzin odpoczynku i pożywienie za minimalną cenę, ale często przytułek na tygodnie, miesiące lub lata. Taki klub dyrygowany bywa wyłącznie przez kobietę i to zwykle obdarzoną wyższemi zaletami umysłu i serca — robiącą z niego szkołę życia, z której kobieta zagnana tam kolejami życia wynosi nieraz umoralnienie i trochę ukształcenia, udzielaniem którego w klubie takim trudnią się przychodzące panie, w formie zajmujących odczytów i prelekcyj — a nawet w razie potrzeby zupełnie prywatnych lekcyj, kiedy przez nie zdobyć się daje dla uczennicy posadę zapewniającą jej kawałek chleba.

Dziwić się nie możemy, że przy takim nastroju społeczeństwa niewieściego poziom umysłowy krajów Ameryki północnej rozwijać się musi we wszystkich warstwach. Statystyka wskazuje liczbę około trzydziestu tysięcy kobiet zajmujących posady nauczycielskie w wyższych i niższych zakładach naukowych. Cyfra ta wydaje się nam bardzo wy-

soka, dodać jednak musimy, że nauczycielki mają przystęp wolny nietylko do szkół wyższych i uniwersytetów żeńskich, ale do szkół i uniwersytetów mieszanych, t. j. takich, w których mężczyźni i kobiety razem pobierają nauki. P. Bentzon jest wielką zwolenniczką tego systematu amerykańskiego, twierdząc, że widziała i słyszała o najlepszych rezultatach, co jej jednak nie przeszkadza odtworzyć nam z wielką precyzyą obrazu uniwersytetów specyalnie żeńskich, jak hullestański *Harward Anex* lub *Bryn Mawr*, będących wyższemi zakładami naukowemi, połączonemi z internatem, dającym młodej kobiecie najtroskliwszą opiekę.

Wczytawszy się w książkę p. Bentzon, rozumiemy, że kwestya emancypacyi kobiecej w Ameryce a — w naszej Europie jest czemś zupełnie odrębnem. W Ameryce przodowniczkami tych idei są kobiety zacne, szanujące rodzinne życie, nie pragnące nic innego jak podniesienia poziomu intelektualnego i moralnego. Poparte one są przez mężczyzn widzących wyraźnie, że kobiety w tych warunkach nie dążą ku wyzwoleniu, popchnięte chęcią zawładnięcia światem, w celu pognębienia mężczyzny, ale powodowane myślą szlachetną, chcą po staremu zostać pomocnicami — mającemi tylko w razie potrzeby uzdolnienie zapewniające byt niewieście. Stąd wypływa, że Amerykanka, umiejąc sobie wystarczyć, nie ubiega się tyle za małżeństwem, kojarzonem coraz częściej z interesu tylko w naszej starej Europie. W Ameryce widzi się całe zastępy kobiet, które w rozrządzaniu swoją przyszłością zupełnie nie myślą o małżeństwie; zapał niezwykły dla postępu, nauki, kluby, stowarzyszenie zabijają, według p. Bentzon, życie rodzinne, za którem często Amerykanka przestaje tęsknić, mając o niem mroczne pojęcie z mglistych wspomnień lat niemowlęcych. Wiele bowiem kobiet żyje samotnie, siły swoje i życie poświęcając potrzebom zbiorowym ludzkości, dochodząc nieraz w tym kierunku do zupełnego zaparcia się siebie, jako jednostki.

Pomimo uznania, z jakiem mówi p. Bentzon o Amerykance, przypisuje ona rozstrój życia rodzinnego raczej zobojętnieniu dla niego, wpływowi nauki, pochłaniającej cały czas kobiety; czy w Europie jednak, gdzie, podług słów p. Bentzon, jest lepiej pod tym względem, kobieta tak szczerze i całkowicie poświęca swój czas rodzinie, o tem autor niniejszej pracy nie mówi, nie chcąc prawdopodobnie nastręczyć porównania, o ile więcej czasu poświęcamy zajęciom światowym i jak one — w pewnej zwłaszcza warstwie społeczeństwa — absorbują kobietę, a do tego jeszcze ujemny wpływ na nią wywierają. Z p. Bentzon wchodzimy również do salonów amerykańskich — ale

chyba dlatego, aby zaznaczać, czem się różnią od naszych. W europejskich bowiem salonach nudzą się, kiedy jakiekolwiek poważniejsze zagadnienie jest poruszone; nudzą się, kiedy kto chce mówić o literaturze; nudzą się, gdy się kto produkuje z muzyką. W Ameryce nie ma salonu zasługującego na to miano, gdzieby się temi kwestyami nie zajmowano; pomiędzy niemi zaś są prawdziwe Hotel Rambouillet; a i tam kobiety pierwsze zajmują miejsca, będąc duszą takich zebrań.

„Nowy Świat dużo dobrych i złych rzeczy zapożyczał od Starego", mówi p. Bentzon, dodając, że „wolno znowu Staremu dobre ze złego wybrać". Przychodzą nam te słowa na myśl przy czytaniu w książce p. Bentzon dużego rozdziału, poświęconego „systematycznemu kształceniu się kobiet w domu", które tak u nas jak i w Ameryce mogłoby znaleźć bardzo korzystne zastosowanie. Zdarza się często, że młoda kobieta po ukończeniu szkoły umysłowo rozwinąć się nie może dla braku sposobności ku temu, często nawet dla braku czasu, który przeważnie czem innem jest zajęty. Nagromadzone w szkole elementarne wiadomości zacierać się muszą w pamięci — zamiłowanie do nauki niknie nie podsycone żadną poważniejszą książką lub rozmową. Temu dziczeniu umysłowemu przychodzi w pomoc stowarzyszenie „systematycznego kształcenia się w domu", założone w 1873 r. w Bostonie przez p. Annę Ticknor. Początkowo sześć pań założycielek poświęciło się temu zadaniu, kształcąc przez korespondencyę czterdzieści pięć uczennic. Niebawem liczba nauczycielek wzrosła do stu ośmdziesięciu, uczennic zaś zapisanych jest czterysta trzydzieści — włączając do tej liczby czterdzieści sześć klubów, z których każdy figuruje jako pojedyńcze imię, chociaż cały klub z nauki korzysta.

Nauka w „Stowarzyszeniu" podzielona jest na działy, a w tych na sekcye, tak aby mniej i więcej ukształcone kobiety mogły z niej korzystać. Stosunek nauczycielki do uczennicy ogranicza się do korespondencyi, która z jednej strony jest wykładem, odpowiedzią na zapytanie, ze strony zaś uczennicy jakby rodzajem sprawozdań z przeczytanych książek i listowną rozmową, pełną nieraz uroku dla stron obu. Wkładka roczna pozwala zasilać wypożyczalnię książek, znajdującą się przy biurze nauczycielskiem. Po kilku latach stała się ona bardzo bogatą w kosztowne nawet publikacye; czerpać z niej wolno tylko systematycznie, tak jak pozwolono każdej uczennicy do jednego tylko działu należeć, studyując po kolei zalecone książki. Praca ta, błaha na pozór, wydaje, według słów p. Bentzon, najlepsze skutki. Są kobiety, które przez lat kilkanaście nie przerywają korespondencyi, będącej dla

nich zachętą i bodźcem do nauki w domu. Łącznik ten ze światem umysłowym jest nieraz dla młodej kobiety, zagrzebanej w dalekiej fermie Massachusettu, promykiem oświaty i świetlaną nicią w życiu powszedniem.

„Amerykanki u siebie“ są książką tak zajmującą, że z żalem stosować się musimy do ciasnych ram naszego sprawozdania, nie mogącego wszystkiego objąć. Wspomnieć jeszcze chcielibyśmy o tych Indyanach, sławionych przez Fenimore Cooper'a, a tak dziś wytępionych, że rozrzuceni po Ameryce ledwie dosięgają liczby kilkunastu tysięcy. Dziś wolne Stany Zjednoczone dają tym czerwonoskórym pewną nawet opiekę — nie odłączając jednak pogardy, którą także i czarnych darzą. Zakłady naukowe mają oni odrębne, nie będąc przypuszczani do innych. Katolicyzm krzewi się pomiędzy tymi, pokrzywdzonymi losem. P. Bentzon wchodzi z nami do kościołów, gdzie pod opieką sióstr zakonnych wznoszą się te „czarne“ i „czerwone“ ręce do nieba. Sądząc z pracy p. Bentzon, możnaby wnosić, że to są jedyne oazy wśród protestanckiego świata Ameryki. Przez ten świat tylko autor nas prowadzi. I tak słyszymy kazania wypowiadane przez kobiety, zarządzające parafiami, bywamy na nabożeństwach, po których wnoszą do kościoła herbatę z ciastkami dla wiernych, gwarzących o sprawach, nietylko kościoła dotyczących. Ciekawy okaz kobiecego duszpasterzowania...

Zapisując skrzętnie te ciekawe szczegóły, nie zajmuje się zupełnie p. Bentzon rozwojem katolicyzmu. Ktoby z innych źródeł nie wiedział, że ta ziemia wydała takie filary katolicyzmu, jak kardynał Gibbon, arcybiskup Ireland i inni, tenby prawdziwego obrazu Ameryki nie miał. Wprawdzie autor mówi tylko o kobietach, ale czyżby katolicyzm mógł nie mieć zupełnie reprezentantek swoich w świecie niewieścim? O katolickich szkołach żeńskich mówi dopiero autor w rozdziale swoim o Luizyanie, gdzie ukazuje je nam na niskim szczeblu oświaty, zacofane przynajmniej o wiek cały.

Nikt też nie wymaga od kobiety wykształcenia w pięknym kraju Luizyany; — bawią się tam jednak znakomicie, karnawały hałaśliwe przypominają Włochy tak, że ledwie wierzyć się chce bliskiemu sąsiedztwu północnych Stanów.

P. Bentzon jednak swojsko się czuje w Luizyanie. Krajobrazy tam piękne, słońce cieplej przygrzewa i wspólność krwi pociąga, dając zapomnieć, że ani dzisiejsze sympatye, ani nawet wspomnienia nie wiążą Luizyanów ze wspólną niegdyś ojczyzną.

M. S.

Die Glaubwürdigkeit unserer Evangelien. Ein Beitrag zur Apologetik. Von *Heinrich Boese S. J.* Mit Approbation des Hochw. Herrn Erzbischofs von Freiburg. Freiburg im Breisgau. Herdersche Verlagshandlung. 1895. VI. 140.

W przedmowie wypowiada autor następujące myśli: pytania o początku i naturze chrześcijaństwa żywo zajmowały i zajmować będą umysły ludzkie, a gdy z jednej strony obóz niewierzący z wytężeniem sił wszelkich pragnie przedstawić chrześcijaństwo jako utwór ludzkiej myśli i ludzkiej pracy, z drugiej strony obóz wierzących walczy z wielką gorliwością w obronie tego najwyższego dobra ludzkości. Walka ta okazuje, że ludzkość nie jest dziś obojętna w rzeczach wiary i religii. Lecz nasuwa się tu pytanie, czy można komu dysputą naukową, dowodami umiejętnemi wiarę narzucić, do wiary kogo przymusić; i pod tym względem wyjaśnia autor stanowisko katolickiej nauki. Wiary nikomu dysputą narzucić nie można, bo do wiary — potrzebna łaska boża i wolna człowieka wola. Nauka gotuje tylko drogę do wiary, przygotowuje tak zwane *praeambula fidei;* nauka ma wszelkiego rodzaju ludzkiemi racyami i sposobami udowodnić, że Chrystus jest nauczycielem od Boga posłanym, mającym moc bożą i bożą naukę. Tak człowieka nauka przygotowuje do wiary, a człowiek otrzymawszy tę pewność od nauki, ma, z pomocą łaski bożej, swą własną wolą dysponować się do wiary. Rozum ma prawo i ma obowiązek żądać dowodów, żądać gwarancyi od tego, kto występuje w imieniu bożem, jako nauczyciel od Boga wysłany, a otrzymawszy takie dowody, powinien uznać powagę boskiego nauczyciela, i jemu się poddać. Tak samo łatwowierności jak i niewiary w tej sprawie jednakowo strzedz się potrzeba. Takie postępowanie jest racyonalne, to jest rozumne, ale nie jest racyonalistyczne, czyli odrzucające wszelką możność objawienia. By tak postępować, wymagali już książęta Apostołów: św. Piotr I, 3, 15 i św. Paweł Tit. 1, 9. Wiarogodność ksiąg świętych, pouczających nas o początkach chrześcijaństwa, jest właśnie jedną z pierwszych kwestyj, którą rozum ludzki ma badać z całą bystrością i dokładnością. Kwestya wiarogodności ksiąg ewangelicznych ma niejeden punkt styczny z kwestyą autentyczności, to też obie te kwestye w połączeniu autor w księdze swej traktować zamierza, a książkę tę pragnie zastosować do potrzeb szerokiego koła czytelników.

Następuje rozdział pierwszy od str. 7—20, w którym autor omawia nowsze pojęcia o powstaniu i charakterze naszych Ewangelij. Słusznie mówi tu na wstępie (str. 7), że nie można myśleć, aby w tej

krótkiej rozprawie podał systematycznie przedstawioną całą historyę nowszej krytyki naszych ewangelij, że więc tylko wymieni głównych przedstawicieli tego pochodu, czyli tych różnych kolei, które krytyka Ewangelij przeszła w stosunkowo niedługim przeciągu czasu. I tak mówi (str. 7), że pierwsze powątpiewania o prawdziwości naszych Ewangelij wyszły nie ze strony (jedynie kompetentnej) historyków, lecz ze strony filozofów. W Niemczech pierwszy z filozoficznych względów to uczynił Lessing r. 1773, a po nim Kant 1793 w piśmie *Die Religion innerhalb der Grenzen der blossen Vernunft.* Dalej wspomina autor, jako stanowiących punkty wytyczne, Gottloba Paulusa, z jego naturalistycznym sposobem tłumaczenia Pisma św. [1], Dawida Friedricha Straussa z systemem podań i legend, i Ferd. Chr. Baur'a, założyciela młodszej szkoły tübingskiej, która siebie chętnie nazywała historyczną, a którą inni krytycy nazwali słusznie szkołą tendencyjnie krytyczną. Po szkole tübingskiej następują Eklektycy. Prąd to trochę mniej radykalny, ale którego reprezentanci tak samo z sobą nawzajem zgodzić się nie mogą, jak ich poprzednicy ze szkoły Baur'a. W oznaczeniu roku powstania naszych Ewangelij synoptycznych (tj. św. Mateusza, Marka i Łukasza) bardzo się rozchodzą zdania krytyków tej szkoły, i również bardzo różne podają daty powstania Ewangelii naszej czwartej. Naprawdę, bardzo barwną mozaikę tworzą zdania i dowody tych krytyków niemieckich, gdy rozprawiają o roku powstania naszych Ewangelij lub gdy starają się okazać, w jaki sposób nawzajem z siebie korzystali ewangeliści synoptyczni [2].

Wspomina następnie autor (str. 17) o hipotezie protoewangelii *(Urewangelium)*, z której, według pomysłu niektórych krytyków, miały powstać nasze synoptyczne Ewangelie, i kończy ten rozdział słuszną uwagą (str. 19), że ci, lubo uczeni, nowsi krytycy nie zasługują na zaufanie, skoro tak przeróżne wypowiadają zdania, i tak bardzo jedni

[1] To jest egzegezą, która gwałtownie, a często nader śmiesznie, wszystkie cuda Pana Jezusa tłumaczy jako fakty czysto naturalne.

[2] Podajemy krótką próbkę, by okazać, jak przeróżne są zdania krytyków nowszych o tem, jak nawzajem ewangeliści jeden z drugiego korzystali, i jak z jednej Ewangelii powstawały inne następne: *a)* zdanie najdawniejsze, które już Orygenes podał: Mateusz pisze pierwszy, z niego korzysta Marek, a z nich obu Łukasz, za tem tradycyjnem zdaniem zawsze szło wielu i do dziś dnia idzie wielu poważnych pisarzy; *b)* Marek korzystał z Mateusza i z Łukasza — to jest zdanie autorów, jak: Griesbach, Saunier, F. I. Schwarz, A. Maier, Delitsch, Köstlin, de Wette, Bleek, Zeller i innych; *c)* Marek jest pierwszym ewangelistą, z niego korzysta Mateusz, w tekście hebrajskim

drugich nazwzajem zwalczają. Taki krótki podaje pogląd nasz autor na szkoły krytyczne nowoczesne; i zupełnie wystarcza ten pogląd dla tych, którzy specyalnym studyom w tej nauce się nie oddają, czyli dla szerokiego koła czytelników, dla których autor swą książkę przeznaczył.

Od str. 20 do 104 rozdział drugi. Tu są podane świadectwa historyczne o czasie powstania naszych Ewangelij i o ich apostolskiem pochodzeniu. Okazuje tu autor najpierw (do str. 28) jak klasycznym świadkiem dla naszych Ewangelij jest św. Ireneusz z Lyonu, a następnie (do str. 44) przedstawia całą siłę dowodową, jaka dla prawdziwości naszych Ewangelij jest w pismach św. Justyna, apologety i męczennika. Następują, do str. 54, dowody prawdziwości naszych Ewangelij, czerpane z pism Tatiana, omówione jest znaczenie Kanonu Muratori'ego, i dwóch innych świadectw Kościoła rzymskiego, pochodzących z pierwszych dwóch wieków, a temi są: pisma św. Klemensa rzymskiego i obrazy wymalowane na ścianie w katakumbie św. Prysscylli. Po tych dowodach tradycyi, zachowanej w kościele rzymskim, przywodzi autor świadków wiarogodności naszych Ewangelij z innych Kościołów, a to: św. Polikarpa, biskupa Smyrny (do str. 63), Papiasza z Hierapolis, ucznia św. Jana Ewangelisty (do str. 71), św. Ignacego, drugiego następcy św. Piotra na stolicy antyochejskiej (do str. 83). Świadectwa prawdziwości Ewangelij, jakie ci wielcy świadkowie podają, znajdują poparcie ze strony innych, chociaż już nie pierwszorzędnego znaczenia, a takiem poparciem, to list Barnaby str. 84, pisma heretyka Basilidesa (str. 85) i heretyka Valentyna i tegoż uczniów (do str. 91). Przywodzi następnie autor świadectwa dwóch apologetów Kościoła greckiego, to jest Aristidesa i Kwadrata (do str. 97). Świadectwami dotąd wyliczonemi nader jasno okazał autor, że Ewangelie nasze były dobrze znane najdawniejszym Kościołom w pierwszych dziesiątkach drugiego wieku i z końcem pierwszego wieku, i że każdy, kto cytował wyjątki z tych Ewangelij, odwoływał się na nasze Ewan-

---

i Łukasz, a tłumacz grecki Mateusza (dzisiejszego) korzysta z Marka i Łukasza — to jest zdanie Storr'a, Lachmanna, Hitziga, Ritschla, Holtzmanna, Weissego, Weissa; *d)* Marek jest najdawniejszym ewangelistą, jego rozszerza Łukasz a tego zaś Mateusz — to zdanie pisarzy, jak: Wilke, Schneckenburger; *e)* Łukasz jest najdawniejszym ewangelistą, z niego korzysta Mateusz, a z nich obu Marek — to głosi z Niemców Büsching, z Anglików Evanson; *f)* Łukasz jest pierwszym ewangelistą, z niego korzysta Marek, a z nich obu Mateusz — to jest zdanie Vogel'a w *Gablers Journal für theolog. Literatur* 1804.

gelie, jako na księgi święte, w całym Kościele od samego początku wszystkim znane.

Od str. 97 dalszych świadków wiarogodności Ewangelij autor nasz już nie przywodzi; uważa za zbyteczne powoływanie się na naukę apostolską, na tak zwany drugi list Klemensa i na homilie klementyńskie, a reasumując świadectwa dotychczas cytowane, konkluduje na str. 99, że na podstawie podanych dowodów z całą dokładnością trzeba wnioskować, iż nasze Ewangelie między rokiem 90 a 100 już istniały, i że właśnie nasze dzisiejsze Ewangelie są temi pismami, które są już znane pierwszym uczniom apostolskim i ich następcom. Waryanty tekstów nie ujmują nic wiarogodności Ewangeliom naszym, bo one zmieniają tylko pojedyńcze słowa, ale nie zmieniają myśli. Zresztą, jak najkompetentniejsi pisarze Westcott i Hort okazują, ledwo do jednej tysiącznej części tekstu Nowego Zakonu odnoszą się zmiany w lekcyach, czyli w tekscie. Jak zaś, mimo bardzo licznych waryantów w tekscie Cezara i Cicerona, każdy rozsądny wie, że czyta księgi przez samego Cezara i Cicerona napisane, tak samo każdy rozsądnie myślący wie, że przy waryantach tekstów Ewangelij czyta księgi przez samych ewangelistów napisane. Autor nasz rezygnuje na dokładne oznaczenie [3], w której dziesiątce lat zostały napisane pojedyńcze Ewangelie, a cały najważniejszy rozdział III-ci od str. 106—140 przeznacza na udowodnienie, że zupełnie wiarogodne są nasze Ewangelie, skoro już egzystowały i wszystkim ówczesnym Kościołom były znane w czasie między rokiem 90-tym a 100-nym.

Do str. 110 okazuje następnie, że za życia takiego św. Polikarpa, św. Ignacego, Papiasa i św. Klemensa rzymskiego, których ówczesne Kościoły bardzo czciły, a którzy bardzo dbali o czystość nauki podanej od Apostołów, było niemożebne podsunąć Kościołom Ewangelie niewiarogodne, nieautentyczne. Fałszywych, niewiarogodnych Ewangelij nie ścierpieliby tacy uczniowie apostolscy. Ale i w czasie, nim wystąpili jako głównie działający znajomi nam uczniowie apostolscy, było niemożebne sfałszowane i niewiarogodne Ewangelie podać wier-

[3] Str. 105. Autor nasz mówi, że trudno myśleć o powstaniu czyli napisaniu naszych Ewangelij przed rokiem 50. Zdanie to autora, o ile ono odnosi się do Ewangelii św. Mateusza, niewielu podpisałoby biblicystów, bo z wszelką słusznością można sądzić, na podstawie pewnych danych historycznych, jako Euseb. H. E. 3. 24. 6. XX — 5. 18. 14. XX. 480 — Niceph. Call. 2. 45. CXLV. 881. że przed rokiem 50-tym już była napisana nasza pierwsza Ewangelia.

nym, bo tylko prawdziwe fakta, prawdziwą naukę Chrystusa Pana, można było podawać tej generacyi, która żyła z Chrystusem Panem i Chrystusa znała. Taki tylko Mesyasz, jak nam Go przedstawiają Ewangelie, mógł być twórcą nowego Kościoła i nowej religii wśród żydowskiego narodu i na ziemi żydowskiej. Te prawdy jasno przedstawia autor w drugim ustępie III-go rozdziału od str. 110—122 i okazuje równocześnie bezpodstawność i płytkość odnośnych zarzutów racyonalizmu.

Od str. 122—136, ostatni artykuł: „Wiarogodność Ewangelij jako pism apostolskich". Tu okazuje zwięźle, że Ewangeliści nasi samą czystą prawdę pisali i same historyczne fakta nam podali. Trochę obszerniej (od str. 131—136) pokazuje na jednym tak zwanym wewnętrznym dowodzie, a to na charakterystyce św. Piotra we wszystkich czterech Ewangeliach nam podanej, jak zgodne są ze sobą wszystkie cztery Ewangelie, i jak już ten sam jeden przykład wewnętrznych dowodów okazuje wiarogodność Ewangelij.

Kończy całą pracę domówienie *(Schlusswort)* od str. 136—140. W tem autor dowodzi, że ze stanowiska filozoficznego nie można podawać słusznych racyj przeciw wiarogodności naszych Ewangelij. W tym rozdziale autor nasz nie jest już biblicystą i historykiem, ale głęboko, bardzo trzeźwo myślącym filozofem.

Książka ta zasługuje, by w najszerszych kołach była czytana, a cześć dla Ewangelij, wiarę w te święte księgi nasze wielce ona podnieść i wzmocnić jest zdolna.

Ks. Stanisław Spis.

La conversion d'Augustin Thierry. Par *le Père H. Chérot* de la Compagnie de Jesus. Odbitka z *Etudes religieuses*. Paryż. 1896 (w 8ce str. 77).

Niewielka ale zajmująca to broszura, napisana z okazyi setnej rocznicy urodzin jednego z najznakomitszych dziejopisarzy, jakimi Francya szczyciła się w pierwszej połowie bieżącego stulecia. Autor postawił sobie za główne zadanie dowieść na podstawie zeznań ustnych i pisemnych korespondencyj najzaufańszych przyjaciół Thierrego, iż nawrócenie się jego z obozu racyonalistów do Kościoła katolickiego było zupełne i szczere, oparte na wewnętrznem przekonaniu, wbrew twierdzeniom Renan'a i Bonnet'a, którzy fakt ten chcieli podać w wątpliwość lub przynajmniej osłabić jego znaczenie. Nie ograniczając się na tem a chcąc osobistość tak głośnego niegdyś historyka w możliwie najpeł-

niejszem przedstawić świetle, autor kreśli także w głównych rysach życie jego, charakterystykę oraz działalność literacką; szczegółowo zaś omawia zachowanie się krytyki tak racyonalistycznej jak katolickiej wobec Thierrego i wpływ jej na jego powrót do wiary, tudzież na usiłowania, podjęte w celu retraktacyi historycznej.

A. Thierry urodził się 10 maja 1795 r. w Blois z zacnych acz niemajętnych rodziców. W bardzo młodym jeszcze wieku, bo mając nie więcej niż 15 lat uczuł w sobie silny pociąg do dziejopisarstwa, a na wzbudzenie tego zapału wpłynęła nie najmniej lektura świeżo pod ten czas (1810) wyszłych „Męczenników“ Chateaubrianda. Prześliczny „bardyt“ z 6 księgi tej epopei, zaczynający się od słów:„ *Pharamond! Pharamond! Nous avons combattu avec l'epée!* rzucił w umysł młodzieńca posiew, z którego po latach 20 lub 30 wyróść miały „Opowieści merowińskie“, najcelniejsze i najbardziej wykończone dzieło Thierrego.

Po ukończeniu nauk gimnazyalnych Thierry kolejno był profesorem kolegium w Compiègne, liberalnym dziennikarzem, Saint-Symonistą i karbonaryuszem (1821—22). Za Karola X. widziano go w szeregach opozycyi, podnoszącej sztandar „trzeciego stanu“; redagował on w tym czasie głośne organy opozycyi: *Censeur européen* i *Courrier français.* Pomimo tego zaimponował królowi tak dalece, że ten zamyślał drogą ordynansu królewskiego zaszczycić go tytułem członka Instytutu, co wszakże, dla przyczyn bliżej nieznanych, nie doszło do skutku. Aż po 1830 r. przyszły Koryfeusz historyografii francuskiej był rewolucyonistą i marzycielem politycznym, ale rzadko który doktryner i rewolucyonista okazywał tyle dobrej wiary w słuszność swych aspiracyj i możliwość ich urzeczywistnienia, tyle naiwnej szczerości w rozgłaszaniu i wyłuszczaniu swego programu politycznego i tyle bezinteresowności w korzystaniu z owoców zwycięstwa.

W r. 1830 Akademia *des Inscriptions* mianowała go swym członkiem. Odtąd nauka była jedyną namiętnością jego życia. Rewolucyę lipcową powitał z radością, cieszył się zwłaszcza, iż burżuazya wreszcie doszła do władzy. Od tego czasu myśl jego zwraca się ku badaniom minionych wieków. Już od r. 1820 obok dziennikarstwa zaprzątały Thierrego także poważne i natężone studya historyczne, które niestety zarazem mocno podkopały jego zdrowie i już w r. 1825 przyprawiły go o zupełną niemal utratę wzroku. W tymże roku pojawiła się w druku pierwsza jego praca historyczna: „Historya podboju Anglii przez Normandów“ *(Histoire de la conquête de l'Angleterre par les Normands).* Następnie ukazały się z kolei: „Listy o dziejach Francyi“ *(Lettres sur*

l'histoire de France. 1827), „Opowieści merowińskie“ *(Récits des temps mérovingiens* w *Revue de Deux-Mondes. 1833—41)*, a w 20 lat później „Szkic historyczny o powstaniu i rozwoju trzeciego stanu“ *(Essai sur l'histoire de la formations et des progrès du tiers-état. 1853)*. Wszystkie wyliczone tu prace obejmują w zbiorowem wydaniu 5 tomów — niewiele, jakby się zdawało, a jednak bardzo dużo, jeśli się zważy, że ten, który na tyle się zdobył był — ociemniały.

Thierry jest wielce utalentowanym inicyatorem, poniekąd nawet twórcą nowej metody historycznej we Francyi, która z czasem się upowszechniła i świetne pod wielu względami przyniosła rezultaty. Metoda ta polega na harmonijnem połączeniu erudycyi ze sztuką, nauki z imaginacyą. Thierry nie zadawalnia się dokładnem poznaniem wielkich wydarzeń i znakomitych osobistości, lecz dokoła wypadku grupuje całą epokę, a portrety ludzi, występujących na widowni, kreśli zarówno z psychologiczną prawdą, jak z olśniewającym kolorytem. O stronę stylistyczną nasz historyk nie mniejszą okazywał troskliwość: dowiódł też, że autor, zniewolony dyktować, stylowi swojemu taką samą potrafi nadać świetność, jak inny, który płody swego umysłu własną ręką na papier przelewa. Rzec można, że u Thierrego staranie o nadobną formę było rodzajem kultu. Jego sposób pisania odznacza się niezwykłą jasnością, przejrzystością i wdziękiem, przypominającym dykcyę Racine'a.

Ślepota fizyczna dotkliwie dawała się uczuwać pracowitemu historykowi aż do ostatniej jego godziny; ale za to nigdy, aż dopiero w ostatniej, kilkudniowej chorobie, nie opuścił go ani na chwilę jasny wzrok ducha. W salonie księżniczki Belgiojoso przy ulicy Montparnasse, gdzie zbierały się wszystkie najznakomitsze talenta naukowe ówczesnego Paryża, Thierry należał do najchętniej widzianych gości, tak dla swej uczoności, nie rażącej pedantyzmem, jak i delikatnego, dalekiego od wszelkiej afektacyi, obejścia.

Rewolucya ludowa spadła na naszego historyka niby grom, niweczące odrazu wszystkie jego nadzieje polityczne i burząc tak czule przezeń pielęgnowany ideał „samowładczego zwierzchnictwa ludu“, mającego się zrealizować w monarchii parlamentarnej. Głęboko zniechęcony do burżuazyi, która zwyrodniała w ohydną demagogię, Thierry porzucił najulubieńszy przedmiot swych badań historycznych: historyę trzeciego stanu, której wątek wskutek tego urwał na epoce Ludwika XIV., w apageum monarchii absolutnej. Wolał on teraz wrócić do dawniejszych wieków; jednakże nic nowego nie napisał, tylko trzytomowy „Zbiór

pomników, odnoszących się do historyi trzeciego stanu" *(Recueil des monuments inédits de l'histoire du tiers-état. Premièrè série. Région du Nord).*

Atoli nauka nie wystarczała już dziejopisarzowi Francyi, a mniej jeszcze sława, jaką pracami swemi był sobie zdobył. Thierry wyznawał dotychczas racyonalizm, ów płytki racyonalizm, jaki cechuje inteligencyę francuską z połowy naszego stulecia. Taki też kierunek przeważał w kółku znakomitości naukowych, w którem się Thierry obracał. Obok prawych chrześcijan, jak Montalembert, Henryk Wallon i de Meaux, spotykamy w salonie na bulwarze Montparnasse takich wolnomyślicieli jak Fauriel, Mignet, Cousin, Villemain, Sainte-Beuvo, Tocqueville, Jan Wallon, Michelet, Henryk Martin i Jan Jakób Ampère. Ostatni najwięcej ze wszystkich był zbliżony do naszego historyka pod względem umysłu i serca, wspólnością studyów, w końcu nawróceniem się do katolicyzmu. Złym duchem owego grona był Ernest Renan, późniejszy panegirzysta Thierrego, geniuszem zaś dobrym ks. Deguerry, który zakończył życie jako męczennik komuny.

Stanowczy zwrot ku wierze katolickiej dokonał się w Thierry'm w r. 1851. Wówczas to bowiem ks. Hamon, od niedawna proboszcz parafii św. Sulpicyusza, pierwszy podjął się trudnego, jak mniemał, zadania sprowadzenia zbłąkanej owieczki na łono Kościoła. Na pierwszej zaraz wizycie, jaką złożył schorzałemu historykowi, Hamon ku wielkiemu swemu zdziwieniu i radości znalazł go nadspodziewanie dobrze usposobionym. „Zadaniem rozumu, mówił Thierry do proboszcza, jest dowieść, że Bóg przemówił do ludzkości przez Jezusa Chrystusa; a skoro wielki ten fakt został raz udowodniony przez historyka, rozum nie ma prawa wszczynać nad nim dyskusyi; obowiązkiem jego jest przyjąć za pośrednictwem Ewangelii i Kościoła to, co Bóg powiedział, i wierzyć; jest to użytek najszlachetniejszy, jaki rozum może zrobić z swych zdolności". Węzeł przyjaźni, zawiązany między tymi dwoma mężami pod tak pomyślną wróżbą, odtąd coraz więcej się ścieśniał. Hamon zdołał też niebawem nakłonić historyka do przyrzeczenia, że przy najpierwszej ku temu sposobności pojedna się całkowiecie z Bogiem przez przystąpienie do śś. sakramentów. Szkoda tylko, że zostało tym razem przy samej obietnicy.

Większy może wpływ niż Hamon począł niebawem wywierać na Thierrego odnowiciel kongregacyi Oratoryanów, ks. Gratry, odkąd uzyskał wstęp do kółka, zbierającego się w salonie księżniczki Belgiojoso. Przy pierwszem spotkaniu się z uczonym Oratoryaninem, rzekł doń Thierry: „Jestem racyonalistą znużonym, chcę przejść na łono

Kościoła, którego powadze poddaję się". Odtąd Gratry stale kierował sumieniem naszego historyka.

Co spowodowało Thierrego do odrzucenia racyonalizmu? Tylekrotnie sprawdzana historya o synu marnotrawnym, który w porywie młodzieńczej nieroztropności zrzucił z siebie jarzmo zbawienne Kościoła, powtórzyła się także u niego, i to z wszystkiemi fazami chimerycznych złudzeń, bolesnych rozczarowań i ostatecznego wycieńczenia ducha. Przerzucając się od jednego systemu do drugiego, szukał on filozofii, zdolnej i rozum uwolnić od powątpiewań i serce napełnić szczęściem, płynącem z pełnienia obowiązku. Lecz daremnie! Thierry nie znalazł w racyonalistycznej filozofii ani jednego, ani drugiego — znalazł jedno i drugie dopiero w wierze. „Są ludzie, powiedział on później księdzu Gratry, którzy nie mogą zrozumieć, skąd to pochodzi, iż tak liczne zdarzają się nawrócenia na katolicyzm pomimo tak licznych zarzutów i trudności, przeciw niemu podnoszonych. Wszak to rzecz prosta: Katolicyzm jest prawdą, jest prawdziwą religią rodzaju ludzkiego. Zarzuty rzekomo filozoficzne takiemi w rzeczy samej nie są; przeciwnie wszelka prawdziwa filozofia wszystkich czasów i wszystkich narodów mieści się w nauce katolickiej. Tam ześrodkowana jest wszelka prawda, a człowiek tem głębiej brnie w błędy, im bardziej się od tej prawdy oddala. Stąd też luteranizm mniej wart od anglikanizmu, kalwinizm od luteranizmu, unitaryzm od kalwinizmu i t. d.

Wiara Thierrego nie była jednak bynajmniej zrzeczeniem się własnego sądu. Nawet w kwestyach dogmatycznych chciał on z każdej prawdy zdawać sobie dokładnie sprawę i jasno ją widzieć. Na kilka dni przed ogłoszeniem definicyi dogmatu o Niepokalanem Poczęciu (8 grudnia 1854 r.) okazywał Thierry, jak opowiada Gratry, wielki niepokój z powodu mającego nastąpić orzeczenia kościelnego i żywą przeciw niemu opozycyę. Lecz gdy ogłoszenie dogmatu było dokonane rzekł: „Teraz Kościół orzekł, ulegam jego powadze".

Trzecim apostołem czynnym w sprawie pozyskania Thierrego dla wiary był ks. Adolf Perraud, obecny biskup z Autun i członek Akademii francuskiej, który podówczas świeżo wstąpił do odnowionej kongregacyi oratoryańskiej. Z polecenia swych przełożonych i na prośbę chorowitego wciąż historyka czytywał mu przez 2 lata (1854—56) raz w tygodniu książki treści religijnej. Ponieważ młody kleryk sam z wielkim zapałem oddawał się studyom historycznym, przeto rozmowa obu często zaczepiała o kwestye historyczne. Tą drogą Perraud dowiedział się, że autor „Opowieści merowińskich" znalazł w dziejach

świata starożytnego pierwsze pobudki, skłaniające go do powrotu do wiary. „Pragnę mieć wiarę prostaczków — były jego słowa do Perrauda,— nie jestem filozofem, lecz historykiem. Nie usiłuję zgłębić metafizyki chrystyanizmu, gdyż to przechodzi poziom mego umysłu. Biorę Kościół jako fakt, który narzuca się mej uwadze, którego ani usunąć, ani ominąć nie mogę. Z drugiej strony, próbując wytłumaczyć racyami ludzkiemi istnienie tego faktu i jego wszechstronne następstwa w pochodzie dziejów, doznaję kompletnej porażki. Powody ludzkie nie zostają w żadnym zgoła stosunku do pojawienia się i utrwalenia na widowni świata religii chrześcijańskiej, ani do jej rozpostarcia przez Kościół.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że człowiek tak głęboko wierzący i tak śmiało wiarę swą wyznający byłby, prędzej czy później, został także katolikiem praktykującym. Niestety Thierry nie umiał skorzystać z czasu; przystąpienie do stołu pańskiego odkładał wciąż na jutro, a nie było mu danem dożyć tego „jutra". W maju 1856 nagły atak apoplektyczny odebrał mu przytomność i w tym stanie pozostał on przez trzy następne dni aż do skonania. Przed śmiercią, która nastąpiła 22 maja, proboszcz św. Sulpicyusza udzielił mu jeszcze ostatniego olejem namaszczenia.

Zwrot wielkiego dziejopisarza ku religii pozytywnej musiał, rzecz oczywista, niemałe sprawić wrażenie w świecie naukowym Francyi, a zwłaszcza w obozie racyonalistycznym. To też starano się z tej strony najbardziej osłabić doniosłość tego faktu, dwaj znani pisarze podjęli się tego trudu: renegat Renan i protestant M. J. Bonnet. Ale, jak wykazuje autor, świadectwa są zanadto oczywiste i niepodejrzane, iżby można powątpiewać o szczerości nawrócenia Thierrego. Warto tu jeszcze zaznaczyć, jak historyk francuski zapatrywał się na protestantyzm. „Protestantyzm i historya, mówił do księdza Gratry, to dwie rzeczy absolutnie nie przystające do siebie. To też system protestancki był zmuszony skonstruować *ad usum proprium* historyę fikcyjną. Dziwię się, że protestantyzm trzyma się jeszcze na takim gruncie".

Thierry pojednał się z katolicyzmem nietylko jako myśliciel, lecz także jako pisarz — rzecz z wielu względów nierównie trudniejsza od pierwszej i większej wymagająca ofiary. Thierry był członkiem Instytutu, a od r. 1830 stałym laureatem nagrody Goberta. W „Opowieściach merowińskich" i w „Historyi podboju Anglii" spotkać można było liczne napaści na Kościół, na to wszystko, co każdy katolik uważa za święte. Nic więc dziwnego, że przeciw tym napaściom podniosły się

głosy ze strony nauki katolickiej. Dwaj zwłaszcza pisarze zyskali rozgłos swą polemiką z Thierry'm: Leon Aubineau (1851) i J. M. Salwator Gorini (1853). Choć podniesione przez tych pisarzy zarzuty do żywego dotknęły naszego historyka, przecież oddziałały one nań tylko zbawiennie, bo nakłoniły go do stanowczego postanowienia przerobienia swych dzieł. Zabrał się też do tej pracy, ale szła ona bardzo zwolna, bo Thierry chciał dokonać swej retraktacyi z całą sumiennością, nie bacząc na wątłość sił, które go coraz bardziej opuszczały. Niestety tylko „Historya podboju Anglii" doczekała się całkowitej rewizyi i przeróbki przez samego autora. Inne prace Thierrego zachowały swe zabarwienie racyonalistyczne: są one jednak dziś mniej szkodliwe niż ongi.

Nawrócenie się znakomitego dziejopisarza francuskiego należy niezawodnie do najjaśniejszych kart w historyi nawróceń XIX. stulecia i dlatego podaliśmy tu tak obszerne stosunkowo streszczenie pracy ks. Chérot, zwłaszcza że u nas zapewne mało kto słyszał o owym dziejopisarzu-konwertycie, a jeszcze mniej znajdzie się takich, którym wyrażona w tytule broszura wpadnie w ręce. Kilka dokumentów dotyczących omawianego przedmiotu zamyka jako *pièces justificatives* sumienną i zajmująco napisaną pracę ks. Chérot.

Herman Libiński.

Graf Leo Tolstoi. Intimes aus seinem Leben. Von *Anna Seuron.* Berlin. 1895.

Porównać się do kawki, i to do kawki, która lata jak najęta koło kościelnej bani i wrzeszczy przeraźliwie, byłoby już wielkim znakiem głębszego zrozumienia swojej istoty. Ale autorka pamiętnika o Tołstoju zapewnia czytelników ciekawych jej genealogii, że ona nawet ani taką kawką nie jest — ona jest tylko jednodniową muszką, która wśród dalekich szlaków Moskwy smutno brzęczy i daje się wiatrom na wszystkie strony szamotać.

Otóż ta czuła kawka, czy muszka, była czas dłuższy guwernantką na dworze Tołstoja, siadała z nim przy jednym stole, patrzyła na każdy jego krok, słowem, koło tej bani, którą dzisiaj na całą Europę widać, skakała bokiem, czy latała dość długo — a dzisiaj czuje potrzebę odkrakać czy wybrzęczeć to, co widziała.

Źle być wielkim człowiekiem, bo człowiekiem być się musi, a ludzie na wszystko patrzą i wszystko notują. Człowiek jak Tołstoj, a zwłaszcza tak ekscentryczny, powinienby oddzielić się od świata siedmiu lądami i siedmiu morzami i tylko od czasu do czasu wystawić

nos na świat i to w jakiejś pozie, na jakimś postumencie. Inaczej przyczepi się jakaś kawka, czy pijawka, wszystkie sekrety wyssie, aby wszystko potem między ludźmi rozgadać.

Jakiż ten Tołstoj w tym pamiętniku dziwaczny? Mogą być te wszystkie oryginalności, ekscentryczności, dystrakcye rzeczą zupełnie prawdziwą: może Tołstoj zakradać się wieczorem po kawał mięsa do kuchni; może jeździć budą z małomiejskimi komedyantami, aby razem z nimi dawać przedstawienie; może czytać chłopom, dla usłyszenia ich sądu, swoje tragedye, przy których chłopi w najtragiczniejszych miejscach parskają śmiechem; może nawet w butach obłoconych nawozem siedzieć kilka godzin w salonie, ale mimo to pozostaje on zawsze człowiekiem wyższego umysłu i szerszego serca, a takim ludziom wiele dziwactw puszcza się płazem — bo bierze się ich w całości. Portret człowieka, którego pojmuje się tylko pod kątem ekscentryczności, musi wypaść źle a i fałszywie!

Żeby przynajmniej autorka była zachowała formę pamiętnika i jeżeli już nie racyonalną, to przyjemną przynajmniej lekturę dała czytelnikom. Gdzietam! Zachciewa się jej jakiejś ciekawej tragiczności w nagłówkach, w toku opowiadania nieudanych obrazowań; co chwila pauzy, kropki, wykrzykniki, jakieś oryginalne apostrofy do siebie samej, nieszczęśliwej muszki. Chce np. powiedzieć, że już opowiadanie zbliża się ku końcowi — nie powie tego w formie prostej: „muszę już skończyć“ — ona musi dogodzić swojej czułej naturze i pyta siebie samej: „Zum zum, dokąd to już chcesz odlecieć, jednodniowa muszko?“

Takie książki nie przynoszą zaszczytu ani opowiadającemu, ani temu, o którym opowiadają. Ciekawy byłem, jakie z tego pamiętnika wyniesie pojęcie o Tołstoju człowiek skądinąd Tołstoja nieznający i zaniosłem książkę do jednego staruszka, bystro jeszcze rzeczy osądzającego. Za kilka dni zjawił się przedemną wesoły staruszek, i kiwnąwszy ręką z niechęcią, zawołał: „Tołstoj niemądry Wojtuś, a Seuron niemądra Kasia“.

Ks. Jan Pawelski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Mowa Ojca św. do francuskich pielgrzymów. — Instrukcya dla misyonarzów na Wschodzie. — List papieski do biskupów węgierskich. — Rozprawy o pojedynku w parlamencie niemieckim. — Wyznania starokatolika o starokatolicyzmie.

MOWA OJCA ŚW. DO FRANCUSKICH PIELGRZYMÓW.

Ostatni miesiąc przyniósł nam trzy wielkiej wagi dokumenty papieskie: mowę do francuskich pielgrzymów z Limoges, wyczerpującą instrukcyę dla misyonarzów pracujących na Wschodzie i list do biskupów węgierskich, wydany z okazyi peszteńskich uroczystości jubileuszowych.

„Jako dziedzic — mówił Ojciec św. do tłumnie zebranych francuskich pątników — i naśladowca tradycyj dostojnych naszych poprzedników, daliśmy niejednokrotnie, a w szczególności korzystając z przypadającej obecnie rocznicy chrztu Klodwiga, narodowi waszemu bijące w oczy dowody naszej ojcowskiej miłości. Jakąż byłaby radość nasza, jakąż byłaby radość całego katolickiego Kościoła, gdyby kraj wasz zrzucił ze siebie gniotące jarzmo niecnych sekt i wrócił z całym zapałem do chrześcijańskich, rycerskich ideałów swych przodków. Jaka byłaby to dla nas pociecha, gdyby przynajmniej wszyscy prawdziwie katoliccy Francuzi poszli z dziecięcą ufnością za danemi przez nas wskazówkami, i podali sobie wzajemnie prawice w jednym i tym

samym duchu zgody i jednomyślnej działalności. Niestety! kiedy bezbożnicy odnoszą, zdawałoby się, coraz większe tryumfy, między dobrze myślącymi wciąż panuje, wciąż się krzewi niezgoda. Smutno rzeczy stoją, tak, że samaż miłość, którą żywimy dla waszej ojczyzny, zmusza nas do obawy — bo z miłością łączy się zawsze bojaźń o ukochanych, — czy dożyjemy spełnienia gorących modlitw, które codzień za was zanosimy do nieba".

INSTRUKCYA DLA MISYONARZÓW NA WSCHODZIE.

Obszerna, wydana pod datą 19 marca instrukcya dla biskupów i misyonarzów na Wschodzie, jest jakby rozszerzeniem i naturalnem uzupełnieniem ogłoszonej w 1894 r. konstytucyi apostolskiej *Orientalium*. „Na Wschodzie — jak zauważa papież we wstępie do nowego *Motu proprio* — istnieją od dawien dawna zupełnie odrębne miejscowe i osobiste stosunki. Często na tem samem miejscu spotkać można parę ściśle katolickich, od Kościoła upoważnionych obrządków, a co zatem idzie, paru biskupów; obok nich pracują wysłani przez Stolicę św. łacińscy kapłani; przebywają osobni, z ramienia papieża wykonywujący swój urząd, rzymscy delegaci. Wszyscy oni ożywieni muszą być temi samemi zamiarami, dążyć do tego samego celu, jeżeli mają gromadzić nie rozpraszać, budować nie burzyć. Dla osiągnięcia tej zgody i jednomyślności mają odtąd patryarchowie zjeżdżać się przynajmniej dwa razy na rok na wspólne konferencye i radzić na nich o dobru duchownem poruczonych sobie krajów, o sposobach rozżarzania gorliwości swego kleru, o drogach, któremiby można sprowadzić schyzmatyków do jedności z Kościołem. W szczególności na trzy punkta zwracamy uwagę, jako na najpierwsze i najważniejsze. Pierwszy dotyczy troskliwości o wychowanie kleryków w świątobliwości życia i znajomości swego obrządku. Drugi odnosi się do podtrzymywania i pomnażania szkół dla młodzieży. Wreszcie nie mniej jest ważnem i pożytecznem starać się o rozszerzenie dzienników i różnorodnych rozumnie redagowanych pism peryodycznych. Pisma takie wyświadczają religii, w obecnym stanie rzeczy, bardzo pożądane usługi; z jednej strony zbijają oszczerstwa i błędy, z drugiej ożywiają i rozszerzają przywiązanie do Kościoła, zwłaszcza

tam, gdzie brak księży. Katolicy czytając takie pisma dowiadują się o ważnych, interesujących sprawach odnoszących się do religii, o pięknych czynach i przedsięwzięciach swych współbraci, o sidłach zastawianych przez przeciwników, o troskach biskupów i Stolicy Apostolskiej, o zmieniających się kolejno boleściach i radościach Kościoła. Poznanie i ciągłe rozpatrywanie się w tych sprawach doda pożądanego bodźca do naśladowania tego, co gdzieindziej dobrego się dzieje, obudzi czynną miłość, podtrzyma stałość w wierze".

LIST PAPIESKI DO BISKUPÓW WĘGIERSKICH.

W liście do biskupów węgierskich wyraża Ojciec św. gorącą swą radość i duchowy współudział w wielkiem narodowem święcie, w tysiącletnim jubileuszu istnienia Węgier. Religia katolicka zajmuje w tych uroczystościach i wywołanych przez nie historycznych wspomnieniach pierwszorzędne miejsce, bo gdyby nie Ewangelia, jej nauka i wpływ, nigdyby Węgrzy — jak przyznają to najznakomitsi węgierscy historycy — nie zdołali się utrzymać w zawojowanych przez siebie prowincyach. Dość wspomnieć nazwiska Gejzy i św. Szczepana, aby zrozumieć, co Węgry Kościołowi zawdzięczają. Dawniejsze i przedewszystkiem nowsze historyczne badania wykazują potężny udział Kościoła w ukształtowaniu się publicznego prawa węgierskiego. Wiadomem jest powszechnie, że zwycięskie męstwo Węgrów powstrzymało straszne klęski, które w ubiegłych wiekach zagrażały jednocześnie wielu zachodnim narodom; lecz każdy zarazem przyznać musi, że do osiągnięcia tych pomyślnych rezultatów niemało się przyczyniły subsydya, dyplomatyczne starania o potężnych sprzymierzeńców, ciągłe modły, do nieba zanoszone przez naszych poprzedników. Te i inne liczne dobrodziejstwa, zapisane są — jak to z całego serca przyznajemy — nietylko w historycznych waszych rocznikach, ale bardziej jeszcze w sercach prawdziwych patryotów. Świadkiem tego słowa, wyrzeczone przez Jana Hunyadego: ‚Ojczyzna nasza, zdaniem mojem, albo wiarą będzie stać i trwać, albo musi zginąć'. W tymże samym piętnastym wieku wszystkie stany w piśmie wysłanem do papieża Mikołaja V. zgodnie przyznawały: ‚Żyjemy i trwamy głównie

dlatego, że łaska apostolska nas utrzymuje'. Ciągła, ożywiona korespondencya między Ludwikiem Wielkim a papieżami Innocentym VI. i Urbanem V.; korespondencya między Pawłem II. a królem Maciejem; obszerne pismo, w którem Klemens XIII. przyznawał Maryi Teresie, jako węgierskiej królowej, starożytny tytuł ‚apostolskiego monarchy', są nowemi dowodami, jakie stosunki łączyły Węgry ze Stolicą Apostolską. Ale niedość dawne, piękne dzieje wspominać. O to chodzi, aby dzisiejsze Węgry weszły w siebie i, pamiętne, czem były w przeszłości, czem byli i co działali ich ojcowie, dążyły do godnych siebie celów. W dawniejszych naszych listach i napomnieniach niejednokrotnie i w szczegółach o tem mówiliśmy; ufajmy, że obecne jubileuszowe uroczystości staną się jutrzenką spełnienia najgorętszych naszych wspólnych pragnień. Każdy dobry obywatel życzyć sobie musi, aby zniknęły przyczyny nieszczęsnych waśni, aby Kościół odzyskał należne sobie stanowisko. Wtedy dopiero powaga obu władz: duchownej i świeckiej, wzajemne obowiązki różnych stanów i warstw, nauka młodzieży i wiele, wiele innych spraw, staną silnie na należytym fundamencie: na prawdzie, sprawiedliwości i miłości".

ROZPRAWY O POJEDYNKU W PARLAMENCIE NIEMIECKIM.

Pojedynkowa epidemia, tem niebezpieczniejsza, że skrycie lub jawnie popierana przez koła, których głośno uznanym obowiązkiem bronić „ładu, bojaźni bożej i dobrych obyczajów", grasuje wciąż w Niemczech, przedewszystkiem w berlińskich kołach wojskowych. Nie ma tygodnia, żeby gazety nie zanotowały nowych skandalów w tym kierunku; nie ma dnia, żeby któraś z liberalnych, protestanckich gazet nie wystąpiła z obroną pojedynku, lub niby z potępieniem, ale tak mdłem, z tylu nawiasami i zastrzeżeniami, że służyć wyłącznie może do jeszcze większego zamieszania pojęć. Koniecznym obowiązkiem katolickiego *Centrum* było wystąpić przeciw temu uprawnionemu bezprawiu; istotnie *Centrum* święcąc godnie nowym tym czynem 25-letni jubileusz swego istnienia, wystąpiło w parlamencie z następną interpelacyą:

„Czy wiadomem jest panu kanclerzowi Rzeszy, że w poje-

dynkach, które odbyły się w ostatnich miesiącach, brali udział członkowie armii, i jakie stanowisko rada honorowa i sądy honorowe zajęły odnośnie do tych pojedynków? Jakich środków pan kanclerz Rzeszy chwycić się zamierza, aby zapobiedz pojedynkom, przeciwnym prawu i ciężko obrażającym ogólne poczucie prawne całej ludności?"

Na temat tej interpelacyi wywiązała się bardzo ciekawa i pouczająca rozprawa, która winnaby położyć stanowczy koniec pojedynkom, gdyby wogóle mieć można nadzieję, że głupstwo ludzkie da się rozumowaniem pokonać. Katoliccy posłowie: Bachem, Groeber z jednej strony, socyalista Bebel z drugiej, wykazali tak dosadnie nierozum i śmieszność pojedynków, niekonsekwencyę tych, co pojedynków bronią, że naprawdę nikt nie śmiał nawet stanąć do obrony tego „zapleśniałego, średniowiecznego przesądu".

„Raz wreszcie trzeba koniecznie — domagał się dr. Bachem — skończyć z tą komedyą, która po każdym prawie pojedynku się odgrywa. Trzeba, aby jak w innych wypadkach, tak i w tych stawało się zadość sprawiedliwości; aby winni ponosili karę, na jaką sobie zasłużyli. Parlament zająć się musi na seryo obostrzeniem obowiązujących dziś ustaw o pojedynkach. Za wielkie zgorszenie, aby wolno było zwracać uwagę na pewne urojone stanowe przywileje. A cóż mówić, jeżeli po zapadłym wyroku, po ogłoszonej, bardzo zresztą lekkiej karze, i ten nawet wyrok nie przechodzi w wykonanie? Wszystkie władze, które mogą i powinny zabrać tu głos, mają obowiązek przedłożyć u stóp tronu właściwy stan rzeczy i przedstawić, jak się nań zapatruje cały lud chrześcijański, jaki jego sąd o tem, co się dziś praktykuje? Czemuż zbliżyćbyśmy się nie mogli do kar przepisanych w kodeksie angielskim; kar tak surowych, że zdolne one są utrzymać w karbach i najmniej okiełznaną, najdzikszą naturę? Inicyatywa przyjść tu, co prawda, powinna z góry, tak jak to miało miejsce w Anglii, gdzie dziadek naszego cesarza, książę Albert, potrafił rozumnym swym wpływem zamknąć stanowczo pojedynkom drogę"

Odpowiedź rządowa, udzielona w zastępstwie chorego kanclerza przez sekretarza stanu, dr. Boettichera, wypadła, jak w da-

nych okolicznościach trudno się było inaczej spodziewać, dość mdło i niewyraźnie. Mowca musiał pojedynki potępić; musiał z drugiej strony wziąć w obronę władze rządowe, które, wiedząc długo naprzód o mających nastąpić rozgłoszonych w całej prasie pojedynkach, jednak im nie przeszkadzają. Twardy to był orzech do zgryzienia i nie dziw, że wymęczonym sofizmatom Boettichera towarzyszyły w Izbie ciągłe śmiechy. Nie ustały one i wtedy, gdy mowca zaręczył z całą powagą, że rząd wziął już pod rozwagę pytanie, co zrobić należy, aby na przyszłość zapewnić istniejącym prawom, skierowanym przeciw pojedynkom, większy szacunek, niż to dotychczas miało miejsce.

„Nam, socyalistom — drwił sobie Bebel, korzystając w całej pełni z nadarzonej wybornej sposobności — nic nie zawadza, jeżeli t. zw. wyższe warstwy mordują się pistoletowemi kulami; ale sam w sobie jest pojedynek bądź co bądź obrzydliwą plamą naszej kultury. Uczucie sprawiedliwości u ludu burzy się i zaciemnia, gdy jedna warstwa społeczna posiada przywilej do spełniania czynów, zakazanych pod surową karą ludziom z innej warstwy. Pojedynki są poprostu zwyczajnemi bitkami, okaleczeniami, zwyczajnemi morderstwami; niech ktoś, należący do innych kół społecznych, na nie sobie pozwoli, a niechybnie znajdzie się w kryminale. Zabytek to barbarzyńskich czasów, nie znających uregulowanego prawodawstwa, i rzecz istotnie smutna, że spotykamy się z nim jeszcze pod koniec XIX. wieku. Jakże pojedynki nie mają się szerzyć, kiedy z góry otrzymują moralne poparcie, a pojedynkujący się rachują nieomylnie na bardzo szybkie ułaskawienie? Nie dosyć urządzać przedstawienie gniewów i oburzenia przeciw pojedynkom: jeżeli po tem przedstawieniu wszystko pozostanie po staremu, nie dziwmy się, że lud zgodzi się ostatecznie na sąd Flory Gass: ‚Wszystko to sami komedyanci'"...

W nie mniej silnych wyrazach napiętnowali pojedynkowy nonsens posłowie Rickert i Richter. Cóż robić? — choć Bebel jest socyalistą, nie można nie zgodzić się na jego zapatrywania się w kwestyi pojedynków. Najsmutniejszemby było, gdyby te zapatrywania miały ograniczać się na socyalistyczne koła. Stronnicy pojedyków powinni być usunięci z otoczenia monarchy.

Cóż pomogą budowy kościołów, jakież znaczenie ma walka w obronie religii, obyczajów i porządku, jeżeli pojedynki dostają z góry aprobatę. Prawdziwymi „przewrotowcami“ są właśnie stronnicy pojedynków, bo depcą prawo, moralność, religię i stary ten aksyomat: „Równe prawo dla wszystkich“. Niema wypadku, w którym pojedynek nie byłby nonsensem i bezprawiem.

Parlament przyjął jednogłośnie wniosek Adta, wzywający rząd do użycia wszystkich środków, któremi rozporządza, w celu powstrzymania pojedynkowego nonsensu, tem bardziej, że stoi on w jawnej sprzeczności z kodeksem karnym. Centrum, partya wolnomyślna i konserwatywna cofnęły swe szczegółowsze i dalej idące wnioski, w celu umożliwienia jednomyślnego wotum całego parlamentu. Tylko obecny powiernik cesarski, baron von Stumm i hr. Herbert Bismark opuścili przed głosowaniem salę posiedzeń. Szkoda — zauważa lakonicznie *Germania*, — że ci przodownicy w walce za „religię, moralność i porządek“ nie wyłuszczyli poprzednio powodów, które skłoniły ich do tej abstencyi; ujrzelibyśmy ich wtedy we właściwem świetle.

WYZNANIA STAROKATOLIKA O STAROKATOLICYZMIE.

Starokatolicki pastor, Karol Jentsch, który pasterzował kolejno drobnej trzódce swych współwyznawców w Offenburgu, Monachium, Konstancyi i Nissie, rzucił obecnie w świat ciekawą swą autobiografię, p. t.: *Wandlungen des Ich im Zeitstrome*. Ciekawe to pamiętniki, bo naoczny i najlepiej poinformowany świadek odsłania nam w nich wewnętrzne dzieje starokatolicyzmu. Nieliczni stronnicy nowej sekty podzielili się odrazu na „starych“ i „młodych“. Czemu starokatolicyzm, pytali „młodzi“, nie odpowiada położonym w sobie nadziejom; czemu, zamiast rozwijać się, ginie na suchoty? Dlatego przedewszystkiem — odpowiadali sami sobie, — że starzy przywódcy, a mianowicie profesorzy z Monachium i Bonn, zaprzęgli się do wozu tchórzliwej, zgrzybiałej, kompromisowej polityki; że nie chcieli zrozumieć, iż, aby lud za sobą porwać, trzeba śmiało i energicznie reformować. Dziś starokatolickie gminy zadawalniają się rozcieńczonym katolicyzmem... W każdym razie bardzo niewielka jest nadzieja, aby starokatolicyzm dożyć mógł do roku 2000.

Starokatolicy bardzo się gniewają, gdy ich kto nazywa sektą... Dla przyszłości ich byłoby z pewnością lepiej, gdyby byli sektą, bo wtedy odróżnialiby się od innych fanatycznie ukochanym, odrębnym składem wiary, osobnemi zwyczajami lub strojem, zawieraliby małżeństwa wyłącznie między sobą, a tak powstrzymaliby może rozwój suchot, które do grobu ich prowadzą. Starokatolicka wiedza nie zrodziła ani jednej epokowej myśli; od epigonów zmarłych lub do śmierci zbliżających się przywódców tem bardziej niczego nie można się było spodziewać...

Ks. Jan Badeni.

Nowe hasło w Anglii.

Wesoły głos rozbrzmiewa dziś w Anglii: *Reunion is in the air*,. „Zjednoczenie jest w powietrzu", czyta się w książkach i dziennikach, słyszy się na ulicy i w salonach, w klubach, kasynach, a nawet pod sklepieniami anglikańskich kościołów. Na te słowa w spokojnych skądinąd żyłach katolików angielskich rozpędza się krew i koło serca zaczyna łazić takie mrowie, jakieby było w polskich sercach na wieść, że Polska powstaje.

Byłby to też fakt niemałej wagi, tak pod względem religijnym, jak i historycznym. Gdyby tak dnia pewnego dowiedział się świat, że te olbrzymie masy ludu i te ziemie szerokie same dobrowolnie przed rzymskim Kościołem ugięły kolano, to możeby dla tego imperyum więcej uczuł czci i szacunku. A przytem — przytem zamknęłaby się jedna karta historyi, karta dokoła krwią obryzgana, uginająca się pod ciężarem tortur i palów, z której, jak blade widma z grobu, wyglądają nazwiska Henryka, Elżbiety, Edwarda. Z powrotem Anglii w objęcie Kościoła rzymskiego rozpoczęłaby się nawet nowa epoka w dzisiejszych dziejach, bo taka zasadnicza wewnętrzna zmiana w państwie tak potężnem nie mogłaby się obejść bez głębszego wpływu na wszystkie dzisiejsze europejskie stosunki.

Na czemże opierają się te wszystkie różowe nadzieje? Niedawno temu mówiliśmy już w tem miejscu [1] o szeroko zatoczonej dyskusyi

[1] W rozprawie: „Dzisiejszy spór o hierarchię anglikańską". *Przegląd Powszechny.* 1895. IV.

teologicznej nad ważnością hierarchii anglikańskiej, dyskusyi prowadzonej z wielką werwą i ożywieniem na całym prawie kontynencie europejskim w Anglii, Francyi, Niemczech i Włoszech. Trudność w uznaniu tej ważności polega na tem, że prawdopodobnie pierwsi konsekratorzy anglikańscy za Elżbiety nie mieli biskupiego charakteru, a nadto, że dalsze święcenia od czasów Edwarda odbywały się wedle rytuału, zmieniającego prawdopodobnie samą istotę elementów sakramentalnych. W dyskusyi tej większość teologów katolickich przemawiała za nieważnością święceń anglikańskich, ale byli także niektórzy, jak Duchesne, co się za ważnością oświadczyli. Otóż kwestya ta cała, będąca, jeżeli już nie jedyną, to przynajmniej główną przeszkodą zjednoczenia z Rzymem, przeszła w ostatnich czasach z terenu teoryi w sferę praktyczną. Istnieją już w Anglii stowarzyszenia, które za główny cel postawiły sobie to zjednoczenie. Na 34-ym mityngu takiego stowarzyszenia przemawiał jeden z pierwszych magnatów angielskich, anglikanin, lord Halifax w te słowa:

„Rzeczywiście pragniemy powyższego zjednoczenia, a to dlatego, że kochamy Boga i nie możemy znosić obojętnie zniewagi, wyrządzanej świętemu Jego Imieniowi przez zatargi, istniejące wśród Jego czcicieli. Pragniemy go również dlatego, że kochamy naszych braci i widzimy niejednego z nich odtrąconego skutkiem nieszczęsnych tych nieporozumień przez Boga, który jest jedynem źródłem życia i światła, a zarazem jedyną krynicą prawdziwego szczęścia. Ponieważ zaś tego pragniemy, ze względu więc na nieświadomość i przesądy, panujące w stosunkach między Rzymem a Anglią, doszliśmy do przekonania, że pierwszym krokiem do takiego zjednoczenia musi być znalezienie jakiegoś wspólnego gruntu, na którym oba Kościoły mogłyby się zetknąć ze sobą bez żadnej ujmy swych zasad. Takim właśnie punktem stycznym jest kwestya święceń, na której szczerem i gruntownem roztrząśnięciu Kościół anglikański tylko zyskać może".

Od tego ożywionego ruchu w Anglii daleko większe znaczenie ma ten fakt, że Ojciec św. utworzył w Rzymie stałą komisyę dla rozstrzygnięcia kwestyi tej hierarchicznej. O przebiegu prac dotychczasowych komisyi nic się dowiedzieć nie można. Tak starannie strzeżoną jest tajemnica, obowiązująca członków komisyi, że na wszelkie zadawane sobie pytania wszyscy zwykli odpowiadać: „Nic o tem powiedzieć nie mogę". Komisya musi zawsze kończyć swe narady wprzód, nim działo na zamku świętego Anioła ogłosi południową godzinę. Posiedzenia odbywają się bardzo nieregularnie po dwa lub trzy razy na

tydzień, niekiedy zaś nawet częściej, a o gorliwości członków komisyi świadczy to, iż muszą oni po całych dniach przygotowywać materyał do swojej dyskusyi. Ojciec święty nie bierze nigdy udziału w naradach, chociaż odbywają się one w Watykańskim pałacu.

Tak więc z dwu stron decydujących zaczyn„ się wzajemne zbliżanie. Oby tak ułożyły się stosunki, by przeczucia i przewidywania Anglików o bliskiem zjednoczeniu w rzeczywistości się wypełniły.

Ks. Jan Pawelski.

Ruch socyalny w Tarnowie.

W piątek, w uroczystość św. Stanisława, otrzymałem z Tarnowa od jednego z wodzów tamtejszego socyalnego ruchu katolickiego następujące lakoniczne wezwanie: „W najbliższą niedzielę stowarzyszenia nasze są w pełnym ruchu; chcesz przypatrzeć się jak wyglądają i funkcyonują, to przyjeżdżaj!“ Jakże nie odpowiedzieć takiemu wezwaniu? W pierwszym Tarnowie rozpoczęła się na szerszą skalę reakcya przeciw zalewającym Galicyę z Wiednia i Berlina żydowsko-socyalistycznym agitacyom; w Tarnowie dzięki kilku ludziom dobrej woli, nie szczędzącym ni czasu, ni pracy, wzięto się energicznie do pracy na polu socyalnem jeszcze wtedy, gdy w innych miastach: w Krakowie i Lwowie, pocieszano się frazesem: „W Polsce nie ma odpowiedniego gruntu dla socyalistycznej agitacyi“, lub zadawalniano się cichemi protestami i narzekaniami w kółku znajomych. Dziś, dzięki Bogu, nastąpił już pewien zwrot; socyaliści, rozzuchwaleni zbyt łatwem powodzeniem, zawcześnie odkryli swe karty i odsłonili, do czego dążą, co myślą o religii, Kościele, ojczyźnie, i tem samem najbardziej sobie zaszkodzili. Ale szczęśliwy ten zwrot nie nastąpił jeszcze na całej linii; jeszcze w wielu miastach i miasteczkach socyalistyczne „Siły“ ściągają do siebie ruchliwsze elementy; socyalistyczne pisemka: *Robotniki* i *Naprzody*, stanowią główną niedzielną lekturę całych zastępów rzemieślniczych i robotniczych. Jedźmy do Tarnowa przypatrzeć się, jak tam walka zorganizowana; pocieszyć się widokiem zwycięstw, odnoszonych nad wrogami wiary i społeczeństwa.

Walka nie na żarty. Socyaliści tracą w Tarnowie grunt; niedawno temu główny ich herszt, niejaki Szczepanik, wyrzekł się publicznie socyalistycznych bredni, przeprosił za dane zgorszenie i oświadczył, „iż

mrzonki żydom oddanego Daszyńskiego i jego adherentów, występujących przeciw biskupom i duchowieństwu, nic więcej nie przynoszą słuchaczom oprócz zgryzot sumienia i utraty czci u ludzi prawych“ [1]. Źle, źle; trzeba, jak się da, wysiłków nie szczędząc, zagrożoną sytuacyę ratować. Czerwone, gęsto po ulicach porozlepiane afisze zapowiadają:

„W niedzielę dnia 10 maja o godzinie drugiej po południu odbędzie się w sali teatralnej w Tarnowie zgromadzenie ludowe. Porządek dzienny: 1) O położeniu ekonomicznem robotników. 2) Powszechne prawo głosowania. O liczny udział uprasza:

Wojciech Gawęda, ślusarz. Leopold Ziembicki, murarz. Jan Domański, krawiec.

To Tarnowiacy. Na głównego mowcę Tarnów zdobyć się już nie mógł i sprowadzić go trzeba było z Krakowa. Przyjechał znany z krakowskich i podgórskich występów Serkowski, ale czy pamięć mu nie służyła, czy mdłe usposobienie audytoryum nie dodawało dostatecznego bodźca, czy może wstyd go było powtarzać przed krakowskimi gośćmi oklepane frazesy, które po dziesięć, po dwadzieścia razy słyszeć można było w Krakowie; dość, że ani sam nie miał należytego zapału, ani tem mniej nie potrafił go obudzić w słuchaczach. W Krakowie, w szynku u Ebera lub w ogrodzie u Tylki rozlegają się na dane hasło co minutę, co dwie głośne okrzyki: „Brawo! wstyd! hańba!“ — dodaje to animuszu i pozwala dalsze zdanie sobie przypomnieć. Tu grobowa cisza, klaka nie zorganizowana, nawet na twarzach nie znać głębszego zainteresowania się. To też mowca w widocznym kłopocie powtarza raz po raz jak najprostszy mieszczuch: „Panie!“, „Panie dobrodzieju!“, szuka w pamięci najefektowniejszych frazesów, ale cóż, kiedy w czasie najszumniej brzmiącego frazesu jakaś dziewczynka z za kulis wybiega i uwagę ku sobie odwraca; kiedy bez wrażenia mija nawet takie zdanie: „Wzburzyły się żołądki narodu...“ lub: „Znieść musimy kajdany, które jęczały przez dziewiętnaście wieków pod nogami proletaryatu!!! Jeżeli fachowi aktorzy, wywołujący z tej samej sceny swe dytyramby, nie odnoszą większego sukcesu od krakowskiego mowcy, los ich prawdziwie nie do pozazdroszczenia!

Dobrze, że już trzecia, że czas udać się na zebranie katolickiej „Pracy“; bo na zgromadzeniu socyalistycznem i nudno i ostatecznie bardzo przykro, że tylu biedaków, wypełniających po brzegi całą salę, słucha tych banialuków; że pewna ich część chwyta się bądź co bądź

[1] Por. *Grzmot* z 5 maja b. r. Korespondencya z Tarnowa.

na tak nędzny lep. Stowarzyszenie katolickich robotników „Praca“, założone w marcu z. r. przez męską konferencyę św. Wincentego a Paulo, liczy około 400 wpisanych członków, a przeszło 200 płacących wkładki i uczęszczających stale na zebrania. Ze stowarzyszenia wyłonił się stopniowo szereg arcypożytecznych instytucyj: „Kasa pogrzebowa“, do której przepisane wkładki wpływają z zadziwiającą regularnością; kasa pożyczek; kasa drobnych oszczędności; biuro pracy. Obecnie rozpożyczono z kasy pożyczkowej przeszło 130 złr.: jednemu członkowi pożycza się zazwyczaj 3 lub 4, najwyżej 10 złr. Do kasy oszczędności składają niektórzy nawet znaczniejsze, kilkadziesiąt reńskich wynoszące kwoty. Biuro pracy rozwijać się dopiero zaczyna. Inicyatorzy skarżą się, że robotników zgłasza się tak wielu, iż nie podobna dla wszystkich o pracę się wystarać; najlepszy to dowód, jak tego rodzaju biuro potrzebne i konieczne.

Dotąd „Praca“ mieści się w najętym lokalu, ale niezadługo stanąć ma obszerny drewniany dom, specyalnie zbudowany dla stowarzyszenia katolickich robotników; grunt pod ten dom już kupiony, plan wypracowany. Istotnie dzisiejsza salka zanadto ciasna; wielu członków stać musi za drzwiami i łowi z trudem, z widocznem zaciekawieniem szczegóły opowiadane przez krakowskiego gościa o założeniu, o rozwoju krakowskich katolickich stowarzyszeń robotniczych. Rozlegają się głośne okrzyki radości, brzmią wiwaty na cześć bratnich stowarzyszeń; rzucona myśl zawiązania ściślejszego związku między wszystkiemi polskiemi katolickiemi stowarzyszeniami robotniczemi znajduje entuzyastyczne przyjęcie. Byle więcej tych stowarzyszeń, tych „Prac“ i „Przyjaźni“, byle szerzyły się, rosły, rozwijały!... Leżący na stoliku prezesowskim poczerniały i postrzępiony przez liczne ręce, przez które przechodził, organ katolickich robotników, wychodzący we Lwowie *Grzmot*, najlepszym jest i będzie w tym kierunku doradcą i pomocnikiem.

Z „Pracy“ idziemy do „Ojczyzny“, z robotniczego w ściślejszem słowa tego znaczeniu do czeladniczego stowarzyszenia. Piękniejszy tu, bogatszy lokal; ściany ozdobione religijnemi i patryotycznemi obrazami; poważny bilard do zabawy zaprasza. „Ojczyzna“ istnieje od półtora roku i liczy około 50 stałych członków, uczęszczających na pogawędki, zabawy, odczyty. Było ich znacznie więcej, ale wielu z wpisanych opuściło Tarnów, szukając zatrudnienia i gruntowniejszej nauki to w Wiedniu, to w Krakowie, to w innych miastach. Niejeden z nich wróci z pewnością po paru latach do Tarnowa z głową pełniejszą w naukę i doświadczenie; z kieszenią pełniejszą w pieniądze, a wtedy

nie zapomni o „Ojczyźnie“, gdzie spędził w gronie kolegów tyle miłych i pożytecznych chwil. Przed paru tygodniami odbył się w „Ojczyźnie“ piękny wieczorek, na którym śpiewano i deklamawono, a podmajstrzy murarski p. Klaus wygłosił odczyt o ostatnich latach panowania Stanisława Augusta. Na innym wieczorku p. F. Gerżabek opowiadał o cudownej obronie Częstochowy. Kiedyindziej znowu radzili stowarzyszeni długo i szeroko nad potrzebą założenia chrześcijańskiego sklepu, w którym mogliby się zaopatrywać w dobry i tani towar; nad środkami prowadzącemi najwłaściwiej i najspieszniej do osiągnięcia tego celu. Jak „Praca“ myśli o zbudowaniu własnego domu, tak „Ojczyzna“ zamyśla otworzyć dla terminatorów t. zw. „oratoryum“ na wzór salezyańskich oratoryów, w którem rzemieślnicza młodzież spędzałaby pożytecznie święta i niedziele na modlitwie, śpiewie, nauce, zabawie. Szczęść Boże prześlicznym tym zamiarom!

Mają robotnicy „Pracę“, czeladnicy „Ojczyznę“, kolejarze osobne swe katolickie stowarzyszenie, majstrowie „Gwiazdę“, niewiele się różniącą od licznych innych rozrzuconych po galicyjskich miastach i miasteczkach „Gwiazd-resurs“. Mają i służące tarnowskie osobne, również przed półtora rokiem zawiązane „towarzystwo sług katolickich“. Towarzystwo to powstałe z inicyatywy konferencyi dam św. Wincentego wspaniale się rozwija, dzięki energii i poświęceniu swej Rady głównej swego Wydziału, a na pierwszem miejscu dzięki niezmordowanym staraniom urzędowego promotora ślicznego tego dzieła, ks. prałata Łukowskiego.

Celem Towarzystwa — jak czytamy w statutach — jest: Wpoić w członków umiłowanie swego stanu, zdrową pobożność, skromność, oszczędność i pracowitość; uzdatnić sługi do sumiennego pełnienia obowiązków; zająć się dolą sługi w duchu Chrystusowym.

Do tego celu wieść mają środki religijno-moralne i materyalne, a mianowicie:

a) Towarzystwo wręczać będzie nagrody za długoletnią wzorową służbę u jednego państwa.

b) Urządzi biuro bezpłatne wywiadowcze.

c) Poda wskazówki, jak sługi na drodze pokojowej dojść mogą do swych zaległych należytości.

d) Założy kasę, do której oszczędności składać będą sługi na procent. Oszczędności na zawołanie wypłacane będą.

e) Dążyć będzie do założenia Przytuliska, do którego sługi zapisane do Towarzystwa, gdy bez własnej winy utraciły służbę, zgłosić

się mają, gdzie znajdą chwilowe pomieszczenie. Sługi starsze, do pracy nie zdolne, wkupić się mogą do Przytuliska stale, jeżeli przez 10 lat były członkami Towarzystwa.

Piękne cele, a że nie istnieją tylko na papierze, o tem najwymowniej świadczy sprawozdanie Rady i Wydziału za rok 1895, będący zarazem pierwszym rokiem istnienia Towarzystwa. Członków-założycieli z datkiem przynajmniej 25 złr. liczyło towarzystwo 15; członków honorowych 64; zwyczajnych, tj. sług, płacących miesięczną wkładkę 10 ct., było 258. Do bezpłatnego biura stręczeń zgłosiły się panie w 173 wypadkach, sługi w 86 wypadkach. Do niedzielnej szkółki, założonej w maju r. z., a zostającej pod kierunkiem SS. Felicyanek, uczęszczały 42 służące, często wcale już nie młode; SS. Felicyanki zawiadują również osobno dla sług założoną wypożyczalnią książek. Zwyczajne zebrania sług odbywały się co drugą niedzielę; brało w nich udział od 100 do 200 uczestniczek i słuchało z najżywszą uwagą pouczających wykładów, odnoszących się w pierwszej linii do należytego spełnienia codziennych, praktycznych obowiązków. W ciągu roku odbyło się 26 takich posiedzeń, na których, między innemi, poruszono następujące tematy: Zachowanie się sługi przy zgodzie o służbę; o zmianie służby; o oszczędności; dziesięć przykazań dla piastunek, pokojówek, kucharek; kiedy sługi mają milczeć, a kiedy mówić?; o służbie przy dzieciach, w szynkowniach; o myciu okien; o utrzymywaniu lamp naftowych; jak przechować najdłużej świeże ogórki i t. p. Nie pominięto i kwestyj moralnych i tematów uszlachetniających serce i duszę; w osobnych pogadankach zastanawiano się nad zacnością ubóstwa, dobrowolnem dziewictwem, owocami Komunii św. i t. d.

Serce rosło, przepatrując te sprawozdania, wykazy; przerzucając urzędowe księgi, protokoły wszystkich tych, tak w ogóle niedawno temu powstałych, tak szybko, tak świetnie rozwijających się stowarzyszeń. W każdej księdze, w każdem sprawozdaniu widoczne na pierwszem miejscu nazwisko arcypasterza dyecezyi, który jak starał się o powołanie stowarzyszeń tych do życia, tak najżywiej losem ich się zajmuje i otacza je ciągłą, ojcowską i moralną i materyalną opieką. W każdej książce powtarzają się nazwiska paru kościelnych dygnitarzów, kilku gorliwych i energicznych kapłanów, co tak wybornie zrozumieli, jakie potrzeby, jaka choroba naszego czasu, i nie wahają się z całem poświęceniem wprowadzać w życie nowe u nas, dawno już gdzieindziej wypróbowane i zalecone lekarstwa. Razem z księżmi mozolą się i pracują panie, panowie, prości robotnicy, tym samym oży-

wieni duchem, tą samą pokrzepieni pewnością ostatecznego, niezawodnego zwycięstwa...

Jeśli komu przychodzi pokusa ręce załamać i opuścić na widok socyalistycznej rzeki, rozlewającej się po kraju, zdawałoby się czasem, bez zapory, niech w pierwszą lepszą niedzielę przyjedzie do Tarnowa i przypatrzy się, co zdziałać dziś jeszcze może dobra a energiczna wola. Napróżno zjeżdżają krakowscy agitatorzy i ciskają teatralne pioruny z teatralnych desek; napróżno *Robotniki*, *Naprzody*, *Krytyki* ciskają obelgami na „zacofany“, „klerykalny“ Tarnów. Spokojnie, bez reklamy i hałasu powstają i rosną stowarzyszenia, mające na celu nie próżną agitacyę, ale istotne dobro członków-robotników; odbywają się pouczające zebrania; wspólna, wesoła zabawa uprzyjemnia chwile, przeznaczone na odpoczynek po znojnej pracy. Więcej takich Tarnowów — a sprowadzony z za granicy socyalistyczny upiór, grasujący po naszych miastach i miasteczkach, uciekać będzie musiał za dziesiątą granicę...

Ks. J. B.

Notatki literackie.

Dekadent w *Ateneum*.

By czytelnicy tych literackich notatek nie wynieśli przypadkiem wrażenia, że przeciętny dekadent polski jest to jakiś Faun leśny lub Satyr a w najlepszym razie „*Baka redivivus*“, trzeba będzie dzisiaj coś bardziej europejskiego wysunąć na scenę. Czegóż np. można żądać od poematu, który takim zaczyna się wstępem:

O witaj, ludzkości, w zaraniu twych bojów
Surowa i dzika,
Z krwawiącym się potem wysiłków i znojów,
Co oczy zamyka!
Wspaniała w zapale
Co grom tłumiąc burz,
Ramiona zuchwale
Po blask skrawych zórz
Wytęża —
I noc
I tajń ziemskich żył
Przez moc
Przez hart swoich sił
Zwycięża!

O witaj ludzkości,
Co wiedziesz z nicości
Przez trud
Twój ród!
W dumnym pochodzie tysiącznych pokoleń
Nagość twą kąpiesz w świetlanych pozłotach,
. . . . . .

i t. d. i t. d. zamiast dalszych przytaczań wystarczy krótko zaznaczyć, że cały poemat wypełniony jest po brzegi zorzami, purpurami, szumiącym łanem, dywanami zieleni; dokoła zwisają mosty zwodnej przełęczy i rozdarte szaty żałoby; dla rozmaitości nawet pobrzękują prometeuszowe pęta i lutnie Safony. A cała ta kolekcya ponętnych wyrazów ubrana jest w rytmiczne tempo raz krótkie i urwane, raz zatoczone szerzej, przypominające zupełnie huculską kołomyjkę, gdzie po dorywczych i gorączkowych podskokach na jednem miejscu rozchodzą się tańczące pary w koło szerokimi łukami, aby znowu po chwili do podskoków powrócić. Wszystkie te lśniące race, zatytułowane wyrazem: „Dytyramb“, a podpisane nazwiskiem p. Tadeusza Konczyńskiego, zjawiają się przed czytelnikiem nagle i pękają w zdumionych jego oczach zaraz za wstępną okładką, na samym progu lutowego zeszytu *Ateneum*. Taką niespodzianką lubi czasem *Ateneum* swoich czytelników powitać.

Otóż w tym zaczarowanem królestwie blasków stylowych i rytmicznych dźwięków trzeźwy śmiertelnik tak wkrótce czuje się olśnionym, że po pewnej liczbie wierszy z trwogą zaczyna się na wszystkie strony rozglądać za jakimś punktem oparcia. Kiedy poeta wita najpierw ludzkość surową i dziką, która dąży przez wieczności stepy:

Lecz gdy tak dążysz przez wieczności stepy
Królewskie nogi krwawiąc o czerepy,
I kiedy dłonie wyciągasz w zapale
Po tajemniczych lśnień barwne opale,
Aby raz wreszcie pochwycić jaźń bytu,
Oczom bezsilnym dać słoneczność wzroku,
. . . . . .

to w tym szumiącym wyrazów potoku, żaden sens nie jest dostrzegalny oku.

Co za zacz ta ludzkość, Bóg miłosierny wiedzieć raczy! Zdaje się, że miała ona być czemś realnem, — o czem świadczą pokrwawione nogi i chciwe ręce sięgające po opal — miał to być może jakiś rapsod, opisujący wędrówkę ludów, coś w rodzaju tych przechadzek, jakie odbywali Hunowie, Alanowie, Goci — albo nawet poetyczne uosobienie całych dziejów ludzkości, gdy tymczasem wszystkie te kombi-

nacye jednym zamachem pióra przekreślone. Ta ludzkość chce dopiero pochwycić jaźń bytu.

W tem miejscu z kroczącą przez stepy ludzkością dzieje się jeszcze większe cudo.

I kiedy taka kroczysz wśród zachwytu
Mając pod stopą fundament granitu —
Ze skargą, z bladym zawodem
Upada na drogach tłum,
Znękany długim pochodem,
Co twoich nie dzieli dum,
Dla niego wyblakło życie.

Powstaje poważne pytanie, nadające się na doskonały rebus, skąd ten tłum wyblakłych ludzi nagle się znalazł, jeśli cała ludzkość jeszcze nie istnieje i konwulsyjnie dopiero za jaźń bytu chwyta? Ha! powiedział Szekspir, dzieją się rzeczy na niebie i ziemi, o których się filozofom ani śniło.

Cała sytuacya i osnowa reszty „Dytyrambu“ jest taka, że ludzkość stoi na granicie, przed nią z jednej strony klęczy tłum, a z drugiej poeta — tragiczne *trio:* ludzkość, tłum i p. Konczyński. Tłum przeklina ludzkość za to, że mu jakieś ideały wskazuje, a poeta chciałby te przekleństwa przygłuszyć swojem uwielbieniem — ale kiedy ma się całą masę ludzi przekrzyczeć, to trzeba myśleć o wytężeniu piersi, a trudno coś kombinować, więc poeta w tej forsie zapomina już na wszelkie zasady myśli, rymu i rytmu:

Lecz kiedy jesteś przeklęta —
Przez mój trud, łzy,
Prometeuszowe pęta
Przykute do górskich płyt,
Przez zgrzyt
Miłości
I uczuć gry
Przebrzmiałej na nic
Czczę cię i wielbię i kocham bez granic,
Ludzkości!

A dlaczego poeta tę ludzkość wielbi? — bo gdyby nie ona,

To gdybym dech
Tajemnych ech
Zdołał rozłożyć myślą na atomy
I święty błysk
Jako walk zysk

Ukradł z Olimpu, owładnąwszy gromy —
Za mało jeszcze duchem rozwinięty
O czaszkę lutnię strzaskawszy Safony,
Zszedłbym w ślepocie na dzikie odmęty
Olśniewającą prawdą porażony,
I klnąc mą moc i mej mocy żądze,
W błazeńskie biłbym mosiądze
Lub wziąłbym w siebie szał pierwszych rozbestwień
Krocząc zuchwale na głąb unicestwień.

Pociąwszy tak niegodziwie dech tajemnych ech, ukradłszy z Olimpu walk zysk, strzaskawszy czaszkę Safony i uszkodziwszy nawet błazeńskie mosiądze, poznaje poeta że już za wiele nabroił i że czas mu już najwyższy na zniknięcie z widowni. Zbliża się koniec poematu i poeta raz jeszcze na koniec wszystkich sił głosu dobywa dla ekspiacyi za bluźnierstwa tłumów:

A więc okrzykiem płomiennym
Wołam: cześć, cześć! cześć! cześć!
I w borze wysokopiennym
Rozbudzam echa: cześć, cześć!
Cześć, cześć!
Rosnący gwar wybiega
Na roztocz łąk, pól, rzek
I jako jeden oceaniczny ściek
Po widnokręgi zalega:
Cześć, cześć! cześć, cześć!

Ogarnia nas obawa, czy po takim wysiłku głosowym poeta się nie rozchorował i czy nie zwabił stróżów publicznego spokoju. W każdym razie za ten rosnący gwar należy mu się cześć i poczwórne jej echo.

Ks. Jan Pawelski.

Przypisek do „Asemityzmu“.

O „Asemityzmie“, drukowanym w *Przeglądzie* przed kwartałem, rozmaite doszły nas głosy: w listach, w rozmowach, w gazetach. Przyznać winienem, że najwięcej było głosów przyjaznych i życzliwych, jak ten list ks. D., proboszcza z K.:

Artykuł „Asemityzm“ w lutowym zeszycie jakby nam z pod serca wydobyto. Przekonanie i twierdzenia z nim podzielamy w zupełności i bar-

dzo byśmy radzi, by ten artykuł w jak najliczniejsze dostał się ręce, znalazł się pod strzechą wieśniaka, małomieszczanina i po dworach; prosimy przeto o jego przedruk w broszurach. Gdyby można dla ludu w trochę przystępniejszym języku tę sprawę przedstawić, byłoby rzeczą arcy-pożyteczną.

Na to ostatnie życzenie, z kilku stron mi wyrażone, odpowiadam, że ten artykuł nie był wcale przeznaczony do rozpowszechnienia między ludem, ale napisany był dla ludzi wykształconych, ażeby zwrócić ich uwagę na ważność tej sprawy, określić i dowodami poprzeć pewne zasady co do postępowania względem Żydów. Na tej zaś podstawie specyaliści, którzy te zasady podzielają, mogą dokładniej i praktyczniej, niżbym ja potrafił, określić szczegóły tej samoobrony przeciw Żydom w pewnych kierunkach. I tak, ktoś z prawników czy z polityków mógłby dokładnie wystudyować owe niedostatki ustawodawstwa naszego, których nadużywają Żydzi na szkodę chrześcijańskiego społeczeństwa. Ktoś z księży znowu, z bliska nad ludem wiejskim pracujących, mógłby wybornie wystudyować przeróżne fortele, jakiemi Żyd chłopa usidla, mógłby to w sposób bardzo interesujący i pouczający dla ludu opisać. Inni inne działy mogą ze znawstwem obrobić i środki zaradcze wskazać.

Ktoś inny mię pytał, czemu omawiając wszystkie sposoby i systemy rozwiązywania kwestyi żydowskiej, nie tknąłem głównego systemu: tj. nawracania Żydów?

Odpowiadam, że nawracanie Żydów jest niewątpliwie rzeczą świętą i pożyteczną; dosyć mocno zaznaczyłem w swym artykule, że je biorę na seryo. Ale doniosłość nawracania jest tylko indywidualną; na ogół niema ono żadnego wpływu, jak tylowiekowe doświadczenie wykazało. Nie można więc go uważać za sposób rozwiązania kwestyi żydowskiej.

W gazetach, rozumie się, ciekawych doczytałem się rzeczy. Że panu Franko i *Kuryerowi Lwowskiemu* nie podobało się chrześcijańskie hasło, to nic dziwnego, ale to dziwniejsze, że je prawie pochwalił *Dziennik Krakowski*. Jeszcze trochę, a jak mamy Żydów na czele socyalizmu, tak ich zobaczymy na czele samego antysemityzmu!

Głos Narodu, przytoczywszy ustępy z mego artykułu, które uważa za wodę na swój młyn, zarzuca mi, choć w bardzo grzecznej formie,

coś jakby nieszczerość: mówi, że jestem antysemitą, ale nie przyznaję się do tego jasno i niepotrzebnie nowym hasłem wprowadzam rozdwojenie. — Ja sądziłem, że wypowiadając zasady i wnioski do jakich się przyznaję, szczerzej i jaśniej jeszcze określam swe stanowisko, aniżeli za pomocą nazwy. Wytłumaczyłem dlaczego nazwa asemityzm wydaje mi się odpowiednia do oznaczenia tego stanowiska. Jeżeli ktoś pod nazwą antysemityzmu nic innego nie rozumie, jeno te same zasady i wnioski — to zgoda z nim.

Ks. M. M.

Druk ukończony 28 maja 1896 r.